

Pływające miasto

Eric Van Lustbader



calibre 0.9.27

ERIC VAN LUSTBADER - Pływające Miasto

Przekład WITOLD NOWAKOWSKI

„KB”

*Zniknęły lampy łowców ze wzgórza Ogura. Jeleń donośnym rykiem wzywa swe partnerki...
Jakże łatwo mogłabym zasnąć, gdybym nie podzielała ich lęków.*

ONO-NO KOMACHI

W praktyce wszystko działa, w teorii to niemożliwe.

FRANCUSKA ZASADA ZARZĄDZANIA

Pas dżungli

W przyrodzie odrażająca gąsienica staje się pięknym motylem. Wśród ludzi uroczy motyl często się zmienia w paskudną gąsienicę.

ANTONI CZECHOW

Wyżyna Shan, Birma

JESIEŃ 1983

Wieść niosła, że przeżywano go „Dzikus”, gdyż widział wszystkie filmy z Tarzanem i znał nazwiska wszystkich aktorów odtwarzających postać Króla Dżungli, począwszy od Elmo Lincoln. Miał oczywiście swoich faworytów, lecz twierdził, że lubi każdego.

Plemiona zamieszkujące Shan nie miały powodów, by mu nie wierzyć, ponieważ filmy z Tarzanem nie docierały do górskich osiedli, nawet do tych, gdzie był jakiś projektor i gdzie od czasu do czasu wyświetlano komedię lub dramat wypożyczone z Bangkoku.

Prawdę mówiąc, mieszkańcy Shan - zwłaszcza ci, którzy wraz z Rockiem uczestniczyli w uprawie, zbieraniu, czyszczeniu, sprzedaży i wysyłce ziaren maku - mówili o nim Dzikus głównie dlatego, że widywali go nieraz, jak zarzucał na prawe ramię zmodyfikowany miotacz rakiet i wysyłał swych wrogów do Królestwa Niebieskiego.

W ciągu minionych lat niejeden handlarz opium usiłował go zabić, lecz Rock, jak sam twierdził, był „dzieckiem wojny i rock’n’rolla”. Weteran Wietnamu, gdzie spędził najcięższe lata konfliktu, przez długi czas prowadził rekrutację do CIDG - Ochotniczych Grup Obrony Cywilnej. Działał głównie wśród plemion Wa, Lu, Lisu, u birmańskich górali i wśród urodzonych w delcie Mekongu Khmerów, którzy należeli do najbardziej zaciętych wrogów Vietcongu.

Był jednym z nielicznych zbrukanych krwią demonów, dla których śmierć stanowiła prawdziwą esencję życia. Kochał ją. Uwielbiał jej zapach, strach, jaki wywoływała w sercach i duszach innych istot, hałas lub szelest oznajmiający jej obecność. Lecz przede wszystkim kochał uczucie błogości, jakim jej widok wypełniał mu całe ciało i łagodził twarde krawędzie umysłu, które zazwyczaj, niczym diamentowe ostrza, czekały, by rozszarpać otaczającą go rzeczywistość na bezkształtne strzępy.

Z pewnością nie należał do nieszczęśników, wracających do Ameryki z głowami przepełnionymi widokiem skośnookich żołnierzy, śmigłowców, stert trupów i morza krwi. Oni nigdy nie potrafili wygrzebać się z Dołu. Tkwili w nim po sam czubek głowy. Dół. Azja.

Rock też siedział w Azji, lecz w przeciwieństwie do tamtych czerpał z tego niemalą uciechę. Pierwszy raz znalazł jakiś cel w życiu. Ów cel zaprowadził go tutaj, na wyżynę Shan, w wymagowany środek Złotego Trójkąta, w miejsce gdzie stykały się Chiny, Birma oraz Tajlandia i gdzie wysokość, pogoda, a także gleba stwarzały najlepsze warunki do uprawy maku.

Z zadowoleniem witał wszelkie kłopoty. Całkiem słusznie postrzegał w nich nie tylko sprawdzian własnych umiejętności, lecz także sposób na umocnienie swej pozycji. Zdawał sobie sprawę, że tu, wysoko, w rozrzedzonym powietrzu Shan, liczył się ten, kto potrafił zdobyć zaufanie okolicznych plemion. Bez ich akceptacji stałby się po prostu leśnym upiorem, niewiele lepszym od żebraka, oferującym swe usługi rozmaitym kacykom i sprzedającym jeszcze jeden sposób zabijania. Poza tym na zawsze byłby barbarzyńcą z Zachodu.

Bez ich akceptacji nie miałby czego szukać na Shan. Bez zaufania - o czym doskonale wiedział - nigdy nie zdobyłby bogactwa. A bardzo chciał być bogaty. Za jedyną wartość życia prócz śmierci, łagodnej lub nagłej, uważał pieniądze.

W końcu pokonał wszystkich, zadając kłam publicznym pogróżkom generała Quana, że „agonia Rocka będzie trwać wiecznie”.

Generał Diep Nim Quan, opiumowy magnat z wyżyny, w ciągu ostatnich pięciu lat

wymordował swych konkurentów - samych Chińczyków - i teraz był niepodzielnym władcą najlepszych upraw na świecie. Jako Wietnamczyk cieszył się dużym poparciem oficjalnych czynników z Sajgonu, czego nie można było powiedzieć o jego rywalach, kupujących używaną broń na radzieckim czarnym rynku.

Cholerni Wietnamcy - myślał Rock. - Że też właśnie z nimi muszę mieć do czynienia. Kto nałgał, że wojna się skończyła?

Niedawno opuścił wyżynę. Długo czekał na obiecane pieniądze, w końcu doszedł do wniosku, że czas działać. Był w drodze do Rangun, skąd chciał zateleksować do swego partnera i zapytać, jak długo potrwa zwłoka.

Minął Mai, leżącą na ścieżce pod przewróconym drewnianym wózkiem, i podszedł do zaplątanego w uprząż zwierzęcia. Miało złamaną nogę.

Myślał o dziewczynie. Mimo swej paranoi przyznawał, że była niezwykle pociągająca. Miała złocistą, połyskliwą skórę, długie i smukłe nogi, ogromne oczy i jędrne piersi z twardymi sutkami.

Podźwignął wózek, spojrział na Mai i zastrzelił zwierzę, by skrócić mu męki. Zręcznie ściągnął skórę i poćwiartował tuszę, oddzielając mięso od kości.

Już dawno stał się podobny do większości Azjatów; nie pozwalał, by coś się zmarnowało. Prawdę mówiąc, od dawna uważał się za Azjatę. Kiedyś może był Amerykaninem, lecz teraz narodowość nie miała dla niego żadnego znaczenia. Czasem tylko obracał w palcach zwisający z szyi kawałek metalu z wojskowym numerem identyfikacyjnym, jakby był to nefrytowy amulet noszony przez Chińczyków. Nigdy na niego nie patrzył. Starczała mu świadomość, że jest Dzikusem. Rockiem: państwem, władzą i prawem w jednej osobie.

Załadował wszystko - mięso, skórę, kości (na zupę) i dziewczynę - na wózek. Gdy podnosił ją z ziemi, lekko przesunęła długimi paznokciami po jego skórze. Szafir, który nosiła w lewym uchu, zamigotał w promieniach słońca.

Rock ciągnął wyładowany wózek przez jedenaście kilometrów, aż w końcu dotarł do prowizorycznego obozu. Choć już trzy lata mieszkał na wyżynie, nie dorobił się jeszcze stałego domu. Wiedział, że na ten luksus będzie mógł sobie pozwolić później, gdy już na stałe zdobędzie zaufanie górali. Teraz za wszelką cenę starał się utrudnić zadanie wynajętym skrytobójcom. Traktował to jako część gry, jeszcze jeden pokaz drzemiącej w nim siły.

Mai wspominała mu, że pochodzi z wioski położonej wysoko w górach, „na szczycie świata”. Innymi słowy, wśród pól maku.

Widział to w jej oczach. Nie mógł się mylić, gdyż często oglądał podobne objawy u innych mieszkańców Indochin. Co więcej, potrafił czytać w ich myślach. Głównie ze względu na wzrost. Miał metr osiemdziesiąt pięć i w Stanach zaliczał się do średnio wysokich. W Azji był gigantem. Uśmiechnął się do siebie. Bez trudu zaglądał w głąb umysłu dziewczyny. Ciekawiło ją, czy Rock wszędzie jest tak obszerny. Cóż, wkrótce będzie okazja, by mogła się o tym przekonać.

Zajęła się ciemnoczerwonym siniakiem, który zdobił jej nogę, a Rock przygotował kolację. Upichcił przywiezione mięso. Kiedy z kociołka zaczęła buchać para, przysiadł nad skórą, aby oczyścić ją z resztek ścięgien. Podczas pracy wciąż myślał o Mai. O jej paznokciach. Nigdy takich nie widział u wieśniaczki. Szósty zmysł - japońscy mistrzowie walki określali podobne zjawisko mianem *haragei*, boskiej siły - dawał mu zdolność postrzegania zjawisk niedostępnych dla innych.

Podniósł głowę i zobaczył dziewczynę stojącą nago u wejścia do namiotu. Przez chwilę przypatrywał się jej w milczeniu. Wyjątkowa - pomyślał. Dłonie i przedramiona miał upačkane krwią. Czuł, że twardnieje. Od dawna nie był z kobietą, lecz widok Mai sprawiał, że miałby na nią ochotę nawet po godzinie od ostatniego razu.

Rzucił ciężki bojowy nóż na czerwoną od krwi, wewnętrzną część oprawianej skóry i wstał. Spojrzenie Mai ześliznęło się z jego twarzy. Patrzyła mu teraz między nogi, gdzie piętrzył się wyraźny wzgórek. Potem obróciła się i weszła do namiotu. Rock ruszył za nią, lekko przygięty z napięcia wywołanego erekcją. Oczekiwała go w półmroku, na klęczkach. Skinęła, by podszedł bliżej, po czym przesunęła rękami po piersiach. Rock rozpiął pasek, ona zrobiła resztę. Trzymała go czule w dłoniach.

Pochyliła głowę, lekko muskając kaskadą błyszczących włosów jego nagie biodra. Odczuł to niczym powiew skrzydła nocnego ptaka. Delikatnie dotknęła go końcem języka, posmakowała mocniej, w końcu chwyciła ustami.

Gdy ssła, Rock spod wpół przymkniętych powiek przypatrywał się jej policzkom. Nagle doznał olśnienia, zwanego na wyżynie Rubinem. Po ruchach i doświadczeniu, domyślił się, kim była. Wiedział, skąd przyszła i kto ją przysłał. Wiedział, co musi zrobić.

Wpiła się w niego niczym zgłodniała niewolnica. Jedną dłonią łagodnie ścisnęła mu mosznę, drugą wsunęła między uda, by sięgnąć aż do pośladków.

Rock schylił się i objął jej wąską talię. Powoli obrócił dziewczynę, aż jej piersi spoczęły mu na podbrzuszu, a biodra wsparły się na ramionach. Zadrżała, potem jęknęła, gdy wcisnął twarz w jej wilgotne łono.

Poczuł smak mango i przypraw korzennych. Pracował językiem do chwili, aż poczuł, że twardnieją jej biodra, aż przez całe ciało przechodzi spazm bólu zmieszanego z rozkoszą. Jeszcze raz.

Zassała mocniej i jękiem błagała, by w nią wszedł. Rock położył ją na podłodze namiotu i wtargnął w jej wnętrze. Nie poszło mu łatwo. Był duży, a Mai mała. Chwilę trwało, nim stopniowo się do niego dopasowała.

Rock zaczął mocnymi, długimi pchnięciami, za każdym razem czując, jak podrywała biodra w pozornym uniesieniu. Choć oczy zachodziły mu mgłą, nie przerywał kontaktu z *haragei*, świadom kłamstwa i zdrady, oplatających go niczym pajęczyna.

Poczuł, że dobija do końca, i głuchym pomrukiem dał to poznać dziewczynie. Poczuł, że

oderwała prawą rękę od jego spoconego ramienia. Kątem oka zobaczył jasny błysk igły, osadzonej w metalowym pierścieniu tkwiącym na palcu Mai. Koniec szpikulca był ciemny od mazistej trucizny.

Próbował złapać ją za nadgarstek, lecz albo źle ocenił jej zwinność, albo przeliczył się z siłami, dość, że uchwycił zbyt słabo i niemal w tej samej chwili strzelił nasieniem w głąb jej ciała. Zobaczył igłę, wygiętą niczym ogon skorpiona, zbliżającą się w stronę jego szyi i pojął, że za kilka sekund będzie już martwy.

Nieświadom tego, co robi, zasluchany jedynie w głos *haragei*, wbił łokieć w twarz Mai, z satysfakcją przyjął chrupnięcie pękających kości, poczuł ciepło miazdżonej tkanki i zapach krwi, intensywny jak woń rozkwitającej róży.

Potem pochwycił prawą rękę Mai, przytrzymał jej palec wskazujący i wbił zatrutą igłę w spłot słoneczny dziewczyny.

Następnego ranka bezczelnie wtargnął na terytorium generała Quana. W nocy spadł deszcz, a dzień był niezwykle gorący, co nie zdarzało się często na tych wysokościach. Rock spływał potem, nim dostrzegł pierwszy patrol generała.

Rzucił brzemień na trawę, oparł się o pień drzewa i w chłodnym cieniu zaczął przeżuwać kawałek suszonej ryby. Wypił nieco wody z manierki. Gdy skończył, rozpalił ognisko i zawiesił kociołek. Rozpakował bagaże, po czym przystąpił do gotowania.

Żołnierze Quana od razu spostrzegli wąską wstęgę dymu. Nadeszli z przygotowanymi do strzału kałasami. Pięciu, policzył Rock. Znakomicie. Zaczął pod nosem pogwizdywać stary przebój Doorsów *Light My Fire*.

Sięgnął po miotacz, załadował i czekał. Strzelił, gdy patrol znalazł się w polu rażenia. Trzech żołnierzy zniknęło w gorejącym płomieniu.

- Sprowadźcie generała Quana! - krzyknął w miejscowym narzeczu. - Powiedzcie, że Dzikus chce się z nim widzieć!

Dwóch ocalałych wojaków uciekło, a Rock siadł i znów czekał. Po godzinie wrócili z kimś bez wątplenia ważnym, gdyż szli nieco z tyłu, zachowując stosowną odległość.

- Kim jesteś - krzyknął dowódca - że żądasz od generała Quana, by opuścił swą kwaterę?

Rock wiedział, że chodzi o zachowanie twarzy. Wszystko w Azji wiązało się ze swoiście pojętym poczuciem honoru. Ten, który o tym zapomniał lub próbował to zlekceważyć, nie cieszył się długim życiem w tej części świata.

- Jestem Dzikus - odparł i uniósł miotacz. - Niczego nie żądam. Proszę o audiencję u generała. Znam zasady etyki. Żądać potrafią tylko barbarzyńcy.

Dowódca, choć już nieraz słyszał o Dzikusie, był pod wrażeniem tej przemowy.

- Generał może udzielić audiencji, jeśli dojdziemy do pewnych ustaleń - burknął. - Co z zadośćuczynieniem za trzech ludzi, których zabiłeś?
- Nieszczęśliwy wypadek. Sądziłem, że muszę się bronić.
- Generał Quan nie przyjmie takiej wymówki. Trzy rodziny będą głodować.
- Nie będą, bo zapłacę. - Rock doskonale znał zasady postępowania w podobnych przypadkach.
- Masz jakiś podarek dla generała?
- Owszem. Tylko barbarzyńca lub wariat szedłby z pustymi rękami do cesarza Shan.

- Nieco ułagodzony dowódca przyzwalając skinał dłonią. Rock starannie poskładał bagaż. Demonstracyjnie rozłożył miotacz i upchnął go do plecaka, by ludzie Quana pozbyli się wszelkich lęków. Dowódca ruszył przodem, dwaj żołnierze szli po bokach Rocka. Nie musiał się niczego obawiać z ich strony. Był teraz pod łaskawą protekcją generała. W razie zasadzki wszyscy trzej mieli obowiązek go bronić, nawet z narażeniem życia. Kwatera Quana była wypełniona uzbrojonymi ludźmi. Wyglądało na to, że na głównym placu zgromadzono wszystkich, którzy akurat byli pod ręką, by wejście Rocka zyskało odpowiednią oprawę. Ów prymitywny pokaz siły robił pewne wrażenie. Rock uznał to za dowód, że gospodarz traktuje go poważnie. Niezły początek. Generał Quan pojawił się na Shan pięć lat wcześniej i stworzył niewiarygodnie bogatą sieć nielegalnego handlu, dostarczając wszelakie dobra do swej zubożałej ojczyzny. Wiedział, że bardziej musi się obawiać chińskich handlarzy opium, którzy wówczas rządili wyżyną, niż nieudolnych ataków przeprowadzanych przez armię birmańską, jako że żaden policjant nie odważyłby się zapuścić w głąb dżungli. Dowódca patrolu wprowadził Rocka do wnętrza głównego budynku i odszedł. Quan wciąż się nie pokazywał. Rock siedział sam, żadna dziewczyna nie przyniosła mu nawet zwyczajowej czarki herbaty. Wietnamski generał z premedytacją podkreślał swą dominującą pozycję.

- Godzinę później pojawiła się młoda piękna kobieta. Nie patrząc na Rocka, przyklękła przed poczerniałym otworem w podłodze, gdzie mieściło się palenisko, zgarnęła suche wióry i rozpałała ogień. Starannie wsunęła w płomień trzy większe szczapy. Potem wyszła. Minęło kolejne pół godziny. Rock słyszał jedynie szczekanie psów i wydawane przez kogoś głośne rozkazy. Generał Quan wkroczył z całym ceremoniałem. Nosił bryczesy z garbowanej skóry, muślinową koszulę i amerykańską kurtkę lotniczą, ozdobioną na prawym rękawie emblematem Czternastej Eskadry Powietrznej. W odróżnieniu od innych magnatów Shanu nie obwieszał się biżuterią, z wyjątkiem naszyjnika z rubinów i szafirów, licznie występujących w kotlinach Birmy. Towarzyszyło mu dwóch strażników, uzbrojonych w pistolety maszynowe. Młoda kobieta wróciła, niosąc na łąkowej tacy żelazny imbryk i dwie gliniane czarki. Zawiesiła imbryk nad ogniem. Gdy woda zaczęła wrzeć, podała herbatę: gorącą, mocną i słodką, jak każda tradycja Tajów. Aromatyczny napój działał orzeźwiająco. Dzikus, który przez ostatnie pół roku nie pił dobrej herbaty, z lubością smakował każdy łyk.
- - Chciałem zapłacić rekompensatę za ów nieszczęsny incydent z dzisiejszego ranka - odezwał się w końcu. - Wina leży po mojej stronie i mam pewne zobowiązania wobec rodzin ofiar.
- Quan zastanawiał się chwilę. Dowódca patrolu zdał mu dokładny raport, lecz teraz sam mógł z zadowoleniem stwierdzić, że Rock zna obowiązujące zasady. Z drugiej strony, to że zamorski diabeł liznął nieco cywilizacji, nie znaczyło, iż można go zachować przy życiu.

Stanowił zbyt duże zagrożenie dla kraju Shan. Quan widział chciwość w oczach przybysza tak dobrze jak śluz na skórze ślimaka. Dzikus chciał zdobyć łyż maku - cóż zresztą innego mogłoby go sprowadzić aż tutaj, w rejon zamknięty decyzją birmańskiego rządu? Hmmm, nie posiada tak silnego *wa*, jak powiadają - myślał Quan, ukradkiem obserwując gościa znad krawędzi czarki. - Teraz, gdy przyszedł, mogę mu wreszcie odpłacić za wszystkie doznane upokorzenia. Potem każę go zakopać po szyję w ziemi, na pastwę mrówek i słońca. Jedyńm cieniem, przesłaniającym horyzont, była Mai. Gdzie się podziała? Dlaczego nie uśmierciła zamorskiego diabła? Być może nie znalazła odpowiedniego sposobu, by go uwieść. Później jednak w umyśle Quana pojawiła się inna myśl, ohydna i czarna jak gówno. A jeśli coś jej się stało? Może leży ranna gdzieś w dżungli lub znów została porwana przez wrogów? Poczł nagły ból w łądźwiach. Nie wyobrażał sobie życia bez Mai. Traktował ją jak talizman: w jej obecności zaznawał samych rozkoszy. Z uśmiechem spojrzł na Rocka.

- - Jeszcze herbaty? Amerykanin pokiwał głową.
- - Cenię pańską uprzejmość - odparł z lekkim ukłónem. - Nie zasługuję na takie względy.
- Spod oka spojrzł na krząającą się przy naczyniach dziewczynę. Ciekawe, czy była siostrą Mai. To, że Mai należała do Quana, nie budziło najmniejszych wątpliwości. W czasie wieloletnich kontaktów z plemionami Wa, Lu i Lisu, słyszał niejednokrotnie, iż Mai potrafiła, jak określali to Chińczycy „sprowadzić chmury i deszcz”, czyli wywołać niezwykły orgazm u swego partnera. Rock niezbyt wierzył plotkom, gdyż znał skłonności Azjatów do przesady, zwłaszcza jeśli informacja nie pochodziła z pierwszej ręki. Zmienił zdanie, gdy poczuł usta dziewczyny na swej skórze. Rubin z niezwykłą siłą zapewnił go, że to prawda. - Prócz głów szczyzny dla rodzin pogrązonych w żałobie mam jeszcze specjalny prezent dla generała - oznajmił Rock po wypiciu drugiej czarki herbaty. Zaczł rozpakowywać bagaże. Strażnicy Quana natychmiast wycelowali w niego lufy pistoletów.
- - Żarcie! - zawołał ze śmiechem, po czym wrzucił mięso wraz z sosem do kociołka i zawiesił naczynie nad ogniem. - Posiłek godny bogów!
- Generał z nieufnością obserwował jego ruchy.
- - Znoszono mi już rubiny, szafiry, nefryty i złoto. Nikt dotąd nie oferował mi jedzenia.
- Mimo wszystko był ukontentowany. Lubił dobrze podjeść, o czym Rock wiedział od swoich informatorów. Dzikus zamieszał potrawę, nałożył solidną porcję i postawił miskę przed gospodarzem. Quan wciągnął głęboko przesycone parą powietrze.
- - Smakowicie pachnie.
- Skinął na jednego ze strażników, który przerzucił automat przez plecy, przykucnął przy misce, zanurzył palce w potrawie i przełknął kilka kęsów. Generał patrzył wyczekująco w jego stronę. W końcu żołnierz beknął, skłónił się i podał naczynie zwierzchnikowi. Nikt się nie pokwapił, by przeprosić gościa za brak manier, zresztą Rock tego nie oczekiwał. Quan wziął do ręki parę złotych pałeczek, inkrustowanych rubinami i szafirami, uniósł miskę pod brodę i zaczął pochłaniać potrawę. Pracował niczym monstrualna maszyna; nawet Dzikus był pod wrażeniem jego możliwości. Przerwał tylko na chwilę, by mruknąć:
- Smakuje lepiej niż przypuszczałem.
- Jest pan niezwykle łaskaw - odparł Rock z ponownym ukłónem. Wyciągnął rękę. - Proszę pozwolić na małą dokładkę. - Zacerpnął mięsa z samego dna kociołka i oddał wypełnioną po brzegi miskę generałowi.

- Quan bez wytchnienia machał pałeczkami.
- - Słyszałem, iż pańska znajomość kobiet dorównuje upodobaniom kulinarnym - odezwał się Rock, po czym spojrzał w stronę dziewczyny. - Teraz wiem że to prawda.
- Generał z lubością przymknął małe oczka i nie odrywał się od jedzenia.
- Słyszałem także - ciągnął Rock - że prawdziwym klejnotem wśród pańskich zdobyczy jest dziewczyna imieniem Mai. Ma ją pan tutaj? Mógłby ją pan pokazać?
- Um. - Pałeczki na chwilę zawisły w powietrzu.
- Nie? Szkoda - uśmiechnął się Dzikus. - Cóż, chyba rozumiem pańskie opory. Trudno się dzielić widokiem skarbu nawet z najbardziej oczekiwanym gościem.
- Um.
- Rock wzruszył ramionami.
- - Kto wie, może Mai nie jest znów tak daleko, jak się nam wszystkim zdaje.
- Quan właśnie kończył ucztę. Twarz miał błyszczącą od potu i tłuszczu. Łypnął oczami w stronę Rocka.
- - Co to za bzdury?
- Zjadł pan już wszystko? Do dna miski? Quan pogmerał w zawieszistym sosie.
- Jeszcze jeden kawałek mięsa.
- Uniósł pałeczki do ust, lecz coś przyciągnęło jego uwagę. Odsunął rękę, by lepiej widzieć i strząsnął sos na ziemię. Zobaczył błysk wspaniałego szafiru. Aaaa... cudzoziemski diabeł jest bardzo sprytny - pomyślał. Przemysłnie ukrył prawdziwy prezent. Chwilę później rozwarł szeroko oczy i zaczął wymiotować. Wszystko, co zjadł dotychczas, szeroką strugą spłynęło po podłodze. Szafir zwisał z ludzkiego ucha. To było ucho jego ukochanej Mai.

- **KSIĘGA PIERWSZA** *Mroczne legendy* *Zawsze znajdą się Eskimosi, którzy wypracują dla mieszkańców Konga Belgijskiego wskazówki zachowywania się w czas olbrzymich upałów.* STANISŁAW JERZY LEC

• **1SAJGON / TOKIO**

- Nicholas Linneer czekał na swego człowieka. Dla zabicia czasu popijał ciepłe piwo i obserwował dużego jak kciuk karalucha, dostojnie, niczym shogun, wędrującego po zaśmieconej podłodze. Siedział na trzecim piętrze hotelu Anh Dan, w pomieszczeniu, które jedynie z nazwy przypominało pokój. Nędzne światło, padające z niczym nie osłoniętej czterdziestowatowej żarówki, wydobywało z półmroku popękane i przeżarte wilgocią ściany, pokryte wyblakłą, łuszczącą się farbą. Lampę dawało się zapalić tylko wtedy, gdy był prąd (co nie zdarzało się zbyt często), za pomocą zetknięcia dwóch drutów, wystających z muru w miejscu, gdzie powinien znajdować się kontakt. W całym hotelu śmierdziało nieczystościami i zastałym seksem, a przez okno dobiegał zgiełk zatłoczonej ulicy. Po Nguyen Trai dniem i nocą kręcili się podejrzani osobnicy. Taki był Sajgon, a w szczególności Szolon, dokąd wcześniej czy później ściągaly wszelkie męty. Nicholas odwrócił głowę. Obok siedział Jisaku Shindo, japoński detektyw wynajęty przez Tanzana Nangiego do wyjaśnienia zagadkowej śmierci Vincenta Tina, byłego dyrektora wietnamskiej filii Sato International, potężnego koncernu, którego

właścicielami byli Linnear i Nangi.

- Myślisz, że przyjdzie?
- Tak twierdził kumpel mojego znajomego - ostry głos detektywa zawibrował w wilgotnym powietrzu.
- Nicholas wrócił myślami do Tinha. Sprytny Wietnamczyk działał na własny rachunek. Perfidnie wykorzystał posadę w Sato International, by skraść i sprzedać supertajny „Projekt Chi”, który wywołał prawdziwą rewolucję w świecie elektroniki. Prowadzony pod osobistym nadzorem Linneara, „Projekt Chi” przewidywał budowę nowej generacji komputerów, nieporównywalnych z żadnym innym modelem dostępnym dotychczas na rynku. Pierwszy chi, skonstruowany w oparciu o mikroprocesor neuronowy, przetwarzał dostępne informacje w sposób zbliżony do funkcjonowania ludzkiego mózgu. Jak większość przestępców - nawet wysokiej klasy - Tinha zgubiła własną chciwość. Do skradzionego projektu próbował dopasować elementy nowego
- amerykańskiego komputera marki „Hive (także wykorzystującego sieć neuronową) i stworzył w Sajgonie dziwną hybrydę, chętnie kupowaną przez chłonny, choć półlegalny „szary” rynek Południowo-Wschodniej Azji. Głównie z powodu Tinha, firma Tomkin-Sato - a w szczególności Nicholas - została postawiona przez Amerykanów w stan oskarżenia pod zarzutem kradzieży, nielegalnej produkcji oraz szpiegostwa wiodącego do zdrady. Linnear, który osobiście zatrudnił Wietnamczyka, poczuwał się do zawodowej i moralnej odpowiedzialności i zamierzał do końca ocenić rozmiar szkód spowodowanych sabotażem. Z rosnącym niepokojem wysłuchiwał sprawozdania, jakie przedstawił mu Shindo. Wiele wskazywało na to, że Tinh nie był jedyną przyczyną niedawnych kłopotów Sato International. Kto, na przykład, skonstruował hybrydę chi-hive? Tinh nie miał wystarczającej wiedzy i doświadczenia, by pokusić się o tak zuchwały akt wiary w możliwości elektroniki. Prawdę mówiąc, połączenie dwóch całkiem odmiennych, choć wykorzystujących podobną zasadę działania urządzeń cybernetycznych, przekraczało umiejętności niejednego inżyniera. Był jeszcze legion hackerów, zdolnych przeniknąć w głąb każdego istniejącego systemu, lecz budowa nowego komputera wymagała ogromnego talentu, wiedzy teoretycznej i wyczucia. Komu Vincent Tinh mógł powierzyć tak odpowiedzialne zadanie? Pozostawała także zagadka jego śmierci. Główny inspektor Hang Van Kiet z sajgońskiej policji twierdził, że Tinh zginął w chwili, gdy wtargnął na teren obcej posiadłości. Chodziło o zapomniany magazyn w północnej części miasta, gdzie składowano kwas siarkowy, sól, benzynę, sodę oczyszczoną i nadmanganian potasu. Innymi słowy, chodziło o fabrykę narkotyków. Nicholas wiedział, że Van Kiet kłamie. W zeszłym tygodniu Shindo spotkał się z inspektorem. Van Kiet, szczupły Wietnamczyk o chytrej twarzy, żółtych oczach i zębach rzeźmieszka z zapadłej dzielnicy, uparcie obstawał przy wersji, że śmierć Tinha była dziełem przypadku. Gdy Shindo próbował go przycisnąć, warknął groźnie, że skoro chodzi o wtargnięcie, lepiej zostawić całą sprawę w spokoju. Detektyw rozsądnie nie wspomniał, że kumpel jego znajomego dostarczył mu opis autopsji, z którego wynikało, iż Tinh owszem, utonął w kwasie siarkowym, lecz prócz tego koroner wydobył z jego ciała dwadzieścia pięć kul dużego kalibru, bez wątpliwości pochodzących z karabinu maszynowego. Doszedł do wniosku, że Van Kiet nie powinien wiedzieć, iż wspomniany raport opuścił mury kostnicy. Błyskawicznie

ocenił inspektora - była to umiejętność niezbędna w jego zawodzie - i oświadczył Nicholasowi, że jego zdaniem Van Kiet znacznie więcej wie o śmierci Tinha, niż chce powiedzieć. Wspomnił także, iż dał mu wyraźnie do zrozumienia, że każda rzeczowa informacja zostanie opłacona okrągłą sumą w amerykańskiej walucie. Reakcja Van Kieta była zaskakująca. Ze ściągniętą twarzą bezzwłocznie zakończył spotkanie, co w Wietnamie na ogół uchodziło za dużą niegrzeczność.

- Nie wróżyło to nic dobrego. Nasuwały się podejrzenia, że główny inspektor drży o własną skórę. W dzisiejszym Sajgonie prawo nie miało najmniejszego znaczenia - a przynajmniej nie takie, jakie nadawała mu cywilizacja. Miasto - które traktował jak oddzielne państwo - od tak dawna uzależniło się od psów wojny, że jego obecna struktura wciąż stanowiła pochodną zbrojnego konfliktu. Administrację rządową zastąpiono formą anarchii. Policja nie miała takich wpływów jak wojsko, armia z kolei ustępowała ciemnym, złowrogim siłom, kłębiącym się na marginesie społeczeństwa - ukrytym, lecz obdarzonym znacznie większą mocą. Prawdziwa władza spoczywała w rękach ludzi od dzieciństwa dorastających w cieniu walk prowadzonych gdy Wietnam borykał się z najazdami Mongołów, Khmerów, Francuzów, Chińczyków, Rosjan i Amerykanów. Tu wreszcie dotarła wojna, która niczym ogromny wąż, przelewający błyszczące cielsko, z wolna zmieniała swe kształty, aż w końcu przyjęła formę psychodelicznego happeningu: absurdalnej mieszaniny napalmu, środków psychotropowych, masowych dostaw broni i amunicji, głośnego rock'n'rolla, obfitości śmiertelnych maszyn, nagłego bogactwa, powszechnej depresji, nienawiści, lęku i brawury. Mówiąc krótko, było to ostateczne starcie między propagandowym ludobójstwem i animistyczną śmiercią, przyczajoną w mrokach nocy. Każdy urzędnik w Wietnamie brał łapówki; traktowano to jako coś normalnego. Van Kiet odmówił. Dlaczego? Strach był jedynym uczuciem wystarczająco silnym, by przemoc chciwość. Zawsze istniała obawa, że któryś ze skorumpowanych oficjeli szarpnie za odpowiednie sznurki i zmusi szefa sajgońskiej policji, by tańczył, jak mu zagrają. To prowadziło śledztwo na nowe i niebezpieczne tory i było powodem przyjazdu Nicholasa, choć Shindo wolał działać na własną rękę. Detektyw palił papierosa, nie patrząc na Linneara. Był szczupłym, niezbyt wysokim mężczyzną o starej, wyschniętej twarzy. Nawet po dłuższym obcowaniu z nim łatwo zapominało się jak wyglądał, gdyż jego rysy nie posiadały żadnej charakterystycznej cechy. Uważał, że to pomaga mu w pracy; inni musieli działać z ukrycia. Nosił białą koszulę, szare spodnie i ciemny, pozbawiony wzoru krawat, tak cienki jak ostrze noża. Nicholas sącył piwo i spoglądał na karalucha, który lepiej niż on pasował do tego grobu zagubionego w głębi Trzeciego Świata. Słabe światło deformowało blade pancerz owada. Linnear przypatrywał mu się z uwagą, jakby chciał zgłębić trudną sztukę przetrwania w dusznej miejskiej dżungli. Rzadko bywał w Sajgonie, w przeciwieństwie do detektywa, który dość często odwiedzał te strony i miał wielu informatorów, pomocników i przyjaciół wśród Wietnamczyków. Zza ściany, z przyległego pokoju, dobiegało rytmiczne skrzypienie łóżka, zwierzęce pomruki i plaśnięcia towarzyszące pośpiesznemu spółkowaniu. Shindo wyciągnął pistolet z kabury zawieszanej na plecach na wysokości pasa. Wojskowa czterdziestkapiątka produkcji amerykańskiej, mniej więcej dziewięćcioletnia. Musiała kosztować majątek, lecz miał rację, że wolał nie ryzykować, kupując o wiele tańszą broń przemycaną z Rosji lub Chin i dostępną w każdym zaułku Szolonu.

- Kupiłem ci gnata - burknął do Linneara. - Umiesz strzelać?

- Umiem, ale nigdy nie używam broni palnej.
- Shindo zamruczał coś pod nosem, zdusił obcasem niedopałek i zapalił następnego papierosa.
- - Tu za oknami jest Sajgon, nie Japonia. Ze wszystkich stron coś grozi. Nawet dziecko w pieluchach nosi pistolet. - Mówił z wyraźną niechęcią. - Co zrobisz, gdy ktoś w ciebie wyceluje?
- Nicholas należał do klanu ninja, lecz był także tanjianinem, spadkobiercą synkretycznej „sztuki umysłu”, starszej niż jakikolwiek styl walki. Podstawą Tau-tau było *koków*, membrana wszelkiego życia. Tak jak w fizyce jądro atomu stawało się źródłem kinezy - nie tylko istot ludzkich, lecz także światła, ciepła i dźwięku - tak wibrowanie *koków* powodowało przyływ energii psychicznej. Myśl przekształcona w akcję legła u podstaw treningu tanjianina. Akshara i Kshira, Droga Światła i Ścieżka Ciemności, stanowiły główny wykładnik filozofii Tau-tau. Nicholas zgłębił tajniki Akshary, lecz jego *sensei*, Kansatsu, przemycił w głąb jego jaźni niektóre prawidła mroku. Byli i tacy, co wierzyli, iż zdyscyplinowany umysł może utrzymać we władzy Aksharę i Kshirę, lecz w ciągu minionych wieków ciemność zawsze okazywała się zbyt silna i z wolna zatruwała dusze tych, którzy usiłowali ją ujarzmić, dominowała nad ich nieświadomym jestestwem, także z tego powodu rzadko bywała przekazywana. Gdy Nicholas lepiej poznał prawidła Akshary, zaczął rozumieć Kshirę. Pojął, że Droga Światła zawierała liczne luki i wysnuł wniosek, iż u zarania dziejów istniała tylko jedna, potężniejsza nad wszystko sztuka Tau-tau. Gdzieś po drodze zgubiono zdolność pojmowania Kshiry. Przez niezliczone stulecia adepci Tau-tau poszukiwali Shuken, Władzy. Shuken stanowiło nierozzerwalną całość; tu w pełni łączyły się Akshara i Kshira. Bez klucza, jakim jest Shuken, ci, którzy próbowali wędrować obiema ścieżkami Tau-tau, ginęli zniszczeni przez stronę mroku. Tu też Kansatsu spotkał swe przeznaczenie, wchłonięty przez zło roztaczane przez Kshirę. Czy chciał, by podobny los stał się udziałem Nicholasa? Bez wątpienia zaszczerpił w jego umyśle bombę zegarową, która miała posłużyć do totalnej destrukcji. Może właśnie dlatego Linnear desperacko próbował odkryć sekret Shuken. Ulotny cel okazał się zbyt trudny do zdobycia. Droga do Shuken wiodła jedynie przez *koryoku*, Moc Oświecenia. Nicholas miał powody przypuszczać, że Mikio Okami osiągnął *koryoku* i w ten sposób zyskał władzę nad wszystkimi oyabunami klanów yakuza. To było też główną przyczyną, iż chciał odszukać starego gangstera. Tylko on mógł mu przekazać Moc Oświecenia, a tym samym otworzyć drogę do Shuken.
- - Odłóż pistolet. Masz teraz inne zmartwienia - powiedział do detektywa, nie zwracając uwagi na jego kwaśną minę.
- Shindo od niedopałka przypalił kolejnego papierosa. Z tej odległości wyglądał jak posąg Buddy. Pistolet zniknął, jakby go nigdy nie było. Stary wyga z dużą zręcznością operował bronią.
- - Znałeś tu kogoś podczas wojny? - spytał Nicholas, by przełamać jego nieufność.
- Shindo zerknął na niego przez chmurę dymu. Nonszalancko oparł się o śliską ścianę niczym alfons w burdelu.
- Znałem... po obu stronach. - Zaciągnął się, po czym ze świstem wydmuchnął dym. - Pewnie jesteś zdziwiony.
- Nie bardzo. W twoim zawodzie...

- Teraz masz prawdziwy powód, by mi nie ufać.
- Więc o to chodziło. Shindo uważał przyjazd Linneara za dowód nieufności ze strony mocodawców.
- - Gdyby tak było, natychmiast anulowałbym naszą umowę - odparł Nicholas. Shindo oderwał ramię od ściany, jakby nagle coś wzbudziło jego zainteresowanie.- Powiedz mi szczerze, co wiesz o wojnie? Nicholas zastanawiał się przez chwilę.
- - Sporo pisano o jej destrukcyjnym wpływie na świadomość Amerykanów, lecz zdaje mi się, że chodzi o coś jeszcze gorszego, coś, o czym większość ludzi boi się nawet wspominać. Dzieciakom pochodzącym z zapadłych dzielnic lub niemal wymarłych prowincjonalnych miasteczek wręczono śmiertelność broń i zezwolono, by używali jej bez ograniczeń. Uczono ich obsługi pistoletów maszynowych, ręcznych wyrzutni rakiet, miotaczy ognia i przez cały czas zapewniano, że trzeba zabijać. Wielu zostało zarażonych wojną, a to gorszy nałóg niż haszysz czy heroina. To przerabianie umysłu. Myślisz, że można było tego uniknąć? Nie. Każdy z nich trafił do świata, gdzie nie istniało pojęcie prawa i gdzie był panem życia i śmierci.
- Shindo spoglądał na niego, mrużąc oczy przed dymem i wspomnieniami.
- - Tak - mruknął po pewnym czasie. - Tak było.
- Para za ścianą skończyła miłosne igraszki i przez otwarte okno do uszu Nicholasa dobiegły słowa smętnej piosenki, zawodzonej po wietnamsku z wyraźnym francuskim akcentem przez jakąś knajpianą śpiewaczkę. Była w niej mowa o samotności rozdartej duszy. Sentymalny smutek, wyrażany perwersyjnie uwodzicielskim głosem, doskonale pasował do Sajgonu. Nicholas zauważył domieszkę nostalgii w reakcji detektywa i chciał się dowiedzieć czegoś więcej.
- Łączą cię z wojną osobiste przeżycia. Shindo przeszedł na drugi koniec pokoju.
- Miałem kochankę. Kiedyś był żołnierzem. Chłopakiem, który tu służył.
- I ocalał.
- - W pewnym sensie. - Shindo popatrzył na rozżarzony koniec papierosa. Śpiew przeszedł w crescendo i zawirował po pokoju, zataczając widmowe kręgi. - I tak stracił ochotę do życia. Nie potrafił. Tkwiący w nim upiór wojny zaczął go zżerać od środka.
- Dziwne - pomyślał Nicholas - iż czasem zdarzają się chwile, gdy zaczynasz się zwierzać przed całkiem obcym facetem.
- Co z nim się stało?
- To, co nieuniknione. - Shindo wyglądał jak rzeźba wycięta z wilgotnej ciemności. Tu było jego miejsce. Nie w Tokio. - Najśmieszniejsze, że ludzie, którzy toczyli wojnę, musieli walczyć po obu stronach frontu, gdyż tak naprawdę nie było między nimi żadnej różnicy. Uważali obłąd za stan normalny, za istniejącą rzeczywistość i pogrążali się tak głęboko, iż w końcu nie znajdowali ucieczki. Śnili o wojnie: przyciągała ich niczym płomień, karmiła najniższe instynkty, grzebała ludzkie odruchy pod wszechobecną żądzą mordy. Nikt nie chciał, by dobiegła końca. - Oderwał wzrok od małego ognika i spojrzał na Nicholasa. - Co się z nim stało?

Zabiłem go w sposób, o jaki mnie prosił.

- Kontralt wyśpiewywał ostatnie strofy, lecz słowa nagle zniknęły, zagłuszone zmysłowymi jękami z sąsiedniego pokoju. Hałas był znacznie głośniejszy niż przedtem i Nicholas miał nieodparte wrażenie, iż tym razem mężczyzna docisnął partnerkę do ściany. Jeśli nie będą uważać, mogą dotknąć sterczących spod tynku drutów i zginać, jak pewien facet wraz z dziwką dziś rano, o czym z lubością napomknął obleśny portier. Seks i śmierć, zawsze bliskie sobie, w Sajgonie zdawały się nierozłączne. Karaluch, w przeciwieństwie do Linneara, nie miał powodów do zmartwień. Na pewno nie zrozumiał opowiadania Japończyka. Podłoga wibrowała w rytm odwiecznego rytuału, a Nicholas poczuł rozgrzaną woń kobiecości. Przeszedł w kąt pokoju, z dala od dygoczącej ściany i z dala od okna, gdzie jego europejskie rysy byłyby tak doskonale widoczne, jak na oprawnym w ramę portrecie.
- Powinien wkrótce być, jeśli w ogóle przyjdzie - mruknął. - Czas chyba, żebyś zniknął.
- W dalszym ciągu uważam, że popełnisz błąd, jeśli spotkasz się z nim w pojedynkę. Nic o nim nie wiemy.
- Tylko ja znam zalety i wady neuronowego mikrochipu. Jeśli zacznie coś podejrzewać i zada ci jakieś pytanie, zginiemy obaj.
- Możemy...
- Nie. Żądał spotkania w cztery oczy. Na jego miejscu zabrałbym się natychmiast na widok dwóch gości.
- Z miejsca gdzie stał, widział wyraźnie fragment ulicy. Cykle, czyli trójkołowe riksze o napędzie pedałowym, lawirowały wśród starych radzieckich ciężarówek, plujących kłębamii dymu z silników diesla. Po obu stronach większych pojazdów ciągnął się nieprzerwany sznur rowerzystów. Czasem przemknęła tak zwana „małżeńska taksówka” w postaci rozklekotanej amerykańskiej limuzyny z lat pięćdziesiątych lub sześćdziesiątych, wyglądającej niczym statek kosmiczny i szerokiej jak łajba. Uliczni oberwańcy zabawiali się w okradanie naiwnych biznesmenów, którzy za dnia brali udział w hucznym otwarciu jakiejś nowej fabryki lub firmy w dynamicznie przebudowywanym centrum Sajgonu, a nocą szukali cielesnych uciech w zaułkach Szolonu. Tu przeszedł żołnierz w mundurze koloru khaki, tam mnich buddyjski w szafranowej szacie lub skąpo ubrana prostytutka, jakiś kaleka lub ułomny. Zwłaszcza tych ostatnich nigdy nie brakowało w Wietnamie. Starsi nosili ślady wojny, dzieci rodziły się zniekształcone działaniem toksycznych defoliantów, takich jak agent orange. W ciągu ostatnich kilku miesięcy Nicholas często wracał pamięcią do spotkania z Mikio Okamim. Okami był tajemniczym kaisho - zwierzchnikiem wszystkich oyabunów, czyli przywódców klanów yakuza. W latach czterdziestych, podczas amerykańskiej okupacji Japonii, łączyła go szczerą przyjaźń z pułkownikiem Denisem Linnearem. Nicholas przyrzekł ojcu, że w razie konieczności udzieli Okamiemu wszelkiej pomocy. Taka chwila nadeszła. Okami od dłuższego czasu toczył zażarty spór z członkami swej rady, lecz do zasadniczego rozłamu doszło w momencie, gdy związał się z Dominikiem Goldonim. Rada była jedynie częścią szeroko zakrojonego planu. Okami stworzył Godaishu - Pięć Kontynentów - grupę dobraną ze starannie wyselekcjonowanych członków yakuza, japońskiego rządu, mafii oraz amerykańskiej administracji, którzy działali w ramach czegoś, co można było określić jedynie mianem ponadnarodowego koncernu przestępczego, czerpiącego profity z handlu bronią, jak również z prowadzenia całkiem legalnych interesów.

Gdy wpływy wzrosły, część rady zaczęła optować za rozszerzeniem działalności na inne, ciemniejsze obszary, na przykład przemysł narkotyków. Okami i Goldoni nie popierali tych dążeń i po cichu zawiązali własny sojusz. Padli ofiarą zdrady: Goldoni został brutalnie zamordowany, a Okami, ukryty w kwaterze w Wenecji, wezwał na pomoc Nicholasa. We Włoszech Linnear zawarł znajomość z siostrą Dominika, Celeste, która go także prosiła o wsparcie dla dążeń starego kaisho. W końcu Okami cudem uniknął śmierci, lecz został zmuszony do ucieczki. Kiedy Nicholas wyjechał do Wietnamu, jego serdeczny przyjaciel, były detektyw nowojorskiego wydziału zabójstw, Lew Croaker, wciąż śledził drugą z sióstr Goldoniego, Margaritę, w nadziei, że poprzez tajemniczego łącznika, określanego pseudonimem Nishiki, dotrze do Okamiego. Margaritę, która przejęła schedę po zmarłym bracie, musiała wcześniej czy później nawiązać kontakt z Nishikim, gdyż tylko on mógł przekazać jej cenne informacje o paru wpływowych politykach i przemysłowcach, czyli to, co wywindowało rodzinę Goldonich na sam szczyt przestępczego podziemia Ameryki. Nicholas szczerze współczuł Croakerowi. Na pewno było mu ciężko trzymać się z daleka od ukochanej kobiety, a jednocześnie ukradkiem śledzić jej poczynania. Linnear mógł się tylko domyślać, jaką rozterkę przeżywał jego przyjaciel, choć obaj zgodnie uznali, że nie ma innego wyjścia, by sprawę doprowadzić do końca. Wierzył, że Okami działa z premedytacją. Stary gangster zostawił wyraźny ślad, prowadzący do spółki Avalon i Nishikiego. Po co? Linnear początkowo sądził, że chodziło o ujawnienie przestępczej działalności Tinha. Teraz zrozumiał, że Wietnamczyk był tylko maleńkim fragmentem olbrzymiej układanki. Znow zaczął się zastanawiać, z kim łączyły go interesy. Zwłoki Tinha zostały odebrane z kostnicy przez rzekomego brata. W rzeczywistości Vincent nie miał rodziny, a domniemany brat okazał się członkiem klanu yakuza. Może został przysłany przez k - ś z najbliższego otoczenia kaisho?

- Jeszcze dziwniejsza była działalność firmy Avalon, prowadzącej na szeroką skalę nielegalny handel bronią. W obwarowanej różnymi zabezpieczeniami bazie danych Nicholas znalazł kryptonim „Torch 315”. Croaker podejrzewał, że „Torch” może oznaczać nowy typ broni, a „315” datę, na przykład piętnasty marca. Choć nie mieli na to żadnych dowodów, fakt, iż Okami skierował ich uwagę na Avalon, dawał powody do myślenia. Kaisho usiłował zmusić Nicholasa do wyeliminowania osób odpowiedzialnych za próbę zamachu na jego życie. Ślad prowadził tu, do Sajgonu, gdzie jakiś yakuza odszukał ciało Vincenta Tinha, przedstawił się jako brat zamordowanego i wspominał, że jest pracownikiem Avalonu. Dlaczego podał nazwę firmy? Dlaczego właśnie tej? Czyżby kaisho próbował dokonać kolejnej manipulacji? Dla Nicholasa było to dodatkowym powodem podjęcia decyzji o wyjeździe do Wietnamu. Nie potrafił oprzeć się podejrzeniom, że Okami, demaskując działalność Avalonu, chciał jednocześnie ujawnić tajemnicę „Torch 315”. Niezwykle ważny element czekającej na rozwiązanie łamigłówki. Nicholas dostrzegł jakąś postać idącą przez Nguyen Trai w stronę hotelu. Odstawił butelkę, machinalnie spojrzął na zegarek i odwrócił głowę od okna. Północ. - Nie mamy czasu na sprzeczki. Znikaj, Shindo. Natychmiast. Koniec czekania. Naohiro Ushiba z niewymuszoną swobodą przyjmował wszystkie światła, kamery i pytania, które stały się nieodłączną częścią jego ministerialnej kariery od dziewięćdziesiątego drugiego roku, kiedy to fala skandali rozdarła ciasne więzy łączące japońską politykę, ekonomię i gospodarkę. Ushiba był daijinem, szefem wszechpotężnego Ministerstwa Przemysłu i Handlu Zagranicznego. Działalność MITI wydzwignęła Japonię z powojennej zapaści i stworzyła podwaliny cudu gospodarczego. Tam zapadały decyzje, która z gałęzi przemysłu przyniesie największe korzyści

dla kraju, tam też ustalano pożyczki, rabaty oraz zwolnienia podatkowe, aby skłonić największe koncerny, *keiretsu*, do przestawienia działalności na nowe tory. Teraz niemal co tydzień ujawniano nową aferę, a finansowa potęga Japonii trzeszczała w szwach. Ostatni skandal wywołał bolesne przetasowania w układzie sił politycznych. Przez ostatnie trzydzieści dziewięć lat, od chwili utworzenia japońskiej Partii Liberalno-Demokratycznej, świat uległ wyraźnym przemianom. Dawniej program partii stanowił o przyszłości kraju - inną możliwością był tylko rząd komunistów lub socjalistów. Kolejni premierzy działali ręką w rękę z szefostwem MITI, przekształcając Japonię w gospodarczego kolosa. Niestety, dufność we własne siły doprowadziła do marazmu i postępującej korupcji. Podczas poprzednich wyborów partia została rzucona na kolana. Być może - myślał Ushiba - przyszła ku temu odpowiednia pora. Konsekwencje były nieuniknione: MITI znalazło się pod prężierzem opinii publicznej. Dwaj ministrowie zostali oskarżeni o machinacje z programem komputerowym i udzielenie kilkunastu przedsiębiorstwom niczym nie uzasadnionych kredytów. Ushiba, od początku grający rolę „Jedynego sprawiedliwego” w morzu afer i kontrowersji, natychmiast dymisjonował obu winowajców. Nawet krytycznie nastawiona część prasy musiała przyznać, że działał szybko i bez skrupułów. Mimo to nad ministerstwem wciąż gromadziły się chmury, a w gazetach i czasopismach przybywało zjadliwych artykułów. Każde zadane dzisiaj pytanie było kłopotliwe.

- Jak wyjaśni pan udział MITI w sztucznie podsycanej koniunkturze na handel nieruchomościami w latach osiemdziesiątych, co w rezultacie doprowadziło do załamania gospodarki i bankructwa przedsiębiorstw finansowych? - zawołał jakiś reporter.
- Zanim pomysł wszedł w życie, był odpowiednio nagłośniony i przebadany we wszystkich możliwych aspektach - łagodnie odparł Ushiba. - W latach osiemdziesiątych, przy niezwykle mocnym kursie jena, pieniądź zaczął uciekać za granicę. Podwyżka cen nieruchomości miała zachęcić rodzimy kapitał do szerszego inwestowania w kraju.
- Co pan może powiedzieć na temat najnowszych pogłosek o związkach yakuza z polityką ekonomiczną? - spytał ktoś inny. - Kim jest Akira Chosa, o którym chodzą słuchy, że zamierza zasiąść na stołku zajmowanym dotychczas przez Okamiego?
- Ushiba chrząknął. Miał smukłe, muskularne ciało i delikatne, niemal kobiece rysy. W odróżnieniu od kultur Zachodu historia Japonii aprobowała postacie podobnych mu bohaterów, zwanych *bishonen*, adonisów wiernie służących swym starszym protektorom.
- - Podejrzewam, iż większość z państwa doskonale się orientuje, że Akira Chosa jest oyabunem Kokorogurushii. Nazwa klanu zawiera domieszkę ironii i doskonale pasuje do patetycznej mentalności yakuza. „Kokorogurushii” znaczy „bolesny”. Słowo „yakuza” jest synonimem przegranej w kartach; we wszystkich nazwach używanych przez klany przewija się wątek cierpienia, pojmowany jako swoista pokuta za życie na bakier z prawem.
- Ushiba potoczył wzrokiem po sali, jego głębokie ciemne oczy połyskiwały w świetle reflektorów.
- To powiedziawszy, chciałbym stwierdzić, że ostatnio aktywność yakuza wyraźnie wzrosła. Odkryliśmy wiele nagannych powiązań między niektórymi członkami klanów a wysoko postawionymi urzędnikami i przedstawicielami biznesu. Chosa rzeczywiście próbował wysunąć pazury, lecz mogę państwa zapewnić, że ministerstwo podjęło ścisłą współpracę z tokijską

prokuratūrą i zamierzamy raz na zawsze ukrócić podobne, paralegalne praktyki. - Pochylił się nad mównicą, by następne słowa zabrzmiały jeszcze dobitniej. - Chosa jest jednym z oyabunów zatruwających krew Japonii. Musimy czym prędzej podjąć skuteczną kurację.

- Mógłby nam pan powiedzieć, co właściwie zostało zrobione? - rozległ się trzeci głos. - bez udziału yakuza japońska ekonomia jest w stanie zapaści.
-
- - Całkowicie się z panem zgadzam - odparł Ushiba. - Zapewniam raz jeszcze, że ministerstwo podjęło ostrą walkę z przejawami korupcji. Za wszelką cenę musimy odzyskać społeczne zaufanie do naszej polityki. Chyba nikomu nie trzeba przypominać, że w ciągu minionych dziesięcioleci MITI z czujnością psa strzegło zdumiewającego rozwoju japońskiej gospodarki, choć czasem był to proces bolesny i wielce złożony. Nikt z nas nie zapomniał o obowiązkach. Obecną sytuację traktujemy jako swoiste przedłużenie mandatu. Mogę obiecać, że dołożymy wszelkich starań, aby ochronić żywotne interesy społeczeństwa.
- Odczytał imponujący, gęsto nafaszerowany statystyką raport, w którym zostały wymienione wszystkie ostatnio ujawnione oraz objęte śledztwem przypadki korupcji, udzielił odpowiedzi jeszcze na parę pytań, po czym przekazał mikrofon w ręce zwalistego mężczyzny o posępnej twarzy. Tanaka Gin, jeden z najbardziej renomowanych pracowników groźnej tokijskiej prokuratury, od wielu miesięcy utrzymywał ścisły kontakt z ministerstwem. Ushiba wrócił do swego gabinetu. Przesunął ręką po włosach i stwierdził, że są mokre od potu. Skrzywił się, wszedł do prywatnej łazienki i przełknął tabletkę. Owinał ręcznik wokół głowy, po czym spryskał twarz zimną wodą. Choć sam wystąpił z pomysłem regularnego zwoływania konferencji prasowych, coraz trudniej przychodziło mu toczyć słowne potyczki z dziennikarzami. Niestety, nie mógł z nich zrezygnować, choć czuł się jak chłopak z plakatu lub *talento*. Obdarzony charyzmą, zyskiwał coraz większą popularność, a to z kolei przyczyniało się do znacznej poprawy wizerunku ministerstwa i całej skompromitowanej administracji. Gdy wyszedł z łazienki, usłyszał brzęczyk interkomu. Sekretarka powiadomiła go, że przyszedł Yukio Haji. Ushiba zerknął na gęsto zapisany rozkład spotkań. Nie byli umówieni, lecz Haji należał do grupy młodszych pracowników, powierzonych jego osobistej pieczy, więc zdecydował się go przyjąć. Haji, w wyraźnie kiepskim nastroju, siadł na metalowym krzeselku, wskazanym mu przez Ushibę. Był rzutkim młodym człowiekiem, który trafił do ministerstwa z grubym pakietem dyplomów, wyróżnień i wszelkich możliwych rekomendacji. Daijin od samego początku przeznaczył go do zadań specjalnych.
- - Wiem, że jest pan zajęty, lecz w tej sprawie liczy się każda chwila. Ushiba usiadł wygodniej, zapalił papierosa i z uwagą popatrzył na gładką
- twarz młodzieńca. Produkt nowej Japonii, zmuszany do wyczerpanej pracy na wszystkich szczeblach edukacji, nieustannie sprawdzany i poddawany różnym próbom po ukończeniu studiów. MITI było dla niego nagrodą, lecz Ushiba dał mu wyraźnie do zrozumienia, że na tym nie koniec. Haji, choć wiekiem związany z pokoleniem postmodernizmu, za sprawą daijina miał posiąść *kanryodo*, ducha samuraja-urzędnika. Tu działał kodeks moralny równie stanowczy jak feudalne bushido i każdy rekrut musiał traktować go niczym Biblię lub szedł na posadę w jakimś pomniejszonym ministerstwie.
- - W czym rzecz? - spytał Ushiba.
- - Poszedłem do banku, by opłacić czynsz za bieżący miesiąc i okazało się, że nie starcza

mi pieniędzy. - Haji wyciągnął przed siebie złożony arkusz

- papieru. - Proszę przyjąć moją rezygnację. Opuszczam mury ministerstwa. Teraz wiem, że choć ciężko pracowałem, niczego się nie nauczyłem. Ushiba wziął pismo, lecz nawet go nie rozwinął. Przytrzymał róg kartki nad płonąca zapalniczką, potem strzepnął popiół z palców i spytał:
 - - Ile jesteś im winien?
 - Gdy Haji wymienił sumę, wypisał czek i wręczył go zdumionemu młodzieńcowi.
 - - Przeczytaj „Hagakure”, księgę samurajów. Twoim podstawowym błędem jest to, że nie rozumiesz jej mądrości.
 - Nie pytał, na co Haji wydawał pieniądze, gdyż wcale go to nie obchodziło. Myślał wyłącznie o *kamyodo*, o wartościach niedostępnych dla ludzi z zewnątrz.
 - - Młodzieńcza rozrzutność jest czymś całkiem normalnym i zrozumiałym. Nie chcę z tak błahego powodu tracić jednego z najzdolniejszych rekrutów. Jestem twoim zwierzchnikiem i ponoszę za ciebie odpowiedzialność. Weź czeki nie mówmy o tym już więcej. Sprawa zamknięta.
 - Wietnamczyk wyglądał mamie. Nicholas z pewnym rozczarowaniem spojrzął na drobną postać stojącą w progu. Karaluch zniknął w jakiejś s/czelinie. gdy tylko rozległo się pukanie. Linnear lewą ręką otworzył drzwi i usunął się nieco na bok. Człowiek widoczny w słabym blasku brzęczącej jarzeniówki oświetlającej korytarz był szczupły i wąski w biodrach. Twarz skrywał w cieniu runda miękkiego kapelusza. Nosił dobrze skrojony, choć kilkakrotnie przerabiany garnitur, koszulę i krawat z tajskiego jedwabiu, i roztaczał wokół siebie tak natrętny zapach kwiatowej wody kolońskiej, aż Nicholasa kręciło w nosie. Dawało to wrażenie pewnej afektacji, czemu przeczyło jednak uważne spojrzenie, jakim przybysz wciąż śledził prawą dłoń Linneara, jakby wiedział, że ma do czynienia z groźną bronią.
 - - Ty jesteś Goto? - spytał po wejściu do pokoju.
 - Nicholas używał tego nazwiska w kontaktach z kumplami japońskiego detektywa, którzy obiecali mu pomóc.
 - - Tak.
 - Przybysz raczej z zainteresowaniem niż ze strachem potoczył wzrokiem po pomieszczeniu. - Idziemy?
 - Nie wiem, jak się nazywasz.
 - Możesz mi mówić Trang - odparł, wzruszając ramionami. - Każde nazwisko jest dobre, nieprawdaż, *chu* Goto?
 - Rozchylił w uśmiechu pełne wargi, ukazując rząd równych, białych zębów. Nicholas wziął marynarkę i wyszedł. Nie zamknął drzwi; za pokój zapłacił z góry i nie zamierzał tu wracać.
 - - Zawsze mieszkasz w tak, hmmm... wykwintnych warunkach? – Głos Tranga był lekko schrypnięty, jak u nałogowego palacza lub alkoholika. Zresztą i jedno, i drugie mogło być prawdą.
 - Przed wejściem do hotelu kręciło się kilka niemal półnagich kobiet. Młodych i - zdaniem Nicholasa - upozowanych na rockowe *groupies*. Co za życie... Na widok przechodzących

mężczyzn cmokały głośno i przesuwały dłońmi po piersiach. Zalatywało od nich wonią tanich perfum i seksu. Trang szedł szybkimi, długimi krokami, tak że Nicholas musiał przyspieszyć, by nie zostawać z tyłu. W milczeniu przedzierali się przez tłum nocnych marków kłębiący się na bulwarze Liem Van Chau. Powietrze przesycone było gryzącą mieszaniną spalin i dymu z ulicznych kuchni węglowych, na których pieczono mięso i jarzyny. Znajomy kolegi japońskiego detektywa wiedział tylko tyle, że Nicholas wszedł w posiadanie prototypowej wersji neuronowego mikrochipu drugiej generacji. Miał skontaktować się z inżynierem zdolnym do pospiesznego przeprowadzenia analizy nowych rozwiązań i wykorzystania ich przy budowie sprawnie działającego komputera. Linnear nie omieszkiał podkreślić, że zależy mu na utrzymaniu ścisłej tajemnicy. Podejrzał, że ktoś, kto pomógł Tinhowi stworzyć neuronowy komputer pierwszej generacji, ulegnie pokusie, by zdobyć udoskonalony mikroprocesor, zwłaszcza że Nangi po odkryciu kradzieży skutecznie zablokował sprzedaż pirackiej wersji na azjatyckim szarym rynku. Chip drugiej generacji był niczym oferta wolnej od wszelkich podatków darowizny w wysokości miliarda dolarów. Dawał możliwość skonstruowania tak doskonałej maszyny, że konkurencja mogła od razu brać się do pakowania manatków. Trzy dni później znajomy kolegi przekazał przez telefon szczegóły dotyczące spotkania. Nicholas potwierdził czas i datę - następnego dnia o północy - lecz zmienił miejsce. Oznajmił, że będzie czekał w hotelu Anh Dan, w Szolonie. Shindo znał w tym mieście niemal każdy zaułek, przejście i rozkład ulic. Nicholas dawno już odkrył, że dla sprawnego przeprowadzenia każdej akcji potrzebne jest „wycucie” terenu mozaiki widoków, dźwięków, zapachów, smaków i odczuć. By odkryć, że coś nie gra, najpierw należało oswoić się ze wszystkimi elementami tworzącymi ogólną całość. Linnear doskonale rozumiał sytuację, w jakiej znalazł się Shindo. W ogarniętym obłędem Wietnamie każde śledztwo musiało być prowadzone w najgłębszej tajemnicy. Wciąż chwiejne organizacje polityczne toczyły walkę o władzę z głęboko podzieloną armią, górskimi rebeliantami i wrogo nastawioną mniejszością etniczną. Każdy cudzoziemiec automatycznie powiększał grono podejrzanych. Co więcej, ani Shindo, ani Nicholas nie znali tożsamości i siły wroga. Grupa Vincenta Tinha mogła mieć powiązania z przemytnikami narkotyków, handlarzami bronią, zwariowanymi na punkcie własnej potęgi chińskimi plantatorami opium lub z klanami yakuza. Długo można by ciągnąć tę listę. Wszyscy byli niebezpieczni i bez wątpienia mieli w Sajgonie swych szpiegów. W obliczu tak ogromnej przewagi Nicholas musiał ostrożnie planować każde posunięcie, jeśli nie chciał wraz z detektywem zginąć pod gigantycznym ciężarem opadającej masy.

- Trang - odezwał się, by przerwać milczenie. - Jak długo pracowałeś dla Tinha?
- Vincenta Tinha?
-
- Wietnamczyk stanął w pół kroku. Tłum przelewał się obok niego, niczym potok wokół kamienia.
- - Tak.
- Nicholas spojrzął na Tranga, szukając śladów podstępów, lecz znalazł coś całkiem innego, coś, czego nie mógł zidentyfikować. Ogłuszający ryk silników wypełnił ulicę. Kilka motocykli przemknęło w oddali, lecz łomot wciąż dudnił w witrynach sklepów. Gdzieś z boku pobrzmiwały dźwięki agresywnego rock'n'rolla. Mick Jagger zawodził o wojnie.
- - Pracowałeś dla niego, prawda? - spytał Nicholas.

- Trang obrócił głowę tak, że jego oczy stały się puste w świetle ulicznych latarni.
- - Gdybym to zrobił, teraz byłbym już martwy.
- Nicholas zrozumiał natychmiast, że poruszył czułą strunę. Nawet jeśli Trang nie pracował dla Tinha, wiedział, co zaszło i dlaczego. Był zatem niezwykle cenny. Linnear wyciągnął rękę.
- - Poczekaj, Trang...
- Ale Wietnamczyk obrócił się odszedł, szybciej niż dotąd przedzierając się przez zbitą cizbę. Nicholas pobiegł za nim. O co, u diabła, chodziło? Trang kierował się na południowy wschód, w stronę kanału Kinh Ben Nghe, który w przybliżeniu wyznaczał południową granicę centralnej części Szolonu. Dwaj mnisi w szafranowych opończach odprowadzili go zdumionymi spojrzeniami, gdy przepchnął się między nimi. Banda wyrostków usiłowała wyłudzić datek, ich chude ręce falowały w powietrzu niczym gąszcz macek olbrzymiego jamochłonu. Jakaś dziwka przymknęła oczy okolone długimi sztucznymi rzęsami i posłała im powłóczyście spojrzenie. Wyglądem przypominała panią włóczącą się po Carnaby Street pod koniec lat sześćdziesiątych. W ogóle cały Sajgon zdawał się tkwić w dziwacznym, psychodelicznym zawieszeniu, jakby próbował wrócić do czasów największej prosperity, przypadających, jak na ironię, na sam szczyt działań wojennych. Nicholas był tuż za plecami Tranga, gdy nagle wydało mu się, że na obrzeżach tłumu widzi twarz Japończyka. Potem Shindo gdzieś zniknął, a Trang znów zaczął się oddalać, bez trudu prześlizgując się między ludźmi niczym węgorz przez rafę koralową. Linnear z rosnącym niepokojem wspominał ostrzeżenia detektywa. To miejsce z pewnością nie należało do najbezpieczniejszych. Minął grupę przechodniów, przebiegł przez pusty kawałek chodnika i w końcu dopędził Tranga. Ktoś z naprzeciwka szedł wprost w ich kierunku. Nicholas wyciągnął dłoń, by bronić Wietnamczyka, gdy nagle huknęło. Niemal w tej samej chwili głowa mężczyzny idącego tuż obok Tranga pękła niczym zgnieciony melon. Buchnęła fontanna krwi, ochłapów mięsa i zgruchotanych kości. Nicholas odruchowo padł na ziemię. Woń gniewu i śmierci drażniła mu nozdrza. Na wąskiej ulicy zapadła głucha cisza, potem ktoś zaczął krzyczeć, podchwycili to inni. Nicholas na klęczkach zatopił się w Aksharze i ciasną spiralą dotarł do serca wszechrzeczy. Do *kokoro*. Wybrał odwieczny rytm Tau-tau i z wolna zaczął uderzać w membranę, tworząc psychiczny rezonans, który przekształcał myśli w czyny. Światła błysnęły, potem przygasły, barwy stopiły się w jedną plamę, uleciało poczucie czasu. Tak uzbrojony, otworzył oko tanjianina i sięgnął umysłem wokół siebie. Leżący obok mężczyzna był martwy. Nicholas odruchowo zaczął poszukiwać obecności innego tanjianina, lecz nic nie znalazł. Wrócił myślami do nieruchomego ciała. Zobaczył ciemny krawat, wciąż wąski niczym ostrze noża, lecz teraz pokryty siecią krwawych plam i kresek, przez co stał się podobny do płócien Jacksona Pollocka. Chryste - pomyślał Linnear. - Shindo. Uniósł rękę. - Nie! Nie ma czasu! - posłyszał tuż przy uchu. Trang kucnął obok niego, pomógł mu wstać, po czym pospiesznie odbiegł w lewo, znikając w ciemności. Nicholas zerknął przelotnie na zabitego detektywa i popędził za nim. „Co się z nim stało? Zabiłem go w sposób, o jaki mnie prosił.” - Tak mówił Shindo o swym kochanku. W rzeczywistości mówił także o sobie. Nie potrafił uwolnić się od Wietnamu. Wojna trzymała go nadal w widmowym uścisku, aż w końcu znalazł śmierć, jakiej szukał, w obcym kraju, od kuli wroga. Trang kluczył wśród ciasnych zaułków tak długo, że biegnący za nim Linnear zupełnie stracił poczucie kierunku. Pewnie o to chodziło; skoro nawet on się zgubił, ewentualny pościg nie miał żadnego sensu. Chciał zadać Wietnamczykowi parę pytań, z których najważniejsze brzmiało: czy ten strzał był wymierzony w niego? Po pewnym czasie wypadli na Tran Van Kieu. Przed nimi, w blasku ulicznych świateł, połyskiwały ciemne wody kanału Kinh Ben Nghe. Pobiegli w stronę mostu na przedłużeniu Con

Gluc. W dole rozpościerała się smolista ciemność. Trang skoczył pod most. Nicholas zawahał się chwilę i zerknął przez ramię. Nie obawiał się mroku, lecz nie znał Wietnamczyka i nie miał powodów mu ufać. A jeśli to była pułapka? Co mi przyjdzie z tych wątpliwości? - spytał sam siebie. - Jeśli Trang coś wie, jest mi potrzebny. Po śmierci Shindo tylko on jeden może pchnąć śledztwo na właściwe tory. Niczego nie znajdę, stojąc tu jak słup soli. Pochylił głowę i wśliznął się pod przesło. Zaraz wpadł po kolana w jakieś brudy. Smród był nie do wytrzymania. Gdy oczy przywykły mu do ciemności, zobaczył niewielką łódkę przycumowaną do kamiennego filara. Obecność Tranga zdradzał jedynie szelest odzieży. Wietnamczyk odczepił linę, wskoczył na pokład i odbił od brzegu ledwie Nicholas znalazł się na łódce. Łódka zakołysała się niebezpiecznie. By przywrócić jej równowagę, Nicholas musiał stanąć pośrodku na szeroko rozstawionych nogach. W tym czasie zdążyli wypłynąć spod mostu. Linnear spojrział w stronę brzegu w obawie, że ktoś może ich śledzić, ale nie zauważył niczego podejrzanego. Słabe światło, zbyt duża ilość twarzy i ciągłe kołysanie kruchej łajby uniemożliwiały mu obserwację. Otworzył oko tanjianina, aby odnaleźć symptomy zła,

- lecz przeszkadzała mu obecność ludzi. Odczytywanie cudzych myśli nie należało do kanonu umiejętności adeptów Tau-tau. Można to było osiągnąć jedynie poprzez kombinację doznań psychicznych, wzrokowych i pozazmysłowych, choć i tak wynik nie miał nic wspólnego z jasnowidzeniem i musiał być traktowany z dużą ostrożnością. Nicholas uznał, że dalszy pobyt na otwartej przestrzeni zagraża ich bezpieczeństwu i obrócił głowę, aby o tym powiedzieć Wietnamczykowi. Trang zniknął. Prawdę mówiąc, nigdy nie istniał. Szczupła postać, siedząca na rufie tuż obok głośno parkoczącego silnika, bez kapelusza i garnituru miała zdecydowanie kobiece kształty. Nicholas wreszcie pojął, skąd brała się dziwna odmienność, którą wyczuwał od początku spotkania.
- Szlag by trafił - mruknął i ciężko siadł na pokładzie. - Kim jesteś?
- Nazywam się Bay - odparła dziewczyna.
- Teraz widział ją w całej okazałości: piękna Wietnamka o gładkiej skórze, dużych błyszczących oczach i długich lśniących włosach. Kapelusz był zatem istotną częścią przebrania, nie nonszalanckim dodatkiem. Musiał przyznać, że doskonale odegrała swą rolę; w rzeczywistości w najmniejszym stopniu nie była podobna do Tranga.
- - Gdzie Trang?
- Rozchyliła w uśmiechu pełne, zmysłowe usta i popchnęła ster, by szerokim łukiem ominąć nadpływającą z przeciwka barkę.
- Powiedzmy, że zginął, zastrzelony na ulicy.
- Nie. Zginął człowiek, który dla mnie pracował, a ty zostawiłaś go... Czarne oczy z uwagą spoczęły na jego twarzy.
- - Mógłbyś tam leżeć zamiast niego. Spróbuj o tym pamiętać. Widziałeś, co zostało z jego głowy? To, czego szukasz, jest nielegalne i niebezpieczne, *chu Goto*. Kto ponosi odpowiedzialność za jego śmierć? Ty czy ja?
- Nicholas otworzył usta, lecz nie potrafił dobrać słów. Bay zaskoczyła go nie tylko treścią, lecz także siłą swej wypowiedzi.

- Facet zmienia się w kobietę, morderstwo na środku ulicy, ucieczka przed nieznanym i niewidocznym wrogiem... Co się tu dzieje?
- To twoja podróż, *chu* Goto. Sam o nią prosiłeś.
- Nicholas milczał, raz jeszcze rozmyślając nad przebiegiem ostatnich wydarzeń, od chwili, gdy przebrana dziewczyna stanęła w drzwiach hotelowego pokoju. Wciąż nie rozumiał, dlaczego od razu nie odkrył mistyfikacji. Godziło to w jego dumę, a Bay najwyraźniej dostrzegła, co się z nim dzieje. A jeśli wiedziała coś więcej? Do tej pory był przekonany, że w Sajgonie zachowa incognito.
- - Musisz mi wierzyć - z naciskiem powiedziała dziewczyna. Podprowadziła łódź do ciemnej, opustoszałej plaży po drugiej stronie rzeki. Zdaniem Nicholasa odpłynęli jakieś pięć kilometrów na południowy zachód od mostu. - Zaprowadzę cię do człowieka, z którym chciałeś się spotkać.
- Inżyniera-programisty? Bay pokiwała głową.
- To Żyd z Rosji. Abramanow.
-

2TOKIO / SAJGON

- Akira Chosa, oyabun klanu Kokorogurushii, siedział zasłuchany w głęboki, nastrojowy dźwięk świątynnego dzwonu. Dzwon, wykonany ze stopu miedzi i brązu, miał wysokość trzech mężczyzn. Odlano go ponad dwieście pięćdziesiąt lat temu w tej samej świątynnej kuźni, z której wyszły najwspanialsze zbroje i miecze, jakie znała historia Japonii. Wczesnym rankiem, w południe i o zmierzchu trzech kapłanów shinto stawało przy grubej, wiekowej belce, wiszącej poziomo u boku dzwonu. Obie zakończenie bijaka owijał kawałek płótna, barwionego na kolor indygo, wymieniany co roku w ostatni dzień zimy w trakcie trwającej kilkanaście godzin uroczystości. Chosa, oddany shintoista, uczestniczył we wszystkich obrzędach od chwili, gdy osiągnął pełnoletność. Zdarzało się nieraz, iż z nisko pochyloną, gładko wygoloną głową kłekał między kapłanami i modlił się do duchów zamieszkujących święte drzewa kamforowe, użyte swego czasu do budowy przybytku. Srebrzystobiałe płatki śniegu leżały na wystających okapach, a zachodzący księżyc zdawał się widzieć wszystko - nawet zaschniętą krew na rękach gangstera, świadcząca o dbałości o interesy i honor klanu. Tak było nim Chosa osiągnął godność oyabuna, gdyż krew, niczym szczeble drabiny, wiodła go ku najwyższej pozycji w Kokorogurushii. Teraz po prostu słuchał bicia ogromnego dzwonu i czuł coraz silniejsze wzruszenie. Traktował ów symbol wiary z głęboką estymą, w przeciwieństwie do spraw międzyludzkich, które uważał za mało ważne i szybko przemijające. Był przekonany, że tylko pierwiastek kosmiczny zdolny jest przetrwać w umyśle, sercu i duszy, na szlaku wiecznej wędrówki. Dźwięk wciąż narastał, stawał się wszechobecny. Chosa miał łzy w oczach. Oblizwał usta, czując na wargach zamknięty w głuchym echu gorzki smak hartowanej stali. Nie obchodziło go nawet, że z wysokości dwudziestego piętra nie widzi świątyni, ukrytej niczym grzyb w gaju kryptomerii. Ważny był tylko zew dzwonu. Słuchał, łzy płynęły mu ciurkiem po policzkach, nie drgnął, choć bicie
- dobiegło końca i tylko pogłos błędził wśród spowitych mrokiem nocy stalowo-szklanych wąwozów, zamierając z wolna gdzieś w górze, wśród przesyconych wolframem i antymonem

chmur wiszących nad Tokio. Gdy przebrzmiało ostatnie uderzenie, Chosa odwrócił się od okna, które otworzył tuż przed północą. Ogromna ośmiornica, pyszniąca się na jego ramionach, poruszyła mackami. Stanowiła część *irezumi*, tradycyjnego, wielobarwnego tatuażu, charakterystycznego dla wszystkich yakuza. Brązowe monstrum o oczach przepęnlonych zadziwiającym smutkiem. Otaczające ją *sakwa*, kwiaty wiśni, wywoływały wrażenie, jakby pływała wśród wzgórz w pobliżu Nary, a nie w odmętach oceanu. Cztery macki toczyły zawziętą walkę z groźnym brodatym wojownikiem, zbrojnym w ciężki topór. Cztery pozostałe w lubieżny sposób oplątywały półnagą piękną kobietę. Dwoistość natury ośmiornicy była częstym motywem japońskich legend; wierzono w nadnaturalną potencję stworzenia. Czemu nie? Ośmioręki kochanek musiał znacznie przewyższać człowieka. Ośmiornica wciąż była w ruchu. Chosa podszedł do wykonanej z pleksi-glasu gabloty stojącej przy przeciwległej ścianie. Wewnątrz znajdował się naturalnej wielkości woskowy manekin, przedstawiający Marilyn Monroe w słynnej scenie ze „Słomianego wdowca”, która na dobre przeszła już do legendy kina. Wyprostowane nogi, złączone dłonie, uwodzicielski uśmiech i sukienka, uniesiona powiewem gorącego powietrza, bijącym z wywietrznika metra. Manekin był ubrany w ten sam kostium, który nosiła Marilyn podczas kręcenia filmu. Chosa wydał fortunę, by go kupić. Pod ażurową podłogą gabloty pracował niewielki wiatrak, więc suknia wciąż falowała w górze, niczym flaga nad Grobem Nieznanego Żołnierza.

- - Co ty naprawdę w niej widzisz?
- Chosa od razu rozpoznał ten głos. Niespiesznie obrócił głowę i spojrzał na piękną twarz Naohiro Ushiby, daijina MITI. Minister z wyraźnym niesmakiem przypatrywał się woskowej postaci.
- - Wszystko w niej jest takie... przesadne. Wielkie, niczym amerykańska komoda.
- Cmoknął, parodiując całus, którym Marilyn uwodziła z ekranu mężczyzn całego świata. Chosa wybuchnął śmiechem. Ushiba spojrzał na niego z rozdrażnieniem.
- To prawdziwa korupcja duszy. Gangster wzruszył ramionami.
- Czyjej duszy? I co naprawdę rozumiesz pod pojęciem korupcji? Ushiba łypnął oczami.
- Zbyt mocno ulegasz mrocznym wpływom zza oceanu. Znasz moją definicję korupcji: amerykański etos pracy, amerykański hedonizm, amerykańska krótkowzroczność i amerykański elitaryzm.
- Ponurak z ciebie, Naohiro - uśmiechnął się Chosa. - Zachowujesz się całkiem inaczej niż przed kamerami. - Machnął ręką w stronę drapaczy chmur widocznych za oknem. - Spójrz tam. Jesteśmy krajem pustych symboli. - Wskazał na postać Marilyn. - A tu masz obiekt, z którym możesz wiązać jakieś uczucia. Jeszcze jeden symbol, lecz dużo bardziej fascynujący. Kto, poza nami, potrafi to w pełni zrozumieć?
- Oyabun Kokorogurushii miał imponującą posturę: masywne ciało i okrągłą jak piłkę głowę, wciśniętą groźnie między barczyste ramiona. *Irezumi* zdawał się go powiększać, przydawać powagi i władczości. Moc tatuażu i hipnotyczny wdzięk pokrytej wielobarwnym tuszem skóry działały na rozmówców niczym upiorna maska. Ushiba, który znał Chosę lepiej niż ktokolwiek inny, podejrzewał, iż gangster traktował swe ciało niczym fasadę, jakby odpowiedzialność za wszystkie występki, rozboje i zbrodnie spadała na monstrum siedzące mu na ramionach.

- Przyprawiasz mnie o mdłości - warknął minister, lecz mimo to musnął spojrzeniem kobietę wplątaną w macki ośmiornicy. - Ci przekłęci Amerykanie... - Zmęł w ustach przekleństwo.
- Amerykanie zaciągnęli nas do swojego łóżka i to cię właśnie przyprawia o mdłości - oświadczył Chosa, po czym zniknął w kuchni, by zaparzyć herbatę.
- Drażni mnie tylko, że wciąż ich potrzebujemy. - Ushiba zapalił papierosa i poszedł za gospodarzem. - Dziwne, że tego nie odczuwasz.
- Ależ odczuwam! - Chosa wstawił wodę, wyjął z szafki dwie czarki i nasypał do nich nieco herbaty. - W przeciwieństwie do ciebie, nauczyłem się to akceptować.
- Apartament, w którym przebywali, stanowił część zajmującej trzy piętra rezydencji i był prywatnym sanktuarium Chosy. Trafiali do niego nieliczni goście; niżej mieściły się pokoje strażników i służby. Ushiba jako jedyny przedstawiciel rządu miał wstęp do prywatnych pomieszczeń oyabuna. Północ mogła wydawać się dziwną porą na spotkanie z szefem MITI, lecz Chosa był przecież yakuzą, a wszelkie kontakty między światem przestępczym i członkami parlamentu musiały przebiegać w ścisłej tajemnicy. Nikt także nie powinien wiedzieć, że daijin Ushiba pełnił funkcję doradcy przy trzyosobowej radzie stworzonej przez byłego kaisho. Po śmierci Tomoo Kozo, która nastąpiła pod koniec zeszłego roku, w skład rady wchodził Chosa, Tetsuo Akinaga i Tachi Shidare, nowo mianowany młody oyabun klanu Yamauchi. To właśnie oni - jeszcze z udziałem Kozo - tworzyli główny trzon Godaishu i próbowali podważyć pozycję Mikio Okamiego. Po wielu miesiącach sprzeczek postanowili odsunąć go od władzy, lecz ktoś po cichu zmienił tę decyzję na wyrok śmierci.
- Poniżające.
- Nie. - Chosa odwrócił się gwałtownie w stronę daijina. - Tylko wówczas możesz mówić o poniżeniu, gdy ulegniesz własnym słabościom.
- Postawił czarki z parującą herbatą na stole, usiadł i wyczekująco popatrzył na Ushibę.
- - Taaak... - Minister dmuchnął obłokiem dymu. - Lekarze twierdzą, że mój wrzód wciąż krwawi. To z powodu Amerykanów. Nie sądzisz, że mam dostateczny powód, by darzyć ich nienawiścią?
- Chosa ze sceptycznym wyrazem twarzy podsunął mu czarkę.
- - Na pewno. Lecz potrafisz trzymać ich w ryzach. Tak jak pomogłeś nam ograniczyć władzę kaisho.
- Zabicie Okamiego. To nazywasz „ograniczeniem władzy”? Gangster zrobił zdziwioną minę.
- Okami nie żyje? Wiesz coś, czego ja nie wiem, Naohiro?
-
- Nie, skądże. - Ushiba skrzywił się z bólu i zacisnął szczupłe palce wokół glinianego naczynia. - Próbuję sobie wyobrazić, dlaczego zniknął.
- W kontaktach z Okamim nietrudno o pomyłkę. - Chosa wysączył ostatni łyk herbaty i przesunął palcem po mokrych listkach na dnie czarki. Nie zwrócił uwagi na zboląły wyraz twarzy ministra. Gdyby okazał współczucie, Naohiro odczułby to jako ujmę na honorze.

- Gdyby żył, dałby do tej pory znać o sobie.
- Chosa wsunął palec do ust i z namysłem zaczął przeżuwać gorzkie liście.
- Prawda, nic o nim nie słyhać. Lecz jego domniemany zabójca też zginął, więc nie ma kogo spytać, co zaszło. - Uśmiechnął się, kładąc rękę na dłoni Ushiby. - Bez obaw. Kaisho jest już niegroźny. Jego potęga legła w gruzach. Jak mawiał mój dziadek: „Szukaj przyjaciół tylko między tymi, którzy mają dość siły, by cię zniszczyć”. - Lubił nocne rozmowy z daijinem, gdyż tylko wówczas mógł sobie pozwolić na szczerłość.
- Jeśli Mikio Okami wciąż żyje, mogą z tego wyniknąć nieliczne kłopoty. - Ushiba strząsnął popiół z papierosa. - Zwłaszcza dla ciebie.
- ~ Tak. Kaisho - odparł z namysłem Chosa. - Współczesny shogun. Sprowadził na nas prawdziwą klęskę! Tak wiele władzy w rękach jednego człowieka. Ohyda!
- Ohydą było jedynie to, że stał poza twoim zasięgiem. Teraz mogę przyznać, że budził tym mój szacunek.
- Fe! - parsknął z niesmakiem oyabun. - Nie mów tylko, że żaden z twoich szpiegów nie odkrył, iż to ja kazałem go zabić.
- Przystojna twarz Ushiby nabrała twardego wyrazu.
- - Przyjdzie czas, że ciężko odpokutujesz za swoje drwiny. Przysięgam, że nic nie wiedziałem o tych planach.
- Chosa porzucił pozory łagodności.
- Masz rację, winiąc Amerykanów, że wywiercili ci dziurę w brzuchu. Dostałeś skrętu kiszek, gdy próbowałeś pojąć ich dowcipy.
- A ty - warknął ponuro Ushiba - nauczyłeś się od nich zbyt wiele.
- Lecz nic przez to nie straciłem, więc nie masz powodów do zmartwień. Troski wpływają źle na żołądek.
- Tak samo jak ta herbata. - Ushiba odepchnął czarękę. Wstał i pospiesznie wyszedł do łazienki. Chosa został sam ze swymi myślami.
- Naohiro zginie - dumiał smętnie - zabity przez Amerykanów. To będzie smutny dzień i dzień śmierci dobrego oyabuna i dzień, w którym utracę więź łączącą mnie z rządem Japonii. Ciężko o tym rozmyślać, lecz czas poczynić jakieś plany. Mimo wysiłków lekarzy Naohiro wciąż słabnie. Parę miesięcy temu powinien trafić przynajmniej na tydzień do szpitala i poddać się ostrej kuracji na wrzód żołądka. Nie chciał lub nie mógł się na to zgodzić. Naohiro posiadał *kan*, co w dawnej chińszczyźnie znaczyło „dom rządzącego mandaryna”, ale we współczesnej Japonii stało się synonimem urzędniczej władzy i zostało włączone do słowa *kanryodo*, „droga samuraja-urzędnika”. Ushiba mógł się uważać za samuraja. Praca w ministerstwie była dla niego wszystkim i tylko nagła śmierć mogła go wyrwać z biura. Lekarze wiedzieli o tym, więc nie protestowali. Chosa szanował daijina; może nawet w pewien sposób go kochał. Lecz w głębi duszy pozostał pragmatykiem. W świecie gwałtu i zdrady, w jakim przyszło mu egzystować, nie

było miejsca na sentymenty. Tylko od czasu do czasu mógł sobie pozwolić na symboliczny wyraz współczucia. Blady Ushiba wrócił do kuchni. Sięgnął po kolejnego papierosa i przez kilka chwil palił w milczeniu. Chosa zdawał sobie sprawę, że go obraził, i chciał w jakiś sposób odzyskać utraconą pozycję. Otworzył lodówkę, wyjął karton mleka, po czym napełnił czarę daijina.

- Rozchmurz się, stary. Przynajmniej nie musisz się martwić, co zrobi Tomoo Kozo.
- Wściekły oyabun! - z niechęcią burknął Ushiba. - Chciał zniszczyć Linneara i sam zginął z rąk niedoszłej ofiary.
- - Spójrz na to innej strony. Rada tylko zyskała na jego odejściu. Ushiba wzruszył ramionami i usiadł.
- Być może, skoro ty i Akinaga byliście zgodni, by Tachi Shidare został nowym oyabunem klanu Yamauchi. Kozo uparcie ograniczał wam wpływy. - Kosym okiem spojrzał na mleko. - Na twoim miejscu wolałbym jednak, by nie doszło do Linneara, iż ktoś ścigał jego żonę w chwili wypadku. Yakuza nigdy nie cieszyli się jego sympatią, więc mogłoby nie ograniczyć zemsty tylko do klanu Yamauchi. Policja podlega naszym politykom, lecz Linnear jest jedynym człowiekiem, który może nas zniszczyć.
- Zdażyłem się upewnić, że nigdy nie pozna prawdy - zamruczał Chosa. - Czytałem zeznania kierowcy buldożera. Nie ma w nich ani słowa o białej toyocie. Nawet Nangi niczego się nie domyślił. Wszyscy wiedzieli, że Kozo to wariat. Co mogłoby zyskać od Amerykanki?
- Przecież to proste. Z chwilą, gdy usłyszał o związkach łączących Okamiego z jej mężem, kazał ją śledzić w nadziei, że doprowadzi go do Linneara.
- Kim był mężczyzna, z którym spędziła noc w tokijskim hotelu?
- Jej kochankiem, szefem firmy reklamowej. - Ushiba wciąż patrzył na mleko, smuga dymu wirowała mu wokół twarzy. - Nic nie wiedzieli.
- Tak, lecz wówczas nie mieliśmy tej pewności. Kozo zdołał jedynie ustalić, że jakiś Amerykanin prosto z lotniska pojechał do Nangiego. Zaczął podejrzewać naszych partnerów z Godaishu.
- Podejrzewać? - cierpko spytał Ushiba. - To zakrawało na paranoję.
- W każdym podejrzeniu jest coś z paranoi, nie uważasz? - Chosa myślał przez chwilę. - W każdym razie, Kozo kazał ją śledzić. Musiała to zauważyć i wpadła w panikę.
- Zatem jej śmierć była dziełem przypadku.
-
- - Niezupełnie - z zadumą stwierdził gangster. - Moim zdaniem to wina Linneara. Przez niego żyła w ciągłym strachu i bała się własnego cienia.
- Daijin roześmiał się chrapliwie.
- Umiesz w ciekawy sposób opisywać brudy życia.
- Nicholas Linnear. Sam powiedziałaś, że jest zdolny i niebezpieczny. Spędza sen z powiek wszystkim oyabunom.
- Nawet tobie? - kąśliwie spytał Ushiba.

- Zwłaszcza mnie. - Chosa sięgnął po imbryk z herbatą. Omijał wzrokiem wypełnioną mlekiem czarękę. - Umiem właściwie ocenić dręczącą go nienawiść.
- Nie próbuj tylko dokładać do tego wendety. Sprawa i tak jest wystarczająco skomplikowana.
- Naprawdę? - Chosa popatrzył na daijina. - Mam lepszy powód do obaw. Okami odkrył, że to ja wydałem na niego wyrok śmierci, i zareagował zgoła niespodziewanie: poprosił o pomoc. Wiesz kogo? Właśnie Linneara.
- Niemożliwe - Ushiba potrząsnął głową. - Linnear każdego yakuzę traktuje jak wroga.
- Nie wątpię. Lecz w głębi duszy jest Japończykiem, a jego ojciec miał dług honorowy wobec Okamiiego. *Giri*. Stał się obrońcą starego kaisho. Choćby z tego powodu wierzę, iż Okami wciąż żyje i uważam, że za wszelką cenę należy zniszczyć Linneara.
- Nie mogę ci na to pozwolić.
- Chosa wlepił w niego zdumione spojrzenie.
- Ty mi czegoś zabraniasz?
- Posłuchaj głosu rozsądku. Kozo chciał zabić Linneara i sam zginął. Znam cię. Uważasz się za lepszego. Myślisz, że zdołasz go przechytrzyć.
- Wiem, że tak będzie. Jest tylko człowiekiem, nie jakimś robotem czy bogiem. Można go zranić.
- Ryzykujesz przyszłością Godaishu tylko po to, by udowodnić, że masz twardszą erekcję!
- Potrafisz dobierać słowa jak prawdziwa kobieta.
- Ushiba zgniótł niedopałek, wstał i podszedł do okna, aby w spokoju wypić mleko. Nie odpowiedział na okrutny docinek gangstera. Nie chciał też myśleć o Linnearze ani o wojnie przewidywanej przez Chosę. Wbił wzrok w szybę. Widział jedynie posępne wieżowce, zbudowane ze szkła, stali i zbrojonego betonu. Widomy dowód słuszności obranej niegdyś polityki, a zarazem memento, przypominające o szybkim rozwoju Japonii. Zbyt szybkim - myślał Ushiba. - Jak dziecko, które zaczęło biegać, nim nauczyło się chodzić, tak teraz my, kulejąc, usiłujemy nadal wyprzedzać Zachód. Obrócił się w stronę oyabuna.
 - - Linnear jest inny niż wszyscy.
 - Niepokoiło go, że Chosa nie tracił dobrego humoru. Znów spojrzał w okno. Wiedział, że zachowanie gangstera jest tylko przygrywką przed podjęciem zdecydowanej akcji.
 - - Bzdury. Tak się składa, że znam przyczyny, dla których żaden yakuza
 - nie może liczyć na jego przychylność. Wykorzystam to. Człowiek ogarnięty nienawiścią staje się nieostrożny. Ushiba miał wrażenie, że ktoś wbija mu nóż w żołądek. Widział w szybie własną twarz wykrzywioną bolesnym grymasem. Nagłym ruchem uniósł czarękę do ust. Mleko nie pomoże na wrzody. Tak samo jak ekonomiczne restrykcje nie powstrzymają ogromnej niczym tsunami fali kryzysu. Gorzkie czasy. Rząd, mimo początkowych obietnic, nie chronił pieniądza, a trzy czwarte kapitału wciąż tkwiło w nieruchomościach. Indeks nikkei spadł do zaledwie sześćdziesięciu procent dawnej wysokości, za jednego dolara płacono dziesięć centów i zasoby banków wciąż malały. Obecna polityka wbrew wysiłkom Ushiby nie przynosiła

spodziewanych efektów. Zapaść ekonomiczna wywołała liczne bankructwa, co jeszcze mocniej odbiło się na rezerwach monetarnych. To z kolei wystraszyło inwestorów, którzy w popłochu, za bezcen pozbywali się swych majątków, nie bacząc na desperackie posunięcia rządu obliczone na uzdrowienie sytuacji. Kłopot polega na tym - myślał Ushiba - że po wszystkich skandalach, aferach i nielegalnych transakcjach, przeciętny obywatel uważa, że w pełni zasłużyliśmy na to, co nas spotkało. I co gorsza, ma rację. Obrócił się, nagle zde gustowany własną słabością. Czym tak naprawdę się martwił? Miał przecież Godaishu. Żadne z nieszczęść dotyczących Japonię nie miało wpływu na działalność organizacji. Ludzie, którzy tworzyli Godaishu, choć pochodzili z różnych części świata, byli dobrze przygotowani na każdy atak - nawet ze strony Nicholasa Linneara. Skoro Chosa twierdził, że znalazł sposób, by zniszczyć Linneara, Ushiba nie miał wyboru i musiał mu wierzyć. Więcej, chciał mu wierzyć. Chciał także drugiej porcji mleka, lecz nie ośmielił się prosić. Po co? - pomyślał gorzko. Wszyscy, łącznie z Chosą, byli przekonani, że jego dolegliwości wynikały z przewlekłej choroby wrzodowej. Dobrze. Niech tak sądzą. Nie mógłby liczyć na ich przychylność, gdyby wiedzieli, że toczy go rak żołądka. Żadnych zabiegów - oświadczył lekarzom. Wiedział, co go czeka po operacji: smężna egzystencja inwalidy, niezdolnego nawet do przyjmowania pokarmu, podpiętego do toreb, rur i przewodów niczym sztucznie stworzone monstrum. Nie. Nie dopuści do takiego poniżenia. Lepsza już cisza grobu.

- - Jednego mogę być pewny - odezwał się Chosa. - Teraz, gdy zniknął Okami, przyszłość Godaishu rysuje się w lepszym świetle.
- Ushiba trwał w zadumie.
- Dlaczego nagle stracił wiarę w powodzenie swych planów? Wciąż nie potrafię znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Okami zawsze był patriotą. W pełni rozumiał potrzebę oczyszczenia Japonii z moralnej zgnilizny, jaką przyniosła amerykańska okupacja i siłą narzucona konstytucja.
- Co za różnica? Okami to już przeszłość - stanowczo stwierdził Chosa. - Nic mnie nie obchodzi, co myślał. Czas, byśmy się zatroszczyli o własną skórę. To nasza karma, przyjacielu, i już czuję na ustach smak zwycięstwa.
- Daijin nie podzielał optymizmu oyabuna.
- Wciąż mamy wiele problemów czekających na rozwiązanie. Przede wszystkim trzeba zażegnać niebezpieczeństwo ze strony Amerykanów. Przewaga, jaką mają w przemyśle optycznym i telekomunikacji, stanowi poważne zagrożenie dla naszej przyszłości. W dwudziestym pierwszym wieku liczyć się będą tylko te firmy, które szybko i bez kłopotów poradzą sobie z przekazem danych.
- Kolejny powód, by pozbyć się Linneara. Tomkin-Sato Industries ma szereg patentów prototypowych rozwiązań telekomunikacyjnych na skalę, o jakiej możemy wyłącznie pomarzyć. W Chinach, Indiach oraz w Malezji położono już całe kilometry światłowodów i tylko patrzeć, jak wszystkie wspomniane kraje dołączą do konkurencji.
- Jeszcze raz cię ostrzegam - powiedział Ushiba. - Linnear jest sprytny. To ninja. Swego czasu podjąłem próbę, by go usunąć. Nie dałem rady. Po cichu posiadał siłę, o jaką nikt go nie podejrzewał.
- Nie musisz się o niego martwić.
- Nie, lecz mam obowiązek chronić Godaishu. Pościg za Linnearem niesie poważne ryzyko.

Wciągasz go w nasze sprawy...

- Stał po stronie Okamięgo - uciał Chosa. - Już dawno tkwi w tym po uszy.

Jechali donikąd. Tak przynajmniej uważał siedzący obok Bay Nicholas. Stary wrak, który dwadzieścia lat temu mógł pretendować do miana autobusu, podskakiwał na wyboistej żuźlowej drodze. Wnętrze pojazdu śmierdziało moczem i zwierzętami. Przy każdym podskoku tuzin zamkniętych w kojcu kurcząt wszczynalo głośny rejwach, co wyraźnie niepokoiło żółtego ptaszka, siedzącego w bambusowej klatce zwisającej z sufitu tuż obok kierowcy. Nicholas słyszał kiedyś, że Wietnam jest jedynym krajem na świecie, gdzie ludzie zjadają psy i spacerują z ptakami. Shindo ostrzegał go, by nigdy nie pytał, co jest na talerzu.

Być może czterokołowa trumna służyła po prostu do transportu inwentarza, gdyż prócz Linneara i Bay nie wiozła żadnych innych pasażerów, nikt też nie czekał na *pogrążonym* w mroku *poboczu*. Nicholas, w przeciwieństwie do dziewczyny, nigdy nie przypuszczał, że coś takiego może istnieć. Bay zręcznie przycumowała łódkę, po czym minęła trzy przecznice, aż dotarła do miejsca postoju. Dwadzieścia minut później opuścili Sajgon, zmierzając na południowy wschód.

- Dokąd jedziemy? - spytał Linnear.
- Do Żelaznego Trójkąta - odparła.
- Pewnie miała na myśli Cu Chi. Trzydzieści lat temu ów region zyskał znaczny rozgłos z powodu rozległej sieci wielopoziomowych tuneli, z których oddziały Vietcongu kontrolowały obszar odległy zaledwie sto kilometrów od Sajgonu. Wietnamczycy zaczęli ryć w ziemi jeszcze w latach czterdziestych, podczas wojny z Francją. Twardy, czerwony grunt idealnie pasował do ich celów, więc jakiś czas później tunele poddano przeróbkom i modernizacji, a część z nich podciągnięto aż pod granicę z Kambodżą.
- - Bay, musisz mi odpowiedzieć na parę pytań - odezwał się Nicholas. - Co cię łączyło z Yincem Tinhem?
- Dziewczyna patrzyła w okno. Włosy, związane w długi, gruby koński ogon, spływały jej na ramiona. Wyglądała na upartą i silną - nic dziwnego, że tak dobrze odegrała rolę Tranga. Jej twarz, choć zdecydowanie kobieca, przy skąpej charakterystyce nabierała twardych, męskich rysów. Ta dwoistość natury przydawała jej pewnej tajemniczości, tym bardziej że Bay posługiwała się nią zupełnie odruchowo.
- Nigdy dla niego nie pracowałam - odparła w końcu. Patrzyła w okno. Nicholas widział w ciemnej szybie jej widmowe odbicie. - Próbował mnie pozyskać na wszelkie możliwe sposoby, lecz sporo o nim słyszałam i wiedziałam, że z chwilą, gdy powiem „tak”, zostanę na zawsze wciągnięta w głąb jego świata. - Poruszyła palcami. - Nie chciałam tego. Wolę być niezależna... pełnić rolę posłańca, czasem rozjemcy... między wrogimi grupami.
- Przez „grupy” rozumiesz handlarzy opium, przemytników broni i terrorystów?
- Bay milczała przez długą chwilę. Autobus skrzypiał, kurczęta piszczały, a żółty ptaszek przeskakiwał z drążka na drążek.
- - Niezależnie od tego, co myślisz, *chu* Goto, włożyłam wiele wysiłku, by osiągnąć obecną pozycję. Nie popieram niczyich dążeń, a mimo to wielu

wpływowych ludzi korzystało z mojej pomocy. Ciekawe, czy pojmujesz znaczenie tego faktu. Chyba nie. Mój kraj jest inny niż wszystkie. Potrzeba czasu, cierpliwości i tolerancji, by zrozumieć naturę Wietnamu. Jeśli będziesz nas mierzył zachodnią miarą, poniesiesz sromotną klęskę.

- Wielu zlekceważyłoby te słowa. Dla Nicholasa czas, cierpliwość i tolerancja należały do wartości o podstawowym znaczeniu. Od dawna uczył się „wnikać” w obcą kulturę, przyjmować rzeczy zadziwiające, niesamowite i straszne. Cudzoziemcy postrzegali kulturę Wietnamu jako przerażającą, gdyż strach kładł im rękę na oczach w najmniej pożądanym momentach. Bay miała rację: Wietnamczyków nie można było mierzyć amerykańską bądź japońską miarą.
- Umiem cenić rozagę - stwierdził ostrożnie. - Możesz mi coś powiedzieć o śmierci Tina?
- Jak pewnie wiesz, nie była dziełem przypadku.
- Tak.
- Wiesz także, że został zamordowany po chińsku?
- Po chińsku? Nie rozumiem.
- Chińscy magnaci władający wyżyną Shan od dawna w ten sam sposób zabijali swych wrogów. Zwłoki wrzucano do kwasu używanego do wyciskania opium z łez maku. Była to forma ostrzeżenia dla potencjalnych zdrajców.
- Była? Teraz już tak nie robią?
- Bay nisko opuściła głowę. Włosy zwisały jej z ramienia.
- Zależy od punktu widzenia. Chińczyków nie ma. Wszystkie plantacje z Shan dostały się w ręce jednego człowieka.
- Nigdy nie słyszałem o kimś takim.
- Wcale mnie to nie dziwi. - Beznamiętnie spojrzała mu prosto w twarz. - Każdy, kto próbuje wymówić jego imię, naraża się na śmierć.
-
- -Zgoda. Rozumiem. I ten właśnie człowiek ponosi odpowiedzialność za śmierć Tina?
- Oczy dziewczyny, ciemne niczym ziarna kawy, wciąż spoglądały w jego stronę.
- Opowiem ci coś o miejscu, do którego zmierzamy. Nosi nazwę Cu Chi. Znasz ją?
- Tak.
- Podczas wojny Dwudziesta Piąta Dywizja Armii Amerykańskiej założyła główną bazę operacyjną w Cu Chi, by powstrzymać działania Vietcongu w pobliżu stolicy Wietnamu Południowego. Nikt nie miał pojęcia, jak oddziały VC docierają tak daleko w głąb terytorium wroga. Całymi miesiącami, noc w noc znajdowano w namiotach pomordowanych żołnierzy. Nim rozwiązano zagadkę, liczba ofiar sięgnęła przerażających rozmiarów. Zwykłym zrządzeniem losu bazę umiejscowiono dokładnie nad siecią tuneli.
- Nicholas zastanawiał się przez chwilę.
- Tinh działał zbyt blisko człowieka, który kontroluje handel opium?
- Kontroluje o wiele więcej.

- Nic dziwnego, że inspektor Van Kiet nie chciał przyjąć łapówki oferowanej przez Shindo. Był przerażony do szpiku kości.
- Znasz jego imię?
- *Chu Goto*, jeśli rzeczywiście tak się nazywasz, wspominałam ci przedtem, że działałam na własną rękę. To nie znaczy, że nie mam wrogów.
- Dalszą rozmowę przerwa! im gardłowy okrzyk kierowcy. Bay szybko precyzyjnie się w jego stronę. Rozmawiali przez chwilę. Nawet na tę odległość Nicholas wyczuł podniecenie w ich głosach. Pobladła dziewczyna wróciła na miejsce.
- - Mamy kłopot. Blokada policyjna. Pewnie chodzi im o nas.
- - Dlaczego? Nic przecież nie zrobiliśmy. Bay poderwała głowę.
- Nic? A ucieczka z miejsca zbrodni, pobyt bez zezwolenia na zastrzeżonym terenie i próba handlu rzeczami pochodzącymi z kontrabandy? To tylko trzy zarzuty, jakie nam mogą postawić.
- Tak, ale...
- Trzydzieści lat w więzieniu, bez procesu i szans na ułaskawienie. To dożywocie. Twój rząd, *Chu Goto*, nie ustalił do tej pory formalnych stosunków dyplomatycznych z Wietnamem. Jeśli zostaniesz schwytany, nie będziesz mógł liczyć na żadną pomoc.
- Zaprowadziła go na tył autobusu. Kierowca otworzył drzwi.
- - Nawet ci nie wspominałam o najważniejszym: policja jest na usługach ludzi o wiele potężniejszych od nas. W razie wpadki będziemy mówić o szczęściu, jeśli od razu nas nie zastrzelą.
- Ostatnie słowa zginęły w poszumie nocnego wiatru. Bay wyskoczyła z autobusu. Nicholas bez wahania poszedł w jej ślady.
- Na krótką chwilę Ushiba oślepił z bólu. Potem odzyskał zdolność widzenia i spojrzał na surową drewnianą konstrukcję Yasukuni. Ód wielu lat w zamglone popołudnia dochodziły stąd ochryple, patriotyczne okrzyki, dziwacznie kontrastujące z pomrukiem jadących ulicą samochodów. Shintoistyczna świątynia Yasukuni, zlokalizowana w samym sercu Tokio, w pobliżu fosy otaczającej Pałac Cesarski, była swoistym pomnikiem japońskich żołnierzy poległych w drugiej wojnie światowej i świadectwem odwagi, z jaką ginęli kamikaze na wodach Pacyfiku. Pomnikiem samobójczej odwagi narodu, który przegrał konfrontację z promieniotwórczym skażeniem. Ushiba płasko przycisnął dłoń do brzucha i przełknął tabletkę. Teraz zażywał trzy dziennie i mocno musiał się starać, by zachować sprawność umysłu po tak dużej dawce środków przeciwbólowych. Co chciał przez to osiągnąć? Od dawna podejrzewał, że stał się lekomanem, niezdolnym do jakichkolwiek działań bez maski spokoju oferowanej mu przez narkotyki. Zapalił papierosa i zaciągnął się dymem. Ruszył w stronę świątyni, choć kosztowało go sporo wysiłku, by zmusić nogi do utrzymania normalnego rytmu. Wrócił myślami do historii. W latach trzydziestych prawica organizowała w Yasukuni propagandowe demonstracje, by pobudzić militarystyczną histerię. Trybunał Stanu postanowił ostatnio, że członkowie rządu nie mogą oficjalnie uczestniczyć w obrzędach odprawianych na terenie świątyni, gdyż jest to niezgodne z zapisem powojennej konstytucji, wyraźnie rozdzielającej państwo od wyznania. Ponieważ konstytucję ułożono pod dyktando Amerykanów, wielu ministrów nie przyjęło do wiadomości tego postanowienia. Przed główną nawą stało kilku

posiwiiałych starców, bez wątpienia byłych żołnierzy, wspominających swój udział w wojnie i dawno pogrzebanych kolegów. Ushiba rzucił niedopałek na ziemię, zgniótł go obcasem i zajął miejsce w szeregu. Szarpnął sznur dzwonka, by obudzić świątynne *kami*, dwukrotnie klasnął w dłonie, pochylił głowę i odmówił krótką modlitwę. Później wrzucił parę monet do skrzynki przykrytej drewnianą kratą i poszedł w stronę pobliskiego, obstawionego licznymi tablicami pawilonu, przy którym kręciło się kilku robotników. Uważny obserwator bez trudu zdołałby zauważyć, że wcale nie zajmowali się remontem. Najpotężniejszy z nich łypnął ponuro spod oka na Ushibę. Rozpoznał go, złożył pokorny ukłon, zebrał narzędzia i odstąpił od drzwi. Daijin wszedł do budynku. Mieściło się tu muzeum poświęcone pamięci poległych kamikaze. Na ścianach wisiały postrzępione flagi, sztandary, poematy w pośpiechu pisane krwią przez bohaterów wojny. Każdy eksponat był opatrzony stosowną tabliczką. Wzruszony Ushiba głośno odczytał haiku: *Wicher dość naniósł poczerwieniałych liści by wzniecić ogień.*

- Poza Ushibą, w muzeum był jakiś mężczyzna. Wysoki jak tyczka i tak chudy, że kości nadgarstków sterczały mu niczym ostrogi. Obrócił się na dźwięk głosu i z wolna wykrzywił twarz w uśmiechu. Był to Tetsuo Akinaga, oyabun klanu Shikei, trzeci z rady powołanej przez Okamiego i jeden z twórców Godaishu. Od dnia, w którym kaisho zniknął, zachowywał się tak, jakby Ushiba awansował z doradcy na pełnoprawnego członka organizacji.
- Wymarzone miejsce dla naszych spotkań, prawda, daijinie?
- Prawda.
- Akinaga miał pełne prawo zwracać się do ministra po imieniu, lecz mimo to uparcie korzystał z tytułu. Ushiba podejrzewał, iż starzec chce w ten sposób rozwikłać pokrętne meandry władzy, ujawniające się podczas wszystkich narad przywódców Godaishu. Oyabun miał długie siwe włosy, związane z tyłu głowy w samurajski węzeł. Zapadnięte policzki i płaski nos podkreślały przenikliwe spojrzenie głęboko osadzonych oczu. Podobnie jak Chosa dobiegał sześćdziesiątki, lecz wyglądał starzej. Wiek oraz, jak sądził Ushiba, uporczywa walka o władzę sprawiły, że kąciki ust miał opuszczone i na pozór był wiecznie niezadowolony ze wszystkiego, z czym przyszło mu obcować. W sytuacjach wymagających natychmiastowej decyzji nie dostrzegał żadnej różnicy między wrogami a przyjaciółmi.
- - Niewiarygodna cisza - powiedział, tocząc wzrokiem po pomieszczeniu. - Niczym powiew o zmierzchu przetaczający się nad polem. - Roześmiał się. - Na starość odkryłem w sobie poetyckie skłonności.
- Ushiba słuchał, choć żywy ogień szarpał mu trzewia. Poruszające wyobrażnię, umiłowane przez niego strofy haiku dawały ulotną chwilę zapomnienia. Pozwalały skupić uwagę na żądaniach Godaishu.
- Żywię dla ciebie głęboki szacunek, daijinie. - Akinaga pokiwał głową. - Pół roku temu obiecywałeś, że zdołasz zahamować spadek akcji. Słuchałem z ciekawością, gdyż przyszłość banków pozostających pod moją kontrolą zależała od sytuacji na giełdzie, lecz w głębi duszy nie wierzyłem w te zapewnienia. Co innego polityka, co innego pieniądze... Dokonałeś małego cudu. Wskaźnik nikkei podskoczył od tamtej pory o pięć tysięcy punktów, a moje banki powoli zaczęły odzyskiwać straconą pozycję. Udało ci się zapanować nad chaosem.
- Nie było łatwo, przyznaję - odparł Ushiba. - Rządowa polityka dotowania niektórych

akcji w celu podniesienia popytu wciąż niesie z sobą niemałe niebezpieczeństwo. Rozpuściliśmy plotki o spodziewanym wzroście cen, by pozbyć się paru niepożądanych pakietów. Położyliśmy tamę na wszystkie nowe oferty sprzedaży. Musieliśmy to zrobić: im mniej wolnych akcji, tym większy popyt.

- Plan działa bez zarzutu.
- Lecz jest równie sztuczny jak kreowany dawniej rynek nieruchomości. Wszystkie manipulacje mogą zawierać ukrytą groźbę, której dziś jeszcze nie potrafimy dostrzec.
- Historia stoi po naszej stronie, daijinie - uśmiechnął się Akinaga. - Wierzę, że tym razem nie dojdzie do załamania rynku. Przez chwilę sięgnęliśmy dna, lecz teraz stopniowo wychodzimy z recesji.
-
- Zatopieni w rozmyślaniach nad wojenną chwałą, z niechęcią wracali do problemów rzeczywistości. Żyli przeszłością i przyszłością. Czas teraźniejszy traktowali z pogardą, widząc w nim tylko pomost łączący dwa światy.
- Na ostatnim posiedzeniu rady zadałem pytanie, czy wolno nam wierzyć w szczerą intencję amerykańskiego oyabuna - powiedział w końcu Akinaga. - Mafia przeżywa ciężkie chwile. Poczucie honoru i tradycji, które niegdyś stało u podstaw naszych kontaktów, zniknęło, zdławione przez ludzi ogarniętych frustracją, żądzą zemsty lub po prostu usiłujących ukryć własną słabość.
- Nie mamy wielkiego wyboru - odparł Ushiba. - Caesare Leonforte to wartogłów; nie ma chłodnego i rozsądnego umysłu Dominika Goldoniego. Lecz to akurat działa na naszą korzyść. Bez powodzenia próbowaliśmy kierować Goldonim. Nie oddał inicjatywy ani nie powiadomił nas o domniemanych kontaktach z amerykańską administracją.
- Akinaga zachował kamienną twarz.
- - Nie martwi mnie Leonforte, lecz wzrastająca liczba niepewnych i niebezpiecznych ludzi, z którymi podejmujemy współpracę, by nie dopuścić do upadku Godaishu. Mafia, amerykańscy pracownicy rządu, nawet nasz dawny partner z Wietnamu... Wszyscy *iteki* budzą moją nieufność, gdyż nie potrafię rozumieć ich tak dobrze jak Okami. - Potrząsnął głową. - Co gorsza, Chosa nie widzi ryzyka, jakie podejmujemy dla osiągnięcia celu. Zamyka oczy na groźbę katastrofy, jakby zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że wystarczy niewielka pomyłka, żeby wywołać straszliwą hekatombę. A o taką pomyłkę nietrudno w kontaktach z obcymi.
- Twarz oyabuna pociemniała z gniewu i wewnątrz muzeum nagle zaczęło przypominać dom duchów.
- Sprawdziły się moje najgorsze obawy. Chosa zbyt mocno łączy do Amerykanów. Żaden *iteki* nie zna naszych zamiarów; interesują ich tylko pieniądze. Tony pieniędzy, zgarnianych przez Godaishu na wszystkich kontynentach. To najemnicy, bez czci i honoru. Przy najmniejszej oznace kryzysu w naszych szeregach rzucą się na nas jak wściekłe psy.
- Warto też przy okazji wspomnieć, przez co przeszliśmy - dodał Ushiba. - Z trudem uniknęliśmy klęski po zdradzie Okamiego i Goldoniego. Dobrze, że w porę podjęliśmy

stosowne kroki. Goldoni nie żyje, Okami zniknął. Nie ma powodów do obaw. Przyszłość Godaishu rysuje się w jasnym świetle.

- Wiem, że zadziałaliśmy w porę! - ostro wtrącił Akinaga. - Sam tego dopilnowałem. Okami był zbyt niebezpieczny. Posiadał *koryoku*: Moc Oświecenia.
- Ushiba, bezgranicznie zdumiony, że najpierw Chosa, a teraz Akinaga przypisują sobie pomysł zgładzenia kaisho, próbował zyskać na czasie.
- *Koryoku?* - bąknął. - Nie słyszałem.
- Wcale mnie to nie dziwi. - Oyabun założył dłonie na plecach, przez co nabral profesorskiego wyglądu. - Sam dowiedziałem się o tym niedawno, gdy przypadkowo podsłuchałem rozmowę Okamiego. Zaraz zacząłem szukać wyjaśnień. To rodzaj głębokiej medytacji, wzbogaconej o... jak by to wyrazić... coś na kształt dodatkowego zmysłu, pozwalającego „widzieć” sens każdego
-
- działania, motywy oraz intencje. Ktoś tak przebiegły i ambitny jak Okami potrafił z tego uczynić istotną część strategii. Moim zdaniem, *koryoku* pozwoliło mu w tajemnicy przed nami nawiązać współpracę z Goldonim.
- - W ten sam sposób można tłumaczyć jego potęgę i wpływy, które zachował mimo starości. Dawno już dobił dziewięćdziesiątki.
- Akinaga zmrużył powieki.
- - Co planowali? Żaden z naszych agentów nie znalazł odpowiedzi na to pytanie. Ushiba wreszcie stanął na pewnym gruncie. Dotąd nie był pewien, czemu służyło to spotkanie. Akinaga zdecydowanie potępiał pogiędy Chosy, a on nie znajdował stosownej riposty.
- Może szukali nie tam, gdzie trzeba. Akinaga drgnął. Nie tolerował pomyłek.
- Co przez to rozumiesz, daijinie?
- - Słyszałem, że Okami wiedział o próbie zamachu. Zwrócił się o pomoc do Nicholasa Linneara.
- Oyabun z wyraźną niechęcią machnął dłonią.
- Bzdury. Linnear nienawidzi wszystkich yakuza. Kto rozpowiada takie bajki?
- Akira Chosa. Zanim odrzuciłbym tę teorię, wziąłbym pod uwagę, że równie dobrze może okazać się prawdziwa. Historia Japonii uczy, że często pozorną wrogość była jedynie przykrywką dla głębokiej przyjaźni, *nel* - Ushiba uważał to za dowód, że nawet w dzisiejszym świecie zachowały się wpływy przeszłości.
- Być może - mruknął bez przekonania Akinaga. - Choć z drugiej strony warto pamiętać, że Chosa nienawidzi Linneara i bez przerwy dąży do zwady. Gotów kłamać, byle się zemścić.

Ushiba już dawno zauważył, że po zniknięciu Okamiego coraz częściej dochodziło do nieporozumień między członkami Rady i starał się odgrywać rolę mediatora.

- Każdy z nas zna zapędy Chosy, choć on sam twierdzi, że działa dla wspólnego dobra. Powstaje jednak pytanie, co robił Linnear w zeszłym

miesiącu w Wenecji, gdzie mieściła się główna kwatery Okamięgo?

Akinaga był mocno zaskoczony tą wiadomością i przez dłuższą chwilę nie odpowiadał.

- Dobrze - stwierdził w końcu. - Przyjmuję tę wersję. Na razie. Ale ostrzegam, nie będę stał beczynnie i patrzył na wyczyny Chosy. Nie ma tu miejsca na osobiste porachunki. Trzeba zająć się Linnearem, bo on zagraża bezpieczeństwu Godaishu. - Przerwał na chwilę. - Ani przez moment nie lekceważę drzemiącej w nim siły. Mój ojciec znał jego ojca w pierwszych strasznych latach po klęsce. Nieraz debatowali nad rozwiązaniem jakiejś trudnej sytuacji i muszę przyznać, że do dziś mam głęboki szacunek dla wiedzy i kultury pułkownika. Dobrze pamiętam jego pogrzeb. Pierwszy i ostatni raz widziałem - wówczas łyzy w oczach ojca. Nikt tego nie zauważył, gdyż był w ciemnych okularach, lecz ja stałem tuż obok i z niedowierzaniem obserwowałem grę uczuć malujących się na jego twarzy.

Spojrzał na zwisające z sufitu pokrwawione strzępy sztandarów i uśmiechnął się lekko.

- Jednak syn to nie ojciec. Pułkownik rozumiał potrzebę dopasowania amerykańskich przepisów do japońskiej rzeczywistości, lecz obawiam się, że Nicholas tego nie potrafi. Kieruje się twardym poczuciem honoru. Gdyby urodził się jako samuraj w siedemnastym wieku, nigdy by nie skorzystał z usług ninja dla ominięcia praw bushido. Zginąłby w czasie politycznych potyczek.
- Mimo to radzę najdalej posuniętą ostrożność - ostrzegł Ushiba. - Krążą pogłoski, że jest o wiele silniejszy, niż przypuszczamy. Nie warto budzić z uspienia Upiornego Pajaka. W chwili, gdy Godaishu weszło w ostatnią fazę działań organizacyjnych, nie wolno nam robić nic, co mogłoby nasunąć mu jakieś podejrzenia.
- Być może. Kiedy słucham takich wywodów jak twoje, daijinie, przypomina mi się legendarny Yoshitoshi, pogromca potwora, który zabił dziewięć tysięcy dziewięćdziesięciu dzielnych wojów. Osłabły z ran, zadanych mu we wcześniejszych bitwach, ohydny Pajak nie miał dość siły, by ochronić własne gniazdo ze śpiącym potomstwem. - Głęboko osadzone oczy oyabuna nabrały smutnego wyrazu. - Prawda nie zawsze odpowiada naszym wyobrażeniom.
- Ushiba skinął głową. Chosa twierdził, że odkrył słaby punkt Linneara.
- - Taaak... Nawet Pajaka można zniszczyć.
- Podniósł wzrok na sztandary oddziałów kamikaze i wrócił myślami do starej legendy. Akinaga, wspominając o potworze, mówił o Nicholasie. Ushiba uważał, że treść mitu dobrze pasuje do pułkownika. Nicholas był podobny do dawnych bohaterów - w świecie obłudy i kłamstwa zachowywał niewzruszoną moralność.
- - Nie jesteś o tym zbyt przekonany.
- Ushiba wzruszył ramionami. Było mu zimno i marzył o cieplejszym płaszczu, lecz dawno już postanowił nie okazywać żadnych oznak słabości w kontaktach ze stadem szakali. Gdyby to zrobił, na pewno straciłby wpływy jako doradca.
- Akinaga-san, połowę życia spędziłem na rozmowach z różnymi *iteki*, zwłaszcza z Amerykanami. Nie mam dla nich ani krzty szacunku. W przeciwieństwie do Chosy uważam, że ich kultura ma negatywny wpływ na Japonię. Nicholas Linnear to nie *iteki*. Prawdę mówiąc, w

niczym nie przypomina swych rodaków. Chosa nie potrafił tego zrozumieć.

- Chosa! - Akinaga miał taką minę, jakby podsunięto mu zgniłą rybę. - Z pewnością chciałby zostać nowym kaisho, choć głośno wykrzykuje, że nie wolno oddawać tak wielkiej władzy w ręce jednego człowieka. Nigdy nie pochwalałem jego popędliwości, choć rozumiem motywy, którymi się kieruje. Pomyśl o sławie, jaką mógłby zdobyć, gdyby udało mu się zniszczyć Linneara. Zyskałby znaczną przewagę nad resztą rady.
- Ushiba westchnął w duchu. Akinaga także nie widział prawdziwego zagrożenia. Podobnie jak Chosa, był zbyt uwikłany w rozgrywki personalne, by chłodno rozważyć konsekwencje kolejnej próby zamachu na życie Nicholasa Linneara. Daijin czuł się zmęczony ciągłą walką między oyabunami. Kaisho przynajmniej potrafił utrzymać ich w ryzach. Od czasu gdy zniknął, każdy problem rozważano
- wyłącznie pod kątem indywidualnych korzyści członków rady. Ushiba ze zdziwieniem stwierdził, że brakuje mu Okamiego, choć kilka miesięcy temu należał do jego zagorzałych przeciwników.
- Złożyłem przysięgę jak wszyscy. Na pierwszym miejscu stawiam obowiązki wobec Godaishu. - Wsunął dłonie głęboko w kieszenie płaszcza i zacisnął pięści. - Dzięki Godaishu możemy dokonać tego, co nigdy nie udało się naszym władzom: dominować na wszystkich światowych rynkach, począwszy od sprzedaży mikroprocesorów, a skończywszy na handlu bronią. Od przemysłu naftowego po przemyt narkotyków. Tylko Godaishu może odwrócić bieg rzeczy. Gospodarka Japonii leży w gruzach. Zyski spadają, wiele znanych *keiretsu* podejmuje działania, które jeszcze parę lat temu byłyby wprost nie do pomyślenia. Wystarczy wspomnieć masowe zwolnienia i zamykanie całych zakładów. Co gorsza, wciąż nie znamy rozmiarów spustoszeń w naszym systemie bankowości. Ilu potrzeba ofiar, by kryzys dobiegł końca? Sprytni Amerykanie żądają twardego jena. Głośno krzyczą, iż tylko w ten sposób mogą zmniejszyć deficyt w handlu z Japonią, lecz ja znam prawdziwe powody: twardy kurs jena opóźnia nasze wyjście z recesji, gdyż zamyka przed nami większość światowych rynków. Amerykanie są z tego zadowoleni i chcą jak najdłużej utrzymać nas w parterze.
- Zamęt działa na korzyść Godaishu - zauważył Akinaga. - Nie sądzisz, że krach finansowy daje nam doskonałą szansę pełnego rozwinięcia skrzydeł?
- Owszem - przytaknął Ushiba. - I uważam, że właśnie dlatego warto się skupić wyłącznie na jednym: przejąć kontrolę nad całą światową gospodarką.
- Nocne niebo mieniło się purpurą i czerwienią, jakby przed chwilą umknęło spod bicza. Nicholas pojął po chwili, że widmowa luna znaczyła szlak długiego konwoju pojazdów, sunących szosą w stronę Cu Chi. Dłonią osłonił oczy i ku swemu zdumieniu prócz policyjnych radiowozów zobaczył kilka transporterów opancerzonych.
- Wezwali całą sforę - oznajmił cicho.
- Widzę - odpowiedziała Bay. - Musisz mieć bardzo potężnych wrogów, *chu Goto*.
- Ty także.
- Dziewczyna rzuciła mu ostre spojrzenie.
- - Każdego roku płacę niemałą sumę, aby uwolnić się od kłopotów. - Odwróciła się i

wolno zaczęła schodzić ze wzgórza.

- Byli niecałe trzysta metrów od drogi. Nicholas widział autobus stojący tuż przed blokadą. Szofer, z rękami na głowie, odpowiadał na pytania, a żołnierze, niczym rój mrówek, kręcili się wokół samochodu.
- Jest ich zbyt wielu - mruknęła Bay, jakby do siebie. - Nie uda nam się przedrzeć do Cu Chi.
- W takim razie wracajmy do Sajgonu.
- To niemożliwe. Minęła trzecia. Nim na piechotę dotrzemy do miasta, będzie już całkiem widno i stracimy ostatnią osłonę. Zresztą i tak z tamtej strony pewnie też ustawili blokadę.
- - Nie możemy przynajmniej spróbować?
- Dziewczyna wzruszyła ramionami. Zaczęli schodzić zboczem, z powrotem w stronę Sajgonu. Nie zdążyli przejść nawet stu metrów, gdy Bay pchnęła Nicholasa na rozmięktą ziemię. Wskazała na połyskujące w oddali reflektory samochodów terenowych i ciężarówek.
- - Widzisz? Miałam rację - szepnęła. - Czekają na nas. Tkwimy w kleszczach ogromnej pułapki. Została nam tylko jedna droga ucieczki.
- Zawrócili w kierunku Cu Chi. Nim dotarli na drugą stronę wzgórza, sytuacja uległa zmianie. Nicholas, zagłębiony w *kokom*, pozwolił swym zmysłom swobodnie przeszukiwać ciemność i od razu wyczuł nadciągające niebezpieczeństwo. Przykucnął przy Bay.
- Idą w naszą stronę - oznajmił. Dziewczyna podpełzła na grzbiet wzniesienia.
- Skąd wiesz? Nic nie widzę. Nicholas zamknął oko tanjianina.
- Musisz mi wierzyć. Jest ich co najmniej dwunastu. Pewnie kierowca zdradził, gdzie wysiedliśmy.
- Nie. Nie zrobiłby tego. Jest... - przerwała nagle i zacisnęła palce na jego rękę. - Chodź! - szepnęła niemal bezgłośnie, jakby w obawie przed podsłuchem. - Tędy.
- Nisko pochylona, poprowadziła go prawą stroną stoku. Oddalali się od Cu Chi i ciasnej pętli wietnamskich patroli. Teren wznosił się coraz wyżej, Nicholas poczuł lekko zgniłą woń wilgoci z pól ryżowych. Przeszli jakieś osiemset metrów, po czym Bay skrzyła gwałtownie w lewo. Chwilę później grunt zaczął opadać. Dziewczyna ponownie zmieniła kierunek marszu, zmierzając na powrót w stronę Cu Chi. Nicholas usłyszał plusk wody.
- - Ostrożnie! - ostrzegawczo szepnęła Bay.
- Brnęli po grząskiej, usianej kamieniami skarpie. Kostropate korzenie i przegniłe gałęzie szarpały im ubrania i drapały skórę.
- - Nie ma lepszej drogi? - spytał Linnear. Bay wskazał kciukiem za siebie.
- - Tam w górze znajdziesz twardą równinę. Jedynym problemem jest ciągnące się na przestrzeni trzystu metrów pole minowe. Nawet miejscowi boją się tu zaglądać.
- Krok za krokiem sunęli w dół zdradzieckiego uskoku, aż w końcu dotarli na brzeg rzeki. Musieli iść coraz wolniej, gdyż wąski pas plaży zmienił się w rozmiękłe grzęzawisko. W powietrzu wisiał ciężki zapach tropikalnych roślin, a ciszę nocy mąciło natrętne brzęczenie i buczenie owadów. Przy zakolu koryta, gdzie wywrócony pień do połowy nikał w wodzie, Bay przystanąła i uniosła rękę. Przysiadła na piętach i przez chwilę przypatrywała się drzewu.

- -Masz ochotę popływać? Skoczyła do rzeki.
- Czekala uczepiona najdalszej gałęzi. Woda nie była zbyt głęboka, lecz prąd okazał się zadziwiająco silny. Jakiś ruch przyciągnął uwagę Linneara. Wśród listowia sunął ogromny wąż, lecz na dziewczynie nie wywarło to najmniejszego wrażenia. Uśmiechnęła się kpiąco do swego towarzysza.
- - Jak stracisz równowagę, kładź się na plecy - poradziła. - Nawet się nie domyślasz, jak łatwo tu utonąć.
- Puściła gałąź. Zaczęli mozolną wędrówkę w górę rzeki. Bystry nurt uniemożliwiał pływanie, więc wlekli się po mulistym i grząskim dnie, z trudem pokonując napór wody. Zdaniem Nicholasa przeszli niemal kilometr, nim Bay pchnęła go w stronę płaskiego głazu.
- Czekaj tutaj - powiedziała mu wprost do ucha.
- Co się dzieje?
- Vietcong zbudował wiele przejść wiodących do tuneli pod Cu Chi. Niektóre z nich wychodzą na rzekę. Kłopot w tym, że do dziś nie zostały dokładnie zbadane, a partyzanci VC mieli brzydki zwyczaj zastawiania pułapek.
- Odeszła. Nicholas odprowadził ją wzrokiem. Przez chwilę stała spokojnie tuż przy brzegu, po czym zanurkowała. Nicholas chciał się pozbyć narastającego napięcia, więc zaczął regularnie oddychać, jak podczas medytacji. Otworzył oko tanjianina i natychmiast wyczuł obecność Bay w pobliżu urwistego brzegu. Było tam także ukryte przejście i po chwili zrozumiał, że drzewo zwalone kilkaset metrów wcześniej pełniło funkcję drogowskazu. Jego umysł nie zarejestrował żadnej pułapki, lecz to nie miało większego znaczenia. Nie potrafił wykrywać przedmiotów. Umiał odszukać ścieżkę w zupełnej ciemności, lecz prawdziwa natura rzeczy wykonanych ręką innego człowieka wciąż pozostawała poza jego zasięgiem. Wyczuwał za to złowrogą obecność śmierci. Pomyślał o swej żonie, Justine, która kilka miesięcy temu zginęła w wypadku samochodowym. Nie mógł przeboleć, że ich ostatnie spotkanie zakończyło się kłótnią. Nawet teraz nie wiedział, gdzie szukać ukojenia. Popelniono zbyt wiele zła. Pozornie zabliznione rany jątrzyły się wewnątrz ciała, docierały do kości i tam, ukryte przed wzrokiem innych, powodowały nieopisane cierpienia. Piękna Celeste, którą poznał i pokochał w czasie, gdy próbował chronić Okamiego, wróciła do Wenecji. Po przykrych doświadczeniach z Justine nie chciał jej namawiać, by wbrew swej woli została w Japonii. Gdzie był w chwili, kiedy płomienie ogarniały samochód Justine? W ramionach Celeste, a może... Najgorsze, że nie wiedział. Bay już dość długo przebywała pod wodą, lecz Nicholas wcale się tym nie przejmował, gdyż i on potrafił doskonale panować nad oddechem. Zmysł tanjianina ostrzegłby go od razu, gdyby dziewczyna potrzebowała pomocy. W końcu wynurzyła się na powierzchnię, przetarła oczy i popatrzyła na niego.
- - Czysto. Idziemy.
- Gdy zaczęli płynąć, chwycił ją za kostkę. Jak przez mgłę dostrzegł małe
- drewniane drzwi. Wśliznął się w czerniejący za nimi otwór. Płynąca przodem Bay zawróciła, by zamknąć wejście. W ciasnym tunelu ledwie starczało miejsca dla dwojga. Nicholas czuł, jak dziewczyna przeciska się obok niego; ciepło bijące od jej ciała ogrzewało wodę. Pociągnęła za żelazny pierścień w drugim końcu komory, uchyliła kolejne drzwi i po chwili oboje znaleźli się w suchej jamie wypełnionej zatęchłym, lecz zdatnym do oddychania

powietrzem.

- - Dalej - zakomenderowała Bay.
- W jej dłoni błysnął promień światła z mikroskopijnej latarki. Nicholas musiał przyznać, że pomyślała o wszystkim, nim pojawiła się w hotelu. Smuga blasku przesunęła się po ścianach tunelu i na mgnienie oka wydobyła z mroku dziwnie wyglądającą czaszkę. Bay bez pośpiechu kontynuowała oględziny. Nicholas doszedł do wniosku, że podziemny korytarz ma najwyżej dziewięćdziesiąt centymetrów wysokości i sześćdziesiąt szerokości. Promień zatrzymał się w miejscu, gdzie połyskiwało coś na kształt jedwabistej pajęczej sieci.
- Jest - szepnęła dziewczyna. - Prawie na wysokości kolan. Pułapka.
- Za nią może być druga. Na wszelki wypadek - stwierdził Nicholas. Bay rzuciła mu przelotne spojrzenie i pokiwała głową. Musnęła palcami
- ścianę po jednej i po drugiej stronie tunelu. Plama światła znieruchomiła na niewielkim wybrzuszeniu.
- - Granat. Nawet gdybyś się nie potknął o drut, mógłbyś stracić obie nogi. Pokazała Linnearowi, jak ominąć przysypane ziemią detonatory. Kolejno
- przeszli nad drutem, cały czas pełzając jak najbliżej środka korytarza. Bay znów się zatrzymała. W świetle latarki zabłyszczał szkielet dużego psa, dawno już oczyszczony z mięsa przez stada małych drapieżców, buszujących po tunelach Cu Chi. Czaszka wyglądała tak samo, jak widziana poprzednio.
- - Owczarek alzacki - wyjaśniła Bay, przechodząc nad stosem kości. - Amerykanie używali psów do penetracji tuneli. Bez większych efektów. Vietcong rozsypywał pieprz, rozrzucał mundury zdarte z zabitych żołnierzy i zwierzęta traciły orientację. Niektórzy partyzanci myli się amerykańskim mydłem, by zmienić zapach. - Trzymała latarkę nieruchomo, póki Nicholas nie minął szkieletu. - Biedne kundle. Nie wyczuwały pułapek, ginęły lub były poważnie ranne, aż w końcu zaniechano tej metody.
- Zaczęli piąć się, po prymitywnych schodach wykonanych ze zmurszałych korzeni i twardo ubitej ziemi. W gęstym powietrzu narastał słodki, mdlący odór. Bay przystanąła, odwróciła głowę i powiedziała cicho:
- - To nie jest najprzyjemniejsze miejsce, lecz właśnie dlatego je wybrałam. Obecne władze Wietnamu niewiele wiedzą o podziemnych kryjówkach. Panuje powszechna opinia, że amerykańskie bombowce B-52 zniszczyły większość tuneli. Nieprawdą. Niższe poziomy były dobrze chronione przez ziemię i warstwę piaskowca.
- Weszli do obszernej komory, przypominającej przedsionek piekła. Światło latarki co chwilę wydobywało z ciemności ludzkie szczątki, zastygłe przy zwykłych, codziennych czynnościach, jakby nigdy nie dotarło tu echo wojny. To właśnie było najbardziej przerażające. Nie kości wroga, lecz resztki banalnego dnia, gdy ludzie gawędzili w małych grupach, drzemali na prostych posłaniach, przycupnięci gotowali posiłek lub po prostu wypoczywali oparci o ziemną ścianę. Nicholas okiem tanjianina widział nie tylko te szkielety, na które padał wąski promień blasku, lecz także inne, wszystkie, jakie zostały pogrzebane w ogromnej mrocznej nekropolii. Pod natłokiem obrazów odczuwał zawroty głowy, jakby martwi żołnierze wciąż posiadali zasób sił i energii, a nie byli jedynie częścią historii.

- Tu jesteśmy bezpieczni - odezwała, się Bay, idąc w głąb tunelu. - Wojsko i policja nie wejdą za nami, nawet jeśli zaczną coś podejrzewać.
- Dlaczego?
- Wiedzą, że możemy kryć się tu miesiącami, nie pozostawiając po sobie żadnych śladów. Poza tym” nawet dla nich, każda wyprawa w głąb tuneli wiąże się z dużym ryzykiem. Sam widziałeś, że niektóre pułapki wciąż działają. Niemal każdy korytarz może okazać się naładowaną armatą.
- A gaz łzawiący? Mogliby użyć granatów...
- Nawet im to nie-przyjdzie do głowy. Sieć komór jest dobrze wentylowana i nie ma najmniejszej szansy, by gaz dotarł do wszystkich pomieszczeń.,
- Nicholas pokręcił głową.
- - Mimo. to wolałbym teraz siedzieć w zarobaczonym pokoju w hotelu Anh Dan.
- Bay popatrzyła na niego z uśmiechem.
- - Właśnie....
- Obróciła latarkę, przykucnęła i zaczęła strącać mu z kostek, łokci i karku nabrzmiałe krwią pijawki.
- - Za kilka chwil wyczułbyś ich obecność. - Wykonała nieokreślony ruch ręką. - Lepiej się rozbierz.
- Nicholas poszedł za jej radą. Ciemne, błyszczące oczy dziewczyny spoglądały na niego z chłodną lekarską ciekawością.
- - Masz piękne, wysportowane ciało. Długie i smukłe mięśnie, jak u pływaka - stwierdziła z wyraźną fascynacją. - W niczym nie przypominasz ociężałego biznesmena lub kogoś, kto zajmuje się szpiegostwem przemysłowym. Przejrzałam cię, *chu Goto*. Wiem, kim naprawdę jesteś.
- Dostrzegła jeszcze jedną pijawkę na wewnętrznej stronie jego uda. Nicholas poczuł dreszcz przebiegający po karku, gdy palce dziewczyny lekko musnęły mu skórę. Po chwili uniosła głowę.
- - Nie wstydzisz się swego ciała, więc chyba nie będziesz protestował, gdy zobaczysz moje.
- Podawała mu latarkę i ściągnęła mokre ubranie. Okazała się młodsza niż przypuszczał, najwyżej dwudziestoletnia. Miała cudownie ukształtowaną sylwetkę, lecz nie była bez skazy. Na pośladkach jej skórę szpeciły długie blizny. Nicholas oderwał pijawkę przysaną do pleców dziewczyny, po czym przyłożył palec do zasklepionej rany.
- Co się stało?
- Naprawdę chcesz wiedzieć? - Stała tyłem, więc jej głos ginął, dławiony przez pulsującą ciemność tunelu.
- Nie, jeśli nie lubisz o tym mówić.
- Myślałam o tobie. - Wzięła głęboki oddech. Nicholas nie odpowiadał” więc dodała: - Ktoś stał się... jakby to powiedzieć?
- - Gwałtowny?
- - Rozpalony.

- Nicholas zastanawiał się przez chwilę.
- W takim razie... zrobił to naumyślnie.
- Tak.
- Kochanek.
- Obróciła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.
- Znów próbujesz mnie-sądzić, *chu Goto*?
- Raczej nie.
- Naprawdę? - Poruszyła się lekko, światło latarki zamigotało w jej oku, lecz druga połowa twarzy pozostawała ukryta w cieniu.
- Znakomicie odegrałaś rolę mężczyzny - powiedział Nicholas. - Mogę cię tylko za to podziwiać.
- Uśmiechnęła się drwiąco. W jej zachowaniu nie było nic z cynicznego znużenia, a mimo to dawało się wyczuć, że niejedno widziała w swym młodym życiu. Oczy miała takie jak ktoś, kto zbyt długo wpatrywał się w gorejące serce hutniczego pieca.
- - W najgorszym wypadku przydadzą się do zaspokojenia głodu – mruknęła, rozgniatając piętą każdą pijawkę.
- Nicholas wolał o tym nie myśleć.
- Zgodziłaś się, by cię pobił?
- Zabrzmi dziwnie, gdy powiem „tak”, a prawdziwa Odpowiedź jest znacznie bardziej skomplikowana. - Spojrzała w mrok, jakby próbowała wychwycić odległe echo. Linnear zrozumiał po chwili, że wsłuchiwała się w przeszłość. - Chodziło o ból. O... namacalny dowód. Blizny nie mają nic do rzeczy.
- Co daje ból?
- Poczucie rzeczywistości.
- W martwej ciszy słyszał stłumione uderzenia kropel, które kapały mu z ciała, płynęły po czerwonawej ziemi, prześlizgiwały się przez stos zbieleńskich kości i ginęły gdzieś wśród szponiastych korzeni wystających ze ścian tunelu. Przerazała go ta dziewczyna, jeszcze niedawno ledwie nastolatka, potrzebująca tak silnych bodźców, by czuć i pamiętać. Było mu przykro, lecz instynktownie wiedział, że zareagowałaby gniewem
- na każdy objaw współczucia. Nie szukała pociechy, raczej traktowała ją niczym wroga, którego czym prędzej trzeba unieszkodliwić. Osuszili ubrania nad starym piecykiem, zwanym potocznie „kuchnią z Dien Bieñ Phu”, używanym dawniej przez partyzantów Vietcongu do przygotowywania posiłków. Skomplikowana sieć przewodów odprowadzała dym daleko od tunelu. Drewna na rozpałkę mieli w bród, a metalowa zapalniczka dziewczyny na szczęście nie zamokła w czasie przeprawy przez rzekę. Przycupnęli w ciemnościach, nadzy, niespokojni, wsłuchani w mowę duchów, niepewni co dalej. Nicholas usiłował nie patrzeć na piersi Bay, unoszące się lekko przy każdym oddechu.
- Po co mnie tu przyprowadziłaś?

- Jesteśmy mniej więcej w połowie drogi. Czekał, że powie coś więcej, lecz milczała.
- Skąd dokąd?
- Z Sajgonu do... - Uśmiechnęła się, by złagodzić lekceważące wzruszenie ramion. - Nieważne. Abrammanow zgodził się spotkać z tobą tutaj i nigdzie indziej. Wolał się nie narażać.
- To on pracował dla Tina i w oparciu o skradziony mikroprocesor zbudował piracką wersję komputera?
- Bay osmoloną gałęzią grzebała w palenisku.
- - Jest jedynym człowiekiem w promieniu ośmiu tysięcy kilometrów, który potrafi to zrobić.
- Nicholas nie spuszczał z niej wzroku.
- Z rozmysłem unikasz odpowiedzi? To był Abrammanow?
- Tak - odpowiedziała cicho, takim tonem, jakby poczuła na skórze rozpalone żelazo.
- O co chodzi? Potrzęsnęła głową.
- Nie pytaj.
- Dlaczego?
- Na chwilę zamknęła oczy. Potem spojrzała w bok, lecz nie dość szybko, by Nicholas nie zauważył łzy płynącej po jej policzku.
- Chcę ci powiedzieć, ale wiem, że mi nie uwierzysz.
- Spróbuj.
- Musnęła policzek wierzchem dłoni, lecz gdy ponownie popatrzyła na Linneara, na jej twarzy gościł znajomy uśmiech.
- Nie. Zbyt mało mi ufasz. Pamiętam słowa matki, że największym błędem jest mówić do kogoś, kto nie potrafi słuchać.
- Z uwagą przyjmuję wszystko, co mówisz.
- Pić mi się chce.
- Zniknęła w ciemnościach. Po chwili wfóciła z amerykańskim hełmem wypełnionym - wodą. Postawiła go na piecyku.
- - Twój przyjaciel Tinh zaglądał tu bardzo często - powiedziała, patrząc w ogień.
- Wiesz przecież, że nie był moim przyjacielem.
- Myślę, że go nie znałeś. - Zerknęła na hełm. - Tu właśnie po raz pierwszy spotkał Abfamanowa... i innych. Lubił to miejsce. Dobrze się czuł w posępnej ciemności. Raz wyznał mi z podnieceniem, że bliska obecność śmierci uświadamia mu prawdziwy smak życia.
- Nicholas drgnął na dźwięk słowa „wyznał”. Podziemny świat Cu Chi z wolna zdejmował maskę i ujawniał prawdziwe oblicze.
- - Trudno ocenić, skąd czerpał energię - ciągnęła Bay. - Nie znał ojca i matki, nie wiedział, gdzie się urodził. Dorastał na ulicach Sajgonu i dwukrotnie był bliski śmierci, raz z

ręk miejscowego gangstera, raz w czasie ataku Amerykanów. Nie wiem, kogo bardziej nie cierpiał.

- Wstała, ujęła w dłonie jakąś część przeschniętego ubrania i zdjęła hełm z ognia.
- Karmił się nienawiścią. Chłonał ją całym ciałem i duszą. Tropikalne mikroby, żyjące w wodzie, już dawno zdążyły się wygotować.
- Zabierał cię tutaj? - spytał Nicholas.
- Bez trudu zrozumiał, że Bay była kochanką Vincenta. Tinh nie miał przyjaciół i nie należał do ludzi, którzy zwierają się ze swych uczuć partnerom w interesach. Na każdego przychodzą jednak chwile, gdy szczerą spowiedź jest jedynym lekarstwem dla duszy. Tinh nie mógł wybierać. Komu miał wyznać prawdę, jeśli nie tej, z którą dzielił postanie?
- - Nawet często, - Bay sprawdziła palcem, czy woda dostatecznie ostygła. - Uwielbiał kochać się właśnie tutaj.
- - A ty?
- - Seks w jego wydaniu był... ekstatyczny. Miejsce nie miało znaczenia.
- Nawet tak... nabrzmiałe, jak tu gdzie jesteśmy? Bay podała mu hełm, by ugasił pragnienie.
- Chciałam, żeby czuł się szczęśliwy.
- Nicholas przełknął kilka łyków, po czym zwrócił jej zaimprovizowane naczynie. Przeprowadzona woda była beż smaku, lecz działała orzeźwiająco. W milczeniu patrzył na pijącą dziewczynę. W głowie kłębiły mu się pytania, lecz wszystkie wiodły w jednym kierunku, a zdołał się już nauczyć, że do Bay można dotrzeć jedynie okrężną drogą.
- - Jak ty znajdowałaś zadowolenie? Przesunęła dłonią po gęstych włosach.
- - To było podobne do bólu. Zachowywał się naturalnie. W chwilach szczęścia... prawdziwego szczęścia, a nie pod wpływem prochów lub alkoholu, postępował całkiem inaczej niż zwykle. Wiedziała, że' mu się podobam. Czułam, jak podniecenie pulsuje mu tuż pod skórą. Na co dzień nosił maskę ulepioną z fragmentów przeszłości: ze strachu, gniewu, ubóstwa i przeraźliwej samotności. Tylko ja jedna zdołałam zobaczyć jego prawdziwe oblicze.
- Nicholas siedział na piętach, - pogrążony w zadumie. Doskonale rozumiał, co działo się w duszy dziewczyny, Los podarował jej władzę, niedostępną na ogół dla kobiet jej rasy. Inne dziewczęta sprzedawały się na ulicach, wciąż narażone na syfilis, zapalenie wątroby, AIDS i przedwczesną śmierć.
- Nagle drgnął. Uświadomił sobie, że dramat, jaki rozegrał się między Bay i Tinem, znajdował odbicie w obecnej rzeczywistości. Teraz Bay nosiła maskę zmarłego kochanka i nikt prócz niego nie widział, co pod nią skrywała.
- Od jak dawna jesteś sama? - spytał w końcu.
- Starczy. - Zagryzła wargi. - Daj mi spokój.
- Nicholas sięgnął po swoje spodnie. Były już całkiem suche, więc zaczął się ubierać.
- - Kiedy przyjdzie Abramow? Bay popatrzyła na zegarek.
- - Prawdę mówiąc, powinien już być. - Wzięła ubranie. - Lepiej sprawdzimy, co się z nim

dzieje. - Wskazała przed siebie. - Tam, czterysta metrów dalej, jest punkt kontaktowy. Abramow na pewno zostawił wiadomość, jeśli z jakiegoś powodu musiał odwołać spotkanie.

- Gdy ruszyli ciasnym tunelem, podziemny świat Vietcongu ponownie zamajaczył w bladym świetle latarki. Nicholas zauważył, że idą w stronę ściany i z ciekawością czekał, co będzie dalej. Bay przyklękła, chwyciła metalowy pierścień i dźwignęła klapę. Wśliznęła się w wąski otwór. Nicholas podążył za nią. Zeszli na niższy poziom. Droga była zupełnie czysta. Linnear czuł coraz większy podziw dla projektantów i budowniczych rozległego labiryntu. Wędrowali dalej. Przez cały czas towarzyszyły im ludzkie szczątki; miasto duchów zdawało się nie mieć końca. Wreszcie dotarli do punktu kontaktowego. Nikt na nich nie czekał. Bay uklękła i przesunęła ręką pod połamaną pryczą.
- - Nic tu nie ma.
- Po raz pierwszy w jej głosie zabrzmiała nuta strachu. Dotychczas z niemal nadnaturalnym spokojem przyjmowała wszystkie przeciwności losu. Czyżby w jej ciemnych oczach zagościł cień przerażenia?
- - Gdzie Abramow? Nie mam pojęcia, co się z nim stało.
- Może się spóźnia z powodu blokady. Pokręciła głową.
- Wejście do tunelu jest dość daleko, Za żołnierzami.
- - Podstęp? Też o tym nie wiedziałaś? - Nicholas chwycił ją za łokieć i postawił na nogi. - Czas na kilka pytań.
- W tej samej chwili postłyszał jakiś szelest.
- - Ktoś idzie! - szepnęła Bay. Zgasiła latarkę. - Tędy! Szybko!
- Ukryli się za stosem ziemi, potrzaskanych kamieni i szkieletów. Zapach stęchlizny był równie mocny jak nieprzyjemny. Nicholas leżał tuż obok Bay. Bez trudu wyczuwał jej napięcie. Kątem oka dostrzegł słaby błysk metalu, więc nieznacznie zmienił pozycję, by lepiej widzieć. Dziewczyna trzymała w lewej ręce nóż o szerokim płaskim ostrzu; okrutny ka-bar, używany przez piechotę morską, z łatwością przecinający tkankę miękką i kości. Wlepiała wzrok w ciemność. Nicholas poszedł za jej spojrzeniem i po chwili
- zobaczył, na co patrzyła. W mrocznym tunelu sunęła jakaś postać. Żołnierz. Mimo wszystko nie obawiali się schodzić w podziemia. Umysł Linneara zalała emanująca od dziewczyny fala gniewu. Odczytał jej zamiary, nim zdążyła się ruszyć. Mógł ją powstrzymać, lecz po co? Wiedział, że zaczęłyby się szarpać, a to tylko zdradziłoby ich kryjówkę. Pozwolił jej odejść i po cichu podpełznął za nią, gdyż okiem tahjianina dostrzegł coś, czego ona nie mogła zauważyć.
- Sunęła jak kot, mała i cicha. Wbiła nóż w brzuch niczego nie podejrzewającego żołnierza i z zadziwiającą siłą szarpnęła ostrze ku górze. Krew popłynęła szeroką - strugą..
- Wietnamczyk ze zduszonym krzykiem osunął się po ścianie tunelu. Bay niemal w tej samej chwili zobaczyła tuż przed twarzą ziejący otwór lufy pistoletu maszynowego. Była bezbronna, gdyż jej ka-bar tkwił po rękojeść w martwym ciele. Rozwarła szeroko oczy ze strachu i zdumienia. Nicholas skoczył na drugiego żołnierza. Automat głucho stuknął o ziemię, podziemnym korytarzem wstrząsnęła seria wystrzałów. Nicholas uderzył przeciwnika w splot słoneczny, pozbawiając go oddechu, po czym kantem dłoni zmiażdżył mu grdykę. Żołnierz upadł i znieruchomiał. Z otwartych ust wyciekała krew zmieszana ze śliną.

- Co tu się dzieje? - warknął Linnear. - Mówiłaś...
- Wiem, co mówiłam. - Bay zapaliła latarkę. Pospiesznie wycofała się w głąb tunelu. - Nic z tego nie rozumiem. Wpadliśmy w potrzask. Musimy natychmiast uciekać.-
- Co parę kroków postukiwała w sufit zakrwawionym ostrzem noża. Za czwartym razem przystanąła i pchnęła na bok dwie belki. Pojawił się otwór. Wpełzła na górę. Nicholas rozejrzył się szybko i poszedł w jej ślady. Bay była już kilkanaście metrów dalej. Zakłęła pod nosem po wietnamsku. Nicholas stanął przy niej i zobaczył, że dalszą drogę blokuje świeżo wzniesiona ściana. Zawrócili. W końcu dziewczyna odkryła jakieś przejście i przedostali się na kolejny poziom. Brakowało powietrza, zewsząd unosił się wilgotny zaduch pleśni. Nicholas podejrzewał, że Bay nie była wcześniej w tej części labiryntu. Szli w milczeniu. Gdzieś z tyłu wciąż dochodziły groźne, szeleszczące dźwięki. Przyspieszyli kroku. Nicholas obrócił głowę i okiem tanjianina próbował odnaleźć przyczynę hałasu. Nagle usłyszał zdławiony jęk dziewczyny. Bez namysłu podbiegł w jej stronę. Porzucona latarka widmowym blaskiem oświetlała całą scenę. Bay leżała rozciągnięta na ziemi. Między nogami miała niewielki pojemnik.
 - - Nie podchodź! - zawołała. - Ani kroku! Na miłość boską, nie... Rozległo się ciche *puf!* i w mroku zamigotało jaskrawe, biało-zielone
 - światło. Nicholas poczuł na twarzy żar palącego słońca.
 - - O Buddo... - jęknęła dziewczyna. - Buddo, nie...
- Nicholas sądził, że złamała nogę, lecz zerwała się z ziemi i skoczyła na niego, prawie go przewracając. Z panicznym przerażeniem spoglądała na swoje lewe udo, gdzie duży płat skóry zdawał się płonąć. Zerknęła na Linneara, po czym wcisnęła mu w dłoń ka-bar.
- Szybko! - wydyszała. - Wytnij to!
- Co takiego?!
- Potknęłam się o niewypał wypełniony białym fosforem. Amerykański „Cwany Piotruś”. Obsypał mnie. Jeśli nie wytniesz skóry, przepali mi nogę na wylot.
- Nicholas słyszał o ranach wywołanych działaniem fosforu i wiedział, że miała rację.
- - Złap mnie za szyję i trzymaj się!
- Przytknął ostrze noża do poparzonego ciała i mocno nacisnął. Bay westchnęła głośno, łzy pocięły jej po policzkach. Z całej siły przywarła do Nicholas. Zawodziła przez zaciśnięte zęby. Nicholas długimi, głębokimi cięciami kroił jej nogę, aby usunąć fosfor i spaloną tkankę. Bay wywróciła oczami-i zemdląca. Najlepsze, co mogła zrobić w tej sytuacji - pomyślał. Czubkiem noża wykrawał poczerniałe kawałki mięsa w miejscach, gdzie biały proszek wnikał w głąb ciała. Żar był niemal nie do zniesienia.
- - Dobrze byłoby mieć pod ręką kuchnię z Dien Bieñ Phu, żeby wypalić ranę - mruknął do siebie Linnear.
- Podarł koszulę, zrobił prymitywny opatrunek i jak mógł najlepiej zabandażował nogę dziewczyny. Dokąd teraz? Bez Bay łatwo mógł zginąć w posępnym labiryncie. Nie chciał siedzieć i czekać na żołnierzy, gdyż to równało się pewnej śmierci. Postanowił wrócić po śladach i odszukać korytarz wiodący do podwodnego wejścia. Po dwóch godzinach dotarł do miejsca, gdzie przed pajęczą połyskującym drutem pułapki leżał szkielet owczarka alzackiego.

Przez większość czasu niósł Bay na ramieniu. Drobnym ciałem dziewczyny wstrząsały spazmatyczne drgawki. Wciąż była w szoku. Chciał jej jakoś pomóc, lecz najlepsze, co mógł zrobić, to czym prędzej wynieść ją z tunelu. Na chwilę zatrzymał się w największej komorze, przy palenisku. Zastanawiał się, czy nie zrobić dłuższego postoju, lecz umysł, którym ciągle przeszukiwał ciemność, znów go ostrzegł przed obecnością żołnierzy. Ani przez moment nie tracąc czujności, pospiesznie wycofał się z niebezpiecznego terenu. Posadził Bay tuż przy szkielecie, blisko drutów. Była blada i wciąż jeszcze nie odzyskała przytomności. Wniknął umysłem w jej jaźń. Straciła wiele krwi, a szok wywołany przeprowadzoną naprędce operacją nadal nie ustępował. W ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin musi trafić do szpitala, gdyż tylko staranne przemycie rany i odpowiednia dawka antybiotyków mogą uchronić ją przed gangreną. Przy odpowiedniej koncentracji udało mu się zmniejszyć liczbę chorobotwórczych bakterii pieniających się wokół rany, lecz nie potrafił jej uzdrowić. Ostrożnie przeszedł nad drutem. Pochylił się i podniósł dziewczynę. Zamarł. Kątem oka spostrzegł, że łokciem opierała się o wystającą z ziemi zawleczkę zakopanego granatu. Powoli odsunął ją od siebie. Ręka opadła z zawleczki. Nic się nie stało. Nicholas poprawił uchwyt, przeniósł Bay nad pułapką i ponownie posadził na ziemi. Wśliznął się w otwór i natychmiast po pas znalazł się w zimnej wodzie. Pociągnął za sobą dziewczynę. Nie miał pojęcia, jak długo w tym stanie mogła wytrzymać w zanurzeniu. Nie było miejsca na błędy; musiał działać zdecydowanie i szybko. Nie po to targał ją tak daleko, by utonęła na ostatnim etapie ucieczki. Pod wodą mógł polegać wyłącznie na intuicji. Wierzył, że bezpiecznie zdoła pokonać podwójną śluzę i wydostać się do rzeki. Bay ciążyła mu niczym worek, ciągnęła w dół i krępowała ruchy. Wokół wirowały kawałki przegniłego drewna i muł uniesiony z dna rzeki. Nagle prąd stał się o wiele silniejszy i Nicholas zrozumiał, że dotarli do głównego nurtu. Wystawił głowę nad wodę i skierował się w stronę drugiego brzegu. Bay zaczęła gwałtownie kasłać, lecz z ulgą stwierdził, że nie wymiotowała krwią. Chłód spowodował, iż odzyskała przytomność. Zaczęła jęczeć, bo ból wywołany raną przedarł się przez barierę omdlenia. Nicholas otworzył oko tanjianina i skierował swój umysł w te miejsca jej organizmu, które w najbardziej naturalny sposób wpływały na zmniejszenie cierpienia.

- Boże... - szepnęła zbolalym głosem. - Co się stało?
- Fosfor. Udało mi się go usunąć.
- Zamknęła oczy i odwróciła w bok głowę. Dyszała ciężko, wyczerpana torsjami. Gdy tkwili pogrzebani żywcem w tunelach Cu Chi, noc dawno dobiegła końca. Niebo przybrało różowy odcień zmieszany z jasną zielenią. Rozległy się głosy ptaków, wśród traw pobzykiwała dzienna zmiana owadów. Poranny powiew przyniósł mocny zapach eukaliptusów, porastających zgliszcza wypalone przez defolianty. Nicholas dotknął ramienia dziewczyny.
- Wiem, że jesteś zmęczona, ale nie ma czasu na odpoczynek. Zabiorę cię do lekarza.
- Nie musisz się o to troszczyć - zabrzmiał głęboki głos ze szczytu skarpy. - Teraz ja przejmę dowództwo.
- Linnear podniósł głowę. Obcy trzymał w dłoni pistolet, lecz mierzył w ziemię. Choć nosił mundur sajgońskiej policji, otaczało go kilkunastu żołnierzy. Szczupły, niezbyt imponującej postury, jeśli ktoś mierzył ludzi wyłącznie po wyglądzie. Miał chytrą twarz, żółte oczy i zęby.

Shindo opisał go prawidłowo: rzeźmieszek z zapadłej dzielnicy. Główny inspektor Hang Van Kiet.

- - Wstawać! Oboje! - rozkazał ostro.
- Jestem obywatelem...
- Powiedziałem wstawać! - Wietnamczyk uniósł pistolet. Nicholas wyprostował się i podtrzymał Bay. Zachwiała się z jękiem.
- Na miłość boską, widzisz przecież, że jest ciężko ranna! Musiałem wyciąć z jej uda płonący fosfor. Umrze, jeśli na czas nie trafi do szpitala.
- Naprawdę?
- Van Kiet zszedł ze skarpy i z bliska spojrzął na bladą, ściągniętą twarz *dziewczyny*. *Dźgnął* lufą pistoletu zakrwawiony opatrunek. Krzyknęła, bliska omdlenia. Van Kiet uśmiechnął się tajemniczo i zerknął na Linneara.
- - To, czy będziecie żyć, czy umrzecie, zależy wyłącznie ode mnie. Zrozumiano?
- Nicholas milczał, lecz Van Kiet i tak nie oczekiwał odpowiedzi.
- Zostaliście zatrzymani na strzeżonym terenie. Po co łaziliście po tunelach?
- Chcieliśmy trochę pozwiedzać.
- Nicholas cały czas utrzymywał kontakt z umysłem Wietnamczyka i zauważył ruch pistoletu, lecz nic nie ostrzegło go przed strzałem. Huk przetoczył się echem nad brzegami rzeki. Bay jak szarpnięta upadła, brocząc krwią z piersi. Boże, naprawdę do niej strzelił! Linnear skoczył z a dziewczyną, przyklęknął obok miejsca, gdzie leżała wpół zanurzona w wodzie. Powoli obrócił ją twarzą do góry.
- - Myślałeś, że to żarty, koleś? - surowo spytał Van Kiet. - Stawiam ci zarzut szpiegostwa na niekorzyść suwerennej Republiki Wietnamu.
- Bay wciąż oddychała, lecz krew bulgotała jej w ustach. Inspektor nie strzelał na postrach; chciał ją zabić.
- - *Chu Goto...* - odezwała się szeptem tak cichym jak szmer wiatru w nadbrzeżnym sitowiu.
- - Muszę... - Nicholas pochylił głowę tak, że niemal dotknął uchem ust Bay. Był świadom walki, jaka toczyła się w jej ciele: serce pracowało z mazołem, płuca wypełniały się śluzem. Dręczyła go rozpaczliwa świadomość, że to on przyczynił się do jej śmierci.
- ...ci powiedzieć...
- Zabierzcie go od niej! - krzyknął *stojący z tyłu* Van Kiet.
- ...słyszałeś...
- Żołnierze zaczęli zbiegać po błotnistej skarpie.
- ...słyszałeś o Pływającym Mieście...? Lufy karabinów mierzyły w plecy Nicholasa.
- Wstawaj! - darł się Van Kiet.
- Tunel... jest w połowie drogi między Sajgonem i Pływającym Miastem. Brutalne

szarpięcie oderwało Linneara. od umierającej. Szczurza twarz

- Wietnamczyka była ciemna z Wściekłości.
- - Słuchaj, amerykański kutasie, dla mnie jesteś mordercą i szpiegiem. Możesz pożegnać się z życiem!

3

- CONNECTICUT / NOWY JORK / SAJGON Wujek Lew! Wiotka, wysoka nastolatka rzuciła mu się w ramiona.
- Nie myślałam, że znów cię zobaczę! - wołała, tuląc się z całej siły.
- Przecież obiecywałem, że wrócę, prawda? Francine przytaknęła i położyła mu głowę na piersi.
- Croaker wołał nie myśleć o czekającym go bolesnym zadaniu, choć z drugiej strony nie potrafił skupić uwagi na niczym innym. Nie miał przewrotnej natury, lecz wszystko zmieniło się od czasu, gdy w jego życie wtargnęła Margaritę Goldoni DeCamilló. Prowadził śledztwo w sprawie śmierci jej brata, Dominika Goldoniego, najpotężniejszego i najbardziej wpływowego mafiosa we wschodniej części Stanów Zjednoczonych. Ku własnemu zdumieniu pokochał piękną Wenecjanę. Francine była jej córką. Dziewczynka wprowadziła go do urządzonego w rustykalnym stylu salonu. Na razie mieszkała z przyjaciółką matki. Była bulimiczką, chorą od chwili, gdy zrozumiała, że rodzice się nienawidzą i że Margaritę jest systematycznie bita przez męża, Tony'ego DeCamilló. Croaker w zeszłym roku postarał się, by Francie zaczęła walczyć ze swą przypadłością. Zostali dobrymi przyjaciółmi, co jeszcze bardziej denerwowało Tony'ego.
- - Ale ekstra, że przyjechałeś! - Francie ani na chwilę nie puszczała jego dłoni. - A jeszcze fajniej, że właśnie dzisiaj, bo...
- W tej samej chwili w drzwiach ukazała się Margaritę. Stała w pół kroku na widok Croakera. W jej oczach odbiło się niedowierzanie. Uśmiechnęła się z niekłamaną radością, lecz zaraz spoważniała.
- - Lew - powiedziała niskim, melodyjnym głosem. - Co za niespodzianka...
- Niedomówienie warte głębszej refleksji. Ostatni raz widzieli się tuż przed Nowym Rokiem, na lotnisku Narita, w Tokio. Croaker odprowadził ją, gdy odlatywała do Stanów. „Jeśli chcesz wiedzieć - powiedziała wówczas - to umrę z tęsknoty, jeśli cię nie zobaczę”.
- „Przecież to ty wyjeżdżasz - odparł ze ściśniętym sercem. - Wracasz do Tony'ego”. Jej bursztynowe oczy zaszyły łzami. „Byłoby znacznie prościej, gdybyś mi powiedziała, jak nawiązać kontakt z Nishikim”. „To jedyna spuścizna Dorna. Siad władzy, jaką posiadał. Nie mogę jej oddać nikomu, nawet tobie”. Teraz, ubrana w dżinsy, kowbojskie buty i gustowną skórzaną kurtkę, wyglądała jeszcze piękniej niż przedtem. Widok jej twarzy, kształtnego nosa, pełnych ust i niespotykanych jantarowych oczu, sprawił Croakerowi radość graniczącą niemal z bólem.
- Cześć, mamo.
- Cześć, cukiereczku. - Margaritę uśmiechnęła się do córki. - Jak tam?
- Superosko! - Francie z dziecinną radością przytuliła się do Croakera. Lew wsparł dłoń na ramieniu dziewczynki, jakby nie chciał się rozstawać

- z tym dzieckiem. Dlaczego? Może traktował ją jak tarczę, chroniącą go przed uczuciem, jakie wzbudzał w nim widok Margaritę? Francie popatrzyła na matkę, potem na detektywa.
- - Idę coś zjeść. Gdyby ktoś jeszcze był głodny, to tam jest kuchnia. - Wskazała drzwi po lewej stronie i już jej nie było.
- Margaritę weszła do salonu. Położyła na kanapie torebkę i kluczyki od samochodu.
- Nie wiedziałam, że wróciłeś z Japonii. Kiedy...
- Parę miesięcy temu.
- Rozumiem. - Spuściła głowę. - I nawet nie zadzwoniłeś.
- Margaritę...
- Ruszył w jej stronę, lecz stanął po pierwszym kroku, gdyż wciąż nie mógł zapomnieć tego, co zrobił. Kiedy tylko wróciła z Tokio kazał otoczyć ją ścisłą obserwacją. Nicholas dał mu nazwisko nowojorskiego agenta, pracującego czasem dla Tomkin-Sato, zwłaszcza kiedy chodziło o wyśledzenie szpiegów przemysłowych. Croaker przejął nadzór po przylocie do Ameryki. Starał się znaleźć coś szczególnego w codziennym rozkładzie zajęć Margaritę. Przecież w końcu musiała nawiązać kontakt z łącznikiem. Dominie Goldoni często korzystał z pikantnych informacji z życia waszyngtońskiego establishmentu, jakich dostarczali mu Okami lub tajemniczy Nishiki. Spadkobierczyni jego władzy musiała stosować podobne metody. System działał zbyt długo, by teraz go zmieniać. Croaker zarazem kochał ją, szpiegował, a także starał się schodzić z drogi Tony'emu D. Setki razy zadawał sobie pytanie: jak mogłem się zadurzyć w kimś stojącym po drugiej stronie prawa? Podejrzewał, że Margaritę ma podobne wątpliwości.
- Tony D. traktuje cię dobrze?
- Lew, nie psujmy nastroju rozmową o nim.
- Bił cię? - spytał natychmiast.
-
- -Nie - odpowiedziała bez wahania. - Dzięki Bogu, to już należy do przeszłości. - Zmusiła się do uśmiechu. - Zdaje się, że próbuje nowej metody.
Pragnie powrotu Francie i chce, by nasz związek był taki jak dawniej.
- Croaker miał wrażenie, że góra lodowa przepływa przez jego żyły.
- - Wierzysz mu?
- Teraz jej uśmiech był ciepły i szczery.
- - Od lat już nie słucham jego zapewnień.
- Lew zrobił kolejny krok, a potem powoli, jakby szedł w metalowych butach po namagnesowanej podłodze, zaczął zbliżyć się do Margaritę. Objął ją i pocałował. Westchnęła cicho. Czuł, jak uchodzi z niej całe napięcie.
- Boże... - szepnęła. - Myślałam... - Zamknęła oczy. - Nie, nie chcę mówić, co myślałam.
- Nigdy nie przestanę cię kochać. - Poglądził ją po włosach. - Bez względu na to, co się stanie.
- Szlochała cicho.
- - Nie wierzę w piekło, lecz jak nazwać miejsce, w którym się właśnie znalazłam? Wiem, że chcesz, bym powiedziała ci o Nishiki, lecz to jedyna

rzecz, jakiej nie mogę zrobić. Znasz wyjście z sytuacji? Na pewno będziesz czegoś próbował. Nie walcz ze mną, nie zniosłabym tego. I tak jestem rozdarta na dwoje...

- Przez chwilę trwali w uścisku. Co miał jej odpowiedzieć? Każde słowo byłoby kłamstwem, więc wolał milczeć. Chcieli choć trochę dłużej nacieszyć się sobą, lecz okazało się to niemożliwe. Margaritę za godzinę musiała wracać, a Croaker chciał sprawdzić raporty o jej poczynaniach w ciągu ostatniej doby. Poza tym była jeszcze Francie. We trójkę zjedli lunch, udając że nic się nie dzieje, że nikt nie próbuje niczego ukrywać. Jakoś im się udało zachować dobry nastrój. Następnego ranka Croaker ustawił wóz po wschodniej stronie Park Avenue, przy skrzyżowaniu z Czterdziestą Siódmą. Wczorajsze spotkanie wydawało mu się jedynie sennym marzeniem. Kątem oka zobaczył za sobą nagły ruch i drgnął, wyrwany z zadumy. Jakaś kobieta wyszła na jezdnię, by zatrzymać taksówkę. Nawet ładna, choć powyżej czterdziestki, elegancka, w zamszowym kostiumie i futrze z lisów. W dłoni trzymała czarną skórzaną torebkę od Chanel. Uniosła rękę, a w tej samej chwili jadący na rowerze Murzyn pochylił osłoniętą hełmem głowę i mocniej nacisnął na pedały. Skręcił w prawo, przejechał przed maską trąbiącego wściekle samochodu i z pełną prędkością minął kobietę. W przelocie wyrwał jej torebkę. Obróciła się w kółko, uderzyła biodrem o zderzak zaparkowanego auta i upadła na kolano. Croaker nagłym ruchem otworzył drzwi tuż przed rozpędzonym rowerem. Murzyn przekoziółkował w powietrzu. Croaker wyskoczył z samochodu, wybiegł na jezdnię, kopnął rower na bok i sięgnął po torebkę. Złodziej przetoczył się po ziemi, zgarnął łup i błysnął ostrzem sprężynowca.
- - Szykuj się na śmierć, gnoju, jeśli chcesz to odzyskać!
- Croaker wyciągnął połyskującą błękitem i czernią lewą rękę. Nóż smagnał go po palcach. Zgrzytnął metal, posypały się iskry, chudy Murzyn otworzył szeroko oczy.
- - O matko...
- Tytanowo-poliwęglanowa dłoń pochwyliła ostrze. Croaker szybkim skrzętem nadgarstka rozbroił rowerzystę. Potem podstawił mu rękę pod nos i wolno wysunął z palców groźnie wyglądające stalowe igły. Nakreślił na koszuli Murzyna pięć poszarpanych śladów.
- Oddaj torebkę - warknął - albo wbiję ci to w bebechy.
- Okay, okay - miauknął tamten. Wręczył mu łup, lecz ani na chwilę nie odrywał wzroku od metalowej ręki. - Co to naprawdę jest, do kurwy nędzy?
- Na twoim miejscu nie chciałbym wiedzieć.
- Murzyn ostrożnie schylił się, by podnieść rower, lecz Croaker przydeptał tylne koło.
- Teraz jest mój.
- Hej, spoko, stracę robotę bez transportu. To mój zarobek.
- Mogłeś o tym pomyśleć przed rozróbą.
- Poczekaj, aż niedoszły rabuś zniknie z pola widzenia, po czym podszedł do kobiety, z niesmakiem oglądającej dziurę w pończochach.
- To chyba należy do pani.
- Trzeba było stłuc mordę temu knypkowi - odparła, biorąc torebkę. Znow zaczęła rozglądać się za taksówką. - Cholera, na pewno się spóźnię na aukcję u Sotheby'ego.
- Proszę mi nie dziękować. Drobiazg - mruknął Croaker i wrócił do samochodu. Zostawił

rower leżący na jezdni.

- Jezu - myślał - co się stało z tym miastem? Tu kilka lat temu poznał Linneara. Sięgnął po oparty o przednią szybę papierowy kubek z zimną kawą i popatrzył na lewą rękę. Stracił dłoń, gdy pomagał Nicholasowi w wykonaniu arcytrudnego zadania. Zespół japońskich chirurgów stworzył biomechaniczną protezę. Wciąż był pełen podziwu dla ich pracy. Palce działały tak sprawnie, jak te z krwi i kości. Całość, zasilana dwiema bateriami, została pokryta warstwą czarnego poliwęglanu, nierdzewnej stali oraz tytanu. W środku znajdowały się kości, mięśnie i ścięgna z boru i tytanu. Zadziwiająca konstrukcja, łącząca cechy narzędzia i broni. Przez parę miesięcy uczył się z niej korzystać, całymi latami doskonalił nabyte umiejętności, lecz teraz traktował ją jak każdą inną część ciała. Croaker był ogromnym, barczystym mężczyzną o ogorzałej twarzy kowboja. Był czas, że zaczął tyć, niczym emerytowany futbolista, lecz twardy trening zafundowany mu przez Nicholasa i zdrowa dieta spowodowały, iż pozbył się tłuszczu i wrócił do dawnej sprawności. Zawsze był silny. Biomechaniczną ręką zwiększała jego przewagę nad przestępcami. Parę lat temu na własną prośbę odszedł z nowojorskiego wydziału zabójstw i zamieszkał na Marco Island, na Florydzie. Wynajmował swój jacht bogatym wędkarzom. Innymi słowy, wegetował. Jego ówczesna towarzyszka, Alix, twierdziła, że jest podobny do Roberta Mitchuma, co uważał za dobry dowcip.
- Spojrzał na zegarek. Za trzy dziesiąta. Chwilę później zobaczył Margaritę w tweedowym kostiumie koloru byczej krwi, wysiadającą z taksówki przecznicę dalej. Bez wątplenia spieszyła na cotygodniowe spotkanie z księgowym. Miała wygląd doświadczonego gracza, a w swoich działaniach umiejętnie łączyła intuicję z logiką, co pozwalało jej stawić czoło wszelkim kłopotom. To tortura tak patrzeć na nią, nie będąc przy niej, lecz cóż miał począć? Jak długo trzymał się na uboczu, mógł chociaż udawać, że wykonuje rutynową detektywistyczną robotę i że nic więcej go nie obchodzi. Odgrodził się od ulicy parawanem gazety. Wciąż rozważał, gdzie szukać granic związku łączącego go z Margaritę. Co dzień odkrywał w niej coś nowego, coś, co zmieniało rolę tej kobiety w jego życiu. Była siostrą i następczynią Dominika Goldoniego. Rękami swego męża, Tony'ego D., kierowała gangsterskim imperium równie skutecznie jak zmarły brat. Ale co mogło być ostatecznym celem Dominika? Dotychczasowe ustalenia pozwalały przypuszczać, że był bardziej biznesmenem niż zimnokrwistym bandytą. Dążył do czegoś więcej niż zwykle zbieranie daniny od wszystkich dużych przedsiębiorstw na Wschodnim Wybrzeżu. Szczególnie mocne układy wiązały go z polityczną śmietanką Waszyngtonu. Mikio Okami, kaisho, szef wszystkich klanów yakuza, widział w Goldonim pełnoprawnego partnera. Dlaczego? Ani Nicholas, ani Croaker, nie znaleźli dotąd zadowolającej odpowiedzi. Do tego potrzebny był Okami. Dominie często korzystał jego pomocy. Nie ulegało wątpliwości, że Margaritę postępowała tak samo. Nicholas przewidywał, że Croaker znajdzie się pod olbrzymią presją, pełniąc nadzór nad ukochaną kobietą. Miał rację. Detektyw znów rzucił okiem na zgrabną postać idącą szeroką, przypominającą skwer aleją. Ryzykował podwójnie. Nie tylko musiał kryć się przed jej wzrokiem, lecz także uważać, aby w miarę postępów śledztwa nie naprowadzić wrogów na ślad Okamiego. Margaritę przeszła przez duże szklane drzwi i wsiadła do windy, by wjechać na dwudzieste ósme piętro biurowca. To, że została u boku Tony'ego, najlepiej świadczyło o tym, z jaką powagą traktowała spuściznę po bracie. Ich związek był czystą fikcją i główną przyczyną bulimii małej Francine. Croaker nadal nie potrafił myśleć o Margaritę jak o mężatce, zwłaszcza że Tony D. był tylko parawanem,

którym posługiwała się w kontaktach z mrocznym światem przestępczego podziemia. Słowa na gęsto zadrukowanej stronie zlewały się w czarne paski. Croaker zamknął oczy, lecz nie umiał powstrzymać myśli. Miłość, jaką darzył piękną szefową mafii, zakrawała na ironię losu. - Hej, koleś, tu nie wolno parkować. Croaker nie otwierając powiek, wyciągnął z kieszeni federalną odznakę, jaką swego czasu wręczył mu były zwierzchnik, nie świętej pamięci William Justice Lillehammer, człowiek, który powierzył mu śledztwo w sprawie zamordowania Dominika Goldoniego. Uniósł blaszkę do okna, by zniechęcić gliniarza do dalszej indagacji.

- - Proszę wyłączyć silnik i wyjść z wozu.
- Opuścił gazetę. Zamiast znużonego przedstawiciela manhattańskiej drogówki zobaczył umundurowanego młodego policjanta o zmierzwionej czuprynie i brązowych oczach.
- - Widział pan tę odznakę? Jestem na służbie i nie podlegam pańskiej jurysdykcji. To wszystko.
- Policjant nie spuszczał wzroku z Croakera, otworzył drzwi samochodu.
- Proszę zrobić, co mówię.
- Zgłupiałeś? Jestem z FBI.
- Natychmiast.
- Croaker ze zdziwieniem spojrzał na prawą dłoń gliniarza, zaciśniętą na kolbie rewolweru. Gdzieś się podziewał, kolego, gdy tej bogatej lafiryndzie kradli torebkę? Schował odznakę i wysiadł. Zobaczył biało-niebieski radiowóz, zaparkowany z tyłu, z wyłączonymi światłami. Za kierownicą siedział jeszcze jeden mundurowy. Tępo patrzył przed siebie.
- - Proszę ze mną - cichym, lecz zdecydowanym tonem powiedział młody policjant.
- Croaker wzruszył ramionami i posłusznie podszedł do radiowozu. Policjant kazał mu wsiąść, sam także zajął miejsce w samochodzie i ruszyli. Kierowca nie włączył świateł ani syreny. Lew milczał. Był zbyt doświadczonym wygą, by nie wiedzieć, że nie należy zadawać pytań, na które i tak nikt nie odpowie. Skupił całą uwagę na tym, dokąd jechali. Kierowca był znacznie starszy od swego kolegi, barczysty, ze znamieniem na nosie. W popękanych ustach miętosił wykałaczkę. Siedział lekko skrzywiony, jakby miał niewygodny mundur. Jechali na zachód, przez centrum, w stronę Lincoln Tunnel. New Jersey - domyślił się Croaker.
- - Niczego nie próbuj - odezwał się młody. Wcisnął mu pod pachę lufę rewolweru.
- Jasne - pomyślał Croaker. - Który gliniarz z Nowego Jorku zabierałby mnie za rzekę, do Jersey? Nic dziwnego, że szofer źle czuł się w mundurze. Pewnie pierwszy raz w życiu miał go na sobie. Co to za szajka? Tunel zdawał się ciągnąć bez końca. Gdy wyjechali po drugiej stronie, zobaczyli długi, poplamiony benzyną pas betonu. Rubieże New Jersey. Nawet powietrze pachniało inaczej. Mokra woń sadzy przywodziła na myśl jakąś ogromną fabrykę. Samochody, beton, stal i druty wysokiego napięcia tworzyły niesmaczną mieszankę, środowisko pozbawione kolorów i życia. Skręcili w prawo, w stronę Hoboken, lecz nie mieli zamiaru tam dojechać. Radiowóz minął zniszczoną stację benzynową, wyglądającą na relikw z lat czterdziestych. Podziurawiony i wypalony wrak volkswagena stał na poczerniałym cementowym wzniesieniu, pod którym znajdowały się puste od dawna cysterny. Czarny kot łąził obojętnie wśród śmieci. Tuż za stacją było złomowisko pełne zardzewiałych aut, nieprzydatnych
- już dla nikogo. Otoczone wysokim ogrodzeniem z drutu kolczastego, przypominało obóz

jeniecki. Wokół walały się sterty gruzu, jakby jeszcze przed chwilą toczono tutaj zażartą wojnę. Dwóch nisko pochylonych łachmaniarzy przeczłapało obok, popychając sklepowe wózki, pełne starych toreb, sznurków i postrzępionych ubrań. Zderzyli się ze sobą i rozpoczęli gwałtowną sprzeczkę. Później jeden z nich usiłował schwytać kota, lecz zwierzak bez trudu umknął przy pierwszym niezgrabnym skoku obdartusa.

- Miłe sąsiedztwo - stwierdził Croaker. - Często tu zagładcacie?
- Stul pysk! - warknął młody, trącając go lufą pistoletu.
- Uważaj, synku - zaniepokoił się Croaker. - Jak będziesz nieostrożny, możesz się przypadkowo postrzelić.
- Mówiłem...
- Cicho! - warknął kierowca. - Jest tutaj.
- Croaker obrócił głowę i zobaczył wyjeżdżającego zza rogu granatowego lincolna mark VIII. Szofer zmienił bieg i skierował radiowóz na złomowisko. Lincoln z cichym pomrukiem toczył się nieco z tyłu. Przejechali przez wąski pas potłuczonych cegieł i stanęli. Kierowca wyłączył silnik i wysiadł bez słowa.
- - Jazda! - rozkazał młody.
- Croaker wygramolił się z wozu. Szofer stał do nich tyłem, oparty o chropowaty pień starego płatanu, który jakimś cudem wciąż rósł mimo zniszczeń i smogu. Lincoln zahamował kilka metrów dalej. Szyby miał zabarwione na dziwny ciemny kolor, używany na Florydzie do ochrony przed upałem i słońcem. Croaker westchnął cicho na widok wysiadającego mężczyzny. Tony DeCamillo. Tony D. Mąż Margaritę przeszedł przez rumowisko. Nosił gustowny garnitur w szare prążki, jak przystało na wziętego prawnika, związanego z showbusinessem. Tylko jedwabna koszula z monogramem na kołnierzyku zdradzała jego prawdziwe ambicje. Nigdy nie określano go „geniuszem zbrodni” jak Dominika. Prawdę mówiąc, po śmierci Goldoniego stał się nikim, figurantem ubranym w togę władzy.
- Zjeżdżaj - powiedział do fałszywego gliniarza, który pilnował Croakera.
- Ale Tony... - zaprotestował młodzieniec. - Ten gość jest niebezpieczny.
- Pewnie, że tak - odparł DeCamillo. - Sal siedzi w samochodzie. „Policjant” wycofał się w głąb złomowiska.
- Masz tu jakieś udziały, Tony?
- Croaker pożałował swych słów, ledwie je wypowiedział, lecz dyktowała mu je nienawiść, którą żywił do tego człowieka, nie tylko ze względu na otaczający go smród korupcji, lecz także na sposób, w jaki traktował rodzinę. Serce waliło mu jak młotem na myśl o sińcach i ranach, jakie Tony D. zostawiał na ciele żony. Żeby się uspokoić, wziął kilka głębokich oddechów.
- DeCamillo był przystojnym, śniadym mężczyzną o śródziemnomorskim typie urody, choć w jego miękkich brązowych oczach czaiło się okrucieństwo. Stał tuż przed Croakerem i

obciągnął mankiety.

- - Ty jesteś tym facetem - warknął szorstkim, gardłowym głosem – który rznął mi żonę.
- Ładnie powiedziane - pomyślał Lew.
- - Ale nigdy jej nie pobiłem - odparł. Pat.
- W ich zachowaniu nie było krzty rozsądku. Dwa samce, rozpalone i ogarnięte wściekłością, z których każdy chciał zdobyć dominującą pozycję w stadzie i względy najpiękniejszej z samic.
- Ona uważa, że jesteś niezły - wycedził Tony D. - Mimo to mam zamiar rozmazać twój mózg po tych ceglach.
- Nie masz dla niej cienia szacunku? - Całkiem dobra odpowiedź, lecz Tony jej nie docenił. Może nie był w nastroju.
- Uniósł dłoń i z lincolna wyłonił się drugi pasażer. Sal, bez wątpienia ochroniarz Tony'ego. Wprawnym ruchem uniósł strzelbę, oparł ją o dach samochodu i wycelował. Croaker musiał przyznać, że DeCamillo po mistrzowsku rozegrał tę scenę. Nawet nie musiał się ruszyć, by zejść z linii strzału, chyba że nie chciał, by krew detektywa ochlapała mu cały krawat. Nieważne. Skoro tak umiał dbać o szczegóły, na pewno miał tuzin zapasowych w bagażniku lincolna. Sal przytknął policzek do kolby; patrzył w celownik.
- Jesteś gotów na śmierć, sukinsynu? - spytał Tony D. rwanym z napięcia głosem.
- A są tacy? - Croaker nie myślał o życiu i śmierci, lecz o tym, że DeCamillo powinien bardziej panować nad emocjami. Może to właśnie tu tkwił główny powód, że bił żonę.
- Margaritę. Jej wspomnienie sprawiło, iż Croaker nie chciał umierać, zwłaszcza nie z rąk tego chłystka. Niestety, znalazł się w kropce. Nie był w korzystnej pozycji do targów, poza tym podejrzewał, że Tony i tak nie chciałby go słuchać. Ogarnęła go złość, że tak łatwo dał się wciągnąć w pułapkę. Pobyt na Marco Island osłabił jego instynkty. Zbyt dużo trunków, karesów z klientami, leżenia na słońcu. Nim zauważysz, stajesz się miękki jak wata. Teraz przyszło zapłacić za wszystkie grzechy. Ilu dobrych gliniarzy zginęło na jego oczach z powodu jednego głupiego błędu? Teraz kolej na niego. Jezu... Pomyślał o skąpanej w promieniach słońca zachodzącego za Marco Island Alix, pięknej modelce, która niespodziewanie obdarzyła go szczerym uczuciem. Pomyślał o Margaritę, o jej złożonej, silnej osobowości, uporze i niezachwianej miłości do brata. Do imperium zbudowanego na krwi i przemocy. Pomyślał o mieszkającym w Tokio Nicholasie, o przyjaźni ugruntowanej w wielu bitwach, o zaufaniu, jakie może połączyć tylko tych ludzi, którzy wielokrotnie nawzajem ratowali sobie życie. Wreszcie pomyślał o ojcu, zabitym w mrocznym zaułku Helps Kitchen, i o policyjnym mundurze pokrytym krwią. Matka nie dała go w nim pochować. Wyrzuciła mundur na śmieci. Croaker odnalazł go i schował w foliowej torbie na dnie szafy. Wyjął po latach, z zaschniętymi plamami, w dniu, kiedy sam został detektywem. Teraz widział niczym w zwolnionym tempie, jak Tony D. skinął głową. Sal oparł palec na spuście, ogromne, powiększone przez soczewkę wizjera oko spoglądało w stronę ofiary. Huknął strzał, lecz Croaker nie poczuł żadnego bólu. Serce załomotało mu w piersi. Usłyszał cichy jęk. Tony D. także spojrział przez ramię. Sal leżał na wyciągnięcie ręki od strzelby, na rumowisku z cegieł.
- Co, kurwa...

- Nie łam sobie głowy, Tony - rozległ się gruby głos. - Możesz się nabawić migreny.
- Croaker zobaczył jakąś postać sunącą przez złomowisko. Przybysz był nieco starszy od Tony'ego, choć gęsta, zmierzwiona grzywa włosów i łobuzerski uśmiech nadawały mu wygląd uczniaka. Długimi susami przeskakiwał mniej pewne miejsca.
- Święta Mario, Matko Boska - jęknął DeCamillo. - Wściekła Ostryga.
- We własnej osobie - radośnie odparł Caesare Leonforte.
- Masz cholernie silne nerwy, że wchodzisz na mój teren bez zaproszenia. Leonforte z ciekawością popatrzył na Tony'ego, jakby oglądał egzotyczny okaz, niedawno przywieziony do zoo.
- Tak sądzisz? Prawda, miałem umowę z Dominikiem, pokój jego duszy, że będę siedział na Zachodnim Wybrzeżu, a wschód pozostawię dla niego. - Wzruszył ramionami. - Ale wiesz, jak to jest, mecenasie, nie zmienisz ludzkiej natury. Dom zaczął przeć na zachód, więc ja ruszyłem ku wschodowi.
- Ty pierdolony *gavone* - wrzasnął czerwony jak burak DeCamillo. - Włazisz tutaj i zabijasz mi ochroniarza! Chcesz otwartej wojny?
- Spokojnie, mecenasie - mitygował go Leonforte. - Dbam tylko o interesy. To, że myślisz wyłącznie o fiucie, nie znaczy, że muszę cierpieć z powodu twoich błędów.
- Miał oczy mordercy. W źrenicach migotały mu czerwone iskierki szaleństwa. Croaker nieraz widział podobne spojrzenia podczas patrolowania nowojorskich zaułków. Tu jednak zauważył pewną różnicę: Leonforte zachowywał się z zimnym wyrachowaniem, nie pasującym do ogarniętego furii berserka. Jakby dwóch ludzi kryło się w jednym ciele.
- O czym ty mówisz, u diabła?
- Obudź się, mecenasie. Jesteś pieprzonym amatorem, usiłującym dołączyć do gry, o jakiej nie masz najmniejszego pojęcia.
- Nie muszę słuchać twoich głupot. Chcę coś załatwić z tym gnojem. Po co go, kurwa, chronisz?
- Nie przeceniaj własnego umysłu. Wiesz co? Lepiej wsiądź do lincolna, który, nawiasem mówiąc, bardzo mi się podoba, i zrób sobie małą przejażdżkę na drugi brzeg rzeki. Pogadamy o tym innym razem.
-
- Jak?! Włazisz na mój teren i ośmielasz się rozkazywać?!
- Bez nerwów, mecenasie. Przydałoby ci się kilka tabletek valium lub solidny cios w szczękę. Najlepiej wszystko naraz.
- Jesteś trupem, Caesare. - Głos Tony'ego ociekał groźną władczością, wywołującą spore wrażenie na producentach z Paramountu lub MGM.
- Leonforte nie okazywał strachu. Młasnął językiem i w polu widzenia pojawiło się dwóch muskularnych mężczyzn. Wysunęli spod płaszczy pistolety maszynowe MAC-10.

- Nie musimy się kłócić, mecenasie. Żeby okazać dobrą wolę, puszczyć ostatnią groźbę mimo uszu. Nie chcę kłopotów...
- Pieprz się, tkwisz w nich po samą szyję!
- ...i ty także pewnie ich nie chcesz.
- Tony zerknął na automaty, potem na Croakera.
- Masz szczęście. Lew zgrzytnął zębami.
- Lecz go za bardzo nie przeceniaj - dodał DeCamillo.
- Zgodnie z radą Leonforte'a zaszył się we względnie bezpiecznym wnętrzu samochodu. Był blady jak ściana, jakby za chwilę miał umrzeć.
- Pożałujesz, że tu przyszedłeś, Caesare. Masz moje słowo.
- Ważniak - mruknął Leonforte po odjeździe Tony'ego. Obrócił się w stronę Croakera i wybuchnął śmiechem. - Proszę, proszę... Gotów, by się przekreślić. - Potrząsnął głową. - Ten chłoptaş nie żartował. Chciał ci odstrzelić jaja.
- - Tobie także. A to znaczy, że coś nas łączy. Leonforte przypatrywał mu się przez chwilę.
- Boże, masz tupet. - Pociągnął nosem. - A może moi chłopcy sprawdzą, czy nie zlałeś się w portki?
- Nie znajdziesz żadnej dziewczyny do takiej roboty?
- Caesare odrzucił głowę w tył i roześmiał się na całe gardło. Szybko jednak spowaźniał.
- - Żarty żartami, lecz jesteś mi winien życie, panie Croaker. Teraz może wyjaśnię *quid pro quo*.
- Drgania wypełniały umysł Nicholasa chaotyczną muzyką. Z opaską na oczach, związany metalową taśmą, siedział w tyle wojskowego łazika, należącego do inspektora. Węchem i słuchem badał otoczenie. Słyszał chrapliwy głos Van Kieta domagającego się usunięcia z drogi innych pojazdów. Wdychał woń świeżych węgorków, pociętej trzciny cukrowej, ostry zapach owoców longanu i rambutanu. Nie musiał otwierać oka tanjianina, by wiedzieć, że wracają do Sajgonu. W takim razie nie groziła mu natychmiastowa egzekucja. Pewnie Van Kiet chciał go przesłuchać przed rozstrzelaniem. O adwokata lub proces nie musiał się troszczyć; tutaj nie docierały podstawowe prawa cywilizacji.
- Wiedział, co robić. Shindo i Bay zginęli, lecz z każdym krokiem był coraz bliżej rozwiązania zagadki śmierci Vincentainha. Znał już nazwisko inżyniera odpowiedzialnego za stworzenie pirackiej hybrydy chi-hive, Abramanova, ukrywającego się gdzieś na północny zachód od Sajgonu. Tunele Cu Chi wyznaczały połowę drogi. Co dalej? Shindo był przekonany, że Van Kiet wie o śmierciinha znacznie więcej, niż mówi. Nicholas potrzebował dwudziestu minut, by wyciągnąć z niego potrzebne informacje. Dwadzieścia minut. Sprawdził więzy krępujące mu kostki i nadgarstki. Choć były mocno ściągnięte, nie stanowiły większego problemu. Gdy go wiązano naprężył mięśnie, przez co teraz zyskał niewielką swobodę ruchów.

Czubkami palców odnalazł koniec taśmy i zaczął ją pomалу rozplątywać. Starał się zachować maksymalną ostrożność, choć był przekonany, że w roztańczonym samochodzie nikt nie zwróci uwagi na jego ruchy. Po dziesięciu minutach uwolnił ręce. Zaczął manipulować przy kostkach. Gdy pozbył się więzów, przy kolejnym podskoku potarł głową o oparcie fotela. Zakrywająca mu oczy opaska z wolna zaczęła się zsuwać, aż w końcu opadła. Spojrzał wprost w uśmiechniętą twarz Van Kieta. Inspektor siedział tyłem do kierunku jazdy i mierzył w Nicholasa z rosyjskiego pistoletu.

- - Nic z tego - oświadczył. - Wiem, kim jesteś. A raczej, czym jesteś. Słyszałem o twoich umiejętnościach i wierz mi, nie pozwolę ci z nich skorzystać. Prędzej pošlę ci kulkę między oczy.
- Nicholas poruszył się lekko.
- - Nie próbuj żadnych sztuczek - dorzucił Van Kiet. - Mówię poważnie. Linnear zbadał jego umysł i stwierdził, że tym razem inspektor nie mijał się z prawdą. Wygodnie rozparł się na fotelu. Choć bez więzów, do wolności miał dłuższą drogę niż wówczas, gdy w Cu Chi został ciśnięty do samochodu. Siedzieli w milczeniu, tymczasem kierowca kluczył po zatłoczonych przedmieściach Sajgonu. Linnear niemal od razu zauważył, że nie jadą na posterunek. W przeżartym korupcją Wietnamie ktoś pokroju Van Kieta na pewno czerpał dochody z różnych źródeł. Przy odrobinie sprytu i właściwego postępowania mógł działać na kilku frontach. Pod warunkiem, że władcy Shan nie dowiedzieliby się na przykład, iż jednocześnie sprzedaje informacje przemysłnikom broni działającym na tym samym obszarze. Za podobny błąd mógłby go spotkać los Vincenta Tinha. Nicholas zdawał sobie sprawę, że ma trudny orzech do zgryzienia. Van Kiet bez wątplenia działał na rozkaz kogoś powiązanego z morderstwem Tinha. Warto było pójść tym tropem. Prócz innych szwindli Tinh robił niezłe pieniądze na sprzedaży pirackiego komputera. Linnear rzekomo przywiózł do Wietnamu mikroprocesor neuronowy drugiej generacji. Dla mocodawców Tinha była to bez wątpienia nielecha pokusa. Bay wymieniła jedno nazwisko, rosyjskiego Żyda, Abramanova. Lecz Abramanow był technikiem, nie biznesmenem. Poza tym w Wietnamie nie mógł liczyć na żadne względy; Rosjan otaczała ogólna nienawiść. Kto za nim stał? Prawdopodobnie ten sam człowiek, który wydał wyrok śmierci na Tinha. A to znaczyło; że Nicholas zmierzał prostą drogą do celu. Pod warunkiem, że w najbliższym czasie zdoła uniknąć śmierci. Łazik stanął przed zmurszałym budynkiem, oznaczonym jedynie numerem widocznym na popękanej fasadzie. Nicholas nie mógł sobie przypomnieć, skąd zna ów numer. Wsiadł z samochodu i spojrzał na przejeżdżające obok rowery i riksze. Pierwszy raz w życiu poznał, czym naprawdę jest wolność. Mijający go ludzie, biedni i nieszczęśliwi, mieli zarazem coś niewiarygodnie cennego, coś, co zostało mu odebrane. Tuż po przyjeździe do Sajgonu stwierdził, że los Wietnamczyków nie może budzić niczyjej zazdrości. Teraz z goryczą przyszło mu zmienić zdanie. Dom wyglądał na opuszczony. Nicholas z ciekawością rozglądał się po mrocznym wnętrzu. Nagle drgnął. Adres. Shindo zdołał ustalić, że właśnie tutaj Tinh wynajmował „biuro” do prowadzenia lewych interesów. Kolejny krok na drodze do rozwikłania zagadki morderstwa. Szofer szedł pierwszy, Van Kiet trzymał się za plecami Linneara. Zaczęli wspinać się po metalowych schodach. Nim znaleźli się na półpiętrze, przed nimi zamajaczyła jakaś postać.
- Inspektorze... - rozległ się melodyjny głos.

- Ty?! - osłupiał Van Kiet.
- Przejmuję nadzór nad tym człowiekiem - oznajmiła Seiko.
- Nieprawda! Nawet nie wiesz, o co jest oskarżony!
- Wiem wszystko.
- Mimo to nie mogę...
- Nie zapominaj, z kim rozmawiasz, Van Kiet. Możesz i musisz. Nicholas ze zdumieniem słuchał wymiany zdań. Serce waliło mu jak
- młotem. Piękna Japonka, Seiko Ito, była jego asystentką. To właśnie ona wysunęła kandydaturę Vincenta Tinha na stanowisko dyrektora nowo otwartej sajgońskiej filii Tomkin-Sato Industries. Przypuszczalnie była też zamieszana w kradzież i przemyt neuronowego mikrochipu. Tanzan Nangi, choć dysponował słabymi dowodami, pod nieobecność Nicholasa wysłał ją do Sajgonu, w nadziei, że dziewczyna sama założy sobie pętlę na szyję. Przekonana o naiwności tokijskiej centrali, łatwo mogła popełnić błąd i zdradzić prawdziwe zamiary.
- Teraz odnalazła się tutaj, w biurze wynajmowanym przez Tinha, i nie tylko знаła głównego inspektora sajgońskiej policji, lecz bez wątpienia posiadała nad nim absolutną władzę. Powoli zeszła ze schodów i stanęła przed kierowcą Van Kieta. Miała na sobie czarnoturkusową suknię z czystego jedwabiu, odsłaniającą ramiona i nogi. Nie nosiła kolczyków, lecz na jej lewej ręce połyskiwała szeroka srebrna bransoleta. Piękna twarz wyrażała zacięty upór. Nicholas miał wrażenie, że widzi ją po raz pierwszy. Szofer rzucił pytające spojrzenie na swego zwierzchnika. Van Kiet skinął głową. Kierowca odsunął się na bok.
- - Chodź - odezwała się Seiko do Nicholasa. - Musisz być niezłe zmęczony po tych wszystkich przejściach. Chciał odpowiedzieć, że nie, że wolałby zostać z Van Kietem, że dotarł zbyt blisko celu, by rezygnować. Seiko oferowała mu pomoc w najmniej odpowiednim momencie, co mogło mieć fatalne następstwa dla dalszego przebiegu śledztwa. Jak miał ją o tym przekonać w obecności Van Kieta? Nie zostawiała mu żadnego wyboru. Minął smętnego policjanta i posłusznie poczłapał za Japonką w stronę korytarza. Przed sobą miał szeroko otwarte drzwi, za którymi przemykały ulicą rowery i riksze, wolne niczym ptaki na niebie.
- Tony uważa, że zabiłeś Dominika Goldoniego.
- A pan Croaker wie lepiej, prawda?
- Tak. Wiem.
- Caesare Leonforte dolał do kieliszków wyśmienitego caberneta.
- Pobyt w Kalifornii ma wiele plusów, między innymi ten, że można mieszkać w pobliżu najlepszych amerykańskich winnic. - Pociągnął łyk rubinowego trunku. - Od dzieciństwa pijałem włoskie wina i nadal je lubię, lecz te z Napy czy Sonomy... - Zerknął w głąb szkła. - Cudowny wyrób. Prawie japoński.
- Japoński?
- Siedzieli w modnej restauracji „TriBeCa”, po zachodniej stronie centrum Manhattanu, na południe od Canal Street. Leonforte nie przepadał za kraciastymi obrusami w lokalach Małej

Italii. Długa, wąska sala miała w sobie coś fabryki; wrażenie potęgowały szerokie okna, wystające ze ścian rury oraz kelnerzy w czarnych spodniach i koszulach bez kołnierzyków. Tylko porysowany szynkwaz z wiśniowego drewna, ustawiony na wywecowanym parkiecie, wyglądał na dość stary, by pamiętać czasy Hermana Melville'a. Strażnicy Leonforte'a snuli się pewnie gdzieś przed wejściem.

- W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych - rozprawił Cesare - określenie „made in Japan” było synonimem tandety. Podobnie jak kalifornijskie wina. A teraz patrz! - Uniósł kieliszek. - Świat może nam pozazdrościć. O japońskiej gospodarce nie wspomnę, choć teraz mają nieco kłopotów. Nikt nie wymyśla kawałów o toyotach, tylko o cadillacach. Osobiście wolałbym wykitować w starym Caddy.
- Wybacz mi ciekawość - odezwał się Croaker. - Skąd się o mnie dowiedziałeś?
- Jak się trochę zastanowić, to okaże się, że to nie takie trudne. - Leonforte zamachał ręką. - Mam dostęp do sieci telekomunikacyjnej wykorzystywanej w tym kraju przez różne oddziały tworu eufemistycznie zwanego „siłami bezpieczeństwa”.
- Z zadowoleniem rozparł się na krześle. Czym miałby się smucić? Przed chwilą sponiewierał rywala, przegonił go na jego własnym terenie, zgarnął kogoś, kto był ponoć agentem federalnym i na dodatek uratował mu życie.
- Naprawdę? Sądziłem, że większość, jeśli nie wszystkie tego rodzaju połączenia są dobrze zabezpieczone przed penetracją z zewnątrz.
- Kto mówi, że jestem z zewnątrz? - Wybuchnął śmiechem na widok zdumionej miny Croakera. - Dobrze, jestem. Teoretycznie. Ale nie każdy tak uważa. Ludzie na rządowych posadach są często przepracowani...
- - I mają śmiesznie małe uposażenie. Leonforte wyszczerzył zęby.
- Dokładnie tak, panie Croaker. Zbyt małe zarobki są odwieczną bolączką każdej biurowej roboty. Jeśli ktoś to zrozumie, wie wszystko o egzystencji urzędników. - Ostatnie słowo powiedział takim tonem, jakby miał na myśli obcą formę życia. - To oni pchają nasz kraj do przodu, więc zależy mi na tym, by pozyskać ich zaufanie, a mówiąc ściślej, hmmm... zainteresowanie.
- Nie posmarujesz, nie pojedziesz.
- Croaker wsunął do ust umoczony w oliwie kawałek bułki. Wino bulgotało mu w pustym brzuchu. Nie co dzień wraca się z objęć śmierci, zwłaszcza w towarzystwie wysłannika piekieł. Leonforte skinął na kelnera, by podał jeszcze jedną butelkę.
- - Racja. Każdy wóz wymaga solidnego przeglądu, zwłaszcza taki, co jeździ na kiepskiej benzynie.
- Croaker zauważył cienką bliznę, ciągnącą się przez pół szyi rozmówcy. Leonforte wcale nie próbował jej ukryć; przeciwnie, dla człowieka takiego jak on pamiątka burzliwej przeszłości stanowiła powód do dumy.
- - Dobrze, więc wiesz, kim jestem. Co z tego?
- Cesare zaczekał, aż kelner napełni świeżo przyniesione kieliszki, po czym odesłał go ruchem ręki.

- Już mówię co, panie Croaker. Po jaką cholere śledzisz Margaritę Goldoni DeCamillo?
- Naprawdę sądzisz, że ci powiem?
- Leonforte upił łyk wina, wykonał pełną zachwyty pantomimę i pochylił się nad stolikiem.
- - Zdziwisz się, gdy usłyszysz, że coś nas łączy. Dominie Goldoni. Obaj mamy niezłego świra na jego punkcie.
- Croaker milczał, lecz mimo zjedzonej bułki cabernet wyczyniał mu dziwne harce w żołądku.
- - Pewnie myślisz, że prawie bzdury, ale lepiej posłuchaj do końca. Powiem ci nieco o sobie. Mój ojciec, świętej pamięci Francis, był człowiekiem starej daty. Co przez to rozumiem? Był dzielny, brał życie za bary. Interesowało go tylko to, co najważniejsze: forsa, wpływy, ogólny szacunek. I wciąż się pieprzył. Jak skończyłem dwanaście lat, zabrał mnie do burdelu. Tak każe tradycja. Patrzył, jak sobie radzę z dziwką. Może chciał mnie pouczać, może po prostu lubił się gapić, kto to dziś, kurwa, może wiedzieć? Od tamtej pory traktował mnie jak mężczyznę. Nie minęło pół roku, jak dał mi pistolet do łapy. Uczył mnie strzelać, ładować, rozkładać i czyścić broń nawet po ciemku. Na swój sposób przypominał oficera.
- Leonforte umilkł na chwilę.
- - W każdym razie, przeszedłem solidne przygotowanie. W jakiej dziedzinie? Mówiąc wprost, mokrej roboty. „Nie jesteś mężczyzną, jeśli nie potrafisz usunąć wroga”, mawiał mój stary. „A jeśli nie jesteś mężczyzną, jesteś nikim”. Walił prosto z mostu.
- Pociągnął wina. Smakowało wybornie, jak wspomnienia.
- - Tak więc ojciec nauczył mnie zabijać. Jakiś facet wyłamał się i publicznie wygłosił kilka paskudnych uwag na jego temat. Należało go sprzątnąć; też publicznie. Najlepiej w restauracji, do której często zaglądał, i gdzie czuł się całkiem bezpieczny. „Chcę coś przekazać jego przyjacielom i wszystkim pozostałym”, stwierdził ojciec. „Na pewno zrozumieją”. - Caesare zerknął na Croakera. - Miałem wtedy niecałe trzynaście lat, ale już dawno nie byłem dzieciakiem. Chciałem być tak dorosły jak mój stary. Na pewno kropnąłeś nie jednego, lecz nie masz pojęcia, co wtedy czułem. Byłem niczym wysłannik Boga, a chór aniołów siedział mi na ramionach. Bam! Barn! Krew, mózg i sos ostrygowy zapaskudziły pół restauracji, ludzie wrzeszczeli, jedni siedzieli
- z otwartymi ustami, inni rzygali. Chryste, czułem wówczas potęgę władzy. Miałem okropną ochotę rozpieprzyć wszystkich przy stole, jakby mój truposz skaził ich samą swoją obecnością. Opanowałem się, rzuciłem pistolet na podłogę i wyszedłem z tego domu wariatów. Twarz mu poczerwieniała z podniecenia.
- - Pora na parę słów prawdy o dzisiejszych wydarzeniach. Dominie był pierdolonym geniuszem. Nienawidziłem go do szpiku kości, lecz w skrytości ducha podziwiałem. Tak prywatnie. Potrafił trzymać mnie na dystans, choć miałem więcej szmału, ludzi i wpływów. Dawał mi w kość za każdym razem, gdy przekroczyłem pewien punkt na mapie. Nigdy nie stanąłem z nim oko w oko; nie doszło do bezpośredniej konfrontacji. Po co? Gdy w jednym stanie

chciałem pobawić się w handel gruntami, do intratnej transakcji nie doszło z powodu nagłej zmiany przepisów. Innym razem federalni urządzili najazd na firmę, którą zamierzałem kupić, a przy następnej okazji, korporacja, w którą włożyłem kilka ładnych milionów, zbankrutowała, nim doszło do podpisania kontraktu. I tak w kółko. Dobrze wiedziałem, że za wszystkim stoi Dominie. Jak on to, kurwa, robił? Dociekliwy umysł domaga się odpowiedzi, a mogę zapewnić, panie Croaker, że mój umysł należy do dociekliwych.

- - Fascynujące. Lecz co to ma wspólnego ze mną? Leonforte z trzaskiem odstawił kieliszek na stolik. - Chcesz grać twardo? Dobra. - W oczach gangstera zamigotały diabelskie ogniki. - Ciebie też dopadł, nie? To znaczy, Dominie. Pewnie. Miał wpływ na wszystkich. Ty, przyjacielu, ścigałeś mordercę i przypuszczam, że dołożyłeś ręki, żeby go wykończyć. W ogóle masz nawyk wpychania łapy w różne miejsca, nawet tam, gdzie nie trzeba, na przykład w majtki Margaritę DeCamillo. Teraz na dobre należysz do rodziny. - Uniósł dłoń, co już od kilku minut było charakterystycznym przerywnikiem. - Nic mi do tego. Z pewnego punktu widzenia to nawet cholernie śmieszne. Facet zawsze będzie facetem nie? A dla
- Tony'ego to dodatkowy gwóźdź do trumny. Taki jak on musiał chyba urodzić się z dupy, nie sądzisz? Wycelował palcem w Croakera.
- - Mimo wszystko twój postępek będzie nam ciężać jak kamień. To *infamia*, potwarz, i w tej chwili jestem za to wkurwiony.
- Ty i Tony D. - myślał Lew. - Dwóch wrogów w ciągu jednego dnia. Czasem nawet nie warto wstawać z łóżka.
- Z drugiej strony, mam pewne podejrzenia względem Margaritę. Znacząco, jej brat wykitował i zostawił cały biznes w rękach tej łajzy, Tony'ego? Może z tego powodu, że gość się wżenił w rodzinę? Nie... Dominie był zbyt sprytny, by popełnić taką pomyłkę. Więc o co chodzi? - Uniósł dłoń. - Może się jeszcze tego nie domyślasz, lecz idę o zakład, że szefową jest Margaritę. Zresztą sam wiesz, że mówię prawdę, bo masz podobne podejrzenia. Inaczej po co byś śledził ją, a nie Tony'ego? Margaritę przez wszystkie minione lata trzymała się blisko Dominika i mimo ułomności ma swój rozum.
- Ułomności?
- Przecież jest babą, łapsie. Jak to inaczej nazwać? Croaker spojrział w bok.
- Chciałbym coś zjeść.
- Dwaj ludzie tkwiący w ciele Leonforte'a doprowadzali go do szału. Caesare wykrzywił usta w bezwiednym uśmiechu i skinął na kelnera.
- - Jasne. Czemu nie? Przecież po to tu właśnie przyszliśmy.
- Zamówił *penne* z wódką i zieloną sałatą. Croaker, w coraz gorszym humorze, wybrał stek. Leonforte wziął sałatę także dla niego. Po odejściu kelnera gangster uniósł kieliszek i wskazał parę młodych ludzi, którzy właśnie usiedli przy sąsiednim stoliku.
- - Popatrz na tego pysia, jak się gapi jej prosto w oczy. Wygląda jak śnięta makrela. Chciałbym dzisiaj prowadzić z nim jakieś negocjacje w interesach. Wróci do biura i nie będzie wiedział, czy odpowiadać „tak” czy „nie”.

- Odłamał kawałek bułki, zanurzył w winie i patrzył przez chwilę na rubinowe krople.
- - Od zarania dziejów kobiety miały paskudny wpływ na mężczyzn.
- - To twój wniosek czy opinia naukowców? Leonforte roześmiał się krótko.
- Ty, przyjacielu, nie powinieneś być takim sceptykiem. - Wepchnął bułkę do ust i zaczął przeżuwać. - Weźmy ciebie i Margaritę. Zwykła znajomość, nawet małe bara-bara, w niczym by nie przeszkadzało. Ale ty wpadłeś w uzależnienie. Teraz, gdy konieczny jest zdrowy rozsądek, nie potrafisz trzeźwo myśleć. Chciałbyś ją chronić i otaczać czułą opieką.
- Nic o tym nie wiesz.
- Kelner przyniósł sałatę. Leonforte rzucił się na swoją porcję, jakby nic nie jadł od kilku tygodni. Croaker spróbował raz i poczuł nagły skurcz żołądka. Odłożył widelec.
- - Przeciwnie, wiem wszystko - wymruczał Leonforte między kolejnymi kęsami. - A to dlatego, że znam życie. Mężczyźni lgną do władzy, a kobiety do władczych mężczyzn. Koniec wykładu.
- Skończył jeść, a potem kawałkiem bułki wymazał z salaterki resztki oliwy i octu.
- Nie chcesz? - wskazał na porcję Croakera.
- Możesz zabrać.
- Druga sałata zniknęła w rekordowym tempie. Leonforte westchnął z ukontentowaniem i odsunął nakrycie. Kelner uprzątnął stół, po czym podał nowe sztuce. Caesare wypił łyk wina.
- Słuchaj, mogę pogodzić się z tym, że dymasz żonę Tony'ego, bo Bóg mi świadkiem, widzę, że naprawdę się zadurzyłeś. I w tym tkwi twoja słabość. Dlatego mówiłem wcześniej, że baby mają paskudny wpływ na mężczyzn. Jesteś mi coś dłużny, a ja, w przeciwieństwie do Tony'ego D., nie rzucam słów na wiatr. Masz dostęp do Margaritę, a ona z kolei ma coś, czego od dawna szukam.
- Niby co? - spytał Croaker z wymuszonym spokojem.
- Listę Dominika. Spis, pozwalający mu rządzić ludźmi we władzach miejskich, stanowych i federalnych. Tony D. na pewno go nie dostał, więc pozostaje Margaritę. Bóg jeden wie, czemu Dominie jej zaufał. Przecież mógł się domyślać, że żadna dupa wśród mężczyzn nie znajdzie poważania.
- Nadszedł kelner. Leonforte zaczął jeść, ledwie talerz dotknął obrusa.
- Tak to już bywa, panie Croaker. Nadal będziesz ją śledził. Dasz mi znać, jak coś znajdziesz. Od teraz pracujesz dla mnie.
- A jeśli odmówię?
- Leonforte uniósł głowę. W oczach tańczyły mu czerwone ogniki, a na ustach pojawił się szeroki uśmiech.
- - Wtedy, panie Croaker, niejaka Margaritę Goldoni DeCamillo skończy z kulką w głowie.

Chosę. W jej ciemnych oczach, niczym wyspy na zamglonym morzu, czaiły się tajemnice. Akira Chosa uwielbiał sekrety, więc poczuł mistyczną więź łączącą go z piękną tancerką. Leżała na czarnym błyszczącym stole, jej długie włosy, połyskujące jak laka, spływały na małe piersi, wąską talię i jędrne biodra. Atmosferę niewielkiego *akachochin* przesyciała woń papierosów i zmysłowy zapach seksu. Naga dziewczyna, pomalowana w pasy w kolorze indygo, powoli ułożyła usta w doskonały owal. Dzięki pewnym sekretom oyabun klanu Kokorogurushii uniknęła ostatniej fali aresztowań. Wielu wysoko postawionych finansistów, wpływowych polityków i zasłużonych urzędników miało mniej szczęścia. Powędrowali za kratki oskarżeni o defraudację, przestępstwa podatkowe i korzystanie z nielegalnych dotacji. Wąski pas świecącego materiału spowijał biodra dziewczyny. Ku jej otwartym ustom wolno zbliżał się duży gumowy fallus. Nadeszła główna część przedstawienia: na nagich piersiach, pośladkach i biodrach zamigotały barwne światła, a ozdobione grubą warstwą szminki usta poruszyły się w delikatnym tańcu. W sali było tak cicho, że Chosa słyszał przyspieszone oddechy grupki mężczyzn, stałych bywalców nocnych klubów, którzy usiłowali w ten sposób zyskać kilka godzin złudnej swobody po dniu spędzonym w biurze bądź na jakimś obowiązkowym, kosztownym i nudnym przyjęciu „w interesach”. Największy sekret Chosy dotyczył Nicholasa Linneara. Co prawda Linnear był jedynie osiłą, wokół której toczyły się rozmaite wydarzenia. Ojciec Nicholasa, pułkownik Denis Linnear, w pierwszych latach amerykańskiej okupacji Japonii zawiązał cichy sojusz z Mikio Okamim. Na pozór nie było w tym nic nadzwyczajnego. Władze wojskowe często korzystały z pomocy klanów yakuza, by zdusić strajki robotników inspirowane przez partię komunistyczną. Ich zdaniem, japońscy nacjonaści prędzej mogli przywrócić porządek wśród ziomków niż amerykańska żandarmeria. Żaden yakuza nie odrzuciłby takiej oferty; strach przed komunizmem przeważał nad pogardą dla okupanta.

- Ale porozumienie łączące pułkownika Linneara z Okamim miało inne, znacznie silniejsze podłoże. W krótkim czasie stali się przyjaciółmi. Tu śledztwo Chosy utknęło w miejscu. Poczynania wspomnianej dwójki wciąż otaczała mgła tajemnicy. Udało mu się ustalić zaledwie parę szczegółów. Jako jedyny z oyabunów zrozumiał, dlaczego Tomoo Kozo próbował zamordować Nicholasa w dzień Nowego Roku. Oficjalna wersja głosiła, że Kozo, ówczesny szef klanu Yamauchi, nie chciał dopuścić, by Linnear poznał prawdziwe okoliczności śmierci swej żony. Chosa okłamał Ushibę - Kozo od dawna zamierzał zabić zarówno Justine, jak Nicholasa. Pragnął w ten sposób dopełnić zemsty za zgon ojca. Katsudo Kozo zginął w czterdziestym siódmym, rzekomo zamordowany przez pułkownika Linneara i Mikio Okamiego, gdyż sprzeciwiał się dalszym układom z Amerykanami. Przez całe życie pałał szaleńczą nienawiścią do Zachodu i nigdy nie pogodził się z klęską armii cesarskiej w wojnie na Pacyfiku. Z tego też względu toczył zacięty spór z Okamim. Konflikt wewnętrzny przybierał na sile, choć każdy oyabun zdawał sobie sprawę, że na ich sporze ucierpią wszystkie klany. Katsudo otwarcie ogłosił wojnę z Okamim. Dwa tygodnie później wyłowiono go martwego z Sumidy. Wyszło na jaw, że nie umiał pływać, ale na zwłokach nie znaleziono żadnych śladów. Mimo to młody Tomoo zaczął poszukiwać domniemanych zabójców. Z czasem uznał, że zbrodni dokonali Okami i Linnear, lecz czy posiadał wystarczające dowody - tego nie wiedział nawet Chosa. Dziewczyna w zdumiewający sposób potrafiła panować nad swoim ciałem; w przeciwnym wypadku nigdy nie znalazłaby pracy w nocnym klubie. Miała talent. Nawet nie drgnęła, choć jej skóra pokryła się grubą warstwą potu. Samotna kropla, błyszcząca w świetle reflektorów niczym brylant, przylgnęła do jej twardego sutka. Ulotna jak łza lub kwiat wiśni

rozkołysany wiatrem, żyjąca własnym życiem, poza granicą czasu i uczuć. Pod pewnym względem Chosa podziwiał Nicholasa. Tragedia Linneara przypominała dzieje największych japońskich herosów. Nicholas kochał ojca, lecz uważał, że żaden yakuza - zwłaszcza Mikio Okami - nie zasługuje na względy przyjaźni. Żył nienawiścią. Nagle, perfidnym zrzędzeniem losu, ze względu na pamięć o pułkowniku, stał się obrońcą starego oyabuna. Dotrzymał wierności nakazom *giri*, choć bez wątpienia kosztowało go to bardzo wiele. Wątpa nie śliny połączyła język dziewczyny z końcem gumowego fallusa. Wśród zgromadzonych rozległ się zgodny pomruk aplauzu. Czuć było silną woń potu. Trzasnęło kilka zapalniczek. Czar prysnął; pokaz dobiegł końca. Chosa skinął na jednego ze swych ludzi, by poszedł za kulisy i przypilnował dziewczynę. Chciał mieć ją wieczorem w łóżku. Przedtem jednak czekała go rozmowa z jedyną poza Okamim osobą, która w latach czterdziestych dobrze poznała zaułki Tokio. Po wyjściu z klubu wsiadł do pancерnej limuzyny i cicho powiedział coś do kierowcy. Siedzący obok ochroniarz nie zmienił pozycji; mogłoby się wydawać, że zasnął. Nic bardziej mylnego.

- Dwadzieścia minut później dotarli do zaniedbanej dzielnicy na brzegach Sumidy. Psy uciekały przed światłem, w mroku połyskiwały blaszane śmietniki. Czarne fasady magazynów wyglądały odpychająco. Samochód stanął przed domem wciśniętym między dwie duże hale. Siąpił deszcz, krople migotały w jaskrawym świetle sodowych latarni. Chosa wysiadł. Postawił wysoko kołnierz płaszcza. Po dusznej, przesiąkniętej dymem atmosferze klubu z przyjemnością oddychał świeżym powietrzem. Poczł woń rzeki, lecz w ustach wciąż miał smak popiołu, więc pospiesznie wszedł po schodach wiodących do budynku. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast, jakby stojąca za nimi kobieta od dłuższej chwili czekała na jego przybycie. Tęgawa, przeciętnej urody, dobiegająca trzydziestki, z gęstą grzywą czarnych włosów, skręconych niczym włókna w ryżowej bibule. Wnętrze domu urządzone w stylu zachodnim. Z eleganckiego, owalnego foyer wiodły na piętro szerokie schody, a światło, padające z kryształowego żyrandola, kładło się miękkim blaskiem na meblach. Na marmurowym podeście stał szklany wazon ze świeżo ściętymi kwiatami. Chosa minął korytarz wykładany gustowną boazerią z drewna wiśniowego i wszedł do biblioteki. Na starym, drogocennym perskim dywanie stała kryta aksamitem kanapa i para wysokich foteli w stylu Ludwika XV. Jedną ścianę zajmował regał z książkami, pod drugą, w szklanej gablocie, pyszniła się samurajska zbroja z siedemnastego wieku, mogąca stanowić ozdobę niejednego muzeum. Wyposażenia dopełniał francuski sekretarzyk. Siedząca przy nim kobieta wstała na widok gościa. Tu, o czym oyabun doskonale wiedział, znajdowało się jej sanktuarium. Była już po siedemdziesiątce, lecz wyglądała na dwadzieścia lat młodszą. Szlachetne rysy wyraźnie świadczyły o jej samurajskim pochodzeniu. Jedwabista skóra przypominała barwę porcelany, a w czarnych błyszczących oczach krył się ogromny bagaż mądrości i uczuć. Nawet Chosa czuł respekt przed tą kobietą. Była siostrą Okamiego, co samo w sobie stanowiło powód do dumy, lecz prócz tego dysponowała wewnętrzną siłą, pozwalającą zapomnieć o jej rodzinnych koneksjach. Chosa, nauczony przez matkę, jak cenić cichą władzę niewiast, darzył ją głębokim szacunkiem.
- - Dobry wieczór, Kisoko-san - powiedział cicho. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam o tak późnej porze.
- Zmierzyła go wzrokiem.
- Czas nie ma dla mnie większego znaczenia - odparła. - Podobnie jak sen. - Jej miękki,

melodyjny głos mógł w każdej chwili zadźwięczeć jak stal. Przywykła do rozmów z mężczyznami. - Napijesz się brandy?

- Z przyjemnością.
- Kisoko sięgnęła po kryształową karafkę. Miała na sobie przepiękne kimono z przetykanego brokatem jedwabiu, mieniące się granatem i czernią. Jak każda tradycja, nosiła także spodnią szatę z miękkiej czarnej tkaniny, choć starannie upięte włosy czesała na sposób zachodni.
- Wręczyła kieliszek oyabunowi i zajęła miejsce w fotelu. Chosa przeszedł przez pokój i stanął przed zbroją.
- Wspaniała - stwierdził. - Zazdroszczę ci.
- Nie należy do mnie. Ken jest prawdziwym znawcą i miłośnikiem starej japońskiej broni. - Popatrzyła na zbroję. - Ma... jakby to powiedzieć... mocno wygórowane poczucie honoru. - Roześmiała się cicho. - Czasem myślę, że wolałby się urodzić w siedemnastym wieku. Wówczas każdy znał swoje miejsce. Nasza skomplikowana rzeczywistość chyba go czasem przytłacza.
- Podziwiał swobodę, z jaką mówiła o synu przykutym na stałe do wózka. A może, jak to matka, starała się nie widzieć ułomności dziecka. Nawet najrozumniej si ludzie tracą rozsądek pod wpływem miłości lub złudnych nadziei. Na ustach Kisoko zagościł przepraszający uśmiech.
- - Musisz mi wybaczyć. Wiem, że nie przyszedłeś tu słuchać moich rodzinnych zwierzeń.
- Chosa obrócił się i pociągnął łyk brandy. Nie przepadał za alkoholem, lecz umiał docenić jego kojące właściwości. Po dniach i nocach wypełnionych pracą z ulgą przyjmował każdą chwilę relaksu.
- - Chciałbym pomówić o pułkowniku Linnearze i twoim bracie. Kisoko przekrzywiła głowę, niczym ptak przeczuwający niebezpieczeństwo.
- Słucham.
- Nie masz żadnych zastrzeżeń?
- Chosa-san, znamy się nie od dzisiaj. Bujałam cię na kolanach, zabierałam na spacer do parku Ueno, wyplątywałam twój latawiec z gałęzi wiśniowego drzewa...
- Pamiętam. Ten z wizerunkiem tygrysa.
- Tak - przytaknęła Kisoko. - Groźny zwierz, który mimo to potrzebował twojej ochrony.
- Brat chciał mi go zabrać, więc dostał ode mnie solidnego łupnia.
- Trafił do szpitala z pękniętym obojczykiem.
- Do dziś ma skrzywione ramię. Ale już nigdy więcej niczego mi nie zabierał.
- I nie powiedział nikomu, co naprawdę zaszło.
- Chosa milczał przez chwilę. Zastanawiał się, czemu służy ta rozmowa. Kisoko często używała przenośni dla wyrażenia głębszych treści. Co tym razem chciała powiedzieć?
- Słyszałaś chyba, że Tomoo Kozo próbował zabić Nicholasa Linneara?
- Owszem, choć policja dopilnowała, by nic nie dotarło do prasy i telewizji.

- Uważał, że twój brat i pułkownik w czterdziestym siódmym zamordowali mu ojca.
- Tak. Dobrze pamiętam dzień, w którym wyłowiono zwłoki z Sumidy.
- Miał rację?
- Oczywiście, że nie - odpowiedziała bez wahania. - Był skończonym głupcem. Nie wiem, jak mogłeś tolerować go w radzie.
-
- Ale twój brat i pułkownik Linnear byli dobrymi przyjaciółmi.
- Przyjaciółmi? - spytała. - Dziwne określenie. Pułkownik pochodził z innej rasy, więc jak można mówić o przyjaźni?
- W głębi serca był Japończykiem.
- Naprawdę? Ciekawe. Chosa odstawił kieliszek.
- A dowody?
- Jakie dowody? Bierzesz pogłoski za fakty?
- Są przecież wyraźne świadectwa, że Linnear był głównym inspiratorem gospodarczej i politycznej odbudowy Japonii.
- Oczywiście. - Kisoko jednym haustem wychyliła swoją porcję trunku. - Lecz jednocześnie postarał się o to, by zniweczono wszelkie pozostałości przedwojennego przemysłu zbrojeniowego.
- Chosa stał nieruchomo, zdumiony i zdezorientowany.
- Chyba cię nie rozumiem.
- Weź pod uwagę, że władze okupacyjne zamierzały zachować część armii cesarskiej i przekształcić Japonię w bufor chroniący przed naporem komunizmu na obszar Pacyfiku. Wyznaczono nam rolę fortecy, skierowanej przeciwko Rosji i Chinom. Śmieszne, nieprawdaż? Amerykanie. Najpierw nas rozbili, a potem wysłali do patrolowania granic.
- Mówimy o tak zwanych zbrodniarzach wojennych. - Chosa chciał się upewnić, że wszystko dobrze zrozumiał. - Część amerykańskiego dowództwa zamierzała dla własnych celów wykorzystać wiedzę japońskich oficerów. Przebąkiwano nawet o rezygnacji z procesów.
- Niektórzy członkowie sztabu nigdy nie stanęli przed sądem. Oficjalnie zostali uznani za zaginionych, lecz wiem, dokąd trafili. Do podziemia. Szpiegowali dla Amerykanów.
- A twój brat i Linnear byli w to zamieszani. Kisoko wydeła usta.
- W sposób, którego nigdy nie zdołasz pojąć.
- Muszę to wiedzieć! - Chosa zdziwił się ostrym brzmieniem własnego głosu.
- Musisz? Dlaczego musisz? - Wykonała nieznaczny ruch ręką i jedwabne kimono zaszeleściło niczym skrzydło anioła. - Jesteś przecież oyabunem. Wystarczy, że wydasz rozkaz.
- Zamknął oczy; choć na chwilę chciał się od niej odgrodzić.
- Nie mogę ci rozkazywać, Kisoko.
- Nie. Za sprawą mego brata ród Okami jest poza twoim zasięgiem.
- To nie dotyczy Nicholasa Linneara. Mam tylko jedno pytanie: dlaczego próbujesz mi wmówić, że twój brat i pułkownik Linnear nie byli bliskimi przyjaciółmi?

- Chciała mu dolać brandy, lecz odmówił.
- - Każde małżeństwo przeżywa złe chwile. Dla jednych jest to przejściowy kryzys, inni potrzebują rozwodu.
- Co nastąpiło między nimi?
- Miałaś zadać tylko jedno pytanie. - Odstawiła karafkę i podeszła tak blisko, że czuł jej oddech. - Gdyby Mikio był tutaj, mógłby ci odpowiedzieć.
- Chosa zbyt późno zorientował się w sytuacji. Kisoko błyskawicznym ruchem uniosła dłoń i wbiła mu palce w szyję, tak mocno, że czuł pulsowanie krwi w ściśniętej arterii.
- - Niestety, nie przyjdzie. Ukrywa się. Daleko ode mnie... i od ciebie. Oczy błyszczały jej gorączkowym podnieceniem. Chosa miał niemiłe
- wrażenie, że zaraz zobaczy ohydne cielsko ogromnego węża, chcącego go zdusić i pożreć. Nagle pojawił się, co chciała mu powiedzieć na początku rozmowy: Mikio był nadal jej bratem. Okazywała mu szacunek i wierność, podobną tej, jaka kierowała postępowaniem brata Chosy.
- - Usiłowałeś go zabić, miły?
- Był tak zdumiony jej pytaniem, że odebrało mu mowę.
- - Zazdrościłeś mu władzy? Chciałeś być nowym kaisho? Próbowaleś pomniejszyć jego wpływy? - Lekko zacisnęła chwyt. - W dzieciństwie niczym nie wyróżniałeś się spośród rówieśników. Śpiewałam ci kołysanki. Teraz spójrz tylko, stałeś się częścią mroku. Muszę przyznać, że do twarzy ci w czerni. Wrosłeś w nią... a może ona w ciebie.
- Chosa zrozumiał, że przegrał. Wykorzystał już wszystkie atuty, lecz mimo to zadał jeszcze jedno pytanie:
- Skoro nie chcesz rozmawiać o bracie i pułkowniku, może chociaż potwierdzisz moje domysły dotyczące Koei?
- Koei? - powtórzyła zaskoczona, rozluźniając palce. - Skąd ci przyszło do głowy, że mogę coś o niej wiedzieć?
- Każdy, kto znał Koei, używał wyłącznie jej imienia.
- - To chyba oczywiste.
- Chosa poczuł gwałtowny ból, gdy długie paznokcie Kisoko bezlitośnie wpiły mu się w jabłko Adama.
- Nędzny potworze! Wstręt mnie ogarnia, kiedy słucham tego, co mówisz! W tym domu nie rozmawia się o Koei.
- Dlaczego?
- Mierzysz mnie. Sądzę, że to był właściwy cel twojej wizyty. - Pożerała go wzrokiem. - Nie szukasz wiadomości o moim bracie i pułkowniku Linnearze. Próbujesz dowiedzieć się czegoś o niej.
- Sekret... muszę znać...
- Prędkiej umrzesz.
- Matko?...
- Ken wjechał na wózku do biblioteki. Był młodym przystojnym mężczyzną o pociągłej,

niecو chmurnej twarzy i bystrych brązowych oczach. Miał muskularny tors i szerokie ramiona. Co dzień ćwiczył w specjalnie przygotowanej sali gimnastycznej na piętrze, w której zgromadził też imponującą kolekcję starej broni.

- - Tak?
- Kisoko oderwała dłoń od szyi Chosy. Biały ślad palców szybko zabarwił się czerwienią. Przez długą, niemłą chwilę wpatrywała się w oczy oyabuna. Potem z łagodnym uśmiechem odwróciła głowę.
- Jesteś potrzebna na górze.
- Już idę. - Ruszyła w stronę syna, lecz stanęła w pół kroku, jakby sobie przypomniała o obecności Chosy.
- Mam nadzieję, że ci pomogłam - powiedziała.
- Oyabun czuł pulsowanie w szyi i ucisk w żołądku. Nie potrafił wykrztusić ani słowa.
- - Wokół są tylko martwi albo umierający, lecz mnie udało się uratować czyjeś życie.
- Seiko stała naprzeciw Nicholasowi tak blisko, że czubkami piersi muskała jego zniszczone ubranie. Pokój był urządony na sposób europejski. Okna wychodziły na ulicę pełną sklepów z tandetną elektroniką, używanymi kamerami (pochodzącymi na ogół z kradzieży) oraz wszechobecnymi *ao dais*. Z pobliskiej restauracji dochodził zapach manioku i *nuoc mam*, czyli sfermentowanego sosu rybnego, stanowiącego podstawę wietnamskiej kuchni. W pokoju, prócz paru drewnianych mebli, znalazło się miejsce dla ozdób wyrabianych na miejscu lub sprowadzonych z Birmy, Tajlandii i Indii. Na ścianach wisiały barwne jedwabie z północnej części dawnego Syjamu, z wyjątkiem jednego miejsca przy drzwiach wiodących do kuchni, gdzie przyklepiono pamiętający lata sześćdziesiąte plakat z wizerunkiem Jimiego Hendrixa.
- - Van Kiet chciał cię zabić. Dygotał, gdy odchodziłeś. Aż brzuch mu się trząsał. - Lekko rozdymając nozdrza, wciągnęła powietrze i rozchyliła usta. - Nie kąpałeś się kilka dni. Lubię twój zapach.
- Łączyła ich dziwna więź, postrzępiona, pełna niedopowiedzeń i powstrzymywanych uczuć. Justine była zazdrosna o Japonkę i oskarżała męża o romans. Nicholas zdecydowanie odrzucał te podejrzenia, lecz Seiko nieoczekiwanie wyznała mu miłość. Kierowało ją głębsze uczucie, czy zwykła namiętność? Chyba sama nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie.
- Jesteś cały pokryty krwią - powiedziała, odchylając strzęp koszuli i muskając paznokciami pierś Nicholasowi. - Też potrafiłabym zabić... - Poczł miękkie jak jedwab dotknięcie jej policzka. Odwróciła głowę i zębami chwyciła go za skórę.
- Takie są twoje marzenia, Seiko?
- Przestała gryźć, lecz nie odrywała ust od jego ciała.
- Użyj mocy tanjianina. Powiedz mi, o czym myślę. Nicholas wolał poprzestać na zwykłych pytaniach.
- Zgłosiłaś się do pracy ze względu na mnie?
- Tak.
- Widziałaś mnie już przedtem.

- - Tak. W klubie w Shinjuku, dokąd często zabierał cię Nangi. Stałam wtedy przy barze. Mój chłopak chciał mnie upić, bo się pokłóciliśmy, i myślał,
 - że nie pójdę z nim do łóżka. Kiedy się pojawiłeś, byłam już mocno wstawiona. Myślałam, że dostanę ataku serca. Czułam ból w piersiach i mocne zawroty głowy. Powiedziałam „przepraszam” i odeszłam. Mój chłopak myślał, że idę do toalety, a ja po prostu chciałam być bliżej ciebie. - Seiko powoli zaczęła się ocierać o Nicholasa. - Wmieszałam się w tłum. Wiedziałam, że mnie nie widzisz, i spokojnie mogłam cię obserwować. Czułam narastające podniecenie. Dyszałam ciężko i zaciskałam uda, a przez głowę przelatywały mi najróżniejsze myśli. W końcu wpadłam w ekstazę. Nie potrafiłam temu zapobiec. Przez cienki materiał sukni czułam żar bijący od jej ciała.
- Miałam wrażenie, że minęło kilka godzin. Chłopak, chyba mnie szukał... nie pamiętam. Wreszcie poszedł do domu, zły i bez pieniędzy. Nie zwracałam na to uwagi; miałam ciebie. No... prawie. Potem złożyłam podanie o pracę. Czekałam. Zostałam przyjęta.
 - Wiedziałaś już wówczas, że jestem żonaty.
 - Wiedziałam wszystko.
 - Zatem zdawałaś sobie sprawę, że nigdy mnie nie zdobędziesz.
 - Nawet o tym nie myślałam. Moje projekcje były zbyt realne. Brałam je za przepowiednię przyszłości.
- Szalona? - myślał Nicholas. - Raczej nie. Życie nigdy nie podsuwa najprostszycch rozwiązań.
 - Czemu Van Kiet chciał mnie zabić?
 - Uważa, że zamordowałaś dwóch żołnierzy w Cu Chi.
 - Za to zastrzelił Bay.
 - Nie. Zabił ją dla przyjemności. Obdarłby cię żywcem ze skóry, gdybym mu dała okazję.
- Nicholas spojrzał na nią.
 - Nie może na to liczyć, prawda?
 - Prawda - odpowiedziała ze złośliwym uśmiechem. - Przy mnie jesteś bezpieczny.
- Objął ją.
 - - Z jakiego powodu? Dla kogo pracujesz? Zaczęła się wiercić w jego uścisku.
- Skąd ci przyszło do głowy, że ktoś inny prócz ciebie może być moim pracodawcą?
 - Bo w tym kraju liczą się tylko wpływy, a ty jesteś kobietą. Gorzej: Japonką, cudzoziemką.
 - Nie całkiem. Mój ojciec był Wietnamczykiem.
- Odchyliła głowę. Usta jej drżały, przez całe ciało przebiegały spazmatyczne dreszcze. Co się dzieje? - pomyślał Nicholas. Twarz Seiko pokryła się czerwienią, na czoło wystąpiły grube krople potu.
 - - Och... - jęknęła nieswoim głosem, po czym zawisła bezwładnie w ramionach Linneara.
 - Boże - zrozumiał z osłupieniem - miała orgazm.

- - Jeszcze, jeszcze... - szeptwała chrapliwie.
- - Seiko...
- Zakryła mu usta pocałunkiem. Poczuł na wargach smak jej języka. Jedną rękę delikatnie wsunęła mu między uda i ścisnęła nabrzmiąłą męskość.
- Wiedziała - powiedziała bez tchu. Na jej twarzy pojawił się uśmiech triumfu. - Nie zdołasz ukryć przede mną swych uczuć. Czułam to aż do bólu, na lotnisku, kiedy odlatywałeś do Wenecji. - Dłoń Seiko pracowała niestrudzenie. - Byłeś zaskoczony moim wyznaniem?
- Tak. Ja...
- Nie kłam. Wiem, co czujesz. Twoja aura uległa zakłóceniom. Było to tak wyraźne, jak zmarszczki na powierzchni stawu, świadczące o tym, że w głębi coś płynie. Nie mogłam się pomylić.
- Seiko, oszukujesz sama siebie...
- To nie oszustwo - wyszeptwała, osuwając się na kolana.
- Ściągnęła mu spodnie, zacisnęła w dłoni gorący kawałek ciała. Nicholas nie panował nad sobą. Zaskoczony działaniem Seiko, zwłaszcza jej nagłą ekstazą, zapomniał o ostrożności. Teraz już nie potrafił powstrzymać narastającego podniecenia. Pochyliła głowę. Długie włosy spłynęły jej z ramion, odsłaniając kuszącą linię szyi. Nicholas poczuł na skórze jej wilgotne wargi. Poruszała głową w górę i w dół, wyszukiwała językiem najczulsze zakamarki jego ciała. Linnear bezwiednie pogładził ją po karku i rozsunął na boki ramiączka sukni. Seiko na chwilę opuściła rękę, pozwalając, by opadająca materia odsłoniła jej piersi. Jęknęła głucho pod wpływem jego dotyku. Nie chciał dopuścić do zbyt szybkiego zakończenia, lecz nie potrafił jej powstrzymać. Ścisnął sutki Seiko, poczuł, że cały pęcznieje, aż wreszcie stracił panowanie nad ciałem i umysłem. Szeroko rozwarte oko tanjianina pulsowało niezależnym życiem, a on, nisko pochylony nad Japonką, dygotał rytmicznie. Ku własnemu zdziwieniu nie zwiotczał, więc zadarł jej sukienkę, odsłaniając biodra. Nie nosiła bielizny. Wdarł się w jej wnętrze, wiedząc, że czuła go równie mocno fizycznie jak psychicznie. Po pierwszym pchnięciu wydała chrapliwy okrzyk. Smukłe ciało wiło się w zmysłowym tańcu, spod zaciśniętych powiek płynęły łzy. Nicholas instynktownie pojął, że nie była wariatką, lecz że posiadała niespotykaną wrażliwość i zdolność wyczuwania emanującej z niego energii. To tłumaczyło jej zachowanie w nocnym klubie, gdzie widziała go po raz pierwszy. Zatopił się w niej, niezdolny do ucieczki. Bezskutecznie próbował panować nad mocą tanjianina. Im bardziej pętał swą wolę, tym bardziej nie chciała go słuchać, aż w końcu wypełzła na zewnątrz i otuliła ich bezpiecznym kokonem, podtrzymującym żar uniesień o wiele dłużej, niż to było konieczne. Wreszcie zapadli w ciężki, kamienny sen. Obudzili się nocą, niczym wyrwani z głębokiej maligny. Nie bardzo wiedzieli, gdzie są, gdyż część ich jestestwa wciąż broniła się przed powrotem do normalnego stanu. Przez otwarte okna dobiegały dźwięki ulicy: gdakanie kur, zgrzytanie rowerów, warkot ciężarówek, jazgot rock'n'rolla z odległego o przecznice
- klubu i zawrodozenie buddyjskiego mnicha. Powietrze przesycala ostra won kadzidla, smazonego miesa, perfum, octu i gozdzikow, sfermentowanej maczki rybnej, potu i spalin.
- - Nie śpię?
- Nicholas odgarnął z czoła pukiel mokrych włosów.

- - Nie.
- Oczy Seiko wypełniły się łzami. Zakryła ręką nagie piersi i odsunęła się od niego.
- - Przepraszam. Nie mam nic na swoją obronę. Ja...
- Objął ją w pól i przytrzymał. Zadygotała, aż zaczęły drżeć jej pośladki.
- - Buddo, co we mnie wstąpiło? - szlochała. - Pragnęłam cię... Pragnęłam tak mocno, że zdolna byłam zabijać...
- Położył palec na jej ustach.
- - Ciii... - Przyciągnął dziewczynę do siebie i zaczął lekko kołysać. - Czułem to... Miałas rację. Czułem to już wtedy, na lotnisku.
- Przytuliła się.
- - Mam wrażenie, że wypiałam ćwiartkę whisky.
- Oddech Seiko chłodził mu skórę. Słyszał bicie jej serca - tak mocne, jakby wniknęła w głąb jego ciała. Gdzieś w zakamarkach umysłu czaiło się ostrzeżenie, że nie powinien ulegać jej magii, gdyż nie miał najmniejszych wątpliwości, że na swój sposób była czarodziejką. Z drugiej strony, chęć podjęcia wyzwania okazała się silniejsza. Teraz, po śmierci Bay, tylko Seiko mogła mieć coś wspólnego z Abramaniem i z człowiekiem lub z ludźmi, którzy wydali wyrok na Vincenta Tinha. Więż psychiczna czyniła ją jeszcze cenniejszą. Nicholas po raz pierwszy spotkał kogoś, kto w tak naturalny, niemal pierwotny sposób ulegał emanacji płynącej z jego umysłu. Jaki dar posiadała Seiko? Prawdziwe *koryokul* Celeste wspominała kiedyś, że dzięki podobnej wrażliwości Okami zawsze o parę kroków wyprzedzał swych nieprzyjaciół. Tak czynił przez dziewięćdziesiąt lat. Nicholas zdążył się już nauczyć, że wbrew utartej opinii *kory oku* nie było gałęzią wiedzy, lecz raczej naturalną cechą, dostępną jedynie niektórym, a i u nich objawiającą się raczej z rzadka. Spożytkowanie niemałej ilości energii sprawiło, że czuł w ustach metaliczny posmak. Postanowił jak najszybciej wrócić do codzienności. Gdy poszedł się kąpać, Seiko wybrała się po zakupy na czynne przez całą dobę targowisko. Przyniosła owoce, warzywa i ogromne pudło parującego makaronu. Prócz tego kupiła Nicholasowi trochę odzieży: kilka kompletów bielizny, spodnie w kolorze khaki, białą przewiewną koszulę, znoszone turystyczne buty, dwie pary grubych skarpet i krótką wojskową kurtkę. Przesmażyła warzywa na oleju sezamowym. Zjedli posiłek w połyskującej chromem kuchni, zdałoby się przed chwilą przeniesionej z jakiegoś amerykańskiego domu początku lat siedemdziesiątych. Głód porządnie dawał im się we znaki. Jedli w milczeniu, od czasu do czasu spoglądając na siebie.
- Musisz mi wiele wyjaśnić - odezwał się Nicholas, gdy już odsunął pusty talerz. - Zbyt mało zdążyłem cię poznać.
- Mogłabym powiedzieć to samo.
- Niezupełnie. Wiesz, że ćwiczyłem ninjutsu, że jestem tanjianinem, że niezbyt dobrze układało mi się z Justine...
- Zgoda. Przyznaję się do winy.
- Spojrzała mu prosto w oczy. Jej twarz, pozbawiona najmniejszych śladów makijażu, była na pozór inna, piękna, choć łagodniejsza, z ledwo uchwytnym cieniem niewinności. Pozory. Nicholas nadal czuł więź, krępującą mu umysł na kształt srebrzystego sznura. Przypominało to scenę z jakiegoś filmu, w której dwóch Cyganów stanęło do krwawej walki. Uzbrojeni w noże, złączeni krótkim kawałkiem szpagatu, mogli poruszać się jedynie po ciasnym kręgu. W takich warunkach nie było miejsca na litość.

- - Chciałem cię prosić o coś... wyjątkowego.
- Seiko wydeła usta i przesunęła językiem po wargach.
- Nie sądzisz, że miało to miejsce przed chwilą?
- Być może. Chciałbym zerknąć w twój umysł.
- Nie. - Spojrzała na resztki posiłku. - Nie przyszło ci na myśl, że byłoby to równoznaczne z gwałtem?
- Nie wiem. Nie umiem powiedzieć. Poderwała głowę.
- Więc co próbujesz znaleźć?
- Powiedział jej o *koryoku*, o niektórych przyczynach swych poszukiwań i o tym, że jej reakcja nasunęła mu pewne podejrzenia.
- Nie jestem medium - odpowiedziała. - Nie mam objawień i nie umiem przepowiadać przyszłości. W tej dziedzinie należę do grona całkowitych dyletantów.
- Pozwól mi spróbować.
- Co zobaczysz?
- Jeszcze nie wiem.
- Wszystko? Całe moje dotychczasowe życie?
- Tego nie potrafię. Nikt nie ma takich zdolności. - Skinął głową. - Daj mi dłonie. - Miała zimne palce. - Nie bój się.
- Otworzył oko tanjianina. Seiko jak na komendę zamknęła powieki. Uspokajała się z wolna, w miarę jak wnikał w głąb jej umysłu. Otoczył ją szczelną zasłoną ciepła, dał bezpieczeństwo do chwili, aż wpadła w stan przypominający uśpienie. Dopiero wówczas przystąpił do oględzin. W realnym czasie, próba trwała nie dłużej niż ułamek sekundy, lecz to wystarczyło by mógł stwierdzić, że dziewczyna nie posiadała Mocy Oświecenia. Nadal był mu potrzebny Mikio Okami. Zamknął wewnętrzne oko. Seiko powoli otworzyła powieki.
- Jak się czujesz?
- Chyba... dobrze. - Ścisnęła go za ręce. - Znalazłeś to, czego szukałeś?
- Nie.
-
- A moje życie?...
- Nie wiem nic więcej niż przedtem. Nie umiem czytać w myślach. Skinęła głową i cofnęła dłonie. Nicholas popatrzył na nią.
- W niczym nie przypominasz kobiety, którą zatrudniłem.
- To było w Tokio. - Wstała, by zebrać naczynia. - Tu, w Sajgonie, na powrót staje się pół-Wietnamką.
- Mówiłaś o swoim ojcu. Wciąż żyje?
- Wstawiła wodę na herbatę, wzięła ze stołu nóż i zaczęła obierać owoce.

- Tak. Jest politykiem, choć tutaj to słowo ma nieco inne znaczenie. Wietnamscy politycy są tak owładnięci żądzą władzy, że na lewo i prawo sprzedają swe usługi i na każde zawołanie zmieniają orientację. - Rzuciła nieco dziwne spojrzenie na Linneara. - Ojciec pracował dla wielu. Jest giętki, dlatego do tej pory zachował swą dawną pozycję.
- I to było powodem ustępliwości Van Kieta?
- Częściowo. - Skończyła obierać owoc longanu. - Mam też własne wpływy.
- Czy to znaczy, że znałaś towarzyszącą mi dziewczynę?
- Bay? Oczywiście. Należała do międzynarodowej grupy handlarzy bronią.
- Twierdziła, że jest kimś w rodzaju niezależnego posłańca. Seiko parsknęła krótkim śmiechem.
- W Wietnamie? Tu nie ma takich kobiet.
- A ty?
- - Nigdy nie powiedziałam, że jestem niezależna. Nawet ojciec nie zdołałby mi tego umożliwić. - Obrąła mandarynkę, położyła ją na talerzu, obok longanu i dwóch pokrojonych wzdłuż bananów. - Kobiety nie mają żadnych praw. Czasem udaje im się zdobyć na krótką chwilę nieco wymuszonego szacunku.
- - Zatem masz dwóch mocodawców. Sato International i... Postawiła talerz pośrodku stołu.
- Pracuję dla człowieka nazwiskiem Shidare, który prowadzi tu rozmaite interesy.
- Shidare? Więc nie jest Wietnamczykiem.
- Niewielu dochodzi do władzy. - Wzruszyła ramionami. - Zawsze tak było. Nic, co rdzennie wietnamskie, nie ma ustalonej wartości. Kraj posiada znaczenie wyłącznie geopolityczne, wynikające z jego położenia. Przez całe dziesięciolecia braliśmy udział w grze, której zasad nikt z nas nie potrafił pojąć.
- Mówisz to z dużą goryczą.
- Naprawdę? - Z uwagą studiowała trzymany w palcach kawałek longanu. - Współczesna historia Wietnamu to ciąg nieustannych najazdów. Zostaliśmy pozbawieni własnej kultury. Mamy francuską muzykę, mieszaną kuchnię i wszyscy chcemy naśladować Amerykanów. Powinnam się z tego cieszyć?
- Nie wiem. Prawdę mówiąc, nie wyobrażam sobie takiej sytuacji.
- Może rozumiem więcej, gdyż jako pół-Japonka dopiero w Tokio widzę, ile nas dzieli.
- Seiko, nie mogę pozwolić, żebyś pracowała w dwóch firmach. To zbyt poważny wyłom w zasadach bezpieczeństwa.
-
- A przede wszystkim - pomyślał - dodatkowa poszlaka łącząca cię z niejakim Masamoto Goei, technikiem kierującym „Projektem Chi” i złodziejem, który przesłał Tinhowi skradziony mikroprocesor. Po wszystkich wydarzeniach w Sajgonie łatwo było zapomnieć o niedawnej aferze w Tokio.
- Wyrzucisz mnie?
- Tylko jeśli będę zmuszony. - Na razie nie widział takiej potrzeby. Dla kogo naprawdę pracowała? Musiał zdobyć jej zaufanie, udając łatwowierność. Gdyby postąpił inaczej, nie dowiedziałby się niczego. - Sama wybierz.

- Nie chcę opuszczać Sato... ani ciebie - odpowiedziała niemal natychmiast. - Ale tutaj potrzebuję... oboje potrzebujemy ochrony. Mogłeś się o tym przekonać dziś rano. Po powrocie do Tokio zerwę wszelkie stare kontakty. Zgoda?
- Tylko wówczas, jeśli znajdę kogoś odpowiedniego, by poprowadził sajgoński oddział firmy. Pamiętaj, że Nangi wysłał cię do Wietnamu na miejsce Tinha.
- Oczywiście - skinęła głową.
- Nicholas poczuł ogromną ulgę. W dalszym ciągu nie wiedział, co wbrew logice przyciągało go do tej silnej, choć jednocześnie bezbronnej dziewczyny. Musiał czym prędzej znaleźć odpowiedź na to pytanie. Na razie postanowił zaufać jej w jeszcze jednej sprawie lub - jakby powiedział Nangi - popuścić sznura na tyle, by starczyło na pętlę.
- Bay wspomniała mi o czymś, co nazywała Pływającym Miastem. Seiko rzuciła mu szybkie spojrzenie.
- Mówiła coś więcej?
- Niewiele. Tylko to, że Cu Chi leży w połowie drogi między tym miejscem a Sajgonem.
- I tak powiedziała zbyt dużo.
- Była umierająca. Sądziła, że to ważne. Z twojej reakcji wynika, że myślisz podobnie. Czym jest Pływające Miasto?
- Podniosła się z krzesła, podeszła do lodówki, by schować resztę owoców. Przez chwilę stała odwrócona tyłem, potem spojrzała przez ramię.
- - Niektóre rzeczy mogą być niebezpieczne.
- To samo mówiła Bay, a jednak uznała, że powinienem wiedzieć. Seiko wróciła do stołu. Usiadła obok Nicholasa.
- Pływające Miasto... to forteca.
- Forteca? Skinęła głową.
- W dawnym znaczeniu tego słowa. Uzbrojony gród, rządzący się odrębnymi prawami, choć położony na obszarze Wietnamu.
- Byłaś w nim?
- Nie. I nie znam nikogo, kto by tego dokonał. - Wsunęła dłoń w jego rękę. - Niektórzy usiłowali wtargnąć tam siłą, inni próbowali zakraść się po kryjomu... Bezskutecznie.
- Skąd wiesz?
-
- -Wszystkich odnaleziono w dżungli otaczającej Miasto. Wisieli głową w dół. Obcięte genitalia mieli wepchnięte w usta.
- Przez dłuższy czas panowała cisza. Nawet gwar hałaśliwej ulicy wydawał się przytłumiony, jakby należał do innego miejsca i czasu, podobnie jak plakat Hendrixa. Nicholas lekko ścisnął dłoń Seiko.
- Mówiłaś, że Bay pracowała dla handlarza bronią. Jak się nazywa?
- Timothy Delacroix.

- Nicholas z trudem zachował spokój. Znał to nazwisko z relacji Croakera. Delacroix prowadził rozmaite interesy z Vincentem Tinhem oraz z firmą określaną jako „Sato International”. Handlował w zasadzie wszystkim, co było dostępne na czarnym rynku. Co więcej, miał dostęp do najnowocześniejszych i najtajniejszych produktów amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego. Czy był w jakiś sposób powiązany z paryską spółką Avalon? A może wiedział, co znaczy kryptonim „Torch 315”?
- Jest z Sajgonie?
- Tak. Słyszałam, że często przyjmuje dostawy z Pływającego Miasta.
- Innymi słowy, stamtąd kupuje broń. Ciekawe.
- Delacroix, Avalon, Torch, Pływające Miasto... - myślał Linnear. - Co kaisho chciał mi przekazać? Podjął szybką decyzję.
- - Chcę się z nim spotkać.
- Twarz Seiko nabrała ostrych rysów, pozbawionych dotychczasowej niewinności.
- Nie radzę. Nie powinieneś rozmawiać z nikim, kto ma konszachty z Miastem.
- Dlaczego?
- Tam ukrywa się Abramano. W tunelach Cu Chi wpadłeś w zasadzkę. Nie wiem, kto to zorganizował, lecz sądzę, że w Mieście już dobrze wiedzą, kim jest niejaki mister Goto.
- Nicholas przyznawał jej rację, lecz w gruncie rzeczy nie miał wyboru. Musiał ustalić, co naprawdę łączyło mieszkańców tajemniczej fortecy z Vincentem Tinhem i azjatyckim czarnym rynkiem, oraz dlaczego chcieli zniszczyć reputację Tomkin-Sato. Był także ciekaw, co ma do powiedzenia Delacroix na temat Avalonu i „Torch 315”.
- - Mimo wszystko spróbuj zorganizować spotkanie. To dla mnie bardzo ważne.
- Seiko przysunęła się bliżej i pokornie skinęła głową. Przyjął to jako oznakę całkowitej uległości. Margaritę opuściła halę waszyngtońskiego lotniska i skierowała się w stronę oczekującej limuzyny. Croaker obserwował jej każdy krok. Szofer w liberii uniósł dłoń do czapki, zatrzasnął drzwiczki, obiegnął samochód i zajął miejsce
- za kierownicą. Croaker w tym czasie był już na postoju taksówek i wyciągał odznakę funkcjonariusza FBI, by minąć długaśną kolejkę. Limuzyna z wolna odbiła od krawężnika. Lew klepnął w ramię taksówkarza, podsunął mu pod nos blachę, wskazał przed siebie i powiedział:
- - Trzymaj ten wóz w zasięgu wzroku, jasne? Dostaniesz pięćdziesiąt baksów.- Za taką forszę możesz pan rozkazywać - usłyszał w odpowiedzi. Taksówka wśliznęła się w sznur pojazdów.
- Croaker pochylił się i wbił wzrok w szybę. Numer rejestracyjny limuzyny wskazywał, że samochód nie pochodzi z wypożyczalni. Ciekawe; podczas poprzedniej wizyty w Waszyngtonie, którą odbyli razem, nic nie wskazywało na to, by Margaritę wtedy posługiwała się wynajętym wozem. Niespodziewany wyjazd z Nowego Jorku nie mieścił się w ustalonym harmonogramie codziennych zajęć pani DeCamillo. Był interesujący z kilku względów. Po pierwsze, nie towarzyszył jej Tony D., choć zawsze pełnił funkcję parawanu, pozując na prawdziwego spadkobiercę Dominika. Po drugie - z kartoteki zmarłego mafiosa wynikało, że regularnie odwiedzał stolicę. Na pozór nie powinno to dziwić, gdyż ktoś taki jak on, z wieloma powiązaniem w świecie polityki, z pewnością musiał dbać o zachowanie dobrych układów „na

szczyt". Instynkt gliniarza podpowiadał jednak co innego i ta świadomość uwierała Croakera niczym kamień w butach. Taksówka z trudem przebijała się przez zatłoczoną Memorial Parkway. Lew patrzył na płaską, szarą powierzchnię Potomaku i próbował odszukać w pamięci wszystkie miejsca, do których zaglądał Dominie. Na pewno miał dość sprytu, by nie rozmawiać publicznie z osobami budzącymi ciekawość Federalnego Biura Śledczego. Przez wszystkie minione lata kpił z agentów. Kto wie, ile przegapili? Croaker wyliczał w myśli nieruchomości należące do Goldonich: elegancki ceglany dom w Kaloramie, modną knajpkę „Occidental Grill”, muzeum historii i techniki, hotel Washington, kabaret „Moniker’s”, skąd Dominie najczęściej brał na noc panienki, klub Omega w Georgetown, restauracje - „Villa d’Este” w Alexandrii, „Veneziano” i „Blue Angel Cafe” w Adams Morgan, prywatny kort tenisowy w McLean, oficjalnie będący własnością pewnego senatora z Teksasu, oraz „Belle River Country Club” w Chevy Chase, w którym Dominie grywał w golfa z ogólnie szanowanymi prawnikami, przemysłowcami i bankierami. Gdzie natomiast prowadził interesy? Margaritę pewnie znała odpowiedź. Logicznie rzecz biorąc, najpierw powinna odwiedzić stylową posiadłość na przedmieściach, w której mieszkała jej macocha, matka Dominika, Renata Loti. Croaker miał już okazję poznać tę damę i wiedział, że posiadała rozliczne kontakty w najwyższych sferach Waszyngtonu. Ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że limuzyna zmierza w stronę centrum. Był wczesny wieczór i wzdłuż alei oraz Arlington Memorial Bridge paliły się wszystkie latarnie. Na niebie gęstniały chmury, w powietrzu unosiła się charakterystyczna woń ozonu. Drobną deszcz siąpił na ramiona biegaczy ciężko drepczących po betonowych schodach mostu. Jakiś grubas, pewnie z Departamentu Stanu, stał nisko pochylony, dysząc, z rękoma wspartymi na kolanach. Biedaczysko - pomyślał Croaker. Przez chwilę miał ochotę, by odwieźć nieszczęsnego „sportowca” z powrotem do biura. Nie darzył urzędników zbyt dużą sympatią, lecz w tej chwili zamieniłby się z każdym, nawet gdyby miał to okupić szokiem tlenowym. Choć próbował zapomnieć o pogroźkach Leonforte’a, wciąż czuł się jak grzesznik przemierzający otchłanie piekła. Nie dość, że po kryjomu śledził ukochaną kobietę, to jeszcze teraz był na usługach jej największego rywala, szaleńca i wielokrotnego mordercy, który najchętniej widziałby martwych i ją, i Tony’ego D. Szofer zostawił bagaż Margaritę w „Hay-Adams”, po czym zawiózł ją do hotelu Washington, gdzie spędziła niecałą godzinę w kawiarni, gawędząc z senatorem Gravesem z Indiany. Potem pojechała do modnej restauracji przy Pennsylvania Avenue, na kolację z Renatą. Słowo „modny” znaczyło w stolicy, że lokal jest ulubionym miejscem spotkań członków urzędującej administracji. W czasie, gdy obie panie szeptały o czymś przy kieliszku martini, Croaker zerknął na wywieszone menu. Rachunek na dwie osoby przekraczał dwieście pięćdziesiąt dolarów. Wręczył taksówkarzowi stówę plus dziesięć baksów ekstra i wysłał go do pobliskiego baru szybkiej obsługi po przekąskę. Kwadrans później przeżuwał coś, co nieudolnie udawało podwójnego cheeseburgera, i usiłował nie myśleć o bólu brzucha. Nicholas miał rację. Jak ludzie mogli codziennie jeść takie świństwa? Postanowił następnym razem kupić sushi. Spotkanie trwało bite dwie godziny. Margaritę wsiadła do czekającej limuzyny i odjechała.

- Ile czasu możesz pan mnie jeszcze potrzebować? - spytał taksówkarz przez ramię. - Za godzinę kończę zmianę.
- Trudno powiedzieć. - Croaker dał mu następną stówę.

- Dziękuję. Nadam na bazę, to zadzwonią do mojej starej, żeby wstawiła kolację do lodówki.
- Minęli śródmieście. Deszcz padał coraz mocniej, na dodatek zerwał się wiatr, omiatający pobocza ulic i zmieniający drzewa w potrzęsające konarami upiorne figury. Croaker wciąż myślał, jak wykiwać Leonforte'a i nie dopuścić, by ciało Margaritę zostało rozwleczone po pustkowiach New Jersey. Do tej pory nie znalazł rozwiązania.
 - - Pańska znajoma woli niezbyt przyjemne dzielnice.
- Nerwowy głos taksówkarza wyrwał go z zamyślenia. Rzeczywiście, wjechali w taką część miasta, gdzie nieczęsto docierali turyści, zwłaszcza nocą. Nędzne knajpy, jaskrawo oświetlone tancbudy i liche kabarety, a na chodnikach tłum dziwek, alfonsów, pedałów i wszelkiego ludzkiego śmiecia. Limuzyna zatrzymała się przed klubem, w którym swego czasu Dominie uprawiał miłosne podboje. Margaritę weszła do środka.
- Ciekawe - pomyślał Croaker.
- Co babka z klasą robi w takiej dziurze? Croaker zadawał sobie to samo pytanie.
- Poczekaj tutaj - powiedział do taksówkarza i wysiadł.
- W klubie, przy szatni, znalazł telefon. Wystukał numer karty kredytowej, którą niegdyś wręczył mu Lillehammer. Miał nadzieję, że tajna organizacja szpiegowska, określana kryptonimem „Zwierciadło”, mimo śmierci jej twórcy i dyrektora, Leona Waxmana nadal prowadzi działalność. Wciąż czerpał z funduszy zgromadzonych przez Lillehammera, lecz teraz chciał skorzystać z dostępu do banku danych. Po drugim sygnale ktoś podniósł słuchawkę. Croaker podał swój numer identyfikacyjny, błagając w duchu, by okazał się nadal ważny. To była jego jedyna przepustka do „Zwierciadła”; kod najwyższego uprzywilejowania. Z ulgą przyjął potwierdzenie zgłoszenia. Zgodnie z poleceniem wystukał cztery ostatnie cyfry z karty i czekał, aż połączenie przebrnie przez rozległy labirynt federalnych katakumb. W końcu usłyszał podwójne buczenie.
 - - Tak? - spytał kobiecy głos. „Zwierciadło” działało.
- Croaker wyrecytował ciąg cyfr i liter widocznych na tablicy rejestracyjnej limuzyny i zażądał, by ustalono tożsamość właściciela.
- Czterdzieści pięć minut - odpowiedziała kobieta.
- Dwadzieścia.
- Już po godzinach - zaprotestowała.
- Nie szkodzi. - Odwiesił słuchawkę i wszedł do klubu.
- Wnętrze „Moniker's” dokładnie odpowiadało jego wyobrażeniom. Srebrno-czerwone tapety, kolorowe plamy światła, padające z lustrzanych kul, które już w latach siedemdziesiątych sprawiały wrażenie przedmiotów z zamierzchłej epoki, smród potu i tanich cygar. Z zawieszonych pod sufitem głośników płynęła hałaśliwa muzyka. Co dziesięć minut na scenę wybiegała kolejna zmiana długonogich, skąpo przybranych tancerek o ciężkich biustach. Wzdychały ciężko, a lustrzana podłoga nie pozostawiała nic dla wyobraźni widzów. Zbyttna dosłowność sprawiała, że popis był całkowicie wyprany z erotyzmu, co jednak nie przeszkadzało licznie zgromadzonym facetom, którzy dociskali brzuchy do rampy i wybałuszali gały w przerwach między wypiciem kolejnej szklanki whisky lub piwa. Do Croakera podeszła

hostessa, tak mocno upačkana makijażem, że wyglądała jak manekin. Machnął jej przed nosem odznaką. Nie okazała zdziwienia - pewnie już nieraz widywała w swym życiu coś podobnego - ale też nie wylała na niego wodnistych drinków. Podał jej rysopis Margaritę.

- - Przykro mi - uśmiechnęła się jak Meduza. - Nikt taki tu dzisiaj nie wchodził.
- Croaker pochylił się, łypnął na nią spod oka i spytał:
 - Chcesz, żebym ci zerwał sztuczne rzęsy?
 - Szlag by trafił - mruknęła i wskazała palcem na zaplecze. Wyglądała na zasmuconą, że nie uległ jej urokowi w równym stopniu, co dżentelmeni przy barze.
- Jękliwa muzyka przypominała buczenie pszczoł w ogromnym, nagłośnionym ulu. Croaker przepchnął się przez tłum i dotarł na lewą stronę klubu. Dalszą drogę zablokował mu Murzyn o spoconej łysinie i mięśniach od lat faszerowanych steroidami. Najwyraźniej uznał odznakę za fałszerstwo lub fatamorganę, gdyż nie zamierzał ustąpić.
- Wszyscy próbują tu wleźć - stwierdził lakonicznie. - Nic z tego.
- Wiem, że masz taką pracę...
- Zabierz mi to sprzed oczu i wypierdalaj! - warknął Bluto z taką wściekłością, że mógłby wystraszyć skałę. Wcisnął gruby paluch w brzuch Croakera. - Zjeżdżaj! - zasyczał. - Albo zjem ci wątrobę!
- Lew bez słowa ścisnął mu prawy przegub w biomechanicznych kleszczach. Z zainteresowaniem śledził zmiany malujące się na twarzy Murzyna. Wzmocnił nacisk i usłyszał trzask pękających kości. Bluto nie dawał za wygraną; machnął pięścią. Croaker uchylił się przed uderzeniem i kopnął go w kolano. Znow coś chrupnęło. Murzyn osunął się na podłogę.
- - Myślę, że to ci odbierze apetyt - mruknął Croaker i przeszedł nad leżącą górą mięsa.
- Wąski korytarz wibrował od nadmiaru decybeli. Wzdłuż ścian wały się odpryski farby i tynku, a lampy tańczyły pod sufitem jak podczas trzęsienia ziemi. Obok Croakera przebiegła grupa nagich dziewcząt. Żadna nie zwróciła na niego uwagi. Domyślił się, że to zasługa Bluta. Nikt z gości klubu nie miał wstępu za kulisy, gdyż w garderobach nie było drzwi. To zresztą znacznie ułatwiało mu obserwację. Dotarł mniej więcej do trzech czwartych długości korytarza, gdy w otwierających się drzwiach zauważył ciemnoczerwony kostium Margaritę. Bez namysłu wszedł do najbliższej garderoby, obdarzył łobuzerskim uśmiechem siedzącą tam smukłą blondynkę i jakąś drugą dziewczynę o rudych włosach, po czym ostrożnie zerknął za siebie. Margaritę stała w progu najdalszego pokoju, prawdopodobnie biura kierownika. Była z nią młoda piękna dziewczyna o jasnych włosach, zaczesanych na jedną stronę, ogromnych chabrowych oczach i olśniewającej figurze. Na pewno nie należała do tancerek. Miała na sobie oliwkowy, idealnie skrojony kostium od Armaniego, a w lewym ręku trzymała zielony neseser z krokodylowej skóry, wart bez wątpienia więcej niż roczne pobory pracowników klubu. Kolczyki od Bulgarego oraz gustowna bransoletka połyskiwały w świetle lampy. Dwie babki z klasą w takiej dziurze - pomyślał Croaker. Margaritę i jej towarzyszkę skręciły w lewo, znikając w odgałęzieniu korytarza. Croaker pospieszył za nimi. Po chwili wszedł w mroczną zimną sień wiodącą do drzwi dla dostawców. Śmierdziało wódką, odpadkami i moczem.
- Czerwony napis na ścianie głosił: „Wyjście”. Na zewnątrz była uliczka zastawiona kubłami na śmieci. Kilka kotów prychnęło na widok intruza. Croaker rozejrzał się i zobaczył

czarnego nissana 300ZX skręcającego w główną ulicę. Rozpoznał Margaritę oraz blondynkę i zdążył odczytać fragment numeru rejestracyjnego. Potem samochód schował się za budynkiem. Lew wrócił do klubu. Nie miał szans, by ciągnąć inwigilację, więc zrobił najlepsze co mógł: włamał się do biura. Zamknął za sobą drzwi, aby go nie przyłapano. Pokój był ciasny i pozbawiony okien, zaopatrzony jedynie w stary ścienny wentylator. W kącie stała rozkładana kanapa, obita spłowiałą materią, która niegdyś mogła mieć sutą barwę koniaku. Po lewej zwykłe biurko z płyty pilśniowej i metalu oraz czarny winylowy fotel. Z tyłu tani żelazny regał. Ściany były zupełnie puste, z wyjątkiem nie pasującej do całości reprodukcji obrazu Johna Singera Sargenta *Fumee d'ambre gris*, przedstawiającego śniadą kobietę w powiewnych białych szatach, z twarzą częściowo ukrytą w cieniu. Croaker zastanawiał się, co to miało wspólnego z blondynką. Uroda w parze z rozumem? Usiadł za biurkiem. Na wierzchu leżał „Strip!”. Pobieźnie przekartkował pismo. Teraz już każdy przemysł ma swój poradnik - pomyślał. Znalazł też kontrakt z jedną z tancerek, kilka rachunków za gaz, światło i dostawy produktów spożywczych oraz książeczkę czekową. Zaczął robić notatki. Klub oficjalnie podlegał firmie Morgana z siedzibą w Waszyngtonie. Metodycznie przekopywał szuflady. W pierwszej nie znalazł nic prócz ołówków, piór, gumek, spinaczy, poliniowanych notatników i tym podobnych przedmiotów. Sięgnął w głąb, by się upewnić, że nie ma fałszywej ścianki. To samo powtórzył jeszcze trzykrotnie. Druga szuflada była w istocie kosmetyczką. Poza kilkoma szminkami oraz innymi przyborami do makijażu nie zawierała niczego ciekawego, choć wiele mówiła o kosztownych upodobaniach blondynki. W następnej leżała księga rachunkowa. Croaker przejrzał ją, lecz nie natrafił na żadne oszustwo. Księgowość była prowadzona niezwykle starannie. Pewnie nawet najlepszy inspektor podatkowy nie znalazłby uchybienia na więcej niż dziesięć dolarów. Przez kasę klubu przepływał strumień pieniędzy, lecz pieczę nad wszystkim sprawowała centrala sieci „Moniker's”, obejmującej teren całego kraju. Croaker odłożył księgę na miejsce, zerknął na zegarek i zadzwonił pod ten sam numer, co z szatni. Chwilę trwało, nim przebrnął przez wszystkie formalności, lecz w końcu usłyszał znajomy głos kobiety.

- Numer rejestracyjny należy do Richarda Dedalusa.
- Senatora Richarda Dedalusa?
- Niech sprawdzę... Tak, to jeden z samochodów senatora.
- Croaker zapisał prywatny adres polityka i przez kilka sekund siedział w milczeniu. Siedemdziesięciosześcioletni Richard Dedalus był najstarszym członkiem administracji zasiadającym na Kapitolu. Nie tylko widział kawał historii, lecz w przeciwieństwie do wielu swoich kolegów sam uczestniczył w niezwykle ważkich wydarzeniach. Mówiono, że bez jego wsparcia John Kennedy nigdy nie zostałby prezydentem, że Johnson szukał u niego pomocy w najtrudniejszych chwilach i że to on w rzeczywistości kierował pracami komisji badającej przyczyny zamachu. Przez wiele lat ukrywał przed opinią publiczną poważną chorobę Kennedy'ego: niewydolność nerek. Czyżby ten nestor waszyngtońskiej elity politycznej też tkwił w kieszeni Dominika Goldoniego? Na pierwszy rzut oka wydawało się to niewiarygodne - nawet niemożliwe.
- - Coś jeszcze?
- Głos w słuchawce wyrwał Croakera z zadumy.
- Prawdę mówiąc, tak. Potrzebuję wykazu połączeń międzymiastowych, kierowanych do

klubu „Moniker’s” w ciągu ostatnich trzech miesięcy. - Podał adres. - Poza tym mam część tutejszego numeru rejestracyjnego czarnego nissana 300ZX. Kabriolet z płóciennym dachem. Możecie coś z tym zrobić?

- Japońskich kabrioletów nie jeździ zbyt wiele, lecz i tak potrzebujemy nieco czasu.
- Do rana wystarczy?
- Po szóstej. Wszystkie informacje będą złożone w recepcji hotelu Holiday Inn przy skrzyżowaniu Rhode Island Avenue i Piętnastej na nazwisko Samuel Johnson.
- Jasne. Dzięki.

- Przez dłuższą chwilę siedział bez ruchu. Czuł się pokonany. Bezwiednie spojrzął na obraz Sargenta i poddał się jego egzotycznemu urokowi, choć zdawał sobie sprawę, że patrzy jedynie na reprodukcję. Wrócił myślami do blondynki, do momentu, gdy po raz pierwszy zobaczył ją w korytarzu. Chabrowe oczy połyskiwały sprytem i niewątpliwą inteligencją. Naprawdę kierowała ią budą? Chyba nie. Raczej przychodziła tu tylko dlatego, że nikt jej o to nie podejrzewał. Jak większość ludzi próbowała schować swe tajemnice w najmniej spodziewanym miejscu. Croaker wciąż patrzył w obraz. Co ukrywała kobieta w białej długiej szacie? Jaki grzech popełniła i dlaczego? Wstał i szybkim krokiem podszedł do ściany. Zdjął obraz. Pod spodem zobaczył jedynie zniszczony mur. Zaczął uważniej przyglądać się pęknięciom i zauważył, że dwie rysy łączą się pod kątem prostym. Powiódł palcem w dół, znalazł podobne miejsce. Sieć pęknięć tworzyła idealny prostokąt. Bingo! Wepchnął scyzoryk w wąską szczelinę, podważył i usunął fragment fałszywej ściany. Znalazł sejf. Wyjął z kieszeni pęk wytrychów, które dość często przydawały mu się w pracy detektywa. Zerknął na skrytkę, wybrał właściwe narzędzie i wsunął je w zamek. Z uchem przytkniętym do metalowych drzwiczek słuchał cichych trzasków. Po kilku próbach sejf był otwarty. Croaker zajrzał do środka. W tej samej chwili ktoś z korytarza szarpnął za klamkę. Rozległo się stłumione pytanie. Croaker pośpiesznie przeglądał zawartość sejfu. Znalazł sto tysięcy dolarów w starannie ułożonych paczkach, akt dzierżawy budynku, należącego prawnie do przedsiębiorstwa Morgana, polisę ubezpieczeniową, drugą księgę rachunkową i niewielki, oprawny w skórę notatnik. Na korytarzu zapanowała cisza, lecz Lew wiedział, że intruz lada chwila wróci, i chciał uniknąć niepotrzebnego spotkania. Otworzył księgę. Zawierała prawdziwe dane o operacjach finansowych klubu. Z sieci Morgana napływały co miesiąc setki tysięcy dolarów. Co dziwniejsze, większość rachunków pochodziła z zagranicy, zwłaszcza z Anglii i Francji. Klub w istocie był „pralnią”, służącą do czyszczenia lewej forszy. Nic dziwnego, że kierownik nie przypominał znudzonego alfonsa. Croaker odłożył księgę do sejfu i sięgnął po notes. Na każdej stronie widniał ciąg cyfr i liter. Jakiś rodzaj szyfru. Schował notatnik do kieszeni, zamknął skrytkę, przykleił na miejsce przypominający plaster fragment ściany i zawiesił obraz. Przez chwilę nadśłuchiwał pod drzwiami, po czym przekręcił klucz i ostrożnie wyjrzał na korytarz. Pusto. Szybko wyszedł z biura i opuścił klub tą samą drogą, którą wybrała Margaret. Minął zaśmieconą uliczkę, skręcił za róg i znalazł się przed frontem budynku. Przemókł do suchej nitki, nim dotarł do taksówki. Kazał się odwieźć do Hay-Adams. Pożegnał taksówkarza, wszedł do hotelu i pokazał odznakę recepcjoniście. Bez trudu dowiedział się, gdzie mieszka pani DeCamillo. Wynajął pokój piętro niżej, a recepcjonista zgodził się go powiadomić telefonicznie, gdy tylko Margaret wróci z nocnej eskapady. Poszedł do siebie, zamówił kolację, zdjął marynarkę i wytarł zmoczone włosy. Potem usiadł przy stole. Otworzył notatnik, sięgnął po kartkę, ołówek i przystąpił do pracy. W wojsku spędził pół roku, studiując rozmaite szyfry i

kody, więc wiedział dostatecznie wiele o kryptografii. Ponieważ tym razem nie miał do czynienia z siatką szpiegowską, podejrzewał, że zapis nie jest zbyt skomplikowany. Zaczął od najprostszego sposobu zastępowania jednej litery inną, według określonego klucza. Od razu zauważył, że na kilkunastu stronach powtarzała się cyfra dziewięć, poprzedzona pięcioma literami. Zastosował trzy popularne metody, lecz nie odczytał niczego sensownego. Kelner przyniósł kolację. Croaker przeciągnął się, podszedł do okna i żując kanapkę z kurczakiem, spojrzął na załzawiony deszczem Waszyngton. Pociągnął z butelki łyk piwa. Dochodziła północ. Gdzieś tam Margaritę konferowała z piękną dziewczyną o jasnych włosach. Może był z nimi senator Dedalus, jak zwykle ciekaw losów świata? Raczej nie. Margaritę korzystała z jego samochodu od chwili przylotu do stolicy. W ciemnym zaułku przesiadła się do nissana. Nie musiałyby tego robić, gdyby chciała odwiedzić starego polityka. Za oknem lało, więc Croaker pocieszał się myślą, że nie musi sterczeć na ulicy. Zjadł kanapkę, postawił resztę piwa w zasięgu ręki, stanął nad otwartym notesem i spojrzął na szyfr. Był przekonany, że trzecia metoda przyniesie jakieś efekty. Gdzie się pomylił? Zaczął traktować każdy ciąg liter jako całość, nie

- rozbijając go na poszczególne znaki. Zamienić „a” z „e”? Zastąpić pięć środkowych liter alfabetu samogłoskami? Czytać alfabet od tyłu? Wrócić do zamiany liter? Zaraz! Usiadł na krześle i chwycił ołówek. Cyfry! We wszystkich wyrazach znajdowały się jedna lub dwie cyfry. Poczł gwałtowne bicie serca. Po kilku próbach znalazł klucz do szyfru. W słowach rozpoczynających się od liter „parzystych” należało zastosować odejmowanie, a od liter „nieparzystych” - dodawanie. Na przykład ciąg DK3A po odszyfrowaniu tworzył AND. „A” było literą „nieparzystą”, pierwszą w alfabecie, „k” po dodaniu trzech znaków zmieniało się w „n”, zaś ostatnie „a” w „d”. W przypadku dłuższych wyrazów, zawierających dwie cyfry, działała ta sama zasada, z uwzględnieniem podziału na sylaby. Croaker rażno zabrał się do pracy. Zajęło mu to niemal trzy godziny. W końcu miał przed sobą pełny spis cen i dostaw najnowocześniejszych rodzajów broni. Nie brakło tu amerykańskich myśliwców F-15, ponaddzwiękowych odrzutowców lockheed SR-71, komputerowo kierowanych miotaczy ognia typu „Badger”, termicznych pocisków raketowych wolverine A-322, rosyjskich bombowców TU-22M, czołgów T-72, rakiet przeciwlotniczych SAM-13, moździerzy python-600 i ręcznych miotaczy przeciwpancernych typu „Deyrael”. Ochłonał z zaskoczenia, gdy uprzytomnił sobie prawdziwe znaczenie tego dokumentu. Żadne przepisy nie pozwalały na sprzedaż wymienionego uzbrojenia poza granice Stanów Zjednoczonych, a mimo to przemysł osiągał niespotykane rozmiary. Morgana tkwiła w tym samym biznesie co Avalon. Bezprawnie handlowała śmiercią. Croaker przetarł zmęczone oczy. Odszyfrował już wszystko, z wyjątkiem słów zawierających dziewiątkę. Uparcie opierały się każdej próbie. Tym razem cyfra nie pełniła roli klucza, lecz była częścią wyrazu. Gdzie zatem szukać rozwiązania? Postanowił podzielić dziewiątkę na trzy trójki. Pierwsza litera zmieniła się w „t”, lecz zaraz po niej przyszło „z”, co nie miało żadnego sensu. Zostawił „t”, dodał jeden, wyszło mu TO. Jak dotąd nieźle. Spróbował z dwójką, gdyż uznał, że pięć liter może być kryptonimem cyfr tworzących w sumie dziewiątkę, lecz to zawiodło go w ślepą uliczkę. Dodał trójkę, odczytał TOT, lecz w zapasie została mu tylko dwójka, więc zaczął od początku. Może pięć. TOR. Trzy, jeden, pięć... razem dziewięć... Nagle doznał olśnienia, litery i cyfry zawirowały mu w głowie. Potarł czoło. Czuł dokuczliwy szum w uszach. W podnieceniu odczytał resztę liter, wiedząc z góry, co znajdzie. - Boże... Notatnik zawierał widomy dowód potwierdzający istnienie tajemniczej broni, odkrytej przez Nicholasa w komputerze Avalonu. TORCH 315. Croaker pospiesznie rozszyfrował resztę

zapisu. Przez kilka minut siedział jak skamieniały. Serce galopowało mu w piersi. Domysły Nicholasa były

- słuszne. W kółko czytał krótką notatkę, niczym groźne zaklęcie, ścinające krew w żyłach: *Torch dotrze piętnastego marca. Obszar wybrano ze względu na stosunkowo niewielką odległość od celu i podobną populację. Maksimum siły rażenia.* Krągłolicy chłopak zjadł *banh chung*, tradycyjne wietnamskie ciastka z kleistego ryżu. Policzki miał umazane nadzieniem z rozgotowanej fasoli, cebuli i wieprzowiny. Uśmiechnął się szeroko do nadchodzących. Nicholas odpowiedział mu uśmiechem. Seiko podeszła do pagody Giac Lam. Promienie słońca migotały w błękitno-białych porcelanowych dachówkach, nakrywających najstarszą buddyjską świątynię w Sajgonie. Zbudowana w roku tysiąc siedemset czterdziestym czwartym i odrestaurowana w tysiąc dziewięćsetnym, uniknęła na szczęście „nowoczesnych” przeróbek, jakim poddano większość sakralnych budynków Wietnamu. Malec z wypchaną buzią zniknął za starym drzewem *bo de*, dumnie wznoszącym się na dziedzińcu pagody. Na moment przyciągnął spojrzenia dwóch mnichów, prawdopodobnie stałych mieszkańców świątyni. Po chwili obaj duchowni weszli do budynku. Dzielnica Tan Binh leżała około piętnastu kilometrów od hałaśliwego Szolonu, gdzie dwa dni temu Nicholas spotkał się z Bay. Dwa dni... Czasem myślał, że upłynęły już całe wieki. Na prawo od pagody piętrzyły się bogato zdobione nagrobki dawno zmarłych mnichów. Tu właśnie miał czekać handlarz bronią, Timothy Delacroix. Było sześć minut po szóstej rano. Niebo przybrało barwę bladej zieleni. Ptaki, zamknięte w bambusowych klatkach, ćwierkały sennie i czyściły pióra. Szumiały liście palm; miasto budziło się do życia. W powietrzu wisiał smakowity zapach świeżo pieczonych bagietek, zmieszany z korzennym aromatem kadzidła. Wewnątrz pagody stały rzeźbione w drewnie posągi Buddy, we wszystkich możliwych inkarnacjach, otoczone surowymi wizerunkami duchów i strażników piekła. Przez ulotną chwilę, gdy umilkły nocne hałasy, a brakło jeszcze odgłosów nowego dnia, Wietnam stawał się isticie sielską krainą, zdolną poruszyć najtwardsze serce. W głębi świątyni rozległo się monotonne zawrozdzenie mnichów odmawiających modlitwę. Chłopiec mlasnął, wciskając do buzi resztki ciastka.
- Recytują czwartą Prawdę Buddy - odezwała się Seiko. - Życie ludzkie jest pasmem nieszczęść, powodem nieszczęść jest chciwość, można zapomnieć o chciwości, lecz ten stan osiągną jedynie ci, którzy idą przez życie ośmioma ścieżkami.
- Tak. Wyrozumiałość, rozwaga, elokwencja, moralność, powołanie, pracowitość, czujność i skupienie; wszystko w zgodzie z Czterema Prawdami. Wierzysz w to?
- Nie zostaje zbyt wiele miejsca na przyjemności, prawda? - uśmiechnęła się Seiko. - Życie i tak niesie wiele trosk bez dodatkowych starań z naszej strony.
- A jeśli owe starania prowadzą do oświecenia?
-
- Teraz mówisz jak kapłan, a nie biznesmen.
- Jestem w tym samym stopniu biznesmenem, jak ty moją asystentką. Wszyscy nosimy maski, Seiko, nawet gdy stajemy przed lustrem. Jak myślisz, dlaczego? Boimy się własnej natury?
- Malec, chyba nieco znudzony, gdyż skończył jeść *bank chung*, filuternie zerkał zza drzewa.

- - Idzie - odezwała się Seiko.
- Nicholas odwrócił głowę i zobaczył wysokiego, szczupłego mężczyznę w przewiewnej marynarce, cienkiej koszuli i szortach. Długie jasne włosy Timothy'ego falowały na wietrze. Czerwona, sępia twarz zdawała się pozbawiona skóry, jakby naznaczona śladami wieloletniej egzystencji poza nawiasem społeczeństwa.
- Na pewno on?
- Tak - odpowiedziała Seiko.
- Dobrze. Spróbuj teraz...
- Nicholas kątem oka zauważył jakiś ruch. Chłopak - ukryty za drzewem *bo de* chyba nie zjadł całego ciastka, gdyż rzucał w ich stronę jakieś resztki. Nagle, z pomocą oka tanjianina, umysł Nicholasa ogarnął całą sytuację. W powietrzu poszybował niewielki czarny przedmiot. Delacroix stanął w zacisznej alejce na szeroko rozstawionych nogach, niczym doświadczony strzelec. Zmysły Linneara reagowały z niezwykłą ostrością: odbierał każdy dźwięk i zapach wstającego miasta. Woń kadzidła, pełen powagi śpiew mnichów, charakterystyczny klekot ruszającej *cyclo*, łoskot ciężarówki przejeżdżającej pobliską ulicą, okrzyki dzieci, nawoływania sklepikarzy otwierających stragany i świdrujący skrzek przestraszonego ptaka. Chwilę później, coś - lecz nie kawałek nie dojedzonego ciastka pacnęło o zwir alejki. Delacroix wyjął prawą rękę z kieszeni. Trzymał niewielki obły aparat, zakończony krótką antenką, niczym telefon komórkowy. Nicholas rzucił się w stronę Seiko, próbując ją odepchnąć jak najdalej od złowieszczonego przedmiotu, czerniejącego na ścieżce niczym upiorna runa. Uderzył dziewczynę ramieniem, przewrócił i nakrył własnym ciałem. Delacroix wduślił przycisk na aparacie. Świat rozprysnął się w tysiące kawałków; ziemia zadrżała i wszystko zniknęło w oślepiającej bieli.

- **Demonologia** *Stary bóg odszedł liście leżą na stosie i wokół pustka*

BASHO

- 110 stopień długości wschodniej, 12 stopień szerokości północnej. Morze Południowochińskie ZIMA 1991 / WIOSNA 1992
- Abramow był gotów na śmierć. TU-10 zadygotał niczym ranne zwierzę, a zielone niebo uciekło gdzieś w bok, aż żołądek podjechał Rosjaninowi do gardła. Nad kabiną zawisły groźne szare chmury, deszcz, twardy niczym śrut, zabębnił o kadłub samolotu. - Szykuj, się! - krzyknął z tyłu pilot, Fiedorów. - Nie słucha sterów! Jak nie odzyskam pełnej kontroli, czeka nas jazda w dół! W stronę skłębionej kipieli Morza Południowochińskiego. Długa droga. Zbyt długa. Abramow zacisnął powieki. Cienki, czerwony palec łądu - Wietnamu, jak twierdził Fiedorów - wydawał mu się dziwnie odległy, choć widać go było z prawej strony kabiny. Abramow zaczął się modlić. Prawdę mówiąc, był gotów na śmierć już od dziesięciu lat, od czasu, gdy przybył do nie zaznaczonego na żadnej mapie miasta Arzamas-16, by podjąć pracę w tajnej placówce badań jądrowych. Arzamas-16 leżało trzysta kilometrów na wschód od Moskwy i mimo kryzysu, jaki ogarnął całe państwo, wciąż miało największe laboratoria, w których przeprowadzano próby z bronią masowego rażenia. Abramow, choć Żyd, piastował wysoką funkcję w moskiewskim Instytucie Energii Atomowej imienia Kurczatowa i budził niekłamaną zazdrość wśród swych kolegów po fachu, gdyż był nie tylko utalentowanym uczonym, lecz równie zdolnym inżynierem. Uważał, że nie należy szukać nowych sposobów wykorzystania

energii jądrowej, jeśli nie ma się odpowiednich środków do przechowywania i transportu pierwiastków promieniotwórczych. Tylko technika komputerowa - twierdził - może zmniejszyć śmiertelne zagrożenie dla ludzi. „Ten Żyd jest za mądry” - powiadali jego współpracownicy. „Kiedyś się na tym sparzy” - dodawał W.I. Pawłow, który wiosną osiemdziesiątego pierwszego roku na polecenie Komitetu Centralnego po radykalnej czystce objął kierownictwo Instytutu Kurczatowa. *Moim zdaniem, tacy jak on zagrażają bezpieczeństwu państwa* - napisał w pierwszym raporcie. Podobna opinia musiała panować w KC, gdyż latem tego samego roku

- Abramow otrzymał przeniesienie do Arzamasu-16. Jego zwierzchnik, zatwardziały antysemita, zacierał ręce z uciechy, gdyż od dłuższego czasu z niechęcią patrzył na romans naukowca z jedną z asystentek. Nie ogłoszono żadnego oficjalnego komunikatu. Pawłow triumfował, a Abramow, do tej pory uczciwy, lecz wierny *aparatchik*, przybył do Arzamasu z własnymi planami. Prócz tego, że posiadał ogromną wiedzę na temat energii jądrowej oraz cybernetyki, był także wizjonerem i to na rzadko spotykaną skalę. Przewidział upadek komunizmu, choć upłynęła cała dekada, nim jego przepowiednia stała się faktem, wywróżył etniczne waśnie i kryzys ekonomiczny w supermocarstwie, którego przywódcy jeszcze kilka lat wcześniej wykrzykiwali pod adresem Zachodu „Pogrzebiemy was!”. Związek Radziecki musiał zginąć, a Abramow chciał być jednym z pierwszych, co zatańczą na jego grobie. Chciał także wiernie służyć nowym władzom, lecz państwo, pogrążone w chaosie i korupcji, nie skorzystało z jego usług. Mocno się zmienił pod wpływem przeżyć. Dopiero teraz, w obliczu śmierci, mógł obiektywnie spojrzeć w przeszłość. Po przyjeździe do Arzamasu stopniowo ograniczał zakres badań o charakterze ściśle militarnym. Potajemnie utrzymywał kontakt ze starym znajomym, Douglasem Sermanem, nukleonikiem pracującym w eksperymentalnym laboratorium ośrodka DARPA w Wirginii. Skrót DARPA pochodził od słów *Defense Advanced Research Projects Agency* ~ czyli Agencja Programu Badań nad Systemem Obronnym - lecz dla Abramowa było to w gruncie rzeczy bez znaczenia. Nie mógł tylko przeboleć, że jego amerykański kolega wciąż otrzymywał nowe fundusze, a on musiał się liczyć z każdą kopiejką. Poznał Sermana jeszcze podczas pracy w Instytucie Kurczatowa, na międzynarodowym sympozjum naukowym, jednym z niewielu, w jakich pozwolono mu uczestniczyć. Zaprzyjaźnił się z nim na złość agentom KGB, którzy uparcie usiłowali go odgrodzić od wszelkiej „zarazy”, zwłaszcza tej, której korzeni doszukiwano się w Izraelu. Nawiązanie cichej komunikacji z Sermanem nie było zadaniem zbyt trudnym dla kogoś o umiejętnościach Abramowa. Z Arzamasu dniem i nocą płynęły w eter wiązki fal radiowych, więc krótkie zakodowane informacje nie wzbudzały żadnych podejrzeń. Głównym powodem współpracy obu naukowców były badania nad stworzeniem izotopów transuranowych, które dotąd istniały tylko w teorii. W celu przeprowadzenia doświadczeń Abramow zbudował pierwszy w Związku Radzieckim cyklotron neutronowy. Wkrótce izotop 114m stał się faktem. Samolot znów zadygotał i długim, miękkim łukiem zaczął się ześlizgiwać w głąb szalejącej burzy. Abramow popatrzył groźne czarne niebo i nagle zapragnął na chwilę zerknąć za chmury, by ujrzeć oblicze Boga. Odwrócił się w fotelu. Z tyłu, na końcu kabiny, stały dwie metalowe skrzynki. Choć były dobrze umocowane, w obecnych warunkach stanowiły nie lada groźbę.
- Do uzyskania izotopu transuranowego 114m Abramow użył specjalnie skonstruowanej komory rozszczepień. Było to małe, pozbawione okien pomieszczenie o betonowych ścianach

grubości półtora metra. Manipulację próbkami umożliwiały „mechaniczne ręce”, zdalnie sterowane z pulpitu operacyjnego. Komorę wyposażono w skomplikowany system bezpieczeństwa oraz wypełniono odpowiednio dobraną mieszaniną gazów. Nawet przyległe pomieszczenia posiadały oddzielny system wentylacji, a wszystko po to, by nie dopuścić do skażenia powietrza wysokotoksycznymi cząsteczkami plutonu i ^{114}m . Naukowcy od wielu lat bezskutecznie usiłowali stworzyć transuranowce - substancje mające wyższą liczbę atomową niż uran. Izotop ^{114}m powstał poprzez bombardowanie cząstki plutonu gęstym strumieniem neutronów w atmosferze złożonej z argonu. Próbowano tego już przedtem, lecz dopiero geniusz Abramowa pozwolił tak dobrać częstotliwość padania tych cząstek, aby wywołać odpowiednią reakcję. W wyniku eksperymentu uaktywniło się kilka elementów izotopu 114 , lecz niemal wszystkie gwałtownie uległy rozkładowi. Pozostał tylko jeden. Abramow nadał mu nazwę ^{114}m , gdyż był to czternasty izotop uzyskany w ciągu całego procesu. Dalsze badania wykazały, że w tym przypadku okres połowicznego rozpadu mógł być liczony w tysiącletniach. Badaczy czekała jeszcze niejedna niespodzianka. Izotop cechował się niezwykle łatwą rozszczepialnością i miał mniejszą masę krytyczną niż pluton i uran, co niebotycznie podnosiło jego wartość. Abramow pojął, że udało mu się odkryć najpotężniejsze źródło energii jądrowej na Ziemi. Ze względu na wagę badań dalsze doświadczenia prowadził sam, korzystając jedynie z rad swego amerykańskiego przyjaciela, Douglasa Sermana. Był tak zdumiony i przerażony uzyskanymi wynikami, że nie mówił o nich nikomu - nawet najbliższemu współpracownikowi. Bez entuzjazmu obserwował rozwój tak zwanej cywilizacji. Nie miał złudzeń, co by się stało, gdyby choć mała ilość ^{114}m wpadła w niepowołane ręce. Chciwość, skąpstwo, niepohamowane ambicje i ludzka zachłanność paradowały przed nim niczym tanie dziwki, wulgarnie prezentujące swe wątpliwe wdzięki. Wystarczyło się tylko rozejrzeć, by wiedzieć, kto wykorzystałby tak cenne odkrycie dla własnych korzyści. Nieoczekiwanie znalazł się we własnoręcznie sporządzonej pułapce - i miał do rozwiązania nie lada łamigłówkę. Nawet nie przyszło mu na myśl, by przekazać swym mocodawcom straszliwy sekret nowego izotopu. Skoro nie wierzył badaczom pracującym w Arzamasie, to tym bardziej nie mógł mieć zaufania do zasiadających na Kremlu członków Komitetu Centralnego. Tym bardziej że nikt nie wiedział, w czyich rękach spoczywa prawdziwa władza. Nie było sposobu, by w tajemnicy zniszczyć uzyskane próbki ^{114}m , a w rozdartym konflikcie kraju nie istniało miejsce ich bezpiecznego składowania. Abramow nie widział rozsądnego wyjścia. Nagle, któreś nocy, obudził

- się z przekonaniem, że izotop przyniesie mu wybawienie z dotychczasowych kłopotów. Od miesięcy planował ucieczkę z ogarniętego pogłębiającą się anarchią Związku Radzieckiego, lecz brakowało mu odwagi, by podjąć ostateczną decyzję. Teraz uznał, że pora działać, gdyż tylko w ten sposób mógł się wydostać na wolność i zabrać ze sobą śmiertcionośny sekret. Pracując nocami, wykonał dwa ołowiane pudła, tak że próbki ^{114}m zostały osłonięte ośmiocentymetrową warstwą metalu. Nie była to wystarczająca ochrona, lecz nie miał czasu i możliwości, by przygotować coś lepszego. I tak każdy pojemnik ważył czterysta kilogramów. Ze względu na groźbę zajścia reakcji nie mogły stać bliżej siebie niż w odległości siedemdziesięciu centymetrów. Myśl, co by się stało, gdyby margines bezpieczeństwa został zachwiany, powodowała, że Abramow oblewał się zimnym potem. W dole widniało dzikie czarne morze, twarde niczym stalowa ściana. Dopiero teraz pojął prawdziwą wagę swego szaleńczego kroku. Przed ucieczką zapewnił sobie pomoc starego przyjaciela, pułkownika

radzieckich sił powietrznych, który podobnie jak on, od dawna czuł się zmęczony i rozczarowany komunizmem. Potem powiadomił Sermana, że rusza w drogę. Fiedorów wystarał się o dwumiejscowy MiG-29 UB, używany podczas szkolenia młodych pilotów. Oficjalnie miał lecieć z Moskwy na wojskowe lotnisko w pobliżu Władywostoku. Dla Abramanova oznaczało to dodatkową zwłokę, gdyż chciał się dostać do Wirginii, na Wschodnie Wybrzeże Stanów Zjednoczonych, nie pozostawało mu jednak nic innego, jak przyjąć propozycję druha. Głównym zmartwieniem Fiedorowa były radzieckie i wietnamskie radary, Abramanova zaś - ciężar i rozmiary metalowych pojemników, w których, jak potomstwo Behemota, leżały groźne sztabki 114m. Fiedorów miał za sobą dwadzieścia lat służby w lotnictwie i znał praktycznie każdą sztuczkę związaną z pilotażem. We Władywostoku wziął „na lot przygotowawczy” stary transportowiec TU-10. Przez cały czas utrzymywał maszynę na ekranach radarów, po czym nad morzem zszedł na niski pułap i rzucił w radio kilka alarmujących nawoływań, kierując ewentualne poszukiwania na północ, podczas gdy sam skierował się na południe. Dwie sztabki izotopu o rozmiarach dziesięć na trzynaście i na dwadzieścia centymetrów ważyły łącznie nieco ponad sto trzydzieści kilogramów, lecz razem z pojemnikiem ciężar każdego sięgał pół tony. Abramow i Fiedorów wymontowali z MiG-a dwie wyrzutnie rakiet powietrze-powietrze typu AA-10 i przy pomocy podnośnika używanego do załadunku bomb włożyli na ich miejsce pojemniki. Na lotnisku we Władywostoku panował taki chaos, że nie mieli większych trudności z cichym przeniesieniem ładunku na pokład TU-10. Abramow wolał kontynuować podróż szybkim MiG-iem, napędzanym dwoma potężnymi silnikami Tumanskiego, lecz okazało się to niemożliwe. Po pierwsze, musieli przekazać samolot komendantowi lotniska, po drugie – jak słusznie zauważył Fiedorów - gdyby groźna sylwetka myśliwca pojawiła się na wietnamskich lub chińskich radarach, mogłoby dojść do międzynarodowego konfliktu o nieprzewidywalnych skutkach. Teraz, w żelaznym uścisku podzwrotnikowej burzy, Abramow żałował, że nie mają wystarczającej mocy, by umknąć przed groźącym zewsząd niebezpieczeństwem. W ociążonym transportowcu byli kompletnie zdani na łaskę nieba. Zbyt późno pomyślał o konsekwencjach ewentualnej katastrofy, zwłaszcza o tym, co mogło wywołać zderzenie dwóch skrzynek wypełnionych radioaktywnym izotopem. Nawet samo zniszczenie osłony wystarczyłoby do zapoczątkowania reakcji.

- - Nie utrzymam go! - wrzasnął Fiedorów, potwierdzając najgorsze obawy naukowca. - Spadamy!
- Odpiął pasy. Abramow wciąż tkwił w fotelu, sparaliżowany strachem. Nie myślał o sobie, lecz o 114m.
- - Rusz się, do cholery! - Fiedorów chwycił go za kombinezon i pociągnął za sobą.
- Samolot przechylał się coraz bardziej, jakby miał przód z ołowiu. Deszcz tłukł niemiłosiernie o kabinę i kadłub. Silne podmuchy wiatru targały maszyną.
- - Musimy skakać! - krzyknął Fiedorów do ucha Abramanova. Naukowiec spojrzał na niego z wahaniem. Był jak w transie. Nie chciał porzucić izotopu. - Ładunek...
- - Zapomnij o ładunku, durniu! - zawył Fiedorów i zawlókł go w stronę drzwi. - Autopilot utrzyma nas tylko przez chwilę! Zaraz będziemy zbyt nisko, by na czas otworzyć spadochrony!
- Naparł ramieniem na luk. Wiatr wdarł się do kabiny, krople deszczu załomotały niczym rykoszetujące kule. Skrzynie poruszyły się groźnie, niczym żywe stworzenia. Abramow wstrzymał oddech.

- Teraz! - krzyczał stojący w drzwiach Fiedorów.
- Nie skoczę! Nie mogę...
- Lecz pilot już zniknął, jakby wyspany przez ciąg powietrza. Abramano w z tęnym zainteresowaniem patrzył na koziółkującą w półmroku sylwetkę. Potem zobaczył rozkwitającą, dziwnie bladą czaszę spadochronu. Samolot drżał, trzeszczał i z wolna poddawał się burzy, jakby za chwilę miał się rozlecieć. Abramano w szczął zębami. Jak we śnie widział swoje palce kurczowo zaciśnięte na krawędzi luku. Puścił chłodny metal, poczuł gwałtowne szarpnięcie, jakby dłoń olbrzyma pacnęła go prosto w plecy, i wyleciał wprost w czarne serce szalejącego sztormu. Szybował głową w dół. Wiatr gwizdał mu w uszach i przenikał zimnem do szpiku kości. Po omacku szukał linki zwalnającej spadochron. W dali widział ciemną sylwetkę samolotu i zastanawiał się, dlaczego przez szum ulewy nie słyszy gromowego pomruku silników. Wpadł w panikę, gdyż wciąż nie mógł otworzyć spadochronu. W ustach miał pełno śliny. Pomyślał o oceanie, jeszcze odległym, lecz czekającym, by go połknąć. Żołądek zmienił mu się w lodowatą bryłę, z trudem powstrzymywał gwałtowne parcie w jelitach. Nagle poczuł w ręce plastikowy uchwyt. Szarpnął z całej siły. Coś ogromnego, niczym dłoń Boga, uchroniło go przed dalszym spadaniem. Zaczął się modlić. Pod sobą widział morze, a nieco po prawej - spadochron Fiedorowa. Z wolna zapomniał o zdenerwowaniu, które towarzyszyło mu od chwili, gdy wlecieli w burzę. Gdy później wspominał przebieg dalszych wydarzeń, wciąż mu się wydawało, że sekundę wcześniej przewidział, co się stanie. Fiedorów zakotyłał się przy gwałtownym podmuchu wichru, a w jego spadochronie pojawiła się wielka, ziejąca dziura. Płótno trzaskało jak zetlałe, pilot spadał coraz szybciej i szybciej. Abramano w krzyczał, lecz słowa ulatywały mu z ust wyrwane wiatrem i ginęły w huk u żywiołu. Był już wystarczająco nisko, by zobaczyć śmierć przyjaciela. Ocean jakby skoczył na jego spotkanie. Z mroku wyłoniła się gigantyczna fala, istny demon o szklistych zębach, koszmarna bestia, dygocząca z wściekłości. Fiedorów uderzył o powierzchnię wody, przekrzywił głowę pod dziwnym kątem i zniknął. Przez chwilę tylko postrzępiona czasza spadochronu znaczyła miejsce, gdzie otwarty się wrota między życiem a śmiercią. Potem i ona zapadła w głębiny. Abramano wowi zbierało się na wymioty. Morze było tak blisko, że czuł silny niczym radiacja smak soli i fosforu. Z cicha zazdrościł pilotowi. Ten przynajmniej wszystko miał już za sobą. Szybka śmierć była z pewnością lepsza niż powolne tonięcie. Nagły podmuch wiatru targnął nim w bok i Abramano w, lecąc jak na zjeżdżalni w lunaparku, przez chwilę miał wrażenie, że Bóg wysłuchał jego prośby. Jednak spadochron wytrzymał i łagodnie opadł na wodę. W górze, szerokim łukiem sunął żelazny lewiatan. TU-10. Nawet sztorm ucichł na chwilę, by ze zdumieniem obserwować jego upadek. Niczym wysłannik niebios strącony z gwiazdnej szlaku samolot zarył nosem w wodę. Poprzez narastający huk burzy Abramano w usłyszał zgrzyt dartego metalu i poczuł silne szarpnięcie, jak przy wybuchu bomby. Rozpaczliwie młócił rękami kipiela, lecz fale znosiły go bliżej umierającej maszyny, niż sobie tego życzył. Wciąż pamiętał o złowrogim ładunku, spoczywającym na jej pokładzie. Coś trzasnęło. Abramano w zwinął się z bólu. Boże, moja noga! - pomyślał i w tej samej chwili zachłysnął się wodą. Rock wciągnął głęboko w nozdrza morskie powietrze, przesycone zapachem soli i jodu, gnijących wodorostów i małży, i schnących na słońcu rybich łbów. Łódź tańczyła na zielonobłękitnych falach.

- -Już niedaleko - odezwał się Abramano w.
- Rock przerwał swe ulubione zajęcie, czyli czyszczenie Czarnej Magii - jak nazywał

karabin M19A1 - uniósł głowę i popatrzył na Rosjanina pochylonego nad pokładem jak niedźwiedź czyhający na rybę. Krótka wycieczka - pomyślał - lecz gdy dotrzemy na miejsce, może okazać się dłuższa niż podróż na koniec świata. Żył w Azji wystarczająco długo, by uważać ją za jedyną ojczyznę. O poprzedniej miał tylko mgliste wspomnienia zabarwione gniewem i strachem. Czasami we śnie widywał ojca, jak zwykle pijanego i bez pracy. „Chodź - mówił upiór. - Jesteśmy sami, Junior. Nie ma tu twojej matki, by jeszcze raz mogła ci uratować dupę”. - Potem zdierał z niego pościel i bił za uchem tak mocno, że Rock niemal tracił przytomność. Jeszcze raz. I jeszcze. Koszmar czy wizja przeszłości? Pamiętał dzień, gdy znów spotkał ojca: po latach spędzonych w koszarach i na siłowni, jedyny raz przyjechał na przepustkę do domu. Do getta w Pitts-burghu. Szybkim lewym sierpowym powalił starego na ziemię. Ojciec obdarzył go chytrym uśmiechem, splunął krwią i wymamrotał: „Cholernie długo czekałem na tę chwilę, Junior. To ja stworzyłem cię tym, kim dziś jesteś”. Dziś, stojąc na chybotliwym pokładzie łodzi należących do flotylli, którą miał pod swymi rozkazami, patrzył z wyczekiwaniem na kulejącego Rosjanina. Pół roku temu, noga wyciągniętego z wody Abramanova przypominała krwawą miazgę. Ludzie Rocka potrafili zdobyć niemal każdą rzecz dostępną na rynkach Azji, lecz wyposażenie i personel kliniki Waltera Reeda pozostawały poza ich zasięgiem. Kości udało się złożyć, ale zniszczonych nerwów nie umiał nikt pozyszywać, przynajmniej nie w tej części świata. Rzecz jasna Abramow nic o tym nie wiedział; i tak był wdzięczny losowi, że przeżył. Jak wielu ludzi obdarzonych analitycznym umysłem, miewał irracjonalne lęki. Zdaniem Rocka, częściowo utopił fobię w morzu. Nie przepadał także za rekinami, więc na pewno z ulgą przyjął ratunek. Rock oparł się o reling, tuż obok Rosjanina. Zdjął ciemne okulary i z niechęcią popatrzył na lekką mgiełkę chmur przesłaniających słońce. Blask wydał mu się jakiś mętny.

- - Przy dobrej pogodzie robot za godzinę powinien dotrzeć do samolotu - powiedział.
- Zerknął w ocean, jakby próbował zobaczyć radziecki transportowiec, leżący na skraju podwodnej przepaści, opadającej stromo w bezdenną otchłań. Woda miała smolistą barwę. Wyłynęli daleko w morze. Szyper łodzi patrolowej był drobnym, młodym Wietnamczykiem, lecz znał te wody lepiej niż niejeden starszy od niego o dwadzieścia lat rybak.
- - Zapowiada się niezły sztorm - powiedział melodyjnym głosem. – Ale jak zawrócimy, wejdziemy mu prosto w paszczę, a prawdę mówiąc, nie mam na to ochoty.
- - Ja też nie - mruknął Rock. - Trzymaj kurs, a my się weźmiemy do pracy. - Spojrzał na Abramowa. - Robot da sobie radę przy wzburzonym morzu?
- Rosjanin, by jakoś odplacić swemu wybawcy za uratowanie życia, podczas długotrwałej rekonwalescencji skonstruował automat do prac podwodnych. Maszyna była dwumetrową puszką, wyposażoną w laserowe przyrządy telemetryczne, minikomputer, aparat nawigacyjny, sondę, parę solidnych turbin, ruchome „ręce” z czułymi chwytakami, przypominającymi palce, kilka reflektorów, zapasowy akumulator i nieco innych urządzeń. Całość podłączono pękiem przewodów do komputera-matki, ustawionego w kabinie łodzi. Dla Abramowa stworzenie tak skomplikowanego robota okazało się dziecinną igraszką. Większość części pochodziła z przepastnych magazynów Rocka. Niektóre elementy, na przykład „ręce”, były niemal dokładnym powtórzeniem mechanizmów działających w komorze rozszczepień w Arzamasie-16.

- Oczywiście - odparł Rosjanin. - Na głębokości stu osiemdziesięciu metrów nawet nie zauważy, że na powierzchni szaleje burza. To raczej my powinniśmy się martwić. Jeśli nie utrzymamy łodzi, możemy zerwać kable i stracić całe urządzenie.
- Za burtę z nim - zakomenderował Rock.
- Ale...
- Teraz, nim fale staną się jeszcze wyższe!

- Deszcz siekł nierówno, raz mocniej, raz słabiej. Chmury wisiały coraz niżej, czarne, nabrzmiałe groźnym oczekiwaniem. Na widnokręgu stanęła ściana wody, jakby morze uniosło się na spotkanie niebios. Rock dał sygnał ludziom obsługującym kołowrót. Grupa techników, z Abramanowem na czele, czekała w nadbudówce przy wodoszczelnych pulpitych. Po chwili obły, śnieżnobiały robot znalazł się na powierzchni morza. Rozległ się głuchy stuk, gdy fala rzuciła go na burtę. Wszyscy wstrzymali oddech. Dalej poszło już gładko i maszyna zniknęła w głębinach. Abramanow nie zaprogramował komputera na określone działanie. Robot posiadał niezwykle umiejętności, lecz nie potrafił z nich korzystać. Teraz nadeszła pora, by wypełnić układy cybernetycznej pamięci.
- - Połowa drogi - mruknął Abramanow do Rocka po sprawdzeniu długości kabla. Złe się czuł na rozchybotanym pokładzie i zamierzał przy pierwszej okazji uciec w bardziej bezpieczne miejsce. - Wszystko w porządku. Kołysanie ustało. Na dole panuje spokój.
- Rock podszedł do szypra, by sprawdzić pozycję. Wietnamczyk zapewniał, że mimo burzy zdoła utrzymać łódź pod pełną kontrolą. Rock kazał mu natychmiast meldować, gdy zajdą jakieś zmiany. Na razie uspokojony, obrócił się do Rosjanina, który właśnie nastrajał umocowany do pasa nadajnik. Abramanow rzucił mu niespokojne spojrzenie, włożył słuchawki i wcisnął jakiś klawisz.

- Bardzo ciemno. Nikną wszystkie barwy. Włączyłem reflektory.
- Denerwujesz się?
-

- Tak. Bardzo. Jesteśmy blisko wraka.

- Nie musisz przede mną niczego ukrywać. A może wolisz, żeby ładunek pozostał na dnie i czekał, aż jakieś trzęsienie ziemi zniszczy pojemniki?

- Uchowaj Boże! Nawet nie chcę myśleć o konsekwencjach.
- Sam widzisz. Robot dotarł na krawędź?
- Jeszcze nie, choć wciąż się zbliżam.

- Abramanow miał dziwny zwyczaj utożsamiania się z maszyną, którą dowodził przy pomocy kamer i złączy. Rock naciągnął na głowę kaptur i wyszedł na otwarty pokład. Słona woda chlusnęła mu po kolana. Potem dziób łodzi powędrował w górę i zimne strugi wyciekły za burtę. Rock wrócił do kabiny. Abramanow ani na chwilę nie opuścił pulpitu.

- Gdzie jesteśmy?

- Blisko - odparł Rosjanin. Rzucił okiem na rząd niewielkich monitorów. - Do górnej krawędzi szelfu zostało mi jakieś sześć metrów.
- Szkoda, że nie możemy zejść niżej, ale sonda wskazuje postrzępioną krawędź, zdolną przeciąć kabel. - Rock potrząsnął głową. - Nie wiem nawet, czy robot zdoła pokonać tę odległość na piechotę.
- O szyby załomotały grube krople ulewy. Łódź zatańczyła na kotwicy. Rock spojrzął na wykrzykującego rozkazy szypra.
- - Jestem na dnie.
- Odwrócił się, słysząc głos Rosjanina. Abramanow sprawdzał skomplikowany odczyt, zarejestrowany przez sensory robota.
- Jak to wygląda?
- Pustka. Spokój. Zupełnie inaczej niż tutaj. Pokażę ci.
- Włączył monitor i skorygował pomiary. Na dwunastocalowym ekranie widniał wyraźny obraz skalnej formacji, leżącej sto osiemdziesiąt metrów pod nimi.
- - Widzę krawędź - mimo woli szepnął zdumiony Rock. - Ruszaj. Obraz drgnął. Rock miał wrażenie, że sam spaceruje po wąskim urwisku, przygnieciony milionami ton wody.
- Łatwy teren - odezwał się Abramanow. - Niezbyt stromo.
- Sonda wyraźnie podaje, że to się zaraz zmieni.
- Tak, tak. Wiem.
- Naukowiec był bez reszty pochłonięty widokiem podmorskiego świata. Rock zerknął na niego spod oka. Nie miał pojęcia, co można odczuwać po podłączeniu do robota, lecz wydawało mu się, że Abramanow jest w siódmym niebie.
- - Ostrożnie.
- Obraz dna uległ zmianie. W świetle reflektorów zamajaczyły jakieś pofałdowania, zabłyszczał diadem planktonu, zmieszany z mułem i maleńkimi organicznymi szczątkami, unoszonymi ruchem przepływającego robota. W polu widzenia zjawiała się niewielka, niemal przezroczysta kałamarnica. Nic więcej.
- - Doszedłem do stoku - oznajmił Abramanow.
- Ulewny deszcz wciąż walił o szyby, łódź podskakiwała na coraz wyższych falach.
- Systemy mechaniczne w porządku? Rosjanin skinął głową.
- Stromo?
- Nie bardzo. Sonda wskazuje pół procenta.
- To nieźle.
- Człowiek mógłby być narażony na poważne obrażenia. Widzisz? Rock spojrzął na ekran. Postrzępiona szczelina dzieliła szelf na dwie
- szerokie płaszczyzny.
- Robot da radę?

- Bez problemu.
- Rock nagle miał wrażenie, że pokład ucieka mu spod nóg i chwycił się najbliższej poręczy. Potem obraz dna powrócił na monitor. Nieprzyjemne uczucie zniknęło. Stok stał się nieco szerszy niż na początku, lecz był także coraz bardziej stromy. Robot sunął dalej.
- - Kłopoty.
- Amerykanin poczuł ucisk w żołądku, lecz nie miało to nic wspólnego z coraz silniejszym kołysaniem łodzi.
- Co się stało?
- Pokażę ci.
- Uciekający w bok obraz przyprawiał Rocka o zawrót głowy. Później wszystko zamarło. Zobaczył rumowisko ostrych jak brzytwa odłamków skały, blokujących drogę maszynie.
- Nie przejdzie?
- Głazy ciągną się przez prawie dwadzieścia metrów, a z boku jest głębia. Nie - jęknął w duchu Rock. - Nie możemy wycofać się teraz, gdy
- dotarliśmy tak blisko. Musi być jakiś sposób.
- Wiem, jak można ominąć przegrodę - odezwał się Abramow, jakby czytając w jego myślach.
- Mów.
- Jeśli użyję kabla, by rozhuścić się pod ściśle wyliczonym kątem, prześliznę się obok rumowiska i wrócę na szelf.
- Zrób to. Abramow zawahał się.
- Jest jednak pewna trudność.
- Żołądek Rocka znów zaczął wyprawiać dziwne harce.
- - Tylko jedna?
- Jeśli przypadkiem zostaną zepchnięty na głazy, kabel może zostać przecięty.
- A wówczas stracimy robota i ładunek.
- Tak.
- Jakie są szanse, że ci się uda?
- Pół na pół.
-
- Alternatywa?
- Brak - westchnął Abramow. - Z tego, co widzę, żaden nurek nie zdołałby dotrzeć do wraka, nie mówiąc już o wyciągnięciu pojemników. Jedyne nadzieje w robocie.

- Rock wciągnął głęboko powietrze.
- - Bierz się do pracy.
- Abramanow całkiem go zaskoczył; później zrozumiał, że właśnie od tej chwili zaczął go darzyć przyjaźnią i pełnym zaufaniem.
- Wyliczenia mam już gotowe i wprowadzone do komputera. Szyper niecierpliwie pociągnął Rocka za rękaw.
- Co to, u diabła, za dane?
- Nie twoja sprawa - odparł Rock. - Uważaj na sztorm i trzymaj łódź w miejscu.
- Ale...
- Rock uniósł Czarną Magię.
- Zastrzelę cię, jeśli zejdziesz z pozycji choć na centymetr. - Zerknął na Abramanowa. - Gotów?
- Tak.
- Zaczynaj.
- Serce zamarło mu w piersi w chwili, gdy Rosjanin nacisnął klawisz. Obraz na monitorze zatańczył jak szalony. Błyszczące drobiny zamigotały w światłach reflektorów. Szelf uciekł gdzieś w tył, potem ukazał się większym fragmentem, gdy kamera i robot zawisły nad bezdenną otchłanią. W dole była nieprzenikniona ciemność. Potem skała zaczęła się zbliżać, gdyż robot wracał na półkę. Blask musnął złowrogą kupę ostrych gładów, przycupniętych na krawędzi przepaści niczym krzaczasta brew morskiego giganta. A potem, jak pluton egzekucyjny, pojawił się groźny las kamiennych włóczni. Udało się? - myślał Rock. - Abramanow nie zrobił żadnego błędu w wyliczeniach? Wygląda na to, że walniemy o te głady. Są coraz bliżej. Małeńkie stworzenia płynęły w stronę kamery, zwabione światłem, po czym ginęły gdzieś z tyłu, odrzucone strumieniem wody bełtanej przez turbiny. Łup!
- - Kabel nietknięty.
- Rock z ulgą zacisnął dłoń na ramieniu Abramanowa.
- - Siedzę na szelfie - odezwał się Rosjanin.
- Monitor przygasł na chwilę, po czym znów ukazała się skalna półka. Robot ruszył w swą dalszą drogę skrajem otchłani. Nagle obraz znieruchomiał. Maszyna stanęła.
- - Co się dzieje? - zapytał Rock.
- Spojrzał w ekran. Zbocze opadało niemal pionowo. Na sterczącej w oddali kamiennej igle leżało coś kanciastego, zimnego i połyskującego metalicznym blaskiem przez ciekłą warstwę glonów.
- - Cel w zasięgu wzroku.
- Rock poczuł, że serce łomocze mu jak młotem.
- Masz kłopoty z chodzeniem po podmorskich kominach?
- Nie.
- Obraz nie drgnął.
- - Więc w czym problem?

- Abramanow zsunął słuchawki i popatrzył na swego towarzysza.
- Doszliśmy do miejsca, gdzie musimy rozważyć porzucenie całego projektu.
- Dlaczego? Widzisz jakieś pęknięcia na pojemnikach? Ślad wycieku radioaktywnego?
- Nie. Żadnego skażenia.
- To co? Skrupuły?
- Nie byłbym ludzką istotą, gdybym ich nie miał - westchnął uczony.
- Zatem spójrz na mnie. Nic mnie nie obchodzą wyrzuty sumienia. Musimy stąd zabrać 114m. Mówiłem ci nieraz, że o tej porze roku wzrasta niebezpieczeństwo trzęsienia ziemi. Co miesiąc jest przynajmniej jedno.
- Z tego względu tu dziś jesteśmy. Zapoznałem cię przecież z metodą produkcji izotopu. Promienie gamma mogą uśmiercić człowieka już po minucie.
- Wyjaśnił Rockowi, że każdy radioaktywny izotop emituje trzy rodzaje promieni: alfa, stosunkowo łatwe do zatrzymania, beta i gamma. Te ostatnie mkną w przestrzeni z prędkością światła i dlatego są najgroźniejsze. Do budowy osłon i ekranów używa się z reguły ołowiu lub jałowego uranu-238. Ze względu na niespotykany stopień radioaktywności 114m dotąd nie wiadomo, czy najlepsze ze znanych zabezpieczeń są w stanie ochronić środowisko przed skażeniem.
- - Poza tym - ciągnął Abramanow - 114m jest o wiele bardziej toksyczny niż użyty w reakcji pluton, choć nawet z plutonem niewielu chce mieć do czynienia. Każdy kontakt z niewielką ilością tej substancji, czy poprzez dotyk, czy drogi oddechowe, kończy się dla człowieka nieuchronną śmiercią. Tylko w komorze wypełnionej argonem można utrzymać względną stabilność izotopu, choć nawet wówczas zachodzi niemałe prawdopodobieństwo, że pewna liczba cząsteczek się stamtąd ulotni.
- Rock wlepił w niego tępe spojrzenie.
- Czyli co?
- Skoro dotąd niczego nie zrozumiałeś, dalszy wykład nie ma sensu. - Rosjanin smutno potrząsnął głową i odwrócił się w stronę pulpitu. - Wracajmy do pracy.
- Obraz podskoczył, po czym spłynął w dół. Rock miał wrażenie, że żołądek podjeżdża mu do gardła. Robot przemieszczał się w głąb skalnego komina, na niższy poziom szelfu. Tu leżał rosyjski samolot, powód zgryzoty Abramanowa.
- - Zaczynam oględziny kadłuba.
- Z obłego cielska robota wysunęły się mechaniczne ręce. Czułe dłonie dotknęły samolotu i przez dłuższą chwilę wytrwale pracowały. Rock czekał. Serce jak oszalałe waliło mu w piersi. Obraz na monitorze był nieczytelny z powodu drgań wywołanych wibracją wiertła.
- - Kadłub przecięty. Wchodzę do środka.
- Ekran eksplodował feerią niesamowitych obrazów, gdy kamera zajrzała do przepołowionego wraku. Rock z trudem panował nad zdenerwowaniem.

- - Widzisz je?
- Jaskrawy kontrast - od bieli do nieprzeniknionej ciemności - sprawiał, że nie potrafił rozróżnić żadnych kształtów. Może część kadłuba została odłamana podmorskim trzęsieniem ziemi i oba pojemniki spoczywają teraz gdzieś w głębi czeluści? Może wypadły w chwili, gdy samolot uderzył o wzburzoną wodę? Może...
- - Znalazłem.
- Amerykanin zmrużył oczy, by lepiej widzieć. Coś metalicznie połyskiwało w dłoniach robota.
- - Tak! Chodź do taty! - Rock z podniecenia zapomniał o strachu.
- Dał znak czekającym członkom załogi, aby przygotowali się do podjęcia z powierzchni morza maszyny i bezcennego ładunku. Nagle obraz zadrżał. Wszystko niczym w zwolnionym tempie poszybowało na boki, a robot stuknął o ścianę wraka. Samolot zawisł tuż na krawędzi przepaści.
- Idioto, mówiłem żebyś nie szarpał łodzią! - huknął Rock w stronę szypra i groźnie potrząsnął Czarną Magią.
- To nie on - wysapał Abramow. Niestrudzenie wodził palcami po pulpicie. - Wzmrożona aktywność sejsmiczna.
- Trzęsienie ziemi.
- Obraz znów zadygotał, po czym rozbłysnął tysiącami iskieł.
- Uderzyłem w coś! W kadłub lub kawał skały. Turbiny wysiadły.
- Zabieraj się stamtąd! Natychmiast!
- Nie mogę! Jestem bezsilny! - Po twarzy Rosjanina spływały grube krople potu. - Włącz zapasową wciągarkę!
- Rock wypadł z kabiny wprost w szalejącą burzę. Odepchnął marynarza stojącego przy pokładowym kołowrocie i sam zajął się przyrządami. Próbował sobie wyobrazić, co się dzieje na dnie. Jak silny był wstrząs? Przez gęstą zasłonę deszczu patrzył na wskaźniki i zawył w duchu z nieopisanej radości, gdy zobaczył, że robot taszczy coś ciężkiego. Skinął na marynarza, by wrócił na miejsce, a sam pobiegł do kabiny.
- Nie zdołam zbyt długo utrzymać łodzi, sir - odezwał się szyper.
- Przy odrobinie szczęścia nie będziesz musiał. - Rock spojrzął na Abramow. - Jak tam?
- Nareszcie zszedłem z szelfu. Martw się lepiej o osłony.
-
- Rock nie musiał się niczym kłopotać. Z góry wiedział, co będzie. Za kilka minut izotop znajdzie się na pokładzie, a potem spocznie w specjalnie wybudowanym bunkrze. Wraz ze swym twórcą. Wówczas Abramow otrzyma ostatnie instrukcje - lub, jak kto woli, ultimatum. To też już postanowione. 114m posłuży do zbudowania czegoś wyjątkowego. Cenniejszego, niż ziarna maku zbierane na wzgórzach Birmy. Rock stanął nieco z tyłu i w milczeniu patrzył na zapracowanego Rosjanina. Robot włókł dwa ciężkie pojemniki przez spienioną wodę. Taaak... Produkt końcowy nie będzie miał sobie równych. Abramow popełnił dużą nieostrożność, mówiąc, że 114m jest najpotężniejszym źródłem energii nuklearnej na Ziemi. Rock widział w

tym przede wszystkim korzyść dla siebie. Dzisiaj świat wyglądał zupełnie inaczej niż przed dwoma laty. Zimna wojna była jedynie wspomnieniem, Rosja nie stanowiła żadnego zagrożenia. Mnożyły się małe, zacięte zbrojne konflikty etniczne, a to oznaczało wzrost terroryzmu. Abramanow bezwiednie oferował mu coś, co mogło wzbudzić głębokie zainteresowanie nowych klientów. Rock poczuł, że ślina cieknie mu z ust na myśl o potencjalnych zyskach. Miał w ręku wymarzoną broń dla terrorysty - niedużą i potężną. Co więcej, miał też jedyne go człowieka, który mógł ją wyprodukować.

- **KSIEGA DRUGA** *Oznaki zdrady* *Błyskawica -pośród drzew zagajnikawidziałem wodę* MASAOKA SHIKI

5

- WASZYNGTON / VUNG TAU / TOKIO VJdy Croaker pojawił się w foyer hotelu Holiday Inn u zbiegu Rhode Island Avenue i Piętnastej, zobaczył młodą kobietę w swetrze z angory różowym niczym guma do żucia i spódniczce ciemnobłękitnej jak niebo o zmierzchu. Włosy miała zupełnie czarne, proste i równo przycięte do połowy szyi. Nosila ciemne okulary o lustrzanych szkiełkach, pod pachą ścisnęła wypchaną szarą kopertę i opierała się o kontuar recepcji.
- Samuel Johnson, jak sądzę? - powiedziała niskim, namiętym głosem, który zabrzmiał jak pomruk kotki.
- A pani?
- Żadna pani. Ot, jestem po prostu anonimowym automatem na końcu zastrzeżonej linii telefonicznej. - Podała mu kopertę. Croaker zerknął do środka.
- Nie możemy przejść w bardziej... ustronne miejsce? Uniósł głowę.
- My? A w zasadzie, co tu w ogóle robisz?
- Przygnała mnie ciekawość. - Wzruszyła ramionami. - Ostatnio tak się nudzę, że całe popołudnia spędzam na wrotkach.
- Tak? - Croaker popatrzył na jej długie i zgrabne nogi. - A co, jeśli komuś jesteś potrzebna?
- Odbieram telefon - powiedziała z uśmiechem. - Masz komórkowca, ruszaj w drogę.
- Pobieżnie przerzucił dokumenty.
- Co cię zaciekawiło?
- Ma przykład to, że podałeś numer wozu należącego do mojej siostry.
- Siostry?
- Uhm. - Przesunęła palcem po kartce. - Nissan 300 z rozkładanym dachem należy do niej. Vesper Arkham. - Wyciągnęła rękę. - Mam na imię Domino.
- Roześmiała się, widząc zdumioną minę Croakera.
- - Wszyscy się dziwią. Bez obaw. Mój ojciec uwielbiał Jamesa Bonda. Nadawał córkom imiona wzięte z powieści.
- Dobrze chociaż, że nie nazwał cię Pussy.
- Widać Bóg czuwał. - Ujęła go pod ramię. - Postawisz mi śniadanie i pogadamy, czego

chcesz od Vesper.

- O tak wczesnej godzinie nie bardzo mieli dokąd pójść. Dziewczyna wybrała leżącą na uboczu restaurację na Four Seasons w Georgetown, lecz o to w końcu chodziło. Croaker zamówił sok pomarańczowy, kawę i jajka na boczku. Domino wybrała tosty i kawę. Bez mleka.
- Nie wiadomo dlaczego, lubię mocno spieczony chleb i krwiste befsztyki.
- Co wiesz o senatorze Richardzie Dedalusie? - spytał Croaker po odejściu kelnera.
- Dedalus? Coś go łączy z Vesper?
- Może tak, może nie. Zależy.
- Kelner przyniósł sok i kawę, po czym zniknął za przegradzającą lokal ścianą zieleni. Wąski ogródek i restaurację zalewał potok słonecznego światła. Gości było niewielu; najbliższej siedział jakiś zażywny komiwojazer, zawzięcie stukający na laptopie. Jeśli nie miał czułego mikrofonu, nie mógł podsłuchać ich rozmowy.
- - Kiedyś się z nim spotykałam. - Domino upiła łyk kawy. - Na krótko. Takie miałam zadanie, naprawdę. Richie jest dość wpływowy, więc myśleliśmy, że dobrze byłoby go sprawdzić... w niezbyt konwencjonalny sposób. Wiesz, nie mogliśmy nim przecież trzepotać, czy coś takiego. - „Trzepotaniem” określano badanie z użyciem wykrywacza kłamstwa. - Robiłam to tylko dla jego dobra.
- Nie wątpię. Zmarszczyła nos.
- Nie spałam z nim, jeśli o to chodzi.
- Wcale tego nie powiedziałem.
- Nie musiałeś. - Odstawiła filiżankę.
- Kelner podał potrawy. Croaker w milczeniu patrzył, jak dziewczyna wsuwa do ust maleńki kawałek spieczonego chleba.
- - Mogłabyś zdjąć okulary? Wkurzają mnie te lusterka.
- Domino spełniła jego prośbę i zobaczył parę szeroko rozstawionych szmaragdowych oczu, niemal tak wielkich jak chabrowe oczy jej jasnowłosej siostry.
- - Lubię Richa - ciągnęła. - Jest bystry i szybki. Potrafi działać w nowoczesnym stylu.
- Croaker wymazał żółtko z talerza kawałkiem boczku.
- Ma niecodziennych przyjaciół?
- Niecodziennych?
- Jak na senatora.
- Richie ma wielu przyjaciół. Richie. Mówiła o jednym z najpotężniejszych ludzi Ameryki.
- Był wśród nich Dominie Goldoni?
- Szef mafii? Ten, którego zamordowano w zeszłym roku?
- Ten sam. Domino wytarła palce w serwetkę.
-
- Chyba tak. Poznałam jego siostrę. Jak miała na imię?
- Marilyn.
- Nie. Margaritę. Pamiętam ją bardzo dobrze. Niezła, nie taka, jak inne włoskie księżniczki.

Chyba rozumiesz, o czym mówię.

- Croaker doskonale rozumiał.
- Zatem ona i pan senator mieli ze sobą do pogadania. O czym? Dziewczyna pokręciła głową.
- Ty pierwszy. Czego chcesz od Vesper?
- Croaker otarł usta, upił łyk kawy i zastanawiał się przez chwilę nad rozmiarami dziury, jaką w żołądku wyzerwała mu nadkwasota.
- Widziałem ją wczoraj, w „Moniker’s”. Była z nią Margaritę. Potem obie wsiadły do czarnego nissana.
- Dokąd pojechały?
- Nie wiem.
- A Richie?
- Margaritę przyjechała do klubu jego limuzyną.
- Więc śledzisz siostrę Goldoniego.
- Nie. Śledzę kogoś, kto tego dnia był w klubie. - Nie widział potrzeby, aby mówić jej całą prawdę. Kiedyś zaufał Lillehammerowi i mocno się na tym sparzył.
- Domino obróciła twarz w stronę słońca.
- Vesper swego czasu pracowała dla Leona Waxmana - powiedziała w końcu. - Nim zginął.
- A moim pryncypałem był William Justice Lillehammer.
- Naprawdę? I nigdy jej nie spotkałeś? Lillehammer też robił u Waxmana.
- Wiem. W tej samej agencji. Mnie zgarnęli z ulicy, nigdy nie byłem w biurze. Prawdę mówiąc, nawet nie przypuszczałem, że jakieś istnieje.
- Domino wydeła usta.
- Na pewno masz prawo do używania numeru identyfikacyjnego? A może jesteś wtyczką?
- Lillehammer wynajął mnie do prowadzenia śledztwa w sprawie śmierci Goldoniego.
- I nadal to robisz? Słyszałam, że morderstwa dokonał zwariowany Wietnamczyk o kaczym przezwisku. Duck coś tam...
- Croaker nie umiał powstrzymać uśmiechu.
- - Do Duc. Dotąd nie ustalono, kto go najął. Podejrzewam, że Waxman.
- - To ma sens. Waxman w rzeczywistości nazywał się Johnny Leonforte... Nagle stało się jasne, że dziewczyna nie jest tępawą sekretarką. Croaker myślał przez chwilę.
- Dlaczego Dedalus go zatrudnił?

- Okazał doskonale referencje.
- Od kogo?
- Nie mam pojęcia. - Popatrzyła mu prosto w oczy. - Vesper może coś o tym wiedzieć.
-

- Dodatkowy powód, żeby z nią porozmawiał. Pochyliła się nad stołem.
- Kogo śledziłeś w „Moniker’s”?
- Niestety, nie mogę ci powiedzieć. Wstała.
- Zatem ja nie mogę ci pomóc w sprawie senatora i Margaritę.
- Usiądź. Proszę. Domino z ociąganiem spełniła jego prośbę. Croaker miał niemiłe wrażenie,

- że w jakiś niepojęty sposób dał się wymanewrować. Pewnie się mylił, bo gdyby rozmawiał z mężczyzną, traktowałby to jako ciekawą konfrontację. Zastanawiał się teraz, co zrobić. Doszedł do wniosku, że odrobina prawdy nie zaszkodzi.

- Lillehammer zwrócił się do mnie, gdyż podejrzewał, że zdrajcą jest ktoś z agencji. Kazał mi nikomu nie ufać; jak dotąd, miał rację.
- A twój kłopot polega na tym, że jeśli się komuś nie zwierzysz, nie popchniesz śledztwa.

Z niechęcią musiał przyznać jej rację.

- Szukam związków łączących Goldoniego i senatora Dedalusa. Samo połączenie tych nazwisk wystarczy, by wszcząć dochodzenie.
- Zgoda. Dedalus przewodniczył podkomisji do spraw regulacji prawnej zasad transportu samochodowego między stanami oraz udzielał pożyczek na budowę municypalne. To chyba wystarczająco wyjaśnia zainteresowanie Goldoniego.
- A Margaritę przejęła pałeczkę po bracie?
- Tak sędzę. Nie znam innego powodu, dla którego miałyby się spotykać z Dedalusem. - Dziewczyna obdarzyła go figlarnym uśmiechem. - Widzisz? Odrobina zaufania nigdy nie szkodzi.

- Nicholas otworzył oczy, lecz nie widział nic prócz oślepiającej bieli. Gwałtownie zamrugał powiekami, poczuł łzy na policzkach, potem usłyszał własny oddech. Wdech, wydech, wdech, wydech. Biel była wszędzie, jakby wisiał w gęstej chmurze. Czuł bicie swego serca... a może *ki* nieba? Krew niczym wiatr krążyła mu w żyłach. Chrapliwy krzyk mewy wyrwał go z odrętwienia. W umysł wkradł się spokojny szum morza. Był blisko oceanu; może na samym brzegu. Gdzie?

- Śniłeś kiedyś, że chodzisz po jakimś budynku... biurze czy zwykłym domu, nieważne, i że otaczają cię dziwni ludzie? Nie możesz ich dostrzec, lecz czujesz, że są tuż obok, i choć nie wiesz dlaczego, próbujesz się ukryć...
- Nie.
- A ja tak. Niemal każdej nocy.
- Nicholas rozpoznał głos Seiko, lecz kim był mężczyzna, z którym rozmawiała? Mówili po

japońsku. Rozległ się cichy zgrzyt lodu pękającego w szklance. Nicholas poczuł, że

- skórę pokrywają mu krople potu i że do pasa okryty jest cienkim bawełnianym prześcieradłem. Nad łóżkiem wisiała biała, przypominająca obłok moskitiera.
- I co dalej? - spytał mężczyzna.
- Uciekam. Biegam jak oszalała po pokojach, walę pięściami w ściany, szukając ukrytego przejścia. Potem, kiedy już mają mnie dopaść, wpadam w załom korytarza i tam, w suficie, trafiam na klapę.
- Jesteś bezpieczna.
- Cichy szept materiału, zapach perfum... Seiko chodziła po pomieszczeniu.
- Nie. Znajdują mnie w ciasnej, mrocznej komorze.
- Nie należę do zwolenników Freuda, ale...
- Wiem, wiem. Sen o narodzinach. To tylko jedna z interpretacji.
- Masz inną?
- Wstydzę się tego, co robię. Mężczyzna wybuchnął śmiechem.
- Poważnie?
- - Może nie. Nie wiem. Ktoś kiedyś powiedział, że wszystkie senne marzenia można uważać za dowcip.
- O, właśnie. Nie bądź sentymentalna, do ciebie to nie pasuje. Nicholas jęknął.
- Obudził się. - Seiko wstrzymała oddech. - Dzięki Bogu.
- Mówiłem, że to nie potrwa długo.
- - A skąd mogłeś wiedzieć? - Podeszła do łóżka. Spojrzała na Linneara i uśmiechnęła się z wyraźną ulgą. - Dzięki Bogu - powtórzyła.
- Delikatnie musnęła mu czoło i pochyliła się, by go pocałować.
- Gdzie jestem? - wychrypiał Nicholas.
- Daj mi się napić, na miłość boską - z lekkim zniecierpliwieniem powiedział mężczyzna. - Całusy mogą poczekać.
- Seiko uklękła przy łóżku i przystawiła Nicholasowi do ust kubek z zimną wodą. Pił łąpczywie.
- - Chcę usiąść - szepnął.
- Dotykał policzkiem ramienia dziewczyny. Była chłodna jak alabaster.
- To nie najlepszy pomysł.
- Przestań go niańczyć - odezwał się jej towarzysz. Podeszedł do leżącego. - Sam wie, na co go stać. Już ci o tym mówiłem.
- Nicholas bardziej poczuł, niż zobaczył, że Seiko uniosła głowę. Był ciekaw, kim jest nieznajomy, lecz instynktownie, póki leżał, nie chciał patrzeć w tę stronę.

- Gdzie jestem? - powtórzył, gdy dziewczyna pomogła mu usiąść.
- Nieważne. W bezpiecznym miejscu.
- Ze zdumieniem stwierdził, że ma na sobie jedynie batikowy szlafrok.
- - Tylko popatrz - mruknął obcy. - Zniknęły wszystkie sińce i zadrapania. Miał rację. Długotrwały trening fizyczny powodował zmiany w przemianie materii, ćwiczenia Tau-tau miały wpływ na biochemię ciała - na endorfiny i nukleopeptydy - a tym samym, na przyspieszenie procesu regeneracji.
- Nicholas wstał i energicznie pokręcił głową.
- Kim pan jest, u diabła?
- Tachi Shidare - pospieszyła z wyjaśnieniem Seiko. - Nowy oyabun klanu Yamauchi.
- Shidare skłonił się, choć niezbyt głęboko i ze starannie wyważonym szacunkiem.
- Wiem, że yakuza nie cieszą się twoją sympatią - dodała Seiko. - Lecz wierz mi, nie miałam wyjścia. Nikomu innemu nie mogłam ufać.
- Pańskim poprzednikiem był Tomoo Kozo - stwierdził Linnear.
- Oyabun uśmiechnął się lekko. Był młody, nie więcej niż trzydziestopięcioletni, wysoki, o czujnych i czarnych oczach kruka. Miał długą, wąską twarz i ostro zarysowany nos, choć lekko rozdęte nozdrza nadawały mu dziewczęcy wygląd. Miał w sobie coś ze skrywanej dzikości, jakby chował nieokiełznane zwierzę za żelaznymi drzwiami. Nicholas instynktownie wiedział, że ten, kto wypuści bestię, może się spodziewać najgorszego.
- - Wciąż muszę dźwigać brzemień jego grzechów. - Wyraz twarzy gangstera świadczył aż nadto wyraźnie, że to nieprawda.
- Zdaniem Nicholasa, Shidare należał do nowego pokolenia yakuza - rzutki, arogancki i równie amoralny, jak wykształcony. W przeciwieństwie do Chosy lub Akinagi nie był dzieckiem ulicy; bez wątpienia studiował na dobrym uniwersytecie - może nawet Todai - i ani przez chwilę nie miał poczucia wyobcowania ze społeczeństwa.
- Co, jak widzę, w żaden sposób nie wpływa na pańskie dobre samopoczucie.
- Nicholas... - pospiesznie wtrąciła Seiko. - Wciąż nie wiem, jak nas uratowałeś. Czułam, że mnie przygniatasz, potem przetoczyła się fala gorąca, jakby ktoś zanurzył mnie w płynnym wosku. Przez chwilę nic nie widziałam. Nie mogłam oddychać. Ze strachu próbowałam uciec, lecz wówczas poczułam wstrząs i miałam wrażenie, że rozlatuję się na kawałki. Jakby gdzieś w dali posłyszałam huk i straciłam przytomność.
- Shidare spokojnie przechadzał się po nasłonecznionym pokoju. Nosił elegancki popielaty garnitur włoskiego kroju. Nicholas nie potrafił się skupić na rozmowie z Seiko.
- Użyłem Tau-tau - powiedział cicho. - Uformowałem *ki*...
- ...w rodzaj tarczy.
- Niezupełnie. Pomyśl o samochodzie sportowym lub samolocie. Dzięki opływowej sylwetce wiatr prześlizguje się nad nim i leci gdzieś w tył. My właśnie byliśmy takim

samochodem. Sprawilem, że fala uderzeniowa przeszła nad nami.

- Shidare stanął w pobliżu. Ciemne, błyszczące oczy patrzyły wprost na Nicholasa. Nic więcej. Twarz oyabuna była wyprana z wszelkich emocji. Lekko przekrzywił głowę.
- - Słyszałem, Linnear-san, że studiował pan aikido - powiedział ze staromodną grzecznością. - Czy poznał pan również *jiyu-waza*?
- Tachi...
- W porządku, Seiko - wtrącił Nicholas. - Oyabun sam wybrał ścieżkę, po której chce stąpać.
- Dziewczyna jednak nie zamierzała rezygnować.
- Obiecywałeś mi co innego, Tachi. Nie popisuj się swoją siłą. Nie tutaj. Nie teraz.
- Przestań, Seiko.
- Nicholas z rosnącym zainteresowaniem spoglądał na młodego Japończyka. Ciekawe, że potrafił jednym krótkim zdaniem uciszyć prośby Seiko. Darzyła go podziwem, czy może raczej szacunkiem, gdyż należał rady stworzonej przez kaisho?
- Żałuję, że nie mogę pożyczyć panu *gi* i *hakama*, choć pański obecny strój jest wystarczający do walki. - Shidare uniósł szczerą dłoń i wskazał na drzwi. - Wyjdziemy na plażę?
- Spał trzydzieści trzy godziny po omdleniu. - Głos Seiko nabrał oskarżycielskich tonów. - Co ci odbiło?
- Shidare obrzucił ją krótkim spojrzeniem.
- - Mówiłem: przestań.
- Wyszli z chaty. Czerwone słońce wisiało tuż nad widnokretem. Wieczorny wiatr potrząsał palmami i chłodził rozgrzane powietrze. Niebo było żółto-błękitne, co Nicholas uważał za nieodłączną barwę Wietnamu. Zielonkawe fale obmywały szeroką białą plażę. Shidare nie miał jednak ochoty na podziwianie widoków i zadał *mune-tsuki*, szybki cios pięścią, mierzony w żołądek. Linnear z trudem uniknął uderzenia. Przykucnął, Jęcz Japończyk chwycił go za prawą rękę, założył dźwignię i rzucił na ziemię. Nicholas skrzywił się z bólu, choć z drugiej strony, upadek pomógł mu pozbyć się resztek odrętwienia. Spał długo; w czasie wybuchu wykorzystał tak wielką ilość energii, że znalazł się na granicy kompletnego wyczeipania. Dobrze było powrócić do życia. Przetoczył się, by uniknąć kopnięcia, które mogło złamać mu żebra. Zaplótł nogi, mając nadzieję, że zdoła przytrzymać przeciwnika, lecz Shidare zwinnie odskoczył i niemal w tym samym ruchu chwycił go oburącz za prawy nadgarstek. Nicholas, choć jeszcze nie w pełni odzyskał równowagę, skorzystał z okazji, obrócił się na prawej pięcie, cofnął lewą nogę i przeniósł ciężar ciała na biodra, przez co odciążył ręce. Shidare, wyprężony jak struna, był łatwym celem. Nicholas skończył obrót, wykonał *tsugi ashi* i dzięki temu znalazł się przed oyabunem, pod jego wyciągniętymi rękami. Przyklęknął na prawe kolano, przekręcił dłoń i przerzucił Japończyka przez plecy, na zakończenie częstując go ciosem pięścią w nerkę. Usłyszał zdumiony jęk przeciwnika. Shidare ciężko padł na piasek, lecz błyskawicznie przeturlał się w bok i zerwał na nogi. Twarz wykrzywił mu grymas bólu. Ruszył

na Nicholasa z ręką ukrytą za plecami i lekko pochylonym ramieniem, jakby odniósł dotkliwą kontuzję. Gdy był już blisko, z zadziwiającą szybkością machnął w powietrzu niewielką naginatą. Musiał ukrywać ją pod obszerną marynarką. Zakrzywione ostrze krótkiej włóczni o centymetry minęło ramię Linneara. Nicholas nie miał wyboru. Otworzył oko tanjianina, skumulował energię w jednym potężnym pchnięciu i przytrzymał rękę oyabuna na tyle długo, by skontrolować niespodziewanym *tegatana*. Krawędzią wyprostowanej dłoni uderzył przeciwnika w wewnętrzną część nadgarstka. Shidare cofnął się. Krucze oczy z niedowierzaniem patrzyły na Linneara. Opuścił broń. Nicholas czekał. Nagle świat wokół niego zaczął wirować, rozmyte kolory przypominały neony widziane z okien pędzącego pociągu. Perspektywa i grawitacja rozplynęły się w czasie, a przestrzeń pociemniała nienaturalną nocą. Zdumiony Nicholas widział, jak pęka nieprzenikniona zasłona skrywająca źrenice Japończyka. Miał wrażenie, że leci gdzieś w dół, by tam, na końcu otchłani, znaleźć barwę nie-barwę niespodziewanego pokrewieństwa. Potem poczuł dotknięcie umysłu oyabuna. Odpowiedział tym samym i zwarli się w ostrożnym, niewidzialnym powitaniu. Minęło sporo lat od chwili, gdy Nicholas po raz ostatni spotkał innego tanjianina. Było ich tak niewielu, że po śmierci swego mistrza, Kansatsu, nie znalazł nikogo innego. Dziś, mimo radosnego zdziwienia, czuł się nieco zakłopotany. Shidare uniósł dłoń z naginatą. Nicholas ostrożnie zacisnął palce na końcu włóczni. Naginatą służyła niegdyś wędrującym mnichom do obrony przed grasującymi na traktach bandytami. Teraz, w jej stalowym ostrzu płynęła energia *ki* - siła życia. Zamknęło się koło wieków. Shidare skłonił się głęboko i całym ceremoniałem.

- - Tomoo Kozo był głupcem - powiedział ostrym, nie dopuszczającym sprzeciwu tonem. - Zabijając go, oddał nam pan wielką przysługę. Jestem pańskim dłużnikiem.
- Seiko ze zmarszczonymi brwiami wodziła wzrokiem od Nicholasa do oyabuna. Jeszcze przed chwilą obaj toczyli zawziętą walkę, a teraz stali bez ruchu, nie okazując żadnego napięcia. Nicholas bez wątpienia użył Tau-tau, lecz co stało się potem? Wykorzystał energię psychiczną by wygrać? Ale przecież nie było mowy o zwycięstwie lub klęsce. Lekko dotknęła ramienia Nicholasa, jakby nagle onieśmielona obecnością Japończyka.
- - Trzy razy otarłeś się o śmierć. Cztery to zła cyfra. Zdaniem Chińczyków jest synonimem śmierci.
- Linnear spojrział na nią.
- Możemy skorzystać z pomocy twego ojca?
- Obawiam się, że to nie wchodzi w rachubę - wtrącił Shidare. - Przejdziemy się trochę?
- Ruszyli brzegiem morza, gdzie biały piasek niknął w turkusowych falach. Powietrze pachniało solą i fosforem, a w dali widać było kilka rybackich kutrów.
- - Jeśli to pana ciekawi, jesteśmy przy Vung Tao, nad Zatoką Łodzi -
- powiedział Shidare. - Około dwóch godzin jazdy samochodem na południowy wschód od Sajgonu. To prawdziwie kosmopolityczna część Wietnamu. Już w piętnastym wieku, gdy Le Thanh Tong niszczył królestwo Czampa, do zatoki zawijały portugalskie żaglowce. Potem przyjeżdżało tu coraz więcej cudzoziemców. - Wskazał za siebie, na elegancką willę. - Mój dom zbudowano w latach trzydziestych. Rok temu ojciec Seiko pomógł mi go odrestaurować.

- Dobrze zna pan jej ojca? - spytał Nicholas, gdyż wciąż nie był pewien, jaką właściwie rolę przypisać dziewczynie.
- Raczej nie - mruknął Shidare. - Nikogo nie dopuszcza zbyt blisko. Jest niczym król lub pomnik, tak oderwany od przyziemnego świata, że ludziom trudno znaleźć z nim jakieś porozumienie.
- Nicholas popatrzył na Seiko.
- Dlaczego nie stanie po naszej stronie?
- Od dawna nic nas nie łączy. - Na twarzy dziewczyny pojawiło się przygnębienie. - Nie potrafił zaakceptować mojej... emancypacji. Uważał, że powinnam mieć męża, dwoje dzieci i trzecie w drodze. „Gdzie mój wnuk?”, krzyczał gdy mnie zobaczył. „Odebrałaś mi przyszłość!”
- Odwróciła głowę. Policzki owiewał jej wiatr znad Morza Południowochińskiego, a we włosach igrał gasnący promyk słońca.
- - Tak było kiedyś, gdy jeszcze rozmawialiśmy. Teraz ożenił się po raz drugi, z dwudziestojednoletnią dziewczyną, która mu dała dwóch wspaniałych synów. Na pewno przedłużą ciągłość rodu, więc nie musi się więcej martwić.
- Nie kontaktuje się z tobą? Potrząsnęła głową.
- Traktuje mój styl życia jak osobistą obrazę. Wyrzekł się mnie. Nicholas spojrzał na idącego obok oyabuna. Shidare wzruszył ramionami,
- jakby mówił: „Wiem, smutne, lecz to jej karma. Cóż można poradzić?”
- Seiko zwróciła się do mnie po trzecim zamachu na pańskie życie. - Zachowywał się ze swobodą, charakterystyczną dla młodego pokolenia Japończyków. Przystępny, z wyraźnym dystansem podchodzący do zasad obowiązujących w jego ojczyźnie. Nicholas zastanawiał się, czy to dobry objaw.
- Rozumiem. Ze względu na okoliczności jestem skłonny przyjąć każdą pomoc - powiedział. - Na początek chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o Pływającym Mieście.
- Słyszałem o nim - Tachi pokiwał głową - ale podobnie jak Seiko, nie znam nikogo, kto by tam poszedł i wrócił. Nawet plemiona górali są w strachu. Wszelkie kontakty z władcą Miasta prowadzą przez pośredników.
- Takich jak Bay, zastrzelona przez Van Kieta?
- Możliwe.
- Myślę, że powinniśmy porozmawiać z inspektorem. - Nicholas poczuł, że miętka, orzeźwiająca chłodem fala obmywa mu kostki i stopy. - Seiko, ty masz na niego wpływ. Możesz zorganizować spotkanie?
- Spróbuję, choć w głębi ducha mną gardzi. Uważa, że kobiety nie powinny brać się do męskich zadań.
-
- -Lepiej będzie, jak ja się tym zajmę - z uśmiechem wtrącił Tachi. - Myślę, że uda mi się skłonić go do mówienia.
- Zdarzyło się to w środku nocy, gdy nawet sprzedawcy ryb nie przyszli jeszcze na targ

Tsukiji. Ushiba, którego cynizm brał się po trosze z dręczącej go przypadłości, nie wierzył, by policja zdolna była do tak śmiałej akcji. Znał Yoshinoriego przez całe dorosłe życie. „Ministerialny miecz”, jak go czasami nazywano, walnie przyczynił się do wyboru - a w niektórych przypadkach i do dymisji - ośmiu ostatnich premierów. To, iż od jakiegoś czasu był pod ścisłą obserwacją, a ostatnio został aresztowany, najlepiej świadczyło o zmianach zachodzących w Japonii. Nawet czołowy polityk rządzącej Partii Liberalno-Demokratycznej nie mógł liczyć na całkowitą bezkarność. Do Ushiby zadzwonił Tanaka Gin, prokurator tropiący korupcję w przeżartych skandalami kołach biznesu.

- - Yoshinori siedzi - powiedział lakonicznie jak zwykle.
- Ushiba poczuł, że serce wali mu w piersi. Wiedział, jakie to ma znaczenie dla partii i wszystkich polityków u steru władzy.
- Pod jakim zarzutem?
- Unikanie podatków, przekupstwo polityczne, dotowanie przedsiębiorstw kontrolowanych przez yakuza, rzecz jasna w zamian za określone korzyści.
- Daijin nie mógł wykrztusić słowa ze zdumienia. Nie dziwił go powód aresztowania, lecz fakt, że Yoshinori dał się przyłapać.
- Mogę oberwać za ujawnianie tych informacji, lecz taka jest prawda - ciągnął Tanaka Gin. - Mamy przeciwko niemu niezbite dowody. Chyba pan wie, co dalej: śledztwo na wyższym szczeblu i histeria wśród prawicowych frakcji partii. Z obawy o własną skórę wszyscy go zaczną potępiać. Tylko tym razem sama proklamacja obrony demokracji i zasad wolnego rynku nie wystarczy. Takiego skandalu nie da się wmieść pod dywan, jak było z Recruitem czy Lockheedem.
- Od dawna miał pan oko na Yoshinoriego. - Nie było to oskarżenie, lecz zwykłe stwierdzenie faktu.
- - Prowadzę kilka dochodzeń jednocześnie. Wiedział pan o tym. Ushiba próbował zebrać myśli. Tanaka Gin nie należał do ludzi, którzy
- naginają prawo dla osiągnięcia zamierzonego celu. Utrzymywał śledztwo w tajemnicy, póki nie zyskał możliwości działania. Teraz zaś mówił więcej niż powinien. Co chciał osiągnąć?
- - To nie jest tylko kurtuazyjna rozmowa - oznajmił prokurator. - Yoshinori chce się z panem zobaczyć. Podobno jesteście starymi przyjaciółmi.
- Daijin zdążył już nieco ochłonąć i doskonale zrozumiał ostrzeżenie zawarte w ostatnich słowach Tanaki. W ciągu ostatnich kilku miesięcy spędził z nim wystarczająco wiele czasu, by pojąć, że prokurator jest bystry i nieprzekupny. Właściwy człowiek na właściwym miejscu.
- Tak - odparł. - Chodził z moim starszym bratem do jednej klasy. Traktowałem go jak stryja.
- Swego czasu udzielił pożyczki pańskiemu bratu.
- Owszem. To była osobista sprawa. Po plajcie przedsiębiorstwa brat został z górą długów. Yoshinori pomógł mu stanąć na nogi. W ciągu dwóch lat pożyczka została spłacona, a Yoshinori odmówił przyjęcia odsetek. Brat w zamian kupił mu w prezencie samochód.
- To też wiem. - W głosie Tanaki nie było ani krzty ironii. - Przyjadę po pana za

dwadzieścia minut, dobrze?

- Oczywiście.
- Zapadła cisza i Ushiba zamierzał odłożyć słuchawkę, gdy prokurator dodał:
- - Zarzutów może być więcej. W domu Yoshinoriego znaleźliśmy ponad sto milionów dolarów w brylantach i sztabach złota.
- Jechali w milczeniu przez zalane deszczem ulice Tokio. Kałuże połyskiwały barwami neonów. Na ogromnych tablicach świetlnych, zawieszonych na betonowych ścianach świątyn przemysłu i konsumpcji, migotał nieprzerwany strumień informacji. Ushiba siedział skulony obok prokuratora. Było mu zimno i miał wrażenie, że wypił szklankę kwasu. Cierpiał z bólu, choć przed wyjściem z mieszkania wziął dwie tabletki. Świat się zmienia - pomyślał patrząc na ciemny profil Tanaki. Dawniej, ktoś taki jak Yoshinori odpędziłby policjantów lekceważącym ruchem dłoni. Teraz nie. Zachłanni politycy zapominali o ostrożności, a następujące po sobie skandale wyraźnie zmieniły nastawienie prasy i, co gorsza, całego społeczeństwa. Podniósł się krzyk przeciw korupcji i niezrozumiałym układom, a działaniom prokuratury towarzyszył ogólny pokłask. Ushiba, wciąż w cieniu karzącej ręki prawa, doskonale rozumiał, że za nic nic może zdradzić tajemnic Godaishu. Tanaka Gin skręcił na podjazd prowadzący do gmachu prokuratury. Zatrzymał samochód i siedział przez chwilę w milczeniu. W pobliżu nie było nikogo. Tylko skrzyp wycieraczek omiatających przednią szybę przypominał o upływie czasu. Tanaka chrząknął.
- - Mam prośbę, choć wiem, że jest niemożliwa do spełnienia. – Spojrzał Ushibie prosto w oczy. - Chcę, aby wystąpił pan jako świadek oskarżenia. Mogę liczyć na pańską pomoc?
- Daijin nie odpowiedział. Nie potrafił ułożyć żadnego spójnego zdania.
- - Doskonale rozumiem, co to dla pana znaczy. - Wąską, ciemną twarz Tanaki znaczyły głębokie bruzdy. Na skórze ciemniały drobne plamki: cienie kropel spływających po szybie. - Blask, forma, poezja. Honor. - Jego głos stał się nieoczekiwanie łagodny. - W życiu każdego człowieka przychodzą takie chwile, gdy jedne wartości biorą górę nad innymi.
- Ushiba poczuł gwałtowne bicie serca.
- - Taaak... - ciągnął Tanaka. - Starość staje się naszym nieodłącznym towarzyszem, choć nawet nie wiemy, którędy wchodzi do domu. Upływ lat
- i cierpienia niszczą najtwardsze kryptomerie w lesie. Lecz nim tego dokonają, modyfikują nasze poglądy. - Poprawił się w fotelu. - Może pan spytać, skąd taka opinia w ustach młodego człowieka. Mój ojciec zmarł na raka płuc. Nie wiem, czy dlatego chorował, że mieszkał na peryferiach Nagasaki, czy z innych powodów, tak charakterystycznych dla końca dwudziestego wieku. Byłem przy nim w najcięższych chwilach i widziałem, jak się zmienia. Jego umysł, wolny od więzów czasu i śmierci, był bardziej chłonny i na swój sposób bardziej... zorganizowany. Na moich oczach przeszedł zadziwiającą transformację. Ushiba z trudem panował nad nerwami. Cała ta smętna opowieść o bólu przemianie i śmierci ma jakiś ukryty cel - myślał. - Tanaka wie, że mam raka żołądka, a nie wrzody. Cholera, jest zbyt sprytny. A może wie także o tym, co naprawdę łączy mnie z Yoshinorim? Zadrżał. Prokurator patrzył na niego nieubłaganym wzrokiem.
- - Jak już mówiłem, znam pańskie poczucie honoru. - Położył ręce na kierownicy. Miał silne, żyłaste i wyraziście ukształtowane dłonie. Stanowiły

parę pięknych narzędzi, jak dłonie wybitnego chirurga lub pianisty. – Yoshinori zdradził tych, którzy mu najbardziej ufali. Mogę liczyć na pańską pomoc?

- Ushiba spojrzął w oczy Tanaki i zobaczył w nich coś, czego dotąd nie dane mu było oglądać. Otworzył usta, lecz nie padło z nich ani jedno słowo. Po co? Przecież obaj znali odpowiedź. Weszli do budynku i minęli długi, mroczny korytarz, strzeżony przez dwóch umundurowanych policjantów, którzy bez wątpienia znali prokuratora, lecz mimo to jeden z nich poprosił o przepustkę. Wjechali windą na szóste piętro. Tanaka pokazał swój identyfikator kolejnemu wartownikowi. Nie wymienił nazwiska czy funkcji Ushiby, zresztą nikt tego żądał. Przeszli przez jeszcze jeden ponury korytarz, aż dotarli do drewnianych drzwi pomalowanych paskudną zieloną farbą.
- - Mogę dać panu czterdzieści pięć minut. Nie więcej. - Tanaka odszedł pospiesznie i zniknął za węglem.
- Ushiba rozejrzał się, jakby w obawie, że jest śledzony. Potem wziął głęboki oddech i nacisnął klamkę. Yoshinori siedział przy końcu błyszczącego drewnianego stołu. Na widok Ushiby, wstał. Pomarszczoną twarz ozdobił wąły uśmiech.
- - Przyjacielu...
- W niczym nie przypominał „ministerialnego miecza”. Był znużonym siedemdziesięcioletnim starcem. Miał szarą twarz i nieporządny wygląd, jakby ubierał się w dużym pośpiechu. W pokoju było ciemno od dymu, a w popielniczce piętrzył się stos niedopałków. Obok leżała paczka papierosów i gruba złota zapalniczka. Chłodne i pozbawione okien pomieszczenie przypominało bardziej salę konferencyjną niż pokój przesłuchań i chyba rzeczywiście pełniło taką funkcję. Wokół stołu stało dwanaście krzeseł, pod ścianą dwie szafki, na których postawiono herbatę, zimną wodę, kubki i szklanki.
- - Podobno chciałeś mnie widzieć.
- - Doszło do najgorszego, Ushiba-san.
- Yoshinori opadł na krzesło. Zapalił papierosa. Ushiba, rozdrażniony dymem, wziął karafkę i nalał sobie nieco wody.
- - Użyłem wszelkich dostępnych kontaktów - odezwał się Yoshinori – lecz to już nie te czasy. Partia przestała pełnić rolę bastionu broniącego przed komunizmem i socjalizmem. Straciliśmy *raison cTetre*. Kiedyś zbieraliśmy głosy wyborców, bo na pierwszy plan wysuwaliśmy konieczność stworzenia wolnego rynku. W dniu założenia partii, trzydzieści dziewięć lat temu, dawaliśmy gwarancję wolności i dobrobytu. Na chwałę Japonii! Teraz na prawo i lewo widać jedynie skarłowaciałe odpryski ugrupowań politycznych. Przy głosowaniu jest w czym wybierać, ale co z tego za korzyść? Żadna. Japonia zaczęła przypominać Włochy: kilka słabych partii usiłuje zawiązać jakąś sensowną koalicję” by zyskać większość w parlamencie. - Potrząsnął siwą głową niczym ranne zwierzę. - Czuję jedynie gorycz. Wpadłem w łapy nienasyconej bestii. Tym razem nie wywinę się z sieci Tanaki.
- Zawsze jest jakaś nadzieja. Yoshinori uśmiechnął się kwaśno.
- Jeśli mam zginąć od miecza, wolę to zrobić z czystym sercem. Ushiba wziął szklankę i usiadł obok starego polityka. Wiedział, że w razie

- potrzeby wodniste oczy zapłoną dawną energią. Gdy Yoshinori przesunął dłonią po zmierzwionych włosach, coś przypominającego dawne czasy zaczęło prześwitywać przez mdły obraz tygrysa w zimie.
- - Ludzie uważają na ogół, że zasadnicza zmiana polega na tym, iż Partia Liberalno-Demokratyczna straciła dotychczasową przewagę. Ja wiem lepiej - oznajmił Yoshinori. - Reformatorzy wyszli z naszych szeregów. Tak zwani „łapówkarze” wykarmili ich własną pierś. Korupcja ułatwiła im wejście do rządu. Nie zapomnieli o tym. Nie jestem na tyle naiwny, by sądzić, że ludzie, zwłaszcza politycy, mogą się zmienić w mgnieniu oka.
- Odwrócił głowę i przez chwilę siedział w milczeniu. W końcu westchnął głęboko.
- - Sam grzeszyłem - powiedział niemal szeptem. - Dla niektórych część moich błędów nie znajduje usprawiedliwienia. Na przykład kłótnia z tobą. - Z zadumą zaciągnął się papierosem, po czym ze świstem dmuchnął chmurą dymu. - Siedząc tu, miałem dość czasu się, by zastanowić się nad swoim długim i pełnym wydarzeń życiem. Weźmy miłość. Skomplikowane uczucie, zmieszane czasem z afektacją, skruchą i nieokiełznanym pożądaniem. Lecz gdzie jest druga, ciemna strona? Co się dzieje, gdy miłość zostanie zatruta, zbrukana? Doszedłem do wniosku, że im głębiej ktoś kocha, tym łatwiej przychodzi mu nienawidzić. Czy to właśnie zdarzyło się między nami?
- Znów zaciągnął się dymem i przez moment maleńka plamka żaru była najjaśniejszym punktem w pokoju. Gdy zszarzała na popiół, Yoshinori dodał:
- - To, że ktoś nienawidzi, nie ma większego znaczenia, Ushiba-san. Ważne jak nienawidzi. - Zdusił niedopałek i sięgnął po kolejnego papierosa. – Smutny koniec dla stryja i bratanka, nieprawdaż? Nigdy ci nie wybaczyłem, że nie miałem twojego poparcia, że nie wpłaciłeś swej części do skarbcza... A ty? - Wzruszył chudymi ramionami. - Mogę się tylko domyślać, ale z pewnością nie zaakceptowałeś moich metod działania. Określałeś to mianem korupcji, tak jak Tanaka. - Uśmiechnął się bez złośliwości. - Na swój sposób jesteście podobni. To nadzwyczajne. W chwili aresztowania pomyślałem o tobie i od razu wiedziałem, co mam robić.
- Dłuższą chwilę palił w milczeniu, zatopiony w rozważaniach. Ushiba wstał i dolał wody do szklanki. Za sobą posłyszał głos Yoshinoriego:
- Ze wszystkich przewinień i domniemanych grzechów żałuję tylko jednego. Zrobiłem to kilka dni temu, wbrew logice, tylko po to, żeby ci dopiec. - Ushiba odstawił szklankę i obrócił się. - Jak już mówiłem, chcę zniszczyć zatruwającą mnie nienawiść i odejść z czystym sercem. By tego w pełni dokonać, muszę poczynić ci pewne wyznanie.
- I zyskać przebaczenie?
- Nie oczekuję tego, bratanku - uśmiechnął się Yoshinori. - Chcę tylko, żebyś posłuchał. Parę dni temu przyszedł do mnie Akira Chosa. Od dawna prowadziliśmy wspólne interesy. Nigdy ci to nie przyszło do głowy, prawda, daijinie? Nieważne. Mieliśmy kilka kasyn oraz firm ubezpieczeniowych i budowlanych. Razem zdobyliśmy niemałą fortunę, więc nie miałem ochoty mu odmówić, gdy poprosił mnie o przysługę. Rzecz jasna, dobrze wiedział o dzielącej nas niechęci. Twierdził, że przy pomocy pewnego człowieka chce zniszczyć swego dawnego wroga. Nie sądzisz, że to brzmi znajomo?
- Tak - odparł Ushiba, przypominając sobie co Chosa mówił o Linnearze.
- Oświadczył także, że był przeciwny jego planom.

- To prawda.
- Oczy starego polityka zaczęły łzawić, być może od gryzącego dymu.
- - Właśnie dlatego postanowiłem mu pomóc. Użyłem swych wpływów i przekonałem młodego oyabuna klanu Yamauchi, by stał się narzędziem zemsty.

6VUNG TAU / WASZYNGTON

- szkielet był olbrzymi. Zdaniem Nicholasa miał ponad cztery metry długości. Światło pochodni migotało w szklanych ścianach gabloty i rzucało tańczące cienie na łukowato wygięte żebra.
- - Złowiono go w tysiąc osiemset sześćdziesiątym ósmym – powiedział Tachi. - Wszystkie wieloryby w Lang Ca Ong mają swoją historię.
- Lang Ca Ong, Świątynia Wielorybów, została wybudowana w tysiąc dziewięćset jedenastym roku i ze względu na kolekcję szkieletów przypominała bardziej muzeum niż chram buddyjski. Wietnamczycy przejęli kult wieloryba od Czarnów, których królestwo zniszczyli, by stworzyć własne państwo.
- - W wierzeniach ludowych wieloryb przez wiele stuleci był uważany za zbawcę. - Tachi przyłożył dłoń do szyby. - Nic dziwnego, skoro większość mieszkańców parała się rybołówstwem.
- W górze mrugały tysiące gwiazd, a księżyc barwy dojrzałych bananów sunął dostojnie po niebie niczym okręt doglądający szczątków olbrzymich bestii.
- - O której spotkamy się z Van Kietem? Shidare spojrzał na Nicholasa.
- - Cierpliwości. Przyszliśmy nieco wcześniej z kilku powodów. Chciałem panu pokazać to wyjątkowe miejsce i nieco lepiej zapoznać się z okolicą. Nie chodzi mi konkretnie o Van Kieta; nie ufam żadnemu Wietnamczykowi. Moim zdaniem, nauczyli się okłamywać wszystkich. Nawet siebie.
- Szli przez dziedziniec świątyni. Nicholas, otoczony przez masywne szkielety, czuł odwieczną harmonię życia. Gigantyczne morskie ssaki sprawiały, że księżyc stawał się bliższy, a gwiazdy mniej niedosięgle.
- Z tego, co wiem, rzadko się zdarza, by ktoś w pańskim wieku stał się oyabunem całego klanu.
- Podejrzewam, że wie pan więcej o yakuza, niż się wszystkim zdaje - uśmiechnął się Tachi.
- Nicholas stanął w pobliżu szkieletu. Twarz przecinały mu pasy cienia rzucanego przez naznaczone piętnem czasu kości. Nie mógł pozwolić, by dalsza rozmowa przebiegała w ten sposób.
- Słyszałem także, że wszedł pan do rady powołanej przez kaisho.
- To prawda. A pan przyrzekł chronić Okamię. Ale Okami pewnie nie żyje. Niektórych to ucieszyło, zwłaszcza że jeden z członków rady wydał na niego wyrok śmierci. Z drugiej strony, nie można wykluczyć, że były kaisho gdzieś się ukrywa.
- Odebrano mu tytuł?
- Tak przypuszczam, choć niewiele wiem o obecnej działalności rady. Ostatnie słowa

oyabuna zaciekały Nicholas.

- Nie ma pan pełnych praw, jak pozostali?
- Niby dlaczego? Tylko z tego powodu, że objąłem funkcję, którą niegdyś piastował Tomoo Kozo? Choć się staram, wciąż nie mam jego wpływów. - Shidare spojrział na niebo. - Podejrzewam, że wybrano mnie na oyabuna tylko dlatego, że jestem młody i nie mogę mieć wpływu na postępowanie Chosy lub Akinagi. Cóż więcej? Potrzebuję pomocy, więc muszę korzystać z ich łaski, a przez to zaciągam dług wdzięczności. Wierzą, że dzięki temu potęga klanu Yamauchi zostanie zdławiona.
- Rozumiem, że pan ma inne plany.
- Mam.
- Minęli świątynię i jak dwaj mali chłopcy przysiedli na skraju werandy, w pobliżu kamiennego ogrodu. Tachi otworzył papierową torbę, wyjął smażone mięso, porcję zimnego ryżu i pieczoną w całości rybę. Jedli w blasku gwiazd i księżyca, tyłem do wielorybów. Gdy skończyli, Tachi wrzucił resztki z powrotem do torby.
- Pełni pan ważną rolę w moich planach - powiedział. - Pod warunkiem, że zdołam pana do tego przekonać.
- Żaden yakuza nie może liczyć na moją sympatię.
- Słyszałem co innego. - Shidare wstał. - Mikio Okami był dobrym przyjacielem pańskiego ojca. Pułkownik Linnear wielokrotnie korzystał z pomocy klanów.
- W pierwszych latach po wojnie panował istny chaos. Próbowano każdej metody, aby przywrócić Japonii stabilność polityczną oraz ekonomiczną. Tylko z tego powodu władze okupacyjne wykorzystywały działalność yakuza. Dla mego ojca była to zwykła część pracy.
- Tak. Włożył wiele wysiłku, by stworzyć nową Japonię. Bez niego nie moglibyśmy zajść tak daleko.
- Nicholas miał wrażenie, że młodemu oyabunowi chodziło w gruncie rzeczy o coś zupełnie innego. Strumień myśli, *shicho*, krążył pomiędzy nimi z szybkością błyskawicy. Znajomość zasad Tau-tau okazywała się obosiecznym mieczem. Dawała duchową więź, podobną do tej, jaka łączyła gwiazdy i szczątki morskich lewiatanów, lecz mogła także zdradzić, ujawnić więcej niż każdy z nich chciał powiedzieć. Jednocześnie zwrócili uwagę na ciemną postać, powoli, niemal z wahaniem wynurzającą się z cienia filarów. Mała, szczupła, kołysząca biodrami w odwiecznym rytmie, który dziwnie nie pasował do tego miejsca i czasu.
- Dziewczynka, może dziewięcioletnia, zbyt młoda, by urosły jej piersi, stanęła przed nimi, biorąc się pod boki niczym doświadczona ulicznica.
- - Ja z nią pomówię - oświadczył Tachi.
- Dziewczynka była bardzo ładna, jeśli nie liczyć sińców szpecących jej buzię i gołe ramiona. Wyciągnęła rękę. Powiedziała coś po wietnamsku, co Nicholas zrozumiał jako: „Zrobić ci łaskę? Teraz. Tylko pięć amerykańskich dolarów”. Nie mógł uwierzyć, by dziecko było zdolne sprzedawać się w ten sposób. Tachi wcisnął jej w dłoń kilka banknotów i okrył

własną marynarką. Zagadał po cichu w tym samym narzeczu. Po chwili z twarzy dziewczynki zniknął wyraz podejrzliwości i pozwoliła się podprowadzić do miejsca, gdzie czekał Nicholas. Usiadła pomiędzy nimi, brudna, zaniedbana, i niczym zgłodniałe zwierzątko ogromnymi kęsami pochłaniała ofiarowane jej resztki jedzenia. Wyssała słodkie mięso z rybiej głowy i z lubością żuła je bez pośpiechu. Potem przyszła kolej na ości. Rozgryzła wszystkie. Miała ciemne błyszczące oczy i skórę barwy miedzi. Szczupłe rączki i nóżki tu i ówdzie nabierały bardziej dojrzałych kształtów. Zważywszy jej pierwszą propozycję, nietrudno było odgadnąć przyczynę siniaków i zadrapań. Tachi łagodnym głosem zadawał jej różne pytania. Nicholas z fascynacją spoglądał na młodego gangstera czule opiekującego się zagubionym nocnym stworzonkiem.

- - Powiedziała, że ojciec nauczył ją, jak sprawiać przyjemność mężczyznom - półgłosem wyjaśnił Tachi. - Jej rodzina jest bardzo biedna i bez pieniędzy, które przynosi, nie mieliby za co żyć. Ma małego chorego brata i całe zarobki ojca idą na lekarstwa. - Zerknął na Linneara. - Patrząc na nią, nietrudno zniechęcić takich rodziców.
- Wylał resztki posiłku z umorusanej buzi. Coś powiedział, dziewczynka obdarzyła go radosnym uśmiechem, po czym wstała, owinęła się ciasniej marynarką i w podskokach zniknęła w cieniu świątyni, bez troski jak każde dziecko w jej wieku.
- - Daliśmy jej krótką chwilę przerwy w codziennym życiu - smutno stwierdził Shidare. - Jutro wróci tu znowu, kręcąc pupą, kłamiąc, że jest dziewicą, by jakiś obcy biznesmen nie drżał ze strachu przed AIDS. Nikt nie pomyśli, jak szybko sama zacznie chorować.
- Noc była parna. Księżyc poczerwieniał, przeciskając się przez powietrze wydychane z kominów górujących nad przemysłowym kompleksem nowego Wietnamu. Wkrótce sadza pokryje ten mały ogród - myślał Nicholas - i przyłgnie jak klej do drzew i kamieni. Tachi, bez marynarki, został w koszuli z krótkimi rękawami. Na prawej ręce miał dziwny wzór, niczym spiralę zbiegającą długimi zakolami w stronę dłoni. Skóra była blada, spękana i błyszcząca jak roztopiony wosk, co wskazywało, że blizny powstały dawno temu. Oyabun nie patrzył na Nicholasa, lecz przetrząsał zawartość torby.
- - Pewnie zastanawia się pan, skąd te ślady. Na pańskim miejscu też byłbym ciekaw.
- Nicholas nie odpowiedział. Pomyślał o Croakerze i jego biomechanicznej dłoni. Działała bez zarzutu, lecz czy Lew nigdy nie uważał jej za protezę? Tęsknił za przyjacielem. Telefonował do niego, by zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami dowiedzieć się, jak postępuje śledztwo i przekazać zdobyte informacje.
- Od dwóch dni próbuję cię złapać - powiedział Croaker. - Dzwonię, zostawiam wiadomość i czekam. Nic. Co się tam dzieje, u diabła? Z tobą wszystko w porządku?
- Prawie. Mówi ci coś nazwisko Timothy Delacroix?
- Jasne. Handlarz bronią.
- Jest w Sajgonie. Chciałem się z nim spotkać, a on z kolei próbował wysadzić mnie w powietrze.
- Chryste Panie! Jesteś pewien, że wszystko gra? Może wolisz, żebym przyjechał?
- Dzięki - odparł Nicholas - ale dam sobie radę. Poza tym jesteś potrzebny gdzie indziej.
- Bo ja wiem? - Croaker powiedział mu o włamaniu do biura „Moniker's” i o działalności

Morgany. - Znalazłem potwierdzenie, że „Torch” istnieje i że to coś gorszego, niż dotąd przypuszczaliśmy. Nowa broń o ogromnej sile niszczenia. Ma być wypróbowana piętnastego marca, lecz nie wiem gdzie. Z informacji wynika, cytuję: „obszar wybrano ze względu na stosunkowo niewielką odległość od celu i podobną populację”.

- Zatem chodzi o duże skupisko ludzi - ze zgrozą stwierdził Nicholas.
- Pewnie. Tylko jakie? To może być każde miasto świata.
- Trzeba zdwoić wysiłki, zostały nam tylko trzy tygodnie. Z tego co powiedziałaś, wynika, że nie możesz wyjechać ze Stanów.
- Croaker wspomniał mi o Domino.
- Na twoim miejscu dowiedziałbym się o niej czegoś więcej - odparł Nicholas.
- Waśnie - mruknął Croaker. - Skoro jest zwykłą urzędniczką, skąd brała wszystkie informacje?
- O to chodzi. A jeśli Vesper Arkham kontaktowała się z Okamim, dlaczego równocześnie pracowała dla Waxmana?
- Waxman to Johnny Leonforte. Caesare jest jego synem.
- Udział Vesper w tym przedsięwzięciu może mieć groźne implikacje. Upewnij się, czy nie jest wtyczką podstawioną przez Godaishu.
- Od samego początku myślałem o tym samym. Kaisho stworzył sieć określaną kryptonimem „Nishiki”, by przekazywać Goldonim najświeższe smaczki z życia waszyngtońskiej elity. Jeśli Vesper jest częścią Nishiki, bez zbyteńnego wysiłku może dotrzeć do Okamiego.
- A to znaczyło, że wrogowie starego gangstera mogą odnaleźć jego kryjówkę.
- -Musisz się spieszyć - powiedział Nicholas do Croakera. – Znajdź Okamiego, nim zrobi to Vesper.
- Teraz, w pełni wracając do rzeczywistości, popatrzył na oyabuna.
- Wkrótce będzie wyrzutkiem we własnym kraju. - Skinął głową w stronę miejsca, gdzie zniknęła dziewczynka.
- Tak. - Tachi uniósł rękę. Skóra zajaśniała w perłowym blasku księżyca. Poszarpane blizny odcinały się bielą niczym ornament na ciemnej tkaninie.
- Linnear-san, podejrzewam, że lepiej od innych pojął pan znaczenie słowa *ijime*. Niełatwo być dzieckiem w Japonii, zwłaszcza gdy ktoś pochodzi z mieszanego małżeństwa.
- Owszem. Często mi dokuczano, gdyż nie pasowałem do grupy. Odstawałem od rówieśników.
- Właśnie - przytaknął Tachi. Z dumą spojrzął na rękę, jak na cenne trofeum. - To właśnie *ijime*. Gdy mieszkaliśmy w pobliżu Kumamoto, moja rodzina także nie pasowała do innych. Po pierwsze, ojciec był bardzo bogaty. Miał w okolicy kilka farbiarni. Sprowadziliśmy się tam, kiedy skończyłem szósty rok życia, gdyż ojciec twierdził, że zrobi większy majątek w mniej uprzemysłowionej części kraju. Moi koledzy gnieździli się w brzydkich, maleńkich domkach z betonu, zaś my mieszkaliśmy w piętrowej, drewnianej willi. Naprawdę pięknej. Matka była artystką i tworzyła wspaniałe dzieła sztuki. Chciałem pójść w jej ślady, lecz okazało się, że nie mam talentu. Forma i perspektywa były dla mnie czymś tak obcym, jak dla matki fizyka kwantowa.

- Umilkł na chwilę.
- - Poza tym miałem jasną karnację, co także odróżniało mnie od innych chłopców. Z wczesnego dzieciństwa pamiętam kąpiele matki. Jej skóra była biała jak mleko, tak delikatna, że zdawała się prześwitywać. Gdy podrosłem, czytałem legendy o czarodziejskim białym lisie, zamieszkującym szczyty Japońskich Alp, który ostatniego dnia roku schodzi do ludzkich siedzib i przemieniony w piękną dziewczinę o mlecznej skórze, zwodzi niczego nie podejrzewających wieśniaków. Od tamtej pory uważałem matkę za czarodziejkę. Źle, gdyż w ten sposób czułem się coraz bardziej wyalienowany. Dokuczano mi w szkole. Koledzy mieli mi za złe, że jestem obcy, bogaty i jasnoskóry, nauczyciele wraz z dyrektorem głosili, że moja obecność źle wpływa na innych. Prawdę mówiąc, przypisywali mi winę za wszystkie kłopoty. Przecież naprawdę byłem bogaty, mieszkałem w wielkim domu, wyglądałem inaczej niż każdy z tych smagłych wiejskich trolli i nie władałem dobrze ich dialektem. Mówiąc w skrócie, nie podlegałem twardym zasadom grupy. Uważali mnie niemal za cudzoziemca.
- Nicholas pomyślał o własnych kłopotach w szkole i w dojo, które przeżywał niemal co dzień, póki nie nauczył się bronić. Przyszło mu nagle do głowy, że właśnie stąd brało się jego zainteresowanie sztukami walki. Zaczynał przecież od defensywnego aikido.
- - Wciąż byłem bity - ciągnął Tachi. - W klasie i na boisku. Ciągłe kopany, szczypany, przewracany i popychany. Biedna matka co chwilę porzucała pracownię, by zszyć mi policzek lub górną wargę. Raz zabrała mnie do lekarza, lecz ten stwierdził, że nie potrzebuję pomocy. Od jego dwóch synów obrywałem najczęściej. Matka, przyzwyczajona do pracy rzeźbiarskim skalpelem lub miękką szczotką z końskiego włosia, z równą wprawą operowała igłą chirurgiczną i nićmi.
- Ojciec poszedł do szkoły, żeby sprawę wyjaśnić, lecz dyrektor przyjął go bardzo chłodno. Nie mógł ścierpieć, że w Tokio w miesiąc uczono tego, co on poznawał przez całe lata. Oświadczył ojcu, że zamiast uzalać się nad synem, powinien współczuć innym chłopcom, którymi kieruje jedynie mocno zakorzeniony instynkt przetrwania grupy. Ojciec zagroził wówczas, że o wszystkim poinformuje lokalną prasę. Na dyrektorze nie zrobiło to żadnego wrażenia. Jego zdaniem, wydawca i redaktor też mieli dzieci i dobrze wiedzieli, czyje prawa należy chronić. Ważniejsza jest przyszłość pokolenia, nie jednostki. Tachi siedział nieruchomo, jedynie czarne oczy błyszczały mu w mroku. Z trudem przebijał się przez wspomnienia, które ciążyły mu niczym upiór siedzący na ramieniu.
- - Raz spróbowałem się zbuntować. Podczas apelu, w trakcie nudnego przemówienia wygłaszanego przed całą szkołą przez napuszonego dyrektora, włożyłem rękę w ogień. Uważałem to za szczyt odwagi, lecz nie pomogło. Jak było do przewidzenia, rada pedagogiczna jednomyślnie określiła incydent jako „godny pożałowania wypadek”. Doszedłem wówczas do wniosku, że zostało mi tylko jedno: przyłączyć się do yakuza. Pojechałem do Kumamoto i z młodzieńczą werwą oraz niemałą dozą desperacji zacząłem szukać miejscowego oyabuna. Gdy pokazałem mu rękę, zrozumiał natychmiast. Nie miał własnego syna, tylko córki. Postanowiłem to wykorzystać.
- Uniósł do światła lewą dłoń. Brakowało mu końca małego palca. Przyglądał się własnej ręce z taką pasją, że w końcu przepędził demona.
- - Popełniłem jeden jedyny błąd. Myślałem już, że to koniec. Mój szef powierzył mi ochronę najstarszej córki, która miała poślubić syna oyabuna

z sąsiedniego miasta. Wielu widziało w tym zagrożenie wynikające z połączenia dwóch klanów. W dniu ślubu nastąpił atak i choć robiłem wszystko, by nie dopuścić do najgorszego, panna młoda została trafiona jakąś zbląkaną kulą. Sześć godzin później zmarła na stole operacyjnym. Stałem przed oyabunem, nie mając wątpliwości, co mnie czeka.

- Zapadła chwila ciszy.
- - Zamiast wyroku usłyszałem kilka ciepłych zdań o lojalności i poświęceniu. Oyabun zwracał się do mnie jak do własnego dziecka. W końcu ofiarowałem mu część własnego ciała i wybaczył mi nie tylko słowem, lecz całym sercem. Nigdy nie zapomniałem tej lekcji. W prawdziwym świecie, świecie mego dzieciństwa, nie istniało pojęcie honoru. Wśród yakuza znalazłem prawdziwy sens życia.
- Croaker obudził się i natychmiast sięgnął po słuchawkę, by sprawdzić czy Margaret wróciła do hotelu. Recepcjonista oświadczył, że jej pokój jest nadal
- pusty. Co dalej? Croaker połączył się ze Zwierciadłem. Odebrał jakiś mężczyzna o cienkim młodzieńczym głosie. Lew podał mu numer identyfikacyjny i spytał o Domino.
- Przykro mi - odpowiedział młodzieniec. - U nas nie ma nikogo o tym imieniu.
- Musi być. Wczoraj z nią rozmawiałem - odparł Croaker, choć już wiedział, gdzie popełnił zasadniczą omyłkę.
- Tu? Niemożliwe. Byłem na służbie. Nie przypominam sobie pańskiego głosu.
- Dzwoniłem...
- Chwileczkę. Mam elektroniczny zapis wszelkich połączeń. Zaraz sprawdzę... Już. O której to było?
- Telefonowałem dwukrotnie. - Croaker podał mu obie godziny.
- Nie mam pojęcia, dokąd pan dzwonił, ale na pewno nie tutaj. Od zeszłego roku do dzisiaj nikt nie zarejestrował pańskiego numeru.
- Lew zamknął oczy. Szumiało mu w głowie. Kim była Domino i skąd wiedziała, że będzie dzwonił? Jak zablokowała połączenia federalnej centrali? Może włamała się przy pomocy komputera. A może... Podał rysopis dziewczyny. Młodzieniec roześmiał się.
- - Sam nie wiem. Z wyjątkiem koloru oczu i włosów można pomyśleć, że to Vesper Arkham.
- Croaker parsknął krótko i spytał:
- Ta, która była asystentką Waxmana, prawda?
- Uhm. Teraz pracuje dla senatora Dedalusa.
- Co robi?
- Praktycznie wszystko. Plotka głosi, że próbuje zebrać do kupy wszystkich działających jeszcze agentów Zwierciadła. Wieść o tym, że Waxman to Johnny Leonforte, praktycznie zniszczyła agencję. Zrobiono dokładną czystkę i tak dalej.
- Ale Vesper pracowała przecież tylko w biurze - zaprotestował Croaker.
- Niektórzy podejrzewali, że była kimś więcej. Kto wie, może wtyczką Dedalusa?
- Croaker zastanawiał się przez chwilę. Teoria Nicholasa zaczęła nabierać konkretnych kształtów. Vesper została podstawiona przez Dedalusa. Jeśli kontaktowała się z Okamim, to

znak, że pracowała na dwie strony. Prawdziwa profesjonalistka. A skoro zamierzała zdradzić, czym jest Nishiki, to Margaritę była w poważnym niebezpieczeństwie.

- Ma siostrę?
- Vesper? W jej aktach nic o tym nie piszą, a przecież wie pan, że każdego wentylują dokładnie.
- Dobra. - Croaker zebrał się w sobie. - Potrzebuję dwóch rzeczy: domowego adresu Vesper i kompletnego wykazu połączeń telefonicznych z nocnym klubem „Moniker’s”. Spróbujcie też zidentyfikować każdy numer. - Podał adres klubu. Domino kłamała, więc miał prawo przypuszczać, że dostarczone
-
- przez nią dokumenty są fałszywe. Nawet gdyby jakimś cudem nie były, nic nie szkodziło sprawdzić.
- Przykro mi - odparł młodzieniec. - Adresy personelu agencji są zastrzeżone. Z telefonami nie będzie kłopotów. Kurier dostarczy listę pod wskazane miejsce.
- Może być do hotelu. Sam jej pan nie przywiezie, prawda?
- Wolne żarty. To wbrew przepisom. Domino nie dbała o przepisy.
- A przy okazji - mruknął Croaker - kto mógłby mieć dostęp do adresów?
- Na przykład pan Lillehammer. Ale on nie żyje.
- Kto jeszcze?
- Nooo... Rzecz jasna, senator Dedalus.
- Jak to?
- Nie podawano tego do prasy, lecz przewodniczy komisji senackiej prowadzącej śledztwo w sprawie Waxmana.
- Kto domagał się utajnienia tej informacji? Dedalus?
- Nie wiem. Chyba tak. DARPA pochłania mu tyle czasu, że pewnie nie chciał, aby wiadomo, że zajmuje się jeszcze czymś innym.
- Co to jest DARPA?
- Agencja Programu Badań nad Systemem Obronnym - parsknął młodzieniec. - Komórka Pentagonu. Nie do wiary, jakie tam odstawiają science fiction. Chodzące roboty, cudowna broń i cała masa gówna. Nie mam pojęcia, skąd na to biorą. Pewnie mają dotacje z czarnego budżetu... wie pan, nieoficjalną, jak NSA.
- Ciekawe - pomyślał Croaker. Dziewczyna używająca imienia Domino powiedziała, że Dedalus działał w podkomisji do spraw transportu i budownictwa, lecz ani słowem nie wspomniała o Pentagonie.
- Kto teraz jest waszym szefem? - spytał.
- Myślę, że gros decyzji podejmuje senator Dedalus. Przynajmniej do czasu, aż znajdą nowego dyrektora.
- A kto go zatrudni? Prezydent?
- Wątpię. Żaden prezydent tego nie robił. Agencja jest oczkiem w głowie Dedalusa.

- Croaker odłożył słuchawkę i spojrzął na zegarek. Dochodziła czwarta rano. Zasnął na dwie godziny, zbyt zmęczony, by się rozebrać. Budzik poderwał go o szóstej, gdy śnił właśnie, że ubrany w obszerne ubranie clowna siedzi na stołku i odpowiada na podchwytliwe pytania amerykańskiego rządu mówiącego głosem Leonforte'a. Usiłował nie myśleć o groźbach, jakie rzucał Cesare pod adresem Margaritę, lecz przypominało to próby czynione przez operującego własną żonę chirurga, by nie myśleć o pacjentce. Zadzwoił na pager Nicholasa z prośbą o kontakt. Po chwili podskoczył, słysząc terkot telefonu. Chwycił za słuchawkę.
- Nick?
- Cześć, Lew.
-
- Croaker, niezdolny usiedzieć w miejscu, w trakcie rozmowy chodził tam i z powrotem po pokoju. Choć był zmęczony, adrenalina wypełniała mu żyły.
- Senator Dedalus przejął kontrolę nad Zwierciadłem. Muszę ustalić, czy stoi po stronie Goldonich, czy Leonforte'a. Podobno był dobrym znajomym Dominika, lecz agencją kierował Leonforte. Z tego, co wiemy, Johnny Leonforte stanowił centralną postać Godaishu.
- Nieźle - stwierdził Nicholas. - Godaishu jest kontrolowane przez yaku-za. - Wtajemniczył Croakera w domniemane reguły związku, jaki tworzyli japońscy gangsterzy, spółka Avalon, Torch i Delacroix.
- W dalszym ciągu nie wiemy, dziełem czyich rąk jest torch - odrzekł Lew.
- Mam pewną teorię. - Nicholas powiedział mu o Pływającym Mieście.
- Ci, do których należy torch, wydali wyrok na Okamię - odparł Croaker. - Idę o zakład, że chodzi o Godaishu.
- Zapadła cisza, gdyż obaj zastanawiali się nad tym samym.
- A jeśli głównym celem zamachu jest kaisho? - spytał Linnear.
- Perfidny *pomysł*, nie? Okami ma *dość rozumu*, aby przewidzieć rozwój wypadków, lecz z ukrycia nie potrafi temu zapobiec.
- - Niezupełnie, Lew. Ma mnie i ciebie. Dlatego zostawia nam ślady. Nim Croaker odłożył słuchawkę, noc zaczęła niechętnie unosić kurtynę.
- Dwadzieścia minut później umyty, ogolony i wypachniony opuścił pokój. W drodze na parter zaczął układać plan działania. Pod prysznicem, wykonując szereg głębokich oddechów i zostawiając całą pracę podświadomości, „oczyścił” umysł. Teraz już wiedział, co robić. Po pierwsze nie mógł dopuścić, by Cesare zniszczył Margaritę. Czuł się jak szczur w labiryncie, specjalnie skonstruowanym tak, by się zgubił. Był wściekły, gdyż nie przywykł do bezradności i do konszachtów z niewidzialną siłą. W czasie, kiedy próbował wyciągnąć coś od Domino, ona zdołała uzyskać od niego wszelkie potrzebne informacje. Przebiegł przez hol i skinął na taksówkę. Podał szoferowi adres Dedalusa. Coraz bardziej przychylił się do poglądu, że domniemana Domino w rzeczywistości nosiła imię Vesper. Vesper Arkham. Z pewnością miała

dla Dedalusa rozpracować sieć Nishiki. A zatem, nasuwał się wniosek, że Dedalus wydatnie wspierał działalność Johnny'ego Leonforte'a. To zresztą wyjaśniało, w jak sposób Waxman-Leonforte precyzyjnie się przez federalne sito i objął szefostwo agencji. Vesper także wiedziała, do kogo należała spółka Morgana. W zapiskach Morgany i Avalonu powtarzało się hasło „Torch 315”. Skoro obie konkurujące firmy usiłowały zdobyć tę broń, na pewno chodziło o coś wyjątkowego. Dwie godziny snu to niewiele po czterdziestu ośmiu na nogach. Twarz Croakera była napięta i czerwona od pospiesznego skrobania żyłką. Mimo czystego ubrania czuł się nieświeżo. Nie najlepszy objaw przed pierwszą wizytą u senatora. Mógł polegać jedynie na swej czarującej osobowości. Siąpiło. Zimny wiatr niemal natychmiast zmieniał krople deszczu w grudki lodu, które skrobały o szyby i dach samochodu niczym bezdomny kundel.

- Croaker usiłował się skupić na czekającym go zadaniu, lecz wciąż wracał myślami do Margaritę. Jeśli była związana z Vesper, a co za tym idzie z Morgana i gigantycznym przemysłem broń, rzucało to nowe światło na całą sytuację. Dominie Goldoni nie pasował na zwykłego gangstera, nawet rządzącego Wschodnim Wybrzeżem. Był marzycielem. Związał się z Mikio Okamim, porzucił lukratywne dochody z Godaishu i wpłatał się w coś, co przypłacił życiem. Dlaczego? Kaisho też z trudem unikał śmierci. Co chcieli osiągnąć? Wbrew rozsądkowi i nakazom tradycji Dominie po cichu przygotowywał siostrę do przejęcia władzy. Mimo to zacięty rywal Goldonich, Cesare Leonforte, wyczuł pismo nosem. Może zbyt dobrze znał Tony'ego D., a może był bardziej sprytny, niż sądził Dominie. Teraz trzymał Croakera na krótkiej smyczy i to w chwili, gdy ślad stawał się coraz wyraźniejszy. Lew dygotał na tylnym siedzeniu podskakującej taksówki. Dokuczała mu myśl, że w miarę postępu śledztwa tracił zwykłą ostrożność. Chodziło oczywiście o Margaritę. Widział już wielu policjantów ginących w chwili, gdy dawali się ponieść emocjom. Nie chciał podzielić ich losu. Z drugiej strony, wyobraźnia podsuwała mu obraz przerażającego spisku. Musiał walczyć i z gniewem i z własnym strachem, by zachować rozwagę i jasność umysłu. Po pierwsze: Morgana była własnością Dominika i Okamiego. Po drugie: osią intrygi stała się Vesper, mocno związana ze Zwierciadłem, supertajną agencją federalną kierowaną uprzednio przez Johnny'ego Leonforte'a, a teraz przez senatora Dedalusa. Croaker i Nicholas szli po znakach, które prawdopodobnie zostawiał Okami. To on zaprowadził ich do Avalonu, wskazał torch i ujawnił działalność siatki szpiegowskiej określanej nazwą Nishiki - źródło potęgi Goldonich. Croaker przez krótką chwilę zobaczył starego kaisho, skrytego w cieniu i szarpiącego za sznurki marionetek grających na scenie świata. Kluczem do sprawy był bez wątpienia Richard Dedalus. Croaker z niecierpliwością czekał na spotkanie z człowiekiem, który stworzył agencję Waxmana, a teraz osobiście kierował jej działalnością. Trzyhektarowa posiadłość senatora mieściła w McLean, w Wirginii. Kamienny dom miał w sobie coś ze starego angielskiego zamku, choć nie było w nim ani cienia pretensjonalności. Granitowy podjazd miał prawie czterysta metrów długości. Po obu stronach drogi rosły majestatyczne grusze o smukłych, prostych pniach, przez co przypominały gwardzistów pełniących wartę przed Windsorem. Po drodze Croaker zobaczył starannie utrzymany sad i kort tenisowy. Ogrodnik w czapce z daszkiem i kombinezonie szedł z wolna skrajem zadrzewionej przestrzeni, dźwigając na plecach jakieś utensylia. Mimo wczesnej pory nie zwrócił uwagi na przejeżdżającą taksówkę. Pewnie od dawna przywykł do dziwnych godzin pracy swego mocodawcy. Croaker zapłacił za kurs i przeszedł podcieniem na tyle szerokim, by pomieścić kuloodporną limuzynę prezydenta oraz dwa samochody ochrony. Za to rzeźbione drzwi były dopasowane do wzrostu koszykarzy.

- Lew natarczywie wdusił przycisk dzwona. Po chwili w progu ukazała się młoda, może dwudziestoletnia dziewczyna, ubrana w elegancki kostium od Donny Karan. Sznur pereł, jaki nosiła na szyi, znakomicie harmonizował z cerą barwy gorącej czekolady. Gęste włosy, splecione w kilka warkoczy, wiły się wokół jej głowy, duże czarne oczy patrzyły na intruza z ciekawością zmieszaną z rozbawieniem.
- - Czym mogę służyć?
- Croaker wyciągnął federalną odznakę.
- - Chciałbym się widzieć z senatorem.
- Dziewczyna z uwagą spojrzała na broszkę. Croaker czuł dla niej podziw; większość ludzi w podobnych przypadkach reagowała instynktownym strachem.
- - Zechce pan wejść. - Odstąpiła od drzwi. - Zaraz sprawdzę, czy senator jest już na nogach.
- Poprowadziła go do obszernego owalnego holu, wyłożonego posadzką z białego marmuru. Z sufitu zwisał kryształowy żyrandol, a na piętro wiodły szerokie schody z tekowego drewna, bez wątpienia nowe i robione na zamówienie. Pod żyrandolem stał mały, także owalny, hebanowy stolik, na którym wznosiła się, skonstruowana z granitu, stali i wypalanej gliny rzeźba Bennetta Beana.
- Kawy, a może herbaty? - spytała dziewczyna, gdy weszli w krótki korytarz.
- Wolę kawę.
- Z uśmiechem zerknęła przez ramię.
- - Chętnie się do pana przyłączę.
- Miała znakomitą figurę, szczupłą talię, smukłe nogi i nieźle umięśnione ramiona, podczas ruchu wyraźnie rysujące się pod tkaniną. Pewnie należy do ochrony senatora - z przekąsem pomyślał Croaker. Weszli do olbrzymiej kuchni, pomalowanej kremową farbą, w której odbijały się setki miedzianych naczyń, zwisających z półek, na wzór francuski mocowanych łańcuchem do sufitu. Pod ścianą stała kuchnia Garlanda oraz przeszklona lodówka, za jaką niejeden restaurator oddałby duszę. Dziewczyna podeszła do ekspresu i napełniła dwie filiżanki parującą kawą. Przyniosła je na szklanej tacy z metalowym obramowaniem. Jak w Europie. Miała szeroką, wesołą twarz i czujne spojrzenie. Wydawała się tak rześka, jakby minęło południe, a nie szósta czterdzieści pięć rano. Okna kuchni oraz szerokie szklane drzwi wychodziły na trawnik pokryty pustymi rabatami. Pasy ziemi ciągnęły się z niemal architektoniczną precyzją, niczym w ogrodzie jakiegoś francuskiego *chateau*. Sprawiały wrażenie nawet w zimie.
- Wspaniałe, prawda? - Dziewczyna stanęła obok patrzącego w okno Croakera. - Zimowe ogrody mają w sobie jakąś powagę. Nastrajają do melancholii.
- Nie wiem. Widziałem ich zbyt mało, by mieć własne zdanie.
-
- Odwróciła się w jego stronę i wyciągnęła rękę.
- - Mam na imię Marie.
- Jak się spodziewał, dotyk jej dłoni był chłodny i mocny.
- Lew Croaker. Skinęła głową.
- Wybrał pan wczesną porę na spotkanie z senatorem.

- Zależy mi na czasie. Kiedy się z nim zobaczę?
- Pojawi się tutaj za pięć minut. - Skąd mogła to wiedzieć i jak powiadomiła Dedalusa? - Będę obecna przy waszej rozmowie.
- Jest pani prawniczką?
- Senator nie potrzebuje prawników - odpowiedziała ze śmiechem. - Sam jest członkiem palestry.
- Croaker obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Nawet jeśli nosiła broń, niczego nie zauważył.
- Nie ufa mi pani? Jestem z agencji federalnej. Z agencji senatora.
- Panie Croaker, płacą mi niezłą pensję właśnie za podejrzliwość. Proszę wierzyć, to nie ma nic wspólnego z panem.
- Świetnie. Od razu poczułem się lepiej.
- Parsknęła wesołym śmiechem. Lubił ludzi obdarzonych poczuciem humoru.
- Długo pracuje pani u senatora?
- Jestem zbyt młoda na długą karierę. Od roku.
- Co się stało z pani poprzedniczką? Marie błysnęła olśniewająco białymi zębami.
- Poprzednikiem. Po prostu był gorszy ode mnie.
- Wuj Sam. - Croaker znacząco uniósł dłonie.
- Zajmujesz się naszym gościem, Marie?
- Tak, proszę pana.
- Croaker obrócił się i zobaczył wysokiego, szczupłego mężczyznę o białych włosach i pociągłej, posępnej twarzy. Po jego wejściu obszerna kuchnia w zadziwiający sposób się zmniejszyła. Nie chodził jak starzec, lecz raczej jak doświadczony żeglarz, z rozwagą stawiający kroki na rozkołysanych deskach pokładu. Lekko pochylał barki, jakby przestrzeń, którą zajmował, była zbyt ciasna dla jego osobowości. Miał jasne, niebieskie oczy, duży nos i szerokie usta. Ubrany w spodnie, flanelową koszulę i wełniany blezer, wyglądał bardziej na bogatego rolnika, niż jednego z najpotężniejszych ludzi w stolicy.
- - Przeszedł przez bramkę - odezwała się Marie. - Żadnej broni ani mikrofonów. Czysty.
- Dedalus skinął głową, po czym mocno potrząsnął prawicą Croakera.
- Richard Dedalus. Słyszałem, panie Croaker, że jest pan z agencji. Zatem cała posiadłość była nafaszerowana podsłuchem i kamerami.
- Tak i nie - odparł Lew.
- Och...
- - Pan Lillehammer zatrudnił mnie na czas śledztwa w sprawie zabójstwa Dominika Goldoniego, gdyż sądził, że zdrajcą może być któryś z agentów.
- - Pewnie obawiał się swego dyrektora, Waxmana - przytaknął senator. - Zupełnie słusznie. Waxman był błędem.

- Błędem - pomyślał Croaker. - Eufemizm stulecia, skoro zmarły Leon Waxman naprawdę nazywał się Johnny Leonforte.
- - Jeżeli skończył pan kawę, proponuję, byśmy zerknęli na kort. Ostatnie deszcze wciąż niszczą nawierzchnię.
- We trójkę podeszli do drzwi.
- Czy Marie musi nam towarzyszyć?
- Po doświadczeniach z Waxmanem obawiam się, że to konieczne. Poranek był chłodny i mglisty. Marie szła kilka kroków z tyłu, błędząc wzrokiem po okolicy. W dali, Croaker widział ogrodnika pochylonego nad żywopłotem rosnącym tuż za ogrodzeniem kortu.
- - Rozmowę o pewnych sprawach lepiej prowadzić poza zasięgiem niepowołanych uszu - oświadczył senator, chociaż nie sprecyzował, o czyje uszy mu chodzi.
- Może mówił o mikrofonach rozmieszczonych w domu? Jeśli tak, było to ze wszech miar interesujące.
- Szukam pewnej kobiety - powiedział Croaker. - Ponieważ pracuje w agencji lub pracowała w niej za życia Lillehammera pomyślałem, że pan może coś wiedzieć.
- Jak się nazywa?
- Vesper Arkham.
- Senator wciąż szedł żwawym krokiem, lecz gęsty obłok pary unoszący się z jego ust świadczył o przyspieszonym oddechu.
- A czego pan oczekuje od pani Arkham?
- Jest ważnym ogniwem w śledztwie dotyczącym zabójstwa Dominika Gołdoniego.
- Dedalus stanął jak wryty.
- Dobry Boże, człowieku, Lillehammer nie żyje od trzech miesięcy! Kto ci kazał kontynuować dochodzenie?
- Nikt mi nie wydał polecenia, bym przestał.
- Senator popatrzył na detektywa przez cienką zasłonę mgły.
- Intryguje mnie pan, panie Croaker. - Ruszył w dalszą drogę. - Niewielu ludzi okazałoby taką wytrwałość. Można wiedzieć, kto panu płaci?
- Nikt.
- Albo jest pan przesadnie ciekawski, albo wierzy w nienaruszalność pewnych zasad. Wkrótce będę to wiedział.
- Podejrzewam, że każe mi pan zamknąć śledztwo. Dedalus rzucił mu ostre spojrzenie.
- Skąd ten pomysł?

- - To przecież logiczne. Goldoni był pańskim przyjacielem. Zna pan również jego siostrę, Margaritę. Prawdę mówiąc, przed dwoma dniami wysłał pan po nią na lotnisko swój samochód. Zaś Goldoni był zamieszany w jakieś poważne przedsięwzięcie, w którym, jak mniemam, mają swój udział i Vesper, i Margaritę.
- - Zatem pańskim zdaniem ja także należę do spisku? - Dedalus potrząsnął głową. - Jestem wielkim złym wilkiem, obdarzonym wystarczającą władzą, by wszystko przebiegało według mej woli. Tak wygląda pański scenariusz? - Doszli do kortu. Senator otworzył furtkę. - Jak pan wspominał, Dominie był moim przyjacielem. Może to zabrzmie dziwnie; hipokryzja ze strony członka amerykańskiego senatu. Ale pan nie znał Goldoniego. To był prawdziwy mężczyzna. Określenie „gangster” jest dla niego obrazą. Cały kraj ma mu wiele do zawdzięczenia, lecz proszę nie domagać się listy zasług. Nie moja rzecz, by go chwalić, bądź oskarżać.
- Weszli na kort i Dedalus ponuro popatrzył na rozmięktą glinę.
- Wiedziałem, że trzeba użyć innej nawierzchni. Na przykład har-tru. Spójrzcie na to.
- Co może mi pan powiedzieć o Vesper Arkham?
- Senator wyjął z kieszeni małeńki komputer i wstukał hasło dostępu.
- - Urodzona w Potomac, stan Maryland, trzydzieści dwa lata, córka Maxwella i Bonny Harcaster. Ukończyła Yale z najwyższą pochwałą, obroniła pracę doktorską z psychologii klinicznej na Uniwersytecie Columbia, zrobiła habilitację z parapsychologii...
- Parapsychologii? Dedalus uniósł głowę.
- Tak. Należy do Phi Beta Kappa i jest członkinią Mensy.
- Mózgowiec.
- Geniusz na światową skalę. Croaker nie spuszczał wzroku z polityka.
- Wyszła za męża?
- Dedalus zerknął w dół, lecz Lew spostrzegł, że nie patrzył na ekran.
- Raz. Jej wybrankiem był niejaki John Jay Arkham, biznesmen z Waszyngtonu, prowadzący prace rozbiórkowe. Małżeństwo przetrwało zaledwie ‘ rok.
- A mimo to zatrzymała nazwisko męża. - Croaker rozejrzał się po korcie. - Senatorze, czy Margaritę i Vesper rozmawiały z panem dwa dni temu?
- Nie.
- Naprawdę?
- Dedalus schował komputer.
- Jestem już po siedemdziesiątce, lecz Bóg mi świadkiem, nie potrzebuję pomocy Marie, by pana stąd wyrzucić. Zrobię to własnoręcznie.
- Tylko pytałem, senatorze.

- Tak, tak, zostaw pan te gadki dla kogoś o połowę młodszego. - Obrócił się w stronę dziewczyny. - Co sądzisz? Har-tru?
- Har-tru - oświadczyła bez wahania, wiedząc, że oczekuje takiej odpowiedzi.
- Croaker postanowił zmienić taktykę. Zaskoczenie nie było jedyną drogą wiodącą do celu. Staranna obserwacja też mogła przynieść określone korzyści.
- - Niech pan nie popełnia błędu. Nie jestem pańskim wrogiem - odezwał się Dedalus. - Chcę, aby pan nadal prowadził śledztwo, zwłaszcza dlatego, że Dominie był moim przyjacielem. Załatwię panu spotkanie z Vesper Arkham. Proszę tylko powiedzieć gdzie i kiedy.
- Dobrze. - Croaker ostatni raz powiódł spojrzeniem po okolicy. Marie z napięciem patrzyła w jego stronę, jakby za chwilę miała się zmienić w rozjuszonego brytana. Ogrodnik skończył oglądać żywopłot i ruszył w dalszą drogę. - Dziś w południe. Miejsce podam panu telefonicznie o jedenastej czterdzieści pięć. Będzie pan tutaj?
- Nie. Na posiedzeniu.
- Detektyw zerknął spod oka na Dedalusa.
- Naprawdę chce mi pan pomóc w sprawie Dominika? Senator wręczył mu wizytówkę z adresem i telefonem biura.
- Wystarczy, że poda pan swoje nazwisko. Sekretarka zrobi resztę.
- Młoda Wietnamka była całkiem naga. Stała na niskim drewnianym podeście, okrytym jedwabiem o barwie oceanu. Z wyjątkiem szminki na ustach, nie miała makijażu, więc szkarłatny łuk warg zmysłowo kontrastował z jej miedzianą karnacją. Szeroko rozstawiła nogi i wsparła ręce na biodrach. Namaszczona olejkiem różanym, gładka skóra połyskiwała w świetle lampy. Z przodu, na czworakach, stała jeszcze jedna naga dziewczyna. Opuściła głowę tak nisko, że gęsta kaskada czarnych włosów dotykała podestu i pozbawiała ją tożsamości.
- - Jazda - mruknął Rock, bardziej by przekonać sam siebie, że któraś z dziewcząt potrzebuje zachęty. Był jak w transie: oddychał z wolna i nieruchomo patrzył przed siebie. Na zewnątrz zamkniętego pokoju kłębiło się życie Pływającego Miasta. Może świeciło słońce, może nadciągnął monsun... Nie ważne. Partner zajmował się biznesem. Dla Rocka świat istniał tylko tu i teraz.
- Gładkoscóra oderwała ręce od bioder i wsparła je na pośladkach klęczącej. Oblizwała usta, ugięła kolana, jej dłonie zniknęły między udami dziewczyny. Rock spoglądał na nią błyszczącymi oczyma. Wyobraźnia podsuwała mu obraz tego, co się działo. Po dłuższej chwili klęcząca Wietnamka jęknęła, a krucze włosy zaszeleściły po jedwabiu.
- - Gotowa?
- Gładkoscóra w milczeniu skinęła głową. Jej ciemne sutki sterczały wyzywająco. Rock wszedł na podest. W kroczu czuł ucisk, a pod stopami chłodny dotyk miękkiej tkaniny. Obiema dłońmi dotknął gładkoscórej.
- - A ty?
- Łatwo było się go przestraszyć. Wysoki, muskularny, o barkach ciężarowca. Jasną czuprynę strzygł tak krótko, że słońce spiekło mu skórę na skalpie. Opalenizna podkreślała

niesamowite spojrzenie niebieskich oczu, choć nie skrywała blizn na policzkach, pozostałych po nie leczonym trądziku. Plamy go nie

- szpeciły, przeciwnie, nadawały twarzy jakąś prymitywną dzikość, upodabniając ją do naznaczonego rytualnym tatuażem oblicza murzyńskiego wodza.- Jesteś mi potrzebny. - Mahoniowe źrenice patrzyły teraz wprost na niego. - Pomóż...Rock chwycił ją za kark i z lekko odchyłoną głową przyciągnął ku sobie. Pocałunek nie wypadł najlepiej, gdyż na podeście było zbyt tłoczno. Rock brutalnie odepchnął klęczącą. Usłyszał cichy okrzyk rozczarowania i momentalnie stwardniał.Gładkoscóra sięgnęła w dół i uwięziła go między udami. Zaczęła prowokacyjnie kołysać tułowiem, by lepiej poczuł dotyk jej aksamitnie miękkiej skóry. Krew płonęła mu w żyłach.Nagle coś go zaczęło delikatnie łaskotać. Nie musiał patrzeć w dół, by wiedzieć, że podpełzła do niego druga Wietnamka. Najwyższy czas. Wtargnął do wnętrza gładkoscórej i usłyszał jej głośne westchnienie. Jedną nogą oplotła mu biodra.Łaskotanie przesuwano się to w dół, to w górę, natrętne, zmysłowe, aż w końcu palce i język dziewczyny musnęły mosznę. Przed oczami Rocka eksplodowała kula światła. Pchał coraz agresywniej, mocniej, niemal nie panując nad ruchami. Palce nie przestawały go pobudzać. Pompował jak oszalały, aż w końcu z głośnym wyciem ulgi wyrzucił z siebie rozpierające brzemię.Trzy mokre od potu ciała osunęły się na podest. Rock czuł słodką woń leżących obok niego dziewcząt. Serce waliło mu jak oszalałe, lecz Wietnamki, na podobieństwo wielkich węży, splotły się w zmysłowym uścisku, wiły, szamotały i patrzyły jak znów twardnieje. Teraz on stał się ich narzędziem. Pozwalał na wszystko, dopiero pod koniec przejął inicjatywę i wstał, by zobaczyć, jak spijały jego nasienie niczym wino.Zmęczony, przesycony rozkoszą, zapadł w sen, lecz nadal dręczyły go koszmary. W miejscu, którego nie umiał nazwać, w czasie, o którym wolał nie pamiętać, ojciec włókł go przez mroczne, puste pokoje, cuchnące stęchlizną, zamieszkiwane tylko przez karaluchy i szczury...„Pamiętaj... to ja stworzyłem cię tym, kim dziś jesteś”. Gniewny głos ojca odbijał echem od zmurszałych ścian, stawał się coraz bardziej realny, w pokoju bulgotało morze krwi i Rock tonął.Zerwał się przerażony, z krzykiem zaczął tłuc półprzytomne, nagie dziewczyny, aż zalane krwią i łzami rzuciły się do ucieczki.

7

- VUNG TAU / WASZYNGTON / TOKIO Gdy główny inspektor Van Kiet wszedł do świątyni Lang Ca Ong można było pomyśleć, że przybył sam diabeł. Niewiele brakowało, by dym poszedł mu z uszu.
- - Trudno myśleć o życiu prywatnym, gdy tacy jak ty o każdej porze wyciągają mnie z domu - warknął do oyabuna. Dopiero potem spostrzegł Nicholasa i jęknął z rozpaczą. - Dręczysz mnie jak zły omen, wiesz? - Ponownie spojrzał na Japończyka. - Jeśli kiedyś staniesz się mym dłużnikiem, przysięgam, zażądam, żebyś go zabił.- Dzięki za ostrzeżenie - sucho powiedział Tachi. - Będę pamiętał. Wokół nich tłoczyły się czarne i groteskowe szkielety wielorybów.
- - Musimy tu sterczeć? - Van Kiet rozejrzył się niespokojnie. - Nie lubię stać w jednym miejscu, zwłaszcza w nocy.
- Wyszli ze świątyni na ulicę. Nicholas spod oka obserwował Van Kieta. Wietnamczyk zmieniał się jak kameleon. Podczas pierwszej rozmowy z Nangim był pełen rezerwy i kaleczył zdania, w otoczeniu uzbrojonych żołnierzy stał się zimnokrwistym zabójcą, a teraz przejawiał wyraźną nerwowość. Dlaczego?

- Ostatnio zdarzył się pewien wypadek - zagał Tachi. - W pobliżu pagody Giac Lam.
- Chryste, przecież wiem! - gorączkowo zawołał Van Kiet. - Wciąż wysłuchuję żądań władz, żebym aresztował sprawcę. Problem w tym, że on płaci mi lepiej niż ci z rządu.
- Ten człowiek był celem zamachu. - Tachi wskazał na Nicholasa. - Tylko szczęśliwym zbiegiem okoliczności udało mu się przeżyć.
- Tym gorzej dla nas. Naprawdę - kwaśno mruknął Van Kiet i spojrzał przez ramię, jakby nagle zatęsknił za kamizelką kuloodporną.
- Kto kazał mnie zabić? - spytał Nicholas.
- Jezu, no przecież Rock. Nicholas patrzył na Wietnamczyka.
- Kim jest Rock?
- Cesarzem Pływającego Miasta - burknął Van Kiet. - Sam zbudował to
-
- przekłete miejsce. Wyrąbał pośrodku dżungli i wykuł w kamieniu. Bóg jeden wie, jak tego dokonał, lecz za pieniądze ponoć można zrobić wszystko, a Rock ma ich tyle, że nie nadąża wydawać.
- - Skoro cię kupił, dlaczego nam to mówisz? - zapytał Nicholas. – Przecież na mój widok powinieneś od razu wyciągnąć pistolet i strzelić.
- Van Kiet zerknął z ukosa na Japończyka.
- - Ten facet kpi?
- Tachi wzruszył ramionami.
-
- Powiedz mu.
- Serio? - nie wierzył Van Kiet.
- Serio.
-
- Wietnamczyk przeciągle popatrzył na Nicholasa.
- - Nie kupił mnie, tylko wypożyczył. Mogę być kurwą, lecz jeszcze nie zaprzedałem duszy.
- Tachi wywrócił oczami.
-
- Zaczynasz być pompatyczny. Powiedz mi prawdę. Van Kiet zadrżał.
- Źle się tu czuję. Pójdziemy gdzieś?
-
- „Gdzieś” okazało się siedmiometrowym keczem o białym kadłubie z włókna szklanego, tekowym pokładzie i błyszczących, mosiężnych okuciach. Żaden policjant - nawet główny inspektor - nie pokusiłby się o zakup takiego cacka z gołej pensji. Van Kiet uruchomił silnik i włączył światła, a Nicholas i Tachi zdjęli cumy. Przeszli na łódź z pontonu przyczepionego do burty. Van Kiet wypłynął jakieś pół mili, aż światła Vung Tau zaczęły przypominać wiszącą w ciemnościach bransoletę. Rzucił kotwicę i wytaszczył na pokład skrzynkę piwa. Popijali w milczeniu, zanurzeni w aksamitny mrok nocy, przez chwilę oderwani od reszty świata.
-
- Prawda brzmi tak - przerwał ciszę Van Kiet - że ja i Tachi od dwóch lat próbujemy przechrzyć Rocka.
- Do niego należą pola maku w Shan - dodał oyabun.
- Wiem, że jest amerykańskim weteranem, który pozostał tutaj, choć wszyscy jego kołesie wrócili do domu - ciągnął Van Kiet. - Nie mam pojęcia, jak to zrobił, że nie wzbudził podejrzeń

przełożonych. Może upozorował własną śmierć. Nie on pierwszy. Może po prostu zniknął. W każdym razie, chwycił nadarzącą się okazję, skoczył do Birmy i powoli, systematycznie wchodził w handel. Początkowo znalazł zajęcie jako płatny zabójca. Świadczył płatne usługi miejscowym magnatom, którzy próbowali wykończyć konkurencję. Nie robił tego wyłącznie dla forsy, z czasem zamierzał przejąć całą kontrolę nad dostawami.

- Z namysłem upił łyk piwa.
- Mordował wszystkich, którzy nie chcieli go słuchać.
- Sam? - z powątpiewaniem spytał Nicholas.
- Słuchaj, ten facet był prawdziwym potworem podczas wojny. Kto wie, ilu wyrzwał i co mu odbiło? Są sytuacje, że wpadasz w nałóg zabijania. Potrafił obsługiwać każdy rodzaj broni. Do dziś nosi LAW. Znasz takie чудо? To lekki
-
- miotacz przeciwzołgowy M72. Co byś zrobił, gdyby ktoś skierował to bydlę w twoją stronę? Mówią, że Rock go przerobił, by zwiększyć siłę rażenia. Cwany łobuz. Na koniec zabił piękną kochankę swego ostatniego wroga, obciął jej ucho, ugotował i dał mu do zjedzenia.
- Wygląda na to, że „potwór” to właściwe określenie - zgodził się Nicholas. - Byłeś już kiedyś w Pływającym Mieście?
- Nie, ale podejrzewam, że dotarłem dość blisko. Tylko wtedy zjawiłeś się ty, z tym swoim niby-procesorem. Rock przejrzał cię na wylot i od razu kazał zlikwidować. Dlatego mnie wkurwiasz. - Van Kiet chrząknął i splunął za burtę. - Nie oczekuj przeprosin. Dostałbyś w łeb, jak ta dziwka nad rzeką, gdybym tylko przedtem miał chwilę czasu, żeby ustalić, kim jesteś i co naprawdę robisz.
- To samo, co ty, jak sędzę. Tachi bawił się butelką.
- Naprawdę jest chip drugiej generacji?
- Tak - odparł Nicholas. - Lecz spoczywa bezpiecznie w tokijskim laboratorium. Nigdy bym go ze sobą nie wziął. Za duże ryzyko.
- Więc co mamy pokazać Abrammanowowi?
- To Abrammanow istnieje?
- O, tak - powiedział Tachi. - Istnieje i pilnie pracuje w murach Pływającego Miasta nad czymś, co nie ma nic wspólnego z handlem narkotykami.
- Rock sprzedaje nie tylko prochy - wtrącił Van Kiet. - Możesz kupić u niego każdy rodzaj broni. Jasne, jak ktoś ma forszę to bez kłopotu może dogadać się z Rosjanami bądź Chińczykami. Ale oni wciskają tandetę, dobrą dla pomniejszych despotów lub terrorystów. Lepszy chcą czego innego. Grają wysoko i nie lubią przegrywać. Dla nich liczy się broń z Ameryki, zwłaszcza najnowsza.
- I tu jest poletko Rocka. - Tachi wziął następną butelkę piwa i zerwał kapsel. - Ma dostęp do... Właśnie, do czego? Do Departamentu Obrony? Do Pentagonu? Do zakładów zbrojeniowych? Nie wiadomo. Co więcej, jest jedynym dostawcą. Pośrednicy zwracają się tylko do niego i bez zmrżenia oka płacą najwyższą cenę. To świadczy o monopolu. Do kogo pójdziesz, gdy cię okantują?

- A jeśli jesteś na tyle głupi, by protestować? - Van Kiet przytknął palec do głowy i pociągnął za niewidzialny kurek. - Paf!
- To właśnie spotkało Vincenta Tinha?
- Prawdopodobnie - padła odpowiedź. - Choć osobiście uważam, że drań zrobił się zbyt chciwy i Rock urządził pokazówkę. Taki ma zwyczaj. Pomaga mu to utrzymać obywateli w ryzach.
- I rząd Wietnamu toleruje istnienie Miasta?
- Kpisz? - burknął Van Kiet. - Działalność Rocka to dla nich prawdziwa żyła złota. Pływające Miasto zyskało swą nazwę dlatego, że formalnie nie istnieje. Opłacany sowicie rząd milczy, a Rock ma to, o czym marzył: miniaturę niepodległego miasta-państwa. Samodzielne królestwo.
- Nicholas dopił piwo. Pokręcił głową, gdy Van Kiet podsunął mu następną butelkę. Zdolność przyspieszonej regeneracji sił nie chroniła go całkowicie przed zmęczeniem. Miał za sobą ciężki dzień; szumiało mu w głowie i potrzebował snu.
- Co według was może oznaczać hasło „Torch 315”? - Opowiedział o swoim odkryciu w paryskiej siedzibie spółki Avalon i o ustaleniach Croakera. - Szykuje się wielkie bum. Kataklizm, w którym ucierpią tysiące niewinnych ludzi.
- Założę się, że nad tym pracuje Abramanow - powiedział Van Kiet.
- Jest przecież cybernetykiem.
- Prawda - odparł Wietnamczyk. - Ale nie tylko. Wciąż krążą uporczywe plotki, że pół roku po tym, jak pojawił się w mieście, Rock zaczął kupować ogromne ilości ołowiu oraz jałowego uranu 238.
- Ciekawe po co? - odezwał się Tachi.
- Z tego można zbudować pojemnik do składowania materiałów radioaktywnych - z rosnącym podnieceniem wyjaśnił Nicholas. - Coraz cieplej. Co wiecie o przeszłości Abramanowa?
- Niewiele - westchnął oyabun. - Szukałem tu i tam, ale przecież chodzi o Rosję. Urzędnicy są zbyt zajęci pilnowaniem własnych stołków, by grzebać w aktach uciekinierów. Jak już się trafił ktoś chętny do pomocy, w następnym tygodniu zmieniał pracę.
- Van Kiet przytknął do ust szyjkę pustej butelki.
- Jest facet w S aj gonie, który mógłby okazać się użyteczny. Przyleciał cztery dni temu z Bangkoku via Osaka, lecz w paszporcie ma wypisane, że wyruszył z Moskwy. Dobrze to pamiętam, bo ostatnimi czasy niewielu Rosjan tu trafia. Ludzie po prostu plują na ich widok, próbują pobić lub obrabować. Do komendy wpłynęło nawet kilka zażaleń od poturbowanych Amerykanów. Motłoch myślał, że to Sowieci.
- To, że jest Rosjaninem jeszcze nie znaczy, że będzie coś wiedział o Abramanowie - zauważył Nicholas.
- Będzie, będzie... - Van Kiet wyszczerzył w drapieżnym uśmiechu żółte zęby. - To dyrektor

moskiewskiego Instytutu Energii Atomowej imienia Kurczatowa.

- Po co przyjechał?
- W Sajgonie może szukać jednej albo dwóch rzeczy. - Van Kiet wstał, uruchomił silnik i zaczął wciągać kotwicę. - Pieniędzy lub możliwości.
- Pewnie interesuje go jedno i drugie. - Tachi wepchnął skrzynkę z piwem pod ławkę. - A to znaczy, że zmierza wprost do Pływającego Miasta.
- Croaker wysiadł z taksówki przed przeznaczonym do rozbiórki budynkiem. Po wizycie w mrocznym labiryncie Gorgony, jakim była posiadłość Dedalusa, z ulgą wystawiał twarz na wilgotne poddmuchy miejskiego wiatru. Przyjemnie było znów słyszeć zgiełk ulicy; miał szczerze dość senatora i jego manier domorosłego Jamesa Bonda. Dedalus chyba urodził się po to, żeby rządzić. W zadziwiający sposób umiał nad sobą panować. Croaker, który na ogół potrafił oceniać ludzi na pierwszy rzut oka, teraz czuł się zupełnie bezradny.
- Czy stary polityk mówił prawdę, czy coś ukrywał za nieprzeniknioną maską szcerości? Dokąd dwa dni temu pojechały Vesper i Margaretę?
- - Szukam Johna Jaya Arkhama - zagadnął pierwszego napotkanego robotnika. - Podobno gdzieś się tu kręci.
- Zapytany wskazał na pusty biurowiec.
- - Jest w środku, dogląda rozmieszczenia ładunków. - Widać gmach miał być wysadzony w powietrze. - Zwalisty facet, blondyn. Na pewno go pan zauważy.
- Wręczył Crokerowi kask.
- - Niech pan to nosi wszędzie, nawet w kiblu.
- Lew podziękował, wcisnął kask na głowę i wszedł do budynku. Nie miał większych kłopotów z odszukaniem Arkhama; jego firma była największa w okolicy. A ponieważ szef przebywał najczęściej w terenie, sekretarka kierowała potencjalnych klientów pod wyznaczony adres. Wnętrze biurowca przypominało pustą kryptę z pogruchotaną posadzką i wystającymi ze ścian drutami. W powietrzu unosił się zapach tynku i farby. Tu i ówdzie odsłonięty fragment rury lub instalacji zdradzał bytność jakiegoś bezdomnego włóczęgi, który zerwał warstwę izolacyjną, by użyć jej zamiast koca podczas długich zimowych nocy. Na pewno nie zamarzał, lecz Bóg wie, co nosił w płucach po długotrwałym kontakcie z azbestem i włóknem szklanym. Croaker przedzierał się przez rumowisko, aż w końcu dostrzegł niewielką grupę ludzi skupionych w miejscu gdzie cztery dźwigary stykały się z betonową podłogą. Słychać było głośny warkot wiertarki, a wokół sypały się kłęby pyłu. Jeden z mężczyzn, barczysty i jasnowłosy, donośnym głosem wydawał polecenia.
- - Pan Arkham?! - kilkakrotnie krzyknął Croaker. Dopiero, gdy wiercenie ustało, olbrzym uniósł głowę.
- - Detektyw Croaker. - Lew machnął w powietrzu federalną odznaką. - Może mi pan poświęcić minutę?
- Blondyn kazał robotnikom kontynuować pracę, odszedł parę kroków i zdjął plastikowe gogle oraz maskę zakrywającą mu nos i usta. Skórę na twarzy i dłoniach miał pokrytą grubą warstwą białego tynku.
- Obawiam się, że nie mam zbyt wiele czasu. Terminy gonią, a już jesteśmy o dzień

spóźnieni.

- Rozumiem - odparł Croaker. - To nie potrwa długo. Chciałem pomówić o pana byłej żonie.
- Arkham spojrział na niego z góry. Miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, szerokie bary, wąską talię i biodra. Bez wątpienia dobry rozgrywający na futbolowym boisku, do tego przystojny. Nic dziwnego, że zdobył tak piękną dziewczynę jak Vesper. Arkham wyciągnął dłoń w lewo.
- - Tam jest nieco spokojniej.
- Wyprowadził Croakera przez boczne drzwi na szarą alejkę, po której spływał wąski strumyk wody. W dali, przy rogu budynku, było widać kolejną ekipę zakładającą ładunki wybuchowe.
- - Co chce pan wiedzieć o Vesper?
- Wszystko.
- To trafił pan pod zły adres - ponuro mruknął Arkham. - Kochałem ją, lecz ni w ząb nie rozumiałem.
- Zbyt mądra?
- Cholera wie. Pana domysły są równie dobre jak moje. - Wyciągnął papierosa, zapalił, po czym z niesmakiem rzucił na ziemię i zdeptał grubą podeszwą gumowego buta. - Nie umiem się odzwyczaić. Próbowalem już parę razy. - Rękawem otarł czoło. - Mogę panu tylko powiedzieć, że nie potrafiła usiedzieć na jednym miejscu. Pewnie kochała mnie na swój sposób, choć diabli wiedzą, co to naprawdę było. Zajmowałem jedynie małą część jej życia. Zniknęła na kilka dni, czasem tygodni, a gdy spytałem, gdzie była, wie pan, co mi odpowiedziała? Jay, prócz ciebie, mam swoje własne życie. Taka już jestem. Musisz się z tym pogodzić albo odejść”.
- Arkham wbił wzrok w ziemię.
- W końcu odszedłem. Nie dała mi żadnego wyboru, choć jestem pewien, że w jej wersji mogłoby to wyglądać inaczej. - Westchnął. - Tak... Kochała mnie, lecz co z tego? Do dziś pozostała dla mnie zagadką.
- Może właśnie to pana pociągało.
- Pewnie, a który facet nie lubi odrobiny tajemniczości? Rzecz jasna do pewnego stopnia. Lecz ona podchodziła do tego zupełnie inaczej. Czasem stawała się śmiertelnie poważna. Tak poważna, że odczuwałem dziwny niepokój. A przecież niełatwo mnie przestraszyć. - Uśmiechnął się kwaśno. - Normalne, gdy człowiek jest cholernie duży. A jednak bywały dni, gdy na widok Vesper oblewałem się zimnym potem.
- Dlaczego?
- Była cwana. - Potrząsnął głową. - Nie... cwana to niedobre słowo. Nawet w połowie nie

pasuje do Vesper. Nieraz miałem wrażenie, że siedzi mi środkiem głowy. Znów innym razem... - z zadziwiającą bezradnością wzruszył ramionami - można było pomyśleć, że całkiem o mnie zapomniała. - Zerknął na zegarek. - No, muszę pędzić do pracy.

- Croaker pozwolił mu odejść kilka kroków i spytał:
- Było coś więcej, prawda? Olbrzym obrócił się w jego stronę.
- Nie.
- Panie Arkham, podejrzewam, że Vesper ma poważne kłopoty.
- Jak poważne?
- Szczerze mówiąc, naraża własne życie.
- Croaker odczuwał lekkie skrupuły, wciągając Arkhama w pułapkę, lecz jak zwykle w podobnych sytuacjach nie miał wyboru. Ludzie na ogół nie przejawiali ochoty do zwierzeń i tylko cios w czułe miejsce skłaniał ich do rozmowy. Arkham bezwiednie ujawnił swój słaby punkt: Vesper. Mimo rozstania wciąż ją kochał.
- - A jeśli coś było? - Olbrzym zawrócił do miejsca, w którym stał Lew. - To pomoże?
- -Próbuję zrozumieć jej motyw, panie Arkham. Nie można mówić o winie bez wyraźnych dowodów. Jeśli poznam ją lepiej, być może zdołam ją jakoś ochronić. Chyba zasłużyła na taką szansę?
- Betonowy pył drapał w gardle, brudna woda płynęła środkiem alejki, a gdzieś w oddali zgrzytało wiertło przebijające się przez betonową podłogę. Croaker wiedział, co się wokoło dzieje, lecz nie zwracał na to uwagi jak ktoś urzeczony muzyką, kto nie słyszy szumów źle nagranej taśmy. Arkham wsunął ręce w kieszenie i ruchem głowy wskazał biomechaniczną dłoń detektywa.
- - Niezły kawałek roboty. Dobrze służy?
- Croaker rozejrzał się i podniósł zardzewiałą sztabę leżącą na stercie pokruszonych cegieł w pobliżu budynku. Zaklinował ją między dwoma dźwigarami, wygiął, po czym wywinął w regularne U.
- - Nieźle - mruknął Arkham. - Choć idę o zakład, że wolałby pan mieć tę dawną, prawdziwą.
- Powiedział to w ten sposób, jakby sam stracił coś bardzo cennego. Tym lepiej - pomyślał Croaker. - Będzie bardziej rozmowny, jeśli uzna, że łączą nas wspólne przeżycia. Arkham rozejrzał się, jakby się obawiał, że ktoś go może podsłuchać.
- Szlag by trafił - powiedział cicho. Popatrzył Croakerowi prosto w oczy i zaczął: - Któregoś razu, gdy zniknęła, tak się zdenerwowałem, że zacząłem jej szukać. Najpierw pojechałem do teściów.
- Do Harcasterów.
- Skinął głową. Na kasku zbierały mu się krople wilgoci, spływające jak łzy po metalowej powierzchni.
- - Nie miałem pojęcia, co zastanę, bo... bo Vesper rzadko o nich mówiła. W ogóle ich nie znałem. Wie pan, nie było wspólnej Gwiazdki, Wielkanocy czy Święta Dziękczynienia. Każdą imprezę spędzaliśmy u moich rodziców i wyglądało na to, że

Vesper jest z tego zadowolona. Zupełnie nie byłem przygotowany na powitanie, jakie mi urządzili. Gdy powiedziałem, że jestem jej mężem, przez chwilę myślałem, że stary zdejmie strzelbę ze ściany. Żona położyła mu rękę na ramieniu. Była blada jak kreda. Spytała, po co przyszedłem, więc wyjaśniłem, że chcę znaleźć Vesper. Wie pan, co mi powiedział jej ojciec, panie Croaker? „Czego tu szukasz? Uważasz, że rodzice mogą tak mówić o własnym dziecku?”

- Miał osłupiałą minę, jakby na nowo przeżywał każde wydarzenie.
- „Córka już tu nie mieszka” - dodała matka. - „Od bardzo, bardzo dawna”. Żadne z nich nie wymieniło jej imienia. Wyrzucili ją ze swego życia. Na zawsze. Widziałem, że matka wciąż cierpi, lecz serce ojca było z kamienia.
- O co poszło?
- Po pierwsze była adoptowana, po drugie... była lesbijką. Albo przynajmniej biseksem. - Ostatnie słowa wymówił z wyraźną niechęcią. Croaker widział, że to wyznanie kosztowało go bardzo wiele. - Harcasterowie zaczęli się jej brzydzić.
-
- Kiedy odkryli prawdę?
- Ze słów pani Harcaster wynikało, że w czasie, gdy Vesper kończyła liceum.
- W głowie Croakera zabręczał ostrzegawczy dzwonek.
- Coś mi się tu nie zgadza. Vesper jest znakomicie wykształcona: Yale, Columbia, habilitacja... Na to potrzeba dużych pieniędzy. Tata z mamą jej nie pomogli. Skąd brała na utrzymanie?
- Wyjechała do Nowego Jorku i łądaczyła się do chwili, aż zaczęła pracować w biurze demokratów, u boku kandydata na burmistrza. Zna pan Vesper, jak raz się tam znalazła, to wszystko wokół niej zaczęło rozkwitać...
- Ale z pensji nie mogłaby opłacić czesnego nawet za naukę w college'u, nie mówiąc o Yale czy Columbii.
- Powiedziała mi kiedyś, że miała nieco szczęścia. Kandydat przeszedł w wyborach. Był tak zadowolony, że polecił ją pewnej fundacji wspierającej wybitnie uzdolnionych studentów. - Arkham popatrzył na Croakera. - Znów w coś wdepnęła? To nie jej wina.
- Mówił z wyraźnym bólem. Lew szczerze mu współczuł. Facet wciąż nie potrafił zapomnieć o byłej żonie.
- - Jeszcze nie wiem. Jak nazywała się ta fundacja? Arkham z namysłem zmarszczył brwi.
- - Acton? Andover? Pamiętam, że zaczynało się na A, jak moje nazwisko. - Strzelił palcami. - Avalon! Właśnie tak. Jak z króla Artura.
- Croaker nie posiadał się ze zdumienia. Przypadek? Może spółka handlarzy bronią i domniemana fundacja to to samo? W świecie zbrodni nic nie jest dziełem przypadku. Jeśli DARPA była okradana przez Dedalusa, towar za grube pieniądze wędrował w świat za pośrednictwem Avalonu.

- Panie Croaker, to nie jest zła dziewczyna - desperacko zawołał Arkham. - Wplątała się tylko w coś głupiego. To ją trochę usprawiedliwia, prawda?
- Trochę.
- Olbrzym zniknął w ciemnym wnętrzu budynku, który za parę godzin miał runąć w gruzy, jak niegdyś świat Arkhama. Ushiba chciał się spotkać z Tetsuo Akinagą, oyabunem klanu Shikei. Nie była to łatwa decyzja ze względu na zażyłe stosunki łączące go Chosą, lecz wyznanie Yoshinoriego, że Tachi Shidare miał posłużyć jako narzędzie do zabicia Linneara, nie dawało mu innej możliwości. Prawdę mówiąc, Ushiba nie wierzył, by ktoś - a zwłaszcza ogarnięty żądzą zemsty Chosa - mógł zaszkodzić Nicholasowi. Nie wierzył także w żadne, nawet najlepiej umotywowane argumenty o konieczności zamachu. Nie dlatego, że były niezgodne z prawdą. Po prostu wiedział, że Chosa, podobnie jak zaślepiiony szaleństwem Tomoo Kozo, miał osobiste powody, by domagać się śmierci Amerykanina. A Ushiba potępiał wendetę. Nie mieściła się w kategoriach *kamy odo*, drogi samuraj a-urzędnika, którą kroczył przez całe życie. Ilu jego znajomych strawiła niezaspokojona chęć zemsty? Zbyt wielu, by zniweczyła ich pamięć jednego człowieka. W toku odwiecznej wojny z Ameryką Ushiba starał się nie zapomnieć o bolesnych kosztach nienawiści. Z różnym skutkiem. Ci, którzy odsuwali wszystko na bok, pochłonięci jedynie własną wizją wydarzeń, byli z góry skazani na przegraną. Jak Tomoo Kozo i Chosa. Musiała przecież gdzieś istnieć absolutna moralność. Ushiba uważał ją za równie trwałą jak *kanryodo* lub buddyzm, które wprawiały świat w ruch i pobudzały do działania. Bez tych trzech elementów ludzkie serce miałoby taką wartość jak ochłap zanurzony w formalinie. Z początku myślał, że śmierć Kozo będzie nauczka dla Chosy. Niestety, oyabun klanu Kokorogurushii jeszcze raz udowodnił swój upór. Z młodzieńczą butą próbował utrzymać śmierć i zagładę na wyciągnięcie ręki. Ushiba widział w tym tylko niepotrzebną brawurę i nie chciał ginąć w zamęcie wywołanym przez czyjąś głupotę. Spojrzał przez okno samochodu, lecz nie po to, by podziwiać widok jednej z najpiękniejszych tokijskich alej, Omotesando. Błądził myślami daleko, widział posępne twarze Chosy i Akinagi, zastanawiał się nad zmianami zachodzącymi w radzie od czasu, gdy kaisho został zmuszony do ucieczki. Tetsuo Akinaga prowadził wiele rozległych interesów, lecz największym zainteresowaniem darzył małe spółki handlowe i usługowe. Te ostatnie, kierowane osobiście przez niego, wyrastały jak grzyby po deszczu w całym Tokio. Najnowszym pomysłem Akinagi był Big White Men. Samochód stanął, lecz Ushiba nawet tego nie zauważył. Otrząsnął się z zadumy dopiero wówczas, gdy kierowca otworzył drzwiczki. Wsiadł i przycisnął lekko rękę do brzucha, by stłumić ból narastający niczym zgorzel na przegniłym cieple. Big White Men, do którego właśnie zmierzał, mieścił się w Harajuku, w pobliżu świątyni Meijijingu. Ushiba przeszedł przez zatłoczony pasaż i zniknął za drzwiami sklepu. Big White Men nie był w istocie placówką handlową. Pełnił funkcję dyskretnej pralni męskiej bielizny. Każdy, kto wniósł miesięczny abonament, dostawał klucz do anonimowej skrytki, nie większej od skrzynki pocztowej, w której za dodatkową opłatą stu jenów od sztuki chował rzeczy przeznaczone do prania. Po czterdziestu ośmiu godzinach wszystko było już czyste i starannie wyprasowane. Interes kwitł, głównie ze względu na częste kradzieże bielizny suszącej się na podwórkach. - Kto by pomyślał - promieniał Akinaga. - Zbijam majątek, chroniąc ludzi przed fetyszystkami. Ushiba spotkał się z nim na zapleczu pralni. W pokoju czuć było woń detergentów i wybielacza, a zza ściany dobiegał niski, monotony pomruk pracujących maszyn. Akinaga, w wyjątkowo kiepskim *nastroju*, zaparzył herbatę.

Usiedli na niskich krzesłach przy szerokim stole. Meble były najnowszym pomysłem japońskich projektantów, zapatrzonych w Europę i tworzących dziwaczne hybrydy, w których orientalna wrażliwość mieszała się z zachodnim praktycyzmem. Na stole stał telefon oraz talerzyk z słodyczami, gdyż mocna zielona herbata *macha* była naprawdę gorzka. Ushiba i Akinaga pili w milczeniu, każdy łyk przegryzając ciastkiem, kontemplując dwa całkiem odmienne smaki. Gdy skończyli, zjawiała się młoda dziewczyna, by sprzątnąć naczynia.

- - Mam pilną sprawę o dużym znaczeniu dla nas wszystkich – zagaił Ushiba, kiedy zostali sami.
- Akinaga lekko skinął głową, co było jedyną oznaką zaskoczenia.
- Czuję się zaszczycony, że przychodzisz z tym właśnie do mnie, daijinie - powiedział z niekłamany szacunkiem.
- Dowiedziałem się ostatnio, że Chosa obrał wyjątkowo niebezpieczną ścieżkę.
- Zawsze był wartogłowem przywiązany do własnych idei. - Akinaga rozchmurzył się, jakby mówił o niesfornym dziecku. - Co teraz nabroił?
- W jakiś sposób przekonał młodego oyabuna klanu Yamauchi, by zabił Nicholasa Linneara.
- Akinaga nie zwykł ujawniać swych uczuć, więc nie otworzył ust ze zdziwienia, lecz na jego czole pojawiła się ostra pionowa zmarszczka.
- Najgłupszy pomysł, o jakim słyszałem. Ostrzegałem go przed tym, zwłaszcza po naszej ostatniej rozmowie, ale on traci rozum na dźwięk nazwiska „Linnear”.
- To prawda - z goryczą stwierdził Ushiba. - Dlaczego Shidare mu uległ?
- Jest inteligentny, ambitny, lecz jeszcze młody. - Akinaga wzruszył ramionami. - Jego mentorem był oyabun z Kumamoto. To zapadła dziura. Shidare nie ma tej władzy co Kozo i musi trochę poczekać, nim sobie wyrobi odpowiednią pozycję. Pewnie uznał, że łatwiej mu będzie z pomocą Chosy. Mógłby korzystać z układów i kontaktów Kokorogurushii. Nie wątpię, że Chosa mu to zaproponował. - Kościste ręce gangstera spoczęły na stole. - Chwilę potrwa, nim się połapie, że został oszukany. A wtedy będzie za późno; Chosa praktycznie przejmie władzę nad klanem Yamauchi.
- Daijin zacisnął dłonie pod stołem, by nie dać po sobie poznać, że dopadł go nowy atak bólu.
- Okami stworzył radę właśnie po to, by ukrócić podobne praktyki - powiedział. - Jako kaisho położył kres nie kończącym się wojnom terytorialnym między oyabunami największych klanów. Teraz, po jego zniknięciu, znów zapanuje chaos.
- Nie, jeśli będę miał w tej sprawie cokolwiek do powiedzenia. Shidare i Chosa... Trzeba z nimi coś zrobić, lecz z każdym oddzielnie.
- Ushiba skłonił się, chyląc czoło przed koniecznością.
- Doszedłem do tego samego wniosku.
- Jestem podwójnie rad, daijinie, że zwróciłeś się z tym do mnie - żarliwie stwierdził Akinaga. - Musimy się spieszyć. - Pomyślał przez chwilę. - Mam pewną propozycję. Pozwól mi porozmawiać z młodym Shidare. Obawiam się, że moja interwencja u Chosy mogłaby tylko

zaognić sytuację. Skoro dąży do

-
- przejęcia władzy, nie będzie tolerował uwag ze strony innego oyabuna, zwłaszcza należącego do rady. Ushiba nie był uszczęśliwiony takim obrotem sprawy, lecz milczał. Tu nie miał prawa głosu. O ile wszyscy poważali go jako członka zarządu Godaishu, o tyle w radzie pełnił wyłącznie funkcję doradcy i w razie potrzeby rozjemcy. Miał nadzieję, że Akinaga upora się z Chosą, gdyż on nie wiedział, jak to zrobić. Z drugiej strony, wciąż czuł narastający gniew do oyabuna klanu Kokorogurushii za to, że z osobistych powodów podważał jedność całej organizacji. Jak mógł zdradzić przyjaźń, którą Ushiba uważał za świętą? Cemu nie porozmawiał z nim przed ostatecznym podjęciem decyzji? To, że z pewnością wiedział, jaka będzie odpowiedź daijina, nie miało żadnego znaczenia. Po prostu się wypiął. Ushiba słuchał głuchego pomruku pralek i pocieszał się myślą, że zyska powód do dumy, jeśli uda mu się poskromić Chosę. Wstał, podziękował gospodarzowi za rozmowę. Przed rozstaniem uzgodnili jeszcze kilka szczegółów, wzajemnie się zapewniając, że będą w stałym kontakcie. Ushiba wrócił do MITI, a Akinaga do nadzoru nad praniem i prasowaniem sterty śnieżnobiałej bielizny. W recepcji zapewniono Croakera, że Margaritę ani na chwilę nie pokazała się w hotelu. Zabrał przesyłkę pozostawioną przez kuriera i wjechał na górę. Wysiadł z windy piętro niżej, tam, gdzie mieścił się pokój Margaritę. Rozejrzał się; korytarz był pusty. Wyjął komplet wytrychów, chwilę pomajstrował przy zamku, potem nacisnął klamkę. W pokoju nie znalazł żadnych śladów czyjejs bytności. Dwie czekoladki z miętowym nadzieniem leżały zawinięte w złotą folię na równo zasłanym łóżku, tuż obok karty dań z hotelowej restauracji. Wszedł do łazienki. Nie tknięte mydła i papier toaletowy. Wrócił do pokoju, by zajrzeć do szafy. Żadnych bagaży. Z posępną miną opadł na krzesło. Margaritę nigdy nie zamierzała tu mieszkać; walizki zanesiono gdzieś indziej, choć szofer Dedalusa wtaszczył je do hotelu i wpisał nazwisko DeCamillo do księgi meldunkowej. To mogło oznaczać tylko jedno: Margaritę wiedziała, że jest śledzona od chwili, gdy taksówka wioząca Croakera ruszyła za limuzyną spod lotniska. Lew zamknął pokój i wrócił do siebie. Przemył twarz zimną wodą, po czym zamówił śniadanie. Do przyścia kelnera leżał na łóżku. Dopiero za dwie godziny miał zadzwonić do biura Dedalusa i przekazać szczegóły spotkania z Vesper. Zamknął oczy, lecz serce waliło mu tak mocno, że musiał usiąść i wziąć kilka spokojnych, głębokich wdechów. Myślał o Vesper. Wiedział już o niej dostatecznie dużo, by zdać sobie sprawę, że jest fascynująca... i niebezpieczna. Bez wątpienia należała do Dedalusa od chwili, gdy z pieniędzmi Avalonu przekroczyła próg Yale. Avalon z kolei mógł być własnością Godaishu. W takim razie, co Vesper robiła w Morganie? Gdzie tkwił związek? Croaker oblizał usta i poczuł na języku smak soli. Nagle zrozumiał, że jest w poważnym kłopotcie. Na myśl o Vesper oblewał się zimnym potem. Nie doświadczył tego od dnia, gdy jako świeżo upieczony detektyw po raz pierwszy postrzelił człowieka, ćpuna, który chwilę wcześniej zdzielił łomem przez głowę policjanta z patrolu. Stare dzieje. Z wilczym apetytem zabrał się do śniadania, przeglądając przy okazji dwunastostronicowy wykaz połączeń telefonicznych z klubem „Moniker’s”, zarejestrowanych w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Prawdę mówiąc, nie wiedział, czego szuka, zresztą i tak nic nie znalazł. Żadnych podejrzanych rozmów. Nie dzwonił ani Dedalus, ani prezydent, ani nikt związany z jakąś organizacją przestępczą. Zaczął więc wypatrywać połączeń, które powtarzały się kilkakrotnie w ciągu miesiąca. Było ich sporo, lecz także nie miały chyba większego znaczenia: dostawy, przewozy, dystrybucja alkoholu, pralnia, i tak dalej. Zwykła rzecz w legalnie prosperującym

interesie. Znalazło się także parę rozmów z Londynem. Firma Malory Enterprises, w Hammersmith. Być może nic takiego, a jednak...Croker spojrzął na zegarek. W Anglii było już późne popołudnie. Podniósł słuchawkę, wybrał centralę międzynarodową i wystukał właściwy numer.

- Malory - odezwał się miły kobiecy głos z wyraźnym brytyjskim akcentem.
- O, witam, mówi Philip Marlowe, z Morgany. Fakt, od niedawna siedzę w interesie, ale słyszałem...
- Proszę chwilę poczekać.
- Marlowe? - Ciszę przerwał głęboki baryton. - Philip Marlowe, jak ten amerykański detektyw? - Akcent sródatlantycki, czyli po prostu mieszanka Ameryki i Anglii.
- Hmm... właśnie. Ale nikt nas na ogół nie myli - odparł Croaker ze sztuczną wesołością.
- Nigdy o tobie nie słyszałem. Mówiłeś, że odkąd masz kontrakt?
- Nie mówiłem.

- Croaker odłożył słuchawkę. Ponownie zerknął na listę. Zatem Malory Enterprises było jakoś związane z Morgana. Tknięty nagłą myślą otworzył teczkę przyniesioną mu przez domniemaną Vesper. Jak podejrzewał, w jej wykazie nie było numeru londyńskiej firmy. Dokument okazał się fałszywy. Sprytna dziewczyna, choć nie dość sprytna. Skończył jeść, wziął wizytówkę i zadzwonił do biura Dedalusa. Ze słów sekretarki wynikało, że senator wprawdzie jeszcze nie przybył, ale uprzedził ją, co ma robić. Croaker przekazał jej, gdzie będzie czekał na Vesper, rzucił słuchawkę na widełki i przez parę chwil siedział w głębokiej zadumie. Dokąd pojechał Dedalus po jego wyjściu? Polecił w recepcji, by jak najszybciej sprowadzono mu samochód z wypożyczalni, sam w tym czasie wziął taksówkę i pojechał na Dupont Circle. Pieszko pokonał kilka przecznic, aż dotarł do muzeum Phillipisa. Kiedyś mieścił się tu prywatny dom Duncana Phillipisa, dziedzica Jones and Laughlin Steel Company, w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym roku zmieniony na muzeum impresjonizmu i postimpresjonizmu.

- Croaker stanął w pobliżu najświetniejszego dzieła z kolekcji Phillipisa, „Śniadania wioślarzy” Renoira, kupionego w dwudziestym trzecim roku za śmiesznie dziś sumę stu dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Obraz, błyszczący i pełen życia, jak wszystkie najlepsze prace Renoira, jaśniał barwami lata i typowo galijskiej *joie de vivre*. Muskularni mężczyźni zawadiacko spoglądali przed siebie, kobiety zwiewne, zalotne i krągłe. Wszystko jak trzeba. Długo wpatrywał się w płótno. Medytował nad niestałością współczesnego świata, w którym nie brakło ludzi pokroju Margaritę, Vesper, Dominika Goldoniego i Leonforte’a, wyłamujących się z tradycyjnego wzorca. Dawne zasady, jeszcze żywe w latach, gdy wzrastał, ulegały szybkim przemianom, gorzej - postępującej mutacji, zrozumiałej jedynie dla ludzi wychowanych na telewizji i komputerach. Nagle wróciło mu poczucie czasu. Było już dobrze po dwunastej, a Vesper nie przyszła. Wybiegł z muzeum, pobieżnie tylko zerkając na inne dzieła sztuki. Zaczekał dziesięć minut w foyer, potem jeszcze pięć na schodach. Niebo było ponure i ciemne, ale na szczęście nie zanosilo się na deszcz lub śnieżycę. O dwunastej trzydzieści pięć wsiadł do taksówki i dziesięć minut później wrócił do hotelu. Wynajęty samochód już czekał. Croaker pospiesznie wypełnił potrzebne formularze, zapłacił kartą kredytową i odebrał kluczyki. Przed pierwszą ruszył na zatłoczone ulice, w drogę do biura Dedalusa. Nie chciał, by senator wiedział zawczasu o wizycie. Gdzie się podziała Vesper? Nie mogła przyjść, czy nie

dostała wiadomości? Dedalus twierdził, że o tej porze będzie uczestniczył w naradzie. Może tak, może nie... Spojrzał na sunące dostojnie przed nim samochody i wrócił myślami do porannej rozmowy z politykiem. Dedalus powiedział, że ma zebranie, po czym wyciągnął służbową wizytówkę. Logicznie rzecz biorąc... Cholera! Dziesięć do jednego, że wspomniana narada odbywała się w posiadłości kochanego senatora. Z kim? Croaker skręcił na następnych światłach i pojechał w stronę rogatek. Do McLean dotarł tuż przed drugą. Minął granitowy podjazd wiodący do domu Dedalusa i przejechał przez trawnik, aż pod drzewa. Wyłączył silnik, wysiadł i szybkim krokiem ruszył w stronę wejścia. Mgła z wolna zaczęła rzednąć i tuż nad ziemią zamajaczyły niewyraźne cienie. Chwilę później słońce przedarło się przez zasłone chmur. Niebo pojaśniało. Zjawił się ogrodnik jadący golfowym wózkiem. Lew odruchowo wszedł między drzewa, by dużym łukiem ominąć niespodziewaną przeszkodę. Zwolnił i ostrożnie przedzierał się przez krzaki, ani na chwilę nie spuszczając wzroku z ogrodnika, który zatrzymał pojazd, otarł czoło rękawem i zdjął czapkę. Jasne, ciasno upięte włosy zamigotały jak złoto w promieniach słońca. Croaker zapadł głębiej w cień najbliższych zarośli. Powoli sunął w stronę, wózka. Orodnik czujnie obrócił głowę, niczym jeleń co zwietrył nie znany zapach. Serce załomotało w piersi Croakera. Te same ogromne chabrowe oczy, ten sam nos i niezwykle kolor włosów. Jeśli nie miał halucynacji po paru nie przespanych nocach, ogrodnikiem senatora Dedalusa była Yesper Arkham.

8SAJGON / WASZYNGTON

- Jak się wkrótce okazało, nie było żadnych kłopotów z odnalezieniem dyrektora Instytutu Energii Atomowej imienia Kurczatowa. Van Kiet zadzwonił z biura z informacją, że Rosjanin został przywieziony do szpitala Cho Ray jakiś czas przed tym, nim Nicholas i Tachi wrócili z Vung Tau. Oczywiście towarzyszyła im Seiko, lecz inspektor o tym nie wiedział. Pacjent nazwiskiem W.I. Pawłów trafił na ostry dyżur mniej więcej w tym samym czasie, gdy Kiet, Linnear i Shidare prowadzili rozmowę na łódce zakotwiczonej w zatoce. Siedem godzin spędził na sali operacyjnej, zanim lekarze doprowadzili go do względnego stanu.
- Co mu się przytrafiło? - spytał Nicholas.
- Masę rzeczy. - W słuchawce rozległ się szelest papierów, co znaczyło, że Van Kiet sięgnął po oficjalny raport. - Lekarze przez trzy godziny wyciągali z niego kawałki ołowiu. Kolejne trzy spędzili szukając kuli, która powinna dotrzeć do mózgu, lecz w końcu się okazało, że po drodze utkwiała w rdzeniu. Jest całkiem sparaliżowany i nikt nie wie, jak długo pociągnie. Na twoim miejscu pojechałbym tam jak najszybciej. Mój człowiek przeprowadzi cię przez ochronę. Potem zadzwoń.
- Szpital Cho Ray mieścił się na bulwarze Nguyen Chi Thanh w Szolonie. Znany był w całym Wietnamie ze względu na wysokie kwalifikacje personelu medycznego i dużą liczbę lekarzy mówiących po angielsku. Choć wyraźnie odstawał od zachodnich standardów, każdy mógł mieć nadzieję, że wyjdzie stąd w dobrym zdrowiu. Zagraniczni pacjenci zajmowali dziesiąte piętro. Nicholas i Tachi, pod eskortą sierżanta przysłanego przez Van Kieta, przeszli przez tłum protestujących pielęgniarek, lekarzy i pracowników ochrony. Pokój, gdzie leżał Pawłów, był spłowiały i żółty, niczym papier leżący na słońcu. Nicholas pomyślał, że przyszli za późno. Błady jak kreda Rosjanin spoczywał na łóżku spowity płataniną rurek i przewodów. Miał fioletowe wargi i ledwo oddychał. Za młodu musiał być potężnym mężczyzną. Czas

zmienił

- mu mięśnie w grube wałki tłuszczu, leżące na pościeli jak worki z łojem przywiązane do tyczek.
- Niezłe go poharatali. - Tachi obszedł łóżko niczym bokser oceniający przeciwnika.
- Niezależnie od tego kim byli.
- Wiesz przecież, jak traktują Rosjan w tej części świata.
- Kula w podstawie czaszki to nie robota ulicznego rzeźmieszka. Bardziej pasowałby nóż w brzuchu albo uderzenie w głowę skarpetką nabitą bilonem. - Nicholas przysunął do łóżka stare drewniane krzesło i usiadł. - Doktor Pawłów musi udzielić nam kilku odpowiedzi.
- Chyba nie jest w najlepszym nastroju - mruknął Tachi, spoglądając na szereg monitorów.
- Będzie. - Nicholas delikatnie odsunął namiot tlenowy.
- Zdawał sobie sprawę, że Japończyk go obserwuje, lecz zdążył już się zanurzyć w Tau-tau i skoncentrować uwagę na Pawłowie. Przez chwilę żałował, że nawiązał kontakt. Rosjanin cierpiał do granic szaleństwa. Nicholas wypełnił go siłą własnej *ki*. Potem, z metodyczną precyzją mikrochirurga, zajął się obciążonymi ponad miarę receptorami bólu i naprawił ich łączność z mózgiem, co wywołało z kolei odpowiednią reakcję. Ból został zredukowany do właściwego poziomu, lecz chwilę potem umysł Nicholasa trafił na nieprzeniknioną barierę.
- Organizm ma przesycony silnym narkotykiem. Pewnie morfiną.
- Tego się obawiałem - westchnął Tachi. - Póki jest w stanie oszołomienia, nic z niego nie wyciągniemy.
- Nicholas ani na chwilę nie przerwał kontaktu.
- - Spróbuję coś z tym zrobić.
- Wzmocnił koncentrację. Ściany pokoju zajaśniały żywą barwą, po czym ściemniały, jakby ktoś zgasił światło. Pojawiły się nieokreślone kształty. Nicholas, zatopiony w Tau-tau, przekształcał myśl w czyny. Mrok zaczął pulsować, a czas, potwór o dziesięciu milionach oczu, miotał się na łańcuchu uwiązany do Ziemi. Uwolniony od jego wpływu Nicholas zaczął manipulować życiem komórek. Pracował powoli, aż zyskał pewność, że zregenerowana krew Pawłowa przejmie rolę „wyssanego” z krwiobiegu narkotyku. Teraz czekała go najbardziej niebezpieczna część zabiegu. Musiał dokonać hipermetabolizy - innymi słowy, przyspieszyć rozkład morfiny. Gdyby zadziałał zbyt szybko, mógłby uszkodzić naczynia limfatyczne i układ nerkowy. Pawłów jęknął, poruszył głową na wilgotnej poduszce. Tachi przysunął krzesło nieco bliżej. Zgrzyt zmusił Rosjanina do otwarcia oczu. Żrenice miał matowe, nabiegłe krwią białka chorobliwie żółte, jak otaczające go ściany. Coś wymamrotał. Nicholas podsunął mu kubek z wodą. Ranny pił chciwie, rozglądając się po pokoju.
- - Jest... pan... lekarzem? - odezwał się po wietnamsku.
- Chirurgiem. Operowałem pana - odpowiedział Nicholas. - A to doktor Van Kiet, ordynator szpitala.
- Wygląda na Japończyka - wychrypiął Pawłów.
- - Niestety - odparł Tachi. - Może nam pan wyjaśnić, co zaszło? Rosjanin zamknął oczy,

- jakby na dobre miał się pożegnać z życiem. Tętno
- biło mu przyspieszonym rytmem, ciśnienie skoczyło w górę. Nicholas otulił go kojącym ciepłem.
 - - Zaraz poczuje się pan lepiej - powiedział.
 - Pawłów zaczął spokojnie oddychać. Otworzył powieki i niemo popatrzył na rzekomych lekarzy. Linnear domyślił się, co mu chodzi po głowie.
 - - Policja interesuje się pańskim wypadkiem. Na korytarzu stoi kilku funkcjonariuszy. Chcą porozmawiać.
 - Na tłustych, białych policzkach Pawłowa pojawiły się krople potu, lecz żaden z mężczyzn nie pofatygował się, by je wytrzeć.
 - Nie wpuszczajcie ich tutaj - wyjęczał Rosjanin.
 - Proszę się nie obawiać. - Nicholas poklepał go po dłoni. - Nie pozwolę, by ktoś pana skrzywdził. Zbyt wiele wysiłku kosztowała mnie operacja.
 - Tachi potrząsnął głową.
 - Nie wiem, czy to się uda. Główny inspektor sajgońskiej policji dzwonił do mnie już kilka razy. Nie potrafię powiedzieć...
 - Musi pan! - ostro oświadczył Nicholas, spoglądając w jego stronę. Potem skierował wzrok na pacjenta. - Doktor Van Kiet rzeczywiście jest w trudnej sytuacji.
 - Co mam robić? - wyszeptał Pawłów. - Nie mogę rozmawiać z policją. Nie mogę...
 - Tachi groźnie pochylił się nad łóżkiem.
 - Obawiam się, że to nieuniknione.
 - Chwileczkę! - Nicholas uniósł dłoń. - Doktorze, chyba znalazłem rozwiązanie. Jeśli pan Pawłów powie nam, co się stało, pomyślimy, jak uspokoić inspektora. Przecież chodzi o zdrowie pacjenta.
 - Ciężka sprawa - zamruczał Shidare. - Przepisy...
 - Powiem! - gorączkowo szeptał Rosjanin. - Powiem, jeśli mi pomożecie z policją.
 - Może nam pan zaufać - odpowiedział z uśmiechem Nicholas. - Mamy na względzie wyłącznie pańskie dobro.
 - Tak... tak... - Pawłów znów zaczął się pocić, serce waliło mu przyspieszonym rytmem. Nicholas nie potrafił określić, ile zostało im czasu. Szczelniej owinał Rosjanina mentalnym kokonem.
 - Pawłów obliznął sine usta.
 - - Nigdy bym tu nie przyjechał... To ta nagła potrzeba pieniędzy. Jestem dyrektorem Instytutu Kurczatowa. To kiedyś miało znaczenie. Przywileje... błyszcząca służbowa czajka, dacha nad Bałtykiem, gdzie żona zabierała dzieci na wakacje... Duże mieszkanie w Moskwie. - Przerwał; mówienie sprawiało mu dużą trudność. - Wszystko się zmieniło, kiedy padł Związek Radziecki.
 - Stałem się zwykłym administratorem. Jeździłem tysiące kilometrów po pieniądze dla instytutu...

- - I z tego powodu przybył pan do Sajgonu? - spytał Tachi.
- Pawłów próbował się uśmiechnąć, lecz wyszedł z tego tylko bolesny grymas. Sapał ciężko. Nicholas ponownie podał mu kubek z wodą.
- - W Sajgonie jest Abramanow. Mój dobroczyńca. - Rosjanin wydał dziwny dźwięk, coś jakby kasznięcie zmieszane z jękiem. Chyba próbował się roześmiać. - Abramanow... Dawniej określałem go *betę noire*. Kto wie, może wciąż na to zasługuje? Pracował w instytucie. Inni uważali go za geniusza... Dla mnie był buntownikiem i wichrzycielem. Jak wszyscy Żydzi.
- Zamknął oczy. Nicholas i Tachi wymienili porozumiewawcze spojrzenia.
- Doktorze Pawłów... co było specjalnością Abramanowa? Rosjanin westchnął głęboko.
- Pola neutronowe o dużych strumieniach.
- Co to znaczy? - spytał Shidare.
- Powinien pan wiedzieć. Jest pan przecież lekarzem!
- Na chwilę agresywne usposobienie Pawłowa wzięło górę nad cierpieniem, lecz zaraz potem Rosjanin zaniósł się gwałtownym kaszlem. Umysł Nicholasa zarejestrował symptomy krwotoku wewnętrznego. Znak, że śmierć czaiła się tuż nad łóżkiem i żaden chirurg nie miał dość siły, by ją odegnąć.
- - Tylko pan sobie szkodzi, doktorze. Proszę się uspokoić.
- Tak, tak, wiem. Ale po tym wszystkim, co mnie spotkało... O czym to ja mówiłem? Prawda, o polach neutronowych. Upraszczając sprawę, Abramanow próbował stworzyć stabilny izotop transuranowy. Atomową substancję... tanie i praktycznie nieograniczone źródło energii.
- Udało mu się? - spytał Nicholas.
- Póki pracował w instytucie... nic z tego nie wyszło. Chciałem się go pozbyć i pomyślałem, że najlepszym miejscem zsyłki będzie „atomowe miasto” Arzamas-16. Od tamtej pory go nie widziałem, ale... ale myślę, że doprowadził badania do końca. Przyjechałem... bo miałem coś, co było mu bardzo potrzebne. Zaoferował dużą sumę. Dwadzieścia pięć milionów dolarów. - Łzy popłynęły po policzkach Pawłowa. - A ja, głupi, mu uwierzyłem... Teraz zostałem bez niczego. Ani pieniędzy, ani...
- Przerwał, słysząc ciche pukanie. W uchylonych drzwiach pojawiła się głowa sierżanta. Tachi wyszedł na korytarz, by dowiedzieć się, o co chodzi. Nicholas miał ochotę zaczekać na jego powrót, lecz nie pozwalał mu na to stan umierającego.
- Obrabowano pana?
- Tak... Ktokolwiek to zrobił, właściwą winę ponosi Abramanow. Tylko on jeden wiedział o miejscu spotkania i on znał prawdziwą wartość rzeczy, którą niosłem. Cholerny Żyd... wyparł się własnego kraju. Cieszyła mnie myśl, że wyduszę z niego niemałą forszę.
-
- Krwotok był coraz obfitszy, tylko siła Tau-tau utrzymywała Pawłowa przy życiu. Rosjanin zaniósł się kaszlem.
- - Co panu skradziono, doktorze Pawłów? Czego potrzebował Abramanow? - pytał

Nicholas.

- W pierwszej chwili nie mógł zrozumieć niewyraźnej odpowiedzi.
- To część... nowego urządzenia wytwarzającego pole ochronne do dezaktywacji toksyczności plutonu.
- Abramanow prowadzi doświadczenia z plutonem?
- Gorzej. Jeśli... jeśli mu się powiodło... to jego izotop jest bez wątpienia silniejszy od plutonu. Zabójczy... chemicznie i... a... a... energetycznie jako źródło promieniowania gamma.
- Wrócił Tachi. Pochylił się w stronę Nicholasa i szepnął mu wprost do ucha:
- Przyjechał kurier od Van Kiet. Pokazał mi kulę wyjętą z kręgosłupa Pawłowa. Van Kiet nigdy takiej nie widział, lecz ja od razu zdałem sobie sprawę, na co patrzę. Kaliber.308. Oznaczenia świadczą o tym, że została wystrzelona ze styersa. Snajperska broń, z lunetą, dobrze bijąca na sześćset metrów.
- Zatem Rosjanin miał rację - odparł Nicholas. - Został wciągnięty w pułapkę.
- Pawłów nieprzytomnie kręcił głową, po twarzy spływały mu grube krople potu. Nagle zatrzepotał powiekami. Zaczął krwawić z nosa. Nicholas robił, co mógł, lecz nawet Tau-tau okazywało się bezsilne w obliczu śmierci.
- - Doktorze Pawłów, musimy dotrzeć do Abramanowa. - Chwycił umierającego za rękę i wbił mu paznokcie w skórę. - To pański wróg. Jak go odszukać?
- Oczy Rosjanina zasnuły się bielmem, lecz źrenice wciąż patrzyły na Linneara.
- Słyszysz mnie pan?
- T... tak... - Na ustach Pawłowa pojawiła się krwawa piana. Zaczął się dusić.
- Nazwisko! Miejsce! Cokolwiek!
- Zao.
- - O czym on mówi? - dopytywał się Tachi. - To przecież po japońsku. Nicholas spojrzał na niego.
- - Pamiętasz, co Van Kiet wyczytał w paszporcie? Pawłów jechał przez Bangkok... i Osakę. - Odwrócił się w stronę Rosjanina. - Kim jest Zao?
- Pawłów patrzył w przestrzeń, dalej niż pochylone sylwetki mężczyzn i obdrapane ściany szpitalnego pokoju. Nicholas cofnął rękę.
- - Nie żyje.
- Rock rzadko opuszczał mury Pływającego Miasta. Tam miał swoje włości i tam był absolutnym monarchą. Tylko naprawdę ważny powód mógł skłonić go do wyjazdu. Timothy Delacroix siedział w niedawno otwartej zachodniej restauracji,
- jakich wiele powstawało ostatnio w całym Sajgonie. Od dawna należał do wąskiej grupy pośredników prowadzących w imieniu Pływającego Miasta handel bronią z całym przestępczym światem. Rock z pełną premedytacją kazał mu czekać ponad czterdzieści minut. Sam wyznaczył miejsce spotkania, przyjechał wcześniej i starannie sprawdził każdą boczną uliczkę, drzwi i otwarte okno na wprost wejścia oraz zaparkowany w pobliżu samochód. Z natury nieufny, w

czasie wojny wietnamskiej i twardej bitwy o utworzenie Miasta popadł w zupełną paranoję. Dobrze znał właściciela restauracji, lecz mimo to zrewidował wszystkich pracowników. Wychodził z założenia, że ostrożność nie zawadzi. Nim po skończonej lustracji opuścił lokal tylnym wyjściem, obdarzył restauratora małym pakunkiem. Delacroix usiadł przy stole w odległym kącie sali. Choć we wnętrzu panował półmrok, Rock zauważył go od razu. Może z powodu oczu, tak jasnych, że niemal bezbarwnych. Handlarz bronią miał w sobie coś z najemnika, który spędził ponad czterdzieści lat życia w buszu lub na sawannach. Wyschniętą, ogorzałą skórę żłobiły mu liczne zmarszczki, a długie jasne włosy niedbale zwieszały się na ramiona. Co chwilę oblizywał usta, jakby były spierzchnięte. Bacznym wzrokiem obrzucił Amerykanina przeciskającego się przez tłum gości w modnych „zachodnich” ubraniach. Rock przechwycił jego spojrzenie i pogratulował sobie w duchu, że nie wziął broni. Na stole stała butelka piwa. Delacroix w milczeniu skinął głową na powitanie. Rock odpowiedział tym samym. Wietnamska piosenkarka śpiewała utwór Breła, francuskie słowa pobrzmiwały dziwną goryczą, jak naznaczone piętnem śmierci. Nim Rock zdążył złożyć zamówienie kelner postawił przed nim szklankę whisky i odszedł.

- Jak się sprawdziło to cudeńko, które ci dałem? - spytał Amerykanin, upiwszy łyk trunku.
- Po co się zgrywasz? - z niechęcią burknął Delacroix. - Przecież wiesz.
- Tak? - zdziwił się Rock. - I pewnie myślisz, że jestem wkurwiony, że nie zdołałeś posłać Linneara do piekła?
- Mniej więcej.
- Rock wybuchnął śmiechem.
- Chciałem tylko wzbudzić w nim strach przed bogiem. Tym bogiem. Bogiem Pływającego Miasta.
- To chyba mi się udało - z nieznaczoną ulgą odparł Delacroix.
- Dobrze. - Rock sięgnął po szklankę. Śpiewaczka usiłowała zagłuszyć towarzyszących jej trzech muzyków. Słowa piosenki odbijały od ścian niczym zbłąkane kule. - Wiesz, były chwile, że zaczynałem się martwić. Ten sukinsyn Tinh usiłował wszystkich wycyckać, chociaż w rzeczywistości pracował dla Sato International. Pozując na pośrednika kupował broń ode mnie, po czym zmieniał front i z dużym zyskiem odstępował ją tobie lub komuś innemu. I jeszcze miał czelność występować w moim imieniu! - Rock warknął głucho. - O jeden raz za dużo wymienił nazwę Pływającego Miasta. Zabiłem go dla przykładu, utopiłem w kwasie, a potem rozsmarowałem mózg po całej wytwórni prochów. - Parsknął śmiechem. - Niezły widok.
- Delacroix nie odpowiedział, lecz zapadł się głębiej w kąt. Rock, który potrafił wyczuć i przeanalizować każdą zmianę nastroju, wyszczerzył zęby.
- - Co jest, Tim? Boisz się realnego świata? Przecież z własnego wyboru stałeś się jego częścią, więc teraz nie łżyj, że masz słaby żołądek. I tak ci nie uwierzę. Brałeś udział w niejednej wojnie i widziałeś niejednego trupa. Przyłożyłeś ręki do obrazu współczesnego świata.
- Delacroix skończył piwo.
- Nie spodziewałem się, że zechcesz mi osobiście zapłacić. Mogłeś przecież załatwić to tak jak zwykle.

- Mam w tym pewną przyjemność. - Rock podniósł głos, by przekrzyczeć muzykę. - Wiesz, niezbyt często trafia mi się okazja do podróżowania. Prawie już zapomniałem, jak jest za murami Miasta. Dzięki tobie mogłem się wyrwać. - Rzucił na stół wyjętą z kieszeni białą kopertę.
- Delacroix schował ją, nie patrząc, co zawiera.
- - Cieszę się, że mi ufasz, Tim - powiedział Rock. - To dobra cecha, zwłaszcza u współników. Pozwala na dłuższą metę myśleć o przyszłości.
- Ledwie zdążył odwrócić głowę, kelner już stanął u jego boku. Zamówił więc obiad dla dwóch osób i z powrotem popatrzył na swego towarzysza.
- Szukam porady - zwierzył się konfidencjonalnie. - Ostatnio coś odbiło mojemu partnerowi. Snuje jakieś pompatyczne pomysły.
- Pompatyczne?
- Pompatyczne. A co, kurwa, myślałeś, że nie znam takiego słowa? Że umiem tylko siedzieć na forsie, o jakiej nawet nie możesz marzyć?
- Nie, Rock. Skądże. Po prostu... dziwię się, że doszło między wami do nieporozumienia.
- Rock chrząknął.~ Nooo... sam wiesz, jak to bywa w małżeństwie. Wcześniej czy później dostajesz świra i kłótnia gotowa. Wzięli jeszcze po drinku. Delacroix mówił, lecz Amerykanin słuchał go jednym uchem. Piosenkarka zaczęła śpiewać coś z repertuaru Mylene Farmer, a kelner przyniósł zamówione dania.
- - Mam nadzieję, że ci będzie smakować. - Rock rozłożył szeroko ręce. - Nie tak wymyślne, jak to co jadałeś w Paryżu, lecz bez wątpienia najlepsze w tej części świata.
- W połowie posiłku odłożył sztućce, przeprosił i odszedł od stolika. Minąwszy toaletę wszedł do kuchni, gdzie jego przyjaciel, właściciel restauracji, smętnie patrzył w garnek *gaspacho*.
- Za ostre dla ludzi, którzy tu przychodzą - mruknął. - Co mam teraz zrobić?
- Zastrzel kucharza.
-
- Obaj wybuchnęli śmiechem. Rock wyciągnął rękę, a restaurator wręczył mu pistolet colt kalibru.25 i mały ceramiczny tłumik typu Vitek-112.
- Będzie duży hałas? - spytał Wietnamczyk.
- Nie większy niż przy wyjmowaniu korka z butelki. Restaurator skinął głową.
- Dzięki, że to przechowalesz.
- A od czego ma się przyjaciół?
- Rock wrócił na salę. Usiadł i trzymając ręce pod stołem, pochylił się w stronę handlarza. Piosenkarka zdzierала gardło, a dwóch szczupłych gitarzystów czyniło wyraźne wysiłki, by powiększyć ogólny harmider.
- - Tim, chciałbym ci zadać pytanie.
- Delacroix przysunął się bliżej. Rock uniósł broń i wypalił trzykrotnie w chwili, gdy

muzycy odegrali grzmiący finał. Zerwała się burza oklasków. Będą bisy - pomyślał Rock. Jak co dzień. Wstał, wyszedł tylnymi drzwiami, rzucając po drodze pistolet do śmieci. Szkoda, że Delacroix nie doczekał końca występu. Tak już bywa. Od chwili, gdy rzucił bombę pod nogi Linneara, stał się niepotrzebnym ogniwem, wiodącym do Pływającego Miasta. Rock czuł się świeży i pełen energii. Noc zamierzał spędzić w zaułkach Sajgonu, poszukując najbardziej wyuzdanych rozrywek. Tak się cieszył tą perspektywą, że zaczął beztrudno pogwizdywać. Włosy! Błyszczały w słońcu jak płynne złoto, jak wymieszany karmel, jak krem spływający po ścianie szklanego dzbanka. Croaker, przycupnięty w zaroślach niczym niewydarzony podglądacz, poszedł za wózkiem odjeżdżającym z wolna po zwirowej drodze. Wchodził coraz dalej w głąb posesji Dedalusa. Vesper szerokim łukiem okrążyła budynek, minęła staw i niewielki zagajnik, groblę brunatną od zeschniętej trawy, aż dotarła do wąskiej doliny, gdzie wznosiła się chata z kamienia i ciężkich drewnianych bali, wyglądająca na luksusowy domek rybacki. Z komina sączyła się błękitna smuga dymu, a na werandzie ustawiono tekowe meble w stylu lat trzydziestych i czterdziestych. Okna chaty spoglądały na rzadki trawnik, okolony krzewami i ogromnymi wiązami, których czubki sięgały wyżej niż stare dęby porastające większą część posiadłości. Za drzewami srebrzyście połyskiwał strumień, bez wątpienia co roku zarybiany pstrągami. Vesper wjechała na piaszczysty parking i zatrzymała wózek obok czarnego nissana 300ZX. Wysiadła, otrzepała kombinezon z kurzu i weszła na ścieżkę wiodącą do chaty. Po chwili zniknęła za drzwiami. Croaker wyskoczył z ukrycia. Zgięty wpół popędził skrajem ścieżki, po cichu wspiał się po drewnianych schodach i przekradał się od okna do okna, aż w końcu zobaczył dziewczynę. Stała przy dużym kamiennym kominku, w którym płonęły polana. Jakaś kobieta wręczyła jej kieliszek z białym winem i odwróciła się, by odstawić butelkę na stół. Croaker przez chwilę widział jej twarz; to była Margaritę.

- Przytknął ucho do zimnej szyby. W ten sposób słyszał, co dzieje się w środku.
- Nie rozumiem, po co wyjeżdżasz do Londynu - mówiła Margaritę. - Powiedziałaś mi wszystko, co przekazało Nishiki.
- Tym razem chodzi o coś innego - uśmiechnęła się Vesper. - Nie jestem tylko kurierką, mam dodatkowe obowiązki. Pojawił się pewien problem, który muszę wyjaśnić osobiście. Poza tym informacje o kongresmanie Martinie są niepełne. Wiem, że zwróciłaś na niego uwagę, bo pracuje nad nową ustawą bankową, która może zagrozić interesom twojej rodziny. Nim jednak spróbujesz go przycisnąć, powinnaś mieć więcej dowodów. Więc siedź cicho, póki nie wrócę.
- Niepotrzebnie się narażasz.
- Vesper odstawiła kieliszek i podeszła do Margaritę.
- Nie rób zmartwionej miny. Przecież po to się właśnie szkoliłam. - Wybuchnęła dźwięcznym, beztrudnym śmiechem, niczym rozbawiona uczennica. - Nic mi nie będzie.
- Ale zagrożenia związane z Nishiki...
- - Ktoś musi przerwać złą passę, moja droga. Margaritę zadygotała.
- - Przyszedł mi na myśl Lew. Od czasu, gdy go poznałam, wszystko uległo komplikacjom.
- Vesper spojrzała na nią z ukosa.

- „Poznałam” to dość łagodne określenie.
- Jesteś zazdrosna?
- Ja? - zachichotała dziewczyna. - Nadal cię onieśmielam?
- Kiedy chodzi o seks, stajesz się wszystkożerna. Nie zaprzeczaj.
- Margaritę... - Odgarnęła jej z twarzy kosmyk włosów. - Wobec ciebie nie mam żadnych planów. Dowiesz się pierwsza, gdy zmienię zdanie. Wracając do seksu, przyznaję, że nie jestem ortodoksyjna. Dedalus od razu to zauważył i dlatego się rozumiemy. - Cmoknęła towarzyszkę w policzek. - Twój brat też był nadzwyczaj spostrzegawczy. Z tego czerpał swą siłę.
- Boże... strasznie mi go brakuje, choć czasem wpadam we wściekłość, że obarczył mnie tak ciężką odpowiedzialnością.
- Nie miej do niego żalu. - Vesper ścisnęła ją za rękę. - Dał ci szansę zaistnieć i poznać prawdziwy smak życia. Dostrzegał w tobie iskrę wielkości. Widział coś więcej niż zwykłą kobietę.
- Margaritę przeszła przez pokój i stanęła wpatrzona w ogień.
- Lew jest dla mnie kimś więcej niż zwykłym mężczyzną.
- Niewiele brakowało, a twój Lew ściągnąłby śmierć na nas wszystkich - odpowiedziała Vesper. - Caesare...
- W oczach Margaritę zamigotały iskierki gniewu.
- Co chcesz zrobić? Próbujesz zniszczyć moje uczucia? Dziewczyna potrząsnęła głową.
- Usiłuję cię tylko chronić.
- Przed nim? Absurd. Nigdy by mnie nie skrzywdził.
-
- A jeśli zrobi to nieświadomie? Jak długo każesz mu balansować na krawędzi prawa, które tak wiele dla niego znaczy? Nadejdzie chwila, że stanie przed koniecznością wyboru. Jeśli przejdzie na drugą stronę, prawdopodobnie pociągnie cię za sobą.
- Spekulujesz na temat łączącego nas związku. Nie uważasz, że to rodzaj hipokryzji?
- Kochałam się z twoim bratem, bo sprawiało mi to przyjemność. Było nam dobrze, lecz równocześnie wplątałam się w krwawą wojnę dwóch rodzin - westchnęła Vesper. - I nadal nie wiem, co poróżniło Goldonich i Leonforte'ów.
- Ja również. - Margaritę odwróciła głowę.
- Naprawdę? Ciekawe. W końcu to przecież ja przekazuję ci informacje, dzięki którym trzymasz w szachu wszystkie pomniejszych klany.
- Co rodzina, to rodzina. Spóźnisz się na samolot. - Margaritę najwyraźniej uznała rozmowę za skończoną.
- Vesper po chwili skinęła głową.
- - Masz rację. Pójdę się przebrać.
- Po jej odejściu, Margaritę usiadła na sofie i przez jakiś czas trwała pogrążona w zadumie. Potem zadzwoniła do córki. Croaker poczuł dotkliwe ukłucie w sercu. Ostatnia, krótka wizyta u Francine przekonała go, że dziewczynka wciąż boleśnie odczuwa konflikt między rodzicami. Margaritę także musiała to zauważyć, gdyż mówiła do słuchawki cichym, łagodnym tonem.

Croaker cierpiał w ukryciu i pluł sobie w brodę, że podjął się roli szpiega. Margaritę odłożyła słuchawkę, wstała i postawiła pod drzwiami dwie małe walizki. Przypatrywała im się przez chwilę, jakby siłą woli usiłowała sprawić, by zniknęły i już nigdy nie zagrażały jej przyszłości. Potem odwróciła głowę. Croaker domyślił się, że wróciła Vesper. Wyciągnął szyję, by lepiej widzieć, i zamarł ze zdumienia. Dziewczyna miała na sobie czarne dżinsy, męską białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem i czarną skórzaną kurtkę od Claude'a Montany. Wokół szyi owinęła grubą czerwoną apaszkę. Lew z niedowierzaniem patrzył na jej czarne, błyszczące i krótko przycięte włosy. Znakomita peruka. Duże sarnie oczy dzięki szklom kontaktowym nabrały piwnego koloru. Połyskiwały mądrością zaprawioną poczuciem humoru. Tylko wydatne usta, pozbawione szminki, pozostały te same. „Pójdę się przebrać”. Dopiero teraz w pełni zrozumiał ironię tego na pozór prostego stwierdzenia. Widział kolejną postać kameleona. Kim była naprawdę ta dziewczyna? Wrócił myślami do chwili, gdy stał samotnie w muzeum Phillipsa. Nie mógł dłużej bazować na starych wzorcach. Musiał je podrzeć na strzępy i zacząć wszystko od nowa. Tradycyjne poglądy na płęć i rządzące nią motywacje za nic nie pasowały do świata, w którym się znalazł. Jeśli nie zdoła pozbyć się swych uprzedzeń, nie ma co marzyć o rozwiązaniu tajemnicy otaczającej Vesper Arkham.

- **Seks i strach** *Mnie, wędrowcowi tobie, co zostajesz - odmienna jesień*

BUSON

- Tokio LATO 1962- JESIEŃ 1971

- W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim roku pułkownik Denis Linnear popełnił błąd, gdyż zapoznał swego syna z Tsunetomo Akinagą. Choć od tamtej pory minęło sporo czasu, Nicholas wciąż zastanawiał się, co skłoniło ojca do podjęcia takiej decyzji. Nie mógł go spytać, bo pułkownik zginął zamordowany w sześćdziesiątym trzecim. Latem sześćdziesiątego drugiego Akinaga był energicznym człowiekiem, tryskającym witalnością niczym dojrziała brzoskwinia. Od wielu lat piastował pozycję oyabuna klanu Shikei. *Shikei* znaczyło „kara śmierci” i Nicholas był niezmiernie ciekaw, dlaczego rodzina obrała sobie taką nazwę. Nikt nie miał zamiaru mu tego wyjaśnić, a już na pewno nie Tsunetomo obdarzony poczuciem humoru zawodowego komika. Starzec - był bowiem dużo starszy, niż na to wyglądał - sypał żartami jak z rękawa, aż chłopcy skręcali się ze śmiechu. Owymi chłopcami byli dwaj młodsi synowie Akinagi, Orni i Hachi, oraz Nicholas. Najstarszy z synów, Tetsuo, od dawna wyznaczony na sukcesora, przebywał w Kobe, rządząc „filiją” klanu Shikei. „Ostrzy zęby” - z uśmiechem powtarzał Tsunetomo. Pozostawało sprawą otwartą, czy Orni i Hachi lubią Nicholasa, imponował im jednak znajomością aikido. Tsunetomo darzył go niekłamanym szacunkiem, gdyż po pierwsze widział w nim syna pułkownika Linneara, po drugie - bez trudu umiał rozpoznać jego ukrytą inteligencję. - Łączysz w sobie dwa światy - powiedział któregoś popołudnia podczas pogawędki przy herbacie i sojowych ciasteczkach. - Nie będziesz miał łatwego życia. Siedzieli sami w tradycyjnie urządzonym pokoju, otwartym na mały skalny ogródek, obsadzony azaliami. Krzewy były starannie przycięte na kształt kamieni, co skłaniało do głębszej zadumy nad związkiem sztuki z naturą. Oyabun prowadził bujne życie, lecz każdego wieczoru, gdy lekcje i zajęcia w dojo dobiegły końca, lubił spędzać godzinę z którymś z chłopców. Twierdził, że to zastępuje mu medytację, do której nie był zdolny od śmierci ojca, zabitego dziesięć lat wcześniej w wojnie gangów.

- Ale nic się nie przejmuj, młodzieńcze, nie zacznę cię nudzić wyrazami współczucia. - Sięgnął po ciastko. - I tak ich nie potrzebujesz. Przewyciężysz swą słabość i dzięki temu poznasz prawdę o ludziach. Staniesz się bystrym obserwatorem. - Potem opowiedział dowcip o wieśniaku i wędrownym mnichu. Nicholas nie potrafił powstrzymać wesołości.
- Taaak... - mruknął Tsunetomo. - Śmiech jest pokarmem dla moich azalii. Spijają go jak wodę i blask słońca. Gdy zaczynają więdnąć, wiem, że tego im właśnie potrzeba.
- Dlatego wciąż pan żartuje?
- Między innymi - przytaknął oyabun, po czym skinął na Nicholasa, by dolał herbaty do czarek. - Choć mój ojciec miał jeszcze lepsze pomysły. Opowiadałem ci kiedyś, jak zakradł się do gospody, gdzie spędzaliśmy wraz z żoną miesiąc miodowy, i przyczepił pod oknem sznur fajerwerków? Ha, ha! Był prawdziwym mistrzem dowcipu, a jego śmierć pogrążyła w rozpacz wielu zacnych ludzi. Moje żarty utrzymują go przy życiu. W chwili, kiedy się śmiejesz, wraca z fajerwerkami pod moje okno.
- Rozmowa miała dla Nicholasa duże znaczenie, gdyż odbywała się wiosną, zaledwie kilka miesięcy po śmierci pułkownika. Tuż po pogrzebie Tsunetomo przestał zapraszać chłopca do siebie. Orni i Hachi, choć przychodzili na każdy trening, także zachowywali się z rezerwą. Nicholas bywał na ogół zbyt zajęty, by zwracać na to uwagę, lecz zdarzały się chwile, gdy tęsknił za popołudniami w domu starego gangstera. Pojął nagle, co dla niego znaczyły rozmowy z oyabunem. Kochał i czcił ojca, lecz pułkownik był częścią świata Zachodu i to właśnie dzieliło go od syna, chociaż na większość spraw patrzył oczami Azjaty. Tsunetomo posiadał coś, o czym Denis Linnear mógł tylko marzyć: wschodnią wrażliwość. Może właśnie dlatego pułkownik postanowił przedstawić mu Nicholasa. Wiosną tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku Tsunetomo pojawił się w dojo. Przez półtorej godziny obserwował trening aikido, patrząc wyłącznie na Nicholasa. Młody Linnear prezentował całkiem niezłe umiejętności, gdyż już wcześniej zaczął ćwiczyć ninjutsu. Widać to było po ruchach i zaskakującym doborze technik, jakimi odpowiadał na ataki mistrza. Oyabun czekał cierpliwie na koniec zajęć, podczas gdy oddział ochroniarzy czaił się gdzieś poza zasięgiem wzroku, by nie psuć atmosfery harmonii, którą sensei kreował na każdym treningu. Nicholas, ucieszony widokiem Akinagi, z radością przyjął zaproszenie na herbatę i ciastka. Kiedy wspominał później tę rozmowę, pojął, że Tsunetomo mocno przeżył śmierć pułkownika. Może szukał podobieństw z losem własnego ojca? Na pewno potrzebował czasu, by ochłonąć, nim zdecydował się na nowo podjąć kontakty z Nicholasem. Postępował nad wyraz ostrożnie, jakby nie chciał sprawić na chłopcu wrażenia, że usiłuje mu zastąpić zmarłego rodzica.
- - Jestem Tsunetomo - powiedział tego wieczoru, patrząc na pączki azalii wychylające się zza krawędzi werandy. - A twój ojciec był pułkownikiem.
- Jestem oyabunem, lecz on był kimś więcej. Tworzył marzenia. Teraz być może tego nie rozumiesz, lecz przyjdzie dzień, gdy przyznasz mi rację. Picie herbaty w domu Akinagi wiązało się z całym ceremoniałem. Była to pora kontemplacji, której nie śmiał przerywać nikt z rodziny ani współpracowników. Tsunetomo nakreślił wyraźną linię, oddzielającą stosunki towarzyskie od tego, co określał mianem „życiowych interesów”.
- - Jak widzisz - mówił do Nicholasa - ogród okalają cztery ściany. Trzy z nich, po

odsunięciu *fusuma*, prowadzą do wnętrza domu, czwartą jest mur posiadłości. Krzewy i skały są niskie. To świadomy zabieg, gdyż nawet najłżejszy podmuch wiatru nie burzy kompozycji. Trzymam światło i cień niczym statek zamknięty w butelce. Siadam tu rano lub tuż przed zmierzchem i widzę, jak wszystko nabiera innych kształtów, choć przecież tak naprawdę nic się zmienia. To prawdziwa natura życia i czasu. Mija noc, ogród budzi się do nowego cyklu.

- Nicholas dostatecznie długo chował w sercu cierpienie, by słowa oyabuna poruszyły w nim czułą strunę.
- Widzę mojego ojca.
- Wcześniej czy później wszyscy wracamy do ogrodu - z cichym zadowoleniem odparł Tsunetomo.
- Nicholas upił łyk gorzkiej zielonej herbaty i przegryzł sojowym ciastkiem. W ciszy, jaka wówczas zapadła, obaj myśleli o pułkowniku. Klęczący na *tatami* Tsunetomo przypominał dumnego daimyo.
- - Opowiem ci pewną historię z zamierzchłej przeszłości - powiedział. - Gdy skończę, pomyśl, jakie miała znaczenie.
- Chrząknął.
- - W latach, nim pierwszy shogun z rodu Tokugawów zjednoczył Japonię, żył magnat, który lubił uganiać się za dziewczkami. Mimo to był człowiekiem honoru i poddani otaczali go szczerą miłością. Miał wielu synów z nieprawego łoża, lecz tylko jeden mógł nosić zaszczytne miano dziedzica. Ten samodzielnie wypchnął się z łona matki, choć był obrócony w niewłaściwą stronę. „Powinien umrzeć” - mówili zdumieni medycy. - „Żona twa, panie, wraz z nim, lecz jego chęć życia jest silniejsza od śmierci”.
- Mijały lata, magnat patrzył, jak syn z dziecka staje się mężczyzną. Podczas wojen chronił go swą własną zbroją i nieugiętym sercem. Bywały jednak dni, że nie mógł zabierać chłopca w długie i niebezpieczne wyprawy, więc zostawiał go pod opieką młodego wasala, któremu ufał równie mocno jak członkom własnej rodziny. W dniu swych dwudziestych pierwszych urodzin syn magnata zapadł na jakąś dziwną chorobę i zmarł mimo modłów rodzica i starań lekarzy. W dniu pogrzebu, gdy wszyscy mnisi z całego księstwa zgromadzili się wokół jasno płonącego stosu, do pustej świątyni przyjechał młody wasal. Zeskoczył z siodła i rozplatał sobie brzuch mieczem przed ołtarzem Buddy. Trzy siewki wleciały do ogrodu. Dwie zaczęły buszować wśród krzewów azalii, trzecia, ćwierkając, przysiadła na czubku najwyższego kamienia.
- Nicholas przez chwilę spoglądał na ptaka.
- Opowieść mówi, że obowiązek nie ogranicza się tylko do członków rodu - powiedział. - Wiele zależy od miejsca i czasu, lecz jeszcze więcej od sumienia. - Spojrzał na Akinagę. - To dobra odpowiedź?
- Nie jestem buddystą sekty Rinzai - stwierdził z uśmiechem oyabun. - Nie znam właściwej bądź złej odpowiedzi. Chciałem jedynie wiedzieć, jak odczytasz moje słowa.
- Nicholas przez lata pamiętał tę historię z dziejów Japonii. Rodzice zaszczytli mu mocne poczucie honoru, lecz gdy wkroczył w wiek męski, wyszlifował je Tsunetomo. Przez osiem lat

Nicholas dwa razy w tygodniu bywał w domu starego oyabuna. Jednak jesienią tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku spotkanie miało całkiem inny przebieg. W pokoju wielkości sześciu *tatami*, w którym Tsunetomo zwykł pijać herbatę i dyskutować o życiu, prócz gospodarza siedziała młoda kobieta. Prawdę mówiąc, wyglądała jak mała dziewczynka, więc Nicholas ze zdumieniem przyjął wiadomość, że niedawno stała się pełnoletnia. Jego dotychczasowe związki z kobietami były burzliwe i nieudane. Nie miał stałej przyjaciółki i rzadko umawiał się na randki. Tsunetomo spojrzał na wchodzącego młodzieńca.

- - O jesteś, Nicholasie. Poznaj córkę mego starego druha. Ma na imię Koei. - Wstał. - Niestety, muszę wyjść na godzinę. Zastąp mnie. Zaparz herbatę i przejmij rolę gospodarza.
- Koei nie była olśniewającą pięknoscią, zwłaszcza dla kogoś, kto chciałby analizować jej urodę. Miała małe i pozbawione wyrazu usta, szeroko rozstawione oczy i twarde, jakby zacięte rysy. Jej skóra była tak biała jak u dziewiętnastowiecznej gejszy, szukającej pod parasolką ochrony przed słońcem. Siedziała z dłońmi ciasno ułożonymi na podolku, przez co zdawała się nadzwyczaj krucha lub - jeśli pokusić się o złośliwość - niedołączna. Nicholasowi przemknęło przez myśl, że mogła cierpieć na jakąś przewlekłą chorobę. Zaczął przygotowywać herbatę. W czasie parzenia, jak każe obyczaj, nie odezwał się ani słowem, lecz potem, gdy napełnił czarke, zaczął opowiadać dziewczynie o azaliach i skałach w ogrodzie, do których miało dostęp jedynie słońce i przypadkowo przelatujące ptaki.
- To musi być dla ciebie niezwykle trudne - odezwała się Koei, jakby wyrwana z zamyślenia. Nie patrzyła mu w oczy.
- Nie rozumiem.
- Zostałeś z kimś, kogo zupełnie nie znasz i nakazano ci, byś pełnił honory domu.
- Ale...
- A Tsunetomo nie należy do osób, którym można odmówić.
- To prawda - uśmiechnął się Nicholas. - Lecz nawet gdyby nie był oyabunem klanu Shikei, spełniłbym każdą jego prośbę. - Przechylił głowę. - To proste... i niezbyt uciążliwe.
-
- Koei trwała w bezruchu, lekko pochylona, wpatrzona w podłogę. Mówiła ledwie poruszając wargami, a jej ciasno upięte włosy błyszczały niczym latarnia w świetle padającym z ogrodu. Emanowała dziwnym, eterycznym spokojem, charakterystycznym na ogół dla mistrzów sztuk walki, choć Nicholas wyczuwał jakąś nieokreśloną różnicę.
- Nie chcę być dla nikogo ciężarem.
- Skąd ci przyszedł do głowy ten pomysł?
- A kim ja jestem? - Odstawiła czarke na stolik. - Nie jestem ładna ani szczególnie mądra. Nie wyobrażam sobie, by ktoś mógł świadomie szukać mojego towarzystwa.
- Nieprawda. Tsunetomo odnosi się do ciebie z dużym szacunkiem.
- Z lekkim niedowierzaniem uniosła głowę. Wyglądała jak sarna oślepiąca światłami nadjeżdżającego samochodu.
- Naprawdę tak sądzisz?
- Oczywiście. Zaprosił cię nawei tutaj, do swego sanktuarium.

- Ty też tu jesteś.
- Zachowywała się jak ślimak, ostrożnie wysuwający czułki ze skorupy, by sprawdzić, czy w pobliżu nie czai się jakiś drapieżca.
- - Traktuję go niemal jak ojca.
- Nicholas opowiedział jej o pułkowniku Linnearze i jego przedwczesnej śmierci. Koei siedziała dziwnie nieporuszona, jakby mówił o ptaku przelatującym nad ogrodem. Nagle zadrżała.
- - Zle się tu czuję.
- Tsunetomo jeszcze nie wrócił. Nicholas postanowił odprowadzić dziewczynę do domu. Była tak krucha i drobna, że bał się ją puścić samą. Minęli kwatery strażników, otaczające dom Akinagi i wyszli na ulicę, gdzie czekał samochód z kierowcą oraz dwóch krępych yakuza. Nie należeli do Shikei, zatem Koei była córką oyabuna innego klanu. „Starego druha”, jak wspomniał Tsunetomo. Dziewczyna stanęła w pół kroku i spojrzała na otwarte drzwi limuzyny, jakby patrzyła w głąb grobu.
- Nie wsiądę.
- Pójdziemy razem.
- Przez chwilę ani drgnęła, nie dała też najmniejszego znaku, że usłyszała słowa Nicholasa. Podobało mu się, że tak otwarcie potępiała postępowanie ojca. Podczas spotkań z Akinagą, urzeczony dowcipem, mądrością i wrażliwością starego gangstera, łatwo zapominał o jego profesji. Zdarzało się jednak, że słyszał cichą przestrogę i czuł w głębi duszy skazę, rosnącą niczym perła w miękkim ciele małża. Na ogół starał się o tym nie myśleć i żyć własnym życiem. Koei mieszkała w otoczonej murem willi, przypominającej nieco dom Akinagi. Jej ojciec, Tokino Kaeda, barczysty mężczyzna o wiecznie posępnej twarzy, był jednym z pomniejszych szefów rodziny Yamauchi, wciąż pogrążonej w chaosie po śmierci oyabuna. Katsudo Kozo wyznaczył następcą swego najstarszego syna, lecz Tomoo, który niedawno przekroczył trzydziestkę, nie
- miał dostatecznego doświadczenia, by stanąć na czele klanu. Kaeda pełnił więc funkcję regenta i próbował przekazać młodemu gangsterowi całą swą wiedzę. Matka Koei była skromną, drobną niewiastą, niemal tak delikatną jak jej córka. Czas odcisnął na niej wyraźne piętno. Zmarszczki, siwe włosy, zadumane spojrzenie... Przyniosła herbatę, zaczęła mówić o kwiatach - na co dzień uczyła ikebany - i o zmianach, jakie przynosi każda pora roku. Gdy Koei przedstawiła jej Nicholasa, zareagowała lekkim zaskoczeniem, lecz powstrzymała się od komentarzy. A miała się czemu dziwić, wzięwszy pod uwagę nieśmiałość dziewczyny. Przez cały czas mówiła w przestrzeń, nie kierując swych słów do nikogo. Tokino Kaeda miał twarde spojrzenie urodzonego kaprała. Wrócił do domu w towarzystwie jednego z synów. Popatrzył na gościa, wręczył chłopcu neseser i kazał iść do gabinetu.
- - Pracuj, póki nie skończysz - powiedział oschle. - Drogo pożałujesz, jeśli popełnisz jeszcze jedną omyłkę.
- Ani na chwilę nie spuścił wzroku z siedzącej w pokoju pary. Matka Koei poszła do kuchni pewnie po to, by przygotować mężowi coś do jedzenia.
- - I co my tu mamy? - mruknął Kaeda, siadając za stołem. Koei wlepiła wzrok w pustą

czarkę i przedstawiła Nicholasa.

- - Akinaga-san uważa go za dobrego przyjaciela - dodała pospiesznie. - Poznaliśmy się właśnie u niego.
- - Nie jesteś yakuza - Kaeda zwrócił się wprost do gościa. - Jak widzę, nawet nie jesteś Japończykiem.
- W połowie należę do Zachodu. Moim ojcem był pułkownik Denis Linnear.
- I podejrzewam, że to stwierdzenie otwierało przed tobą wiele drzwi, które w każdym innym wypadku pozostałyby na głucho zamknięte. - Ostro zerknął na Koei. - Nie jestem Akinagą. Nic nie zyskasz, przychodząc do mnie.
- Nicholas nie odpowiedział.
- Lubię wiedzieć, z kim spędza czas moja córka.
- Ojczy...
- Rozumiem - wtrącił Nicholas, by zapobiec rodzinnej kłótni. - Każdy oyabun postępuje podobnie. Dbą o własny rewir.
- Nie jestem „każdym oyabunem”. A moja córka nie wypadła sroce spod ogona.
- Chcę się tylko z nią zaprzyjaźnić. Olbrzym mruknął coś, wstał i zniknął w kuchni.
- Przepraszam - szepnęła roztrzęsiona Koei.
- Za co?
- ~ Za zachowanie ojca. Wychowywał się na ulicy, a ja... jestem jego jedyną córką. Wciąż żyje w świecie krwi i przemocy... - Przerwała, nie mogąc się uspokoić. - Co będzie, jeśli zginie? Członkowie klanu walczą między sobą, pławią się w nienawiści... Każdy może wbić mu katanę między żebra i przeciąć płuco lub serce... To potworne.
- Oddychała szybko, w rytm słów, aż jej ciało popadło w dziwną wibrację. Nicholas wiedział, że zdarza się to w przypadkach śmiertelnego przerażenia. Strach mógł pobudzić do życia nawet półtrupą. Ostatnia myśl wprowadziła go w osłupienie. Skąd mu przyszło do głowy takie porównanie? W ciągu następnych tygodni widywali się coraz częściej, lecz Koei nadal stanowiła dla niego nieprzenikloną zagadkę. Zakochał się. Być może nie było to czyste uczucie, gdyż w dużym stopniu mąciła je ciekawość, lecz czym w końcu jest młodociana miłość, jeśli brakuje w niej pożądania i silnego poczucia zagrożenia? Im dłużej Koei przebywała w towarzystwie Nicholasa, tym stawała się piękniejsza. Była niczym zmoczona rosą kamelia rozchylająca płatki pod dotknięciem słońca. Jej rysy straciły dawną ostrość i stały się uroczym tłem dla doskonale osadzonych ust i oczu. Nie potrafiła jedynie odpędzić otaczającego ją cienia. Gromadził się nad jej czołem i chował w mroku, gdy siadali skuleni na ławce w podmuchach jesiennego wiatru, czyszczącego ulice z rdzawych i złotych liści klonu. Był zawsze. Wciągał Nicholasa na ścieżkę, z której nie było bezbolesnego odwrotu. Koei spojrzała na zasnuwane chmurami niebo.
- - Zastanawiałeś się kiedyś, jak wygląda życie? Czemu jest tyle bólu i cierpienia? Dlaczego ludzie nie mogą znaleźć ukojenia?
- Zawsze przejawiała skłonność do melancholii, niczym staruszka lejąca gorzkie łzy nad utraconą przeszłością.

- - To po części wynika z naszej natury - odparł Nicholas. - Gdyby nie było cierpień, nie byłoby także religii. Poza tym człowiek lubi borykać się z trudnościami. Bez tego umarłby z nudów.
- Koei wsunęła dłonie pod pachy. Nicholas miał ochotę ją objąć, lecz wiedział, że to niemożliwe. Nie lubiła, by ktoś jej dotykał. Już to, że siedzieli blisko siebie stanowiło odstępstwo od przyjętych reguł. Nicholasowi nie przeszkadzała oziębłość dziewczyny; spotkał już dość „wyzwolonych” kobiet.
- Gdy patrzę w przyszłość, widzę jedynie pustkę - powiedziała.
- Chodzi ci o to, że nie masz zawodu? Lecz przecież wyjdiesz za mąż, dochowasz się dzieci, założysz rodzinę...
- Zadrżała. Pustym wzrokiem patrzyła na wirujące po ziemi liście.
- Nigdy nie... - Pokręciła głową. - Nie lubię mężczyzn, z wyjątkiem ciebie. Ty jeden sprawiasz... - Nie mogła dalej mówić. Nicholas słyszał jej ciężki, pospieszny oddech.
- Przytul mnie.
- Koei...
- Proszę.
- Wziął ją w ramiona. Zamknęła oczy, westchnęła. Łzy pojawiły się w kącikach jej oczu, spłynęły po policzkach i spadły na ziemię.
- - Koei, co się dzieje?
- Otworzyła powieki i spojrzała mu prosto w twarz.
- - Nicholasie... Lubię, gdy jesteś blisko.
- I tak wolno, boleśnie, brnęli dalej. Żywo pamiętał chwilę pierwszego pocałunku. Było to bezkسیężycową nocą. Na wolnym od chmur niebie migotały tysiące gwiazd. Z dala dobiegało pohukiwanie sowy. Dotarli do przedmieść Tokio i tam, z dala od własnych domów, ogarnęło ich poczucie niczym nie skrupowanej wolności, jakby stanęli na nowo odkrytym kontynencie. Koei drżała, zdławiony jęk uwiązł jej w gardle. Potem odsunęła się szybko, jakby nie mogła znieść żaru, który na chwilę ogarnął ich ciała. Dyszała jak po długim, wyczerpującym biegu.
- Koei? - szepnął Nicholas w ciemność.
- Tak, tak. Pocałuj mnie jeszcze raz.
- Dziwnym zainteresowaniem otaczała ślady wojny, widoczne tu i ówdzie na murach miasta. Choć całe Tokio zostało już dawno odbudowane, w niektórych miejscach znać było blizny po nalotach bombowych i pożarach wywołanych napalmem. Koei lubiła tam chodzić w przesyczone złotem jesienne popołudnia, jakby w nadziei, że trafi do ukrytego ogrodu, dostępnego jedynie wybrańcom. Stawała się inna, bardziej przystępna, pozbawiona ochronnej skorupy. Tam też nieświadomie ukazała Nicholasowi własną bliznę, choć nie odkryła związanej z nią tajemnicy. Do tego czasu już wiedział, że w przeszłości została skrzywdzona. Rana zdawała się zbyt głęboka, by zadał ją jakiś niefrasobliwy zalotnik lub niewierny kochanek, choć na pewno była związana ze sferą doznań erotycznych. Koei, z natury zmysłowa, żyła w poczuciu

śmiertelnego zagrożenia, które paraliżowało jej wolę. W jej drobnym ciele ścierały się dwie różne osobowości, walczące o zachowanie równowagi po nie znanym urazie.

- - Jesteś moim zbawcą - wyszeptała pewnej nocy. Ciasno objęci ramionami leżeli na kocu rozłożonym w tym samym miejscu, gdzie jakiś czas przedtem, pod gwiaździstym niebem, przy smętnym pohukiwaniu sowy, połączył ich pierwszy pocałunek. - Ocal mnie.
- Przed czym szukała ucieczki? Nicholas podświadomie znał odpowiedź, lecz wydawała mu się zbyt straszna, by o niej myśleć. Był w głębokiej rozterce, gdyż z jednej strony unikał prawdy, a z drugiej chciał wiedzieć o wszystkim i pomóc dziewczynie odzyskać duchową równowagę. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że zdołałby tego dokonać.
- - Ocal mnie.
- W rzeczywistości jej słowa znaczyły „weź mnie”. Wiedział o tym i ona wiedziała, że on wie. Chciała tego. On także. W porządku. Ostrożnie rozpiął jej bluzkę. Dziewczyna wygięła się lekko, by mógł zsunąć biustonosz. Schylił głowę, chwycił w usta nabrzmiały sutek. Koei jęknęła, wplotła palce w gęste włosy Nicholasa. Tuż przy uchu słyszał szaleńcze bicie jej serca i miał wrażenie, że całe ciało płonie mu żywym ogniem. Za wszelką cenę chciał wnikać w jej wnętrze i otoczyć ją warstwą ciepła i czulej opieki. Pragnął położyć kres jej cierpieniom. Musnął pocałunkiem białe jak śnieg piersi, rozpiął spódniczkę, zsunął w dół razem z majtkami i pochylił się nad leżącą dziewczyną.
- W tej samej chwili krzyknęła, potoczyła się w bok i podciągnęła kolana pod brodę.
- Boże, Boże, Boże... - szlochała.
- Nic się nie stało - dobiegł ją z tyłu szept Nicholasa.
- Nie. Nie. - Gwałtownie pokręciła głową. - Wszystko, o czym marzyłam tygodniami, runęło w gruzy. - Zadrzała. - Nie umiem tego wyjaśnić. Nie mogę...
- Nic się nie stało - powtórzył i łagodnie obrócił ją w swoją stronę. - Spokojnie. Wszystko będzie dobrze.
- Nie - szepnęła. Odszukała go dłonią i zaczęła lekko pieścić. - Nie będzie.
- Koei, nie musisz...
- Chcę. - Miała miękkie, delikatne palce. - Nick... Uwierz mi, łączą nas wspólne pragnienia, ale nie mogę... - Głęboko wciągnęła powietrze, gdy strzelił nasieniem po jej rękę. - Tak... - westchnęła, składając głowę na jego piersi. - Tak...
- Wokół wisiała gęsta zasłona nocy, poruszana jedynie wiatrem i skrzydłami nocnych ptaków, a oni trwali, zawieszeni w czasie i zatopieni w morzu własnych doznań. Nicholas w końcu zdobył się na odwagę, by powiedzieć to, co musiało być powiedziane. Ciaśniej objął dziewczynę.
- - Wiem, że sama nie wyznasz, co zaszło, więc pozwól, że cię wyręczę.
- - Nie! - Zakryła mu usta dłonią. - Błagam... Nicholas stanowczym ruchem odsunął jej rękę.
- - To dla twojego dobra, Koei. Jeśli tego nie zrobię, nigdy się nie uwolnisz od zmory tego, co było. Między nami zostanie przepaść, wiodąca do nieufności i nienawiści. Nie chcę, by tak się stało.
- Przerwał na chwilę, wsłuchany w bicie jej serca. W milczeniu wyraziła zgodę.

- Byłaś zgwałcona, prawda? - Drgnęła, jak ukłuta igłą. - Kiedy do tego doszło?
- Trzy lata, pięć miesięcy i sześć dni temu - mówiła suchym, spokojnym tonem niczym profesor ekonomii. Drzwi wreszcie zostały otwarte.
- Rodzice wiedzą?
- Tak.
- To tłumaczyło apatię matki oraz chorobliwą podejrzliwość ojca. Wciąż nie mogli zapomnieć o tym, co się stało.
- - Kto to zrobił?
- Usiłowała się wyrwać, lecz Nicholas jej na to nie pozwolił.
- - Koei... - Zmusił dziewczynę, by na niego spojrzała. - Spróbuj wyrzucić z siebie tę truciznę. Nie widzisz, co się dzieje? Jesteś szczęśliwa tylko przy mnie, a i to rzadko. - Wrócił myślami do zgwałconych wojną dzielnic Tokio, gdzie czuła się na tyle swobodnie, by nie pamiętać o własnych krzywdach. -
Jeśli rozetniesz ranę, ropa wypłynie na wierzch, lecz musimy wydobyć ją całą, inaczej na dobre stracisz chęć do życia! Wierzę, że chcesz odzyskać zdrowie.
Zwłaszcza teraz.
- Przez długi czas w milczeniu patrzyła mu w oczy. Otworzyła usta, lecz zaraz je zamknęła. Wiedziała, że za późno na płacz i krzyki, choć bariera, jaką trzy i pół roku temu zbudowała wokół siebie, jeszcze nie pękła do końca.
- Kto cię zgwałcił?
- Nie każ mi o tym mówić.
- Wiesz przecież, że to dla twojego dobra.
- On... ja... kolega. Yasuo Hideyuke. Mój... chłopak ze szkoły. Ze starszej klasy. - Spuściła głowę i wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Nicholas kołysał ją w ramionach.
- W końcu zabrakło jej łez i zaczęła mówić cichym, jęklwym głosem:
- - Był... starszy ode mnie. Uważałam go za... opiekuna. Rozumiesz? Ufałam mu. Gdy mnie zaatakował... wszystko stało się nagle. Szybko. Spałam i w pierwszej chwili nie bardzo wiedziałam, co się dzieje. Poczułam bijącą od niego woń alkoholu i... i... coś twardego, jak kij lub dzida, co przyciskało mnie do łóżka. Nie wiedziałam, co robić. Najpierw się szarpałam, potem spłynęło na mnie dziwne otepienie. Pomyślałam, że to nieprawda, że to nie może się zdarzyć. Przestałam walczyć. Czułam, jak rozsunał mi nogi. - Przywarła do Nicholasa, jakby w obawie, że wspomnienia nabiorą realnych kształtów. - Bolało. Krzyczałam, lecz to tylko go podniecało i dyszał ciężko nade mną. We mnie. Zachowywał się dziwnie... nie wiem... agresywnie. Było w nim więcej złości niż pożądania. Dlaczego? Mogłabym nawet zrozumieć trawiącą go żądzę, lecz gniew? Czemu odpowiadał wściekłością na moje zaufanie? Resztkami sił próbowałam go odepchnąć i wtedy mnie uderzył. Chyba sprawiło mu to przyjemność, gdyż bił dalej... choć jednocześnie tkwił we mnie i... Boże! Dość. Starczy!
- Następnego ranka Nicholas jak widmo snuł się po szkole. W dojo nie słyszał komend mistrza, a gdy w końcu wyłądował na macie, rzucony przez jednego z początkujących, pojął, że musi do końca rozwiązać tę sprawę. Postanowił odszukać winowajcę. Znaleźć chłopaka, który zniszczył kruchą roślinę, nim zdążyła na dobre rozkwitnąć. Yasuo Hideyuke nie miał większych

ambicji po ukończeniu szkoły. Stał się zwykłym rybakiem. Przejął łódź ojca i dowodził nią niczym sierżant na placu musztry. Zgodnie z opisem Koei był silny i silnie zbudowany. Chodził wciąż zasepiony, nie lubił bowiem swej pracy, lecz tylko ona dawała mu zarobić na siebie i utrzymanie owdowiałej matki. Bez ogródek oświadczył, że nie podoba mu się wygląd Nicholasa. Był zagorzałym nacjonalistą i jednakowo nie cierpiał Amerykanów i komunistów.

- Co cię obchodzi, czy spotykałem się z Koei? - Stanął na szeroko rozstawionych nogach, by zagrozić wejście na łódkę. - To moje. Zjeżdżaj.
- Nie zdołasz wymazać tego, co zaszło - odparł Nicholas. - Niektóre wspomnienia nie podlegają prawom własności.
- Mam jeszcze dużo pracy - lekceważąco mruknął Hideyuke. - Daj mi spokój.
- Nicholas postawił nogę na pokładzie.
- - Najpierw odpowiesz na parę pytań.
- -Chcesz odpowiedzi? Masz! - Japończyk chwycił stalowy hak i machnął nim w twarz intruza.
- Nicholas zareagował odruchowo. Zamiast się cofnąć, wykonał krok w przód, zrobił unik i uderzył przeciwnika w brzuch krótkim *atemi*. Hideyuke jęknął, głęboko wciągnął powietrze i drewnianą rączką haka trzasnął Linneara w tył głowy. Nicholas zatoczył się z bólu. Wpadł między burtę łodzi i krawędź mola. Hideyuke kopnięciem strącił go z pokładu. Nicholas oburącz przytrzymał się burty. Zawisł nad wodą. Łódź, choć przycumowana, zakołysała się niebezpiecznie i zbliżyła do mola, co groziło Nicholasowi zmiżdżeniem żeber.
- - Podoba ci się nasza rozmowa? - Hideyuke skierował ostry koniec haka na lewą dłoń Amerykanina. Nicholas cofnął rękę, stalowy szpikulec wbił się głęboko w drewno. Ruch, wywołany szarpnięciem, pozwolił Nicholasowi podciągnąć się z powrotem na pokład. Hideyuke nie wiedział, czy ma go zepchnąć, czy próbować odzyskać broń. Po krótkim wahaniu zajął się hakiem.
- Naprężył mięśnie i szarpnął za rękojeść. Uwolnił hak, lecz w tej samej chwili Nicholas kopnął go czubkiem buta w kolano. Hideyuke upadł, choć przedtem zdążył machnąć ręką i pociągnąć przeciwnika za sobą. Spleceni uściskiem tarzali się po pokładzie. Przyciśnięty do desek Nicholas chwycił oblepiony wodorostami bosak. Hideyuke, wciąż uzbrojony w hak, wolną ręką przygniótł mu lewą stopę. Wziął zamach, by zadać miażdżące uderzenie. Nicholas w ostatniej chwili poderwał prawą nogę i kopnął go w głowę. Hideyuke zwiotczał, zatoczył się po chwiejnym pokładzie i runął za burtę, w głąb czarnej wody. Policja przez trzy godziny przesłuchiwała Nicholasa, potem kazano mu iść do domu. Świadkowie nie byli zgodni, kto pierwszy rozpoczął bójkę, lecz wszyscy podkreślali, że odważnie skoczył w topiel, by ratować rybaka. Poza tym był przecież synem pułkownika Denisa Linneara.
- - Muszę ci coś powiedzieć - oświadczył Nicholas, gdy późnym popołudniem odnalazł Koei w jednej z poharatanych dzielnic miasta. - Poszedłem dzisiaj na przystań. Był tam Yasuo Hideyuke.
- Koei zamarła w bezruchu. Wstrzymała oddech. Krew odbiegła jej z twarzy, a w oczach pojawił się lęk zaszczutej ofiary.
- Rozmawiałeś z nim?

- Nie chciał niczego wyjaśnić.
- Przez chwilę wydawało się, że dziewczyna zemdleje z ulgi. Nicholas chwycił ją w ramiona.
- Koei... On nie żyje.
- Kto? - spytała ze zdumieniem, jakiego od dawna u niej nie oglądał.
- Hideyuke.
- Co? Jak?
- Nicholas przypatrywał się jej twarzy.
- - Stoczyliśmy bójkę...
- Bił się z tobą? Ty... Mój Boże, wiem już, co zrobiłeś. - Potem, jakby coś w niej pękło, wydała zduszony jęk. - Po co tam poszedłeś?
- Wiesz przecież.
- Chciałeś zemsty, prawda?! - krzyknęła. - O to ci właśnie chodziło?
- Nie. Ja...
- Prawdę mówiąc, Nicholas nie wiedział, czego szukał. To samo pytanie dręczyło go od chwili, gdy wynurzył się z wody po bezskutecznej próbie uratowania Japończyka. Szukał zwady? Dlaczego? By udowodnić swą wyższość i zmusić winowajcę do skruchy? Czy chciał mu po prostu odpłacić za zło wyrządzone w przeszłości? Nie... Chyba nie. Nie mógłby przecież... W tej samej chwili przypomniał sobie opowieść starego oyabuna o wiernym wasalu, który popełnił seppuku po śmierci księcia. „Obowiązek nie ogranicza się tylko do członków rodu - powiedział wówczas. - Wiele zależy od miejsca i czasu, lecz jeszcze więcej od sumienia”.
- Nie wiem.
- Nie wiesz? - spytała Koei z twarzą tak wykrzywioną złością, że w niczym nie przypominała znanej mu dotąd dziewczyny. - Yasuo był niewinny. Raz czy dwa trzymaliśmy się za rękę. To wszystko.
- Osłupiały Nicholas miał zamęt w głowie.
- - Przecież mówiłaś... Koei zakryła uszy.
- Wiem, co mówiłam! A co miałam zrobić?! Kazałeś mi! Sama też chciałam, ale nie mogłam... nie mogłam wyjawić prawdy...
- Jakiej prawdy?! - Potrząsnął nią tak mocno, że zaszczeła zębami. Nagle poczuł gwałtowne mdłości i ból brzucha. Znów widział, jak Hideyuke stacza się w zbełtaną wodę między łodzią a krawędzią pomostu. - Jakiej prawdy?! - zaryczał.
- Gniew i cierpienie, wypisane na jego twarzy, skruszyły mur kłamstwa.
- - Mój ojciec! Byłam zgwałcona przez ojca!
- Teraz dopiero pojął prawdziwą wymowę faktów, które do tej pory błędnie interpretował. Koei wpatrzona w otwarte drzwi limuzyny, jakby spoglądała do wnętrza grobu, apatia matki, zazdrość przebijająca z zachowania Kaedy, makabryczne obrazy śmierci ojca, wciąż obecne w

opowieściach dziewczyny... „Spałam i w pierwszej chwili nie bardzo wiedziałam, co się dzieje”. Została zgwałcona w domu. Półprawdy i poszlaki; milczenie i kłamstwa. Przyciskając dłonie do oczu, osunęła mu się pod nogi. Za późno. Już nie potrafiła odgrodzić się od przeszłości.

- - Buddo, ratuj!
- Choć ogarniał go gniew, Nicholas ze współczuciem patrzył na leżącą Koei. Wiedział, że nie ma dla niej ratunku. Ani dla niego. Nie bolał nawet nad zawiedzioną miłością. Dokonał wyboru, lecz co przez to osiągnął? Związał się z yakuza i splamił ręce krwią.

- **KSIĘGA TRZECIA** *Czaszka i kości* *Przygasły ogień; noc zapadła głucha - nagle ktoś zakolatał we wrota.* KYOROKU

9KIOTO / WASZYNGTON

- Słyszając odległe nawoływania handlarzy z targu rybnego, Nicholas otworzył oczy. Śniła mu się Koei, choć już od dawna nie wracał do niej myślami. Co przywołało smutne wspomnienia? Wspólnie spędzone dni i noce wydawały mu się zamknięte w pułapce czasu. Obrazy, dźwięki, zapachy, a przede wszystkim uczucia, były tak żywe, jakby cała historia wydarzyła się zaledwie wczoraj. Nicholas cierpiał jak po utracie prawej ręki. Miłość do Koei stała się zjawiskiem fizycznym: rozkwitała pustymi nocami, niczym dziwny, egzotyczny kwiat, nawet w tych latach, które spędził u boku Justine. Okoliczności rozstania sprawiały mu dodatkowy ból. Czuł się zdradzony przez przybraną rodzinę i przez ojca, który zaszczepił mu przyjaźń do yakuza. Nieudolnie próbując naprawić zło, spowodował śmierć niewinnego młodego człowieka. Przy okazji odkrył gniazdo niewybaczalnych grzechów, lecz wciąż nie wiedział, czym bardziej zawinił: tym, że zabił Yasuo, czy tym, że wszedł do świata gangsterów? Od tamtej pory darzył wszystkich yakuza zaciętą nienawiścią. Poczul jakiś ruch, odwrócił się i zobaczył leżącą obok Seiko. Po cichu odrzucił kołdrę, wstał z posłania i rozsunął drewniane shoji. Tradycyjny *ryokan*, na którego piętrze mieszkali, stał przy uliczce odchodzącej pod kątem prostym od ruchliwej Shijo-dori. Centrum Kioto wyglądało podobnie jak w Tokio lub w innych wielkich japońskich miastach, lecz tuż obok rozciągała się kraina drewnianych domów i wąskich zaułków, jakby żywcem przeniesionych z kart historii. Nicholas przed wyjazdem z Sajgonu przekazał kuzynowi Van Kieta tymczasową kontrolę nad wietnamską filią Sato International, lecz tylko po to, by nie dopuścić do dłuższych przestojów w pracy. Nie pozbył się jeszcze wszystkich podejrzeń wobec Seiko, więc wolał ją zatrzymać przy sobie. We trójkę - gdyż towarzyszył im Tachi - przylecieli do Osaki, po czym odbyli pięćdziesięciminutową podróż autobusem do Kioto. W portfelu Pawłowa Van Kiet znalazł dwa bilety - dowód pedanterii Rosjanina - jeden na

- przejazd tam i z powrotem na trasie Osaka - Kioto, drugi z klubu nocnego o nazwie „Ningyo-ro”, Pawilon Lalek. Co dziwniejsze, brakowało rachunku z hotelu bądź gospody. Przez uliczkę co chwila przejeżdżały niewielkie ciężarówki po brzegi wyładowane świeżymi rybami. Wstawał dzień. Targowisko, czynne zaledwie do południa, przez sześć dni w tygodniu opływało krwią i słoną wodą. Nicholas stał w oknie. Patrzył na sprzedawców w wysokich gumiakach, lecz widział jedynie czarną topiel, pozbawioną wszelkiego życia. Od lekcji, jaką niegdyś otrzymał, minęło wiele czasu. Nie szukał przyjaciół wśród yakuza i zapomniał o Mikio Okamim. W zeszłym roku kaisho zjawił się niczym diabeł z butelki i zażądał pomocy. Perfidne zrządzenie

łosu, wiodące w głąb okrutnego, nie określonego do końca świata. To właśnie wówczas Nicholas i Croaker trafili na wietnamskiego mordercę, Do Duka.

- - Nicholas...
- Obrócił się. Seiko już wstała. W pokoju unosił się zapach gotowanej ryby, przyrządzanej przez właściciela gospody na śniadanie. Shidare, oyabun klanu Yamauchi i adept Tau-tau, bez wątpienia już czekał.
- Masz smutną minę. Chcesz herbaty?
- Tak. *Dorno*.
- Wyszła z pokoju, napełniła wodą żelazny imbryk, a po powrocie zajęła się rozpalaniem wbudowanego w podłogę *hibachi*. Nicholas patrzył, jak starannie wsypywała zielone listki do glinianego czajniczka. Potem zalała je wrzątkiem i zamknęła pokrywkę. Usiadł na macie. Seiko wręczyła mu napełnioną czarkę. Wypił pierwszy. Dziewczyna cierpliwie czekała, by coś powiedział. Tęsknił za Croakerem. Rozmowy, jakie od czasu do czasu prowadzili przez telefon, były z konieczności krótkie i rzeczowe. Nie starczało miejsca na wylewność. „Ciekawe, że wciąż mamy do czynienia z kobietami” - stwierdził Nicholas podczas ostatniej konsultacji z przyjacielem. - „Na początek idą siostry, Margaritę i Celeste, z których jedna przebywa w Nowym Jorku, a druga w Wenecji, gdzie mieściła się główna kwatera Okamiego. Potem Renata Loti, matka Dominika, ciesząca się dużymi wpływami w Waszyngtonie, i w końcu Vesper, związana z Dedalusem. Każda z nich, choć pozornie jest tylko narzędziem, posiada olbrzymią władzę” „Umiesz to jakoś wyjaśnić?” - spytał Croaker. - „Sam się już pogubiłem. Vesper nie pasuje do żadnej wymyślonej przeze mnie teorii” „Pozostałe też nie. Mimo to mam przeczucie, że właśnie ona stanowi klucz do zagadki, choć żaden z nas nie potrafi się nim posłużyć. Spróbuj o tym pamiętać, gdy będziesz w Londynie”.
- Wciąż mi nie ufasz, prawda? - Głos Seiko wdarł się w myśli Nicholasa. Dziewczyna zerkała znad krawędzi czarki.
- Nangi zdołał ustalić, że szef grupy roboczej „Projektu Chi”, Masamoto Goei, był zamieszany w kradzież neuronowego chipu. Podejrzewam, że pomogłaś przemycić go do Wietnamu.
-
- To prawda.
- Co? Skinęła głową.
- - Pomogłam, choć nie zrobiłam tego dla pieniędzy, jak sądził Tinh. Ani z pobudek ideologicznych. Chciałam, by Van Kiet i Tachi mogli jakoś się dostać do Pływającego Miasta. Skradzione części, z których Abramow mógł złożyć komputer porównywalny z amerykańskim hive, wydawały się dobrą przepustką. Przynajmniej teoretycznie. Niestety, mimo nacisków Van Kieta Tinh odmówił współpracy, a nie znaliśmy nikogo innego, kto mógłby nas skontaktować z Rockiem.
- Nicholas spojrział na nią z zadumą. Kłamała, czy tym razem mówiła prawdę? Erotyczne drgania, które burzyły jej umysł za każdym razem, gdy próbował weń wnikać, nie pozwalały mu odczytać jej uczuć. Wyjaśnienie brzmiało logicznie, więc co? Był wśród przyjaciół czy w

gnieździe węży?

- Kto zamordował Tinha? Z tego, co mówił Tachi, wynika, że to sprawka Rocka, lecz wciąż brak dostatecznych dowodów.
- Nieważne. Tinh zginął. Nie zdołasz go przywrócić do życia. - Wzięła głęboki oddech. - Zasłużył na taki koniec.
- Lubię znać prawdę. Seiko odstawiła czarkę.
- Więc jej poszukaj. - Wyciągnęła otwarte dłonie. - Użyj Tau-tau. Nicholas siedział bez ruchu, patrząc jej prosto w oczy, aż w końcu zaczęła
- nerwowo trzepotać powiekami. Upiła nieco herbaty i zaczęła mówić:
- - Miałam brata, Matsuro. Muszę powiedzieć ci o jego śmierci, bo towarzyszyły jej... szczególne okoliczności.
- Przerwała, jakby musiała sobie coś przypomnieć. Ostrożnie odstawiła czarkę. Nieruchym wzrokiem patrzyła w przestrzeń.
- - Matsuro był inny - odezwała się w końcu. - Rozwój fizyczny nie szedł u niego w parze z rozwojem umysłowym. - Zamrugnęła, jakby zobaczyła twarz brata w połyskującej białej ścianie naczynia. - Był ode mnie młodszy zaledwie o dwa lata, lecz w głębi duszy pozostał dzieckiem. Nie rozumiał... - Mówiła coraz ciszej, a jej oczy wypełniły się łzami. - Nie rozumiał świata.
- Nerwowo splatała i rozplatała dłonie.
- - Pięć lat temu mieszkaliśmy razem. Matsuro, moja matka i ja. Tej nocy miałam się nim opiekować. Matka poszła do pracy; prowadziła w Kioto *akachochin*. - Coś w rodzaju nocnego baru. - Matsuro zwykł się kąpać wieczorem, przed położeniem do łóżka. To... był jego ulubiony rytuał. Opowiadałam mu różne historie, rozmawialiśmy o codziennych sprawach... Stawał się niemal normalny.
- Znów przerwa.
- - Spotykałam się wówczas z młodym wietnamskim handlowcem, który wprowadzał mnie w tajniki międzynarodowego biznesu. - Głośno przełknęła
- ślinę i sięgnęła po czarkę, lecz jej ręka zawisła w powietrzu. - Właśnie... właśnie zadzwonił. Nie widziałam go od dwóch miesięcy; wyjechał w delegacji do Sajgonu. Telefonował z lotniska. Zo... zostawiłam Matsuro tylko na chwilę, by podnieść słuchawkę. Gdy usłyszałam znajomy głos, byłam tak szczęśliwa, że...Zwiesiła głowę, łzy zaczęły jej kapać na przyciśnięte do ud dłonie.
- - Nie mam nic na usprawiedliwienie... Zapomniałam o całym świecie. Stałam przy telefonie może siedem, osiem minut, gdy nagle uświadomiłam sobie, że Matsuro został sam w wannie pełnej wody. Rzuciłam słuchawkę i popędziłam do łazienki.
- Umilkła. Jak wspinacz, który w drodze na szczyt z wolną przyzwyczajają się do rozrzedzonego powietrza, tak ona musiała przywyknąć do nowej rzeczywistości.
- - Ciągłe widzę tę scenę. Matsuro leży twarzą w wodzie, włosy kołyszają mu się lekko wokół głowy, niczym czułki pięknego morskiego ukwiału. Nie rusza się.

- Łzy nieubłaganym rytmem kapały jej na ręce.
- - Tyle pamiętam. Nie potrafię skruszyć tego obrazu, jest twardy, jak wykonany z diamentu. Reszta przypomina rozmazaną plamę. Wyciągam ciało z wody, przewracam na plecy, robię sztuczne oddychanie, dzwonię po pogotowie, tulę brata, gdy przychodzą go zabrać, jadę do szpitala... a potem płacz matki, krzyki, złość. Matsuro nie żył, gdy wbiegłam do łazienki i nic... nic nie mogłam na to poradzić.
- Nicholas milczał; żadne słowa nie mogły złagodzić jej bólu. Nagle zrozumiał, dlaczego odcięła się od rodziców, dlaczego weszła w głąb mrocznego świata zdrady, przemocy i podstępów. Na pewno wiedziała, co jej grozi przy pierwszym nieopatrzonym kroku. Świsł topora, stuk głowy uderzającej o ziemię i błogie poczucie kary za wyrządzone krzywdy. Nie udawała przygnębienia. Wizja minionych wydarzeń była z pewnością prawdziwa. Powstawało jednak pytanie, co skłoniło dziewczynę do szczerości. Odślaniając swe rany, próbowała za wszelką cenę pokazać, że jest niewinna? A może była zdolną aktorką, odgrywającą ckliwą historię, by zasłużyć na zaufanie? Kochała go i tkwiła po uszy w kłopotach. Co do tego Nicholas nie miał najmniejszych wątpliwości, choć potrzebował większej liczby danych, by jasno ocenić sytuację. Im szybciej mógłby je zdobyć, tym lepiej. Wstał i podszedł do okna. Handlarze zniknęli, został jedynie słony zapach ryb, nieznosnie przywołujący wspomnienia o Koei. Nicholas instynktownie wyczuwał grożące niebezpieczeństwo. Aż za dobrze wiedział, czym grozi przyjaźń z yakuza. Jak na ironię, miał chronić zwierzchnika wszystkich oyabunów, przez co został skazany na towarzystwo dziwnej kobiety, pół Wietnamki, pół Japonki, podejrzanej o udział w sabotażu na niekorzyść jego własnego przedsiębiorstwa. Prawda, był jeszcze młody, ambitny gangster, obdarzony zdolnościami tanjiana. Czy naprawdę tylko Nangi i Croaker zasługiwali na odrobinę zaufania?
- - Skoro nabrałaś ochoty do zwierzeń - mruknął - powiedz, czy Shidare jest ze mną całkiem szczery.
- Seiko milczała przez chwilę. Nicholas słyszał jej krzątanie, w końcu także stanęła przy oknie, ubrana, lecz jeszcze bez makijażu.
- Nie przypomina innych oyabunów.
- To znaczy, że nie czuje się winny, że żyje poza prawem? Nie ma obsesji władzy i wpływów?
- Spuściła głowę. Stała dość blisko, lecz wyczuwała dzielącą ich przepaść. Nicholas wiedział, iż czuła się pokrzywdzona jego podejrzeniami i ostrym tonem. Nie potrafił temu zaradzić. Droga, którą dążyli, by uratować Okamiego przed zabójcami i odkryć, co znaczy „Torch 315”, nim nadejdą idy marcowe, wykluczała inne potrzeby.
- Nie. Chodziło mi o to... Oczywiście, że kieruje się ambicjami, ale... Pozwól, że ci coś powiem. Czasem pomagałam matce jako kelnerka. Tam mnie znalazł. Pomógł w przeprowadzce do Tokio i dał taką pracę, gdzie mogłam szlifować swe umiejętności. - Wyciągnęła rękę, lecz nie odważyła się dotknąć Nicholasa. - To wszystko prawda. Nie mogę znieść myśli, że mi nie wierzysz. Ranisz mi serce swoją nieufnością, a rano, gdy zacząłeś się rzucać przez sen i wykrzykiwać: „Koei!”, dygotałam jak liść na jesiennym wietrze.

- Zapomnij o Koei.
- Dlaczego? Bo jest częścią twojej przeszłości? Śniłeś o niej, choć mogłeś złożyć głowę na moim ramieniu.
- To tylko sen.
- Nim się skończył, poplamiał mi brzuch nasieniem.
- Spojrzał na nią z wyrazem zdumienia na poszarzałej twarzy. Koei - myślał. - Jak długo jeszcze będzie mnie prześladować? Do chwili, aż zerwę wszelkie kontakty z yakuza? Nie, niemożliwe. Zdarzenia z przeszłości powinny odejść w zapomnienie. Seiko miała łzy w oczach. Zagryzła dolną wargę, by nie wybuchnąć płaczem.
- Tachi poradził mi złożyć podanie o pracę w Tomkin-Sato. Cieszyłam się i byłam mu za to bardzo wdzięczna. Potem dostałam polecenie, by przekazać przesyłkę, którą Masamoto Goei przygotował dla Vincenta Tinha.
- Więc historia o „nagłym zauroczeniu”, jakie spłynęło na ciebie w klubie Nangiego, była po prostu kłamstwem.
- Nie kłamstwem, lecz... niepełną prawdą. - Wzięła głęboki oddech. - Chciałam do ciebie podejść i porozmawiać, ale nie potrafiłam. Skamieniałam ze strachu. Nie zniósłabym, gdybyś mnie wówczas odtrącił. Parę miesięcy później Tachi powiedział mi, że twoja firma poszukuje asystentki prezesa. Przygotował mnie do rozmowy.
- Zatem zdążył się przenieść z Kumamoto do Tokio. Jego ówczesnym szefem był Tomoo Kozo.
- Tak. - Seiko skinęła głową. - Szybko piął się po szczeblach hierarchii. Kozo lubił go pytać o radę, zwłaszcza w sprawach Indochin. Wkrótce powierzył mu pilnowanie interesów klanu w tym rejonie. - Starła się mówić i spokojnie, lecz łzy wciąż płynęły jej po policzkach. - Tachi zawzięcie próbuje się dostać za mury Pływającego Miasta. Nie pytaj dlaczego. Nie wiem. Powiedziałam ci chyba już wszystko. Czuję pustkę, w której kołacze jedynie miłość do ciebie oraz poczucie winy za śmierć brata.
- - Niewiele mi pomogłaś. Tachi wciąż stanowi zagadkę. Uznałaś jego zainteresowanie za szczere, choć mogą to być tylko pozory. - Nicholas usłyszał ciche pukanie do drzwi, lecz nie zwrócił na nie uwagi. - A jeśli wykorzystał twoją naiwność? Jeśli z rozmysłem wepchnął cię do mojej firmy?
- Stojący na korytarzu Tachi rozsunął *fusuma* i zerknął do wnętrza pokoju.
- Czas na śniadanie - powiedział wesoło.
- Świetnie wyglądasz w mundurze, wiesz?
- Croaker zmierzał właśnie w stronę bramki oznaczonej numerem dziewiętnaście, lecz stanął jak wryty na dźwięk znajomego głosu.
- Tak, tak - mówił Cesare Leonforte. - Jak z reklamy. „Wzbij się w przyjazne niebo” i tak dalej.
- Nie ta linia - odparł Croaker, patrząc za plecy gangstera. Po pierwsze chciał zdążyć na samolot, po drugie... był wściekły z powodu tego spotkania. Niestety, Leonforte groził, że przy najmniejszej próbie oporu uśmierci Margaritę, więc nie pozostawało mu nic innego, jak tylko

zacinając zęby i słuchać.

- Mówię serio. Milion baksów. Muszę sobie sprawić wdzianko pilota. Moja mała dupeńka wyskoczy ze skóry, gdy mnie w nim zobaczy. Już sobie (wyobrażam...
- Spóźnię się. Co tu robisz?
- Szeroki, obłąkańczy uśmiech. Szeroko rozpostarte ręce.
- Jak to? Szukam cię, Lew. - Leonforte nosił szykownie skrojony garnitur od Armaniego i narzucony na ramiona płaszcz z wielbłądziej wełny. Buty za sześćset dolarów połyskiwały w światłach lotniska. - Chodź, pogadamy chwilę.
- Z niewypowiedzianą rozkoszą, lecz nie mogę. Może innym razem.
- Teraz. - W oczach Leonforte'a zamigotały czerwone ogniki, a uśmiech zmienił się w pusty grymas. - Myślisz pewnie, że samolot odleci bez ciebie? Wolne żarty. Na pewno się nie spóźnisz. Jesteś zbyt cenny, a ja mam swoje I układy, jasne?
- Co najmniej trzech „goryli” zajęło miejsca w strategicznych punktach lotniska. Profesjonalna robota. Caesare skierował się w stronę drzwi opatrzonych napisem „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Po chwili znaleźli się w spartańsko urządzonej i pozbawionym okien pomieszczeniu. Stara kanapa kryta skórą, cztery krzesła i rozkładany stół, na którym stał ekspres do kawy i parę papierowych kubków, a obok wałały się plastikowe łyżeczki, cukier, słodzik „sweet’n’low” i pojemniczki z kondensowaną śmietanką. Całość sprawiała tandetne wrażenie.
- - Czym chata bogata - z humorem mruknął Caesare. Co chwilę był
- w innym nastroju. - Chryste Panie, myślałem, że lepiej traktują pilotów. - Przesunął dłonią po kędzierzawych włosach i spojrzał na Croakera. - Jak ci idzie?
- Całkiem nieźle. Postaraj się tylko nie wciskać tłustych paluchów tam, gdzie nie trzeba.
- Nerwusik... - Leonforte pogroził mu palcem. - Przyjdzie czas, że docenisz ojcowską opiekę, jaką cię otoczyłem.
- Daj spokój - odpowiedział Croaker. - Dość, że wepchnąłeś mnie na arenę, choć ani przez chwilę nie miałem zamiaru występować w twoim przedstawieniu.
- Nim skończył mówić, wiedział już, że popełnił błąd, lecz widok Leonforte'a doprowadzał go do szału. Caesare jednym długim krokiem znalazł się tuż przy nim, chwycił go za kłapy i docisnął do twardej, okopconej ściany. Croaker zwinął w pięść mechaniczną dłoń, lecz nie uniósł ręki.
- Nie szuraj, brachu, jak mówią *mooinyan* w niektórych dzielnicach. - Caesare pokiwał głową i dał krok do tyłu. - A skoro mowa o przedstawieniach, po co, do kurwy nędzy, łazisz za Vesper Arkham? Jeśli spędzisz z nią jeszcze chwilę, będziesz naprawdę potrzebował mojego wsparcia.
- Taka pomoc akurat najmniej mi potrzebna.
- Taaak?... Wyobraź sobie, że jestem twym ukochanym ojcem chrzestnym. Gra słów w pełni zamierzona. Tam, gdzie próbujesz wpełznąć, cmokniesz każdą przyjazną dłoń. - Leonforte wyszczerzył zęby. - Pierdol się, facet. Dobrze wiem, co o mnie myślisz. Uważasz, że w

ewolucji plasuję się zaraz za gorylem z zoo. - Stuknął Croakera palcem w pierś. - Musisz jednak wiedzieć, że to mnie głównie obchodzi. Jasne? O, właśnie. Masz pełne prawo być takim samym dupkiem jak inni. Nie będę przez to zarywał nocy. Spróbuj tylko pamiętać, że mam na ciebie oko. Sądziś może: „Wyfruwać z kraju, więc mogę działać o wiele swobodniej”. Nic z tego. Jeśli spróbujesz mnie wyrolować w Londynie lub gdzie cię jeszcze zanieś, skopię ci tyłek podkutymi butami i to nie będzie przyjemny widok. Zrozumiałeś?

- - Jasno i wyraźnie. Każde słowo. Caesare wybuchnął śmiechem.
- Masz odzywki urodzonego pilota. Coś ty zrobił, pomachałeś federalną odznaką przed nosem dyrektora linii?
- Mniej więcej. Pożyczyli mi mundur i dołączyli do załogi drugiego samolotu startującego dziś do Londynu. - Croaker z uwagą spojrzał na Leonforte'a. - Skończyłeś z pogrozkami? Mogę odejść?
- Gangster zamachał ręką.
- - Rób, kurwa, co chcesz, Lew. Wbij sobie tylko do głowy, że każda akcja równa się reakcji. Myśl o konsekwencjach przed podjęciem decyzji, nie potem. Nie biorę jeńców.
- Olbrzymi samolot miał parę minut spóźnienia i Croaker, po zajęciu wyznaczonego miejsca, zastanawiał się w duchu, czy to robota Leonforte'a. Wszedł na pokład jako ostatni i od drzwi zerknął w głąb kabiny pasażerskiej,
- by sprawdzić, gdzie siedzi Vesper. Zajmowała miejsce w pierwszej klasie, wśród innych milionerów i milionerek. Nie chciał myśleć o pogrozkach Leonforte'a, lecz wiedział, że gangster nie ustąpi. Pewnie kazał go śledzić, skoro we właściwej chwili pojawił się na lotnisku. Potrafił wstrzymać odlot tylko po to, by odegrać scenkę, która miała znaczenie wyłącznie psychologiczne. Na swój sposób przypominał Dominika Goldoniego. Cóż to za świat, gdzie przestępcy cieszyli się poważaniem w tajnych kręgach administracji, współpracowali z japońskimi yakuza przy sprzedaży nowoczesnej broni, a prócz tego prowadzili całkiem legalne interesy? W niczym nie przypominali zwykłych sycylijskich *gavones*, rozbijających głowy przeciwnikom i taplających się w krwi, gdy coś nie szło po ich myśli. Każdy z nich miał chłodny, wyrachowany umysł oraz zadziwiająco zdolność dedukcji, sporo wykraczającej poza przyziemne sprawy biznesu. Goldoni uprawiał czyste kuglarstwo, a Caesare? Egocentryk i domorosły filozof, obdarzony porywczym temperamentem. Mimo wszystko ustępował Dominikowi, a nawet własnemu ojcu, Waxmanowi. Leon Waxman, człowiek o tysiącu twarzach, podczas służby w amerykańskiej armii okupacyjnej stacjonującej w latach czterdziestych w Japonii znany był jako Jonathan Leonard, lecz naprawdę nazywał się John Leonforte. Miał trójkę dzieci: Caesare'a, Michaela i córkę Jaqui, która zginęła w wypadku samochodowym w dwudziestym roku życia. Michael stanowił istną zagadkę. Urodzony buntownik, nie uznający żadnych autorytetów, wstąpił do Służb Specjalnych podczas wojny w Wietnamie. Wkrótce zdezerterował gdzieś w pobliżu laotańskiej granicy. Nikt nie zdołał go odnaleźć, choć dowództwo wysłało w ten rejon kilku superagentów. Nie wiadomo nawet, czy żyje, czy zginął. Mikio Okami był przekonany, że zabił domniemanego Leonarda podczas gwałtownej bójki wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku. Jonathan jednak przeżył, w sobie

wiadomy sposób dotarł do szpitala, a później, by zlikwidować bliźnię, poddał się kilku operacjom plastycznym i wrócił do Stanów jako Leon Waxman. Wkradł się w łaski senatora Richarda Dedalusa - jak to zrobił pozostawało kolejną tajemnicą - i objął zwierzchnictwo nad tajną agencją wywiadowczą, w której działał tak długo, póki nie został zdemaskowany i zastrzelony. Croaker znał Waxmana głównie z opowiadań matki Dominika, Faith Goldoni, która za młodu spędziła parę lat w Tokio. Ona także zmieniała nazwiska jak rękawiczki. Teraz, w Waszyngtonie, występowała jako Renata Loti i posiadała niemało wpływów w najwyższych sferach rządowych. Croaker poznał ją dzięki Margaritę i stwierdził, że ma do czynienia z wyjątkową kobietą. To właśnie ona przyczyniła się bezpośrednio do upadku Waxmana. Zastanawiające, że ani słowem nie wspomniała o Dedalusie. Choć teraz Croaker był bardziej zainteresowany związkami senatora z pentagońską agencją DARPA. Ciekawe, czy tam ktoś wiedział, że torch 315 eksploduje w marcu nad nieznaną częścią świata. Fakty wskazywały na to, że Okami i nieodżało-

- wany Dominie Goldoni utrzymywali ściśle kontakty z Dedalusem. A już na pewno byli wplątani w działalność Morgany, czyli w pokątny handel bronią. Przybywa biesiadników - myślał Croaker. Dominie przedstawił senatorowi swą siostrę, a tym samym zapewnił jej dostęp do DARPA. Margaritę była przyjaciółką Vesper, a ta z kolei miała kontakt z Okamim. Wszyscy aktorzy na scenie; czas, by każdemu przydzielić właściwą rolę. Zamknął oczy i po chwili zasnął. Błąd. Obudził się w chwili startu, czując ściekającą po wargach strużkę potu. Miał mokrą koszulę pod pachami. Współprzytomny, wciąż widział fragment przedstawienia urzeczywistniający jego najgorsze lęki. Po widmowej scenie krążyły dwie kobiety. Namiętne szepty, zmysłowy szelest satyny ocierającej o nagą skórę... A potem, gdzieś w ciemnościach odezwała się Margaritę. „Zabij go!” - powiedziała do Vesper. Croaker wiedział, że mówi o nim. Błękitny dym przypominał mgłę. Miedziane cienie tańczyły pod sufitem, animowane muzyką płynącą z czarnych głośników otaczających ogromną maszynę do karaoke. Skomputeryzowane urządzenie było ozdobione od frontu chromowaną kratą, przez co przypominało chłodnicę starego amerykańskiego samochodu. „Techno-retro” stanowiło w Japonii ostatni krzyk mody, choć nikt nie wątpił, że za trzy miesiące maszyna powędruje na śmietnik, a na jej miejscu pojawi się nowa, wykonana w całkiem odmiennym stylu. Niski mężczyzna w ciemnym garniturze próbował śpiewać *Be My Love*. Jak widoczny na ekranie Jerry Vale przesunął dłonią po skroni, odgarniając z czoła szpakowate włosy. Supernowoczesny klub „Ningyo-ro” w Kioto rozbrzmiewał ogłuszającą muzyką. Nicholas i Tachi, którzy trafili tu po śladach W.I. Pawłowa, zatrzymali się w progu, oszołomieni błyskami świateł i kakofonią dźwięków. Migoczący tysiącem odcieni kolaż czerni i chromu zmienia! kształt pomieszczenia. Za główną salą znajdowała się druga, mniejsza i urządzona na wzór dyskoteki z lat siedemdziesiątych. Klub był spowity gęstą zasłoną dymu. Podchmieleni goście rozprawiali o polityce, interesach, biurokracji i aferach z udziałem yakuza. Każda rozmowa przypominała skomplikowany balet pełen umizgów, obietnic, buńczucznych deklaracji i konwenansów zupełnie niezrozumiałych dla przybysza z Zachodu. Nicholas i Tachi z wolna sunęli przez tłum, kierując się w stronę baru. Szynkwias był oświetlony od spodu jarzeniówkami, a w jego szklanym cielsku, wśród kolorowych bąbli majaczyły postacie bohaterów dramatów no. Całość przypominała stary gwiazdkowy lampion lub przerośniętą szafę grającą Wur-litzera. W pobliżu owej atrapy żywcem wyjętej z planu „czarnego filmu” lat czterdziestych Nicholas zauważył smukłą kelnerkę niosącą tacę z drinkami do stolika, przy którym siedziało paru rozweselonych biznesmenów. W białym

- tradycyjnym makijażu wyglądała jak porcelanowa lalka. Spocony Japończyk sięgnął po piwo. Spod rękawa koszuli wysunął się fragment barwnego *irezumi*. Nicholas i Tachi zamówili po butelce piwa „Sapporo”. Na estradzie kolejny amator śpiewania w nieudolnej parodii Elvisa wykrzykiwał „Viva Las Vegas!”. Choć bardzo się starał, nie potrafił zakołysać biodrami, co wywołało powszechny wybuch śmiechu.
- Wątpię, czy zdołamy odszukać tajemniczego Zao - mruknął Tachi.
- Pamiętaj, że Rosjanin miał mało pieniędzy - odpowiedział Nicholas. - Skoro spędził tu cały wieczór, na pewno nie musiał płacić.
- Sądysz, że zaprosił go Zao?
- Tak - skinął głową Linnear. - Może wszedł w układ z właścicielami.
- Ale jak go znaleźć? To przypomina szukanie plastikowej igły w stogu siana. Nie pomoże nawet wykrywacz metalu.
- Nicholas wyszczerzył zęby.
- Zrobimy na odwrót. To on nas znajdzie. - Skinął na barmana i pochylił się nad szynkwasem. - Zao powinien wiedzieć, że przysłał nas Pawłów! - powiedział głośno, by przekrzyczeć muzykę. - Jest zły, bo nic nie wyszło z planowanego kontraktu. Bardzo zły.
- Nie znam żadnego Zao - odparł barman.
- Wierzę. Pawłów dał nam dla niego pewną wiadomość. - Nicholas poklepał się pod pachą, jakby miał tam ukryty pistolet. - Chyba rozumiesz.
- Barman wzruszył ramionami i oddalił się posuwistym krokiem. Nalał trzy porcje whisky, dwie sake, parę kufli piwa.
- Co myślisz? - odezwał się Tachi.
- Zobaczymy - mruknął Nicholas. - Jeśli Zao jest stałym bywalcem, na pewno się dowie, że przyszliśmy.
- Niedoszły Presley, niemiłosiernie fałszując śpiewał teraz własną wersję *Feelings*. Rockowe karaoke można jeszcze wytrzymać, lecz ballady to istna zgroza - pomyślał Nicholas. - Powinny być zakazane. Tachi dopił piwo, więc Nicholas odwrócił głowę, by zamówić następną kolejkę. Barman zniknął. Mógł to być dobry omen, chyba że facet po prostu poszedł się wysikać. Z mniejszej sali wyłonił się jakiś yakuza. Z liczby towarzyszących mu *kobun* - „żołnierzy” gangu - wynikało, że piastował pozycję niewiele niższą od oyabuna. Nosił typowy strój japońskiego gangstera: ciemne okulary, czarny garnitur we wzory przypominające rybią łuskę, białą koszulę z godłem wyszywanym na piersi, prążkowany krawat i lakierki.
- - Idzie do nas - powiedział Nicholas. - Sam się tym zajmę - dodał, zanim Tachi zdążył się odwrócić. - Może w ten sposób unikniemy wojny klanów.
- Yakuza był już trzy kroki od baru. Nicholas wyczuł jego zamiary i zdążył się przygotować. Barczysty gangster o złej, zaciętej i dziobatej twarzy wepchnął się tuż obok niego, trącając go w ramię i wylewając resztkę piwa. Nie przeprosił, nawet nie spojrzął za siebie, lecz energicznym ruchem
- wezwał wracającego barmana i zamówił kirin. Nicholas wyczekał na odpowiednią

chwilę, po czym spokojnie wyciągnął rękę, sprzątnął kufel gangsterowi sprzed nosa i wysączył go do ostatniej kropli. Na koniec mlasnął z zadowoleniem. Yakuza niemal natychmiast zgniótł mu prawe ramię w żelaznym uścisku. W jego oczach błysnęło zdumienie, gdy pod cienkim materiałem koszuli wyczuł twarde mięśnie.

- - Nie umiesz się zachować, *i teki* - powiedział po japońsku z twarzą pociemniałą z gniewu.
- Nicholas uwolnił rękę, ugiął kolana i uniósł prawą dłoń.
- - Domagam się posłuchania - powiedział zgodnie z odwiecznym zwyczajem przyjętym wśród yakuza.
- Gangster osłupiał, lecz zaraz warknął groźnie:
- - Kpisz z naszych tradycji, *iteffi*.
- Nicholas puścił pytanie mimo uszu i powtórzył prośbę. Yakuza przyjął odpowiednią pozycję.

- Także mam coś do powiedzenia - odparł ceremonialnie.
- Stoisz ode mnie wyżej w hierarchii klanu, więc powinieneś słuchać pierwszy.

- Yakuza skinął głową i wyprostował się. Nicholas zrobił to samo.

- Mów, *iteki*.
- Nazywam się Nicholas Linnear. Urodziłem się w Singapurze. Nie należę do żadnego rodu.
- Yakuza skwitował to krótkim parsknięciem. - Celowo rozlałeś piwo, popchnąłeś mnie i obrzuciłeś wyzwiskami. Domagam się zadośćuczynienia.

- Gangster uśmiechnął się drwiąco i wypiął pierś. Spod rozchylonej marynarki wyjrzała kolba pistoletu.
- - W jakiej formie?
- - Okazałem ci należny szacunek. Podałem nazwisko i miejsce urodzenia. Zbity z tropu yakuza milczał przez chwilę.

- Nazywam się Kine Oto, choć używam także imienia Zao. Urodziłem się w Kioto i należę do klanu Dokudokushii. - Zawadiacko wysunął podbródek. - Słyszałem, że masz dla mnie wiadomość od Rosjanina.
- Teraz się rozumiemy - z ukłonem odparł Nicholas. - Proponuję partię *karuta*.

- Zao zawahał się. *Karuta* było tradycyjną grą w karty, popularną niegdyś tylko wśród japońskiej elity. Z czasem, gdy zaczęły dominować inne, nowocześniejsze formy rozrywki, przybrało formę hazardu, ulubionego zwłaszcza przez gangsterów.
- - Wyśmienicie - wycedził w końcu yakuza ze źle skrywaną satysfakcją. Wskazał na wolny stolik. - Zagrajmy.
- O zwycięstwie decydował odpowiedni układ kart oznaczonych wizerunkami kwiatów. Barman wręczył im talię i z wyraźnym zakłopotaniem przystał na propozycję Nicholasa, który zaproponował mu rolę krupiera. Siedzący naprzeciw Zao nie wyraził sprzeciwu. Popukał palcem w talię.

- Skoro wybrałeś rodzaj gry, pozwól, że ja ustalę stawkę. Zgoda?

- Zgoda - odparł Nicholas, choć kątem oka widział, że Tachi niespokojnie przestąpił z nogi na nogę.
- Zao zrobił kwaśną minę i potoczył wzrokiem po sali.
- Jeśli przegrasz, zapomnisz, kto cię przysłał i po co. Prócz tego staniesz na scenie i wygłosisz publiczne przeprosiny.
- A jak wygram?
- Nie wygrasz.
- Jak wygram, powiesz mi wszystko o Rosjaninie i prawdziwych powodach jego wizyty.
- Nicholas nie zwrócił uwagi na ostre spojrzenie Japończyka. Ukradkiem obserwował jego ruchy. „Mowa ciała” pozwalała mu w pełni kontrolować przebieg partii. Zao skinął na barmana. Początkowe rozdania nie przyniosły żadnego rozstrzygnięcia. Za trzecim razem szczęście uśmiechnęło się do Nicholasa. Zao miał ósemkę, dziewiątkę i trójkę. Przegrał, a w dodatku jego układ kart tworzył *kanji* na słowo *ya-ku-za*.
- Wygrałem. - Nicholas wstał od stołu. - Pamiętaj o stawce, Zao-san. Musisz powiedzieć mi wszystko, co wiesz o Pawłowie.
- Za godzinę wychodzę. Wtedy porozmawiamy.
- Nicholas skinął głową i podszedł do baru, gdzie czekał Shidare. Zao odprowadził go ponurym spojrzeniem.
- Nie ufam mu - mruknął Tachi, wskazując za siebie. - Wyraźnie nie lubi przegrywać.
- Wiem. - Nicholas zamówił dwa piwa. - Ale nie miałem wyboru. Zwrócił na nas uwagę, a teraz musimy się mocno pilnować, żeby nie nam nie dokopał.
- Zao opuścił klub późną nocą. Nicholas i Tachi poszli za nim. W wąskiej uliczce zimny wiatr kołysał czerwonymi lampionami zawieszonymi na żelaznych uchwytych. Przechodniów nie było, lecz tuż przy krawężniku stał długi rząd pojazdów.
- - Gdzie on zniknął? - Tachi rozejrzał się po okolicy. - Zdaje się, że nie miał ochoty na rozmowę.
- Nicholas w duchu przyznał mu rację. Nagle błysnęły światła zaparkowanego w pobliżu samochodu.
- *Iteki!*
- Zao - wymruczał Tachi.
- Potężna sylwetka gangstera zamajaczyła w jaśniejącym kręgu, niczym czarny ptak na tle słońca.
- Czas płacić! - zawołał Nicholas. - Chcę odebrać wygraną.
- Co powiesz na mały rewanż? - Tubalny głos Zao zahuczał w pustym zaułku.
- Nic z tego - odparł Nicholas. - Przegrałeś. Musisz się z tym pogodzić.
- Nie bardzo mi odpowiada, że zostałem upokorzony przez mieszańca.

- Zapomniałeś o obietnicy?
-
- Zao podszedł bliżej i wybuchnął grubiańskim śmiechem.
- Nie zwykłem dotrzymywać słowa wobec jakiegoś *iteki*.
- Więc jesteś pozbawiony poczucia honoru.
- Bzdury! Co barbarzyńca może wiedzieć o honorze? - W olbrzymiej dłoni złowieszczo błysnął pistolet. - Znaczysz dla mnie nie więcej niż robak, który nieopatrznie wyszedł mi pod nogi. - Zao zrobił jeszcze jeden krok. - Zjeżdżaj albo cię zgniotę.
- Ruch Nicholasa był tak szybki, że nawet Tachi nie zdążył zauważyć, co się stało. Szczęk odwodzonego kurka obudził instynkt tanjiana. Naturalną ludzką reakcją w przypadku nagłego ataku jest ruch w stronę napastnika. Nicholas już w dzieciństwie, dzięki treningom aikido, wyrwał się z tego uzależnienia i poznał inne sposoby obrony, zwłaszcza takie, które pozwalały wykorzystać energię przeciwnika. Reszta była sprawą instynktu. W chwili bezpośredniego zagrożenia - gdy o życiu lub śmierci rozstrzygały ułamki sekund - nikt nie myślał o wyborze strategii lub odpowiedniej techniki. Ledwie starczało czasu na odruchową obronę. Nicholas poczuł jak jego *kara*, źródło siły, eksploduje potężnym strumieniem energii wewnętrznej *ki*. Chwycił rękę trzymającą pistolet, okręcił się w prawo i nasadą lewej dłoni trzasnął niczym młotem w odsłonięte biodro gangstera. Zao zachwiał się ze zduszonym sapnięciem. Nicholas wykręcił mu prawą rękę, aż posłyszał trzask pękających kości nadgarstka. Pistolet upadł na ziemię. Zao osunął się na kolana, a w tej samej chwili rozległ się tupot butów po cementowym chodniku. Nadchodziła odsiecz. Tachi przykucnął, chwycił porzuconą broń i kilkoma strzałami rozbił reflektory samochodu. Z półmroku wyjrzały widmowe twarze żołnierzy klanu Dokudokushii.
- - To nie wasza walka - spokojnie odezwał się Shidare. - Oyabun złamał słowo i ponosi odpowiedzialność za to, co zaszło. Zapomniał o honorze. Nikt z was nie ma obowiązku go chronić.
- Nicholas wyczuwał napięcie wibrujące w powietrzu niczym gorący podmuch wiatru. Yakuza nie zaatakowali, lecz żaden z nich nie przejawiał chęci ucieczki. Zaczął więc do nich mówić dziwnym, hipnotyzującym głosem, wydobywanym gdzieś z głębi kratni, zgodnie z prastarą sztuką Tau-tau. Litanie trwała, póki niepokój gangsterów nie zmalował do pewnego poziomu. Nicholas zyskał około dwudziestu sekund, by podjąć działanie. Nie przerywając koncentracji, wskazał na Zao. Shidare w lot zrozumiał, co robić. Wepchnął oszołomionego gangstera na tył samochodu, a sam zasiadł za kierownicą. Nicholas długim susem skoczył do wnętrza wozu, zamknął drzwiczki i odjechali w mrok nocy.
-
- **10 TOKIO / LONDYN / KIOTO**
- Nie ma jej - oświadczył młodzieniec na wózku inwalidzkim. - Wyjechała na kilka dni. W czym mogę pomóc?
- Dziękuję, Ken - uśmiechnął się Ushiba. - Nie chciałbym niepotrzebnie zabierać ci czasu.
- Zbytek uprzejmości, daijinie. - Ken wzruszył potężnymi ramionami. - Kaleka nie cierpi na nadmiar obowiązków. Wiem poza tym, że nie przyszedłeś poplotkować z Kisoko.

- Ushiba skinął głową. Zdążył przywyknąć do nieco opryskliwego zachowania Kena. Dla innych mogło to być przejawem niegrzeczności, lecz tak naprawdę świadczyło tylko o porywczym usposobieniu. Syn Kisoko nie uznawał żadnych autorytetów - co samo w sobie było dość dziwne u Japończyka - a etykietę uważał za rodzaj długotrwałej zadyszki. Możliwe zresztą, że czynił tak wyłącznie po to, by wyrzeć większe wrażenie na rozmówcach. Nie musiał tego robić. Był wyjątkowym człowiekiem, silnym i znakomicie wytrenowanym w sztukach walki, co pozwalało zapomnieć o jego ułomności. Miał także ogromny zbiór starej japońskiej broni, jakiego nie powstydziliby się niejedno muzeum. Ushiba darzył go niemałą sympatią, choć Ken wciąż mu dokuczał docinkami na temat polityki. Kisoko wspomniała kiedyś z dumą, że za jego prowokacyjnym zachowaniem kryła się chęć odkrycia prawdziwych doznań i myśli innych ludzi. Ken na swój sposób był utalentowanym socjologiem i czasem traktował swój dom niczym rozległe laboratorium, w którym mógł przeprowadzać dziwaczne eksperymenty.
- Z chęcią zostanę - powiedział Ushiba. - Lubię choć na chwilę oderwać się od świata.
- Otóż to. - Ken odjechał korytarzem w stronę kuchni na tyłach budynku. - Tu żyjemy jakby na marginesie czasu, nieprawdaż?
- Miał przystojną, pociągłą twarz i łagodne brązowe oczy, świadczące o nieprzeciętnej wrażliwości, tłumionej cierpieniem. Otaczała go aura smutku,
- wyraźnie wyczuwana przez Ushibę, który podobnie jak on był niespokojnym duchem, błakającym się w oceanie bólu.
- Wszędzie wciąż trwa nieubłagany wyścig zdarzeń - mówił Ken. - Liberałowie stracili dominującą pozycję. - Uśmiechnął się kpiąco. - Dostali za swoje.
- Pełnili ważną rolę w rozwoju kraju i moim zdaniem nieprędko odejdą w zapomnienie.
- Nie wątpię, że darzy pan współczuciem swoich starych przyjaciół. Choćby Yoshinoriego - kwaśno mruknął młodzieniec. - Dla mnie jest on symbolem dawnej chciwości.
- Gdy byłeś dzieckiem, Yoshinori toczył już bitwy na wielu frontach. To dzięki niemu Japonia stała się mocarstwem gospodarczym. Dzięki ludziom jego pokroju.
- Dzięki takim jak pan, daijinie.
- Ushiba nie odpowiedział. Czasem Ken stawał się męczący. Miał niespożytą inteligencję, lecz nigdy nie było wiadomo, czy przedstawia szczerze swój punkt widzenia, czy stosuje perfidną zagrywkę dla wywołania dyskusji.
- - Właśnie siadałem do lunchu - powiedział, zatrzymując wózek przy kredensie. - Zje pan ze mną?
- Ushiba skinął głową. Ken wręczył mu dwa talerze świeżo przyrządzonych sushi z dodatkiem sporej ilości chrzanu *wasabi* i marynowanego imbiru. Potem wyjął z lodówki butelkę piwa. Owalny dębowy stół nadawał kuchni europejski wygląd. W domu Kisoko i Kena niemal na każdym kroku Wschód łączył się z Zachodem, jeśli nie w doskonałej, to w całkiem znośnej harmonii. Jedli w milczeniu. Ushiba miał powód do dumy, gdyż Ken rzadko zachowywał się tak swobodnie w czyimś towarzystwie. Był raczej wnikliwym obserwatorem niż sprawcą zdarzeń. Może podobna postawa wynikała z jego ułomności. Lepszy status biernego uczestnika niż żaden.
- Co w świecie wielkiej polityki? - zagadnął w końcu młodzieniec. - Zdaje mi się, że

dobrze pan poznał zasady gry, skoro tak długo piastuje pan swoje stanowisko.

- Prawdę mówiąc, idzie mi coraz trudniej. Zbyt wiele frakcji, zbyt wiele potyczek w różnych miejscach...
- Starość nie radość - bez ogródek oświadczył Ken. - Ktoś, kto zaczyna odczuwać zmęczenie, powinien zrezygnować.
- Zrezygnować?
- Odejść, nim zginie przytłoczony lawiną błędów.

- Ushiba powstrzymał gniewną odpowiedź, cisnącą mu się na usta pod wpływem brutalnych słów Kena. Z drugiej strony nie wątpił w trafność tej analizy. Syn Kisoko wyraził jedynie to, do czego on, daijin, bał się przyznać.

- Racja - stwierdził smutno i odsunął opróżniony za ledwie w połowie talerz. Nie mógł jeść tyle co pół roku temu. - Pod koniec łowów reguły ulegają zmianie i stary myśliwy staje się zaszczutą ofiarą.
- Każde zwierzę wzrasta w zapachu krwi - mruknął Ken. Usta wypchane miał rybą, imbirem i ryżem.
-

- Pamiętam czasy, gdy mogłem tak powiedzieć o sobie - uśmiechnął się Ushiba.
- Wszystko zależy od tego, czy zachował pan wolę walki.

- Daijin z nagłym zainteresowaniem popatrzył na swego rozmówcę. Przy-wyczał się myślach nazywać go młodzieńcem, lecz przecież Ken już przekroczył czterdziestkę. Zachował jednak gładkie oblicze, ciemne włosy dwudziestolatka i nic nie stracił z dawnego temperamentu. Ushiba wyprostował plecy, ignorując zagnieżdżony w wnętrzościach kłęb bólu.

- Niektórzy rodzą się ze smakiem krwi w ustach.
- Owszem - zgodził się Ken. Skończył jeść swoją porcję. - Czują go w mleku matki.

- Ostatnie słowa zabrzmiały nieco dziwnie, jakby miał na myśli Kisoko. Jej bratem był przecież Mikio Okami. Też dorastała w cieniu śmierci. Ken wskazał na talerz Ushiby.
- - Ma pan dosyć?
- Daijin skinął głową. Ken z widocznym zadowoleniem sięgnął po resztę sushi. Nie przywykł do konwenansów zewnętrznego świata.

- Co pana do nas sprowadza, daijinie? - spytał z pełnymi ustami. - Nie wątpię, że chciał pan prosić matkę o radę. Która z frakcji tym razem załazła panu za skórę?
- Jest ktoś, kto popełnił poważną pomyłkę - ostrożnie odparł Ushiba. Kisoko, jako siostra kaisho, dobrze wiedziała o jego związkach z radą, lecz Ken stanowił osobny problem. - Straszliwy błąd, domagający się szybkiej naprawy.

- - Jak rozumiem, mówimy o wymiarze kary. Niewiele dawało się ukryć.

- Tak... tak. To trudna sprawa... ze względu na więź łączącą mnie z tym człowiekiem.
- Zasłużył na karę?

- Bez wątpienia.
- Ken skinął głową, jakby na wiarę przyjmował wyrok daijina.
- - W takim razie musi odpokutować.
- Niestety, nie potrafię niczego wymyślić. Mam pustkę w głowie. Ken w milczeniu zjadł ostatnie sushi.
- Chodźmy na górę - zaproponował. - Chcę panu coś pokazać.
- Małą windą wjechali na piętro, gdzie połowę budynku zajmowało dojo i zbiór broni. Pomieszczenie nie miało okien, dzięki czemu nic nie mąciło atmosfery prywatności. Promienie słońca wpadały przez szklany sufit i kładły się na błyszczącej drewnianej podłodze. Na ścianach wisiały długie samurajskie miecze *dai-katana*, krótsze *wakizashi*, noże *tanto* i szereg innych eksponatów, których nazwy i przeznaczenia Ushiba nie znał. Ken zatrzymał wózek i zrećźnie zsunął się na podłogę. Zaplótł bezwładne nogi w pozycji lotosu, wsparł tułów na muskularnych rękach i kołysząc ciałem,
- zaczął szybko posuwać się naprzód. Choć z pozoru czynił to bez żadnego wysiłku, Ushiba nie miał wątpliwości, że był to efekt wyczerpujących ćwiczeń. Zatrzymał się przed *dansu*, podłużnym kufrem z drewna *kyoki*, używanym zazwyczaj do przechowywania mieczy. Uniósł wieko i wydobyl kulisty przedmiot owinięty w jedwab. Ushiba zdjął buty, wszedł do sali i przyklęknął obok niego. Ken trzymał w dłoniach ludzką czaszkę, starą, o czym świadczyły żółto-brązowe plamy na jej powierzchni. Charakterystyczny połysk był wyraźnym dowodem, że od czasu do czasu ją woskowano, by nie wyschła i nie popękała.
- - Miyamoto Musashi - oświadczył Ken. - Człowiek, którego uważam za największego szermierza w dziejach Japonii. - Siedemnastowieczny samuraj i filozof w najnowszych czasach zyskał sławę na całym świecie jako autor traktatu „Księga pięciu zwojów”, w którym zawarł wykładnię sztuki *kenjutsu*.
- Młody mężczyzna delikatnie pogładził wyblakłe kości.
- - Najbliższy przyjaciel zdjął skórę i ciało z głowy zmarłego. Czaszkę sprzedał, gdyż tylko w ten sposób mógł zarobić na życie. - Obrócił eksponat, by wypuklić jego szlachetne, kształty. - Był złoczyńcą, herosem czy ofiarą chciwości? Może po prostu tym, który oddał ostatnią przysługę mistrzowi i nie dopuścił, by pamięć o Musashim legła w grobie? Dzięki niemu, nawet po kilku wiekach odczuwamy siłę emanującą z tych szczątków.
- Podał czaszkę Ushibie.
- - Niech ją pan potrzyma, daijinie. Niech pan doświadczy potęgi, która oparła się śmierci i przemijaniu. Można to nazwać nieśmiertelnością?
- Kości były o wiele cięższe, niż sądził Ushiba, może ze względu na otaczającą je aurę mądrości i sławy. Ken miał rację. Kształty, załomy i krawędzie świadczyły o wyjątkowości umysłu kryjącego się niegdyś pod twardym sklepieniem. Daijin zapomniał o bólu wywołanym chorobą i o nieubłaganych wyrokach losu. W jego ręce spoczywał namacalny dowód wieczności. I choć na ogół inaczej interpretowano to słowo, nikt nie twierdził, że owa wieczność jest w pełni przyswajalna dla ludzkich pojęć.
- To silne przeżycie, daijinie. - Ken nadal nie wyciągał ręki po czaszkę. - Czujesz to, co ja

czuję. Tam, gdzie przebywa Musashi, nie ma cierpień.

- Tak. - Ushiba siedział jak zahipnotyzowany. - Nie ma bólu, śmierci i czasu.
- - Daijinie - cicho ciągnął Ken - Akira Chosa musi ponieść zasłużoną karę. Ushiba, wciąż pod wrażeniem oglądanych szczątków, w pierwszej chwili
- nie wierzył własnym uszom. Dopiero gdy spojrział na Kena pojął, że się nie przesłyszał.
- - Skąd wiesz, o kogo chodzi?
- Intuicja karmiona faktami. Był tu niedawno Chosa. Rozmawiał z matką. Chyba by go zabiła, gdyby nie moja interwencja. Jest przekonana, że to on wydał wyrok śmierci na Okamięgo.
- Może wie coś, o czym ja nie wiem. - Ushiba oddał czaszkę, gdyż nagle zaciężła mu w dłoni. - Jak dotąd spotkałem już kilku, którzy mnie zapewniali, że to ich pomysł.
-
- - A kaisho nie ma już dawnej władzy. Ukrywa się. Czy to nie dość, by podjąć odpowiednie działania?
- Daijin skinął głową.
- W naszym niedoskonałym świecie nie trzeba lepszego pretekstu. - Wyczekująco popatrzył na Kena. - Czego chciał Chosa od Kisoko?
- Pytał o pułkownika Linneara... i o Koei.
- Koei? Co wspólnego...
- Powinien ponieść karę. - Ken wpatrywał się w szczątki Musashiego. - Któż prócz ciebie, daijinie, mógłby ogłosić wyrok?
- Mówiłem, że mam pustkę w głowie.
- Może mógłbym ci wskazać właściwą ścieżkę. - Spojrzenie miękkich brązowych oczu spoczęło na pięknej twarzy Ushiby. - Jest tuż obok, jak czaszka, którą trzymam.
- Gdzie...
- Twój przyjaciel z prokuratury. Tanaka Gin.
- O tej porze roku życie w Londynie przypominało podróż w chmurach. Mgła unosząca się znad Tamizy deformowała sylwetki biurowców i zmieniała w piskłeta ogromne kruki krążące nad Tower. Rankiem w śródmieściu wybuchła bomba, tuż potem ewakuowano wszystkich z „Harrodsa”, ponieważ IRA groziła kolejnym zamachem. Miejsce eksplozji otoczono kordonem policji, a technicy i laboranci starannie przeczesywali gruzy i sterty odłamków w nadziei, że trafią na ślad ładunku użytego przez terrorystów. Mgła czasem stawała się rzadsza, przynajmniej na tyle, by odsłonić nagie pnie drzew w Hyde Parku i St James, czasem znów przechodziła w deszcz, tak drobny, że zdawał się nie mieć początku ani końca. Niewzruszeni pogodą londynczycy ze stoickim spokojem wędrowali po mokrych ulicach pod osłoną czarnych parasoli, tak sztywnych jak kołnierzyk gimnazjalnego mundurka. Tłum ludzi na schodach metra wznosił się i opadał niczym olbrzymia fala sterowana niewidzialnym nakazem. Niektóre części Londynu miały jednak, przynajmniej dla Croakera, zdecydowanie amerykański charakter. Nawet Piccadilly Circus, zapchany sklepami i kafejkami, przypominał bardziej skwer w Nowym Jorku niż jeden z symboli stolicy Wielkiej Brytanii. Nie trzeba dodawać, że ów „amerykanizm”, jak każda namiastka, nosił piętno fałszu i pośpiesznej improwizacji. Vesper raz jeszcze zaskoczyła

Croakera. Zamiast prosto z lotniska pojechać do Hammersmith, gdzie mieściło się biuro Malory Enterprises, wysiadła z taksówki przy King's Road, w Belgravii, i odbyła krótki spacer do Eaton Square. Tam weszła do budynku, z którego górnych pięter rozciągał się wspaniały widok na wieżę kościoła Świętej Trójcy, stojącego na północ od Sloane Square. Na Heathrow omal jej nie zgubił. Po wyjściu z samolotu na dziesięć minut zniknęła w toalecie. Gdy pojawiła się znowu, poznał ją tylko po prostokątnej torebce, którą od początku podróży nosiła przewieszoną przez ramię. Na głowie miała grzywę ognistorudych włosów, oczy - pozbawione brązowych szkieł kontaktowych - mieniły się niczym chabry na twarzy ozdobionej mocnym makijażem. Fioletowa szminka na ustach, czarne powieki i rzęsy. Zniknęły gdzieś koszula i dżinsy, a na ich miejsce pojawiła się para błyszczących, wysokich do kolan butów i obcisła czarna sukienka, sięgająca zaledwie do uda. Gdy Vesper pochyliła się, by odebrać bagaż, stojący za nią mężczyźni omal nie dostali palpacji. Główny kłopot Croakera polegał na tym, że w Londynie jego federalna odznaka nie miała żadnego znaczenia; gorzej, w paru przypadkach mogła przysporzyć dodatkowych nieprzyjemności, gdyż angielscy policjanci niechętnie przyjmowali jankesów na swoim terenie. Lew niemal żałował, że nie przyjął pomocy oferowanej przez Leonforte'a. Znał jednak starszego inspektora z New Scotland Yardu, któremu kiedyś pomógł schwytać przestępcę zbiegłego do Nowego Jorku i uzyskać od federalnych nakaz ekstradycji. Inspektor nazywał się Tom Major, choć Croaker po cichu zawsze nazywał go „majorem Tomem”. Był krzepkim, niespełna pięćdziesięcioletnim mężczyzną, o twardej, zaciętej twarzy typowego mieszkańca Yorkshire, stojących wąsach i posturze byłego boksera, co nie powinno specjalnie dziwić, gdyż w wojsku sporo czasu spędził na ringu. Lubił dobre żarty, *pastrami* z niespotykaną ilością rozmaitych dodatków i ale. Liczbą wypitych kufla piwa potrafił zadziwić nawet Croakera. Lew nie spotkał go w Scotland Yardzie. Z wyjaśnień dyżurnego podoficera wynikało, że pojechał do Chelsea, na Flood Street. Croaker wszedł do piekielnie drogiej taksówki - choć z coraz większą niechęcią myślał o korzystaniu z funduszy senatora Dedalusa - gdyż do Chelsea nie dochodziła żadna linia metra, a on nie mógł się połapać w trasach autobusów. Flood Street odchodziła na północ od ciągnącego się wzdłuż rzeki Chelsea Embankment. Może ze względu na pewne oddalenie od głównych tras komunikacyjnych zachowała wygląd spokojnej dzielnicy willowej, tak charakterystycznej dla dawnego Londynu. Tom Major dowodził grupą dochodzeniową przekopującą podwórko, na którym nowy właściciel posesji odkrył ludzkie szczątki, spoczywające pod wiązem. Na wzgórkach świeżo zrytej ziemi piętrzyły się starannie ułożone cebulki irysów i tulipanów, a na foliowych płachtach zgromadzono fragmenty co najmniej trzech szkieletów.

- - Nic dziwnego, że wszystko tu rosło jak diabli - mruknął jeden z policjantów.
- Major przykucnął nad płachtą i końcem długopisu odgarnął z czaszki grudki ziemi i kawałki korzeni. Fotograf robił zdjęcia pod każdym możliwym kątem.
- - Cześć, Thomas.
- Major z naburmuszoną miną uniósł głowę, lecz na widok Croakera zaraz się rozpromienił.
- -Chryste Panie... - Wstał szybko i otrzepał spodnie. - Patrzcie tylko, kto wstał z grobu!
- Jakiś policjant zerknął w ich stronę, lecz zaraz wrócił do pracy.
- Co cię sprowadza do słonecznego Londynu, stary? - Major serdecznie potrząsnął prawicą Amerykanina. - O tej porze roku nie znajdziesz tu wypoczynku.
- Niestety, wizyta służbowa.

- Major obrzucił go uważnym spojrzeniem, po czym głośno pociągnął nosem.
- - Nie przywiozłeś mi czasem *pastrami* ze Stage Deli?
- - Odebrali mi na granicy. Anglik wybuchnął śmiechem.
- - Nie szkodzi. Mam niebotyczny poziom cholesterolu, głównie przez miłość do wątróbek i befsztyków, choć kardiolog twierdzi, że to z nadmiaru stresów. - Wskazał na szkielet. - Popatrz, co jeden człowiek może zrobić drugiemu. Ciekawe, prawda?
- W pobliżu pojawił się mundurowy.
- Oblecieliśmy całe sąsiedztwo, szefie. Co dalej?
- Wracaj do domu, zdrzemnij się trochę. - Major machnął ręką. - Powiedz chłopakom to samo. I niech nowy właściciel zamelduje się jutro punkt dziewiąta w biurze Hollwortha na Lucan Street. Trzeba dać miejscowym coś do roboty, bo zaczną się wściekać.
- Co chce pan im powiedzieć?
- Tylko to, co konieczne. Pierwsze zwłoki należały do cudzoziemca, stąd nasza obecność. - Obrócił się w stronę Croakera. - Siedzę w tej kostnicy od świtu. Mniej stresów. Mój lekarz ma tyle oleju w głowie co Szalony Kapelusznik.
- Tom, zdaję sobie sprawę, że odrywam cię od roboty, ale czy możesz poświęcić mi parę minut? Potrzebuję pomocy.
- Pomocy? Przy kuflu? Znam niezły pub na King's Road. - Major potarł zaczerwienione oczy i przeciągnął się z głębokim westchnieniem. - Dobrze, że przyjechałeś. Najwyższy czas na chwilę przerwy. Mózg się rozłązi, jak się myśli wciąż o tym samym.
- Powiadomił resztę ekipy, gdzie go mają szukać w razie pilnej potrzeby, i skinął na Croakera. Wyszli na Flood Street.
- Znalazłeś już przytulisko na dzisiejszy wieczór?
- Hotel? Nie. Dopiero przyleciałem.
- Wieczny tułacz - roześmiał się Major. - Cały Lewis.
- Był jedynym człowiekiem na świecie, który zwracał się do Croakera per „Lewis”. Nawet w rodzinie mówiono wyłącznie „Lew”. Doszli do King's Road i skręcili w prawo.
- Jeśli chcesz, możesz przedrzemnąć się u mnie.
- A co na to twoja pani?
- Z tym najmniejsze zmartwienie, stary. Odeszła jakieś dwa lata temu.
-
- Wybacz.
- Wszystko przez tę cholerną robotę. - Major otworzył drzwi pubu i poczuł znajomy zapach piwa. - Nie da się jednocześnie żyć z facetem i jego pracą. Zwłaszcza taką jak moja. - Wzruszył ramionami. - Moira wciąż narzekała, że telefon jest ważniejszy od niej. I miała rację. Czasem mi jej brakuje, choć sądzę, że za biurem tęskniłbym bardziej.
- Zasiedli za drewnianym stołem, szerniałym od starości i dymu. Major zamówił dwa duże kufle, a na przekąskę kielbaski z rusztu i pasztet. Croaker przymknął powieki i próbował

uspokoić żołądek. W trakcie biesiady oględnie opowiedział przyjacielowi, kogo śledzi i z jakiej przyczyny. Napomknął mimochodem, że chodzi o szeroko zakrojony przemyt broni, co nie było w pełni prawdą, lecz pobudziło ciekawość Majora, który w przerwach między odkopywaniem masowych grobów na ogół tropił handlarzy uważających Londyn za dobry punkt przerzutowy w drodze na Bliski Wschód.

- Eaton Square to prawdziwy tygiel brudnych interesów - oświadczył, gdy dowiedział się, dokąd pojechała Vesper. Croaker, rzecz jasna, nie wspomniał mu o jej zamiłowaniach do ciągłych przebieranek. - Forsa płynie szerokim strumieniem. Mówiłeś, że ta babka ma coś wspólnego z amerykańską firmą o nazwie Morgana?
- Oraz Malory Enterprises, stąd, z Hammersmith - dorzucił Lew. - Rachunki Morgany niedwuznacznie wskazują na handel bronią. Towar wychodzi wprost z magazynów Wuja Sama, do których ponoć trudniej się dostać niż do kaczaj dupy.
- Major pociągnął długi łyk piwa i popadł w zadumę. Milczał tak długo, że Croaker zaczął się niecierpliwić.
- Co jest, Tom? - spytał w końcu. Anglik popatrzył na niego.
- Myślałem właśnie... To dziwne...
- Niby co?
- - Te nazwy. Morgana i Malory. Brzmią jak ze starej legendy. Morgana była potężną czarodziejką, siostrą Merlina. Jej czary miały wiele wspólnego z praktykami druidów. Opowieść przerabiano na różne sposoby, lecz najsłynniejszą wersję, *Morte d'Arthur*, stworzył sir Thomas Malory. Nie wszyscy wiedzą, że był prawdziwym szubrawcem: kłusownikiem, bandytą, a w końcu mordercą. Książkę pisał w więzieniu. - Zrobił zaniepokojoną minę. - Co cię gryzie, stary?
- Croaker był blady jak ściana. Zjedzony pasztet wierceł mu dziurę w brzuchu.
- Tom... Jaką nazwę nosił zamek króla Artura?
- Camelot. Wszyscy to wiedzą.
- A tajemnicza kraina, nad którą miał objąć rządy?
- Avalon. - Major przekrzywił głowę. - Baśniowe miasto, pływające wśród mgieł i oparów. Ojczyzna Morgany. Coś ci to podpowiada?
-
- Umysł Croakera pracował na pełnych obrotach, lecz tym razem rozsądek musiał ustąpić intuicji. Jak to powiedział John Jay Arkham? Vesper na czas studiów otrzymała pomoc finansową z fundacji Avalon. „Jak z króla Artura”.
- - Mój partner dotarł do jeszcze jednej spółki zajmującej się handlem bronią - odparł. - A prócz tego silnie związanej z międzynarodowym kartelem przestępczym, stworzonym przez jakuzę i amerykańską mafię.
- Spojrzał Majorowi prosto w oczy.
- - Co więcej, w zeszłym roku zdołaliśmy ustalić, że do spisku weszli niektórzy politycy z administracji Stanów Zjednoczonych. Spółka nosi nazwę

Avalon. Dotąd uważałem, że konkuruje z Morgana.

- Anglik potrząsnął głową.
- - Według mnie jest właśnie na odwrót. Morgana, Malory i Avalon stanowią część jakiejś gigantycznej organizacji.
- Croaker uznał to za znaczący przełom w śledztwie. Kaisho od samego początku kierował podejrzenia na Avalon. Dlaczego? Spółka bez wątpienia należała do Godaishu. Gdy pojawiła się Morgana, Lew nabrał przekonania, że Okami z Goldonim chcieli przejąć kontrolę nad przemysłem i próbowali usunąć konkurencję. W obecnym stanie rzeczy, skoro wszystkie trzy firmy stały po tej samej stronie, rodziło się pytanie, kto nimi zarządzał? Oczywiście odpowiedź: Godaishu. Zgoda. To wyjaśniało nawet, dlaczego Okami uparcie wskazywał na Avalon. Vincent Tinh został zamordowany w Sajgonie przez Rocka. Ciało odebrał rzekomy pracownik Avalonu, podając przy okazji fikcyjny adres biura w Londynie. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Godaishu ma bezpośrednie powiązania z Rockiem i Pływającym Miastem. Pozostawała jedna wątpliwość. Amerykański agent Godaishu, Johnny Leonforte, zginął pod koniec zeszłego roku. Kto przejął nadzór nad przetrzutem broni skradzionej z rządowych magazynów? Prawdopodobnie ten sam człowiek, który zatrudnił Leonforte'a i który kierował agencją DARPA: senator Richard Dedalus.
- - Nie wiem.
- Jakaś zgarbiona staruszka przekuśtykała kamiennym chodnikiem, minęła czerwone *torii* i pociągnęła za gruby sznur miedzianego dzwonka.
- - Nawet gdybym coś wiedział i tak nie powiem.
- Staruszka stanęła przed frontem świątyni, dwukrotnie klasnęła w dłonie, pokłoniła się obudzonym *kami* i zmówiła modlitwę.
- - Już po was. - Zao siedział na krześle ze związanymi na plecach rękami. Ponuro patrzył to na Nicholasa, to na młodego na oyabuna. - Nawet nie wiecie...
- Rozdziawił usta ze zdziwienia, kiedy Tachi podwinął rękaw koszuli i pokazał mu fragment *irezumi*. Po chwili uniósł głowę. Na jego twarzy malowała się nieprzejednana zaciętość.
- - Kimkolwiek jesteś, w Kioto nie znajdziesz pomocy. Nic dla mnie nie znaczysz.
- Nicholas oderwał wzrok od okna, za którym widać było shintoistyczną świątynię, i skinął na oyabuna. Przeszli w odległy kąt pokoju. Wybrali *love hotel*, gdyż tu nikt z obsługi nie zadawał niepotrzebnych pytań. Paskudny betonowy budynek stał przy wąskiej uliczce w Gion, zabytkowej dzielnicy Kioto, pełnej tradycyjnych zajazdów, chramów i pięknych ogrodów. Jeszcze jedna japońska niespodzianka.
- W ten sposób daleko nie zajedziemy - stwierdził Nicholas. - Tracimy czas.
- Wiem - skinął głową Tachi. - Jestem pewien, że jego ludzie już otrząsnęli się z osłupienia i przeczesują całe miasto. Jeśli wieść o porwaniu dotarła do lokalnego oyabuna...
- Nie musiał kończyć. Nicholas doskonale wiedział, że oznaczało to wojnę gangów, a w najlepszym wypadku walkę obu przywódców o „zachowanie twarzy”.
- - Zao świadomie gra na zwłokę - mruknął. - Musimy wyciągnąć od niego wszystkie informacje i czym prędzej opuścić Kioto.
- Tachi popatrzył mu prosto w oczy.

- - Bez obaw - szepnął tak cicho, by jeniec go nie słyszał. - Zaraz zacznij mówić, a gdy z nim skończę, nie będzie niczego pamiętał.
- Stał na lekko rozstawionych nogach, z opuszczonymi rękami. Wziął parę głębokich oddechów. Zao spoglądał na niego jak na wariata. Nicholas także zaczął się koncentrować. Czuł jak umysł młodego oyabuna pręży się niczym żmija przed ukąszeniem. Potem usłyszał głuchy, zawodzący pomruk i zrozumiał, że dzieje się coś wielkiego. Wewnętrznym okiem dostrzegł dwa strumienie, jasny i ciemny, Aksharę i Kshirę, dwa przeciwstawne bieguny Tau-tau. Z przodu pojawiła się *kyu*, kula Tau-tau. W jej przezroczystym wnętrzu światło i ciemność wiły się i splatały jak gigantyczne łańcuchy DNA. Wróciły dawne koszmary. Czarny strumień Kshiry okazał się tym samym, który nauczyciel i wróg, Kansatsu, zaszczerpił niegdyś w umyśle Nicholasa. Zło trwało głęboko ukryte, niczym bomba z opóźnionym zapłonem, wciąż groźne, choć zanurzone w blasku. Nicholas zamarł w bezruchu. Był pewien, że patrzy na Shuken. Tachi posiadał *koryoku*, jedyną ścieżkę wiodącą do Władzy. Mikio Okami także kroczył tą drogą, lecz zniknął zbyt wcześnie, by przekazać komuś swe doświadczenia. Shuken. Kula *kyu* zamigotała tysiącem kształtów, gdy Tachi wstąpił na *koryoku*, by dotrzeć do wrót Władzy. Monotonny śpiew nie miał końca; ciasna przestrzeń pokoju stała się lepka i płynna. Zao niczego nie widział. Zamrugnął oczami, zamknął powieki i zaczął głęboko, spokojnie oddychać. Tachi dał znak, że Nicholas może zacząć przesłuchanie. Zao odpowiadał czystym, donośnym głosem, jakby był w pełni przytomny. Nie miało to nic wspólnego z transem lub hipnozą. Tachi umieścił go w wirującej w gęstym powietrzu, niewidzialnej klatce, gdzie Akshara i Kshira przestały się zwalczać i utworzyły jedną całość. Zao wierzył w to, co podpowiadał mu Shidare. Może
- sądził, że śpi lub że rozmawia z Pawłowem. Nie miało to żadnego znaczenia. Wyznał wszystko: jak Pawłow pojawił się w „Ningyo-ro”, jak razem pojechali do domu, jak następnego dnia krążyli po mieście. Nazwiska, adresy, daty. Nicholas skończył zadawać pytania, Tachi przestał śpiewać. *Kyu* rozsypała się w miliony części, które na krótką chwilę zapłonęły w powietrzu jak rój świetlików. Nicholas i Tachi porozumieli się wzrokiem nad zwisającym z krzesła gangsterem. Coś nieokreślonego mignęło między nimi. Wyszli z pokoju, zostawiając otwarte drzwi, by ktoś mógł odnaleźć nieprzytomnego Zao. Nicholas i Tachi w pośpiechu opuścili *love hotel*. Nie widzieli obserwującej ich Seiko. Ubrana w długi płaszcz dziewczyna kryła się w cieniu świątyni. W rękę trzymała dużą torbę. Gniewało ją, że Shidare zawiązał jakiś dziwny sojusz z Nicholasem. Była zazdrosna o łączącą ich więź psychiczną, a prócz tego czuła się oszukana, gdyż w obliczu niebezpieczeństwa obaj traktowali ją jak kobietę. Nawet obojętny Zao miał być dla niej „zbyt groźny”. Opuściła świątynię i weszła do hotelu. Na piętrze znalazła otwarte drzwi. Zao wiercił się na krześle, próbując oswobodzić ręce. Gdy weszła, znieruchomiał i gwałtownie poderwał głowę. Seiko zgasiła światło. Pokój pograżył się w mroku.
- - Kim jesteś?
- W milczeniu patrzyła na gangstera. Zao uśmiechnął się z wyższością.
- - Trochę mi niewygodnie, mała. Możesz coś na to poradzić? – Rozstawił nogi. - Po to tu przecież przysłaś, prawda? Żeby mnie zmiękczyć. Zrób, co trzeba i znikaj. - Uśmiech zmienił się grymas. - A swoim gównianym kumplom powiedz, że ci nie wyszło.
- Seiko postawiła torbę na stole.
- - Kim ty, u diabła, jesteś? Znam wszystkie dziwki w Kioto.

- Wyjęła parę gumowych chirurgicznych rękawiczek. Z wprawą naciągnęła je na lekko posypane talkiem dłonie. Zao umilkł. Z tępą fascynacją śledził jej ruchy, niczym gryzoń obserwujący jadowitego węża. Seiko niemiłosiernie długo przetrząsała torbę.
- Nie jesteś prostytutką, prawda? - wycharczał Zao. Obdarzyła go wiele mówiącym uśmiechem.
- Raczej lekarką.
- Lekarką? - powtórzył, jakby usłyszał obce słowo. - Nie potrzebuję pomocy.
- Na pewno? Porozmawiamy, jak z tobą skończę.
- Co to znaczy?
- Z rosnącym zaniepokojeniem spoglądał na jej rękę. Wzdrygnął się, gdy wyjęła z torby długi wąski przedmiot.
- Strzykawka - jęknął boleśnie. - Co chcesz zrobić?
- Bez obaw. Nic nie poczujesz. - Znów się uśmiechnęła. - Nigdy. Zao szarpnął się tak mocno, że omal nie przewrócił krzesła.
- Trzymaj szeroko nogi, miły. Natychmiast zacisnął kolana.
- Nie dotykaj mnie.
- Seiko stała z uniesioną dłonią. Przypominała nauczycielkę szykującą się do udzielenia reprimendy niesfornemu uczniowi.
- - Co się dzieje?
- Zao na chwilę odzyskał dawną odwagę.
- - Jak mnie zabijesz, ci dwaj dranie zaczną cię ścigać.
- Zabiję? - zachichotała. - Niby dlaczego? Nie. Złamałeś dane słowo, więc jesteś po prostu nikim. Nawet nie zasługujesz na miano mężczyzny. - Podeszła o krok. Groźny przedmiot niewyraźnie majaczył w ciemnościach. - Wstrzyknę ci pewien środek działający na prostatę.
- Na prostatę? - Zao wybałuszył oczy. - Po co?
- Pamiętasz seks, miły? - Wykonała kolejny krok. - To właśnie ci pozostanie. Pamięć.
- Nie! - wrzasnął gangster tak głośno, że zadrżała lampa zwisająca z sufitu. - Nie wolno!
- Raz, dwa, trzy, gonisz ty.
- Po paru minutach spocony jak mysz Zao skończył opowieść o spotkaniu z Pawłowem. Seiko schowała pędzelek do rzesz z powrotem w obsadkę i wraz z rękawiczkami wrzuciła go do torby.

11 WYŻYNY WIETNAMU / LONDYN

- otrąciliśmy następnego...
- Nie szkodzi. - Rock patrzył w głąb krypty mieszczącej komorę rozszczepeń wykonaną z uranu 238. - Inni czekają w kolejce.
- Jezu... - Abramow stał przed nim, ubrany w ołowiany chałat i grube gumowe rękawice.

- Dwudziesty - Miał błędny wzrok. - Cudowna osłona Pawłowa nie działa.
- A to niespodzianka - burknął Rock. - Od lat żaden Rosjanin nie potrafił zrobić niczego porządnego.
- Abramanow potrząsnął głową. Postanowił, że tym razem nie będzie pokornie słuchał docinków Dzikusa.
- Nic nie rozumiesz. Nasz pierwiastek jest gorszy od wszystkiego, z czym miałem do czynienia.
- Co to znaczy? Zapewniałeś, że reakcja przebiegnie gładko.
- I tak będzie, ale w obecnym stanie izotop stanowi śmiertelne zagrożenie. Podczas prób musi być przenoszony i poruszany we wnętrzu komory i właśnie wtedy pojawia się przeciek. - Abramanow nerwowo przestąpił z nogi na nogę. - Co zrobisz z trupem?
- Rock obrzucił go przeciągłym spojrzeniem, wydał usta i zanucił własną wersję standardu *Sleep That Burns*. Przez chwilę cieszył się widokiem skwaszonej miny Rosjanina.
- - To samo, co z poprzednimi. Zawiesznie za nogi na skraju lasu, dla ostrzeżenia. Nie lubię, gdy coś się marnuje.
- Abramanow wciąż kręcił głową.
- Brak mi czasu, żeby wyszkolić nowy zespół.
- Niech pozostali pracują na dwie zmiany. - Wyblakłe oczy Rocka błysnęły groźnie. - Zostało dziesięć dni do piętnastego marca. Torch musi być gotów jak najszybciej.
- - Nie wiem, czy mi się uda. Nie sądziłem, że stracę tak wielu ludzi. Dzikus chwycił Abramanowa w pól i potrząsnął nim tak silnie, aż ten
- zaszczekał zębami. Ogromne łapska boleśnie wpijały mu się w ciało.
- Doktorku, nie po to ratowałem ci życie i wyciągałem z dna morza twój cenny ładunek, żebyś teraz próbował mnie dymać.
- Nie miałem pojęcia, w co się pakuję. Nigdy bym się nie zgodził...
- Oszczędź mi sentymentalnych pierdoł. Słyszałem w życiu niejedną wymówkę i niejedną bzdurę. I tak byś przystąpił do pracy. A wiesz dlaczego? Bo tu znalazłeś prawdziwą miłość. Tu możesz zaspokoić swe żądze. Władze Sowietów nie dawały ci pełnej swobody. Traktowano cię z góry, bo jesteś Żydem. Gdybyś dotarł do Ameryki, zamiast rozpieprzyć się na brzegach Wietnamu, agenci Wujy Sama mogliby ci wywrócić mózg na lewą stronę i dalej byłbyś podejrzany. Tu ci dobrze. Gównu mnie obchodzi twoje pochodzenie. Starcza mi świadomość, że jesteś pierdolonym geniuszem.
- - Nie śpiam od kilku nocy. Wciąż wyobrażam sobie, co się stanie... Rock puścił go i stanął tyłem.
- Skończ robotę. Najlepiej, jak potrafisz. Jeśli coś skrewisz, twój wyśniony lunapark po prostu zniknie. Chcesz tego?
- Nie. - Abramanow zwiesił głowę. - Nie.

- Ludzie są patetyczni - pomyślał Rock. - Łatwo nimi manipulować.
- - Torch będzie odpalony za dziesięć dni - oświadczył sucho. – Zawsze dotrzymywałem ustalonego terminu i nie zamierzam zmieniać zwyczajów.
- Zostawił Abramana przy pracy i opuścił kryptę. Musiał pokonać dwa piętra, nim wy dostał się na powierzchnię. Wokół wznosiły się budynki koszar, magazyny, wartownie - wszystko otoczone siedmiometrową palisadą zbudowaną z potężnych pni drzew, osadzonych w betonowym fundamencie. Sądząc po znacznej liczbie uzbrojonych ludzi, można było pomyśleć, że to wojskowa stacja. Rock stanął przy klatce, starannie wykonanej na wzór podobnych urządzeń używanych przez Vietcong. Utwardzone w ogniu pręty bambusa, łączone nylonową taśmą, tworzyły nienaruszalną konstrukcję. Wewnątrz siedział wynędzniały mężczyzna, z wolna przymierający z pragnienia i głodu. Złapano go, gdy próbował wynieść z Miasta kilogram opium, które jakoby uległo zniszczeniu podczas rafinacji. Więzień w pół leżał na twardo ubitej ziemi, gdyż nie miał już dość siły, by się utrzymać na nogach. Śmierdział i toczył błędnym wzrokiem. Rock z satysfakcją pokiwał głową. Wiele nauczył się o torturach od Do Duka. Łączyła ich więź niedostępna zwykłym ludziom. Razem walczyli, mordowali i brali udział w ohydnych ceremoniach. Ale Do Duc zginął, zabity przez Nicholasa Linneara. Rock płakał po nim, niczym po stracie żony lub najbliższego przyjaciela, choć żaden z nich nie znał pojęcia przyjaźni. Byli ze sobą, to wszystko. Na wspomnienie o Linnearze umysł Rocka zarastał gąszczem przerażających planów, tkwiących korzeniami w dziwnej przestrzeni między życiem a śmiercią. W tej samej przestrzeni, którą Dzikus i Duc przez lata starali się zgłębić i która w końcu stała się ich jedynym dziedzictwem. Rock przykucnął przy klatce, wsunął dłoń między pręty i chwycił umierającego za gardło. Spijał narastające szaleństwo, sycił się niedolą więźnia i znów był blisko Do Duka.
- W końcu wstał, powędrował na koniec dziedzińca i wszedł do budynku stojącego frontem do laboratorium. Z westchnieniem ulgi zasiadł w skórzanym fotelu na biegunach. Nie włączył klimatyzacji. Po dwudziestu latach spędzonych w dżungli przywykł już do upałów. Wecisnął klawisz magnetofonu i z głośnika zahuczał psychodeliczny *Arnold Layne* Pink Floydów. Stare kawałki są najlepsze - myślał Rock. Śpiewał na całe gardło.
- Sprawia ci kłopot - odezwał się znajomy głos z kąta pokoju.
- Kto?
- Abramano.
- Rock zabijał się na fotelu. Przed laty ów mebel służył pewnemu generałowi z czterema gwiazdkami na pagonach, wydającym idiotyczne rozkazy bez związku z realiami wojny. Teraz należał do Dzikusa, który lepiej wiedział, jak z niego korzystać.
- Da sobie radę.
- W terminie?
- Uhm.
- Nie chciałbym rozczarować klientów.
- Zwłaszcza jednego - mruknął Rock. - Nie musisz mi o tym przypominać. Nic się nie bój. Będą zadowoleni.
- Przez dłuższą chwilę żaden nie miał ochoty do dalszej rozmowy. W krótkich przerwach

między muzyką słysząc było nawoływania ptaków w dżungli rozciągającej się tuż za palisadą. Tropikalne słońce prześwitywało przez bambusowe okapy nad oknami i malowało na ścianach przegowany grzbiet tygrysa. W pokoju unosiła się woń oliwy i potu.

- - Miękniesz - odezwał się człowiek z cienia.
- Rock zerknął przez ramię na postać, którą przez wszystkie minione lata zdążył poznać lepiej niż niejedną kochankę.
- Nie pierdol - odparł z uśmiechem.
- A Niigata? Puściłeś go wolno.
- Nieprawda. Sam uciekł. Był zupełnie otumaniony, wchłonał dużą dawkę promieniowania. Po co miałem go gonić? I tak nie zaszedł zbyt daleko. Jego kości od dawna bieleją gdzieś w lesie.
- Cień drgnął.
- A dlaczego popsuleś *rendez-vous* w tunelach Cu Chi?
- Suka... Wiesz, co znaczy *bayl* Siedem. Była siódmym dzieckiem, więc nie mogła mieć szczęścia. Pieprzyła się z Vincentem Tinhem. Zasługiwała na śmierć.
- Owszem, ale to wkurzyło Linneara. Ostrzegałem cię, że zaczniesz traktować sprawę jak osobistą wendetę. A ty uznałeś, że resztę załatwi Delacroix. Nasz klient.
- Rock puścił głośniejszą muzykę.
- - Lubię korzystać z klientów. Ten działał na własną rękę, więc nikt nie mógł pójść tym tropem i trafić do nas. O co ci chodzi? Przecież zgodziłeś się na tę akcję.
- -I to był błąd.
- Dzikus zerwał się z miejsca, blizny pobieleły mu pod opalenizną.
- Sranie żarem! Teraz to błąd, bo nie wyszło! Nawet nie próbuj na mnie swoich sztuczek. Nie dam się zrobić!
- Tubylcy załatwiliby to znacznie lepiej.
- Nawet nie wiedzą, co jest grane - upierał się Rock. - Królik Bugs mógłby ich wyrolować.
- Analizowanie przeszłości nie ma nic wspólnego z praniem mózgu. Każdy może wyrazić własny pogląd.
- Historia nie podlega poglądom, przyjacielu - oschle oświadczył Rock. - To zbiór faktów zapisanych w pamięci.
- Tak? Ciekawe, czy generał, który zostawił ci w spadku ten fotel, ma identyczne wspomnienia jak ty, gdy powraca myślami do Namu.
- Dzikus gwałtownie zamachał ręką.
- - Nie będę z tobą dyskutował. To zwykłe bicie piany. - Przeciągnął się. - Mamy jeszcze jednego do zawieszenia na drzewie.
- Znowu? Chyba wyjmę z szafy obszywaną ołowiem piżamę. Rock łypnął ponuro w ciemność, gdzie krył się jego rozmówca.

- Pewnie. Kpij sobie.
- Nie cieszy mnie myśl, że Timothy Delacroix łązi gdzieś po Sajgonie.
- Nie ma obawy, nie piśnie ani słowa.
- A co, zaszyłeś mu usta? To w twoim stylu. Rock sięgnął po zwój liny i nieodłączny miotacz.
- Zupełnie cię nie poznaję - rzucił od niechcienia. - Podczas pierwszego spotkania myślałem, że przejąłeś sposób życia tubylców, lecz teraz widzę, że się myliłem. Wszystko przez tych pieprzonych kryptonazistów i francuskich filozofów, których bez przerwy czytasz. Zabełtali ci w głowie. - Wzruszył ramionami. - Niech to szlag, obaj przeszliśmy długą drogę od pamiętnej wycieczki w zarośla Laosu.
- Ty nie. Wiesz, na czym polega twój problem? - Cień wyciągnął rękę, by ściszyć muzykę. - Wpadłeś w uskok czasu. Wieczny Dzikus, żyjący w latach siedemdziesiątych. Obudź się, koleś. Minęły dwie dekady. Przepisy się zmieniły.
- Rock stanął w progu i z uśmiechem zerknął przez ramię. Zagwizdał kilka taktów *Gimme Shelter* Rolling Stonesów, a potem zadziwiająco dźwięcznym głosem zaśpiewał:
 - - *War, children, ifs just a shot away, shot away...*
- W nocy na Eaton Square było cicho jak w grobie. Drobnym gradem pukał o chodnik i bębnił w dach auta, które Croaker pożyczył od Majora. Samochód skręcił w King's Road. Croaker wyłączył reflektory półtorej przecznicy wcześniej. Z rosnącym niepokojem myślał o Vesper. Skoro kierec wała Morgana, na pewno utrzymywała ścisłe kontakty z Godaishu. Kolejnym
- dowód, że Dedalus zajął miejsce Waxmana i był amerykańskim łącznikiem „Pięciu Kontynentów”. Croaker wysiadł, truchtem wrócił na Eaton Square i stanął przed frontem czteropiętrowej białej kamienicy. Po krótkim wahaniu wbiegł po kamiennych schodkach osłoniętych krótką kolumnadą i wdusił mosiężny przycisk dzwonka. Major w komputerze odszukał nazwisko właścicielki, pewnej staruszki, która już dawno wyjechała na wieś leczyć rozedmę płuc. Dom wystawiono na sprzedaż, lecz jak dotąd nabywca się nie znalazł. Pośrednik twierdził, że budynek jest pusty, i nie było powodu, by mu nie wierzyć. Croaker czekał cierpliwie. Po dłuższej chwili drzwi rozwarły się lekko i przez szparę wyjrzała twarz młodej kobiety o jasnych oczach i krótko przyciętych włosach.
- Czym mogę służyć? - Za nią widać było fragment marmurowego westybulu i kryształowy żyrandol.
- Och... chyba się pomyliłem - wymruczał Lew. - Szukam... - Wyciągnął plan Londynu. - Eeee... Eaton Terrace.
- Żle pana skierowano. Tu jest Eaton Square.
- Cholera. - Niespokojnie popatrzył na zegarek. - To daleko? Już jestem spóźniony na ważne spotkanie.
- Całkiem blisko. Ma pan jakiś transport?
- To znaczy samochód? Nie. Przed chwilą wysiadłem z taksówki. - Spojrzał na mokrą ulicę. - Wiem, że jestem bezczelny, lecz gdyby mogła pani zadzwonić na postój...
- Jasne oczy przyjrzały mu się badawczo.
- - Proszę poczekać. - Założyła na drzwi krótki łańcuch i odeszła. Croaker usłyszał cichy

stuk obcasów po marmurowej posadzce. Wyjął z kieszeni rolkę izolacji, oderwał kawałek i zalepił krawędź drzwi, tak by nie dały się zatrzasnąć.

- Dziewczyna wróciła chwilę później.
- Taksówka już jedzie.
- Dziękuję... - Zamknęła mu drzwi przed nosem.
- Zszedł ze schodów, postawił kołnierz i czekał. Nie był pewien, czy dziewczyna go obserwuje, lecz wolał nie ryzykować. Po paru minutach zobaczył taksówkę. Wsiadł, rzucił: „Eaton Terrace”, lecz przecnicę dalej kazał szoferowi stanąć, zapłacił za pełny kurs i wyskoczył na ulicę. Kryjąc się w cieniu dotarł z powrotem na Eaton Square, pod kolumnadę białej kamienicy. Wstrzymał oddech i z wolna przekręcił klamkę. Cicho wszedł do środka. Zanim zamknął drzwi, odkleił taśmę. W domu panowała cisza. Dziewczyna o jasnych oczach gdzieś zniknęła. Hol dziwnie kontrastował z zewnętrznym wyglądem budynku. Nie było tu wiktoriańskich ozdób, ciężkich mebli ani bogato rzeźbionych kominków. W chłodnym nowoczesnym wnętrzu dominowała czerń i biel, czasem tylko złamana lekkim odcieniem szarości. Proste, geometryczne linie, równe kąty i zachowana zasada symetrii. Wszystko podwójne, jak w lustrze. Aż brała ochota, by coś zniszczyć lub ukraść i przywrócić zgodny z naturą kształt rzeczy. Croaker podszedł do czarnych, spiralnych schodów z kutego żelaza. Słyszał tykanie zegara i stłumione głosy. Zdjął buty, żeby nie narobić hałasu wchodząc po metalowych stopniach. Głosy były już wyraźniejsze: dwie kobiety. Croaker przystanął, zerknął w głąb korytarza. Po obu stronach zobaczył cztery pary drzwi. Pełna symetria. Światło padało z ostatniego pokoju po prawej stronie. Jak duch prześliznął się korytarzem i zniknął w przyległym pomieszczeniu. Tu stanął na chwilę, by przyzwyczać oczy do mroku. Dostrzegł łóżko, szafę i toaletkę, a dalej kolejne drzwi. Prowadziły do dużej, pełnej marmurów i lusterek łazienki, połączonej z pokojem, z którego dobiegały kobiece głosy. Nasłuchiwał przez kilka sekund, po czym ostrożnie przekręcił klamkę. Do łazienki wpadła wąska smuga blasku. Mignęła czyjaś sylwetka. Vesper? Nie, ktoś inny, lecz także znajomy, Croaker widział jedynie cień przesuwaną się po ścianie. Nagle kobieta stanęła przed drzwiami łazienki i energicznym szarpnięciem otworzyła je na oścież. To była Celeste, siostra Margaretę.

12 YOSHINO

- Yoshino było świętym miejscem. Tu przed wiekami bohaterowie skąpani we krwi dawali dowody odwagi i poświęcenia, tu *yamabushi* schodzili z pielgrzymką z górskich ostępów, tu wreszcie - mimo trzechsetletnich wysiłków, jakie podejmowali shogunowie z rodu Tokugawa - nadal praktykowano Shugendo, synkretyczną religię łączącą cechy shinto i buddyzmu. Tokugawowie, ogarnięci obsesją władzy i wszędzie wietrzący wrogów, darzyli wielkim podziwem buddyjską skrupulatność. Ich zdaniem, gdyby każdy Japończyk wyznawał wiarę Buddy, byłby zarejestrowany w rodzimej świątyni, a tym samym, w razie potrzeby, łatwy do znalezienia. Shintoizm nie stawiał takich wymagań wobec swych wyznawców. U źródeł doktryny leżała wiara w prawa rządzące zmianami pór roku i moc *kami* zamieszkujących świątynię. Nie było Boga, ani Buddy, lecz tylko duchy opiekuńcze wypełniające każdy atom we wszechświecie. Wieść niosła, że Yoshino porasta sto tysięcy drzew wiśni. Przez trzy dni wiosny obsypane blad różowym kwieciem zbocza stanowią najpiękniejszy widok w Japonii. Tu od stuleci przybywali kolejni cesarze, by złożyć pokłon duchom góry, i tu ściągnęli Nicholas i

Tachi, idąc śladem informacji, które przekazał im Zao.

- - Pawłów miał się spotkać z człowiekiem nazwiskiem Niigata – mruknął Nicholas, gdy wjechali na wąską, stromą drogę. O tej porze roku wokół Yoshino gromadziły się gęste chmury, co stwarzało wrażenie, że szczyt góry sięga samego nieba. - Zao mówił, że chodzi o jakiegoś uciekiniera, który wstąpił do klasztoru Shugendo.
- - Zatem kiedyś musiał zajmować się czymś innym - odparł Tachi. Nicholas skinął głową. Zauważył, że młody oyabun tylko z grubsza pamiętał „spowiedź” gangstera. Efekt inwokacji? - Owszem. Fizyką nuklearną. Ale to jeszcze nie wszystko. Pół roku temu wrócił do Japonii po dłuższym pobycie w Wietnamie.
- Tachi gwałtownie odwrócił głowę w jego stronę. Opony zaszurały po żwirze leżącym na poboczu szosy.
- Uważaj!
- Wietnam... - wycedził oyabun. - Może był kiedyś w Pływającym Mieście?
- Zao nic o tym nie wiedział. Wspomniał tylko, że Pawłów wypytywał o Abramowę.
- Znaleźliśmy dojdzie do Rocka! - triumfalnie oświadczył Tachi. Skręcił na podjazd przed gospodą, gdzie zamierzali stanąć na nocleg.
- Błękitna mgła na zboczach góry stała się tak gęsta, że z okien pokoju nie było nic widać. *Ryokan* pobudowano w nowym stylu, zastępując drewniane elementy ceramiką lub plastikiem. W tokonomie zamiast wazonu z bukietem świeżych kwiatów stał telewizor wyposażony w skarbonkę, która po wrzuceniu stu jenów przez pół godziny pozwalała na oglądanie programu. Ściany pokryto zieloną tapetą, a w korytarzu, aż do drzwi toalety, ciągnął się rząd automatów oferujących wszystko - od gorącej sake po zimne cappuccino. Brakowało jedynie owej szczególnej atmosfery, charakteryzującej dawne japońskie gospody. Skrajnie konsumpcyjny styl życia we współczesnej Japonii bywał na ogół trudny do zniesienia. Zniknęły gdzieś związki z tradycyjną kulturą, podnoszącą tak proste przedmioty codziennego użytku jak grzebienie i szpilki do rangi dzieł sztuki. Tylko uważny obserwator mógł zauważyć, że tak naprawdę nic się nie zmieniło: Japonia od zarania dziejów tworzyła mniejsze lub większe fasady. Kryte laką ściany, papierowe przegrody, prześwitujące *noren* zawieszane w otwartych drzwiach - wszystko służyło iluzji, że tuż obok kryje się inny, ciekawszy świat, pełen piękna i nie zbadanych sekretów. Zao twierdził, że Niigata mieszkał w głębokiej kotlinie między dwoma wzgórzami. Nicholas i Tachi przekąsili coś w gospodzie, po czym powędrowali główną ulicą wioski do świątyni, którą w czternastym wieku zbuntowany cesarz Godaigo obrał za siedzibę dworu południowego, i gdzie jakoby spoczywały jego doczesne szczątki. Droga rozwidlała się u wejścia do chramu. Tachi i Nicholas skręcili w prawo. Weszli na wąziutką ścieżkę wiodącą obok kilku sklepów oraz samotnych domów i kończąca się stromym ciągiem kamiennych schodów ocienionych długim rzędem cynobrowych *torii*. Byli mocno zmęczeni po całodziennym jeździe. Mgła migotała jak klejnot w promieniach zachodzącego słońca. Gdy zeszli w dół zbocza, zrobiło się mroczno, chłód z wolna wypełzał z leśnego poszycia, sącząc się wśród porostów, mchów i paproci. Tachi zadrżał i mocniej zacisnął poły płaszcza. Kamienne stopnie zdawały się nie mieć końca.
- - To miejsce przyprawia mnie o dreszcze - odezwał się oyabun. Stanęli, gdy wśród drzew przetoczył się dziwny jękliwy dźwięk, kołaczący

- odległym echem wśród górskich szczytów.
- - Co to? - Tachi pokręcił głową na wszystkie strony.
- - Mnisi zwołują się na wieczorną modlitwę - wyjaśnił Nicholas. – Od wieków zamiast trąb używają dużych muszli.
- Szli dalej gęstym lasem. Jęk konchy towarzyszył im niczym krzyk obudzonych *kami*. Schody skręcały pod kątem czterdziestu pięciu stopni w prawo, a tuż obok, z porośniętego mchem kamienia, sterczał nadnaturalnej wielkości miecz. Metaliczny połysk głowni przypominał, że Yoshino zamieszkiwały duchy dawno poległych herosów, takich jak Minamoto Yoshitsune. Właśnie w tym miejscu legendarny wojownik z dwunastego wieku poświęcił w ogniu swój oręż przed wojenną wyprawą. Dla Nicholasa zalesione zbocza były na zawsze związane z inną, romantyczną historią, w której prócz Yoshitsune występowała tancerka Shizuka, uważana ówczasie za najpiękniejszą damę w kraju. Powiadano, że tańcem potrafi wywołać burzę i zmusić do płaczu najtwardszych wojów. Para kochanków uciekła do Yoshino po nieudanym zamachu na życie Yoshitsune, lecz ktoś zdradził ich miejsce pobytu i Shizuka została pojmana przez wrogów. Duchy doliny były silniejsze od plastikowych *geta* i telewizora w tokono-mie. Myśli Nicholasa błądziły wśród zamierzchłej przeszłości, lecz jednocześnie dawały o sobie znać osobiste wspomnienia. Tańcząca Shizuka stała się uderzająco podobna do Koei. Gdy dotarli do ostatniego odcinka schodów, w dali zobaczyli świątynię, wybudowaną na brzegu strumienia przecinającego kotlinę. Strzeliste szkarłatne dachy i sterczące ponad wierzchołki drzew masywne filary z polerowanego cedru, emanowały naturalnym pięknem i znakomicie pasowały do krajobrazu. Doszli do drewnianego mostku, przerzuconego w miejscu, gdzie strumień z pluskiem przelewał się przez kamienie. Przed nim stał gruby, metrowej wysokości cokół, a na nim odlany z brązu posąg smoka. To był Noten o-kami, wizerunek Zao Gongen, wcielenia Yoshino.
- - Powiedz mi coś o Seiko - odezwał się Nicholas, gdy przeszli na drugą stronę.
- Tachi zerknął za siebie, na wężowato wygięte cielsko smoka.
- - Zważywszy, że sypiacie ze sobą, byłoby to niezwykle groźne dla naszej przyjaźni. - Popatrzył na Nicholasa. Na jego ustach błąkał się cień uśmiechu. - Reguły Tau-tau uczą, że trójka wróży nieuchronny konflikt.
- Podobno nie przypominasz innych oyabunów. Tachi uniósł brwi.
- Możliwe. Już to, że jestem tanjianinem powoduje niemałą różnicę.
- Na drugim brzegu rząd starych, wysokich kryptomerii ciągnął się przez kotlinę i dalej, w górę zbocza.
- - W gruncie rzeczy nie zamierzałeś o nią pytać. I tak wiesz więcej, niż chciałbyś.
- Nicholas stanął.
- Co to znaczy?
- Znajomość z Seiko przypomina piaskową pułapkę. To kobieta pozbawiona osobowości. Zawsze zachowuje się tak, jak tego od niej oczekują, i niestety, ponoszą za to część winy. Teraz, gdy jest z nami, wydaje się silna, lecz już dawno zgubiła poczucie własnej wartości.
-
- I to czyni ją niebezpieczną?

- Tak. Ktoś taki jak ona nie zna prawdziwej ceny życia. W każdej chwili może zmienić front lub posłuchać czyjejs namowy. Ludźmi na ogół rządzą pieniądze, seks lub chęć władzy. Seiko jest inna. Działa pod wpływem impulsu, a to czyni ją zupełnie nieobliczalną.
- Spróbuj to nieco uściślić. - Nicholas był ciekaw, czy oyabun wie o tragicznej śmierci brata dziewczyny. - Uważasz, że jest niezdolna do miłości ani innych ludzkich uczuć?
- Nie. Mówię tylko, że jej definicja miłości w niczym nie przystaje do moich lub twoich poglądów. Trudno może w to uwierzyć, bo na pozór zachowuje się całkiem normalnie.
- Z lewej strony pojawiło się kilku mnichów z konchami pod pachą, śpieszących na wieczorną kongregację. Nicholas i Tachi ruszyli dalej, ścieżką wiodącą między dwoma budynkami na koniec kotliny.
 - - Skąd ci przyszło do głowy, że nie chcę rozmawiać o Seiko? – spytał Linnear.
 - - Obaj dobrze wiemy, co naprawdę miałeś na myśli. Shuken.
- To słowo stało między nimi niczym widmo uczty, obracające pokarmy w popiół, a wino w zatęchłą wodę. Jeszcze wczoraj przyszłość wydawała się gąszczem splątanych gałęzi, teraz zostały tylko dwa konary, nad którymi ciążyła namacalna obecność Prawdy. Shuken miało wpływ na każdą decyzję, wątpliwość i opinię. Determinowało także stosunek Nicholasa do oyabuna. Od tej chwili mogli być przyjaciółmi lub zaciętymi wrogami. Nie istniało pośrednie rozwiązanie.
- Tak - powiedział Nicholas, by próżno nie tracić słów. - Shuken.
- I jesteś ciekaw, czy przekażę ci wiedzę, jak sięgnąć w głąb sfery. Nicholas milczał przez chwilę. Droga już dawno zmieniła się w pylistą
 - ścieżkę. Gdy minęli świątynię, opuścili ostatnią rubież cywilizacji i dotarli do pierwotnego świata. Ptaki poświsływały w gałęziach, zagubione wśród igieł kryptomerii.
- - Domyślam się odpowiedzi. - Nicholas spojrzał na Japończyka. – Masz rację. Żaden yakuza nie cieszy się moją sympatią, lecz dla ciebie chętnie uczynię wyjątek, bo... - Popatrzył na pachnące smołą drzewa, okryte płaszczem zmierzchu. - Kiedy poczułem dotknięcie twego umysłu, zrozumiałem, że mamy szansę czegoś się wspólnie nauczyć. Tachi... żyjemy w oderwaniu od innych ludzi. Przez to straciłem żonę. Zresztą nie tylko ją. W młodości czerpałem dumę ze swej sztuki... ale to było dawno, gdy byłem całkiem innym człowiekiem. - Pokręcił głową. - Masz prawo wierzyć, że szukam Shuken od chwili, gdy zdałem sobie sprawę, że jestem tanjianinem, choć chyba nie zrozumiesz, czym się kieruję. Jedno nie ulega wątpliwości: nie zacznę wojny z tobą lub kimkolwiek innym tylko po to, by osiąść całość Akshary i Kshiry.
- Tachi przystanął i obrzucił Nicholasa długim, badawczym spojrzeniem. Nad ich głowami mignął lecący do lasu czarny ptak.
- Kto ci powiedział, że Shuken to połączenie dwóch ścieżek Tau-tau? - spytał w końcu oyabun.
 - Nikt. Po prostu czułem...
 - Nie daj się zwieść, nie istnieje żadna „teoria integracji”. Jediną wykładnią jest *koryoku*. Shuken rozdziela Światło i Ciemność tkwiące wewnątrz umysłu. Idealna więź, jak każdy ideał

w ludzkim życiu, jest czystą utopią. - Dostrzegł nagle zmianę na twarzy rozmówcy, lecz nie domyślał się, co ona oznacza. Skąd miał wiedzieć, że Kshira, niczym bomba, tykała miarowo w ciele Nicholasa? - Przekażę ci wszystko, co umiem. Postanowiłem kiedyś, że każdy napotkany tanjaniec będzie mógł liczyć na moją pomoc. Poza tym jesteśmy przecież przyjaciółmi, prawda?

- Tak - odparł Linnear. W uszach dźwięczały mu słowa Seiko, że Tachi jest opętany myślą o Pływającym Mieście. - Prawda.
- Poszli dalej. Niigata mieszkał w małej chatce na końcu ścieżki. Blask padający z jej wnętrza migotał w ciemnościach. Wkrótce zobaczyli bielejącą strzechę. Chata zbudowana została w tradycyjnym wiejskim stylu, z drewna łączonego na kołki i kliny, bez gwoździ lub kleju. Stanęli przed wejściem.
- Ja poprowadzę rozmowę - odezwał się Tachi. - Wiem, jak postępować z ludźmi Rocka.
- Skąd wiesz, że Niigata był w Pływającym Mieście?
- Stąd. - Oyabun uderzył zwinioną pięścią w brzuch.
- Z ponurą miną zapukał w futrynę. Chwilę później w progu pojawił się chudy mężczyzna około sześćdziesiątki. Wyglądem przypominał więźnia obozu koncentracyjnego.
- - Słucham?
- Na głowie nie miał ani jednego włosa. Łysina w jego wieku nie była niczym szczególnym, lecz prócz tego brakowało mu brwi i rzęs.
- Niigata-san?
- *Hai.*
- Mamy wiadomość od pańskiego przyjaciela. - Tachi postąpił krok do przodu. - Od Rocka.
- Nicholas w ostatniej chwili podtrzymał padającego starca. Niigata ważył nie więcej niż dziecko i miał czerwoną, napiętą skórę, błyszczącą jak winyl.
- Przepraszam - jęknął. - Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś usłyszę to imię.
- Ten człowiek cierpi na chorobę popromienną - powiedział Nicholas do oyabuna, po czym zwrócił się do Niigaty: - Co na to lekarz? Powinien pan być w szpitalu.
- Starzec obdarzył go wątłym uśmiechem.
- Na moją przypadłość nie ma lekarstwa. Tu mi dobrze. Nie chcę być królikiem doświadczalnym.
- Trafił pan do Pływającego Miasta?
- Nicholas wyczuł, że serce Niigaty zaczęło bić przyspieszonym rytmem.
- - Wejdźcie. - Starzec wskazał na ciemne wnętrze chaty. - Właśnie siada-
- łem do kolacji. Zjecie ze mną? Od dawna nie miałem gości. Zaglądają tu tylko mnisi, lecz żaden nie zostaje zbyt długo. Cieszę się, że was widzę, nawet jeśli przychodzicie od Rocka. Nicholas rzucił oyabunowi szybkie spojrzenie, lecz ten nie zwrócił na to uwagi.
- - Jesteśmy bardzo wdzięczni za zaproszenie - odparł z naciskiem. Zdjęli buty i weszli do

środką. Niigata wolno krzątał się przy wkopanym

- w ziemię hibachi.
- Jak pan tu trafił, skoro był pan w Pływającym Mieście? - spytał Nicholas.
- Uciekłem - z prostotą oznajmił starzec. Zamieszał warzywa włożone do żelaznego kotła zwisającego z haka nad piecykiem.
- Mimo to nie wygląda pan na wystraszonego naszą wizytą. Niigata uniósł głowę.
- Jestem już martwy. Groźby Rocka nie mają dla mnie znaczenia. Przyniósł trzy drewniane miski i na każdą nałożył kopiastrą porcję. Ręce
- trzęsły mu się tak mocno, że omal nie pobrudził maty.
- - Siądźcie - zaproponował.
- Jedli w milczeniu. Prawdę mówiąc, apetyt dopisywał tylko gościom. Choć potrawa była pożywna i smaczna, Niigata niemrawo dłuwał w misce. Nicholas przyjął to bez zdziwienia.
- Pracował pan wspólnie z Abramaniem, prawda? - zapytał Tachi. Niigata skorzystał z pretekstu, by odłożyć pałeczki.
- Nie przychodźcie z Miasta.
- Nie - odparł oyabun. - Chcemy powstrzymać katastrofę.
- Zatem nie wiecie, co się tam dzieje. - Głos starca nagle stał się tak zmęczony i cichy, jakby dobywał się z gardła Matuzalema.
- Przyszliśmy dowiedzieć się prawdy.
- Prawdy... - Niigata smutno pokiwał głową. - Tak, to jedyna rzecz, która ma jakąś wartość.
- - Wlepił w gości błyszczące spojrzenie. - Tyle zdołałem pojąć.
- Nie mamy wobec pana złych zamiarów - zapewnił go Nicholas.
- Taaak... - mruknął Niigata. - Nie pozostaje mi nic innego, jak wam wierzyć. - Wzruszył chudymi ramionami. - Dobrze i to.
- Opowiedział wszystko. Jak w listopadzie dziewięćdziesiątego pierwszego roku wyłowiono Abramana z Morza Południowochińskiego, jak następnego wiosny Abramana przekonał Rocka o konieczności wydobycia zatopionego ładunku i jak wspólnymi siłami wybudowali komorę rozszczepień oraz podziemne laboratorium, w którym Rosjanin mógł przeprowadzać doświadczenia z wysoko radioaktywnym izotopem.
- Jak silny jest ten izotop? - spytał Tachi.
- Co mam powiedzieć? - Głowa Niigaty zakołysała się na cienkiej jak nitka szyi. - Nikt tego naprawdę nie wie. Nawet Rock nie pozwolił na przeprowadzenie testów w Wietnamie, więc prototyp powstał na podstawie za-
-
- łożeń teoretycznych. Przekonałem się na własnej skórze, że jest silniejszy od plutonu. Prawdziwy koszmar. Bezpośrednie zetknięcie z cząsteczkami oznacza szybką śmierć. Abramana umieścił próbki w specjalnie skonstruowanym pomieszczeniu, wypełnionym argonem i dodatkowo zabezpieczonym, by nie dopuścić do oksydacji. System nie zawsze działa sprawnie i niewielkie ilości toksycznego pyłu ulatują na zewnątrz. Dodatkowym zmartwieniem

jest przenikliwe promieniowanie gamma. Wystarczy postać pięć minut bez ochrony w odległości dziesięciu metrów od próbki i już po tobie.

- To dlaczego Abramow nie przerwie eksperymentów? - nie ustępował Tachi.
- Z wielu powodów. Pierwiastek z łatwością ulega rozszczepieniu, ma mniejszą masę krytyczną niż uran lub pluton i znacznie wydłużony okres połowicznego rozkładu. Wiecie, co to oznacza?
- Domyślam się. - Nicholas poczuł chłód przenikający go do szpiku kości. - Abramow odkrył materiał na nową broń.
- Otóż to - przytaknął Niigata. - Twierdzi, że wystarczy zbliżyć dwie próbki o wymiarach książki na odległość metra, by zapoczątkować proces przemiany jądrowej.
- Reakcja łańcuchowa - wykrztusił Nicholas przez ściśnięte gardło. - Jak silna?
- Próbki, o których mówiłem, wystarczą do zniszczenia całej dzielnicy.
- Dobry Boże...
- Przez jakiś czas w chacie panowała głucha cisza. Na gałęzi za oknem zaćwierkał jakiś ptak, potem i on umilkł. Słychać było jedynie odległy szmer strumyka. Niigata poruszył się z cichym jękiem. Bez wątpienia cierpiał.
- Promieniowanie przenikało nawet przez ścianki komory - odezwał się Nicholas.
- To prawda. Szukaliśmy siły roboczej wśród miejscowych plemion. Praca szła bez wytchnienia, wciąż brakowało czasu. Czasem zdarzały się błędy. Niewielkie, lecz groźne w skutkach. W czasie mojego pobytu zmarło piętnaście osób. Wysoka toksyczność izotopu wyklucza jego pokojowe zastosowanie. - Starzec potrząsnął głową. - Paskudna sprawa. Abramow z początku sądził, że spełni marzenie ludzkości o tanim, bezpiecznym i trwałym paliwie.
- Tachi pochylił się w stronę Niigaty. Blask ognia migotał na jego twarzy.
- Z własnej woli przebywa w Pływającym Mieście?
- I tak, i nie. - Niigata zaczął gmerać pogrzebaczem w palenisku. Sięgnął po duże polano i choć miał spory kłopot z wsunięciem go do ognia, żaden z gości nie próbował mu pomóc, gdyż to byłoby ujmą dla gospodarza. - Moim zdaniem na pewno nie jest jeńcem Rocka. Raczej więźniem własnego zaślepienia.
- W rudym blasku ognia ciało Niigaty wyglądało jak szkielet odarty ze skóry.
- - Uważa Pływające Miasto za jedyne bezpieczne miejsce do pracy. Projekt określany przez Rocka nazwą „Torch” miał być formą zapłaty za uratowanie życia. Abramow, ślepo wierzący swemu władcy, podjął próbę skonstruowania niewielkiej, przenośnej głowicy jądrowej. Strach ścina krew w żyłach na myśl
- o podobnym urządzeniu, lecz do niego to nie dociera. Ma jeden cel: ściągnąć na siebie uwagę całego świata. I to właśnie chciał mi przekazać Okami - pomyślał Nicholas. - Broń nuklearna, zbudowana w laboratoriach Pływającego Miasta, będzie użyta piętnastego marca. Gdzie krył się kaisho i z kim Rock zamierzał handlować?

- Nie dostrzega, że jego praca ma służyć zagładzie? - spytał Tachi.
- A który z naukowców widzi takie rzeczy? Nikt w Los Alamos nie myślał o przerwaniu Projektu Manhattan. - Niigata spojrział na ubrudzone węglem dłonie. - Ludzka natura na ogół broni się przed racjonalizmem.
- Kto ma być nabywcą pierwszej głowicy? - odezwał się Nicholas.
- Jakiś Japończyk - bez wahania odparł starzec. - Przypadkowo słyszałem rozmowę Rocka. Yakuza. Oyabun.
- Który? - Nicholas miał wrażenie, że serce wyskoczy mu z piersi.
- Nie wiem. Padło jedynie słowo „kaisho”.
- Celem ataku miał być Okami. Zatem domniemany zabójca wiedział, gdzie szukać jego kryjówki.
- - I do tego potrzebna eksplozja jądrowa? Niigata wzruszył ramionami.
- - Co najmniej z dwóch względów. Po pierwsze, zbędna jest dokładna lokalizacja celu. Całe sąsiedztwo pójdzie z dymem. Po drugie: wybuch w zatłoczonym centrum miasta bez wątplenia zwróci uwagę wszystkich potencjalnych nabywców. Rock będzie mógł żądać astronomicznej ceny, a i tak każdy kacyk, bojówkarz lub separatysta stanie na głowie, by dokonać transakcji.
- Nicholas zadrżał na myśl o podobnej możliwości. Musiał czym prędzej odszukać Okamięgo.
- - Doszły mnie wieści, że torch ma być zdetonowany w dużej metropolii. Domyśla się pan, o co chodzi?
- Niigata oddychał z wyraźnym trudem.
- Podejrzewam, że tego nie wie nawet Abramow. Jedynie Rock... i rzecz jasna, jego wspólnik. Ale radzę, żebyście zniszczyli głowicę nim opuści mury Pływającego Miasta. Potem nie będzie szansy na odszukanie jej wśród setek domów.
- Wspólnik? - szepnął Tachi, nie zwracając uwagi na złowieszczy wydźwięk ostatnich słów Niigaty.
- Nicholas rzucił mu zdziwione spojrzenie.
- Wspólnik Rocka wciąż żyje? - syknął oyabun.
- Pewnie, że żyje - odparł starzec. - Nie ma mocnych na sukinsyna. Rock zwraca się do niego „Mick”.
- Tak, Mick. - W oczach gangstera zapłonęły dziwne ogniki, a w głosie wibrowało tak silne napięcie, że nawet Niigata zwrócił na to uwagę. - Michael Leonforte. Wreszcie odnalazłem pierdolonego drania.
-

13LONDYN / TOKIO / YOSHINO

- Jtrzystało padać i księżyc w pełni wysunął się zza nisko wiszącej chmury, rzucając smugę światła na twarz Celeste stojącej w drzwiach łazienki. Dziewczyna pochyliła się nad koszem na śmieci i zgarnęła do niego z popielniczki skrawki spalonego papieru. Croaker, schowany za zasłoną prysznic, czuł pod stopami chłodny dotyk porcelanowej wanny. Zdażył uciec od drzwi, gdy zobaczył sunący po ścianie cień Celeste. Na szczęście nie zapaliła światła, bo w

przeciwnym wypadku na pewno zobaczyłaby wodę rozlaną w miejscu, gdzie Lew na chwilę odstawił przemoczone buty. Gdy wyszła, wrócił do drzwi, ostrożnie stąpając po mokrej posadzce. Niewiele brakowało - myślał. Serce jak oszalałe tłukło mu się w piersi. Celeste stała tak blisko, że czuł zapach jej perfum. Z łatwością mógłby jej dotknąć. A gdyby uważniej spojrzała na podłogę... Po raz pierwszy spotkali się w zeszłym roku, w Tokio, podczas pościgu za Do Dukiem. Nicholas poznał ją jeszcze wcześniej, w Wenecji. Kaisho traktował ją niemal jak córkę, więc nic dziwnego, że miała dostęp do tajemnic Nishiki. Groźniejsza była obecność Vesper. Wyglądało na to, że zdołała dotrzeć do najbliższego kręgu przyjaciół i powierników Okamięgo.

- Po raz pierwszy opadły mnie wątpliwości - mówiła Celeste. - Boję się potęgi rozpętanej przeciwko Okamiemu. - Pokręciła głową. - Widziałaś, co się stało po śmierci Leonforte[^]. Dedalus zajął jego miejsce i nic się nie zmieniło. Godaishu jest jak hydra, obcięcie jednej czy dwóch głów nie wystarczy, by ją zgładzić.
- To właśnie planował Okami, budując organizację - odparła Vesper. - Teraz przyszło mu walczyć z własnym odbiciem.
- Celeste spojrzała na nią.
- Boję się, że go dopadną. Zabiją. Jeśli pomoc będzie spóźniona...
- Musisz w niego bardziej wierzyć - miękko szepnęła Vesper.
- - Zbyt długo go nie widziałam. A Godaishu z każdym dniem rośnie w siłę. Vesper tym razem nie odpowiedziała, lecz jej twarz wyrażała głęboką
- troskę. Croaker nie posiadał się ze zdziwienia. Zagrywka psychologiczna, czy
- szczerze współczucie? Jak mogła się martwić o Celeste, Margaritę i Okamięgo skoro zamierzała ich zdradzić? Im więcej o niej wiedział, tym mniej ją rozumiał. Na pewno nie należała do kobiet przeciętnych.
- - To jeszcze nie wszystko. - Celeste zagryzła dolną wargę. - Nie dostaliśmy żadnych nowych informacji od Sermana. Nie wiemy nawet, czy praca nad torchem została ukończona, a to wprowadza dodatkowe ryzyko, którego nie wolno nam lekceważyć.
- Co za ryzyko? Croaker nadstawił ucha, by nie uronić ani słowa
- DARPA może mieć jakieś trudności - westchnęła Vesper. - Nie wiem, co Sermanowi chodzi po głowie.
- Myślisz, że zabrnął w ślepią uliczkę? - zaniepokoiła się Vesper. - A jeśli nie zdoła na czas dostarczyć analizy izotopu? Torch trafi na rynek po piętnastym. Prawdziwy triumf Pływającego Miasta.
- Tak czy siak, mamy problem. Czas nas goni. Zrobię wszystko, by jak najprędzej porozmawiać z Sermanem. Rano wracam do Stanów.
- Będziesz musiała poczekać do wieczora. Godzinę przed twoim przyjściem dostałam wiadomość, że jutro w południe masz być w punkcie trzysta piętnaście.
- Czyli przy Bird Lawn w Holland Parku. - Vesper zmarszczyła brwi. - Kwadrans po trzeciej. Znasz hasło równie dobrze jak ja. Pewnie będzie chciał wiedzieć, co ustalił Serman, a

ja nie mam mu nic do przekazania.

- Zacznie się wściekać?
- Nie teraz. Nigdy jeszcze nie przegrał.
- Czuję się zagubiona - szepnęła Celeste. - Co robić?
- Tanaka Gin czekał na Ushibę przy Ginzie, w sklepie spożywczym w podziemiach supermarketu „Mitsukoshi”. Sklep cieszył się zasłużoną sławą nie tylko ze względu na swą powierzchnię - a zdawał się ciągnąć bez końca - ale i asortyment towarów. Można tu było kupić wszystko, co nadawało się do jedzenia: od świeżo pociętych pędów bambusa, poprzez jarzyny, zioła, pieczywo, aż do najbardziej wymyślnych zestawów gotowych potraw. Prokurator spędzał tu wiele godzin, myszując wśród półek i pałaszując wystawione próbki, w czasie gdy jego umysł pracował zawzięcie nad jakimś problemem, niemożliwym do rozwiązania w ciasnym biurze. Ushiba nigdy nie widział go przy normalnym posiłku. Ktoś mógłby przypuszczać, że odżywiał się nocą. Nic bardziej mylnego. Tanaka był jak rekin, wciąż w ruchu, nie tyle niezmordowany, ile raczej pełen obaw przed groźnymi skutkami inercji. „Zastygłe ciało trudno wprowadzić w ruch” - powtarzał niejednokrotnie. Być może miał na myśli zgrzytającą w posadach maszynę biurokracji, z którą przyszło mu toczyć zawziętą walkę, a może chciał uczestniczyć we wszystkich ważniejszych wydarzeniach. Jak dziecko broniące się, by nie zasnąć, gdy rodzice bawią się na przyjęciu, tak on stawiał znak równości między wypoczynkiem i śmiercią.
- Co tam z Yoshinorim? - spytał Ushiba, gdy dopadł prokuratora przy stoisku oferującym tajskie spring-rolle.
- Znośnie. - Tanaka wziął kawałek naleśnika, zanurzył go w gęstym sosie pomarańczowym i zjadł na dwa kęsy. - Najbardziej muszę dbać o to, by dotrwał do procesu.
- Próbował popełnić samobójstwo?
- Praktycznie jest martwy. - Przeszli stoisko dalej, gdzie unosił się zapach smażonego oleju fistaszkowego, równie kuszący jak ruch bioder nagiej kobiety. - Wie o tym, a my wiemy, że on wie. Domyśla się, że sprawy, którymi kierował, już dawno przeszły w ręce innych, a zbyt długo żył na tym świecie, by teraz pogodzić się z myślą, że jest już niepotrzebny.
- Gdyby zmarł przed procesem, wywołałoby to istną lawinę pytań i domysłów - sucho stwierdził Ushiba. - Mam z nim pomówić?
- Tanaka zastygł bez ruchu z ręką uniesioną do ust. Badawczo spojrzął na podłużny kawałek smażonej ryby, zjadł, po czym wytarł palce w maleńką serwetkę, którą podała mu ekspedientka oferująca darmowe przekąski.
- Długo rozmyślał pan nad tą sprawą. - Ciemne oczy prokuratora spoczęły na pięknej twarzy Ushiby. - Niełatwo podjąć taką decyzję.
- Nie chcę skończyć w zapomnieniu jak Yoshinori.
- - Obawiam się, że w pańskim przypadku to niemożliwe, daijinie. Tanaka rzadko używał w rozmowach oficjalnego tytułu ministra. To,
- że zrobił to właśnie teraz, najlepiej świadczyło o zmianie w ich wzajemnych stosunkach. Ushiba, chcąc nie chcąc, znalazł się w drużynie prokuratora i musiał grać zgodnie z narzuconymi regułami lub stawić czoło poważnym konsekwencjom. W milczeniu skinął głową. Czuł się

zdradzony przez Chosę, więc w spokoju przyjmował wyroki opatrności. Teraz ich karma była nierozzerwalnie związana z postacią Tanaki. Coś, co jeszcze miesiąc temu wydawało się niemożliwe, nagle nabrało realnych kształtów. To dobrze. O pozycji daijina nie decydowały wyłącznie układy, inteligencja i łut szczęścia. Ushiba już dawno udowodnił, że potrafi niejedno wytrzymać i wyjść obronną ręką z każdej sytuacji. Także teraz, jeśli zajdzie taka konieczność. Wędrowali od lady do lady, czasem przystając, gdy Tanaka znalazł kolejny smakołyk. Ushiba nic nie jadł. Ostatnio coraz częściej pościł, a i tak wszystko, co przełknął, po godzinie wracało mu do gardła. Wycieńczone ciało z trudem ulegało wymogom życia. Był wdzięczny, że Tanaka nie robił żadnych uwag na temat jego wyglądu. Parę miesięcy temu usunął z domu wszystkie lustra, by nie widzieć postępujących symptomów choroby. Pewnie postąpił niewłaściwie, ' gdyż dziś rano, po przyjsciu do biura, przestraszył się własnego odbicia w wypolerowanym marmurze. Miał wrażenie, że zobaczył ducha. Po części była to prawda. Wyglądał jak zabłąkany upiór, usiłujący odnaleźć swą pogrzebaną przed laty ziemską powłokę.

- - Byłem ciekaw, czy zechce pan uczestniczyć w przesłuchaniach - odezwał się Tanaka. - W ciągu najbliższych tygodni czeka nas wiele pracy, co
- czasem mogłoby sprawiać nieco kłopotów, zważywszy, że pan i ja mieszkamy w odległych częściach miasta. Z chęcią przyjmę pana do siebie. Mam duży dom, ze skrzydłem przeznaczonym wyłącznie dla gości. Nikt nie będzie panu przeszkadzał, a w dodatku uniknie pan męczących podróży, gdy zajdzie potrzeba uzupełnienia zeznać lub zweryfikowania wypowiedzi innych świadków. Co pan na to? Ushiba zamknął oczy. Nagle zawirowało mu w głowie. Nieznacznym ruchem przesunął się w stronę metalowego stelaża zastawionego pudełkami *bento*, by mieć w zasięgu ręki pewniejsze oparcie. Rzecz jasna wiedział, co kryło się za propozycją prokuratora. To on potrzebował pomocy, nie Tanaka. Coraz trudniej znosił samotność. Zamrugał powiekami, chcąc odpędzić łzy gromadzące się w kącikach oczu. Co za ironia losu - pomyślał. - Żyłem wśród możliwych tego świata, ale pod koniec tylko zaciekły wróg Godaishu okazał mi prawdziwą przyjaźń.
- Nie chciałbym sprawiać niepotrzebnych kłopotów - powiedział. - Sądzę, że moja obecność wywołałaby sporo zamieszania.
- Skądże. - Tanaka wsunął do ust garść małych suszonych węgorzy. - Mieszkam sam, tylko dwa razy w tygodniu przychodzi kobieta do sprzątanania. Ucieszy się na widok gościa, gdyż wciąż narzeka, że ma za mało pracy. Chciałaby jeszcze gotować.
- Gdy przeszli do następnego stoiska, Ushiba z szacunkiem skłonił głowę.
- W takim razie będzie mi bardzo miło. Robię to jednak przede wszystkim dla dobra śledztwa.
- Oczywiście - uśmiechnął się prokurator. - Jestem głęboko wdzięczny, że traktuje to pan w ten sposób.
- Ceremonialna słowna żonglerka była podyktowana koniecznością zachowania pozorów. Ushiba nie mógł dziękować za coś, czego Tanaka nie wyraził dostatecznie jasno, a ten z kolei nie chciał głośno przyznać, że wie o chorobie dręczącej daijina, gdyż podkreślanie czyjejs słabości równałoby się z obrazą.
- - Czekam na mnie gigantyczne zadanie i prawdę mówiąc, mogę liczyć przede wszystkim na

pana, Ushiba-san. Moi podwładni i tak uginają się pod ciężarem roboty. - Tanaka wytarł dłonie i odwrócił się w stronę daijina. - Z chwilą, gdy skruszyliśmy drzwi krypty, odnajdujemy coraz więcej szkieletów. Yoshinori miał długie macki. Politycy i biznesmeni płacili mu za określone przywileje, a przedsiębiorcy budowlani za kontrakty inwestycyjne, o które od lat zabiegali Amerykanie. Zarzut, że Japonia jest sklepem dostępnym jedynie od zaplecza, okazał się niestety prawdziwy. A to dopiero początek. Podejrzewam, że tak samo postępowano z przydziałem koncesji handlowych.

- Rozejrzał się czujnie po zatłoczonym wnętrzu sklepu, jakby w obawie, że ktoś może ich podsłuchać. Ushiba pomyślał wówczas, że miejsce spotkania nie zostało wybrane przypadkiem.
- - Prócz tego muszę przyznać, że mam szczególny powód, by domagać się pańskiej pomocy, daijinie. Mój współpracownik znalazł pewien dokument w morzu papierów zalegających w domu Yoshinoriego. Odręczny list do któregoś z partyjnych dygnitarzy. Yoshinori wspomina w nim o organizacji zwanej Godaishu. Zna pan tę nazwę?
- - Nie - odparł Ushiba.
- Bał się, że Tanaka Gin usłyszy jak głośno wali mu serce.
- - Wcale mnie to nie dziwi. Też nie mam pojęcia, o co chodzi. Wiem tylko, że to słowo używane przez yakuza. Jeśli udowodnię, że kierowany przez Yoshinoriego odłam Partii Liberalno-Demokratycznej miał ścisłe powiązania ze światem przestępczym, zyskam nielichą broń do walki z gangsterami okupującymi stanowiska w biznesie.
- Ushiba milczał przez długą chwilę. Wyszli ze sklepu i ruchomymi schodami wyjechali na ulicę. Ginza błyszczała w słońcu i światłach neonów, a wokół przewijał się tłum przechodniów, turystów i zabieganych urzędników. Daijin tego nie widział. Miał wrażenie, że cały świat skurczył się do mikroskopijnych rozmiarów. Czuł w ustach smak własnej krwi. Na Tanakę czekał służbowy samochód.
- Pojedzie pan ze mną, daijinie? Szofer odwiezie pana we wskazane miejsce.
- Dziękuję. - Ushiba wsunął się do wnętrza wozu. - Resztę dnia zamierzałem spędzić w biurze.
- Prokurator usadowił się obok niego.
- O której ma być u pana? Pomoże w spakowaniu najpotrzebniejszych rzeczy.
- Najlepiej o ósmej.
- Ushiba zamknął oczy, ponieważ kołysanie samochodu przyprawiało go o zawroty głowy. Przy każdym, nawet najmniejszym wahaniciu, wydawało mu się, że spada w bezdenną czeluść. Czuł strach przed windą, gdyż podczas jazdy zupełnie tracił orientację, lecz jak dotąd nie znalazł rozsądnie brzmiącego pretekstu, by w obecności podwładnych korzystać ze schodów. Oszołomienie z wolna minęło. Ushiba przypomniał sobie, jaki był główny powód spotkania z prokuratorem. Teraz nadszedł właściwy moment, by przejść do sedna sprawy. Ostrożnie wkroczył na nie znaną ścieżkę. Bardziej niż dotąd odczuwał dotkliwy brak Okamiego. Gdyby kaisho nadal pełnił swą funkcję, wszystko wyglądałoby całkiem inaczej. Daijin westchnął w duchu. Ze wszystkich decyzji, jakie podjął w życiu, najbardziej żałował tego, że

przystąpił do spisku związanego przez członków rady. Co prawda nie wiedział, że któryś z nich - Chosa lub Akinaga - posunie się tak daleko, by wydać wyrok śmierci na oyabuna wszystkich oyabunów. Teraz patrzył bezradnie, jak dwa potężne klany zmierzają do nieuchronnej wojny. Gdy dowiedział się, że Chosa mimo ostrzeżeń zamierza zniszczyć Nicholasa Linneara, bez namysłu stanął po stronie Akinagi. Nie można było dopuścić do koncentracji tak wielkiej władzy w rękach jednego człowieka. Okami wiedział o tym, gdy tworzył radę - Ushiba mógł mieć tylko nadzieję, że w jego przypadku opamiętanie nie przyszło zbyt późno.

- - Gin-san - powiedział powoli. - Myślałem właśnie o naszej rozmowie. Wiem o związkach łączących Yoshinoriego z yakuza.
- Tanaka z nagle pociemniałą twarzą obrócił się w fotelu.
- Panie ministrze, jeśli to prawda, do końca życia nie zdołam spłacić zaciągniętego u pana długu.
- Nie chodzi o wdzięczność. - Świat Ushiby legł w gruzach. Daijin nie potrafił jasno określić swych uczuć, wiedział jednak, że musi brnąć dalej. - W tej chwili mogę jedynie powiedzieć, że Yoshinori prowadził ściśle interesy z Akirą Chosą, oyabunem klanu Kokorogurushii.
- Z miny prokuratora wywnioskował, że klamka zapadła. Czekala ich wspólna przyszłość, choć żaden nie wiedział, co czai się na końcu drogi.
- - Prawda jest boleśnie prosta - oświadczył Tachi. - Michael Leonforte zamordował mi ojca.
- Niigata chwiejnym krokiem wyszedł do toalety. Choroba popromienna osłabiła mu ścięgna i zmiękczyła kości.
- - Po trzech latach pobytu w Kumamoto wróciłem do domu. Chciałem pokazać ojcu, do czego doszedłem. Do dziś nie wiem, czy w pełni zrozumiał, kim jestem i co robię. Może to i lepiej. Żył własnym życiem, lecz w głębi duszy był dumny z mojego buntu. Nigdy nie spojrzął na moją rękę, a mimo to czułem, że wiedział o bliźnach i traktował je jako coś szczególnego.
- Tachi nie spuszczał oka z drzwi. Pewnie nie chciał, by powracający Niigata był świadkiem rozmowy.
- - Ojciec prowadził rozległe interesy w Wietnamie. Często zabierał mnie, kiedy tam wyjeżdżał, co budziło lęk matki, bo podróż nie należała do bezpiecznych. „Zagrożenie - mówił wówczas - to bestia, której najlepiej stawić czoło za młodu”. Miał rację. U jego boku uczyłem się bronić, kryć i ustępować. Poznałem sztukę negocjacji i kompromisu, a przede wszystkim dowiedziałem się wreszcie, czym naprawdę jest czujność. Od tamtej pory śpiam z otwartymi oczami.
- Ogień zaskwierczał i strzelił iskrami, liżąc żelazny kociołek, w którym bulgotały resztki posiłku. Uchodząca para syknęła gniewnie, niczym niezadowolony rodzic.
- - Ojciec od dawna miał oko na Wietnam. Widział to, czego nie dostrzegali inni: że Azja Południowo-Wschodnia jest perłopławem, z którego za niewielką cenę można wyciągnąć prawdziwe klejnoty. Kupował zakłady włókiennicze, firmy elektroniczne i fabryki nawozów sztucznych. Inwestował w stare sajgońskie hotele, uważane przez wszystkich za całkowicie

pozbawione wartości. Gromadził ziemię. I właśnie wówczas trafił na Leonforte'a.

- Tachi wbił wzrok w palenisko.
- - Michael Leonforte kupował nieruchomości za pośrednictwem fikcyjnej spółki, którą prowadził wraz z Rockiem. W końcu trafił na działkę upatrzoną przez ojca. Żaden nie chciał ustąpić. Mój ojciec pierwszy raz w życiu zapomniał o wyznawanych zasadach. Leonforte próbował go zastraszyć, lecz bez rezultatu. Wówczas przyczepił się do mnie. Rozzłoszczony ojciec wyzbył się ostrożności. Widziałem, jak Leonforte zastrzelił go niczym psa w wąskim zaułku. Cieszył się. Oblizwał usta, wyszczerzył zęby i odtańczył dziwaczny taniec nad nieruchomym ciałem. Potem zataszczył zwłoki do dżungli.
- Nicholas widział, jak mięśnie twarzy młodego oyabuna drgają kurczowo pod wpływem bolesnych wspomnień. W tym wypadku Seiko nie kłamała. Tachi naprawdę był owładnięty obsesją dotarcia do Pływającego Miasta. Nicholas pochylił się, napełnił czarkę herbatą, po czym pchnął ją po macie w stronę Japończyka. Przelotnie poczuł na skórze dotyk zimnych palców. Tachi spojrzał mu prosto w oczy, później opuścił głowę i zerknął na czarkę. Niemo skinął głową, ujął naczynie w drżące dłonie i wypił. Gdy skończył, był już całkiem spokojny.
- Niigata nie zapomniał, jak parzyć dobrą herbatę - odezwał się cicho. Nicholas popatrzył na niego z uśmiechem.
- Uciekł z Pływającego Miasta, więc wie, jak tam wrócić. - Wyjął pustą czarkę z rąk oyabuna. - Znalazłeś swoją szansę.
- Tachi bez słowa skinął głową. Gdy starzec wrócił, na nowo zaczęli zadawać mu pytania. Niigata pożegnał ich w tym samym miejscu, w którym zobaczyli go po raz pierwszy - w otwartych drzwiach chaty. Wyglądał jeszcze mizerniej, jakby choroba przydawała mu lat w zastraszającym tempie. Nic dziwnego; sam twierdził, że to, iż przeżył tak długo, graniczyło z cudem.
- - Każdego ranka ze zdziwieniem otwieram oczy - powiedział - chociaż niektóre niespodzianki nie należą do najprzyjemniejszych.
- Nie musiał się wdawać w szczegóły, by zrozumieli, co miał na myśli. Wieczorny podmuch wiatru targał gałęziami kryptomerii. Zrobiło się chłodno, więc Nicholas i Tachi pośpiesznie szli ścieżką wiodącą w stronę świątyni. Światła zabudowań połyskiwały między drzewami. Po zmroku kotlina zdawała się jeszcze głębsza niż w dzień. Zewsząd piętrzyły się czarne zbocza. Przygnębiająca opowieść Niigaty zniechęcała do rozmowy, toteż w ponurym milczeniu dotarli do małej polany przed mostem wiodącym na teren świątyni. Odległy dziedziniec był całkiem pusty, jedynie kryte laką narożniki budynków płonęły czerwienią w blasku zwisających latarni. Księżyc świecił dość jasno. Srebrzyste smugi jak żywe ślizgały się wśród wilgotnej trawy i na kształt mgły wirowały w mroku, tworząc dziwne, nieokreślone wzory. Gdzieś w dali Nicholas posłyszał głuchy rytm, na poły znajomy, na poły nowy. Krew zawrzała mu w żyłach. Odwrócił głowę. Tachi patrzył na niego bez słowa, a dudnienie *kokoro* stawało się coraz głośniejsze. To było *koryoku*, Moc Oświecenia, jedyna ścieżka wiodąca do Shuken.
- - Otwórz swój umysł, Nicholasie - szepnął oyabun. - Tu znajdziesz wszystko, czego pragnąłeś. Tu jest *koiyoku*.
- Tak blisko celu... Nicholas zawahał się przez moment. Czy Tachi zasługiwał na pełne zaufanie? Otwarcie umysłu odsłaniało mu drogę do mentalnego ataku. Z drugiej strony, skoro to

był jedyny sposób do uniknięcia zagrożenia ze strony Kshiry...

- Nicholas nie miał wyboru. Skierował myśli w stronę kosmicznej membrany i zaczął wybijać pradawny rytm Tau-tau. Las kryptomerii zmienił się w słup dymu zaciemniający światło księżyca. Obraz świata uległ całkowitemu zakłóceniu, czas zniknął w otchłani wieczności. Nicholas wpłynął w obszar magii, gdzie nie istniały żadne znane horyzonty i prawa ustanowione przez człowieka. Wokół siebie słyszał oddech kosmosu, głęboki niczym pomruk olbrzymiego silnika. Po drugiej stronie jaskrawej kolumny światła wyczuł czyjąś obecność. Tachi. *Koroyku* sterczało między nimi jak gigantyczny magnes, emanujący niespożytą siłą. Im byli bliżej, tym bardziej wzrastało poczucie zagrożenia. Nicholas zdjął wszystkie bariery broniące dostępu do jego umysłu. Dotknął jaźni młodego *oyabuna*, odczytał jej strukturę, lecz nie potrafił wniknąć głębiej. Jeśli Tachi był wrogiem, teraz miał najlepszą szansę, by zniszczyć bezbronny i oszołomiony strumieniem Mocy przeciwnika. Poza czasem coś drgnęło, niczym zaciskająca się pętla i Nicholas ponownie doświadczył wpływu *shicho*, myśli wysyłanych przez Japończyka. Byli tak blisko snopu światła, że potrafił rozróżnić rozedrgane migotliwą iluminacją rysy *oyabuna*. Poczul natarczywe przynaglenie, więc sięgnął myślą przed siebie i nie ustawał w ruchu, póki nie poczul delikatnego łaskotania zjonizowanych cząsteczek. Potem stało się coś dziwnego. W umyśle Nicholasa odezwał się głos Japończyka. *Nie mogę - oznajmił Tachi. Czego nie możesz?* Twarz za kolumną zniknęła i Nicholasa ogarnęło dotkliwe uczucie samotności. Po chwili Tachi ponownie pojawił się w kręgu światła rzucanego przez *koryoku*. *Tachi, co się dzieje? Coś... Nie wiem...* - Twarz przybrała dziwny wyraz. - *Kshira jest tak silna... Moja Kshira?* - pomyślał Nicholas. - *Moja Kshira jest tak silna, że blokuje mi dostęp do koryoku? To właśnie mi chciałeś powiedzieć?* Tachi zniknął. Nicholas podświadomie wiedział, że tym razem nie wróci. Rzucił ostatnie tęskne spojrzenie na snop światła, który teraz, osierocony przez *oyabuna*, zaczął się z wolna rozpadać, wirując coraz wolniej, jak silnik pozbawiony dopływu paliwa. Wkrótce działanie Tau-tau dobiegło końca. Nicholas rozejrzył się. Stał w pobliżu świątyni. Tachi był już po drugiej stronie mostu, lecz zamiast skierować się na schody wiodące z powrotem do wioski, szedł w stronę zabudowań. Nicholas usłyszał ostry dźwięk, dobiegający gdzieś z prawej strony. Stanął, wbił spojrzenie w półmrok słabo rozjaśniony światłem latarni, lecz nic nie zobaczył. *Oyabun* zdążył wejść na teren świątyni.

- Tachi!
- Tu ktoś jest - padła pośpieszna odpowiedź.
-
- Pewnie jakiś mnich lub dozorca. Ale Tachi pokręcił głową.
- Nie należy do tego miejsca.
- Skręcił za róg chramu. Nicholas minął most i podążył za nim. Brama świątyni zgodnie ze zwyczajem była szeroko otwarta. Na dziedzińcu stało kilka niewielkich altan i źródło z rzeźbionym wizerunkiem świętego smoka. Przy kamiennej cembrowinie leżał zwykły bambusowy czerpak. Symbol czystości, który na długo utkwiał w pamięci Nicholasa.
- - Tachi...
- *Oyabun* szedł szybko w stronę otwartej przestrzeni za ostatnim budynkiem, gdzie wzniesiono posągi zmarłych przed stuleciami twórców świątyni. Część pomników stała na

zboczu zalesionego wzgórza i dotrzeć do nich można było jedynie po wąskich stopniach wyciętych starannie wśród okazałych głazów.

- - Tam! - Tachi wskazał na lukę między dwiema rzeźbami.
- Wszedł na schody i nagle zakręcił się w miejscu. Z jego ciała trysnęło coś na kształt grubej czarnej liny, rozłożył szeroko ręce i upadł. Nicholas biegiem pokonał resztę drogi. Zobaczył koniec stalowego bełtu sterzący z piersi oyabuna i domniemaną linę, wijącą się po ziemi. Krew.
- - Tachi!
- Klęknął, przytknął dłoń do skroni leżącego. Tachi wciąż miał otwarte oczy. Czaiło się w nich coś między zaskoczeniem i wzgardą.
- - Co widziałeś? - szepnął Nicholas, lecz Japończyk już go nie słyszał. Wysechł strumień *shicho*, do niedawna płynący między nimi. Linnear miał wrażenie, że stracił rękę.
- Wstał, minął ciało martwego oyabuna i przytrzymując się chropawego, porośniętego mchem posągu, podszedł do pierwszej linii drzew. Bezszelestnie wsunął się między zarośla. Nasłuchiwał przez chwilę. Księżyc zalewał zbocze widmowym blaskiem i zmieniał wszystko w upiorną grę światła i cieni. Do uszu Nicholasa dobiegła seria cichych dźwięków, jakby ktoś szurał skórzaną podeszwą po kamiennym podłożu. Natychmiast skręcił w lewo i ruszył w stronę schodów. Szedł długimi krokami, ciesząc się z możliwości ruchu po pobycie w ponurym grobowcu Niigaty. Widział już rząd kamiennych stopni, błyszczących białą niczym kości prześwitujące przez wyschniętą skórę. Ktoś biegł na szczyt. Nicholas jeszcze raz zmienił kierunek marszu. Teraz szedł równoległe do schodów, ukryty w cieniu kryptomerii. Poruszał się z trudem, gdyż zbocze pokryte było zdradliwą plataniną korzeni i obluzowanych kawałków skał porośniętych wilgotnym mchem. Porzucił osłonę w miejscu, gdzie schody skręcały o czterdzieści pięć stopni i gdzie z masywnego cokołu wznosił się miecz Yoshitsune. Uciekająca postać uniosła lekką myśliwską kuszę, załadowaną stalowym bełtem. Gdy podszedł bliżej, opuściła rękę. Chwilę później zobaczył jej twarz w blasku księżyca. Z wrażenia omal nie upadł, bo nie trafił nogą na stopień.
- Seiko!
- Boże, wiesz, co zrobiłaś?
- Był jak trucizna - wycedziła przez zaciśnięte zęby. Strzelała oczami na wszystkie strony. - Chciał wszystko zniszczyć.
- Nieprawda...
- Chciał mi cię zabrać! - krzyknęła, unosząc kuszę.
- Nicholas obrócił się na pięcie, wyteżył mięśnie i wyszarpnął miecz z kamienia. Ostre krawędzie metalowych płomieni zamigotały w księżycowej poświacie niczym prawdziwe języki ognia. Seiko wrzasnęła dziko i zwolniła cięciwę. Nicholas skoczył w bok, lecz pocisk nie był mierzony w niego. Strzała zgrzytnęła o skałę, na której postawił stopę. Przez chwilę desperacko usiłował odzyskać równowagę, ale przytłoczony ciężarem gigantycznego miecza stoczył się w końcu po kamienistym zboczu. Bezskutecznie próbował chwycić w locie jakiś pień. Zjeżdżał niżej i niżej w mrok doliny, podczas gdy wciąż wyraźnie widoczna Seiko bez przeszkód kontynuowała wspinaczkę na szczyt wzgórza. Kopnął w bok, zahaczył kostką o wystający korzeń i odruchowo ugiął kolano. Przez chwilę wisiał głową w dół, otumaniony upadkiem. Potem wbił

sztym miecza w grząską ziemię i ostrożnie uwolnił nogę. Całym ciężarem ciała wsparł się na mieczu i prawą stopą sięgnął do wystającego kawałka skały. Gdy poczuł, że może stąpać pewniej, wyrwał ostrze z murawy. Na czworakach popędził za dziewczyną. W ten sposób poruszał się prędkiej i przez cały czas mógł pozostawać w cieniu. Czuł jej obecność, wiedział, kiedy się zatrzymała, kiedy z niezrozumiałym niepokojem spojrzała w głąb kotliny. To wystarczyło, by ją dopadł. Chciał ją przygnieść do ziemi i zasypać pytaniami, lecz wyłonił się z mroku z taką szybkością, że aż jęknęła i instynktownie poderwała kuszę. Grot błysnął zimnym blaskiem.

- Dalej. Strzelaj. Niech zginę tak jak Tachi. Zagryzła wargi i energicznie potrząsnęła głową.
- Nic nie rozumiesz.
- Dlaczego go zabiłaś?
- Bo chciał zabić ciebie - odpowiedziała cicho.
- Nie wierzę. Byłaś zazdrosna o łączącą nas przyjaźń. Czulaś się odtrącona.
- - Co za różnica? Nie muszę niczego mówić. Wiem, że nie zdołam zmiękczyć twojego serca.
- Cóż miał jej odpowiedzieć, skoro miała rację? Kłamstwo byłoby bardziej okrutne niż milczenie.
- Oszukiwałam sama siebie. Nasz związek był czystą iluzją.
- Tak sądzisz?
- Jestem pewna! - Z gniewem otarła łzę ściekającą po policzku. - Co cię to zresztą obchodzi? Jestem nikim. - Pokręciła głową. - Przez tę cholerną psychiczną więź wyzbyłeś się ostrożności. Zapomniałeś o początkowych podejrzeniach...
-
- Tachi był moim przyjacielem...
- Naprawdę? - Skrzywiła usta w drwiącym uśmiechu. - Wcale go nie szukałam. Sam przyszedł, przysłany przez kogoś, kto szczerze życzył ci śmierci. - Zauważyła minę Nicholasa. - Nie wierzysz? Miał spore ambicje, lecz małe możliwości. Tylko dzięki kompromisowi został przywódcą klanu Yamauchi. Tomoo Kozo był członkiem rady Okamiego, więc wybór następcy zależał od Chosy i Akinagi. Obaj doszli do wniosku, że odpowiednim kandydatem jest młody protegowany oyabuna z Kumamoto, potężnego na swoim terenie, lecz nie mającego żadnego znaczenia w Tokio. Tachi bez zbędnych pytań przyjął propozycję współpracy. Być może wiedział, że w ten sposób stawia pod znakiem zapytania autonomię klanu, lecz zaślepiiony własnymi dążeniami sądził, że z czasem uda mu się odzyskać pełnię władzy. Aby tego dokonać, musiał najpierw zniszczyć ciebie.
- Nicholas patrzył na nią przez długą chwilę. Wydawała mu się kaczątkiem wyklutym z upstrzonego plamami jaja. I choć na dobre pozbyła się twardej powłoki sztucznej osobowości, nadal jej nie rozumiał. Miał wrażenie, że ktoś za pomocą złych czarów umożliwił mu spotkanie ze zmarłą żoną. Ich miłość była czysto spontaniczna, co z czasem doprowadziło do tragedii. A Seiko? Nie kochał jej w tradycyjnym pojęciu tego słowa, a mimo to łączyła ich intymna i efemeryczna więź dostępna tylko nielicznym. Nie chciał powtarzać starych błędów. Zbyt pochopna ocena motywów działania Japonki oznaczała powrót na wąską i niebezpieczną

ścieżkę, którą już dawno usiłował porzucić.

- Załóżmy, że ci wierzę - stwierdził z namysłem. - Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? Na przykład w S aj gonie?
- Nie mogłam. Nie potrafiłam. Miałam ogromny dług wdzięczności, gdyż Tachi wyzwolił mnie od ciężaru wspomnień. Bywały chwile, gdy zapadałam się w siebie... lub stawałam się taką dziewczyną, jaką chcieli mnie widzieć inni...
- Na przykład ojciec?
- Ojciec, matka, znajomi... - Na moment spojrzała mu w oczy, lecz drgnęła jak oparzona i szybko spuściła powieki. - Po co wszystkich wyliczać? Tachi był ostatni i miał w sobie nieco dobra. Czulałam to... choć z trudem przebijałam się przez pokrętne i poplątane meandry jego osobowości i wybujałej ambicji.
- Byłaś z nim mocno związana.
- Ciałem i duszą. - Próbowала nie płakać. - Ale nie sercem. Nawet nie wspomnę, ile mnie kosztowała ta odrobina wolności. - Uniosła wzrok. - Dla ciebie.
- Nicholas podszedł bliżej, chcąc odebrać jej kuszę.
- Seiko...
- Zostaw mnie! - krzyknęła. Cofnęła się chwiejnym krokiem. - Znam cię zbyt dobrze. Nigdy mi nie wybaczysz, że ocaliłam cię przed Tachim. Myślisz, że jestem zaślepiona zazdrością, że kontakt między wami był dostatecznie silny, by Tachi zapomniał o swej prawdziwej misji. Nieprawda. Myślał wyłącznie o sobie. Musiał szukać oparcia wśród innych oyabunów i zabiłby cię przy
-
- pierwszej nadarzającej się okazji. - Potrząsnęła kuszą. - Przestań być tak cholernie uczciwy! Naprawdę nie dostrzegasz, ile odcieni szarości kryje się między czernią a bielą?! Nicholas skoczył i wybił jej broń z ręki. Kusza stuknęła kolbą o ziemię, rozległ się głośny brzęk zwalnianej cięciwy. Bełt ze straszliwą siłą wbił się w ciało dziewczyny, odrzucił ją w tył i przyszpilił do pnia rozłożystej kryptomerii. Seiko wytrzeszczyła oczy i zacisnęła dłonie na wystającej z brzucha brzechwie. Nicholas rzutem oka ocenił sytuację. Nie mógł wyrwać grotu, bo nieszczęsna dziewczyna w ciągu kilku sekund wykrwawiłaby się na śmierć.
- - Seiko...
- Tępo potrząsnęła głową. Łzy połyskiwały w kącikach jej oczu. Dyszała ciężko, usta miała pełne krwi. Nicholas nie potrafił dłużej patrzeć na to cierpienie. Silnym szarpnięciem wyrwał bełt z drzewa. Seiko z cichym jękiem osunęła się na ziemię. Wziął ją w ramiona. Nie próbowała go odepchnąć. Przyłożył dłoń do rany, lecz okiem tanjianina widział, że już za późno na wszelką pomoc. Seiko także zdawała sobie z tego sprawę.
- Trzymaj się. Zawiozę cię do szpitala.
- Nie. Nie kłam. Nie teraz. Nigdy.
- Dobrze. Dość kłamstw.
- Odgarnął kosmyk włosów z jej mokrego policzka. Zamknęła oczy. Pochylił się i złożył delikatny pocałunek na jej ustach. Uniosła powieki, patrzyła w przestrzeń błędnym wzrokiem, po

czym spojrzała mu prosto w oczy. Co zobaczyła chwilę przedtem?

- - Nicholas... - wyszeptała. - Odszukaj mego ojca. Powie ci wszystko, co chcesz wiedzieć.
- Coraz słabiej opierała się śmierci. Siedzieli skuleni, niczym para kochanków pod rozgwieżdzonym niebem. Seiko oddychała z trudem. Zamknęła oczy i rozchyliła usta.
- - Chcę tylko, żebyś mnie pamiętał.

- **W strefie śmierci***Długo trzeba siedzieć z otwartymi ustami, zanim w nie wleci pieczona kaczką.* PRZYSŁOWIE CHIŃSKIE

Lato 1947 TOKIO

- Myślę, że w końcu mamy odpowiedniego człowieka - powiedział Mikio Okami.
- Tak? - Pułkownik Denis Linnear uniósł głowę znad sterty papierzyk, wśród których spędzał więcej czasu niż Mikio w ramionach kochanki. Ostatnio prawie nie sypiał, a w domu bywał jedynie gościem.
- Tak - powtórzył Okami. - Znakomity.
- - Nikt nie jest doskonały. A już na pewno nie potencjalny zabójca. Pułkownik odchylił się na krzesło, nabił fajkę i patrzył bez słowa na
- Okamiego. Japończyk wiercił się niecierpliwie po małym, dusznym pomieszczeniu. Choć był zaledwie początek lata, w Tokio panował nieznośny upał. Linnear wolał nie myśleć, jak będzie w sierpniu.
- - Chodźmy na mały spacer - mruknął w końcu, pykając fajkę.
- Miasto leżało w gruzach. Wiele dzielnic wymagało kompletnej odbudowy, inne jedynie z nazwy przypominały ludzkie siedliska. Kryzys gospodarczy, szalejąca inflacja i niepokoje wzbudzone przez komunistów jeszcze bardziej destabilizowały sytuację kraju, prowadząc do korupcji i bezprawia. Pułkownik zdawał sobie sprawę, że pozostało mu niewiele czasu. Generał Charles Willoughby wyciskał ostatnie soki z oficerów armii cesarskiej, którzy zamiast zasiąść na ławie oskarżonych w procesie o ludobójstwo, mieli utworzyć „nową” zmilitaryzowaną Japonię, całkowicie podporządkowaną Amerykanom w przewidywanym konflikcie z komunistami. Ów faszystowski plan w praktyce oznaczał zagładę kraju, z niemałym wysiłkiem dźwigającego się z wojennych zniszczeń, oraz dyplomatyczną izolację Stanów Zjednoczonych, już potępianych przez opinię publiczną za zrzucenie dwóch bomb atomowych na terytorium niedawnego wroga. Kraju, w którym na wielu stołach brakło miseczki ryżu, nie wolno było wpędzać w koszmar remilitaryzacji.
- Jak się nazywa nasz ptaszek? - spytał pułkownik.
- Tokino Kaeda. Zaszedł dosyć wysoko w hierarchii klanu Yamauchi. Katsuodo Kozo zaliczył go do ścisłego grona swych ulubieńców. - Okami kupił
-
- torebkę słodyczy od ulicznego sprzedawcy. - Dzięki niepohamowanym ambicjom jest dla nas dość łatwym kąskiem. - Wzruszył ramionami. - Bardziej ceni siłę niż honor. To niestety nagminne zjawisko w świecie, jaki nam przynieśliście.
- - Racja. Zaszły ogromne zmiany - z zadumą stwierdził pułkownik. - Szkoda, że podczas wojny byliśmy przeciwnikami. Lecz kogo winić za ten stan rzeczy? Skręcili za róg budynku, w

uliczkę prowadzącą na brzeg Sumidy. - Nie czas nagorycz i wyrzuty sumienia. Pora pomyśleć o przyszłości, jeśli już teraz chcemy żyć w spokoju. Moim zdaniem, za parę lat główna część światowego handlu skupi się właśnie tu, na Pacyfiku. Od Japonii do Chin nie brak narodów zdolnych do gospodarczego cudu. Nasze zadanie, Okami-san, polega na tym, by Japonia pierwsza otrzymała tę szansę. Życie wykreowane z popiołów, he?

- Doszli do rzeki, wijącej się niczym boa na ramionach pięknej kobiety. Tokio też było damą, poniżoną, zgwałconą i cierpiącą z głodu, a jednak twardo stojącą na nogach i uleczoną z najgorszej rany.
- Główną przeszkodą jest Katsuodo. - Okami wsparł łokcie o czarną żelazną poręcz i spojrział w mętną wodę. - Z góry wyklucza wszelkie kontakty z Amerykanami. Twierdzi, że w oczach dowództwa sił okupacyjnych yakuza są jedynie narzędziem do najbrudniejszej roboty.
- W pewnym sensie ma rację. Ale to krótkowzroczność. Komunizm jest jednakowo groźny i dla nas, i dla was. Czemu nie rozbić paru głów w imię ważniejszej sprawy? Poza tym wszelkie usługi są przez nas sowicie opłacane.
- Nie podoba mi się jego gadanie - burknął Okami. - Boi się moich wpływów, choć sam jest oyabunem potężnego klanu. Pomogłem mu się wybić, ale dziś uważam, że to nie było zbyt mądre posunięcie. Traktuje swą pozycję niczym papierek lakmusowy. Kto stanie po mojej stronie, kto po jego? Nie dość, że głośno wyznaje politykę izolacjonizmu, to jeszcze wprowadził zamęt w szeregi klanów. A to już zakrawa na sabotaż. Przypomina to sytuację z końca szesnastego wieku, gdy kres wszelkim rodowym waśniom położył dopiero Ieyasu Tokugawa. Brak nam dziś podobnego shoguna, który utrzymałby oyabunów pod kontrolą.
- Pułkownik w zamyśleniu ssał fajkę.
- - Ciekawy pomysł, przyjacielu. Jak dotąd żaden z was nie przejął pełnej władzy. - Dmuchał chmurą dymu. - Może w przyszłości... - Wydawał się mocno zaintrygowany. Po pewnym czasie powiedział: - Nawet pokątne pogłoski o tajemniczym zwierzchniku wydatnie wzmocniłyby pozycję yakuza. A to mogłoby być z korzyścią dla nas wszystkich.
- Okami raz jeszcze zdumiał się nad przenikliwością Linneara. Oto człowiek, który potrafi przemieniać piasek w sztaby złota. Pułkownik obrócił fajkę i wystukał z niej resztki popiołu.
- Rzecz warta przemyślenia. Ale na razie wróćmy do spraw bieżących.
- Katsuodo musi zniknąć. Definitywnie - odparł Okami. - Kaeda twierdzi, że wie, jak go usunąć, nie budząc niczyich podejrzeń. Stary oyabun nie umie pływać. Rzecz jasna utrzymuje to w ścisłej tajemnicy, lecz Kaeda, jako jeden
- z zaufanych przybocznych, ma dostęp do takich informacji. Za tydzień od dzisiaj Katsuodo wyląduje w Sumidzie, a my zerknijemy sobie na Willough-by'ego i chronionych przez niego zbrodniarzy. Linnear skinął głową i ponownie zaczął nabijać fajkę. Okami obserwował go kątem oka, ciekaw, nad czym teraz pracuje wnikliwy umysł pułkownika. Dawno już musiał przyznać, że czasem nie nadążał za jego tokiem myślenia. Linnear bez wątpienia byłby doskonałym szachistą. Potrafił na wiele ruchów naprzód przewidzieć konsekwencje swych decyzji. Dla Okamiego był nauczycielem, mentorem i mistrzem w jednej osobie. Prawdziwym *sensei*.

Potrafił wychwycić z życia te same proste, odwieczne prawdy, jakie legły u podstaw shinto. Cechowała go niezachwiana prawość, granicząca wręcz z surowością. Owszem, czasem pozwalał sobie na pewne odstępstwa od sztywno przyjętych reguł, lecz czynił to niezwykle oszczędnie, jakby wydzielał porcję stawy przeznaczoną dla więźnia. Okami uważał to za dowód, że czuł ciężar świata dźwiganego na własnych barkach. Nowego świata. Tego, który za wszelką cenę chciał stworzyć. Nie ulegało bowiem najmniejszej wątpliwości, że pułkownik Denis Linnear był architektem snów. Jego wizja przyszłej Japonii jawiła się przed zdumionymi oczami Okamiego niczym wewnątrz gigantycznego kalejdoskopu, migoczącego różnobarwnymi wzorami nad całym Pacyfikiem. Mikio zanurzył rękę w papierowej torbie, wyjął garść słodkich ciasteczek ryżowych i wsunął je do ust. Lepsza cukrzyca niż śmierć z przepicia - zamruczał w duchu.

- Mam dziś wieczorem pomówić z Kaedą?
- Jeszcze nie - nieoczekiwanie odparł pułkownik. - Najpierw spotkam się z Katsuodo.
- Po co?
- Chcę się upewnić, że naprawdę nie mamy innego wyboru. Okami sięgnął po następną porcję łakoci.
- To nic nie da. Kozo nienawidzi Zachodu. Sam wydał na siebie wyrok.
- Następnego popołudnia pułkownik Linnear zjawił się w rezydencji na przedmieściach Tokio. W czterech okazałych budynkach prócz najbliższych krewnych zamieszkiwali strażnicy, doradcy i rodziny dwóch sióstr oyabuna. Katsuodo Kozo przetrzymał gościa w sieni prawie godzinę, bez poczęstunku, co było niewybaczalnym pogwałceniem etykiety. Z drugiej strony, Linnear nie urodził się Japończykiem, więc nie przysługiwały mu względy dostępne cywilizowanym ludziom. Pułkownik nie okazywał zniecierpliwienia. Już dawno przywykł do podobnego traktowania. Jedni robili to, nie wiedząc, kim był naprawdę, inni przeciwnie - dlatego, że go znali. Z niezmaconym spokojem patrzył przez okno na rozległy dziedziniec, niedwuznacznie świadczący o potędze oyabuna i jego klanu. Yamauchi od dawna sprawiali sporo kłopotów. Na wzór przedwojennych *zaibatsu* dążyli do zagarnięcia jak największej władzy. Obecny oyabun był
 - ulepiony z tej samej gliny. Arogancki, zadufany w sobie i chciwy. Nie zawierał sojuszów - ani we własnym imieniu, ani dla dobra klanu. Samowystarczalność uważał za źródło siły. Skoro ktoś nie należał do społeczeństwa, nie obowiązywały go żadne prawa.
 - - Szukasz słabych punktów w mojej linii obrony?
 - Na dźwięk głosu Linnear odwrócił głowę. Obdarzona wyrazistymi rysami twarz Kozo przypominała czaszkę obciągniętą wysuszoną skórą. Oczy połyskiwały mu gorączkowo, jak u człowieka złożonego maligną.
 - - Słowa godne prawdziwego daimyo - z lekkim rozbawieniem stwierdził pułkownik.
 - Wiedział, że nie powinien drażnić gospodarza, lecz jednocześnie zdawał sobie sprawę, że i tak nie ma co liczyć na jego przychyłność.
 - - Nie jestem samurajskim magnatem - burknął Katsuodo, prostując plecy z nieskrywaną dumą. - Nie dane mi były zaszczyty, należne niektórym ze względu na pochodzenie. Wszystko, do czego doszedłem, zdobyłem własnymi rękami.
 - Zrzucił sandały i włożył buty, by wejść na chłodną, kamienną posadzkę. Sień nigdy nie

była traktowana jako właściwa część domu i dlatego nie utrzymywano jej w takiej czystości jak reszty pomieszczeń.

- - To oczywiście nie znaczy, że moja obecna pozycja ma jakieś wyjątkowe znaczenie dla świata. Mogę jedynie liczyć na szacunek garstki wybrańców.
- - A czego oczekiwałaś? Jesteś przecież przestępcą. Wąskie usta gangstera skrzywiły się w nikłym uśmiechu.
- O ile się nie mylę, niektórzy z twoich najbliższych współpracowników także parają się zbrodnią.
- Podczas pracy utrzymuję kontakty z przedstawicielami wszystkich warstw społeczeństwa Japonii.
- Stało się jasne, że Katsudo nie zamierza zaprosić gościa do domu. Wolał rozmawiać tutaj, na ziemi niczyjej, łączącej świat zewnętrzny z jego prywatnym sanktuarium.
- - Okami-san służy mi radą i szczerą pomocą - dodał pułkownik. Oyabun wyszczerzył poźółkłe zęby.
- Mówisz o waszym spisku? Hańba. Yakuza na usługach okupanta. Mdli mnie na samą myśl o podobnej zniewadze. Odejdź, nim cię wyrzucę.
- To nie będzie konieczne - odparł Linnear najspokojniej, jak umiał.
- Świetnie. - Katsudo obrócił się tyłem. - Zatem wyczerpaliśmy temat rozmowy.
- Jeszcze jedno - odezwał się pułkownik w chwili, gdy oyabun odsunął *fusuma*, by wejść do domu.
- Katsudo odwrócił głowę. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć; przypominała oblicze trupa.
- - Praca, którą podjąłem z Okamim, ma na celu dobro nas wszystkich. Nawet twoje. Byłoby znacznie lepiej, gdybyś podzielił się nami wiedzą i doświadczeniem.
- Cisza. Błyszczące oczy tępo patrzyły w przestrzeń.- Próbujesz nas powstrzymać, lecz wierz mi, to jak próba zawrócenia rwącej rzeki tamą wybudowaną z zapalek. Nie zdołasz zmienić biegu wydarzeń. Moje dzieło przetrwa dziesięciolecia. Nic na to nie poradzisz.Katsudo bez słowa zniknął za drzwiami. Linnear został sam w sieni, wpatrzony w wypolerowane czubki własnych butów. Dopiero po dłuższej chwili udało mu się zapanować nad zdenerwowaniem. Kozo okazał się taki, jak go opisał Okami: zapiekły w gniewnych staraniach, by zniszczyć mozolnie budowany sojusz między dawnymi wrogami. Przypieczętował swój los.Pułkownik drgnął niczym obudzony z transu i szybkim krokiem opuścił niegościnne domostwo. Czuł wiszący w-powietrzu zapach krwi.W czasie, gdy Linnear próbował przywrócić pokój, Okami przygotowywał się do wojny. Generał Willoughby, przezywany przez podkomendnych „Małym Faszystą”, obsesyjnie obawiał się groźby komunizmu. Zaproponował nawet, by przekształcić Bandę Piętnastu w załączek samodzielnej jednostki do walki z „czerwoną zarazą”. Generał Arisue, były szef służby wywiadowczej sztabu generalnego armii cesarskiej, miał z grupą swych dawnych podwładnych dołączyć do oddziału amerykańskich sił specjalnych G-2. Jak dotąd wciąż przebywał w tak zwanym archiwum, gdzie składał zeznania dotyczące radzieckich oddziałów stacjonujących na Dalekim Wschodzie. Ludzie Willoughby’ego posunęli

się nawet tak daleko, że innego wojennego zbrodniarza, pułkownika Hattori, wyznaczili na miejscowego szefa demobilizacji. Hattori skwapliwie skorzystał z okazji, by uchronić przed trybunałem swych najbardziej oddanych współpracowników. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Willoughby zamierza go postawić na czele marionetkowych sił zbrojnych „odrodzonego” cesarstwa. Okami nie mógł i nie chciał godzić się z podobnym postępowaniem. Po pierwsze nie podzielał poglądów generała, że w każdej szafie czai się komunista, po drugie - uważał, że po planowanej remilitaryzacji Amerykanie będą trzymać Japonię na krótkiej smyczy. Pułkownik Linnear wspominał całkiem słusznie o kosztach ekonomicznych: ponowne uruchomienie maszyny zbrojeniowej byłoby klęską dla niestabilnej gospodarki wyniszczonego wojną kraju. Na postawę Okami miały też wpływ inne, bardziej osobiste względy. Był zdania, że pod koniec wojny Banda Piętnastu działała na szkodę ojczyzny, depreczując honor i godność własnych żołnierzy. Od nieludzkich rozkazów ucierpiało wielu jego przyjaciół, a brat nie doczekał kapitulacji. Mikio nie lubił myśleć o swym bracie. Śmierć zabrała go, zanim zdążył poznać prawdziwy smak życia. Ktoś mógłby powiedzieć, że taka jest cena wojny... Nieprawda. Główny winowajca krył się za plecami Willoughby'ego. Przygotowując plan działania, Okami tym razem nie skorzystał z pomocy Linneara. Uważał, że pułkownik działa zbyt opieszale. Czasem ich codzienne dyskusje kończyły się sprzeczką. - Bądź Japończykiem - argumentował Linnear. - Naucz się cierpliwości.

- Dotknęliśmy zaledwie paru nitek ogromnej pajęczyny. Na ostateczną rozgrywkę przyjdzie czas później.
- - Nic podobnego - nie ustępował Okami. - To mój kraj. Póki nie zmienisz koloru skóry, nie będziesz mi mówił, co mam robić.
- W głębi duszy rozumiał obawy pułkownika - Willoughby, jako szef wywiadu, posiadał dość wpływów, by w porę ukręcić łeb całej sprawie - lecz gorączkowa chęć zemsty brała górę nad ostrożnością. Do roboty. Skoro Linnear był zajęty czymś innym, Okamiemu pozostawała tylko jedna możliwość. Przez wiele tygodni borykał się z myślami, jak we właściwy sposób rozegrać tę partię. Jak zawrzeć układ z komunistami. Wiedział, co się stanie na wieść, że amerykański generał uchronił przed procesem piętnastu wojennych zbrodniarzy. Rosjanie byli jak zwierzęta: wyznawali zasadę „zab za zab” i mieli tyle poszanowania dla dyplomacji co kilkuletnie dziecko. Sowieccy agenci działali w Tokio w miejscach, o których się nawet nie śniło władzom okupacyjnym. Gdyby tylko wiedzieli, czego szukać, bez trudu mogliby zdobyć potrzebne dowody. Komuniści narzędziem zemsty... - myślał Okami rankiem, tego dnia, gdy pułkownik zamierzał iść na spotkanie z oyabunem klanu Yamauchi. - Zgładzą. Bandę Piętnastu Willoughby'ego i wyrównają rachunki za śmierć mego brata i niedolę przyjaciół. Potrzebował jednak odpowiedniego pretekstu. Agenci z pewnością go znali, nie mógł zatem udawać, że działa z pobudek ideologicznych. Pozostawały pieniądze. Niemal każdy yakuza w razie potrzeby stawał się najemnikiem. Okami zaczął więc wieczorami przesiadywać w lichej knajpce, gdzie dość często wpadali zwolennicy nowego porządku. Zgrywał pijanego i z zapalem rozprawiał, że słyszał coś nie coś o tym, jak to Amerykanie zamierzają skorzystać z usług przestępców wojennych. Nie musiał długo czekać, by zauważyć wężącego szczura. Potrafił działać oględnie, lecz tym razem wyraźnie chwiejnym krokiem ruszył do baru. Subtelność działań nie należała do najmocniejszych cech Rosjan. Po chwili usiadł przy nim szczupły Japończyk.
- Zdaje mi się, że mamy podobne poglądy - powiedział.

- Na pewno? - wymruczał Okami.
- Mniejsza o to. Zaciekała mnie twoja opowieść.
- Mówimy o forsie?
- Całkiem możliwe. Mam na pieńku z paroma byłymi oficerami. Przydałaby mi się twoja pomoc.
- Sęk w tym, ile możesz zaoferować - burknął Okami. - I kiedy.
- Szybciej, niż się spodziewasz. Powiedz mi, przyjacielu, skąd bierzesz te wszystkie informacje?
- Okami wychylił do końca szklaneczkę whisky i zaraz zamówił następną.
- - Nie twój interes.
- -Pomyłka. Chodzi w końcu o moje pieniądze. Okami zmierzył go mętnym spojrzeniem.
- Jest taki jeden adiutant, Jack Donnough... - odparł zgodnie z prawdą. - Lubi gadać. Po co pytasz?
- Ty też miałeś językiem na prawo i lewo. Uważasz, że to rozsądne?
- Kogo to obchodzi?
- Na przykład mnie. Mikio przekrzywił głowę.
- A kim ty jesteś?
- Być może... przyjacielem.
- Aaaa... - ze zrozumieniem mruknął Okami. - Znakomicie. Postawię ci. Skinął na barmana, po czym wziął pełne szklanki i poprowadził nowego
- znajomego do pustego stolika w kącie sali. Prawdę mówiąc, nie miało żadnego znaczenia, gdzie siedzieli, gdyż wokół czuwali zaufani strażnicy. Mikio znał dobrze taktykę komunistów. Wiedział, że będą go chcieli wciągnąć w pułapkę. Nie wystarczały im kupowane informacje; potrzebowali jakiegoś straszaka, by później zmusić potencjalnego szpiega do dalszej współpracy. Smutne, ale prawdziwe. Traktowali w ten sposób nawet swoich, nie dopuszczając do żadnego wyłomu w żelaznej ideologii. Mężczyzna nazywał się Iwanushi. Był robotnikiem, lecz jednocześnie należał do Shin'ei Kinro Taishuto, ugrupowania zaciekłych reakcjonistów wywołujących strajki i zamieszki polityczne. Niekontrolowana inflacja, bezrobocie, korupcja w rządzie Yoshidy, kłopoty gospodarcze oraz powszechne przekonanie, że obietnice demokracji i ogólnej poprawy życia okazały się zwykłym kłamstwem - wszystko to stanowiło wodę na młyn komunistycznych agitatorów, działających zazwyczaj wśród najniżej uposażonych grup ludności, gdzie było najwięcej frustracji i rozgoryczenia. Rosjanie bez skrupułów wykorzystywali aktywność takich grup jak ta, w której udzielał się Iwanushi. Łatwiej im było zaszcześcić marksistowską ideologię wśród ludzi ogarniętych - z reguły błędnie pojmowanym - rewolucyjnym ferworem. Iwanushi w niczym nie odbiegał od utartego schematu: posępny, we własnym przekonaniu ucziwy, porywczy i przekonany, że nowy, lepszy świat da się zbudować tylko na drodze socjalizmu. Niestety, Okami dobrze wiedział, że takich jak on nigdy nie dopuszczano do steru. Nie mieli jasno sprecyzowanej polityki, mogącej zastąpić dawne zasady władzy. Zwierzchnikom wystarczało, że braki w doświadczeniu nadrabiali entuzjazmem i nie ustawiali w staraniach, by utrwalić w Japonii komunistyczny styl życia. Okami nie czuł niechęci do swego rozmówcy. Raczej mu współczuł. Ktoś musiał: w końcu nikt z komunistów ani z rządu

Yoshidy nie przejawiał zrozumienia dla przyczyn, które tysiące Iwanushich wpędziły w biedę.

- - Należysz do yakuza - bez ogródek oświadczył Iwanushi, kiedy usiedli przy stoliku. - Jesteś kolaborantem na usługach armii okupacyjnej. Wrogiem ludu. Nie możesz więc oczekiwać uprzejmości. Układ jest prosty: pieniądze z informacje.
- Nawet nie wiesz, w co się pakujesz - pomyślał Okami.
- - Dziw bierze, że chcecie się taplać w błocie, towarzyszu – powiedział półgłosem.
- Iwanushi rzucił mu ostre spojrzenie.
- Nie brak ci tupetu. Ktoś, kto żyje jak shogun, nie ma najmniejszego pojęcia o twardej doli robotnika. Nie próbuj mnie oceniać.
- A może sam to zrobisz? Zastanowiłeś się kiedyś nad tym, co robisz?
- Częściej myślałem, co włożyć do garnka i gdzie znaleźć pracę. W czasie, gdy ty obrastasz tłuszczem, jedząc przysmaki kupowane na czarnym rynku, setki rodzin takich jak moja giną z głodu. Dziwisz się teraz, że pragnę lepszego jutra?
- Lepszego? Dla kogo? Dla twoich bliskich, czy komunistów?
- Dla jednych i drugich - powiedział to z takim przekonaniem, że Okami od razu wiedział, iż znalazł właściwego człowieka.
- Następnego wieczoru Okami złożył nie zapowiedzianą wizytę w domu Iwanushiego. Przyniósł ze sobą garść prezentów: świeże owoce, warzywa i rybę, na ogół niedostępną dla najbiedniejszych. Mała chatka stała tak blisko torów kolejowych, że cienkie ściany dygotały przy każdym przejeździe pociągu. Iwanushi, zmieszany, lecz niezwykle uprzejmy, zaprosił gościa do środka. Była pora kolacji, więc w domu zgromadziła się cała rodzina: siwiejąca żona i trójka dzieci. W ciasnym wnętrzu unosił się mdły zapach gotowanych jarzyn. Gospodarz z niskim ukłonem, w milczeniu przyjął prezenty i zaniósł je do kuchni. Żona wybiegła za nim, cisnęła paczki do śmieci i zaczęły się kłócić. Okami usłyszał tylko, jak zasyczała „wstyd” i dorzuciła obraźliwe słowo *futei* - warchoły - używane ostatnio w przemówieniach radiowych premiera Yoshidy na określenie związkowców. Iwanushi po chwili wrócił do gościa.
- Może wyjdziemy - zaproponował. - Żona chce nakarmić dzieci.
- Oczywiście - odparł Okami. ~ Sprawiałem wam kłopot, przychodząc
- Oniewłaściwej porze.
- - Nie, skądże. Przywykliśmy już do niewygód.
- Okami, choć początkowo nie był przygotowany na tak opryskliwe przyjęcie, traktował zachowanie gospodarzy jako swoistą lekcję. Chciał wiedzieć, co skłania ludzi do wiary w socjalistyczne mrzonki, które nie mogły się spełnić, póki na ziemi panował gatunek *homo sapiens*. Definicję człowieka zawarto w siedmiu grzechach głównych. Tylko święci i eremici potrafili wyzwolić się od doczesnych przywar, lecz przez to wcale nie mieli łatwiejszego życia. Każdemu śmiertelnikowi poczucie własności jest równie potrzebne jak powietrze i woda. Z tym wiązała się chęć zdobycia władzy, pozycji, wpływów.

- I zawsze znalazł się ktoś jeszcze, kto uważał, że jego metoda jest lepsza, a to - niezależnie od prawdy - nieuchronnie prowadziło do wojny.
- - Jak widzisz, nie mamy niczego - odezwał się Iwanushi - z wyjątkiem potrzeb.
- Równie dobre określenie jak inne - pomyślał Okami. Iwanushi traktował swe ubóstwo niczym magiczną pałeczkę, którą chciał wyczarować coś z niczego. Mikio w dziwny sposób czuł się z nim jakoś związany, gdyż jako yakuza sam żył na marginesie społeczeństwa. Nim osiągnął obecną pozycję, też zaczynał praktycznie od zera.
- Przypuszczam, że rząd o tym nie wie - odparł.
- Politycy nawet nie patrzą w naszą stronę. Zbyt są zajęci własnymi stołkami. W czasach prosperity pewnie mogliby liczyć na rozgrzeszenie, lecz teraz, gdy głód i bezrobocie niczym jeźdźcy Apokalipsy szaleją po całej Japonii, wyraźnie widać korupcję, chciwość i zakłamanie.
- Tylko katolik mógłby wygłosić taką metaforę.
- Czytałem książki żony, lecz cóż z tego? Bóg nie istnieje. Spójrz wokół siebie. To ma być jego dzieło?
- Szczery chłopak - pomyślał Okami. - Oddany komunista. Współpraca z nim to prawdziwa przyjemność.
- Wątpię, byśmy zostali przyjaciółmi - powiedział sucho. - Lepiej od razu przejść do interesów.
- Też tak sędzę. Dziś wieczorem?
- - Nooo... nie wiem. Jestem już umówiony. Iwanushi obdarzył go przeciągłym spojrzeniem.
- - Dobrze. Dziś wieczorem. - Okami napisał adres na jakimś świstku. - Będę tam o północy.
- W drzwiach kasyna Iwanushi pojawił się punktualnie. Lokal należał do Okamiego, lecz o tym wiedzieli tylko wtajemniczeni członkowie klanu oraz pułkownik Linnear. Mikio siedział przy partii *karuta*. Przegrywał. Na oczach zdumionego robotnika stracił równowartość dziesięciu tysięcy dolarów. Potem odegrał małą farsę, wyklócając się z kierownikiem sali, który zażądał spłaty długu. Iwanushi wyraźnie poweselał, gdyż uczono go, jak korzystać z podobnych sytuacji. Wydawało mu się, że znalazł haczyk na Okamiego.
- Coś mi się zdaje, że bardziej niż ja potrzebujesz forsy - powiedział, gdy wyszli na ulicę.
- Zapłacę - kwaśno wymruczał Okami. - Zawsze jest jakiś sposób.
- Jako yakuza masz dużą władzę.
- Władzę to ma właściciel tej budy. Nie ja.
- Dziwne, nawet wśród zbirów jest podział na panów i ciemiężonych. Okami z trudem powstrzymał się od śmiechu, słysząc to naiwne stwierdzenie. Iwanushi przez chwilę szedł w głębokiej zadumie.
- A jeśli dałbym ci na pokrycie długów i dalszą zabawę? - spytał w końcu. Okami spojrzał na niego.
- Za taką sumę mógłbyś nieźle wyżywić rodzinę.

- - Pieniądze i władza są tylko złudzeniem. Liczy się przyszłość całego świata - z fanatycznym zacięciem odparł Iwanushi. - Na was, kapitalistów, i tak przyjdzie godzina zagłady, a ja chcę mieć choćby niewielki udział w budowie prawdziwej, ponadklasowej społeczności.
- I za to mi będziesz płacić?
- W zamian za informacje, co dzieje się z Bandą Piętnastu i co naprawdę planują amerykańskie siły okupacyjne.
- Wyraźnie nie próżnował od chwili spotkania w barze. Moskiewscy mocodawcy pewnie już gryźli palce z niecierpliwości.
- O jakiej sumie mówimy?
- Dziesięć tysięcy dolarów miesięcznie - z nadzieją w głosie powiedział robotnik.
- Okami wybuchnął śmiechem. - Powinieneś częściej wpadać do kasyna. Tyle wydaję w tydzień. Iwanushi ani na chwilę nie tracił spokoju.
- - Najpierw muszę sprawdzić twoje doniesienia. Jeśli są rzeczywiście coś warte, kto wie? Dziesięć tysięcy na początek.
- Okami był zadowolony. Teraz już wiedział na pewno, że Iwanushi prowadzi pertraktacje w imieniu Rosjan. Tylko oni mieli wystarczająco głęboką kieszeń, by nie martwić się o wydatki.
- - Masz jakieś konkretne wiadomości o Bandzie Piętnastu? - padło niecierpliwe pytanie.
- Koniec z utopią - pomyślał Okami.
- Muszę uporządkować zapiski. Za kilka dni...
- Sądzisz, że twój wierzyciel poczeka tak długo?
- Racja. Im szybciej, tym lepiej. Gdzie forsa?
- Najpierw informacje.
- Pojechali do niewielkiego apartamentu w jednej z bogatszych dzielnic Tokio. Iwanushi wytrzeszczył oczy, widząc, jak żyją niektórzy ludzie w zniszczonym wojną mieście. Okami wyciągnął z szafki kilka papierów zabranych Donnoughowi. Iwanushi przeczytał dwa najsmakowitsze fragmenty, resztę zdążył zaledwie przebiec wzrokiem.
- - Wstyd i hańba - powiedział, nieświadomie powtarzając słowa Okamiego skierowane do pułkownika. - Jaskrawy dowód na to, że wszystkie rządy są jednakowe. Ukrywanie zbrodniarzy w czasie, gdy cały świat z napięciem obserwuje przebieg procesu, to szczyt hipokryzji. Sam widzisz, co niesie nam tak zwana demokracja. Stek kłamstw i obłudy.
- Okami nie umiał znaleźć żadnej stosownej riposty, gdyż tu akurat zgadzał się z socjalistą. W przesiąkniętym cynizmem świecie jedynie wizje Linneara pozwalały zachować nadzieję na przyszłość, choć w wielu punktach były zadziwiająco zbieżne z poglądami Iwanushiego. Ale na razie nie miał czasu na takie rozważania.
- Pokaż resztę - zażądał Iwanushi.
- Najpierw zapłać.
- Nie mogę dać ci pieniędzy, póki nie stwierdzę autentyczności danych.

- Tego nie było w umowie. Robotnik wzruszył ramionami.
- - Być może jestem biedny, ale nie głupi. Jeśli papiery są fałszywe, zapłacę za nic.
- -Dobra, zrobimy inaczej. Dostaniesz połowę dokumentów, a ja połowę sumy. Potem sprawdzimy, komu można ufać.
- Iwanushi nawiązał kontakt z Okamim przed upływem czterdziestu ośmiu godzin. Natarczywie nalegał na dokończenie wymiany. Mikio tylko na to czekał. Do papierów Donnougha dołączył lokalizację budynku, w którym przetrzymywano Bandę Piętnastu. Zdobyć tej informacji kosztowało go bardzo wiele, choć tym razem nie szło o pieniądze. Sekretarz Donnougha był homoseksualistą. Pewnego razu pojawił się ze swym japońskim kochankiem w jednym z nocnych lokali należących do Okamiego. Ściągało tam wielu oficerów spragnionych mocniejszych wrażeń. Okami pokazał mu kilka czarno-białych zdjęć zrobionych ukrytą kamerą. To wystarczyło. Mikio widział już mężczyzn szlochających po pijanemu, lecz tym razem doświadczył czegoś innego. Gdy spoglądał na wątle, nagie barki pochylonego Amerykanina, przed oczami stanął mu obraz matki, przytulonej do ciała ojca i rozpaczliwie usiłującej zatamować krew tryskającą z ran zadanych mieczem. Ponura wizja nie zniechęciła go do wydobycia potrzebnych zeznań, lecz mimo upływu czasu nie potrafił zapomnieć o tamtym wieczorze. Teraz też widział wyraźnie całą scenę niczym fragment dziwacznej pantomimy rozgrywanej w ciemnym teatrze. Widział różowe ciało, kręgosłup rysujący się pod skórą i ciemne znamię na lewej łopatce. Czuł zapach krwi.
- Twój wierzyciel był zadowolony, kiedy spłaciłeś mu połowę długu? - spytał Iwanushi podczas kolejnego spotkania.
- Nie. Ale jest realistą. Z drugiej strony, jeśli wieczorem nie dostarczę mu reszty pieniędzy, mogę mieć spore kłopoty.
- Nic się nie martw. - Robotnik wręczył mu gruby pakiet zawinięty w ryżową bibułę. - Zawdzięczasz mi życie. Pamiętaj o tym, jak będziesz chciał komuś innemu sprzedawać informacje.
- Okami sam nie wiedział, dlaczego postanowił go śledzić przez całą drogę do nędznej chaty przy torach kolejowych. Ukryty w mroku, patrzył, jak Iwanushi wchodzi do domu. Żona powitała go głębokim ukłonem. Choć nic nie przyniósł, okazywała mu respekt i przywiązanie. Okami stał bez ruchu, choć drzwi dawno się już zamknęły i pogasty światła. Śmierdziało starymi odpadkami i moczem. Jakiś pies głośnym szczekaniem oznajmił przyjazd pociągu. Sznur wagonów przemknął po torze, a mała chatka zadygotała gwałtownie, jakby była zrobiona z papieru i sitowia. Dziesięć dni później we wszystkich gazetach pojawiły się krzyczące nagłówki. Silna eksplozja zniszczyła niewielki budynek w tej części miasta, gdzie znajdowała się główna kwatera amerykańskich sił okupacyjnych. Nie podawano żadnych szczegółów, ponieważ sprawa pozostawała w gestii wywiadu, lecz wstępne ustalenia stwierdzały, że zginęło co najmniej dwadzieścia osób, głównie Japończyków. Pytanie, czy wybuch był dziełem przypadku, czy starannie przygotowanym zamachem, pozostawało na razie bez odpowiedzi. Okami jadł właśnie śniadanie złożone z tofu i gotowanej ryby, gdy rozległ się terkot telefonu. Dzwonił pułkownik.
- Słuchałeś porannych wiadomości? - spytał.

- Nie, ale mam przed sobą gazetę.
- Komuniści zgładzili Bandę Piętnastu. Koniec twoich kłopotów. Mikio nie rozumiał, skąd wzięła się nagle uszczypliwość w tonie Linneara.
- Jeśli to prawda, będę uszczęśliwiony.
- Jak bardzo?
- Przepraszam, Linnear-san, a skąd wiadomo, że to robota komunistów?
- A skąd wiadomo, że boli, gdy szerszeń użądli cię w dupę? - cierpko spytał pułkownik. - Wbrew temu, co piszą gazety, ładunek został podłożony dokładnie tam, gdzie przebywała nasza kochana piętnastka. Ekipy saperów wciąż przetrząsają rumowisko, lecz znaleźliśmy już dość dowodów, by wiedzieć, kto to zrobił. Bombę wyprodukowano w Rosji.
- I co z tego?
- Jezus, otumanilo cię dzisiaj? Komuniści wtargnęli na teren amerykańskiej bazy i zabili dwadzieścia osób, w tym pięciu strażników. Na tym polega cały pieprzony problem.
- Okami milczał.
- Skąd wiedzieli, gdzie przebywają więźniowie? - odezwał się Linnear całkiem innym tonem.
- Dlaczego mnie o to pytasz?
- A pytałem? Zastanawiałem się głośno.
- Mikio zrozumiał wówczas, że wpadł w sprytnie zastawioną pułapkę.
- - Musimy się spotkać, Okami-san. U mnie w biurze. O północy. Połączenie zostało przerwane. Mikio nie przejął się zbyt dąsami pułkownika, choć w głębi duszy czuł żal, że w wybuchu zginęło przypadkiem pięciu niewinnych ludzi. Przypadkiem? Znajac czerwonych, trudno było uwierzyć w przypadek. Ze złością odsunął od siebie resztki śniadania. Dlaczego wcześniej nie przyszło mu to do głowy? Tak się cieszył, że komuniści wezmą na siebie całą brudną robotę, że nie pomyślał o stosowanych przez nich metodach. Nie miało to wówczas dla niego żadnego znaczenia. Wszystko podporządkował zemście. Teraz miał na sumieniu śmierć pięciu Amerykanów. Postanowił spotkać się z Iwanushim. Może chciał mu pogrozić, może zdobyć nazwisko radzieckiego zwierzchnika. Sam nie wiedział. Zjawił się w porze kolacji, by mieć pewność, że zastanie całą rodzinę. Nim jednak dotarł na miejsce, posłyszał za sobą głośny rumor. Odwrócił się i zobaczył kolumnę amerykańskich pojazdów wojskowych sunących w tym samym kierunku. Wcisnął się w cień najbliższego budynku. Samochody przemknęły tak blisko, że poczuł na twarzy chłodny powiew powietrza. Kolumna stanęła przed domem Iwanushiego. Żandarmi z bronią gotową do strzału otoczyli budynek. Oficer zastukał do drzwi. Gdy gospodarz otworzył, głośno zapytał go o nazwisko.
- - Iwanushi - padła odpowiedź.
- Oficer rzucił krótki rozkaz, dwaj żandarmi schowali pistolety, chwycili Japończyka pod pachy i pociągnęli go w stronę najbliższej ciężarówki. Robotnik krzyczał i wił się w uścisku. W drzwiach chaty pojawiła się szczupła kobieta. Próbowwała podbiec do męża, lecz oficer zagroził jej drogę.
- Dlaczego go zabieracie? Nic przecież nie zrobił! Jest niewinny! - szlochała.

- Ma odpowiedzialność za śmierci dwudziestu ludzi, proszę pani - wyjaśnił oficer kiepską japońszczyzną. - Pięć było amerykańscy żołnierze. Musi płacić.
- - Nieprawda! - jęknęła kobieta, zalewając się łzami. - To jakiś koszmar. Oficer nie odpowiedział; może jej nie zrozumiał. Wsiadł do pierwszego
- wozu i kolumna z łoskotem zniknęła w ciemnościach, uwożąc Iwanushiego ku niewiadomemu przeznaczeniu. W ciasnym pokoju prócz dymu wyczuwało się atmosferę napięcia. Pułkownik krążył niczym tygrys po klatce. Na szcęk otwieranych drzwi odwrócił głowę.
- Jesteś - wycedził zduszonym głosem, jak zwykle, gdy z trudem panował nad nerwami. Okami wolał nie zaczynać rozmowy.
- Usiądź - dodał Linnear, po czym zajął się fajką. Wystukał resztki popiołu, nabił cybuch świeżym tytoniem, zapalił. W tym czasie ani razu nie spojrzął w stronę Okamiego. W końcu wziął kilka głębokich oddechów.
- Zaczniemy od początku - powiedział. - Za trzy dni na biurku MacArthura miał spocząć pakiet informacji dostarczonych przez Donnougha, z pełnym zestawem dowodów obciążających samozwańczego fuhrera Bandy Piętnastu, generała Willoughby'ego. MacArthur musiałby podjąć odpowiednie kroki i wiem, że uczyniłby to z niemałą ochotą. Od dawna twierdził, że przetrzymywanie bandy jest błędem. Czekał jedynie na odpowiedni pretekst, aby przystąpić do działania.
- I nie możecie dokończyć planu? - Pytanie było tak głupie, że jakiś czas potem Okami sam się dziwił, jak mógł je zadać.
- Durniu! - huknął Linnear. - Od chwili zamachu Willoughby wyrósł na bohatera! - Stał nad Okamim niczym bóg nad śmiertelnikiem. - Mac jest zadowolony, że usunięto Bandę Piętnastu, bo teraz nie musi się obawiać opinii publicznej. Ale to tylko część prawdy. Willoughby zyskał namacalny dowód, że w Japonii działają silne ugrupowania komunistyczne. Usztywnił postawę wobec Maca i twierdzi, że czym prędzej należy przystąpić do odbudowy potencjału zbrojeniowego. Możesz być pewien, że to nam nie ułatwi pracy.
- Ale przecież MacArthur...
- Sęk w tym, że nie wiadomo, jakie jest jego zdanie o planach remilitaryzacji - sucho stwierdził pułkownik. - Zwłaszcza teraz.
- Okami poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. Tylko kompletny cymbał mógł wpaść na pomysł, by wejść w układ z komunistami. Było mu głupio, że zwątpił w Linneara. Przyrzekł sobie, że nigdy nie powtórzy tego błędu.
- Odczekał chwilę, aż pułkownik nieco się uspokoi, i powiedział:
- - Amerykanie aresztowali pewnego Japończyka pod zarzutem udziału w zamachu.
- Linnear błysnął oczami.
- I co?
- On tego nie zrobił.
- To znaczy, że jest niewinny? Skąd wiesz, kiedy zadać właściwe pytanie? - zdumiał się Okami.

- To socjalista. Pracuje dla Rosjan, ale na pewno nie podłożył bomby.
- Masz na to jakiś dowód, który mógłbym przedłożyć profosowi?
- Nie, ale... - Okami spuścił głowę. - Nie mam.
- Rząd chałup czerniał w bezksiężycowej nocy. Strefa śmierci, gdzie nic nie rosło i gdzie nie stawał żaden pociąg. Tylko bezdomny pies pałętał się po okolicy. Okami patrzył na ciemne okna domu Iwanushich. Nigdy w życiu nie czuł się bardziej bezradny. Stał bez ruchu, wsłuchany w bicie własnego serca, podczas gdy pies obwąchiwał mu stopy. W końcu podszedł do drzwi i zapukał. Ktoś natychmiast zapalił światło. Okami wyobraził sobie drobną, siwą kobietę, siedzącą w ciemnościach przy śpiących dzieciach i z niepokojem myślącą o mężu. Po chwili pani Iwanushi stanęła w progu. W jej szeroko rozwartych oczach czaił się strach i niedowierzanie.
- Ty?! Masz jakieś wieści o moim mężu?
- Nie... Nic nie wiem.
- Och... - Spuściła głowę.
- Chcę pani pomóc. - Okami postąpił krok w jej stronę. - Mógłbym...
- Odejdź! Nie potrzebuję jałmużny! - Splunęła mu pod nogi. - Jesteś złym *kami*. Bandytą. Trucizną. To przez ciebie Amerykanie zabrali mi męża. Ostrzegałam go. Mówiłam, że przyniesiesz nieszczęście. „Jesteś tylko kobietą-odparł. - Nie wtrącaj się w sprawy mężczyzn”.
- Patrzyła na Okamiego jak na demona z dramatu no. Potem głos jej się załamał i duże łzy spłynęły po policzkach.
- - Teraz już wiem, że nigdy go nie zobaczę. Trzasnęła drzwiami.
- Okami został w ciemnościach. Światło zgasło, zadudniły koła przejeżdżającego pociągu. Zastukał raz jeszcze, lecz nikt mu nie otworzył. W nagłej ciszy usłyszał stłumiony płacz kobiety. Rozejrzał się. Nawet pies zniknął. Po dłuższej chwili odwrócił się i odszedł.
- **KSIĘGA CZWARTA Sny i potwory** *Sny i potwory są kluczem do zgłębienia ludzkiej natury.* RALPH WALDO EMERSON

- LONDYN / TOKIO / SAJGON / TIEN GIANG
- Jroranna mgła przylgnęła do ulic Londynu niczym paluchy żebraka. Croaker wcześniej pojawił się w miejscu spotkania. Holland Park leżał w zachodniej części miasta, niedaleko Kensington Gardens. Był mały, lecz pięknie zadrzewiony i starannie pielęgnowany. Croaker podjechał metrem do stacji Holland Park, przeciął Holland Park Avenue w pobliżu Notting Hill Gate, minął dwie przecznice i przez Rose Walk wszedł na teren parku. Z lekkim poczuciem nostalgii spędził kilka minut w japońskim ogrodzie. Ciekaw był, kiedy los pozwoli mu spotkać się z Nicholasem. Zostały cztery dni do idów marcowych. Cztery dni do eksplozji. Cholernie mało czasu. Nicholas potwierdził wcześniejsze przypuszczenia, że torch powstał w Pływającym Mieście, że głównym celem ataku ma być Okami i że z chwilą, gdy pocisk opuści mury Miasta, będzie praktycznie niemożliwy do wytopienia. Tylko zniszczenie laboratorium mogło zapobiec katastrofie. Pozostawała także kwestia, gdzie szukać kryjówki Okamiego. Wrogowie przynajmniej w przybliżeniu znali jej lokalizację; Nicholas i Croaker błądzili po omacku. Lew co chwilę spoglądał w stronę Bird

Lawn, gdzie powinna pojawić się Vesper. Zerknął na zegarek. Za trzy dwunasta. Z kim miała się spotkać? „Pewnie będzie chciał wiedzieć, co ustalił Serman, a ja nie mam mu nic do przekazania” - oznajmiła w rozmowie z Celeste. Bez wątpienia chodziło o kogoś wysoko postawionego w Nishiki, kogoś, kto mógł mieć bezpośredni kontakt z samym kaisho. A skoro Vesper nie była przygotowana do rozmowy, wyglądało na to, że chodzi o coś pilnego. Grube ryby najczęściej wypęły z za biurka w chwilach kryzysu. Chyba będę miał szczęście - myślał Croaker. - Czuję, że jestem blisko samego serca Nishiki. Nicholas nie był jedyną osobą, o której myślał podczas przechadzki po japońskim ogrodzie. Ani na chwilę nie potrafił zapomnieć o Margarite. Czyżby wszystko, co o niej wiedział, okazało się fałszem? Zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa wynikającego ze związku z kobietą, która - co tu dużo ukrywać - stała po drugiej stronie prawa. Ale *kto* umie zapanować nad

- uczuciem? Od krótkiego pobytu w Waszyngtonie wciąż go zaskakiwała liczbą wcieleń. Była matką Francine i żoną Tony'ego D. Ukryta w cieniu męża, kierowała rozległym imperium zbrodni, pozostawionym jej w spadku przez tragicznie zmarłego brata. Czula kochanka i adresatka informacji przekazywanych za pośrednictwem Vesper przez sieć Nishiki. A groźby Cesare'a? Croaker zrobił ponurą minę, lecz w tym samym momencie zobaczył Vesper. Szła od oranżerii w stronę Bird Lawn. Miała na sobie długi płaszcz lamowany futrem, z wysoko stojącym kołnierzem i czapkę wzorowaną na starą rosyjską papachę. Szła lekko, z gracją, wyprostowana niczym modelka. Z jej ruchów przebijała niezachwiana wiara w potęgę kobiecości. Chabrowe oczy czujnie śledziły okolice, co stanowiło prosty, ale wyraźny dowód, że nie jest amatorką, próbującą swych sił w świecie zastrzeżonym dla mężczyzn, lecz wytrawną i dobrze wyszkoloną profesjonalistką. Każde zadanie traktowała ze śmiertelną powagą, co dla Croakera było dodatkową wskazówką, że powinien dobrze się zastanowić, zanim podejmie próbę usunięcia jej ze swej drogi. Gdy minęła ogród, Lew zaczął powoli iść za nią. Na południowo-wschodnim końcu parku ukazała się inna postać, nadchodząca od strony Holland House. Croaker nie mógł z daleka jej rozpoznać, gdyż była zakutana w grubą jesionkę i osłonięta parasolem. Po wzroście sądził, że to kobieta. Vesper z rozpostartymi ramionami rzuciła się do biegu. Gdy zaczęły się witać, parasolka upadła na ścieżkę i Croaker, stojący tuż koło Bird Lawn, bez trudu zobaczył twarz nieznaną. Zamarł jak słup soli, chociaż adrenalina szalała mu w żyłach. Czuł obezwładniający zamęt w głowie, jak w obliczu nieszczęścia lub nieoczekiwanej ulgi, gdyż człowiekiem wtulonym w objęcia Vesper i w rzeczy samej piastującym wysoką pozycję w Nishiki, był żywy i cały kaisho, Mikio Okami.
- - To zakrawa na cud - oświadczył doktor Benwa - lecz pański nowotwór zaczął się zmniejszać.
- Ushiba siedział na łóżku, patrząc na przysadzistego mężczyznę o ziemistej twarzy, ubranego w zielony fartuch chirurga. Doktor Benwa sam był cudowną istotą. Wysznięta prawa ręka zwisała mu sztywno wzdłuż ciała. Przeżył wybuch bomby nad Hiroshimą. Stracił wówczas rodziców, a sam wchłonał pokaźną dawkę promieniowania. Wrócono mu rychłą śmierć, ale przeżył. Wyglądało to tak, jakby poświęcił rękę, by uratować resztę organizmu. Choroba popromienna spowodowała zanik mięśni w prawej kończynie, lecz całe ciało pozostało nietknięte. Żaden z lekarzy nie potrafił tego logicznie wyjaśnić; fakt faktem, że Benwa żył nadal i z powodzeniem prowadził praktykę onkologiczną.
- - To niewątpliwie dobra wiadomość, lecz nie chciałbym niepotrzebnie rozbudzać pańskich nadziei - ciągnął grobowym głosem. - Ludzki organizm

- jest najwspanialszym tworem na Ziemi, zdolnym do heroicznego wysiłku. Mimo to w każdej chwili może nastąpić nawrót choroby. Jak już panu mówiłem, spora część tkanki została bezpowrotnie zniszczona. Chore komórki nie zniknęły, lecz z nie znanych mi bliżej powodów popadły w stan uśpienia. Ushiba zaczął się ubierać. Zastanawiało go, czy nagła poprawa stanu zdrowia ma coś wspólnego z rozmową, jaką ostatnio odbył z prokuratorem. Może długi wykaz związków łączących Chosę z Yoshinorim okazał się swoistym katharsis, oczyszczającym umysł i ciało? Nie był szczególnie religijnym człowiekiem, ale dopuszczał taką możliwość. Poprzez medytację i trening tai chi poznał ścisłą zależność między materią i duchem. Zanim wyszedł, raz jeszcze zajrzał do gabinetu Benwy. Lekarz skończył pisać, odsunął formularz i skinął dłonią.
- - Proszę usiąść, daijinie. - Wyprostował się na krześle i wbił wzrok w ścianę nad lewym ramieniem Ushiby. - Jak to jest z pańskim codziennym życiem?
- Ushiba nie odpowiedział, czekając aż Benwa sprecyzuje pytanie.
- Jak pan wie, robię wszystko, co w mojej mocy by panu ulżyć. - Lekarz wzruszył ramionami. - Lecz czasem to nie wystarcza. - Popatrzył na pacjenta. - Wciąż jest pan całkiem sam? To mnie martwi. Wieloletnie obserwacje wskazują, że u starszej, samotnej osoby choroba może być przyczyną przedwczesnej śmierci.
- Ale u mnie nastąpiła poprawa.
- Prawda. Staram się panu pomóc najlepiej jak umiem. Nie zaniedbuję niczego.
- - Nigdy się nie skarżyłem na brak opieki z pańskiej strony. Doktor Benwa pokiwał głową.
- Jest pan niezwykle cenną osobą dla naszej ojczyzny, daijinie. Pańska śmierć byłaby niepowetowaną stratą. Nie chciałbym...
- Doktorze...
- Tak, tak, wiem. Wychodzę poza swoje kompetencje. - Lewą ręką uniósł wyschnięte ramię. - Lecz jak pan widzi, mam do tego pewne prawo. Nie wolno się panu obrażać. - Przez chwilę patrzył na stos papierów zaśmiecających biurko. - Otrzymał pan wszelką pomoc, jaką może zaoferować współczesna medycyna. Proszę wybaczyć, lecz w tej chwili najbardziej pan potrzebuje miłości.
- Pozwoli pan, doktorze, że odplacę szczerością za szczerść. Nie umiałbym rozpoznać uczucia, o którym mowa, nawet gdyby zostało mi podsunięte na tacy. - Ushiba wstał. - Ale by pana uspokoić, mogę zdradzić, że ostatnio zaoferowano mi przyjaźń. Ku własnemu zdziwieniu, przyjąłem ją. - Uśmiechnął się słabo. - Może moja choroba nie jest aż tak straszna.
- Gdy wyszedł z przypominającej jaskinię przychodni, w której urzędował Benwa, zaczęło już zmierzchać. Miasto tętniło własnym życiem, nieczułe na kłopoty jednostki. Ushiba westchnął. Od dawna towarzyszyło mu narastające poczucie alienacji. Cyniczna obojętność świata mogła napawać przerażeniem
- kogoś, kto nie miał dość siły woli, by jej się przeciwstawić. Doskonale rozumiał słowa Benwy - stan psychiczny miał istotne znaczenie dla zdrowia. Podszedł do samochodu i powiadomił szofera, że ma ochotę na mały spacer. Chciał wtopić się nieprzerwaną rzekę ludzi, poczuć jej dotyk na własnej skórze, zmniejszyć otaczającą go pustą przestrzeń. Zdawało mu się, że przez kilka ostatnich miesięcy pracował w próżni. Ministerialna funkcja nie była jedyną

przyczyną izolującą go od codzienności; grubszy mur wzniosło Godaishu. Z zaskoczeniem zareagował na nagłe odroczenie wyroku śmierci. Nie mniejszym zdumieniem napawała go przenikliwość, z jaką potrafił dokonać oceny własnego postępowania. Zaczął się zastanawiać, czy Godaishu ma jakieś prawo do świata, nad którym chce przejąć władzę. Co będzie, gdy członkowie rady przejmą pełną kontrolę nad międzynarodową wymianą handlową? Zarobią więcej pieniędzy? Powiększą wpływy? Władzę? A co potem? Jaki majątek, wpływy i władza są w stanie zaspokoić ambicję człowieka? Widok zatłoczonej ulicy, ludzi, którzy na co dzień borykali się trudnościami, musieli korzystać z publicznej komunikacji i kosztem wielu wyrzeczeń płacili podatki, przejął go dziwnym strachem. Zląkł się, gdyż w głębi serca znał odpowiedź na postawione wyżej pytanie. Żaden, nawet największy sukces nie zaspokoi nienasyconych apetytów Godaishu. A co mógł powiedzieć o sobie? Do niedawna utożsamiał się z radą. Stał się potworem? Zamknął oczy, obezwładniony nieoczekiwaną słabością. Do serca wtargnął mu chłodny powiew zimy. Rozwarł powieki i napotkał zaniepokojone spojrzenie młodej kobiety prowadzącej za rękę małą córeczkę.

- Coś panu dolega?
- Nie... nic mi nie jest. Dziękuję.
- Spojrzał przez ramię, gdy przechodziły na drugą stronę szerokiej alei. Nie mógł zapomnieć jej twarzy. Zwykła, ani brzydka, ani uderzająco piękna, a jednak wyjątkowa. Nagle coś sobie przypomniał. Torch. Groźba, która nigdy nie ujrzałaby światła dziennego, gdyby nie pomoc Godaishu. Ogrom zbrodni, jaką zamierzali popełnić, spoczął mu na ramionach i przyprawił o mdłości. Szaleńcy - pomyślał. - Wszyscy jesteśmy szaleńcami. Głupiec - myślał Croaker. - Cholerny świat, jak mogłem dać się podejść? Szlag by trafił Leonforte'a. W gruncie rzeczy mógł winić sam siebie. Caesare ostrzegał przecież, że ani na chwilę nie spuści go z oka. On tymczasem zobaczył człowieka z gazetą dopiero wówczas, gdy Vesper i Okami zaczęli się witać. Wcześniej był zbyt zaabsorbowany, gdyż do tej pory znał Japończyka jedynie ze zdjęcia, jakie pokazał mu Nicholas jeszcze w Tokio. Szpicel nadszedł od strony japońskiego ogrodu, usiadł na ławce i zaczął przeglądać *London Timesa*. Croaker pluł sobie w brodę. Okami był ostatnim, brakującym fragmentem łamigłówki. Torch miał eksplodować w sercu Londynu.
- Obecność niepożądanego świadka stwarzała klasyczny dylemat. Croaker zastanawiał się, czy pójść za Okami i pozwolić, by szpieg Leonforte'a podążył ich śladem, czy przejść do bardziej zdecydowanych działań i ryzykować, że kaisho znów zniknie. Znał tylko jedno możliwe rozwiązanie. Gdy Okami i Vesper oddalili się na północną stronę Bird Lawn, podszedł do ławki, na której siedział mężczyzna z gazetą.
- - Cześć - mruknął i usiadł obok.
- Gazeta zaszeleściła, lecz nie padło ani jedno słowo. Croaker czubkiem palca odgiął stronę. Zobaczył pożółkłą twarz wyzierającą spod przerzedzonych, nienaturalnie czarnych włosów. Bystre, małe oczka ani na chwilę nie spoczęły w jednym miejscu. Gangster ubrany był w tani, brązowy garnitur i miał na podbródku czarne znamię. Złamany w paru miejscach nos i pocięte bruzdami policzki dopełniały reszty wizerunku.
- Przepraszam pana - fuknął gniewnie.
- Nie szkodzi.

- Znamy się?
- Od teraz - odparł Croaker i zręcznym ruchem wyluskał pistolet spod pachy rozmówcy. - W Anglii nie wolno paradować z bronią.
- Mnie wolno. Mam licencję.
- Ciekawe.
- - Oddaj. - Szpicel wyszczerzył zęby. - Albo cię rozwalę gołymi rękami. Croaker rozładował broń, wysypując naboje na ziemię i wsunął ją na powrót do kabury. Nim cofnął rękę, wysunął pazury z biomechanicznych palców. Szarpnął dłonią w dół. Stał rozorała koszulę, podkoszulek i skórę gangstera od szyi po pępek.
- - Chryste!...
- Mężczyzna próbował uciec, lecz Croaker przytknął mu dłoń do piersi i przygwoździł z powrotem do ławki.
- - Nie próbuj grozić komuś, kogo nie umiesz zabić w ułamku sekundy. Gangster dygotał jak w febrze, lecz oczy płonęły mu groźnym blaskiem.
- Bardziej bał się Caesare'a niż Croakera.
- Mam pewną wiadomość dla twego szefa.
- Pierdol się. Nic mnie to nie obchodzi. Lew wzmocnił uścisk.
- A powinno.
- W odpowiedzi usłyszał drwiące parsknięcie.
- - Co zrobisz? Wykończysz mnie? Tu, przy tych wszystkich ptaszkach i dzieciach? Daj spokój.
- Croaker postawił go na nogi.
- - Mam dość tej gadki. Pójdziemy do Scotland Yardu. Już tam ci znajdą odpowiednią kwatere.
- Gangster zaczął się szarpać.
- - Nic na mnie nie masz. Nie pozwolę się zamknąć...
- Nacisnął coś przy zegarku. Zwolniona sprężyna wepchnęła mu w dłoń małokalibrowy pistolet, ukryty dotąd w rękawie. Nim zdążył nacisnąć spust, Croaker uderzył go łokciem w ramię i chwycił za przegub, odsuwając lufę od siebie. Niewiele pomogło. Gangster był silny i zaprawiony w ulicznych bójkach. Zadał mu dwa szybkie ciosy w żebra i kopnął w krocze. Lew zwinął się z bólu. Wydawało mu się, że słyszy trzask pękającej kości. Gangster próbował wykorzystać chwilową przewagę. Zaatakował z prawej. Croaker w tej samej chwili zacisnął mechaniczną dłoń, łamiąc mu nadgarstek, lecz mimo to nie uniknął silnego uderzenia w nerkę. Gwiazdy zawirowały mu przed oczami i omal nie zemdleł. Ostatkiem sił machnął lewą ręką. Stalowe pazury przeorały policzek i nos przeciwnika, tnąc mięso niemal do kości. Croaker zacisnął palce, zmiażdżył kilka chrząstek, szarpnął ramieniem w dół. Głowa gangstera z głuchym młaśnięciem uderzyła o ziemię. Lew stracił przytomność. Obudziły go podniesione głosy. Otworzył oczy i zobaczył nad sobą pochylonego policjanta. Młody chłopak, pewnie dopiero po szkole, śmiertelnie wystraszony. Za nim kłębił się tłum podnieconych gapiów. Boże, ale bigos, jak by powiedział Major - pomyślał Croaker. - Proszę leżeć spokojnie. - Policjant głośno przełknął ślinę. - Chyba został pan ranny, bo jest mnóstwo krwi. Zaraz przyjedzie

karetka. Croaker mimo ostrzeżeń przekręcił głowę i spojrział wprost w nieruchome oczy leżącego obok gangstera. W dali odezwał się jęk policyjnych syren, lecz on słyszał jedynie złowieszcze słowa Leonforte'a: „Jeśli spróbujesz mnie wyrolować w Londynie lub tam, gdzie cię jeszcze zanieś, skopię ci tyłek podkutymi butami i to nie będzie przyjemny widok. Zrozumiałeś?”

- - Tac hi nie żyje.
- Inspektor Van Kiet podniósł wzrok na Nicholasa.
- Cholera. Co się stało?
- Seiko. Zastrzeliła go z kuszy.
- Van Kiet zerwał się z krzesła i palnął pięścią w blat biurka.
- Suka! Wiedziałem, że nie można jej ufać. Gdzie jest teraz? Gdzie się schowała?
- Także zginęła. Karma.
- Nicholas mówił chłodnym tonem, gdyż wiedział, że Wietnamczyk nie pałał sympatią do dziewczyny i nie odczuwał potrzeby ujawniania swych prawdziwych emocji. Smutek po zmarłych był czysto osobistą sprawą.
- Jedno, co można powiedzieć o tej robocie - mruknął Van Kiet, jakby nie słyszał odpowiedzi Nicholasa - to że zbyt często wiesz w ślepy zaułek.
- Niezbyt azjatycki pogląd. Nie wierzysz w karmę?
- Już nie - westchnął inspektor. - Zbyt wiele miałem do czynienia z Amerykanami. - Uniósł głowę. - Nim podjęliśmy współpracę, Tachi dał mi
-
- wyraźny dowód swej niewinności. Rozpoznał człowieka, który zabrał z kostnicy ciało Tinha. - Z napięciem patrzył na twarz Nicholasa. - Pewnie pokazał ci zdjęcia.
- - Nie - odparł Linnear. Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach.
- Biuro było tak zagracone, że Van Kiet nawet nie mógł zamknąć drzwi. Akta, dokumenty, formularze, listy gończe, sprawozdania i raporty leżały porozrzucane po wszystkich kątach. Śmierdziało resztkami jedzenia i zjełczalym potem. Van Kiet podszedł do sterty papierów, tak wysokiej, że na pierwszy rzut oka ruszenie jej z miejsca było zadaniem dla kulturysty. Z magiczną zręcznością wyciągnął dużą szarą teczkę i wyjął z niej trzy czarno-białe fotografie. Przedstawiały młodego Japończyka. Mógł mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat. Na pierwszym zdjęciu stał przed tak zwanym salonem masażu. Na drugim był rozebrany do pasa, na trzecim leżał na macie obok nagiej kobiety o długich czarnych włosach.
- - Nie jesteśmy tak zacofani, jak można przypuszczać - kwaśno mruknął inspektor.
- Nicholas wskazał na *irezumi* pokrywające ciało gangstera.
- - To yakuza z klanu Yamauchi. - Stuknął palcem w fotografię. - Tatuaż jest tak charakterystyczny jak podpis.
- Van Kiet zrobił zadowoloną minę.
- Zdjęcia zrobiono zimą, zanim Tachi został oyabunem.
- Prawda, lecz ze słów Seiko wynikało, że był już wtedy w Tokio. Tomoo Kozo darzył go sporym zaufaniem i nawet powierzył pieczę nad interesami klanu w Indochinach.

- Innymi słowy, nasz yakuza mógł być jego wysłannikiem - stwierdził ponuro Wietnamczyk.
- Nicholas skinął głową.
- - Znali się. To wystarczy.
- Schował zdjęcia do teczki. Były wystarczającym dowodem, że Seiko mówiła prawdę. Z drugiej strony, wciąż czuł siłę Tau-tau, kierującą go w stronę Shuken. Wierzył, że kierowany przyjaźnią Tachi porzucił swe początkowe zamiary i że z czasem ujawniłby w pełni plan rady. Ale może było tylko pobożne życzenie. Popatrzył na Van Kieta.
- Możesz mi w końcu powiedzieć, kto zabił Tinha?
- Jasne - odparł Wietnamczyk. - Nie mam nic do stracenia. Ufam, że umiesz dotrzymać tajemnicy. Tihn sądził, że zdoła wejść do Pływającego Miasta i stać się równoprawnym partnerem w interesach. Rock wykończył go dla przykładu: pokazał wszystkim, co będzie, jeśli ktoś zacznie podskakiwać.
- Za oknami śródmieście Sajgonu skwierczało podnieceniem, wciąż w szoku wywołanym nagłym wtargnięciem kapitalizmu. Muzyka, skrzek klaksonów, gwar podniesionych głosów wisiały powietrzu niczym gęsta chmura spalin.
- Dzień i noc to samo - zauważył Nicholas. - Nic się nie zmienia.
- Nieprawda - odparł Van Kiet. - Każda minuta jest inna. Co dzień
-
- przybywają nowi Japończycy, Amerykanie, Koreańczycy i Tajowie. Przedsiębiorstwa przysyłają handlarzy, agentów, prawników i zdeptują się nawzajem, by zdobyć choć mały przyczółek na nowym rynku zbytu.
- Mówisz to z dużą goryczą.
- Serio? - Van Kiet zerknął na ulicę przez upstrzoną przez muchy szybę, po czym odwrócił głowę. - Chyba wiem, skąd się to wzięło. Prócz żółtej febry i zapalenia opon mózgowych musimy się teraz borykać z AIDS i epidemicznym zapaleniem wątroby. Z dawnej kultury pozostały zaledwie skromne fragmenty, reszta została zniszczona przez wojnę i przez mocarstwa, które najeżdżały nasz kraj, twierdząc, że robią to dla naszego dobra. Partia, ostoja dotychczasowej władzy, pławi się w rozwiązłości, a na jej miejsce przyszli skorumpowani kapitaliści. Praktycznie nie ma pomiędzy nimi żadnej różnicy. Przepraszam, jeśli cię uraziłem.
- Daj spokój - odpowiedział Linnear. - Już prawie wieczór. Chodźmy się upić.
- Van Kiet zaprowadził go do „My Canh”, jednej z kilkudziesięciu pływających restauracji, zakotwiczonych na rzece Sajgon. Nie był to najlepszy wybór. Nicholas wrócił pamięcią do dnia, gdy wraz z Bay popłynął łódką na tragiczną w skutkach wyprawę do tuneli Cu Chi. Światła miasta odbijały się w mętnej wodzie niczym reflektory widmowego statku. Zamigotały na fali równym rytmem. Nicholas melancholijnie patrzył na rzekę. Mimo ogromnego przyływu kapitału Sajgon nadal był prowincjonalnym miastem Trzeciego Świata. Zaciekłą pogoń za dobrodziejstwami wolnego rynku hamował brak podstawowych usług i urzędzeń dostępnych w każdym cywilizowanym miejscu na Ziemi. f Nicholas myślał o Bay i o posiniaczonej małej

prostytutce, którą spotkał w Świątyni Wielorybów. Obie ucieleśniały zawiedzione nadzieje ludzi zdradzonych przez historię, nękanych ciągłymi zmianami polityki i gospodarki. Sajgon był pływającym miastem, odciętym od wietnamskiej tradycji oraz komunistycznych mrzonek, zżeranym przez przyniesioną z Zachodu chciwość i żądzę. Biznes miał szansę przetrwania - nawet rozwoju - ale co z ludźmi? Van Kiet, ponury, z zaczerwienionymi oczami, w milczeniu wychylił trzy kieliszki wódki. Potem splunął za burtę łodzi.

- - Dzisiejszą noc spędzę pewnie gdzieś na drodze, za miastem, szukając frajera, który da się zastrzelić. Potem sobie popatrzę na jego zakrwawioną, utyłaną w piachu gębę, a i tak będę widział tylko martwego Tachi.
- Nicholas nie przerywał, bo inspektor wyraźnie musiał się wygadać. Obdarzony porywczym, niepohamowanym temperamentem, jedyne ukojenie znajdował w zabójstwach popełnianych w pełnym majestacie prawa. Był barbarzyńcą w państwie, które zaledwie liznęło cywilizacji. Wietnam z dumą nosił miano kraju wojowników. Zrodzony w krwi, w ciągłych walkach z Sza-nami, Khmerami i Laotańczykami, na pewno nie stanowił oazy pokoju. Teraz nadchodził czas, by zebrać żniwo przeszłości. Ten, kto wierzył w koncepcję zbrodni i kary, tu mógł bez trudu znaleźć jej potwierdzenie.
- Nicholas czekał cierpliwie, aż Van Kiet skończy mówić.
- Seiko uważała, że Tachi chce mnie zabić.
- Co?! - Wietnamczyk niemal wytrzeźwiał z zdziwienia. - Kłamała. Zawsze kłamała.
- Niekoniecznie. - Nicholas wyjaśnił mu, w jakich okolicznościach Shi-dare został wybrany oyabunem.
- W jednym na pewno miała rację - zakończył. - Yakuza są dziś pod silną presją ze strony policji. Ktoś, kto na czas nie zdobędzie odpowiedniej władzy, może skończyć w ulicznym gangu.
- Nikt nie wie, co się naprawdę dzieje w ludzkim sercu - mruknął Van Kiet, patrząc tępo na spowite mrokiem miasto.
- - Muszę porozmawiać z jej ojcem. Wiesz, gdzie można go znaleźć? Kelner postawił na stole butelkę wódki. Van Kiet jednym haustem opróżnił
- kieliszek i nalał sobie następną porcję.
- Wynajmuje apartament w śródmieściu, ale rzadko w nim bywa - odparł. - Tylko wówczas, gdy ma coś do załatwienia. Na co dzień mieszka w olbrzymiej posiadłości na przedmieściach My Tho, stolicy Tien Giang. Wspaniała rezydencja, oddalona stąd o niecałą godzinę jazdy.
- Zabierzesz mnie tam?
- Z samego rana - obiecał Van Kiet.
- Ojciec Seiko mieszkał nad rzeką Tien. Wokół ciągnęły się plantacje bananów, należące do jednej z jego licznych korporacji. *C h u* Huynh Van Dich był przystojnym, siedemdziesięcioletnim mężczyzną o wysuszonej skórze barwy mahoni, siwych włosach i *oczach* sokoła. Nie interesował się zbytnio ani ideologią, ani polityką. Był za to prawdziwym mistrzem w pomnażaniu majątku. Żaden wietnamski minister, generał czy reformator nie stanowił dla niego konkurencji. Cenił swą neutralność i nie pozwalał, by ktokolwiek wtrącał się

w jego interesy. Niepisana umowa działała w obie strony. Dich był niewiarygodnie bogaty, lecz nie posiadał większych wpływów w kręgach władzy, rezydującej w gabinetach Hanoi i Sajgonu. Z powodu niskiego wzrostu i lekko pochylonej sylwetki wyglądał tak, jakby wciąż czemuś się przysłuchiwał. Nie potrafił usiedzieć na miejscu. Gdy chodził, wszyscy myśleli, że biegnie, a gdy biegł, poruszał się szybko jak jeleń. Ani przez chwilę nie przypominał starca. Niechętnie przyjął wizytę Van Kieta, lecz z dużym zainteresowaniem odnosił się do Linneara. Zaprosił obu gości na śniadanie złożone ze smażonych bananów i ryżu zaprawionego pastą rybną. Zasiedli przy długim stole, na tarasie, z którego rozciągał się widok na gaj palm kokosowych, porastających stok wzgórza aż do rzeki. Strzelające zza błękitnoszarych chmur promienie słońca migotały na wodzie jak złoty pył rzucony na mieliznę. Nigdzie nie było widać młodej żony, ani innych członków nowej rodziny

- gospodarza. Dał się słyszeć jedynie świergot ptaków, brzęczenie chrząszczy i szum wiatru w koronach drzew. Być może Dich lubił jadać samotnie. Podczas posiłku panowało milczenie. Gdy służący uprzątnął talerze i podał kawę, Dich spytał:
 - - Co pana do mnie sprowadza, inspektorze? Van Kiet nie odpowiedział.
 - - *Chu* Dich - odezwał się Nicholas. - Przykro mi, ale muszę donieść, że pańska córka nie żyje.
 - Wietnamczyk obdarzył go zagadkowym spojrzeniem.
- Ciało?
- Podjąłem odpowiednie kroki, by przewieźć je do Sajgonu - powiedział Van Kiet.
- Chciałby pan poznać okoliczności jej śmierci? - spytał Nicholas.
- Nie wiedziałem, jak żyła, więc nie sądzę, żebym zrozumiał, jak i dlaczego umarła - z niewzruszoną logiką odparł Dich.
- Van Kiet popatrzył na odległą groblę. Przez kładkę przechodziła szczupła postać, przygięta pod ciężarem dzwiganego brzemienia. Wstał, przeprosił i odszedł.
- - Wiem, że to słaba pociecha, ale pańska córka nie była mi obojętna - powiedział Nicholas.
- Dich obrócił głowę w jego stronę.
- - Tak pan mówi, *chu* Linnear? Chronił ją pan?
- Sądzę raczej, że to ona mnie ochroniła. Dich wstał.
- Czas na codzienny obchód. Zechce mi pan towarzyszyć?
- Przez balkonowe drzwi wyszli na wyłożoną terakotą werandę. Wokół unosiła się mokra woń plantacji. Dich poprowadził Nicholasa po murowanych schodach wiodących w głąb ogrodu mieniącego się różnobarwnym kwieciami. Na końcu ścieżki znów było kilka stopni, a dalej plac z twardo ubitej ziemi. Nie rosło tu ani jedno źdźbło trawy, a słońce mimo wczesnej godziny przypiekało niemiłosiernie. Dich podszedł do drewnianego stelaża, zastawionego mnóstwem bambusowych klatek, w których wiły się cielska rozmaitych węży.
- - To moje hobby - powiedział. - Bywam tu, kiedy chcę zapomnieć o kłopotach codziennego życia.
- Nicholas nie bardzo wiedział, jak przyjąć jego słowa. Widział kobry, daszniki, żmije i wiele innych jadowitych gadów, których nawet nie umiał nazwać. Za klatkami stało duże

akwarium, gdzie wśród skał i gęstej roślinności pływały groźne węże morskie.

- - Produkuje tutaj wszelkie rodzaje medykamentów - mówił Dich. - Surowice, szczepionki przeciwko febrze, środki znieczulające, lekarstwa na kaszel i zapalenie oskrzeli. Wykorzystujemy nie tylko jad, lecz także krew, żółć, tkankę mózgową i inne organy, które po wysuszeniu i sproszkowaniu mogą posłużyć na przykład do wyrobu afrodyzjaków. - Przeszedł do następnej klatki. - Węże są na swój sposób podobne do dzieci. Można je karmić, pielęgnować i chronić, lecz jeśli choć na chwilę zapomni się o czujności, od razu zatopią kły w ręce.
- Seiko chciała, bym z panem porozmawiał. Dich spojrzał na słońce.
- Zatem choć raz zrobiła coś, co mogę pojąć.
- Wiedział pan, że utrzymywała bliskie kontakty z oyabunem o nazwisku Shidare?
- Coś tam słyszałem - odparł z rezerwą.
- Mówiła, że dla określonych korzyści wszedł w układy z innym, o wiele potężniejszym szefem gangu.
- To prawda. Był na tyle głupi, by to zrobić. - Dich ruszył dalej, do miejsca, gdzie z czarnej, tłustej ziemi wyrastały pędy wspaniałych storczyków.
- Nicholas, otoczony niemal nieziemskim pięknem egzotycznych roślin, czuł ucisk w brzuchu. Zyskał dowód, że Seiko nie kłamała. „Nigdy mi nie wybaczysz, że ocaliłam cię przed Tachim”. Rozpaczliwie, z gniewem zapragnął, by wróciła. By pogodziła się z ojcem. Tylko w ten sposób mogłaby znaleźć ukojenie.
- - Który oyabun był jego współnikiem? - spytał. - Chosa?
- Dich przykucnął przy rozłożystym kwiecie o fioletowych płatkach nakrapianych złotymi plamkami.
- - Starszy, sprytniejszy i obdarzony większym doświadczeniem. - Pomacał ziemię wokół korzeni. - Tetsuo Akinaga.
- Nicholas przymknął oczy. Akinaga. Brat przyjaciela z dzieciństwa, syn człowieka, który zastąpił mu ojca. Człowiek dzięki któremu poznał Koei. Tu krył się główny powód nienawiści, jaką żywił w stosunku do yakuza. Nie potrafił zaakceptować prawdy, że bliscy sobie ludzie byli zazwyczaj śmiertelnymi wrogami.
- - Tetsuo zawsze należał do wytrawnych taktyków - powiedział. - Nim został oyabunem, klan Shikei nie cieszył się zbyt poważaniem.
- Dich wstał i otrzepał ręce.
- Dlaczego chce pańskiej śmierci?
- Jego ojciec, Tsunetomo, był moim powiernikiem i opiekunem. Kochałem go. Tetsuo na pozór darzył go poważaniem, lecz w głębi duszy wyczekiwał dnia, w którym będzie mógł przejąć pełnię władzy.
- - Sądzi pan, że to wystarczające wytłumaczenie tego, co robi? Nicholas popadł w zadumę. Tak, to by wyjaśniało sposób i plan działań,

- lecz nie motyw. Czyżby Tetsuo wciąż był zazdrosny o ojca? Może wiedział coś więcej o związkach łączących Tsunetomo i pułkownika? W pierwszych latach po zakończeniu wojny Denis Linnear mocno dbał o to, by jego działalność pozostawała tajemnicą nawet dla członków najbliższej rodziny. Dlaczego? Zbyt wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi.
- - Trudny dylemat - odezwał się Dich, wyczuwając niepewność rozmówcy. Ruszył kamienną ścieżką, wijącą się pośród storczyków. - To sprawa lojalności. - Szedł szybkim, zdecydowanym krokiem. - Kiedyś wszystko było o wiele prostsze. O trwałości sojuszu stanowił honor. Dziś to pojęcie wykreślono z większości słowników. Każdy chce jako pierwszy minąć linię mety, gdyż przegrani kończą najczęściej z nożem w plecach. Nie ma mowy o trwałych związkach. Honor, zwłaszcza w formie pojmowanej przez Japończyków, stał się czystym anachronizmem, pionkiem suwanym to tu, to tam po szachownicy. A sprytny gracz umie poświęcić pionek w imię wyższego celu.
- Wrócili na werandę i popijając zimne piwo zasiedli przy okrągłym bambusowym stole.
- Szkoda, że nie przyjechał pan w interesach, *chu* Linnear - westchnął Dich. - Po latach nietolerancji Wietnam zyskał realną szansę, by przyciągnąć uwagę światowego biznesu. Z optymizmem spoglądam w przyszłość, choć czasem żałuję, że niektórzy nie podzielają mojego zapału.
- Pana zdaniem, komuniści będą próbowali odzyskać na południu utracone wpływy?
- Nie - sucho stwierdził Wietnamczyk. - Są w odwrocie, zarówno gospodarczym, jak ideologicznym. Nie mają racji bytu. Ludzie zbyt dobrze wiedzą, czego się po nich spodziewać. - Potrząsnął głową. - Nie, Wietnam na dobre uwolnił się od starych nieprzyjaciół. Bardziej niepokoją mnie nowi wrogowie.
- Ze swadą snuł opowieść o tym, jak pojmuje swą własną rolę w innym niż dawniej, otwartym kraju. Nicholas odniósł wrażenie, że ów tajemniczy człowiek pełnił rolę magnesu utrzymującego na swoich miejscach wszystkie *dramatis personae*. Jak i dlaczego to robił, pozostawało zagadką, którą należało rozwiązać przed podjęciem ostatecznej rozgrywki z władcą Pływającego Miasta. Dich wyjął z pojemnika z lodem jeszcze dwa piwa. Wręczył Nicholasowi otwartą butelkę.
- Wiem, kim pan jest, *chu* Linnear. Pański przyjaciel, Mikio Okami, przekazał mi pewną wiadomość.
- Okami-san żyje?
- Dich uśmiechnął się lekko.
- - Owszem, lecz nadal musi pozostawać w ukryciu. Grozi mu wielkie niebezpieczeństwo. Być może większe niż dotychczas - powiedział cicho. - Ale na razie zostawmy to na boku. Proszę posłuchać: powrót Okamiego uzależniony jest od pewnych wydarzeń, które nie mogłyby zaistnieć, gdyby wciąż pełnił funkcję kaisho.
- - Nie rozumiem. Wietnamczyk przekrzywił głowę.
- - Myślę, że rozumie pan znacznie więcej, niż się panu wydaje. Wie pan, jak postępuje Okami. Przejął to przecież po pańskim ojcu.
- Nicholas milczał. Dich mówił, wyraźnie zadowolony, że mogą rozmawiać bez świadków.

- - Pułkownik miał dalekosiężne plany. Niektórzy nazywali go marzycie lew. Okami także potrafi przewidywać. Jest doskonałym strategiem. Gdy się
- zorientował, że przeciwnik dysponuje ogromną siłą, opracował sposób przeciwdziałania. Niestety, nie zdążył uratować Dominika Gołdoniego. Było to dla nas ogromnym ciosem. Wyraźnie powiedział „dla nas”. W umyśle Nicholasa zaczął powstawać obraz ogromnej sieci, przekraczającej granice kulturowe, etniczne czy ideologiczne. Po raz pierwszy mógł dotknąć czegoś nadzwyczajnego, czegoś, co dotąd było spowite mgłą tajemnicy.
- - Pan jest trzeci, prawda? Okami, Goldoni i pan. Trzech przeciwko Godaishu.
- Dich niecierpliwie skinął głową.
- Otóż to. Znam Okamiego od wielu lat, lecz w tej chwili to nie ma najmniejszego znaczenia. Był prawdziwym twórcą Godaishu, więc jako pierwszy dostrzegł postępujące oznaki korupcji i zdrady. Pozycja kaisho uległa osłabieniu, lecz gdzie należało szukać prawdziwych wrogów? Odpowiedź na to pytanie groziła wybuchem krwawej wojny między klanami. Okami chciał tego uniknąć, gdyż czuł się odpowiedzialny za postępowanie oyabunów. Odszedł. Dzięki *koryoku* umiał przewidzieć skutki swej decyzji. Co prawda, przebywając w ukryciu, miał mocno ograniczony wpływ na przebieg wydarzeń, lecz wiedział, że z czasem pozna nazwiska wrogów, oczyści radę z niepożądanych elementów i powróci na swoje stanowisko.
- Skąd pewność, że tak się stanie?
- Dich udawał, że dosłyszał pytania Nicholasa.
- Znam pańskie zamiary. Chcę pana odpowiednio przygotować.
- Przygotować? Co to znaczy?
- Zmierza pan wprost do miejsca, z którego nikt jeszcze nie wrócił. Zanim ruszy pan w drogę, muszę pana uzdrowić.
- Nicholas poczuł dziwne mrowienie w dłoniach i wzdłuż kręgosłupa. Włosy zjeżyły mu się na głowie. Dlaczego nie zażądał od Dicha dodatkowych wyjaśnień? Może właśnie dlatego, że domyślał się odpowiedzi? Wietnamczyk spojrział na zegarek.
- - W tej chwili jestem potrzebny na plantacji. Widziałem, że polubił pan moje dzieci. Zna pan drogę do klatek. Tam bez wątpienia zdoła pan zaspokoić swoją ciekawość.
- - Wyglądasz tak, jakby pułk kawalerii przegalopował ci po twarzy. Mówiłem, żebyś uważał, synu.
- Tom Major, ubrany w tweedowy płaszcz i kapelusz, spoglądał na leżącego w szpitalnym łóżku Croakera, niczym niezadowolona niańka. Na jego twarzy ulga mieszała się ze zdenerwowaniem.
- Mówiłeś, tato. - Lew odrzucił kołdrę. - A teraz użyj swoich wpływów i spróbuj mnie stąd wyciągnąć. - Bolały go wszystkie kości, jak po zderzeniu z rozpędzoną ciężarówką, lecz zebra na szczęście miał całe.
- Załatwione. - Major dał mu ubranie. - Lepiej się pośpiesz. Do recepcji dzwoniło już parę

osób z pytaniem, jak się czujesz. Nie sądzę, żebyś chciał się z nimi spotkać.

- Croaker, przycupnięty na brzegu łóżka, jęknął głośno, próbując wepchnąć nogę do spodni.
- Pomóc ci? - z przesadną gorliwością spytał Major.
- Nawet nie próbuj. - Lew wkasał koszulę i zapiął pasek. - Kto dzwonił?
- Obawiam się, że nikt z przyjaciół. - Major przestąpił niecierpliwie z nogi na nogę. - Lewis, masz jakieś konszachty z amerykańskim podziemiem?
- Skąd ci to przyszło do głowy?
- Stąd, że przynajmniej jeden ciekawski to człowiek mafii. - Pomógł przyjacielowi włożyć płaszcz. - Facet pracuje dla niejakiego Leonforte'a. Ten, na którego wpadłeś w Holland Parku, również należał do gangu.
- Wpadłem? - Typowo brytyjskie niedomówienie. - Zabiłem drania.
- Racja. - Major otworzył drzwi. - Choć sam przy okazji omal nie zginąłeś. Starzejesz się.
- Wyszli na cichy korytarz przesiąknięty zapachem chorób i środków dezynfekcyjnych. Major wduśił przycisk przywołujący windę.
- Nie masz mi nic do powiedzenia?
- Wszystko, co chcesz, żeby cię uspokoić - odparł Croaker.
- Wsiedli do obszernej kabiny, gdzie był już jakiś pacjent pod opieką sanitariusza. Podłączony do krwi i kroplówki, pewnie wracał z sali operacyjnej. Nie wyglądał najlepiej.
- - Później - mruknął Major.
- Drzwi zasunęły się cicho i zaczęły zjeżdżać. Winda stanęła na pierwszym piętrze. Sanitariusz zabrał pacjenta, ale wsiadło dwóch mężczyzn. Major opierał się o tylną ścianę kabiny. Croaker dostrzegł kątem oka, że wsunął dłoń do kieszeni płaszcza i ani na chwilę nie spuszczał spojrzenia z nieznajomych. Obaj byli wysocy, mieli szerokie ramiona, ciemne zimowe płaszcze i kaszmirowe szaliki. Jeden świecił na czubku głowy niewielką łysiną, przypominającą tonsurę. Stali w milczeniu, z rękami ukrytymi w kieszeniach. Croaker wyraźnie wyczuwał narastające napięcie. Cicho wysunął mechaniczne pazury. Major wpatrywał się w plecy obu mężczyzn, jakby zamierzał przewiercić ich wzrokiem. Zjechali na parter. Dwaj nieznajomi bez wahania ruszyli do wyjścia. Croaker i Major zwlekali chwilę, po czym poszli w tym samym kierunku.
- Znasz ich? - spytał Lew.
- Ostrożność nie zawadzi - odparł Major.
- Skinął na kilku tajniaków ze słuchawkami przy uszach. Przed budynkiem powitał ich szum ulicy. Wiał silny wiatr, z dali dobiegał przeciągły dźwięk syreny. Croaker znów znalazł się w Holland Parku, widział nad sobą pobladałą twarz policjanta i słyszał: „Zaraz przyjedzie karetka”. Przy krawężniku stały dwa radiowozy londyńskiej policji i czarny daimler.

Umundurowany kierowca otworzył drzwi samochodu. Croaker i Major zajęli

- miejsca na tylnym siedzeniu. Powietrze było przesycone wilgocią, włączone wycieraczki omiały szybę. Croaker słyszał ich monotony zgrzyt, głośniejszy niż warkot przejeżdżających pojazdów.
- - Malory Enterprises - rzucił krótko. Major obdarzył go smutnym uśmiechem.
- Nic z tego, synu. Ślepa uliczka. Nie myśl, że siedziałem beczynnie, gdy ty trafiłeś do szpitala. Spółka jest w pełni legalna. Import-eksport. Nawet jeśli robią coś nie tak, nie możemy się do nich dobrać.
- Musimy spróbować...
- Trzasnęły zamykane drzwiczki, szofer wrócił za kierownicę. Daimler odjechał spod szpitala w asyście radiowozów.
- - Wpakowałeś się w niezłą kabałę, synu. - Major wsparł się na pluszowym siedzeniu. - Nie wiem, czego naprawdę szukasz, a instynkt mi podpowiada, że lepiej cię nie namawiać do zwierzeń. Posłuchaj mojej rady i wróć czym prędzej do domu.
- Croaker popadł w rozterkę. Właśnie odnalazł Okamiego i wiedział, że jeśli Nicholas w porę nie trafi do Pływającego Miasta, torch będzie zdetonowany w Londynie. Niestety, stary kaisho znów zniknął i tylko Vesper wiedziała, jak dotrzeć do jego londyńskiej kryjówki. Vesper. Jak wnikać w głąb jej umysłu? Była niczym wrak pociągu, straszna, a jednocześnie kusząca tajemnicą. Okrutna, zachłanna, bezduszna - z łatwością kierowała poczynaniami innych. Margaritę i Celeste prawie jadły jej z ręki. Nader ciekawy był jej związek z Okamim. Pozostawała wierna temu mężczyźnie czy pracowała dla Dedalusa? Skoro kaisho utrzymywał z nią stały kontakt, tu właśnie należało szukać rozwiązania zagadki. Teraz pewnie wracała do Waszyngtonu, na rozmowę z Sermanem.
- - Lewis, uaktywniłeś przeciwko sobie groźne siły - odezwał się Major, kładąc dłoń na ramieniu przyjaciela. - Nie mam dość czasu i ludzi, by cię skutecznie chronić.
- Croaker zastanawiał się chwilę, czy mu powiedzieć o groźbach Leonforte'a pod adresem Margaritę. A torch? Nawet gdyby władze Londynu uwierzyły w powagę sytuacji i zmobilizowały wszystkie dostępne siły, nikt nie był w stanie powstrzymać wybuchu. Wieść prędzej czy później dostałaby się do prasy i wywołała masową panikę. Poza tym nie było czasu na wizyty w rządowych gabinetach. Lew chciał jak najszybciej odnaleźć Vesper, a to zmuszało go do milczenia.
- Chyba pójde za twoją radą - powiedział sztucznie spokojnym tonem.
- Mądry chłopak. Zaraz odwiozę cię na Heathrow.
- Mgła zmieniła się w mżawkę. Zza zakrętu wyjechał ambulans, zmierzający z dużą prędkością w stronę szpitala. Radiowozy stanęły, kierowca daimlera przydeptał hamulec, by uniknąć kolizji. Pisk opon na mokrym asfalcie zagłuszył pierwsze strzały. Croaker zobaczył jedynie serię błysków w otwartych drzwiach karetki. Instynktownie rzucił się w bok. Szofer padł twarzą na kierownicę, krople krwi trysnęły na sufit
- samochodu. Croaker uderzył łokciem o klamkę, pchnął drzwiczki, wytoczył się na ulicę i

klęknął, by wyciągnąć za sobą Majora. Daimler skoczył do przodu, gdy stopa martwego kierowcy spadła z pedału hamulca. Croaker poczuł, że jakaś ogromna siła próbuje wyrwać mu rękę, którą trzymał Majora za klapy tweedowego płaszcza. Kości i ścięgna na pewno by ustąpiły, lecz tytan i warstwa poliwęglanu wytrzymały. Udało mu się wyciągnąć przyjaciela. Daimler zadrżał, po czym ze zdumiewająco ludzkim krzykiem przetoczył się przez ulicę i trzasnął maską w zaparkowane samochody. Ambulans już dawno odjechał, pełnym gazem skręcając w najbliższą przecznicę. Jeden radiowóz pogoń, drugi tkwił na ulicy, zablokowany przez wrak daimlera. Croaker słyszał okrzyki policjantów i echo zbliżających się kroków. Zimne krople deszczu spływały mu za koszulę. Odwrócił Majora na plecy i spostrzegł kałużę krwi.

- - Chryste... - szepnął przez zaciśnięte zęby. Uniósł głowę i krzyknął: - Lekarza! Potrzebny lekarz!
- Szkarłatna pręga ciągnęła się przez pierś i prawe ramię Majora. Cały był umazany krwią; nawet na policzkach i włosach błyszczały mu ciemne plamy. Popatrzył na Croakera i wolno poruszył wargami.
- Mówiłem ci, synu.
- Cicho! - warknął Lew, tuląc go do siebie. - Wyglądasz tak, jakby pułk kawalerii przegalopował ci po twarzy.
- Major próbował się uśmiechnąć.
- Tak się też czuję. - Oddychał z trudem. - Zrób to, o co cię proszę. Uciekaj z Anglii, zanim przydarzy się większe nieszczęście.
- Przestań!
- Major był zimny jak lód, choć Croaker tulił go coraz mocniej. Co, do cholery, z tym lekarzem? Byli przecież zaledwie kilka metrów od szpitala. Ranny zadygotał.
- - Trzymaj się, stary capie, albo...
- Major zamknął powieki. Westchnął głęboko.
- - Tom! Tom!
- Mgła osiadła na dachach, deszcz pluskał w nagich gałęziach drzew, w powietrzu unosił się smród palonej gumy, kordytu i śmierci. Jęk syren, trzask radiostacji, tupot nóg po chodniku...
- - Już dobrze... dobrze... - Czyjeś ręce stanowczo, lecz delikatnie usiłowały oderwać Croakera od przyjaciela. - Teraz my się nim zajmujemy.

15TIEN GIANG / TOKIO

• zień był upalny i duszny. Parę łodzi sunęło po brunatnych wodach rzeki. Na plantacji pochyleni robotnicy zręcznymi dłońmi wyłuskowali kiście bananów spośród mięsistych liści. Gdzieś w górze zaterkotała małpa. Bliska obecność łupu wzbudziła poruszenie wśród węży. Nicholas, zatopiony w myślach, nadszedł z wolna od strony werandy. Odwrócił głowę. Zza klatek wyłoniła się jeszcze jedna postać. Węże wiły się z podnieceniem, wspinały na bambusowe pręty i opadały z powrotem. „Muszę pana uzdrowić”. Nicholas podświadomie wiedział, kogo spotka. Z niecierpliwością wyczekiwał tej chwili. Teraz, gdy stanął na krawędzi przepaści, zaczął się zastanawiać, czy jest w pełni gotów do takiej konfrontacji. Zadał sobie pytanie, skąd Dich mógł wiedzieć o jego przyjeździe? To też zaplanował kaisho, tkwiący w

odległej kryjówce niczym pająk pośrodku sieci?

- - Czemu się wahasz? - spytał znajomy głos. - Przeraziłeś się na mój widok?
- Nagle zdał sobie sprawę, że okoliczności towarzyszące ich spotkaniu nie mają większego znaczenia. Liczył się tylko urok chwili. Głos dziewczyny przywołał odległe wspomnienia, nie naruszone upływem lat i mijających wydarzeń. Wróciły chłodne jesienne noce, kiedy siedzieli na skraju pola, słuchali pohukiwania sowy i wpatrywali się w gwiazdy.
- - Koei.
- Wynurzyła się z cienia akwarium z morskimi wężami. Nic się nie postarzała, jakby przez wszystkie lata rozłąki przebywała w jakiejś magicznej krainie, rozkwitła jedynie pełnią kobiecości. Jej wyraziste rysy zmiękły nieco, oczy stały się jeszcze głębsze. Na małych ustach pojawił się wąty uśmiech.
- Widzę twą twarz, twoją minę i pozbyłam się wszelkich obaw. Nie żywisz do mnie niechęci.
- Znienawidziłem cię całym sercem. Znienawidziłem wszystko, co sobą reprezentujesz... Cały twój świat...
-
- Nicholas nie mógł dalej mówić. Dziewczyna milczała. Dawno już zrozumiała, że cierpliwość jest równie cenna jak rubiny lub perły.
- Daj mi na siebie spojrzeć - wyszeptał. - Można pomyśleć, że czas stanął w miejscu...
- Nieprawda. - Koei podeszła krok bliżej. Z lekkim niepokojem patrzyła na Nicholasa. - Widzę to w twoich oczach. Twoja żona...
- Nie żyje. Zginęła w wypadku, gdy próbowałem chronić Okamięgo.
- I do tej pory nosisz w sercu poczucie winy.
- Są gorsze grzechy. Nigdy nie potrafiłem pojąć, że nie krocymy tą samą drogą.
- Życie biegnie podwójnym torem, miły. Tego nauczyłam się w czasach, kiedy byliśmy razem. Dokonaliście wspólnego wyboru. To przecież nie zbrodnia.
- Miała rację. Po śmierci Justine rozmyślał nad tym setki razy, lecz teraz - gdy z ust innej osoby usłyszał słowa potwierdzające jego wnioski - doznał ogromnej ulgi. W milczeniu skinął głową.
- - Przyszedełś.
- Koei ostrożnie wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni. Poczł ogarniającą go falę ciepła. Minione lata przygasły, zbladły, stały się niemal przezroczyste, tak że mógł dostrzec przez nie przyszłość i wszystko, co do tej pory miał zagrzebane głęboko w zakamarkach duszy. „Muszę pana uzdrowić” - powiedział Dich. Nicholas właśnie rozpoczął kurację.
- Świat yakuza stał się obcy, gdyż ogarnęła mnie wściekłość z powodu niepotrzebnej śmierci... - mówił głośnym, nasączonym emocją szeptem, brzmiącym jak powiew wiatru wpadający w otwarte okno. - W końcu przejrzałem na oczy. Nienawidziłem sam siebie. Żaden yakuza nie miał z tym nic wspólnego. Aż do dzisiaj nie potrafiłem przyjąć prostej prawdy, że pokochałem ów świat równie mocno jak ciebie. Byłem podobny do ojca, a mimo to walczyłem z tym uczuciem, gdyż za nic nie pasowało do koncepcji honoru, jaką wpajano mi na treningach sztuk walki.

- Wiesz, tego właśnie nie mogłam zrozumieć. Ty, ninja, spadkobierca tradycji wojowników, którzy przez całe wieki żyli na marginesie społeczeństwa, powinieneś czuć się związany z klanem. To tak naturalne, a jednak...
- W ninjutsu jest tylko czerń i czerwień. Dobro i zło. Nic więcej. W ten sam sposób patrzyłem na życie. Dziwiło mnie, że ojciec dobierał sobie przyjaciół wśród oyabunów. Wiedziałem, że w swojej pracy musiał czasem korzystać z pomocy yakuza, ale przyjaźń? Kochałem go, szanowałem, a jednocześnie gdzieś w głębi serca nie cierpiałem za kontakty z Okamim. Ciężko to przeżywałem.
- A potem wybrałeś mnie.
- Pomyślał o Seiko. Przy niej nigdy nie zdobyłby się na podobne wyznanie.
- „Przestań być tak cholernie uczciwy! Naprawdę nie dostrzegasz, ile odcieni szarości kryje się między czernią a bielą?” Znała go lepiej niż on sam. Biedna dziewczyna. Jak to się dzieje, że człowiekowi najtrudniej zgłębić sekret własnej natury? Koei stała tuż przy nim. Czas wygasł, lata spłynęły na ziemię niczym zimowe zeschnięte liście.
- - Dlaczego? - szepnęła.
- W tym jednym słowie zawierał się cały ból, będący ich udziałem i niemożliwy do uleczenia.
- - Byłeś podobny do mnie - mówiła dalej. - To powinno nas złączyć, a stało się przyczyną nowych cierpień. - Uniosła głowę. Szeroko rozwartymi oczami spojrzała mu prosto w twarz. - Nie chciałam kłamać, ale jak mogłam wyznać coś, co ukrywałam nawet przed sobą?
- Nie mogłaś. Karma. Każde z nas cierpiało w inny sposób. Chwyliła go za dłonie.
- Długo czekałam na tę chwilę. Całe życie.
- Jej wargi znalazły się tuż przy jego ustach. Kątem oka widział sploty węży. Czuł zmysłowy dotyk jej bioder i słodki smak różowego języka. Dzień stawał się coraz gorętszy. Przebudzone z letargu gady unosiły trójkątne głowy i wysuwały rozdwojone języki, jakby im także udzieliło się podniecenie dziewczyny. Najbliższy *krait* miarowo stukał błyszczącym cielskiem o bambusową ściankę klatki i groźnie prezentował zęby jadowe, zazwyczaj ułożone płasko wewnątrz pyska. Nicholas wsparł dłonie na piersiach Koei. Rozchylił jej bluzkę, musnął palcami blade sutki, pochylił się i z cichym jękiem przywarł ustami do jej szyi. Krew szumiała mu w żyłach, oko tanjianina zalewało splątane myśli oslepiającym potokiem światła. Zwinne palce Koei rozpięły mu pasek i ściągnęły spodnie. Nicholas w odpowiedzi sięgnął pod jej spódnicę. Nie miała na sobie bielizny. Przyparł ją do muru. Uniosła nogę, oparła piętę na jego plecach. Wtargnął w nią w chwili, gdy zakryła mu usta pocałunkiem. Jęknęła raz, potem drugi, cicho, lecz wyraźnie. Wibrowanie powietrza wzbudzało coraz większy zamęt wśród węży. Koei wygięła się w pałąk, weszła w rytm ruchów Nicholasa, dociskała biodra, pilnując, by przy każdym pchnięciu wnikał jak najgłębiej. Sapała głośno, wolna od wszelkich myśli i strachów. Coś w niej pękło pod wpływem aury, jaką pospołu stworzyli. Fala ciepła zalewała jej uda, brzuch i piersi. Ze zdumieniem powitała swą duszę wolną wreszcie od blizn smutnej egzystencji. Żyję - pomyślała zachwycona. - Boże, naprawdę żyję! Znała seks, lecz tym razem doświadczyła czegoś zupełnie nowego. Zauroczona chwilą, wyrwała się z pęt czasu. Przeszłość

nie miała dla niej najmniejszego znaczenia; zniknęło poczucie osamotnienia i rezygnacji. Długi, magiczny sen dobiegł końca i żaden cień nie mącił rozległej przestrzeni sięgającej aż po horyzont.

- Koei wiła się coraz szybciej, spragniona siły emanującej z ciała Nicholasa. Pot spływał jej po twarzy i piersiach. Przestrzeń zaczęła się kurczyć, spowijając szczelnym kokonem parę kochanków, aż nagle zadygotała, błysnęła jaskrawą poświatą i strzeliła wysoko w górę, niczym fala przyboju rzucona na skały.
- - Popełniłam zbyt wiele błędów - szeptała dziewczyna. - Zbyt wiele rzeczy, których musiałam żałować.
- Nicholas, wciąż jeszcze oszołomiony tym, co zaszło, przytulił ją do siebie. Oddychała ciężko. Serce waliło jej mocno, jakby zasilone nowym przyływem energii. Wśród gadów panowało wyraźne poruszenie. Klatki aż dygotały od ich gwałtownych poruszeń. Nicholas i Koei milczeli dłuższą chwilę. Po zachodniej stronie nieba gromadziły się ciężkie chmury zapowiadające burzę.
- Co tu robiłaś? - spytał w końcu Linnear.
- Przecież wiesz. Czekałam na ciebie.
- Co zaszło... po naszym rozstaniu?
- Wyglądała tak pięknie i zmysłowo, że porównał ją w myślach do Shizu-ki. Yoshitsune musiał być bardzo szczęśliwy podczas krótkiego pobytu w Yo-shino.
- Miałam dość męskich umizgów. - Koei popatrzyła na chmury. - Prawdę mówiąc, nie chciałam, by ktoś prócz ciebie mnie dotykał. Na myśl o seksie stawałam się zimna jak kamień. Przestałam się uśmiechać i w głębi serca pragnęłam śmierci.
- Koei...
- Jej twarz była tak pełna uczuć, że zaniemówił z wrażenia.
- - Nieprawda - powiedziała. - W tym czasie byłam martwa. Wiedziałam, że mogę winić tylko siebie. Znałam twoje poczucie honoru i do pewnego stopnia zdawałam sobie sprawę z ryzyka, jakie podjęłam, nie mówiąc ci prawdy.
- Nicholas stał jak wrośnięty w ziemię.
- - Bywały chwile, gdy chciałam zostać mniszka. Myślałam, że w klasztorze odnajdę opiekę i ukojenie. Naiwna! - Roześmiała się drwiąco. - Przede wszystkim zabrakło mi wiary. Powędrowałam do Yoshino i w świątyni Shugendo zaczęłam pobierać nauki jako *miko*. Nie byłam tym zawiedziona. Pociągały mnie proste zasady shinto. Choć nie czułam się w pełni szczęśliwa, udało mi się zapomnieć o przeszłości. Potem odnalazł mnie Tomoo Kozo. Oznajmił, że za zgodą ojca podjął się roli swata. „Twoje małżeństwo - stwierdził - ma duże znaczenie dla przyszłości. Spełnisz swój obowiązek wobec ojca, mnie i całego klanu Yamauchi”.
- Milczała przez chwilę.
- - Z początku myślałam: pal sześć, i tak jestem żywym trupem. Po co mu się sprzeciwiać? Nim minęło pół roku, zrozumiałam omyłkę. Nie mogłam wyjść za mąż. Nie zamierzałam wracać do rodziców, bałam się zostać w Yoshino, więc

zrobiłam jedyną rzecz, jaka mi wówczas przyszła do głowy. - Popatrzyła na Nicholasa. - Poszłam po pomoc do kaisho. Przysłał mnie tutaj.

- Okami? Wiedział o nas?
- Tak. Nie chciałam mu mówić o wszystkim. Traktowałam to jako zamkniętą przeszłość. Uwięzione w duszy wspomnienia sprawiały mi masę cierpień. Potem zrozumiałam, że on i tak wiedział.
- Niby skąd?
- Zrobiła zaskoczoną minę.
- - Przecież to oczywiste. Interesował się tobą. Właśnie ze względu na ciebie dał mi ochronę.
- Po niebie przetoczył się odgłos odległego grzmotu. Zniknęło słońce.
- - Muszę ci jeszcze coś wyznać - powiedziała po chwili Koei. - Człowiek, którego znalazł mi Kozo i z którym spotykałam się przez pół roku, to Michael Leonforte.
- Nicholas miał wrażenie, że ktoś zadał mu cios w żołądek.
- Partner Rocka z Pływającego Miasta?
- Ten sam. Rock poznał go w Laosie. Leonforte był zwerbowany przez tajną grupę wywiadu działającą bez wiedzy Pentagonu. Miał przejąć szlak, którym transportowano narkotyki z birmańskich wyżyn. Szef siatki popełnił błąd, powierzając mu to zadanie. Leonforte zdezerterował i na własną rękę zajął się szmuglem. W siedemdziesiątym pierwszym roku dowództwo Sił Specjalnych wysłało w ślad za nim niewielką grupę żołnierzy. Plan znów nie wypalił. Rock i Wietnamczyk o nazwisku Do Duc jako jedyni dotarli do obozu przemytników. Tam też zostali.
- Do Duc, Rock i Mick Leonforte razem? Dobry Boże - myślał Nicholas - nic dziwnego, że Rock chce mnie zamordować. W końcu to ja zabiłem Do Duka. Van Kiet sądził, że chodzi o zdobycie cennego mikroprocesora, tymczasem spisek był zakrojony na dużo większą skalę. Jeden Leonforte, ukryty w wietnamskiej fortecy, handlował prochami i bronią wykradaną z amerykańskich magazynów, zaś drugi stał na czele Zwierciadła, najtajniejszej siatki szpiegowskiej w historii Ameryki. Jeśli ci sami ludzie podczas wojny wietnamskiej usiłowali zawładnąć narkotykowym szlakiem, można było przypuszczać, że część rządu także uwikłana jest w przemyt.
- Co chciał osiągnąć Kozo przez wprowadzenie Micka do klanu Yamau-chi?
- Nie chodziło mu tylko o klan. Ani nawet o yakuza. Myślał wyłącznie o Godaishu. Nikt prócz dwóch lub trzech osób, nie wiedział o spisku zawiązanym przez Chosę, Akinagę i daijina MITI, Naohiro Ushibę. Początkowo chodziło im tylko o przejęcie władzy, lecz potem doszli do wniosku, że kaisho musi umrzeć. Kozo, na rozkaz Akinagi, wynajął Do Duka. Na liście ofiar poza Okamim znaleźli się Goldoni i *chu* Dich. Dzięki tobie skończyło się na Goldonim.
- Koei nie spuszczała wzroku z twarzy Nicholasa.
- -Nowe Godaishu, rządzone bez Okamiego, dążyło do nawiązania ścisłych kontaktów z

Pływającym Miastem. W gruncie rzeczy to właśnie Rock i Michael stali się główną przyczyną rozłamu. Okami nie chciał posłuchać Akinagi i stanowczo odrzucał możliwość sojuszu. Władcy Pływającego Miasta nie mieli poszanowania dla żadnych zasad. We własnym mniemaniu byli podobni bogom i ferowali wyroki na wzór cesarzy, niezależnie od tego, czy szło o zarobek, czy o ludzkie życie.

- Deszcz załomotał o blaszany dach wiaty, pod którą stały klatki. Węże donośnym sykiem witały zmianę pogody. Grube krople spływały z okapu i wsiąkały w ubitą ziemię. Chwilę potem niebo stało się czarne. Rozpętała się burza.
- Akinaga i Kozo obstawali przy swoim, że warto wejść w układ z Miastem. Ich zdaniem, gdybym została żoną Leonforte'a, pakt byłby przypieczętowany na stałe.
- Innymi słowy, chcieli cię złożyć w ofierze.
- Dobrze wiesz, że żaden z nich nie pomyślał, by spojrzeć na to z tej strony.
- A Leonforte? Skąd mogli wiedzieć, że nabrał ochoty do małżeństwa?
- Miłość, czy choćby seks nie miały tu nic do rzeczy. Interesował ich tylko sojusz. Umowa gospodarcza.
- Brzmiało to może dziwnie, lecz związki tego typu praktykowano w Azji od wieków.
- Wciąż nie rozumiem, gdzie Mick upatrywał korzyści.
- Nie ty jeden - cicho odrzekła Koei. - To zresztą najlepszy dowód, że żaden mędrzec nie potrafi w pełni pojąć meandrów życia. Wbrew wszelkim oczekiwaniom Michael się we mnie zakochał.
- Tanaka Gin stanął przed drzwiami apartamentu Chosy w towarzystwie trzech ochroniarzy, którzy przyłgnęli do niego niczym stado krabów, gdy wysiadł z windy.
- - Prokurator? - spytał oyabun na jego widok. - Czemu zawdzięczam tę wizytę? O tej porze na ogół nikt nie pracuje.
- Gin machnął mu przed nosem urzędową legitymacją.
- - Niektórzy muszą.
- Ubrany w jedwabną *yukata* Chosa zrobił zdziwioną minę.
- Już prawie północ.
- Do niedawna siedział pan klubie. Nie chciałem przeszkadzać. Chosa wzruszył ramionami i odstąpił od drzwi.
- W sypialni czekają na mnie dwie dziewczyny. Zasną, jeśli posiedzi pan dłużej.
- Zaraz wyjdę. - Tanaka wkroczył do pokoju. - Pan także.
- Słucham?
- Prokurator podziwiał właśnie woskową figurę Marilyn Monroe, lecz spiesznie odwrócił głowę, by nacieszyć oczy widokiem bezbrzeżnego zdumienia, jakie odmalowało się na twarzy gangstera, gdy zaczął mu czytać listę zarzutów. Nie myślał o nagich dziewczętach, czekających za ścianą. Z natury nie stronił od kobiet; wstrzemięźliwość płciową traktował jako świadomy wybór. Za młodu dostał dotkliwą lekcję. Gdyby nadał pławił się w rozwiązłości, pewnie już dawno byłby zmuszony zakończyć prawniczą karierę. Trzeba przyznać, że Chosa z niezwruszonym spokojem przyjął nakaz aresztowania. Stracił panowanie nad sobą dopiero

wówczas, gdy Tanaka wręczył mu kolejny dokument.

- Same bzdury! Kto wysmażył taką litanie kłamstw?
- Mamy niezbite dowody, że miał pan kontakty z Yoshinorim. Są naoczni świadkowie, bezstronni obserwatorzy waszych poczynań. - Prokurator uśmiechnął z wyraźną satysfakcją. - Chosa-san, otworzył pan drogę do gabinetów rządowych, kontrolowanych przez yakuza. Wygarniemy korupcję niczym próchnicę z popsutego zęba.
- Jeśli szuka pan korupcji, niech pan zerknie na własny wydział - warknął oyabun. - Mógłbym podać kilka nazwisk i listę oskarżeń, od której dostałby pan zawrót głowy.
- Chce pan wystąpić w roli świadka i złożyć zeznania obciążające przyjaciół? - z nagłym zainteresowaniem spytał Tanaka.
- Nie jestem głupi. Wiem, skąd pochodzą zarzuty pod moim adresem. - Chosa starannie złożył dokument. - Mogę pana zapewnić, że nie mam przyjaciół.
- Tym bardziej powinien się pan zastanowić nad współpracą. - Prokurator wskazał w stronę wyjścia. - Chodźmy.
- Chosa znacząco popatrzył na drzwi.
- Mam przez to rozumieć, że jest pan zupełnie sam? Że nikt poza mną nie będzie oglądał pańskiego triumfu?
- Tak - uroczyście odparł Tanaka. - Nie zwykłem poniżać pokonanego przeciwnika.
- Oyabun skłonił się z kurtuazją.
- Za chwilę zabrzmiał dzwon w świątyni shinto po drugiej stronie ulicy. Za pańskim pozwoleniem chciałbym go jeszcze wysłuchać.
- Nie widzę przeszkód.
- Chosa podziękował mu lekkim skinieniem głowy.
- - Pójdę się przebrać.
- Zniknął w sypialni. Tanaka rzucił przeciągłe spojrzenie na woskową Marilyn. Pochylił się i zerknął pod falującą spódnicę. Rozległ się głuchy dźwięk dzwonu. Jedno z okien było uchylone. Prokurator stanął przy parapecie i wyjrzał na jaskrawo oświetloną ulicę. Popatrzył na zegarek, po czym podszedł do drzwi sypialni. Chciał zapukać, gdy nagle usłyszał huk strzału. Kopnięciem otworzył drzwi. Dwie nagie dziewczyny kulily się w łóżku. Jedna krzyczała; policzek i ramię miała spryskane krwią.
- Tanaka stał w progu, patrząc na ciało Chosy. Oyabun strzelił sobie wprost w usta. Kula kalibru.357 rozerwała mu tył głowy i rzuciła trupa na łóżko. Martwe oczy wpatrywały się w otwarte na oścież okno. Powiew chłodnego powietrza rozwiewał odór śmierci. Chosa zdążył się przebrać. Miał na sobie białą koszulę, krawat i elegancki ciemny garnitur. W korytarzu rozległ się głośny tupot. Chwilę później strażnicy oyabuna wpadli do sypialni. Stanęli jak wryci na widok martwego szefa. Tanaka ostrożnie, by niczego nie ruszyć, pomógł dziewczynom zejść z łóżka. Wyprowadził je do salonu, kazał się umyć, ubrać i czekać na przybycie ekipy śledczej. Sam wrócił do sypialni. Patrzył na Chosę, rozciągniętego w dziwnej pozycji w poprzek zakrwawionego łóżka. Oyabun ścisnął coś w lewej dłoni. Tanaka przykucnął i długopisem

rozchylił mu palce. Zobaczył kolorowe zdjęcie, zrobione na planie „Skłóconych z życiem”. Clark Gable, ubrany w niebieskie dżinsy i kowbojski kapelusz, stał obok roześmianej Marilyn Monroe. Świątynny dzwon huczał głębokim echem, dodając posępny komentarz do samobójstwa popełnionego na modłę Zachodu. Tanaka wyszedł z sypialni. Jak mógł uwierzyć, że Chosa zgodzi się ujawnić swe zbrodnie i współpracować z prokuraturą? Pycha to straszna rzecz - myślał. Wrócił do domu dopiero po trzeciej. Każda gwałtowna śmierć, nawet tak „czysta” jak Chosy, pociągała za sobą mnóstwo papierkowej roboty. Ushiba wciąż nie spał. Siedział w starym fotelu, pogrążony w lekturze. Tanaka bez słowa wszedł do kuchni, nalał sobie solidną porcję whisky i wypił ją jednym haustem. Ushiba odłożył zbiór haiku, po czym cicho wstał z fotela.

- Co się stało?
- Chosa nie żyje - sucho odparł prokurator. - Wsunął sobie pistolet do ust i pociągnął za cyngiel. Chciał uniknąć procesu.
- Nie można go za to potępiać.
- Daijin odwrócił głowę i wbił wzrok w mroczne wnętrze pokoju. Przewidział taki koniec, gdy poszedł za radą Kena? Syn Kisoko wykazał się dużym sprytem, kiedy zaproponował, by powierzyć Tanace sprawę Chosy. Los bywa jednak bardziej okrutny. Ushiba nie zamierzał z zimną krwią podpisywać wyroku śmierci na człowieka, którego niegdyś zaliczał do przyjaciół. Naprawdę nie zamierzał? Słowa „nie można go za to potępiać” stanowiły wyraźny dowód winy. Zbyt dobrze znał Chosę. Oyabun nie należał do ludzi, którzy w spokoju przyjęliby nagabywania dziennikarzy, proces i pobyt w więziennej celi. Sam w jego sytuacji wybrałby seppuku. Śmierć z własnej ręki miała posmak ceremoniału, niedostępnego zwykłym ludziom. Życie na łasce wroga, zredukowane do czterech ścian celi, stawało się czymś nie do pomyślenia. „Zabiłem go”. To stwierdzenie wbiło się niczym ostrze noża w brzuch Ushiby. W pogoni za Linnearem, Chosa zdradził ich przyjaźń, zdradził radę
- i ściągnął poważne niebezpieczeństwo na Godaishu, Zasłużył na śmierć? Tak. Za późno na rozważanie innych rozwiązań. Za późno...
- - Ushiba-san?
- Daijin z wysiłkiem podniósł głowę. Zamrugnął powiekami, oślepiony blaskiem bijącym z kuchni.
- - Późno już. Miałem ciężki dzień.
- Dobrze wiedział, że słowa Tanaki znaczą naprawdę: „Jak się pan czuje?”. Prokurator popełniłby gruby nietakt, gdyby zadał to pytanie wprost.
- - Ja także, choć ostatnio nie mogę sypiać. Chyba już zapomniałem, jak to się robi.
- Tanaka nalał sobie następną porcję whisky.
- Bywają dni, że chwila wypoczynku zdaje mi się równie odległa, jak wakacje w Paryżu. - Potrząsnął głową. - Kiepski ze mnie gospodarz. Mogę czymś panu służyć?
- Nic nie przychodzi mi na myśl.
- Przeszli do salonu. Tanaka zapalił lampę. Nie używał górnego oświetlenia, gdyż jego zdaniem, nie miało w sobie nic z domowego ciepła. Zajęli miejsca w stojących naprzeciw siebie głębokich fotelach. Ushiba z uwagą spoglądał na ściągniętą i bladą twarz prokuratora.

- Dręczy pana poczucie przegranej, a przecież nie mógł pan wiedzieć, co dzieje się w umyśle innego człowieka.
- Tak, to prawda. - Tanaka upił łyk trunku i wzruszył ramionami. - Memento. Na widok czyjejś śmierci zaczynamy się zastanawiać nad własnym losem.
- Ushiba wyczuł ukryte znaczenie tej wypowiedzi.
- - Tylko wówczas, gdy dręczą nas jakieś obawy.
- - Być może. Częściej bywa, że życie nie daje możliwości wyboru. Daijin w zadumie pokiwał głową. Tanaka Gin bezwiednie odsłonił swe
- myśli. Został prokuratorem z tego samego powodu, z którego inni wybierali los marynarzy. Próbowali pozbyć się strachu, ujarzmić żywioł wymykający się spod kontroli. Dla Tanaki codzienne obcowanie ze śmiercią obfitowało w podobne doświadczenia.
- Aż tak źle? - spytał Ushiba po krótkim milczeniu.
- Śmierć zawsze jest złem, niezależnie od czasu i okoliczności. Zastanawiająca odpowiedź, zwłaszcza u prawnika, który doprowadził
- przed sąd wielu zatwardziałych przestępców.
- Może obecny przypadek stanowi wyłom w pańskiej teorii. Tanaka uniósł głowę znad szklanki.
- Jak to?
- - Zauważyłem już dawno, że Chosa wyżej ceni amerykańską kulturę i amerykańskie wartości. Nie wątpię, że widział pan woskową figurę Marilyn Monroe w jego apartamencie. Suknia jest autentyczna. Zapłacił za nią o wiele więcej, niż wynoszą pańskie roczne pobory. Nie przejawiał szacunku dla nowej Japonii. „To kraj pustych symboli”, mawiał. Podejrzywałem go o brak wiary.
- Rozumiem. Swym ostatnim gestem udowodnił, że się pan mylił.
- Właśnie. Umarł jak prawdziwy wojownik. Wybrał śmierć zamiast hańby.
- I co z tego? Łatwiej go teraz zrozumieć lub rozgrzeszyć?

Ushiba stwierdził, że Tanaka ma pewne trudności ze zrozumieniem filozoficznego aspektu postępków Chosy. Postanowił mu pomóc.

- Ani jedno, ani drugie - odparł z prostotą. - Lecz jego śmierć zyskała odpowiednią oprawę. Nie można jej nazwać czczym symbolem.

INależące do DARPA laboratorium fizyki nuklearnej, w którym pracował Douglas Serman, mieściło się w skąpo zaludnionej części Wirginii. Ponad dziesięć hektarów pola starczyło, by utrzymać na dystans wścibskich sąsiadów, a pozostałych odstraszała ustawiona w pobliżu szosa tabliczka „Szkoła jazdy w Knife River. Wstęp tylko za okazaniem legitymacji członkowskiej”. Po prawdzie, ćwierć Waszyngtonu wiedziało, co kryje się wewnątrz budynków, lecz nikt nie zadawał zbędnych pytań.

W latach siedemdziesiątych, w szczytowym okresie wojny wietnamskiej, była tu także tajna placówka badań nad bronią chemiczną, gdzie prowadzono doświadczenia na szczurach i - jak głośno plotki - na niektórych żołnierzach. Teren otoczono poszóstnym ogrodzeniem z podłączonego pod prąd drutu kolczastego i postawiono uzbrojonych strażników z psami. Od tamtej pory niewiele się zmieniło. Laboratorium nadal pozostawało niedostępne. Prawdę mówiąc, nikt się nim nie interesował ani w czasach „zimnej wojny”, ani potem. Terrorysty woleli niszczyć budynki użyteczności publicznej i bezcenne dzieła sztuki niż supertajne instalacje, gdyż tylko wówczas mogli być pewni, że informacja o ich działalności dostanie się na łamy prasy.

Croaker, który właśnie przed chwilą wysiadł z samolotu, miał ochotę jechać do domu i spać przez tydzień, lecz zdawał sobie sprawę, że do idów marcowych pozostało zaledwie trzydzieści sześć godzin. Poza tym nie mógł zbyt długo pozostawać w jednym miejscu, by nie zwrócić na siebie uwagi ludzi Leon-forte'a.

Współpracownik Majora obiecał powiadomić przez radio załogę samolotu stanie zdrowia ranego inspektora, gdy tylko ten opuści salę operacyjną.

1. rzeczywiście godzinę przed lądowaniem w Waszyngtonie, gdy większość pasażerów stanęła w kolejce do łazienki, uśmiechnięta stewardesa wręczyła Croakerowi złożoną kartkę papieru. Było jednak zbyt wcześnie na rzeczową prognozę.

Croaker wtopił się w ogromne, mackowate cielsko lotniska Dulles i zadzwonił do Margaritę.

- Lew, co się...
- Nie ma czasu, kochanie - odparł bez tchu. - Zabierz Francie i wskakuj do samochodu.
- Ale...
- Zrób, co mówię. - Z trudem powstrzymywał się, by nie krzyknąć. Skoro Caesare podjął próbę zamachu w Londynie, życie Margaritę wisiało dosłownie na włosku. Wolał o tym nie myśleć. - Weź ze sobą kilku silnych chłopaków.
- Lew, musisz mi to wyjaśnić.
- Margaritę...
- Na miłość boską, dobrze się czujesz?!
- Na razie tak, lecz powiedzmy, że twój wróg stał się też moim.
- Caesare?
- W rzeczy samej. Margaritę, zrób, o co proszę.
- Tak, jasne, ale...
- Ucałuj ode mnie Francie - rzucił pośpiesznie i rozejrzał się czujnie po zatłoczonej hali terminalu. - Jak dojedziesz na miejsce, daj mi znać. - Wyrecytował numer Zwierciadła. - W żadnym wypadku nie zostawiaj adresu. Znajdź jakąś budkę telefoniczną, przekaż numer i

godzinę, o której mam zadzwonić. Zrozumiałaś?

- - Tak, tak... ale, Lew... na Boga, nie rozłączaj się jeszcze. Lew? Słyszał jej przyspieszony oddech. Przestraszyła się. Dobrze. To ją zmusi do ostrożności.- Kocham cię. Pamiętaj, bez względu na to, co się stanie... ~ Ja też cię kocham.
- Zamknął oczy i przywołał w pamięci obraz jej twarzy. Chciał mieć ją teraz przy sobie, pieścić, całować i chronić. Powoli odłożył słuchawkę. Wziął kilka głębokich oddechów i zadzwonił do senatora Dedalusa.
- Potrzebuję przepustki na teren DARPA.
- Gdzie się pan podziewał, u diabła?
- Byłem w Londynie - odparł.
- Wiedział, że Dedalus umyślnie gra na zwłokę. Pewnie się zastanawiał, skąd ta prośba.
- Znalazł pan coś?
- I tak, i nie.
- Co to znaczy?
- Wszystko wyjaśnię, jak mnie pan wpuści do laboratorium.
- - Człowieku, DARPA ma tuzin placówek naukowych. W której chcesz się znaleźć?
- Dedalus był głównym podejrzanym o sprzedaż tajemnic państwowych. Ktoś przekazywał prototypową broń - wychodzącą poza fazę wstępnych rozwiązań - w ręce Rocka i Micka Leonforte'a. Nie mógł to być ojciec Micka, Johnny Leonforte alias Leon Waxman, bo już nie żył. A Serman na własną rękę nie zdołałby poprowadzić całego interesu. Yesper miała z tym coś wspólnego i pracowała dla Dedalusa. Dominie
- Goldoni był przyjacielem Dedalusa. Margaritę poznała senatora za pośrednictwem brata. Tylko jedno nazwisko powtarzało się aż trzykrotnie. Croaker nie zamierzał rozmawiać z senatorem o Sermanie, lecz teraz doszedł do wniosku, że nie ma innego wyjścia. Za wszelką cenę chciał dorwać Vesper i spytać, gdzie jest kryjówka Okamiego. Torch... Widmo zagrażającej Anglii nuklearnej zagłady wisiało mu nad karkiem niczym ostrze gilotyny. Już słyszał szept stali tnącej powietrze. Trzydzieści sześć godzin do wybuchu.
- W trakcie pobytu w Londynie usłyszałem nazwisko Serman. Może to nic nie znaczy, lecz muszę sprawdzić każdy szczegół.
- Jest pan pewien, że chodzi o Sermana? Doktora Douglasa Sermana?
- Zupełnie pewien.
- Dobra - burknął Dedalus. - Poślę z panem kilku moich ludzi.
- W takim razie możemy zapomnieć o całej sprawie. Gdy Serman zobaczy federalnych buszujących wśród trawy pod oknem swojego biura, tak się wystraszy, że wpełźnie do skorupy.
- Dedalus milczał przez chwilę. W końcu zmiękł i powiedział Croakerowi, jak dotrzeć do laboratorium. Lew zdawał sobie sprawę, że ryzykuje bardzo wiele, wymieniając w rozmowie

nazwisko Sermana. Z drugiej strony, nie miał wyboru. Bez interwencji senatora nigdy by się nie dostał na teren placówki. Poza tym, jeśli Dedalus był główną sprężyną, napędzającą mechanizm, wzmianka o naukowcu mogła go wprawić w lekkie zdenerwowanie. A to często prowadziło do nieprzemyślanych ruchów. Croaker wiedział, co robić w podobnej sytuacji, gdyż w pracy detektywa wciąż musiał się opierać na wątłych poszlakach. Ciekawe, że Dedalus nie zająknął się ani słowem, że DARPA jest ściśle tajną agencją bezpieczeństwa narodowego. Nie spytał także o przebieg spotkania z Vesper. Wiedział, że przez ostatnie dni była w Londynie? Jazda do Wirginii miała kojący wpływ na nerwy Croakera. W samolocie nad Atlantykiem zdołał się nieco przespać, lecz wciąż widział krew Toma, migoczącą w powietrzu niczym różowy obłok. Budził się, a zduszony warkot silników samolotu przypominał mu groźny pomruk aparatów medycznych, do których podłączono rannego inspektora w drodze na salę operacyjną. W biurze w Knife River przyjęła go blondynka o kamiennym spojrzeniu, ubrana w mocno znoszony strój do konnej jazdy. Można było pomyśleć, że zamiast kręgosłupa nosi stalową szynę. Dwóch barczystych facetów wyglądających jak bracia, gdyż pewnie wyszli z tej samej akademii wojskowej, wzięło od niego odciski palców i poddało rutynowej rewizji. Spytał blondynkę, czy w ciągu ostatnich dwóch dni ktoś zawitał z wizytą do doktora Sermana. Odpowiedziała, że nie. Wyprowadziła go przed budynek, gdzie czekał łazik z uzbrojonym kierowcą. Przejazdówka trwała dość długo. Minęli parę zagród, parkurów i obszernych stajni, aż w końcu dotarli do długiego ciągu zabudowań przypominających koszary. Stąd mocno zjeżdżona

- droga wiodła wzdłuż wąskiej rzeki, prawdopodobnie Knife River, aż do mostu wspartego na kilku filarach. Łazik zatrzymał się na skraju gęstego lasu. Jacyś mężczyźni z psami i uzbrojeni w strzelby dokładnie przestudiowali przepustkę Croakera. Jeden z nich przyzwalająco skinął dłonią i pojazd potoczył się dalej, w przecinkę między drzewami. Po pewnym czasie strzeliste pnie ustąpiły miejsca dębom karłowatym i jeżynom. Łazik pomknął przez łąkę, która późną wiosną i latem musiała swym widokiem przyprawiać o zawrót głowy, lecz teraz, spowita mgłą, wyglądała smutno i melancholijnie. Kompleks badawczy wzniesiono po wschodniej stronie pasma zalesionych wzgórz. Z dali dobiegało ujadanie psów. Croaker był ciekaw, ile anten i namierników jest teraz skierowanych w jego stronę. Łazik stanął przed niską, kanciastą budowlą z betonu, upstrzoną czarnymi oknami. W zamierzeniu autorów miał to być zapewne „projekt przyszłości”, łączący futurystyczną wizję z groźnym dostojemstwem. Wyglądał raczej ponuro, niczym ministerialny urzędnik. Douglas Serman już czekał. Zdaniem Croakera przypominał ruchliwego gryzonia o czujnych oczach i podejrzliwym usposobieniu.
- - Moglibyśmy gdzieś spokojnie porozmawiać? - spytał Lew najbardziej niewinnym tonem, na jaki potrafił się zdobyć.
- Serman sprawiał takie wrażenie, jakby na wszystko zerkał kątem oka.
- To oficjalna wizyta? - spytał. - Mam przynieść sprawozdania i tak dalej?
- Na razie nie - odparł Croaker. - Doktorze... jest tu może jakaś świetlica?
- Tak... oczywiście. - Serman zatarł dłonie i poprowadził go w głąb korytarza wypełnionego ostrym zapachem amoniaku.
- Ramieniem pchnął drzwi z napisem „Nie wchodzić”. Croaker poczuł się swojsko w otoczeniu wzorzystych, wyściełanych mebli i tanich zasłon, które bardziej by pasowały w biurze rzekomego ośrodka nauki jazdy konnej. Serman stanął niepewnie pośrodku pokoju, jakby nie

przywykł do nieformalnych spotkań.

- Jest pan człowiekiem senatora. - Mówił o Dedalusie.
- Tak, lecz dziś rano wróciłem z Londynu.
- Serman obrzucił gościa łagodnym spojrzeniem. Tarł dłonie z energią Lady Makbet.
- Nigdy tam nie byłem - powiedział w końcu. Potem chrząknął. - Prawdę mówiąc, niewiele podróżuję. Od lat nie mszałem się z kraju. Nie mogę. Wszyscy się boją, że zginę. - Znów suche chrząknięcie. - Traktują mnie jak skarb.
- Poznałem pańską przyjaciółkę. Vesper Arkham.
- Naukowiec skulił się w sobie, jakby był obiektem doświadczeń Skinnera. Szczur w labiryncie.
- Jaką Vesper? - Nie potrafił udawać.
- Arkham, doktorze. Vesper Arkham.
- Nie przypominam sobie...
- Kontaktujecie się bardzo często - warknął Croaker, odrzucając pozory serdeczności. Serman był jak jezioro na wiosnę: pokryty kruchą warstwą lodu. - Niepokoiło ją, że ostatnio zalega pan z raportami. Naukowiec zamrugał gwałtownie.
- - Raportami?
- Croaker uznał, że pora zawierzyć intuicji i pójść na całość.
- - Tak, doktorze. Chodzi o dane dotyczące projektu, nad którym pracowa liście wspólnie z Abramanowem. Jak to się nazywało? - Serman pobladał jak ściana. - Aaaa... prawda. Torch.
- Fizyk nie mógł ustać na drżących nogach. Croaker chwycił go pod pachy i posadził na najbliższej kanapie.
- - Dobrze się pan czuje?
- Serman z trudem poruszył zsiniałymi wargami.
- Vesper obiecywała, że nikt się o tym nie dowie - wyszeptał. Lew czuł narastające podniecenie. Wreszcie był blisko celu.
- Czego żądała w zamian?
- Serman podskoczył jak dźgnięty nożem.
- - Dzięki niej mogłem nadal kontaktować się z Abramanowem. Nigdy bym się nie przebił przez gąszcz zabezpieczeń. Chciała tylko znać na bieżąco przebieg naszych doświadczeń nad strumieniami neutronów.
- Wcisnął ręce w kieszenie, podszedł do okna i wyjrzał przez nie.
- Muszę panu coś wyjaśnić. Nie jestem zdrajcą. Przez całe życie pracowałem dla rządu. Z uporem, z pasją... Lecz, do cholery, nikt tego nie doceniał! Siedzę tu niczym w grobie. Nie mogę wyjść ani z nikim normalnie pogadać. Wciąż tylko formularze, pytania, podejrzenia. Dla świata umarłem pięć lat temu, ale proszę mi wierzyć, pobyt tutaj jest gorszy od śmierci.

- Nie próbował pan odejść?
- Serman popatrzył na Croakera[^] szeroko rozwartymi oczami, a potem wybuchnął niepohamowanym śmiechem. Śmiał się tak długo, że łzy nabiegły mu do oczu.
- - Dobry Boże, człowieku, spójrz, gdzie jesteśmy! - wysapał. - Z takiego miejsca nie odchodzi się tak po prostu. Mój mózg jest zbyt cenny dla bezpieczeństwa narodowego. - Rękawem otarł mokre policzki. - Robota na całe życie. Co prawda, nikt o tym nie mówi przed podpisaniem kontraktu.
- Croakera zbytnio to nie wzruszyło.
- Zatem pańska obecna praca ma niewiele wspólnego ze strumieniami neutronów.
- Ależ skądże! - odparł Serman z całą logiką naukowca. - Z moją pomocą Abramelow osiągnął zadziwiające wyniki. Stworzył trwały izotop transurany. Wie pan, co to takiego?
- Owszem. Substancja radioaktywna o liczbie atomowej większej niż w przypadku uranu. Śmiercionośna. Wiem także, że Abramelow skorzystał z okazji i skonstruował broń o przerażającej sile niszczenia.
- Torch. - Serman gwałtownie usiadł. - Tak. Udało mi się odtworzyć cały proces, a mimo to nie osiągnąłem podobnych wyników. - Przerwał, ukrył twarz w dłoniach. - Mieliśmy wielkie nadzieje. Niemal niewyczerpany zapas taniego
- paliwa i raz na zawsze koniec z kryzysem energetycznym. Marzenia... - Uniósł głowę. - Pozostały marzeniami. Abramelow zrobił broń ostatecznej zagłady. - Z żalem popatrzył na Croakera. - Małą, poręczną, sprawną i zabójczą. W sam raz dla jakiegoś szaleńca lub separatysty. Lew zastanawiał się chwilę.
- Mógłby pan teraz nawiązać kontakt z Abramelowem?
- Nie. Łączność urwała się pięć dni temu. Nikt nie odpowiada na moje wezwania.
- Jaką rolę pan pełni w przemyśle broni skradzionej z DARPA?
- Co takiego?!
- Stało się jasne, że Serman nic nie wiedział o prawdziwej działalności Vesper. Croaker początkowo zamierzał dostarczyć Sermana do strażnicy na drugim końcu budynku, lecz po namyśle uznał, że to nic nie da. Lepiej go było stąd wyciągnąć i skontaktować z Nicholasem. Chodziło przecież o powstrzymanie wybuchu. Serman dostarczył mu biały kitel, opisał rozkład pomieszczeń i przedstawił ramowy plan zajęć pracowników placówki. Potem przeszli do laboratorium. Croaker siadł przy cynowym pulpicie i zapalił ogniwo Bunsena. Serman skulił się na podłodze, w cieniu stołu. Łatwiej co prawda uciec od razu, lecz Lew postanowił poczekać na Vesper. Nie chciał mieć za plecami szpiega uwikłanego głęboko w sieć Nishiki. Nadszedł odpowiedni moment, by przejąć inicjatywę. Coś, co powiedział Serman, wciąż nie dawało mu spokoju, lecz nie mógł sobie przypomnieć, co to było... Ciemna postać cicho stanęła w progu.
- - Tu jesteś.
- Rozpoznał jej głos. Nawet nie drgnął, choć czuł się tak, jakby na czoło padł mu promień lasera.

- - Chodź ze mną. Mamy niejedno do omówienia.
- Croaker nie spuszczał z niej wzroku. Musiał przyznać, że potrafiła panować nad nerwami. Nie okazała najmniejszego zaskoczenia na jego widok. To mogło także oznaczać, że rozmawiała z Dedalusem. Była szpiegiem... i miała bezpośredni dostęp do Okamiego. Nic dziwnego, że zamachowcy znaleźli go w Londynie. Zdradziła.
- - Niezła kreacja - mruknął Croaker, patrząc na jej najnowsze wcielenie. Nosiła czarne legginsy i pikowaną czarną kurtkę, narzuconą na jedwabną bluzkę. Zaczesane ciasno do tyłu blond włosy odsłaniały skupioną twarz. Nigdy dotąd nie wyglądała piękniej - i bardziej przerażająco.
- Mamy niejedno do omówienia. - Z uśmiechem uniósł biomechaniczną dłoń i wysunął stalowe pazury. - Ale tym razem jestem przygotowany.
- Idiota - parsknęła Vesper, wprawiając go w osłupienie. - Gdzie, do cholery, jest Serman? Muszę was obu stąd zabrać, nim was zastrzelą.
- Tachi Shidare nie żyje - oświadczył Tetsuo Akinaga. - Chosa popełnił samobójstwo, więc rada przestała istnieć.
-
- Ushiba nie odpowiedział. Gdy otrzymał wiadomość od Akinagi, miał ochotę zrezygnować ze spotkania. Czuł się zmęczony. Świadomość, że śmierć Chosy była podyktowana koniecznością, tylko po części łagodziła przygniatające go poczucie winy. Bezpieczeństwo za wszelką cenę... Rzecz jasna, chodziło o bezpieczeństwo Godaishu. „Ktoś, kto zaczyna odczuwać zmęczenie, powinien zrezygnować - powiedział Ken. - Odejść, nim zginie przytłoczony lawiną błędów”. Dobrze rozumiał wówczas jego słowa, gdyż odparł: „Pod koniec łowów reguły ulegają zmianie i stary myśliwy staje się zaszczutą ofiarą”. Poczul jednak na nowo przypływ energii, kiedy usłyszał: „Każde zwierzę wzrasta w zapachu krwi”. To nacechowane młodzieńczą arogancją stwierdzenie nie miało nic wspólnego z prawdą. Zapach krwi zaślepił, pozwalał wierzyć w szaleńcze plany Akinagi i Chosy, w konieczność stworzenia nowej Godaishu i w oskarżenia rzucone pod adresem Okamiego. Żądza władzy otumaniała ich wszystkich. Teraz, po śmierci dwóch oyabunów, przyszła pora na smutną refleksję, że decyzja o usunięciu kaisho była poważnym błędem. Okami twardo, lecz sprawiedliwie, wiódł ich zupełnie inną drogą. Powinien wrócić i objąć na nowo zwierzchnictwo nad Godaishu.
- Jak zginął Shidare? - spytał daijin. Akinaga wzruszył ramionami.
- To nie moja robota. Został zabity w Yoshino.
- W Yoshino? Czego tam szukał?
- Siedzieli w skąpo umeblowanym pokoju w Tomi, betonowej twierdzy o kształcie przypominającym obelisk, będącej prywatnym azylem Akinagi. Budynek stał na obszernym placu w samym centrum Tokio. Słowo *tomi* oznaczało dawniej basztę. Akinaga, niczym wódz w czasie wojennej zawieruchy, lubił czasem zaszyć się z dala od problemów otaczającego go świata. Kamienne stopnie wiodły z małego parkingu wprost na piętro. Tu był niewielki pokój, w którym właśnie się znajdowali, i jeszcze mniejsza kuchnia. Do sypialni oraz łazienki szło się po krętych żelaznych schodach. Brak wygód rekompensowała spartańska funkcjonalność. Pośrodku pokoju stał niski stół, kunsztownie rzeźbiony z drzewa *kiaki* - jedyny drewniany przedmiot w

polu widzenia. Na Ushibę czekała herbata i ciastka. Akinaga na pewno nie zajmował się parzeniem; chciał w ten sposób subtelnie podkreślić, że w twierdzy przebywa ktoś jeszcze, niewidoczny, lecz gotów do działania na każde skinienie swego pana.

- Podejrzewam, że zgodnie z planem śledził Linneara - odparł oyabun na pytanie daijina. - Nie miał szczęścia, podobnie jak Kozo.
- Słaba pociecha - zauważył Ushiba. - Skoro Linnear wie, że Shidare działał z rozkazu rady, w każdej chwili będzie mógł do nas dotrzeć.
- Ciekawi mnie - Akinaga chytrze zmienił temat - co sprowadziło ich do Yoshino? Może tam właśnie kryje się kaisho?
- Przede wszystkim musimy zająć się Linnearem. Nieodpowiedzialny wybryk Chosy na pewno go ściągnie do Tokio. Mógłbym pomóc...
-
- -Myślę, że zrobił pan już wystarczająco wiele, daijinie. Ushiba z niemym zdumieniem spojrzął na Akinagę.
- Chosa i Shidare odeszli. Zostałem tylko ja, panie ministrze. - Oyabun pochylił się nad stolikiem. - Pełnił pan przy nas tylko funkcję doradcy, lecz w ciągu minionego roku pański udział, opinia i wpływy zaczęły nabierać coraz większego znaczenia. Zauważyłem to już wcześniej, przed ucieczką Okamiego. - Wykrzywił twarz w uśmiechu. - Dlatego też pozwoliłem sobie na mały eksperyment.
- Eksperyment? - Ushiba poczuł, że brzuch wypełnia mu kula lodu.
- Podsunąłem Chosę na dymiącym półmisku. Zjadł pan wszystko. - Akinaga wybuchnął grzmiącym śmiechem. - To ci dopiero! Zasiałem ziarno wojny między starymi przyjaciółmi! Niewiarygodne!
- Twarz Ushiby zrobiła się szara jak popiół.
- Chciałbym usłyszeć coś więcej. - Nie umiał zapanować nad drzeniem głosu.
- To ja poddałem pomysł, by zabić Okamiego, choć ten mięczak Chosa próbował zgarnąć wszystkie laury.
- Ale plan zawiódł.
- Kaisho uciekł. Odarłem go z władzy i wpływów - warknął Akinaga. - Równie dobrze mógłby być martwy. Nie widzę żadnej różnicy. - Sięgnął po papierosa, zapalił i zaciągnął się dymem. - Potem pojawił się Shidare. Przekonałem go, że powinien połączyć siły z bardziej doświadczonym członkiem rady. Był pragmatycznie nastawionym młodzieńcem, więc się zgodził. Wysłałem go, żeby zajął się Linnearem.
- Co?!
- Tak, właśnie ja. Wiedziałem, że Shidare jest tanjanielem. Niestety, nie pomyślałem, że może mu brakować doświadczenia. Zawiódł.
- Ale Chosa...
- Ach, Chosa! - Akinaga zapatrzył się w siwe pasemko dymu. - Prędzej czy później musiało dojść między nami do zwady. Chciał być nowym kaisho. Ja także. Rada okazała się zbyt ciasna dla nas obu.
- Miał jednak zbyt dużo siły, by ryzykować otwartą konfrontację.

- Otóż to. Pozwoliłem więc działać panu.
- Ale Yoshinori mówił...
- Yoshinori mówił wyłącznie to, co mu nakazałem. Zawsze mnie słuchał. Znamy się od ładnych kilku dekad i darzymy wzajemnym zaufaniem.
- A ja mu uwierzyłem.
- Czemu nie? Zrobiłbym to samo na pańskim miejscu. - Głos Akinagi pobrzmiwał współczuciem, co wprawiło Ushibę w jeszcze większą wściekłość. - Był dobrym aktorem. Traktował życie jak scenę. Uwielbiał grać różne role.
- Oyabun wstał i podszedł do małego okienka przypominającego strzelnicę.
- Mam już wszystko. Chosa i Shidare nie żyją, więc nic nie stoi na przeszkodzie, żebym zastąpił Okamiego.
- Kaisho wciąż żyje.
- Owszem - odparł Akinaga z kamiennym spokojem. - Lecz mniej więcej
-
- wiem, gdzie się ukrywa. Gdy dostanę przesyłkę z Pływającego Miasta, Okami zmieni się w garść pyłu, a Rock zyska widome potwierdzenie wartości swej broni. Całkiem owocna współpraca.
- - Stąd się brał pański upór, by nawiązać kontakty z Pływającym Miastem - z osłupieniem stwierdził Ushiba. - Zawarł pan prywatny układ z Rockiem.
- Oyabun uśmiechnął się z nie ukrywaną satysfakcją. Ushiba wstał z trudem, gdyż strach paraliżował mu ruchy. Stało się to, przed czym przestrzegał Okami: pozbawiony skrupułów, samozwańczy przywódca próbował przejąć kontrolę nad Godaishu.
- Czyste szaleństwo. Użyję wszelkich środków, by pana powstrzymać. Akinaga obrócił głowę.
- Chyba przecenia pan swoje siły, daijinie. To nic nie da.
- Na Boga, podziwiam pański tupet!
- Nie chodzi o tupet. - Uśmiech oyabuna zmienił się w złośliwy grymas. - Żał mi pana. Naprawdę. Jesteśmy z tego samego pokolenia, mamy wiele wspólnych doświadczeń, lecz w końcu to pan musi ustąpić. Moim zdaniem, zbyt mocno przypomina pan Okamiego. Podczas naszych kontaktów nieraz miałem nieprzyjemne wrażenie, że kaisho wrócił.
- I co z tego? Nie może mnie pan powstrzymać.
- Ależ mogę. - Akinaga zdusił niedopałek takim ruchem, jakby rozgniatał w popielniczce owada. - Mam wszystkie atuty.
- Podszedł do metalowej półki zastawionej książkami z dziedziny architektury i historii. Wyciągnął tkwiący między dwoma grubymi tomami arkusz ryżowego papieru.
- - Wie pan, co to takiego? - spytał z uśmiechem przylepionym do twarzy.
- *Torinawa* - przez ściśnięte gardło odparł Ushiba. Akinaga uniósł rękę nad głowę.
- Właśnie.

- Dawniej słowem *torinawa* określano specjalny rodzaj sznura używanego przez samurajów do krępowania rąk i nóg przeciwnika. W świecie yakuza był to dokument potwierdzający władzę obcego oyabuna nad klanem pozbawionym przywódcy.
- - Tu mam petycję od klanów Kokorogurushii i Yamauchi. Proszą mnie o ochronę, a to znaczy, że jestem jedynym członkiem rady. Nowym kaisho.
- W betonowym bunkrze zapadła głucha cisza. Ushiba miał ochotę uciec, lecz jak dobry samuraj uparcie trwał w miejscu, oczekując kary. Z całego serca żałował, że przystąpił do spisku. Kozo, Chosa i Akinaga przedstawiali Okamię jako żadnego władzy despotę, lecz prawda przedstawiała się całkiem inaczej. Kozo chciał zabić Linneara, Chosa i Akinaga knuli przeciwko sobie. Każdy z nich pragnął być nowym kaisho, choć żaden nie mówił tego otwarcie.
- - Chyba w wyczerpujący sposób przedstawiłem bieżącą sytuację, daijinie - odezwał się Akinaga. - Wiele panu zawdzięczam i nadal zamierzam korzystać z pańskiej wiedzy oraz kontaktów. Za trzydzieści godzin Mikio Okami umrze. Nadejdzie czas triumfu. Pan, jako moja prawa ręka, będzie
- przekazywał rozkazy do MITI i Godaishu. - Dwoma szybkimi krokami zbliżył się do Ushiby. - Wszystko jasne? Daijin westchnął głęboko. - Tak. Nigdy nie sądził, że dojdzie do takiego rozwiązania.
- Mylisz się, jeśli sądzisz, że dokądkolwiek pójde - oświadczył Croaker. - Ile razy cię widzę, jesteś zupełnie kimś innym.
- Inny czas, inne miejsce, inna osobowość - odparła w półmroku Vesper. - Rusz się, na miłość boską!
- Ani drgnął. Słyszał cichy syk palnika Bunsena. Widmowe światło wydobywało z *ciemności* sylwetkę dziewczyny. Kolejne wcielenie - myślał Croaker. He ich miała? Śledząc ją, odnosił wrażenie, że znalazł się w gabinecie krzywych luster, gdzie każde nowe odbicie coraz bardziej zniekształca rzeczywistość, aż w końcu można uwierzyć, że prawdziwy świat istnieje jedynie po drugiej stronie zwierciadła.
- Słyszę kroki! Nadchodzi! - krzyknęła Vesper.
- Nie wysilaj się. Nie pozwolę...
- Do diabła, wydałeś Sermana w ręce Dedalusa! Chcesz, byśmy wszyscy zginęli?
- Teraz on także usłyszał odległe echo kroków. Ktoś szedł korytarzem. A jeśli Vesper mówiła prawdę? Jeśli to był właśnie Dedalus?
- A torch? - spytał. - Wiem wszystko. Wiem, że Okami ukrywa się w Londynie i że piętnastego ma zginąć. Zdradziłaś go.
- Błąd. Stoisz po niewłaściwej stronie. Wszystko wyjaśnię, tylko chodźmy stąd wreszcie, nim będzie za późno!
- Bez przerwy kłamiesz. Dostałaś się do sieci Nishiki, by szpiegować dla Dedalusa. Komu mam wierzyć?
- Mnie, choćby na tę chwilę! - zawołała z rosnącym niepokojem. - Musimy zniknąć! Prędkiej!
- Coś tu nie grało. Jeśli była wrogiem, dlaczego nie czekała na Dedalusa? Croaker poczuł

znajome mrowienie w karku.

- - Jezus... - szepnął, wyciągnął Sermana z ukrycia i skinął głową. - Dobra. Idziemy.
- Wyszli na korytarz. Dźwięk kroków był bardzo blisko. Vesper skoczyła do najbliższego pomieszczenia. Mieścił się tam magazyn odczynników, o starannie kontrolowanej temperaturze i wilgotności powietrza. Dziewczyna bez żadnej pomocy odsunęła ciężką chłodziarkę i stojący za nią stary ekran. Odsłonięta część ściany wyraźnie różniła się od reszty. Vesper spojrzała na Croakera.
- - Potrzebujemy twojej ręki.
- Wcisnął stalowe pazury w wąską szczelinę, próbując odgiąć panel.
- - Parę lat temu, kiedy przeprowadzano tu testy na ludziach, niektórzy „pacjenci” znaleźli sposób ucieczki - odezwała się Vesper.
- Croaker wyjął przegrodę. Dziewczyna przeczołgała się przez otwór i pomogła przejść Sermanowi. Lew wszedł ostatni i biomechaniczną dłonią przyciągnął lodówkę. Panel po wewnętrznej stronie miał prymitywny uchwyt, dzięki czemu bez trudu można go było wstawić na miejsce. Croaker chciał iść dalej, lecz Vesper chwyciła go za ramię.
- - Nie ma przejścia - szepnęła. - Nie zdołali go skończyć. Siedź tutaj. Dziwne. Lew słyszał jej cichy oddech, czuł delikatną woń, przypominającą
- zapach peonii, ale nie mógł zobaczyć twarzy ukrytej w gęstym mroku. Zamiast tego przywołał w pamięci obraz poprzednich spotkań: w holu waszyngtońskiego hotelu Holiday Inn, posiadłości Dedalusa, na londyńskim lotnisku Heathrow, w mieszkaniu Celeste i w Holland Parku. Ciemność w magiczny sposób łączyła wszystkie sceny. Przez chwilę miał wrażenie, że siedzi obok gwiazdy filmowej, która zeszła z ekranu na krótką rozmowę.
- Kim jesteś? - wyszeptał.
- Co to ma za znaczenie? Możesz być pewny, że pracuję dla Okamięgo. Zaczął jej wierzyć - choćby dlatego, że to ona zawarła układ z Sermanem, nie Dedalus. Dzięki niej fizyk mógł nadal kontaktować się z Abramamowem. Senator nie miał najmniejszego pojęcia, nad czym pracuje Rosjanin. Sprawozdania z doświadczeń były systematycznie przekazywane na ręce kaisho.
- - Muszę wiedzieć coś więcej, jeśli mam ci ufać. Czuł na sobie jej spojrzenie.
- Margaritę była przekonana, że mogę powiedzieć ci prawdę. - Vesper wyraźnie pogodziła się z sytuacją. - Ja zaś sądziłam, że jesteś cholernie groźny i że lepiej trzymać cię z daleka. Teraz już tak nie myślę.
- Z jakiego powodu mam ci wierzyć? Jako Domino karmiłaś mnie samymi kłamstwami. Jako Vesper masz tyle wcieleń co wyrocznia. Poza tym zabrałem notes z sejfu w „Moniker's” i rozszyfrowałem wszystkie zapiski. Dotyczyły transportów broni dla Morgany. Zaprzeczysz, że kierujesz spółką w imieniu Dedalusa?
- Zgoda, Dedalus jest właścicielem, ale notes zawierał kopie raportów, które zamierzałam przesłać Okamiemu,
- Croaker nie odpowiedział.
- Nigdy nie kłamałeś? - spytała Vesper. - A kto śledził mnie i Margaritę? Umierałyśmy ze strachu.

- Dobrze. Masz rację. Szkoda, że zapomniałaś mi powiedzieć, że DARPA jest zarządzana przez *Dedalusa*.
- A ty zapomniałaś o miłym popołudniu w „TriBeCa”, jakie spędziłaś w towarzystwie Leonforte’a.
- Boże - pomyślał Croaker - jak to wyglądało w oczach Margaret? Ja i Cesare przy wspólnym stole, pochłonięci obiadem i konfidenccjonalną pogawędką. Pewnie podejrzewała, że ją zdradziłem. Prawdę mówiąc, prawie do tego doszło. Nie miał sprecyzowanego planu, jak oszukać sprytnego mafiosa. Liczył po prostu na łut szczęścia.
- - Byłaś przekonana, że pracuję dla Cesare’a? Dlaczego zmieniłaś... Poczł jej dłoń zakrywając mu usta. Zaczł nasłuchiwać odgłosów dochodzących z magazynu. Ktoś potrącił krzesło. Śmiertelnie przerażony Serman kulił się w mroku. Wsłuchany w groźne dźwięki, zupełnie zapomniał o Vesper i Croakerze.
- Ludzie *Dedalusa*. Po pewnym czasie szmer ucichł. Vesper czekała nadal. W końcu cofnęła rękę i powiedziała cicho:
 - Zrozumiałam swój błąd, gdy w *Holland Parku* wdałaś się w bójkę z człowiekiem Leonforte’a.
 - Wiedziałaś, że jestem w Londynie?
 - Przed wyjazdem z Waszyngtonu wróciłam do „*Moniker’s*”. Od razu zauważyłam, że ktoś grzebał w sejfie. Nie musiałam się zbytnio wysilać, by się domyślić, kto to zrobił.
 - Skoro wiedziałaś, że cię śledzę, dlaczego nie próbowałaś mnie powstrzymać?
 - Próbowałam. Jeśli pamiętasz, podsuwałam ci fałszywe ślady. Byłaś jednak zbyt sprytny, żeby się nabrać.
 - Co przez to rozumiesz?
 - A ty? Margaret wciąż cię kocha.
- Croaker miał ochotę ją ucałować z radości. Jej słowa sprawiły mu ogromną ulgę.
- Bez sensu - mruknął pod nosem.
- A gdzie go szukać, gdy chodzi o miłość?
- Mam na myśli to, że nasz związek nie ma żadnej przyszłości.
- Tylko wówczas, jeśli nie podzielasz jej uczuć.
- Stoimy pod dwóch stronach prawa.
- Na pewno? Przed chwilą uważałaś mnie za wroga. Teraz już wiesz, że to nieprawda.
- Dziewczyna milczała chwilę, dając mu czas do namysłu.
- - Sporo ryzykuję, że ci to powiedziałam - odezwała się w końcu. – Ale za wszelką cenę chcę chronić Margaret.
- Sprawa przypominała chińską łamigłówkę, złożoną z kilku szczelnie zamkniętych pudełek, które należało otworzyć we właściwej kolejności.
- Rozumiem - stwierdził Croaker i poczuł, że Vesper zaczęła się z lekka odprężyć, niczym wąż rozluźniający napięte zwoje ciała. - Jak stąd wyjdziemy, nie zwracając uwagi *Dedalusa*?
- Jest tylko jeden sposób. Droga, którą obrali nasi poprzednicy.

- Mówiłaś przecież, że nie zdołali ukończyć tunelu.
- Właśnie. Zaraz się przekonamy dlaczego.
- „Widziałem, jak Leonforte zastrzelił go jak psa w wąskim zaułku - powiedział Tachi. - Cieszył się. Obliznął usta, wyszczerzył zęby i odtańczył
- dziwny taniec nad nieruchomym ciałem. Potem zataszczył zwłoki do dżungli”. To właśnie był człowiek, z którym Koei spędziła pół roku, który miał ją poślubić i który podobno ją kochał. Nicholas zdążył się przygotować do spotkania z Mickiem. Najpierw jednak musiał dotrzeć do Pływającego Miasta. Nadal był pod wrażeniem magicznej randki z Koei i nie chciał odchodzić. Pocieszał się myślą, że obiecała wrócić do Tokio i czekać na jego powrót pod opieką Nangiego.
- - Koniec wygnania - powiedziała na pożegnanie. - Od czasu, gdy opuściłam Michaela, nie zaznałam chwili spokoju. Pamiętam jego ponure spojrzenie...
- Zadrżała. Nicholas wziął ją w ramiona.
- Nigdy cię już nie dotknie - obiecał. Koei wtuliła się w jego objęcia.
- Nie znasz go. Jest bezlitosny... i sprytny. Zawsze umiał postawić na swoim. Zmusił ją, by spojrzała mu prosto w oczy.
- - Słuchaj uważnie. Zaraz po przyjeździe do Tokio porozmawiaj z Nangim. Powiedz mu całą prawdę. Będzie wiedział, co robić. - Mocno pocałował ją w usta. - Wróć szybciej, niż myślisz.
- Drgnął, nagle wyrwany z zamyślenia, gdyż łazik podskoczył na wybojach. Zniszczona autostrada wiodła mniej więcej na północ od Sajgonu. Mieli za sobą pół dnia drogi. Van Kiet był w ponurym nastroju. Rozmowa z Hyunh Van Dichem pozbawiła go dotychczasowej przewagi. Tachi zginął, a Nicholas poznał drogę do Pływającego Miasta.
- - Jak wejdziemy do środka - wymruczał - pozwól mi zająć się Rockiem. Wiem, jak z takimi postępować.
- Nicholas nie podzielał optymizmu Wietnamczyka. Van Kiet był wściekły, a to uniemożliwiało rozsądne działanie. Bez wątpienia zamierzał rozwalić każdego napotkanego przeciwnika. Nicholas potrzebował czasu, by zdobyć odpowiedź na najważniejsze pytanie. Dlaczego Chosa i Akinaga - a prawdopodobnie także Okami - tak wielkim zainteresowaniem darzyli Pływające Miasto? Trupy Rocka i Leonforte'a nie załatwiały sprawy.
- Musimy się jakoś z nimi porozumieć - powiedział do Van Kieta.
- To jest najlepszy sposób, jeśli chcesz się utrzymać przy życiu - odparł Wietnamczyk, unosząc pistolet maszynowy MAC-10.
- Znam parę innych.
- Van Kiet dodał gazu. Pokręcił głową.
- - Każdy z nich to skończony łajdak. Śledziłem ich poczynania przez dwa lata. Tachi także. - Wyprzedził dwie rozklekotane ciężarówki, buchające kłębami spalin w przesycone zieloną barwą powietrze wieczoru. - Żadnych rozmów. Kula w łeb i po krzyku. Wszystko, co powiesz, zabrzmi im w uszach

niczym poświstywanie wiatru w gałęziach drzewa. Po prostu... Wielki Buddo!

- Z szosy strzelił gejzer asfaltu, kamieni i kawałków betonu. Wybuch zmiotł owiewkę z maski łazika. Van Kiet, uderzony twardą krawędzią blachy, z krzykiem uniósł ręce do twarzy. Nicholas pochylił się w jego stronę i przydeptał pedał hamulca. Odepchnął Wietnamczyka, szarpnął kierownicą w lewo. Samochód sunął w deszczu opadających odłamków. Zatańczył na krawędzi krateru zięjącego pośrodku autostrady. Nicholas mimo dymu w porę dostrzegł niebezpieczeństwo. Zdjął nogę z hamulca, wyrównał tor jazdy i przyspieszył. Łokciem strącił Van Kieta do tyłu. Łazik przez chwilę jechał na dwóch kołach, pochylony pod ostrym kątem do nawierzchni szosy. Minęli wyrwę. Nicholas zmniejszył prędkość, samochód opadł na cztery koła.
- - Kto u diabła...
- Kolejna eksplozja rzuciła łazikiem w górę. Nicholas zdał się na instynkt i oko tanjiana. Puścił kierownicę, rozluźnił mięśnie. Łagodnym ruchem wypadł z samochodu, przetoczył się przez ramię i wylądował na poboczu. Trzeci wybuch obsypał go ziemią i rzucił w tył, między drzewa. Trzasnął głową o jakąś gałąź. Upadł zamroczony. Chwilę trwało, zanim odzyskał jasność widzenia. W sporej odległości od siebie zobaczył zakrwawionego Van Kieta. Wietnamczyk wypełził z przewróconego wraku łazika i z trudem stanął na nogi. W rozdygotanych dłoniach trzymał automat. Po drugiej stronie z gęstych zarośli wynurzył się olbrzymi mężczyzna ubrany w zieloną panterkę. Na ramieniu niósł LAW-M72, miotacz rakiet przeciwczołgowych, nagminnie używany podczas wojny wietnamskiej w oddziałach US Army. Musiał mieć siłę konia, skoro zdołał udźwignąć taką masę żelastwa. Na kanciastej, ogorzałej i opalanej twarzy połyskiwała para dziwnie wyblakłych oczu. Krótко obcięte, jasne włosy nadawały mu wygląd żołnierza, lecz na tym kończyło się wszelkie podobieństwo z amerykańskim personelem wojskowym. Poruszał się miękko, jak Azjata - z brzucha. Emanowała z niego nie tylko siła fizyczna, lecz także ogromna moc charakteru. Wyraz twarzy wskazywał wyraźnie, że wojna odarła go z ludzkich uczuć. Z wolna szedł w stronę Van Kieta. Nicholas zdał sobie sprawę, że patrzy na Rocka, władcę Pływającego Miasta.
- Zjeżdżaj! - darł się Van Kiet. - Odbiło ci? Mówię w imieniu prawa!
- Jeszcze niczego nie pojąłeś, skośnooki gnoju? - spytał Rock. - Ja tu wydaję rozkazy. Nie ty.
- Nicholas krzyknął ostrzegawczo, ale Van Kiet nie słuchał. Gniew pozbawił go resztek rozsądku. Zaczął strzelać, lecz osłabiony wpływem krwi miał trudności z celowaniem.
- Głupek. - Rock ani na chwilę nie zwolnił kroku. Nicholas ruszył w jego stronę. ~ Pierdolony kretyn. Zająłbym się tobą, gdybyś do nas dołączył.
- Nie można mnie kupić! - ryknął Van Kiet.
- Ale można zabić.
- Olbrzym beznamiętnie nacisnął spust miotacza. Nicholas rzucił się na ziemię.
- Smuga białego dymu przecięła powietrze. Wybuch cisnął Van Kieta kilka metrów w górę. Rock trafił z dokładnością doświadczonego snajpera. Szczątki Wietnamczyka opadły wraz z chmurą piachu. Rock minął nowy krater, załadował miotacz i popatrzył na Nicholasa.

- - Długo czekałem na tę chwilę, popaprańcu.
- Linnear przy pomocy Tau-tau uporał się z chwilowym oszołomieniem i zaczął normalnie myśleć.
- Przyszedłem po ciebie.
- Jak spędzisz parę dni w Mieście, okaże się, kto kogo przyskrzypił - burknął olbrzym. Machnął miotaczem. - Jazda. Nic mi nie sprawi większej przyjemności niż to, jak zaczniesz się stawiać. - Wyszczrzył zęby. - Nie chcesz? Będziesz tego żałował. Mam dla ciebie fajową klatkę.
- Ushiba myślał o Chosie. Siedział w ministerialnym gabinecie, słuchał dzwoniących telefonów, trzeszczenia faksów przekazujących najświeższe wiadomości z całego świata i cichego pomruku drukarek laserowych sporządzających dokumenty, oświadczenia i sprawozdania dla prasy. Przed chwilą skończył krótką naradę z premierem i ministrem budownictwa, lecz nie pamiętał, o czym mówili. Za dwadzieścia minut miał zejść do sali konferencyjnej na cotygodniowe spotkanie z dziennikarzami. Wiedział o tym, gdyż patrzył w ekran komputera z naniesionym rozkładem zajęć, uzupełnianym trzy razy dziennie przez sekretarkę. Dziś były to puste słowa. Przez całe życie walczył o dobro Japonii. Od dzieciństwa wyznawał *kanryodo*, kult samuraja-urzędnika. Dla kariery wyzbył się prywatności. Nie miał wyboru: każdy wojownik hartował duch i ciało. Nie kwestionował tej zasady aż do dzisiaj. Wstał, niczym w transie podszedł do drewnianego kredensu i nalał sobie szklankę zimnej wody. Wypił, wrócił do biurka, usiadł. Wbił wzrok w okno, na migoczące setkami neonów ulice Tokio, lecz nic nie widział, zatopiony w głębokiej zadumie. O czym pomyślał słysząc, że Chosa popełnił samobójstwo? „Śmierć z własnej ręki miała posmak ceremoniału, niedostępnego zwykłym ludziom. Życie na łasce wroga, zredukowane do czterech ścian celi, stawało się czymś nie do pomyślenia”. Mógł żyć w cieniu groźby spowodowanej chorobą. Przywykł do myśli, że nowotwór towarzyszy mu dniem i nocą, podczas spacerów, pracy i krótkich chwil wypoczynku. Traktował *go* niemal jak przyjaciela, gościa ze świata o całkiem odmiennej egzystencji. Nie zamierzał walczyć, bo nie miał szans na zwycięstwo. Teraz jednak znalazł się w zupełnie innej sytuacji. Tu przeciwnikiem był Akinaga. Wróg, który *go* poniżył i zamierzał trzymać w niewoli. Hańba nie do pomyślenia. Ushiba zamrugał oczami. Spojrzał na miasto. Tokio było Japonią - a przynajmniej sercem i duszą nowej Japonii. Chosa miał rację. Nie mylił się także w ocenie Amerykanów. Stosunki między obydwojma krajami weszły w zupełnie nową, nie przewidzianą fazę. Przypominało to stosunek ojca do przedwcześnie rozwiniętego dziecka, które za wszelką cenę pragnęło posmakować samodzielności. Czasem zerwanie długotrwałej więzi kończyło się podwójną tragedią. Chosa słusznie dążył do pogłębienia układów z Ameryką. Japończycy potrzebowali amerykańskiej dyplomacji i pomysłów, Amerykanie - japońskiej etyki i zdolności produkcyjnych. Ushiba zużył немало energii, by odsunąć Amerykanów od Japonii, i co osiągnął? Śmierć przyjaciela uświadomiła mu prawdę, choć wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi. Taka już cecha ludzkiej natury: pytać, choć wokół panuje cisza. Daijin przycisnął klawisz interkomu i wezwał swego młodego asystenta. Minutę później Yukio Haji stanął w progu gabinetu i zgiął się w głębokim ukłonie.

- Proszę wejść i zamknąć drzwi, Haji-san.
- *Hai.*

- Młodzieniec przeszedł przez pokój i zajął miejsce na tym samym krześle, na którym siedział, gdy Ushiba wybawił go z przejściowych kłopotów finansowych. Minister otworzył szufladę biurka. Spojrzał na metalową kasetkę. W dniu, kiedy się dowiedział, że ma raka, schował tu wszystkie niezbędne przedmioty. Nie sądził wówczas, że będą mu naprawdę potrzebne, lecz świadomość, że spoczywają w zasięgu ręki, napawała go dziwnym spokojem.
- Jak minął ostatni tydzień? Miałem tak mocno napięty program zajęć, że zapomniałem cię o to spytać.
- Wszystko dobrze. Żadnych problemów - nerwowo odparł Haji. Nie był przyzwyczajony do wizyt w gabinecie daijina. - Nadal pracuję nad sprawą komasowania gruntów i czekam na potwierdzenie umowy dotyczącej eksportu mikroprocesorów. Ma w tym swój udział departament handlu zagranicznego, więc postępowanie prawne wymaga nieco czasu.
- Tak, tak. Oczywiście. - Ushiba ze smutkiem pokiwał głową. Kiedyś byłby tym równie podekscytowany jak Haji. Teraz zaprzętały go inne sprawy, o wiele ważniejsze niż działalność MITI. - Nie napotkałeś żadnych trudności?
- Nie, daijinie.
- Świetnie.
- Ushiba zamilkł. Zdawało się, że przestał oddychać. Po chwili sięgnął do szuflady i małym mosiężnym kluczykiem otworzył kasetkę. Wewnątrz leżało starannie złożone kimono i *wakizashi*, krótki, ceremonialny miecz, ukryty w pochwie ze skóry rai.
- - Poczekaj tu. Zaraz wracam.
- Ushiba wstał zza biurka. Parę minut później wyszedł z prywatnej garderoby ubrany w czarno-granatowe kimono. Haji z przerażeniem zerwał się z miejsca.
- - Nie!
- -Masz obowiązek mi pomóc - z prostotą odparł Ushiba. - Tak stanowi *kanryodo*.
- Strach i przygnębienie zniknęły z twarzy młodzieńca. Haji pochylił głowę.
- - Tak, daijinie.
- Ushiba boso wyszedł na środek gabinetu i przyklęknął, starannie układając fałdy kimona. Położył przed sobą *wakizashi*.
- Oto twoja ostatnia lekcja - powiedział do asystenta. - Musisz zaakceptować to, co nieuniknione.
- Tak, daijinie. - Haji uklęknął obok.
- Musisz uwierzyć w słuszność swego postępowania.
- Tak, daijinie.
- Ushiba zamknął oczy. Cóż za ironia losu, że wybrał śmierć nie po to, aby uniknąć cierpień związanych z chorobą, lecz by wyzwolić się z pułapki przemyślnie zastawionej przez przeciwnika. Pomyślał o Okamim. Nadal ciążyło mu poczucie winy, gdyż uczestniczył w zamachu na jedyne go człowieka, który był w stanie rozprawić się z Akinagą, przyczajonym jak żmija na piersi śpiącego wędrowca.
- Jesteś gotów?

- Tak, daijinie.
- Najbardziej żałował rozstania z Tanaką. Byli jak dwaj wędrowcy na pustym górskim szlaku, śpieszący sobie z pomocą z czystego współczucia dla ludzkiej istoty. Zaczął bezgłośnie recytować zapamiętane haiku. Zanurzony w pięknie poezji, wbił w podbrzusze błyszczące ostrze miecza. Dziwne, lecz prawie nie czuł bólu. Ręce dygotały mu jak w febrze. Haiji położył swoje dłonie na jego dłoniach. Poruszał ustami niczym w modlitwie. Do kogo się modlił? Razem, jakby złączeni wspólną myślą i celem, dokonali drugiego cięcia. Ushiba miał wrażenie, że jego ciało zamieniło się wodę. Cichy stuk padających kropeł przypominał mu haiku, które przeczytał podczas ostatniej nocy spędzonej w domu Tanaki. Ciecz zaczęła parować; daijin na kształt obłoku uniósł się z podłogi. Spojrzał w dół. Haiji z pobladłą twarzą zaciskał palce na rękojeści miecza wystającego z wyschniętej sterty ryżu. Kto to był? Co robił? Niesiony światłem zmierzchu, kruchym wspomnieniem pierwszego dnia jesieni, ulotnym pięknem ostatniego opadającego kwiatu wiśni, Naohiro Ushiba uleciał w górę.

17

- PŁYWAJĄCE MIASTO / TOKIO / WIRGINIA Klatkę ustawiono na twardo ubitym dziedzińcu, otoczonym głównymi budynkami Pływającego Miasta. Dom po prawej zajmowali Leonforte i Rock, po lewej stało laboratorium Abramanowa, z głęboko ukrytą pod ziemią komorą rozszczepień i jedynymi na kuli ziemskiej próbkami pierwiastka 114m. Tam też, niczym drzemiąca żmija, spoczywał torch. Klatka śmierdziała jak kostnica. Klepisko było przesiąknięte krwią i fekaliami, a w rogu na kształt makabrycznej dekoracji sterczała kość udowa, obrana do czysta z mięśni i ścięgien. Rock niósł ją, gdy prowadził Nicholasa na miejsce kaźni. Na dziedzińcu czekało sześciu strażników uzbrojonych w kałasznikowy. Zwykła demonstracja siły. Nicholas został starannie zrewidowany i zamknięty w klatce. Rock zrobił to osobiście, bez broni, czym wzbudził należyty podziw wśród podkomendnych. W drodze do Pływającego Miasta jeniec nie dostał nic do jedzenia i picia. Zawiązano mu oczy i wepchnięto do samochodu. Poczul ukłucie po wewnętrznej stronie łokcia. Skupił się i jak w przypadku Pawłowa wykorzystał siłę Tau-tau, by z wolna podnieść swój metabolizm i zneutralizować działanie chemikaliów, nim zdążyły go uśpić.
- Widzę, że już na dobre się obudziłeś - stwierdził Rock, wchodząc za nim do klatki. - Zaraz się tym zajmiemy. - Patrzył na Nicholasa z beznamiętnym zainteresowaniem chirurga. - Tymczasem mogę ci zdradzić, że wielu ciekawych ludzi spędziło ostatnie dni życia w tym miejscu. Każdy z nich reagował inaczej. Gdybym był naukowcem, mógłbym machnąć niezłą rozprawę na temat ludzkich zachowań pod wpływem stresu. - Pacnął trzymaną kością w otwartą dłoń. - Do Duc mógłby mi pomóc.
- Był mordercą.
- Wszyscy jesteśmy mordercami, Linnear - uśmiechnął się olbrzym. - Ty, ja, Duc... Niczym się od nas nie różnisz.
- Do Duc był inny. Wychowało go plemię Nungów, obrał za swój talizman świętą białą srokę i uważał się za wysłannika bogów. Pławił się w bólu i krwi,
- a mimo to zginął, zduszony przez nie spełnioną miłość. Znałem go lepiej, niż myślisz.

Może właśnie dlatego jestem ciekaw, co kryjesz w głębi duszy. Rock milczał. Jego twarz, nieruchoma jak maska, nie wyrażała żadnych uczuć.

- - Myśl sobie, co chcesz - powiedział w końcu. - Sram na twoją ciekawość. Wytknął rękę przez pręty. Jeden z żołnierzy wręczył mu strzykawkę. Lufy automatów mierzyły w Nicholasa.
- Sram na myślenie i na intelekt. Kropka. Wbił igłę w ramię jeńca i nacisnął tłok.
- I sram na ciebie.
- Wyszedł z klatki i zamknął drzwi. Podniósł miotacz, zarzucił go na ramię, wycelował. Był wszystkim, co niesie ze sobą wojna. Nicholas czuł to tak mocno, jakby cofnął się w czasie i trafił w sam środek zbrojnego konfliktu. Wiedział, co zaszło. Rock został schwytany w pułapkę: nie potrafił zaakceptować pokoju. Żył wojną i miał niezliczone powody, by zostać w Indochinach. Powrót do Ameryki oznaczał dla niego śmierć lub, co gorsza, nędzną egzystencję wśród praw, przepisów i zasad. Defolianty, dywanowe naloty i świszczące o czwartej rano kule snajperów, odarły z niego powłokę cywilizacji. Śwąd palonego ciała był mu równie znajomy jak zapach perfum paryskiej kokocie. Nie potrafił na powrót stać się człowiekiem. Nie chciał. Nie znał innego życia. W środku Wietnamu zbudował własny świat - Pływające Miasto - i żadna siła nie mogła go stąd ruszyć. Nicholas znów musiał odwołać się do Tau-tau, by zniwelować działanie narkotyku. Był mocno wyczerpany, lecz nie miał wyboru. Zapadła tropikalna noc. Głośno brzęczały owady, pokrzykiwały ptaki, czasem dał się słyszeć zduszony pomruk drapieżnika przemykającego przez dżunglę. Światło pochodni i lamp zasilanych z generatora nie mogło się przebić przez gęstą ścianę zieleni. Lekki powiew wiatru przynosił zapach wieczery. Nicholas leżał na ziemi. Spod półprzymkniętych powiek widział ciemne sylwetki czterech uzbrojonych wartowników. Zaczął rozważać swoje szanse. Zbierał siły potrzebne do pobudzenia *kokom*, serca Tau-tau.
- - Wciąż tutaj? - odezwał się jakiś głos. - Nie... leż spokojnie. Wszyscy są przekonani, że śpisz. Zwłaszcza Rock. Chciałbym mieć jego wiarę w słuszność obieranych metod. Od czasu, gdy Do Duc wtajemniczył go w kult Messulethe, myśli że jest Supermanem. Ty i ja znamy prawdę. Nawet nie liczył mentalnej dyscypliny. A ty zabiłeś Do Duka. Niewiarygodne.
- Cichy szelest oznajmił Nicholasowi, że tajemniczy gość nieco wygodniej usadowił się przy klatce.
- - Chciałem cię poznać. Dużo o tobie słyszałem. Wiem o Tau-tau znacznie więcej, niż mój osiłkowaty przyjaciel. To prostoduszny chłopak. Ani mu w głowie myśli, że nie można cię uśpić narkotykiem, albo że żyłbyś nadal po zażyciu cyjanku. To się nazywa hipermetabolizm, prawda? Zdziwiająca. Gdybyś chciał, mógłbyś postawić na nogi całą zachodnią medycynę. – Rozległ się cichy śmiech. - Chętnie bym na to popatrzył.
- Zapadła cisza, przerywana jedynie pohukiwaniem ptaków i skrzekiem małąp.
- - Dlaczego... aaaa, prawda. Pewnie chcesz mnie zobaczyć.
- Nicholas ujrzał przystojnego mężczyznę o wyrazistym nosie i dużych szarych oczach, w których czaiła się zwierzęca dzikość. Twarz, okolona długimi, szpakowatymi włosami i starannie przystrzyżoną brodą, znamionowała człowieka od dawna przywykłego do wydawania

rozkazów. Przypominała twarz kaznodziei, rozkochanego w słowach i posłusznego wymaganiom stworzonej przez siebie filozofii. Lata spędzone w wietnamskiej dżungli bez wątplenia wywarły na niego nie zatarty wpływ. Mógł to być tylko jeden człowiek: Mick Leonforte.

- - Analizujesz stopień zagrożenia? Niemal czuję działanie Tau-tau i siłę *ki* emanującą z twego ciała. A może to tylko autohipnoza?
- Mick wyjął cygaro, odgryzł koniec, zapalił. Przez jakiś czas rozkoszował się wonią błękitnego dymu.
- - Studiowałem hipnozę. Zwłaszcza masową. Każdy filozof to robi. Wiesz dlaczego? Bo filozof bez uczniów jest nikim. Jak w religii: liczy się przede wszystkim liczba wyznawców. I jak w religii, filozofia jest rewolucją. To właśnie ja. Buntownik. Rewolucjonista. - Zaciągnął się. - Znasz przecież mnie podobnych. Jeden z nich nawet cię wychowywał.
- Uśmiechnął się promiennie, jak wuj układający do snu ukochanego siostrzeńca.
- - Przez długie lata zgłębiałem koleje losu twego ojca. Nie szło mi łatwo, zwłaszcza tutaj. Pułkownik był chodzącą zagadką. Miał w sobie więcej tajemnic niż mój ojciec, choć ten tak często zmieniał twarze, że w końcu zapomniałem, jak naprawdę wyglądał.
- Wzruszył ramionami.
- - Tu oczywiście kończą się wszelkie podobieństwa. Johnny Leonforte i Denis Linnear to dwie całkiem odmienne postacie. Może mi nie uwierzysz, lecz szczerze podziwiałem pułkownika. Chciałbym być jego synem. Wspaniały umysł. Wystarczy wspomnieć, że praktycznie sam stworzył MITI. Widzę, że nawet o tym nie wiedziałeś. Nie przepadał za dawnym Ministerstwem Handlu i Przemysłu, które po zakończeniu wojny stało się bezpiecznym schronieniem dla wielu zbrodniarzy. Wpadł na genialny pomysł, aby połączyć je z Biurem Handlowym, utrzymującym ścisłe kontakty z dowództwem wojsk okupacyjnych. Pracownicy biura mówili po angielsku i handlowali z Ameryką. Eksport-import. Twój ojciec odkrył, że mieli także pełną kontrolę nad Funduszem Pomocy Zagranicznej, co sprowadzało całą sprawę do wspólnego mianownika. Już wówczas, w czterdziestym ósmym roku, przewidział, że przyszłość Japonii zależy od stosunków gospodarczych z zagranicą. Z pomocą kilku japońskich przyjaciół wykreował Ministerstwo Przemysłu i Handlu Zagranicznego. Wizjoner. Rewolucjonista. Wepchnął Japonię na właściwe tory i zniszczył wrogów nowego porządku. Rozpoczęte przez niego dzieło trwa do dzisiaj.
- Zaciągnął się głęboko i przez nienaturalnie długą chwilę trzymał dym w płucach.
- - Trzeba przyznać, że spotykamy się w niezbyt fortunnych okolicznościach. Dla mnie to obojętne. Najlepiej wszystko rozwalić i z porzrzuconych fragmentów ułożyć całkiem nowy obrazek. Rozumiesz? Wątpię. Rock też nie wie, o czym mówię, a przecież nie narzeka na brak rozumu. Przyszedł tu wiele lat temu. Miałem nosa, że dopuściłem go do interesu. - Spojrzał na rozżarzony koniec cygara. - Każde małżeństwo przeżywa kryzys. Imperium obraca się w gruzy i wygrywają ci, co potrafią przewidywać. Rock, jak inni, żyje chwilą. Może mu z tym wygodnie, choć czasem to tylko złuda lub pamięć o świetlanej przeszłości. - Wstał nagle. - No, dosyć. Było mi bardzo miło. Kiedyś jeszcze pogawędzimy. Stracił popiół na ziemię, roześmiał się i odszedł. Nicholas odprowadzał go wzrokiem, póki Leonforte nie zniknął w jednym z budynków. Potem

legł nieruchomo, próbując zebrać myśli. Co było przyczyną tej dziwnej wizyty? Złośliwość? Raczej nie; to bardziej pasowało do Rocka. Ciekawość... i coś więcej. Rozważania o filozofii, o niszczeniu pamiątek przeszłości, a nawet zdumiewająca historia o udziale pułkownika Linneara w utworzeniu japońskiego Ministerstwa Handlu, kryły w sobie nadrzędny motyw. Mick - w przeciwieństwie do swego partnera - przygotowywał się do wyjazdu, Imperium obraca się w gruzy...”Światła reflektorów przecięły ciemność. Na dziedzińcu pojawiło się kilka ciężarówek. Nicholas ostrożnie obrócił głowę. Z magazynu wnoszono pakunki i drewniane skrzynie. Torch był gotów do drogi. Mick Leonforte także. „Rozpoczęte przez niego dzieło trwa do dzisiaj”. Jakie dzieło? Gigantyczny plan, który do tej pory nie doczekał się pełnej realizacji? Niemożliwe. Mick był szaleńcem, a słowom szaleńca nie można wierzyć. Z drugiej strony, zbił pokąźną fortunę na sprzedaży broni i narkotyków. Uporał się z konkurencją, choć czasem musiał korzystać z pomocy Rocka. Dedalus załatwił mu dojście do amerykańskiego rządu, Godaishu - do Japończyków. Teraz zamierzał odejść. Dokąd? Gdzie chciał znaleźć lepszy interes? To pytanie domagało się jak najszybszej odpowiedzi. Nicholas sprawdził rozstawienie strażników. Potem zamknął oczy, sięgnął w głąb umysłu i dotknął *kokoro*. Z wolna zaczął bębnić w membranę wszechświata, by pobudzić siłę Tau-tau. Pierwszy raz w życiu doznał wewnętrznego podziału. Askhara i Kshira płynęły niczym dwie rzeki - jasna i ciemna, splątane w przedziwny warkocz, lecz nie złączone. „Nie daj się zwieść, nie istnieje żadna teoria integracji - powiedział Tachi, gdy dotarli do Yoshino. - Jediną wykładnią jest *koryoku*. Shuken rozdziela Światło i Ciemność tkwiące wewnątrz umysłu”. Nicholas usiłował odseparować strumienie siły, lecz bez *koryoku* mógł tego dokonać jedynie na kilka sekund, a i to kosztowało go wiele wysiłku. Przez chwilę widział błysk Shuken i odkrył prawdę. Wciąż nie odzyskał pełni władzy nad umysłem: zło zaszczerpione przez Kansatsu tkwiło zbyt głęboko. Gdyby nie zdołał rozdzielić dróg Tau-tau, Kshira powoli wchłonęłaby Akshare i stałby się niewolnikiem Ciemności.

- Zwinięty w kłębek leżał na ziemi, przywołując w pamięci postacie strażników. Wciąż czuł silną, aromatyczną woń cygara. Zbyt silną, żeby...Pomału odwrócił głowę. Tuż obok klatki zobaczył niedopałek. Rozzarzony koniec błyszczał nadzieją.
- ...naszkicowałem bieżącą sytuację, daijinie. Wiele panu zawdzięczam i nadal zamierzam korzystać z pańskiej wiedzy oraz kontaktów. Za trzydzieści godzin Mikio Okami umrze. Nadejdzie czas triumfu. Pan, jako moja prawa ręka, będzie przekazywał rozkazy zarówno do MITI, jak i Godaishu. Wszystko jasne?
- Tak.
- Tanaka Gin patrzył na młodego mężczyznę, który przedstawił się jako Yukio Haji. Młodzieniec wyłączył magnetofon. Prokurator milczał. Wrócił myślami do chwili, kiedy ściągnięty pilnym wezwaniem wpadł do gabinetu Ushiby. Wokół zamarła wszelka praca, urzędnicy stali przy biurkach i w korytarzu. Tylko on jeden zachował zdolność ruchu. Zobaczył leżące na podłodze ciało daijina i pochylonego młodzieńca.
- - Siadaj! - warknął jak na psa.
- Zamknął drzwi i zadzwonił do biura. Z niechęcią myślał, że przybycie policji zakłóci spokój zmarłego.
- - Co tu się stało? - spytał cicho.
- W skupieniu wysłuchiwał zeznań młodego asystenta. Potem podszedł do okna, spojrzął na

miasto i mruknął jakby do siebie:

- Dlaczego to zrobił?
- Chyba wiem - odparł Haji. Włączył nagranie.
- Skąd wziął pan tę taśmę? - zapytał Tanaka. - Daijin kazał mi ją przekazać po swojej śmierci?
- - Nie. Nawet o niej nie wiedział. To ja... Tanaka uniósł rękę.
- - To, co za chwilę pan powie, może stać się podstawą oskarżenia. Ryzykuje pan własną karierą, pracą, właściwie wszystkim.
- Haji potrząsnął głową.
- Daijin był moim mentorem. Uczył mnie zasad *kanryodo*. Prokurator spojrzał na niego całkiem innym okiem.
- Dobrze. Proszę mówić.
- Parę miesięcy temu odwiedził mnie jeden z ludzi Akinagi. Widzi pan, jestem hazardzistą. Ostatnio grałem na giełdzie i poniosłem dość znaczne straty. Pozbyłem się pakietu akcji, lecz to niewiele pomogło.
- Rozumiem. Potrzebował pan większej sumy niż uzyskana z pracy w ministerstwie.
- Haji przytaknął. Siedział wyprostowany, z dumnie uniesioną głową. W innych okolicznościach podobnym wyznaniem ściągnąłby na siebie jedynie hańbę, lecz teraz poczytywał je za konieczną ofiarę. Tanaka z podziwem stwierdził, że chłopak ma mocno zakorzenione poczucie honoru.
- Akinaga wiedział o moich kłopotach. W przyływie desperacji przyjąłem oferowaną przez niego sumę. Uregulowałem wszystkie długi i zacząłem szukać dodatkowej pracy. Chciałem go spłacić. Dopiero wówczas zrozumiałem własną głupotę. Akinaga zjawił się osobiście. Nie domagał się zwrotu pieniędzy. Zaproponował mi rolę szpiega. Miałem mu przekazywać informacje o wszelkich decyzjach i posunięciach daijina.
- Mówił pan przedtem, że Ushiba-san był pańskim mentorem. Dzięki niemu dostał pan pracę w MITI.
- Tak.
- Akinaga postawił pana w niewdzięcznej sytuacji.
- Tak. Całą noc przewracałem się na łóżku, nie wiedząc, co robić. Nagle pojąłem, że daijin musiał już wcześniej utrzymywać kontakty z Akinaga. A zatem mogło mu grozić jakieś niebezpieczeństwo. Podpisałem pakt z diabłem. Zawiadomiłem Akinagę, że skorzystam z jego propozycji.
- W tej samej chwili rozległo się głośnie pukanie.
- - Wejść! - warknął Tanaka.
- W progu pojawiło się dwóch detektywów w cywilu. Prokurator pokazał im swą legitymację, krótko zapoznał z przebiegiem wydarzeń i zabrał Hajiego ze sobą, twierdząc, że jest on świadkiem w sprawie Yoshinoriego. Po wyjściu z gabinetu Ushiby wsunął magnetofon do kieszeni.

- Wie pan, co znaczy „torch” lub „Pływające Miasto”? - spytał, gdy znaleźli się na ulicy.
- Nie. Nic nie rozumiałem z tej części rozmowy.
- Akinaga wspomniał, że zamierza zabić Okamiego. Słyszał pan może coś więcej?
- Nie, proszę pana - odparł Haji. Na pewno mówił prawdę.
- Dlaczego przyjął pan propozycję Akinagi?
-
- By pomóc daijinowi. Sądziłem, że w razie potrzeby zdążę go ostrzec. Tanaka wyjął kasetę z magnetofonu.
- Był pan obecny przy innych spotkaniach Ushiby z Akinaga?
- - Nie. Akinaga wezwał mnie po raz pierwszy. Czerpał z tego perwersyjną przyjemność. Nie bardzo wiedziałem, o co mu chodzi, póki nie usłyszałem, że chce zmusić daijina do uległości.
- Właśnie. Ushiba odszedł nie dlatego, aby uniknąć cierpień związanych z chorobą. To miał już poza sobą. Wybrał śmierć, by wyrwać się z klatki, w której uwięził go Akinaga.
- Jeszcze jedno - odezwał się prokurator. - Czy słowo „Godaishu” ma dla pana jakieś znaczenie?
- Nie.
- Tanaka pokiwał głową.
- - Dobra robota, Haji-san. Daijin byłby naprawdę dumny z pana. Niestety, z chwilą aresztowania Akinagi nie będę mógł pana chronić. W trakcie śledztwa wyjdą na jaw wszystkie szczegóły, a to oznacza koniec pańskiej kariery zawodowej.
- Haji skłonił się lekko.
- Pana słowa sprawiają mi zaszczyt. Będę o nich pamiętał.
- Szpiegujesz Dedalusa na polecenie Okamiego - powiedział Croaker. Mimo panujących ciemności wiedział, że Vesper się uśmiecha.
- Detektyw przy pracy.
- Wydedukowałem wszystko na opak.
- Lecz miałeś w tym nieco szczęścia. Senator wysłał mnie w ślad za tobą do Knife River. Nie wspomniał tylko, że sam także zamierza przyjechać.
- Sporo ryzykujesz. Jeśli się dowie, że nam pomogłaś, cały kamuflaż diabli wezmą.
- Najpierw musimy się stąd wydostać. I tak jestem spalona. Jak uciekniecie, domyśli się, że to moja sprawa, a jak złapie Sermana, bez trudu zmusi go do zeznań.
- Wciąż siedzieli w ciasnej wnęce, wydłubanej w ścianie laboratorium. Z magazynu nie dochodziły żadne dźwięki. Serman nie przestawał dygotać. Nie nadawał się do pracy w wywiadzie, choć robił wszystko, żeby utrzymać nerwy na wodzy. Croaker odsunął się nieco dalej. Vesper wyczuła jego intencje i poszła za nim.
- Nad Okamim wisi śmiertelne niebezpieczeństwo - szepnął. - Sądzę, że Leonforte zna

miejsce jego pobytu. Śledząc was, wpadłem na pewnego ponurego typu. Zająłem się nim, lecz potem sam ledwie uniknąłem śmierci.

- Chryste, jeśli to prawda, zginie nie tylko Okami, lecz także ogromna liczba mieszkańców Londynu - odpowiedziała roztrzęsionym głosem. - Cała nadzieja w Linnearze. Torch nie może opuścić Pływającego Miasta.
- Musimy się stąd wydostać i jak najszybciej wracać do Anglii.
- Dedalus nam nie pozwoli.
- Pieprzę Dedalusa. - Croaker o wiele bardziej niepokoił się o Sermana. Nie podobał mu się stan naukowca. - Nicholas potrzebuje wsparcia.
- Zgoda, tylko ostrożnie. Pamiętaj, że nikt stąd jeszcze nie uciekł.
- Co to w ogóle za pomysł, do cholery? Nigdy nam się nie uda.
- Cicho, doktorze - syknął Croaker i zwrócił się ponownie do Vesper: - Zaczęłaś coś mówić o Okamim.
- Dedalus, Leonforte i oyabun Akinaga usiłują go zabić, choć każdy z innego powodu. Akinaga chce być nowym kaisho. Leonforte wierzy, że w ten sposób zniszczy sieć Nishiki i pozbawi Goldonich głównego źródła wpływów. Dedalus bez wątpienia trzyma w szafie parę trupów i wolałby ich nie pokazywać.
- I wszyscy trzej, jako członkowie Godaishu, mają powiązania z Pływającym Miastem.
- Otóż to - przytaknęła Vesper.
- Okami początkowo nie wiedział, gdzie szukać wrogów, więc postanowił zmusić ich do działania.
-
- -Tak. Doszedł do wniosku, że Pływające Miasto i torch są wystarczająco silną pokusą. Zaślepieni chciwością, zrzucili maski. Teraz zna już wszystkich.
- Croaker był pełen podziwu dla odwagi i przebiegłości starego kaisho.
- Zrobił z siebie przynętę...
- To był jedyny pewny sposób.
- Goldoni zginął. Okami podjął desperacką rozgrywkę.
- Raczej nie. - Vesper potrząsnęła głową. - Przede wszystkim musiał ustalić, kto w radzie kwestionuje jego autorytet. Stawka była wysoka, ale Goldoni wiedział, czym ryzykuje. Od samego początku brał czynny udział w opracowaniu planu.
- Croakerowi zabrakło argumentów. Przysunął się do Sermana i szeptem zaczął mu coś wyjaśniać.
- Co z nim? - spytała Vesper gdy wrócił. - Nieprzytomny ze strachu?
- Mniej więcej. Ale da sobie radę. - Croaker zniżył głos i wrócił do przerwanej rozmowy. - Wciąż czegoś nie rozumiem. Jak Okami, Japończyk, zdobywa informacje dla Nishiki?
-
- Dobre pytanie. Ktoś mu je dostarcza. Lew zdębiał.
- Zatem nie on jest pierwszym ogniwem łańcucha...

- - Nie, choć tak sądzą wszyscy, nie wyłączając Caesare'a. Musi mieć jakieś źródło w Waszyngtonie.
- Na czworakach zaczęli pełznąć w głąb tunelu. Croaker wciąż miał na oku nieprzytomnego ze strachu Sermana. Ciekawe, co myślał o ich rozmowie. Pewnie w ogóle nie słuchał. W powietrzu nie było ani śladu stęchlizny. Z oddali dobiegał szum wentylatorów. Vesper prowadziła ich w tamtym kierunku, choć nie zdradziła ani słowem swych zamiarów. Kanał wentylacyjny musiał wychodzić na zewnątrz. Jeżeli tak, czemu nikt z budowniczych tunelu nie zdołał uciec?
- W jaki sposób trafiłaś na Sermana? - spytał Croaker.
- Przypadkowo odebrałam sygnał wysłany przez Abramana. Udało mi się ustalić, nad czym pracują. Powiadomiłam Okamiego. Wiedział już, że Rosjanin jest w Pływającym Mieście i że prowadzi doświadczenia z izotopem. Od razu pojął, czym to grozi. Od tamtej pory śledziliśmy postępy badań.
- Aż do chwili, gdy Serman przestał składać raporty. - Lew spojrzął na naukowca. - Dlaczego?
- Wiedziałem, co się stanie, gdy wyszło na jaw, że nie potrafię stworzyć 114m. - Popatrzył na Vesper. - Wasi ludzie zaczęliby żądać, abym stworzył podobny izotop. Jeśli nie sto czternaście, to może sto piętnaście, szesnaście, siedemnaście... Nieważne. To nie dla mnie. Nie chcę być twórcą broni masowej zagłady.
- Croaker widział w półmroku błyszczące oczy dziewczyny. Nikt nie mógł potępić decyzji naukowca. Szli dalej. Warkot wentylatorów stawał się coraz głośniejszy. Nagle ciasny korytarz rozdzielił się na dwa.
- - Którędy teraz? - spytał Croaker.
- Vesper nasłuchiwała przez chwilę, po czym pokręciła głową.
- Nie wiem.
- W lewo - odezwał się Serman.
- Jest pan pewien? - zapytała dziewczyna.
- Znam to laboratorium lepiej niż ty, moja droga.
- Skręcili w lewo. Było coraz goręcej. Tunel tak się zwęził, że musieli się czołgać bokiem.
- Jak tak dalej pójdzie, trzeba będzie zawrócić - mruknął Croaker.
- Nie możemy - odparł drżący Serman. - To jedyna droga. Pełznąca przodem Vesper nagle się zatrzymała.
- Spójrzcie.
- Croaker popatrzył jej przez ramię. Z głębokiej szczeliny bił jaskrawy słup światła.
- Za szeroka, żeby ją minąć - stwierdziła dziewczyna. Lew potrząsnął głową.
- Chyba zdołam nad nią zawisnąć.
- To niepotrzebne - rozległ się z tyłu głos Sermana. - Musimy iść w dół.
- Co?! - Croaker spojrzął za siebie. Vesper odwróciła głowę.

- Szum wentylatorów dochodzi z przodu.
- - To dlatego, że umieszczono tam system chłodzenia połączony z komorą rozszczepień. Powiew kieruje skażone powietrze do zbiorników wodnych. Jeśli pójdziemy dalej, za parę minut będziemy tak chorzy, że stracimy przytomność. Potem czeka nas śmierć.
- Widmowy blask rozjaśniał wnętrze tunelu. Vesper i Lew wymienili spojrzenia. Dziewczyna przechyliła się przez krawędź szczeliny.
- Niezły komin. Nie widzę dna. - Obróciła się w stronę Sermana. - Na pewno tędy?
- Wiem tylko, że musimy iść w dół - powtórzył, lecz gdy zajrzał w szczelinę, zrobiło mu się słabo. - Może właśnie dlatego nikt nie uciekł.
- - Nie czas na dywagacje - mruknął Croaker. - Nie mamy wyboru. Vesper w milczeniu skinęła głową.
- Największy problem stanowiła wilgoć. W tropikach nawet zimą wszystko jest mokre. Ubranie nie chciało się palić, musiał więc na poczekaniu wymyślić coś innego. Sądził, że widok dymu i buchających płomieni zmusi strażników do otwarcia klatki. Niczego więcej nie potrzebował. Nie był uradowany tym, co miał zrobić, lecz zdawał sobie sprawę, że musi działać bezwzględnie i szybko. Wciąż słyszał monotonne bębnienie *koków*. Wyteżył umysł, chcąc pozbyć się obaw przed bólem. Kshira, ciemna strona Tau-tau, coraz ciasniej pętała jasny strumień Akshary. W rogu klatki, tuż obok zbiegających kości, znalazł garść wyschniętych
- odchodów. Przykucnął, jakby chciał oddać mocz, i ukradkiem rozsmarował fekalia na prawej ręce, ramieniu i piersi. Potem wstał, przytknął do ręki rozżarzone cygaro i patrzył, jak ogień zaczyna lizać mu skórę. Trzaskające płomienie strzeliły w górę. Rzucił niedopałek na ziemię i zaczął krzyczeć. Zaalarmowani strażnicy podbiegli do klatki. Jeden otworzył drzwi, drugi wpadł do środka, by wyciągnąć jeńca. Nicholas, zatopiony w Tau-tau, nie czuł bólu. Z początku ogień ogarnął tylko warstwę wyschniętych nieczystości, lecz chwilę później zajęła się skóra i włosy. Wbił łokieć w brzuch najbliższego strażnika, po czym płonąca pięścią trzasnął w twarz stojącego przy drzwiach. Pierwszy przeciwnik usiłował go złapać od tyłu. Nicholas z półobrotu chwycił go lewą ręką za prawy nadgarstek i szarpnął w dół, przyklękając na kolano. Zakończył ruch szybkim *irimi*. Rozległ się trzask pękającej kości, strażnik upadł plackiem na ziemię. Drugi, strzepując iskry z ubrania, poderwał broń do strzału. Nicholas kantem dłoni zadał mu cios w przegub, w miejsce, gdzie zbiegają się końce nerwów. Strażnik puścił pistolet. W tej samej chwili pięść Nicholasa zmiażdżyła mu krtań. Ugiął kolana i zaczął się krztusić. Wszystko trwało nie dłużej niż uderzenie serca. Dwaj pozostali strażnicy wciąż biegli do klatki. Na ich twarzach pojawiło się bezbrzeżne zdumienie. Trzeci zdążył unieść kałasznikowa, lecz zamarł z palcem na spuście, kiedy płonący jeńiec skoczył w jego stronę. Nim oprzytomniał, było już za późno. Nicholas obrócił się na pięcie i silnym ciosem zgruchotał mu żebra. Czwarty w panice zaczął strzelać na oślep. Nicholas chwycił tego z połamanymi żebrami, cisnął go wprost pod kule, a sam wtulił głowę w ramiona i przetoczył się po ziemi. Strażnik widząc, że strzela do kolegi, poderwał lufę automatu. Nicholas płaskim kopnięciem złamał mu kolano, po czym pięścią strzaskał obojczyk. Podniósł porzuconego kałasznikowa i popędził w głąb dziedzińca, strząsając po drodze z ręki płonące fekalia. Wciąż utrzymywał receptory bólu w stanie uśpienia i starał się tak oddychać, by nie czuć swędu spalonego ciała. Dlaczego Leonforte zostawił obok

klatki niedopałek cygara? Na pewno zrobił to z pełną premedytacją. Chciał *mu pomóc* w ucieczce? Po co? Wszystkie przypuszczenia obracały się w sferze domysłów. W Mieście wrzało. Strzały zwróciły uwagę żołnierzy zajętych załadunkiem. Kilku już rzuciło się w pogoń za umykającym jeńcem. Nicholas skręcił za róg słomianej szopy, wycelował w zbiornik paliwa najbliższej, ostatniej ciężarówki i pociągnął za cyngiel. Wybuch targnął dziedzińcem. Zabici i ranni leżeli na ziemi. Nicholas wyskoczył z ukrycia i wpadł w drzwi, w których wcześniej zniknął Leonforte. Za sobą usłyszał kolejną eksplozję. Budynki po drugiej stronie zniknęły za smolistą kurtyną czarnego dymu.

- Nicholas ze zdziwieniem rozejrzał się po wnętrzu. Zamiast w koszarach znalazł się w szklanym przedsionku, wiodącym do klimatyzowanych pomieszczeń laboratoryjnych. Zbiegł po betonowych schodach i minął dwie pary metalowych drzwi. Poczul dotkliwy chłód. Z powietrza zniknęła wszelka wilgoć. Nieprzerwanie bębniąc w *kokoro*, przypomniał sobie relację Niigaty. Przywołał w pamięci obraz laboratorium i bez wahania skierował się w stronę pomieszczeń zajmowanych przez Abramana. Z załomu korytarza wypadło dwóch uzbrojonych strażników. Nicholas już wcześniej odkrył ich obecność, więc nie zdołali go zaskoczyć. Pierwszego kopnął w lędźwie, drugiego poczęstował solidnym uderzeniem pięści. Pistolet zgrzytnął o podłogę, posypały się kule, skry i kawałki betonu. Zgasły światła. Jeden strażnik był wyłączony z walki, drugi próbował zdzielić Nicholasa kolbą w głowę. Nicholas chwycił go za przegub, pociągnął ku sobie, niemal niewidocznym ruchem ustąpił z linii ataku i zadał cios drugą dłonią, mierząc w łokieć. Wartownik zatoczył się na ścianę. Nim zdołał odzyskać równowagę, jeńiec zmiażdżył mu grdykę. Laboratorium Abramana było tuż za zakretem. Nicholas napał ramieniem na stalowe drzwi. Po chwili znalazł się w środku. Rosjanin klęczał na podłodze i przyciskał ręce do brzucha. Rock zadał mu wyjątkowo bolesną śmierć. Na wszelką pomoc było zbyt późno. Nicholas kucnął przy rannym i otoczył go szczelnym kokonem Tau-tau. Nie mógł ocalić mu życia, lecz chciał przynajmniej złagodzić ostatnie chwile.

- - Abramana...
- Rosjanin jęknął z wyraźną ulgą. Wodniste oczy spojrzały przytomniej.
- Kto...
- Gdzie torch?
- Rock... Rock zabrał...
- Twarz Abramana była biała jak kreda. Stracił dużo krwi. Życie gasło w nim z wolna mimo wysiłków Nicholasa. Choć nie wszedł w pełni w umysł Rosjanina, czuł widmo zbliżającej się śmierci. Nawet możliwości Tau-tau miały swoje granice.
- Dokąd poszedł?
- Wyszedł z budynku... - Łzy popłynęły z oczu umierającego. Płuca wypełniły się śluzem. - Nic nie wiesz... Jeszcze jeden...
- Nicholas usłyszał szum, niczym łopot skrzydeł anioła. Abramana padł mu w ramiona.

- **TOKIO / WIRGINIA / PLYWAJĄCE MIASTO** W każdy piątek, dokładnie o szóstej wieczorem, Tetsuo Akinaga szedł do *o-furo*, łaźni publicznej, pobudowanej jeszcze przez jego

ojca. Towarzyszyło mu zwykle kilkunastu uzbrojonych strażników, którzy gorliwie przeszukiwali cały budynek, zanim pryncypał postawił nogę na progu. Akinaga był dumny z łaźni. Nie chodziło mu wcale o poklask gawiedzi; nie przejął po ojcu zamiłowania do podobnych gestów. Piątkową pielgrzymkę do *o-furo* traktował jako wyraz szacunku dla swego słynnego przodka i dbał o to, by jego postępowanie zyskało odpowiedni oddźwięk wśród członków klanu. Wszedł do wyłożonej cedrową boazerią szatni i zaczął się rozbierać. Myślał o ojcu. Tsunetomo Akinaga nie był dobrym oyabunem. Popęłił wiele błędów. Po śmierci zyskał sławę należną cesarzowi. Japończycy lubili deifikować swych przywódców, sami zresztą, według koncepcji shinto, pochodzili od bogów i stanowili całkiem odrębną rasę wśród ludów Ziemi. Tetsuo otoczył zmarłego ojca formą kultu głównie po to, by podnieść własny prestiż wśród członków klanu Shikei. Niczym pierwszy shogun z rodu Tokugawa chciał stworzyć dynastię, która mogłaby przetrwać stulecia. Wciąż miał w pamięci niechlubną historię klanu Yamauchi. Seizo i Mitsuba Yamauchi, poróżnieni przez Okamie-go, pozabijali się nawzajem, a na czele klanu stanął Tomoo Kozo, wywodzący się spoza rodziny oyabunów. Tetsuo przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia, siadł na niskim drewnianym stołku i skinął na jednego z przybocznych, by polał go z wiadra gorącą wodą. Namydlił się i splukał pianę. Woda przeciekała przez kratkę z cedrowych listew, leżącą na kafelkowej posadzce. Nikt, prócz najbardziej zaufanych ludzi nie miał prawa dzielić z nim tego miejsca. Wstał i w towarzystwie sześciu strażników wszedł do centralnej części *o-furo*. Z sześciu płytkich basenów, wbudowanych w podłogę unosiły się gęste obłoki pary. W każdym była inna mieszanka ziół o leczniczym działaniu. Akinaga, zgodnie ze zwyczajem, zanurzył się w basenie, z którego bił aromatyczny zapach brzozy. Inni użytkownicy łaźni patrzyli ukradkiem, jak ostrożnie sadowił się w rozkosznie gorącej kąpieli. Rozprostował nogi, owinął

- czoło rękami, by krople potu nie spływały do wody i wsparł plecy o ceramiczną ściankę. Przed oczami stanął mu Ushiba. Wstyd. Wielkie rozczarowanie. Dla umocnienia swej pozycji wśród tak zwanych „reformatorów” z Partii Liberalno-Demokratycznej oyabun zamierzał korzystać z kontaktów daijina. Już dawno zauważył, jak by powiedział Chosa, że Japonia z wolna „amerykanizowała się”. Z praktycznego punktu widzenia obaj byli potrzebni. Chosa dobrze znał Amerykę; mógłby służyć niejedną cenną radą w tym trudnym okresie. Niestety, zbyt mocno dążył do władzy i tym samym przypieczętował swój koniec. Nieważne. Brzęk pieniędzy brzmiał głośniej niż pusta retoryka. „Reformatorzy” prześcigali się w zapewnieniach, że chcą zbudować lepszą, silniejszą Japonię, pozbawioną przekupstwa i korupcji, lecz w gruncie rzeczy nic się nie zmieniło. Głównie chodziło o to, by uspokoić zagranicznych partnerów. Jeszcze jedna maska. Nie można zmienić przyzwyczajęń sięgających feudalizmu. W drzwiach łaźni zrobiło się małe zamieszanie. Akinaga obrócił głowę. Dwóch mężczyzn w płaszczach wtargnęło do *o-furo*. Biegli w stronę basenów. Jeden ze strażników oyabuna sięgnął po broń. Ogluszający huk strzału zadudnił w pomieszczeniu. Bryznięty strugi wody. Martwy gangster leżał na posadzce z twarzą zanurzoną w basenie Akinagi. Pistolet upadł tuż obok dłoni oyabuna. Łaźnia wypełniła się ludźmi. Krew, niczym szkarłatna lilia, rozkwitła na wodzie, a potem zaczęła tworzyć zadziwiające wzory. Akinaga z wolna rozprostował palce.
- - Dalej - zachęcił go Tanaka Gin, który właśnie wszedł do *o-furo*. - Podnieś.
- Akinaga obdarzył go jadowitym spojrzeniem.
- - Czemu zawdzięczam to niesłychane najście, prokuratorze?
- Tanaka pochylił się, wziął pistolet przez chusteczkę i nie oglądając się, oddał go

stojącemu po prawej stronie detektywowi. Umundurowani policjanci usuwali z łaźni przypadkowych gapiów. Tanaka beznamiętnie popatrzył na oyabuna.

- - Przed łaźnią stoi tłum reporterów. Czeka na wywiad. Chcesz się ubrać, czy wolisz paradować w ręczniku? To będzie niezły spektakl.
- Akinaga pozwolił sobie na lekki uśmiech.
- Zawsze w ten sposób traktujesz spokojnych obywateli?
- Nie jesteś obywatelem.
- Tak? - zdziwił się Akinaga. - Ciekawe, co na to moi prawnicy. Nikogo nie skrzywdziłem. Nie pogwałciłem żadnego paragrafu. Spytaj Yoshinoriego.
- Zeznania Yoshinoriego ciebie nie dotyczą. Ani Chosy.
- Więc się wynoś. Zdążyłeś zabrudzić mi wodę.
- Ani Ushiby - z niezmaconym spokojem dodał prokurator. Oyabun po raz pierwszy okazał zdenerwowanie.
- Daijina? Nie rozumiem.
- Tanaka nie odpowiedział. Rozejrzał się. Rewidowani przez policjantów strażnicy Akinagi stali pod ścianą.
- Woda stała się lepka od krwi. Akinaga miał szczerą ochotę wyjść z basenu, lecz uważał, że byłoby to zbyt duże ustępstwo wobec prokuratora.
- Właśnie dlatego przyszedłeś? - spytał. - Blef.
- Żaden blef. - Tanaka skinął dłonią. - Wstawaj.
- Nie możesz...
- Rób, co mówię! - zagrział Tanaka.
- Akinaga wstał. Z nagiego ciała ściekały mu różowe krople. Czuł na sobie spojrzenia policjantów i klął w duchu, miotając najgorsze obelgi pod adresem Tanaki. Nadejdzie czas zemsty - myślał. - Najpierw aresztowanie Yoshinorie-go, teraz to... Zamarł ze zgrozy, gdy spojrział na ręce prokuratora. Tanaka trzymał długi, mocny sznur.
- - Przyniosłem *torinawa*. - Związał oyabunowi ręce na plecach. - Niech wszyscy wiedzą, że wreszcie zostałeś pojmany.
- Akinaga dyszał nienawiścią.
- Pod jakim zarzutem?
- Szantaż wobec daijina MITI. Spowodowanie śmierci Akiry Chosy oraz Naohiro Ushiby.
- Nonsens. Obaj popełnili samobójstwo.
- Odwróć się i wyjdź z basenu.
- Gangster płonącym wzrokiem wpatrywał się w oczy prokuratora.
- Myślisz, że jesteś górą, Gin. Zobaczysz, przed północą wrócę do domu.
- Nie tym razem.

- Każdy dowód można obalić. Moi prawnicy...
- Sam wydałeś się w ręce prawa. Wyjdź z basenu.
- Akinaga nie odpowiadał przez kilka nieskończenie długich sekund. W końcu odezwał się tak cicho, że słyszał go tylko Tanaka:
 - - Masz jedną jedyną szansę. Jestem gotów zapomnieć o zniewadze. Jednak nie odpowiadam za siebie, jeśli choć słowo dostanie się do prasy. Ostrzegam. Są ludzie w ministerstwie sprawiedliwości, którzy z radością podstawią ci nogę. Skorzystaj z okazji, rozwiąż mnie, zbierz swoich pachołków i odejdź. Możesz być pewny, że na tym nie stracisz.
- Prokurator przypomniał sobie słowa Chosy: „Jeśli szuka pan śladów korupcji, niech pan zerknie na własny wydział”. Zobaczył Ushibę, skulonego w kałuży krwi, uwolnionego z więzów Akinagi.
 - - Wyjdź z basenu - powtórzył bez wahania. - Zapłacisz za swoje zbrodnie.
- W dół nie wiodła żadna drabina. Croaker, Vesper i Serman schodzili „zapieraczką”, klinując się dłońmi i kolanami o ściany szybu. Szło im ciężko, gdyż powietrze płynące z wentylatora stawało się coraz gorętsze. Naukowiec miał największe trudności. Dwa razy osunął się na spoconych dłoniach i wylądował na ramionach Croakera. Lew musiał wyęczać wszystkie siły, by nie opaść na sunącą przodem Vesper.
- Nikt się nie odzywał; mozolna wędrówka pochłaniała zbyt wiele wysiłku. Nie wiedzieli, ile drogi mają już poza sobą, ile ich czeka jeszcze do końca. Nawet Serman nie znał głębokości tunelu.
 - - Widzę dno - wychrypiała w pewnym momencie dziewczyna. Serman znów się ześliznął. Croaker był na to przygotowany i wparł dłoń w ścianę, lecz Vesper, chcąc mu pomóc, sięgnęła w górę i przypadkowo zacisnęła palce na jego lewej ręce.
- Croaker, obciążony wagą dwóch ciał, przechylił się i zrzucił z ramion wystraszonego fizyka.
 - - Chryste! - krzyknął, bezskutecznie usiłując go złapać.
- Musiał jednak myśleć o sobie. Darł pazurami metalową powierzchnię szybu, lecz ześlizgnął się dobre kilka metrów, nim udało mu się zawisnąć z uczeponą ramienia dziewczyną.
 - - Serman? - zawołał.
 - Vesper spojrzała w dół i pokręciła głową.
 - - Chyba skręcił kark - wy sapiała.
- Chwilę później znaleźli się na dnie. Serman nie żył. Przykucnęli przy nim. Huk turbin był bardzo głośny. Po prawej zobaczyli k ratę zasłaniającą wyjście z tunelu. Croaker zamknął zmarłemu powieki.
- Zostało nam zaledwie kilkaset metrów.
- Chodźmy - powiedziała Vesper. Skinął głową. Chciał jak najszybciej wydostać się z szybu, lecz dziewczyna
 - uważnie obejrzała drogę przed postawieniem pierwszego kroku.
 - - Zaraz - szepnęła. Pochyliła się niżej. - Popatrz. Przypadł do ziemi. Z początku niczego nie widział. Potem dostrzegł maleńkie

- iskierki migoczące tuż nad betonową podłogą. Przypominały świetliki.
- Co to? - spytał. Zerknął po ścianach. - System alarmowy?
- Myślę, że coś gorszego. - Vesper położyła się na plecach. Ani na chwilę nie spuszczała wzroku z błyskającej przegrody. - Rodzaj pola elektrycznego. Pewnie założono je po to, by zniechęcić ewentualnych intruzów, ale chyba zatrzymało to też naszych poprzedników.
- Croaker obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem.
- - Skąd, u diabła, wiesz takie rzeczy? Popatrzyła na niego, lecz nie odpowiedziała.
- Jesteś dla mnie chodzącą zagadką. Mam dziwne wrażenie, że Okami i Margaritę też cię nie znają.
- Wiesz, Lew, dlaczego niektórzy wybierają zawód aktora? - spytała z enigmatycznym uśmiechem. - Lubią odgrywać różne role, lecz naprawdę nie mają własnej osobowości. Albo nie chcą jej odkryć.
- - I ty do nich należysz? Wzruszyła ramionami.
- - Jestem produktem świata, w którym żyję. Mogłabym stać się każdym, lecz wolę być nikim, to znaczy wszystkimi. Rozumiesz?
- -Próbuję, choć wciąż się zmieniasz. Nagle odzyskała utraconą energię.- Otóż to. Właśnie. W tym cała moja siła. Siła wszystkich kobiet i mężczyzn. Niektórych tak przeraża, że chcieliby się zapaść pod ziemię, lecz mnie wyszkolono, jak jej używać.
- Wyszkolono? Gdzie? Znów ten cholerny uśmiech.
- Lepiej zajmijmy się tą zaporą. Inaczej nigdy stąd nie wyjdziemy. Croaker niechętnie zrezygnował z dalszych pytań. Niewiele brakowało, by zza grubej warstwy teatralnej szminki wyjrzała prawdziwa twarz Vesper. Wiedział jednak, że nie czas i miejsce na wspomnienia.
- Dziewczyna wskazała na coś, co wyglądało jak trzy nakreślone na ścianie równoległe linie.
- - Czujnik termiczny. Uruchamia pole.
- Rejestruje ciepłotę ludzkiego ciała, zamyka obwód i nieszczęśnik zaczyna się smażyć?
- Mniej więcej - skinęła głową Vesper.
- - Jak go wyłączyć? Patrzyła na ścianę.
- - Problem w tym, jak się do niego zbliżyć. Zareaguje nawet na ciepło mojej dłoni.
- Croaker uniósł biomechaniczną rękę i wojowniczo błysnął zębami.
- Ale nie mojej.
- Boże, racja! Nie ma ciała, krwi ani temperatury. - Vesper spoglądała to na niego, to na czujnik. - Mam nadzieję, że dobrze oceniłam odległość i twój nadgarstek nie znajdzie się w zasięgu pola.
- Nie zaszkodzi spróbować.

- Croaker przetoczył się pod ścianę i wyprostował ramię. Tytanowe palce minęły przegrodę z iskier, potem przyszła kolej na resztę dłoni.
- - Stop! - zawołała Vesper. - Przegub. - Potrząsnęła głową. - Czujnik jest za daleko. Nie zdołasz...
- Urwała nagle, gdy Lew wysunął z palców stalowe pazury.
- - Wszystko gra - stwierdził. - Co dalej?
- Wyjaśniła mu, co ma robić. Najpierw oderwał niewielką pokrywkę z ple-ksiglasu, potem wcisnął pazur w otwór pośrodku czujnika. Przekręcił dłonią w prawo, potem w lewo. Wierzchołki odskoczyły i ukazały się trzy kolorowe przewody: biały, czerwony i żółty.
- - Mamy tylko jedną szansę - odezwała się Vesper. - Musimy odciąć uziemienie.
- Croaker nawet nie mógł odwrócić głowy, by na nią spojrzeć.
- Wiesz który to przewód?
- Czerwony.
- Na pewno?
- Tnij!
-
- Trzask. Tańczące świetliki zgasły. Croaker wsparł głowę na wyciągniętej ręce. Vesper westchnęła cicho.
- - Dzięki Bogu za wojskową rutynę. Wszystkie przewody uziemiające w tej placówce są czerwone. Zaryzykowałam...
- Zaryzykowałeś?! - Croaker wlepił w nią zdumione spojrzenie. Wstała.
- Mogłeś powiedzieć, że masz lepszy pomysł. On także się podniósł.
- Ufałem ci.
- Znów ten cholerny uśmiech.
- - I bardzo dobrze. Idziemy dalej.
- Lew minął uśpiony czujnik i ruszył w stronę wylotu szybu. Nim zdążył pokonać połowę dystansu, spostrzegł, że krata została zdjęta.
- Chyba już dość zabawy, panie Croaker - odezwał się Dedalus, zaglądając do wnętrza tunelu. W dłoni trzymał berettę kalibru 9 mm. - Wyłazić - rozkazał. - Umiem całkiem nieźle obchodzić się z tym cackiem.
- Prawdziwy pogromca tygrysów - szepnęła Vesper, schowana za plecami Croakera. - Tyle tylko, że zamiast w krzesło, uzbrojony w pukawkę. Wracajmy.
- Niby dokąd? - syknął Lew. - Do magazynu? A może do komory rozszczepień? Sama słyszałaś, co mówił Serman. - Potrząsnęła głową. - Nic z tego. Mam inny plan.
- Cholernie niebezpieczny - dodał w duchu, ale przecież nie pora na konwenanse. Raz kozie śmierć.
- Nawet nie wiesz...
- Nie mam czasu na kłótnię. Dopadnę Dedalusa, zanim się zorientuje.
- Nie możesz! Przy jego władzy...

- - Żadna władza mu teraz nie pomoże. Zasłużył sobie na ciężkie lanie. Vesper rzuciła mu czujne spojrzenie.
- Co ty właściwie chcesz zrobić? - Nie musiała długo się zastanawiać, by zgadnąć. - Nie...
- Wierz mi, to nasza jedyna szansa. Wolność w zamian za informację, gdzie szukać kryjówki Okamiego. Kusząca perspektywa.
- Rozszarpie nas na strzępy, jak zacznie coś podejrzewać. - Smutno spuściła głowę. - To nic nie da. Nie znasz go tak dobrze jak ja.
- Wiem, czego pragnie. To mi wystarczy.
- Nie chciała się sprzeczać. Być może pierwszy raz w życiu w pełni doceniła inteligencję drugiej osoby i z ciekawością czekała na wynik pojedynku. Znaczącym ruchem pchnęła Croakera w plecy.
- Chyba oszalałam, że słucham wariata.
- Croaker - zawołał Dedalus - wykazałem już dość cierpliwości. Wyłaż i mów, co zrobiłeś z fizykiem.
- Przykro mi, lecz doktor Serman nie żyje. Miał wypadek. - Sięgnął za siebie i pazurem rozciął przegub zmarłego. - Wysmaruj się krwią - szepnął do
-
- Vesper, po czym znów krzyknął do Dedalusa: - Spadł na dno szybu. Ciężko go będzie wyciągnąć.
- Niech tam leży - niecierpliwie odparł senator. - Ty masz dla mnie większe znaczenie.
- Nie tak prędko. - Lew wykręcił dziewczynie rękę. Krzyknęła z bólu. - Jest ze mną pańska Vesper. Chyba pan nie chce jej śmierci?
- Dedalus groźnie uniósł broń i wsunął głowę do tunelu.
- Szczerze mówiąc, gówno mnie to obchodzi. Nie cackam się z agentami. Wiedzą o tym, gdy podpisują kontrakt.
- Miły staruszek. Coraz bardziej mi się podoba - zamruczał pod nosem Croaker. - Tak przypuszczałem - dodał głośno. - Zawrzyjmy układ...
- Żadnych układów, Croaker. Wychodź. Sam lub z Vesper. To bez znaczenia.
- Najpierw moje warunki. Pan da mi wolną drogę, a ja wyjdę... Dedalus wybuchnął śmiechem.
- ...i powiem, gdzie się ukrywa Okami. Dedalus śmiał się jeszcze głośniejsze.
- - Oj, Croaker... Dobrze wiem, że siedzi w Londynie. Za niecałą dobę zmieni się w mokrą plamę. Wyleź wreszcie z tej dziury i przestań zgrywać Jamesa Bonda.
- Lew wziął głęboki oddech. Do roboty - pomyślał.
- - Kaisho opuścił Anglię, senatorze. Zdażył poznać szczegóły pańskiej współpracy z

Akinagą. Mimo to wiem, gdzie go szukać.

- Kłamstwo. Cholerne kłamstwo, które miało wprowadzić w błąd takiego łgarza jak Dedalus.
- Z moich informacji wynika...
- To już przeszłość - przerwał mu Croaker. Liczyła się każda chwila. Nie mógł pozwolić, by przeciwnik zyskał czas do namysłu. - Spotkałem się z Okamim w Holland Parku. Mam powiedzieć gdzie? W pobliżu Bird Lawn, tuż obok...
- Kłamiesz.
- Croaker był spocony jak mysz kościelna. Jezu, a jak się nie uda? Vesper miała zupełną rację, że nazwała mnie wariatem. A jednak się zgodziła, to znak, że jest pewna nadzieja. Co prawda Franklin pisał: „Ten, kto żyje nadzieją, szybko kończy w grobie”...
- Jak pan myśli, po co jechałem do Londynu? Na rozmowę.
- Z Okamim? Przecież zajmowałeś się sprawą Goldoniego.
- Dobra, senatorze, nazwijmy rzeczy po imieniu. Obaj wiemy, że Do Duc zabił Goldoniego, i wiemy, kto go wynajął: szef pańskiego Zwierciadła, Leon Waxman. Ale Waxman naprawdę nazywał się Johnny Leonforte, co jakoś przegapiła pańska ochrona. W czasie śledztwa zdołałem ustalić, że Goldoni i Okami prowadzili wspólne interesy. Do Duc nie zdążył zamordować Okamie-go, bo ten uciekł i do tej pory przebywa w ukryciu. Zgadza się?
- Być może.
- Pan z kolei uparcie usiłował odnaleźć jego kryjówkę. Dlatego nie zostałem wylany przy naszym pierwszym spotkaniu. Sądził pan, że po śmierci
-
- Do Duka muszę w końcu trafić na Okamiego. Całkiem słusznie. Wiem, gdzie go szukać.
- Gdzie?
- Ale przecież pan także powinien to wiedzieć. - Croaker zignorował ostatnie pytanie. - Johnny Leonforte był pana szpiegiem. Jeśli ojciec, to dlaczego nie syn? W Londynie śledził mnie człowiek Cesare'a. Zlikwidowałem go, ale mógł mieć kumpli. Kto jeszcze widział Okamiego w Holland Parku? Cesare na pewno nie zaniedbał okazji, by pana o tym poinformować.
- Croaker, pytałem gdzie jest teraz Okami?
- Umowa stoi?
- O Boże - szepnęła Vesper. - Co masz zamiar z nim zrobić, jak już stąd wyjdziemy?
- Siedź cicho i nie kombinuj.
- Pytam raz jeszcze... - odezwał się Dedalus.
- Umowa stoi?
- Cisza. Nagle sylwetka senatora zniknęła z wylotu szybu. Croaker skorzystał z okazji, by przesunąć się bliżej. Dedalus po chwili wrócił.
- Teren czysty. Możecie wychodzić. Pogawędzimy.
- Wybacz pan, senatorze, lecz zachowam ostrożność, póki nie przekonam się na własne oczy, że mówi pan prawdę. - Croaker zaczął pełznąć do wyjścia. - I proszę odłożyć broń. Jej

widok nie budzi mojego zaufania.

- Dedalus rzucił pistolet na ziemię. Lew popchnął Vesper przed sobą, po czym sam wygramolił się z szybu. Stali na małej polance, na zboczu gęsto zalesionego wzgórza. Wokół nie było nikogo, lecz Croaker ani przez chwilę nie wierzył Dedalusowi. Ten człowiek przez całe życie żonglował kłamstwem z równą zręcznością jak makler akcjami. Miał tylko jedną słabość: niepohamowaną żądzę władzy. Śmierć Okamiego dawała mu nieograniczone możliwości.
- Zadowolony?
- Nie bardzo. - Croaker przytrzymał dziewczynę.
- Z twarzą umazaną krwią wyglądała dokładnie tak, jak oczekiwał. Senator patrzył na nią z wyraźnym niepokojem. W końcu to właśnie on przysłał ją do laboratorium, więc był odpowiedzialny za to, co się z nią działo. Nie stracił zatem resztki ludzkich uczuć.
- Niezła buźka - mruknął. - Złamał ci nos?
- Chyba tak - wymamrotała niewyraźnie. - Nic nie czuję.
- Zamknij się! - warknął Croaker.
- Puść ją. - Dedalus przyjął pozę twardego ojca.
- Nie wcześniej, aż się przekonam, że dotrzymał pan warunków umowy.
- Masz wszystko, co chciałeś. Czego jeszcze?
- Potrzebuję ochrony. Zwłaszcza teraz, gdy zadreżę z Okamim. Wie pan przecież, co spotkało Do Duka.
- - Jak się okaże, że mówisz prawdę, możesz liczyć na moją pomoc. Croaker potoczył wzrokiem po okolicy.
- Ma pan jakiś samochód? To miejsce źle mi działa na nerwy.
- Stoi za tamtym wzniesieniem. - Dedalus schylił się po pistolet.
- Proszę opróżnić magazynek.
- Bez słowa spełnił polecenie. Vesper spoglądała na drzewa.
- Senatorze, on kłamie. Dedalus uniósł głowę.
- Co?
- Croaker potrząsnął dziewczyną.
- - Mówiłem ci, ani słowa!
- Doktor Serman wciąż żyje. Croaker uderzył mnie w twarz, gdy chciałam panu o tym powiedzieć. Niech ktoś go stamtąd wyciągnie!
- Odesłałem ludzi...
- Senatorze, on umrze, jeśli nie zaczniemy działać!
- Dedalus skinął ręką. Z zarośli wynurzył się barczysty mężczyzna. W ręku trzymał rewolwer, lufą w dół, lecz gotowy do strzału.

- Tyle z pańskich obietnic - odezwał się Lew.
- Nie wiedziałem, czy można ci ufać. Zbyt mało się znamy. - Dedalus wskazał nadchodzącemu wylot szybu. - Leży tam ranny naukowiec nazwiskiem Serman. Wynieś go.
- Stop! - zawołała Vesper. - Nie poradzi sobie z zabezpieczeniem. Muszę mu pokazać, jak ominąć czujnik.
- Zrób to - odparł senator.
- Od razu zrozumiał, że chciała skorzystać z szansy, by oddalić się od Croakera.
- Nigdzie nie pójdziesz - burknął Lew. Test prawdy? - Zostaniesz tutaj.
- Niby dlaczego? - z uśmiechem spytał Dedalus. - Rozładowałem broń i przywołałem strażnika. Teraz kolej na ciebie. Okaż choć trochę zaufania.
- Ty suko! - wrzasnął Croaker. - Po co mu powiedziałaś...
- To był jej obowiązek - sucho wtrącił Dedalus. - Czekam.
- Lew z głuchym pomrukiem odepchnął dziewczynę. Ociężałym krokiem podeszła do szybu. Strażnik pomógł jej wpełznąć do wnętrza.
- Teraz, bez świadków, możemy spokojnie pomówić o Okamim. Gdzie się ukrywa? Zatrzymam cię do czasu, aż go znajdziemy.
- Tak pan sądzi? Nic z tego.
- Nie masz wyboru. - W dłoni senatora pojawił się mały, srebrny pistolet. Ze względu na niewielką siłę odrzutu instruktorzy strzelania uważali go za doskonałą broń dla kobiet. Na krótki dystans był równie skuteczny jak beretta. - Tak czy owak, pomożesz mi znaleźć Okamiego. Koniec układów. Jeśli nie zaczniesz mówić, wpakuję ci kulę w prawe kolano. Pięć minut później dostaniesz w lewe, i tak dalej. Chyba rozumiesz. Zapewniam cię, że wkrótce zmięknie.
- Senatorze? - To był głos Vesper.
- O co chodzi? - ostro spytał Dedalus. - Wyciągnęliście Sermana?
- Serman nie żyje. - Dziewczyna wychyliła się z szybu. W ręce miała rewolwer strażnika.
- Gdzie Andrew?
-
- -Niestety, on także...
- Dedalus dobrze wiedział, jak się używa broni. Strzelił pierwszy, lecz jego pistolecik niezbyt nadawał się na broń snajpera. Kula zrykoszetowała o ścianę tunelu. Nim zdążył ponownie nacisnąć spust, Vesper posłała mu kulę między oczy. Ze zdumioną miną rozłożył ręce i padł na plecy.
- - Minałeś się z powołaniem, Lew. Jesteś urodzonym aktorem. - Wypęzła z szybu. - Widzisz? Czasem warto komuś zaufać.
- Pływające Miasto stało w ogniu. Od pierwszej ciężarówki zapaliły się dwie następne, wyładowane bronią i gotowe do drogi. Nicholas wybiegł z laboratorium. „Nic nie wiesz... Jeszcze jeden...” Co Abramow chciał mu powiedzieć? Gdzie kryło się główne niebezpieczeństwo? Przeskakiwał przez trupy żołnierzy zabitych siłą wybuchu. Przez gęstą chmurę dymu zobaczył ogromną postać. Rock pędził do ciężarówki stojącej na czele kolumny, jeszcze poza zasięgiem pożaru. Miotacz miał przewieszony przez ramię, w dłoniach trzymał

niewielki cobray M-II, z dziwacznie wyglądającym magazynkiem. Widać na własną rękę zmodyfikował i przekalibrował broń, zwiększając jej skuteczność.

- - Jazda stąd, gnoju! Pierdolony szczurze! - krzyczał do kierowcy.
- Miał zamiar strzelić w kierunku szoferki, gdy kątem oka zobaczył Nicholasa. Z uśmiechem obrócił głowę.
- - Wylazłeś z klatki... Mick mówił mi, że to zrobisz, ale mu nie wierzyłem. Nieważne. - Poklepał miotacz. - Stara pukawka, myślisz? Błąd. W środku tkwi pierwszy torch.
- Nicholas wyczuł jego intencje chwilę przedtem, nim padły strzały. Rzucił się w bok i ukrył za nieruchomym ciałem. Rock smagał dziedziniec krótkimi seriami. Krople krwi, kości i kawałki mięsa wirowały w powietrzu. Kule zaczęły szarpać trupem, za którym leżał Nicholas. Rock wyrzucił pusty magazynek, a na jego miejsce wcisnął następny. Był coraz bliżej. Nicholas wyrwał zabitemu z ręki kałasznikowa, lecz trafił na egzemplarz wyprodukowany w Chinach i zamek oczywiście się zaciął. Rock szczyrzył zęby.
- - No, mały... Wykończyłeś Do Duka. Spróbuj ze mną zrobić to samo. Nicholas przełamał broń jak do czyszczenia. Kiepska maczuga. Jedną ręką
- chwycił za lufę, drugą tuż nad magazynkiem. Szeroko rozpostarł macki umysłu i naprężył mięśnie. Świat pomknął z niewiarygodnym pędem, światła ułożyły się w rozmazaną smugę, gdzieś z daleka dobiegały niewyraźne dźwięki. Lufa pękła. Rock nie przestawał strzelać. Nicholas przetoczył się nieco dalej, deszcz drobnych kamieni obsypał mu nogi. Zacisnął palce na odłamanej lufie i wstał. Palec Rocka zamarł na spuście, gdy ostry kawał metalu poszybował w powietrzu. Nicholas, zanurzony w Tau-tau, kreślił przed sobą trajektorię lotu, niczym promień niewidzialnego światła. Wszedł do tunelu wiodącego w inny wymiar. Widział jedynie lecący pocisk. Czuł jego szybkość, drobiny powietrza ociera-
- jące się o chropawą krawędź, lekką, ale wyraźną siłę grawitacji... i nagłą reakcję Rocka w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa. Olbrzym poruszał się zbyt wolno. Cienki koniec lufy z głuchym pacnięciem utkwiał mu w piersi. Rock padł na plecy, wpatrzony w niebo, a może w tryskającą fontannę krwi. Gdzie Mick? Ryknął silnik. Nicholas rzucił się w tamtą stronę. Na chwilę kucnął obok nieruchomego Rocka i rozbroił miotacz. Nie mógł zabrać całego ładunku; torch był wystarczająco ciężki. Potem pognał zygzakiem przez spowity dymem dziedziniec. „Trzeba przyznać, że spotykamy się w niezbyt fortunnych okolicznościach” - stwierdził Mick. Teraz siedział za kierownicą ciężarówki. Wrzucił pierwszy bieg i ruszył do bramy. Nicholas przyśpieszył kroku. Torch ciążył mu coraz bardziej, ale nie zamierzał porzucić izotopu. Mick musiał go dostrzec w lusterku, gdyż zaczął gwałtownie zmieniać biegi. Ciężarówka zaprotestowała zgrzytem, lecz o wiele raźniej potoczyła się w stronę bramy. Nicholas, ciężko dysząc, wyciągnął rękę, by chwycić linę zwisającą ze skrzyni samochodu. Nie zdołał. Wiedział, że lada chwila zbraknie mu sił, aby kontynuować opętancy pościg. Nagle ciężarówka zwolniła, uderzyła w coś prawym przednim kołem. Pewnie w trupa. Palce Nicholasa zacisnęły się na sznurze. Zdażył wskoczyć na skrzynię, nim Mick odzyskał panowanie nad kierownicą. Z trudem łapiąc powietrze, spojrzął za siebie. Rock niemrawo usiłował przeturlać się na bok. Jeszcze żył? Przecież miał w piersiach dziesięcio-centymetrowy kawał oksydowanej stali. Jednak mu się udało. Sięgnął za siebie i ustawił miotacz do strzału. Ciężarówka skręciła za bramę Pływającego Miasta. Nicholas odwołał się do Tau-tau. Blask przygasł, czas zaczął płynąć wolniej, nawet upiorny chrobot silnika brzmiał o wiele

łagodniej. Nicholas zamknął powieki. W myślach zobaczył Rocka pomstującego nad pustym miotaczem. Samochód znów skręcił. Brama Miasta pojawiła się w polu widzenia. Rock wciąż się wiercił. Coś trzymał. Nicholas, nadal w transie, od razu rozpoznał, co to było. Drugi torch. Rock załadował miotacz. W uszach Nicholas'a dźwięczały słowa Abrama-nowa: „Nic nie wiesz... Jeszcze jeden...” Jeszcze jeden torch. To właśnie chciał powiedzieć Rosjanin. Buddo, chroń mnie - pomyślał Nicholas. - Będzie strzelał. Nawet na tę odległość mógł wyczuć mordercze zamiary Dzikusa. Olbrzym nadludzkim wysiłkiem zarzucił LAW na ramię. Nicholas widział czerniejący wylot lufy. Palec Rocka spoczął na spuście. Nicholas zrobił jedyną rzecz, jaka mu pozostała: zaatakował skoncentrowanym strumieniem wewnętrznej siły. Nie

- mógł zablokować mechanizmu miotacza, lecz wtargnął w umysł wroga. Za późno. Torch z głośnym hukiem poszybował w powietrze. Desperacki atak Nicholas'a przyniósł jednak pewne efekty. Pocisk, zamiast w kierunku ciężarówki, strzelił pionowo w górę. Siła Tau-tau musiała szarpnąć ciałem Rocka w momencie, gdy naciskał cyngiel. Pływające Miasto było już dość daleko, lecz Nicholas dobrze pamiętał ostrzeżenie Niigaty, że dwie małe cząstki pierwiastka 114m mogą zniszczyć całą dzielnicę. Całą. Matko Boska... Zaczął się zastanawiać, czy nim torch spadnie na ziemię, ciężarówka zdąży odjechać na bezpieczną odległość. Mick nieustannie deptał pedał gazu. Samochód podskakiwał na kamienistej drodze wiodącej w dół zbocza. Jak wszystkie górskie szlaki, ten także tworzył szerokie zakola. Miasto zniknęło. Ciężarówka jechała dość szybko, lecz Nicholas był pełen najczarniejszych przeczuc. Droga stała się bardziej *stroma*. Po jednej stronie sterczała skalna ściana, porośnięta gęstą zielenią, po drugiej otwierała się przepaść. Nagle rozległ się głośny huk. Nicholas zamarł z przerażenia. Sądził, że właśnie nastąpiła eksplozja. Po chwili zobaczył wodospad z łoskotem spływający do spienionej rzeki. Błyskawicznie podjął decyzję. Torch na pewno zbliżał się już ku ziemi. Do wybuchu zostało zaledwie parę sekund. Nicholas puścił sznur, ugiął kolana i skoczył za krawędź urwiska. Woda porwała go ze sobą. Otoczony kokonem Tau-tau poleciał w dół jak strzała wypuszczona z łuku. Wpadł do rzeki. Torch wyleciał mu z ręki, a on sam, porwany silnym nurtem, płynął coraz dalej i dalej, znacznie wyprzedzwszy ciężarówkę... Chwilę później nad Miastem zamigotał oślepiająco piękny błysk zielono-złotego światła. Torch spadł na ziemię niecałe sto metrów od miejsca, skąd został wystrzelony. Wybuch był bardzo cichy, lecz postępująca reakcja łańcuchowa wstrząsnęła wnętrzem góry. Pływające Miasto zniknęło w mgnieniu oka niczym wycięte skalpelem chirurga. Podmuch porwał uciekającą ciężarówkę, zepchnął z drogi i cisnął na zębate skały, podobnie jak ona skazane na zagładę. Strzaskany wrak wylądował wśród drzew porastających podnóże góry.

- **Idy marcowe** *Nocą, gdy księżyc świeci tak jasno, jak dzisiaj, można zobaczyć myśl najbardziej skrytego serca.*

IZUMI SHIKFFIU

- Wiosna, współcześnie

- TOKIO / WENECJA / WASZYNGTON JKzeka i Tau-tau okazały się dla Nicholas'a wybawieniem. Nic nie czuł, lecz był świadom, w którym momencie nastąpiła eksplozja i czuł w głębi umysłu zwielokrotniony krzyk zamierającego życia. Prąd wody uniósł go tak daleko od epicentrum wybuchu, że gdy w końcu zmęczony wypełznął na brzeg, nie musiał się obawiać opadów radioaktywnych. Vesper i Croaker czekali na niego w Tokio. Relacja z minionych trzech

dni zajęła im całe popołudnie i część wieczoru.

- Chryste... - odezwał się Lew. - Po tym, co mi powiedział Serman, nawet nie umiem sobie wyobrazić efektów eksplozji.
- Szczęśliwym trafem Pływające Miasto leżało na takim odludziu, że nie zginął nikt poza załogą - odparł Nicholas. - Na miejsce ma ruszyć ekipa ekspertów i dokonać pomiarów stopnia skażenia terenu. Muszą także przeszukać rzekę, jeśli chcą znaleźć drugi ładunek.
- Potworna lekcja dla tych, co chcą się bawić bronią jądrową - wzdygnęła się Yesper.

Bez przerwy krążyła po pokoju. Denerwowała się już przy kolacji. Nicholas wyszedł na moment, zmienić opatrunek na poparzonej ręce, i słyszał wówczas, że rozmawiała przez telefon.

Wcześniej poszedł do łóżka, lecz nie mógł zasnąć. Wciąż wracał myślami do chwili wybuchu. Widział siebie, zanurzonego pod wodą, i Micka, siedzącego w kabynie rozklekotanej ciężarówki, z całej siły cisnącego pedał gazu. Może to dziwne, ale chciał wiedzieć, jak zginął. Z perspektywy czasu doszedł do wniosku, że Leonforte z rozmysłem umożliwił mu ucieczkę. Może chciał cudzymi rękami rozprawić się z Rockiem, a może...

W drzwiach zamajaczył jakiś cień. Nicholas odwrócił głowę.

- Nicholas? Mogę wejść? Vesper.

Usiadł na futonie i zapalił lampę osłoniętą papierowym abażurem. Dziewczyna uklękła przy jego poślaniu. Odgarnęła włosy do tyłu.

- Wiem, że chciałbyś spędzić nieco czasu ze swoim przyjacielem.

- Prawdę mówiąc, nie marzę o niczym innym. Milczała przez chwilę.
- Mam cię zabrać do Wenecji.
- Do Wenecji? Po co?
- Chyba wiesz.
- Okami? Skinęła głową.
- Chce się z tobą zobaczyć.
- Nicholas omal się nie roześmiał. Człowiek, którego zawzięcie szukał przez całe trzy miesiące, nagle zapraszał go do siebie. Tak po prostu. Z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że kaisho wciąż żyje w cieniu śmierci. Kto go ścigał? Rada przestała istnieć, oyabunowie wytlukli się między sobą, Dedalus nie żył. Więc kto? Patrzył w ogromne chabrowe oczy i miał ochotę powiedzieć: nie. Wiedział jednak, że jego obawy wynikają z całkiem innych pobudek. W Wenecji była Celeste, a teraz, po spotkaniu z Koei...
 - - Ruszamy z samego rana - odparł zdecydowanym tonem.
 - - Zgodziłem się pana chronić. To wszystko - powiedział trzydzieści godzin później. - Ani ja, ani tym bardziej Croaker nie jesteśmy obligowani do udziału w pańskich machinacjach.
 - Okami przypatrywał mu się z kamiennym spokojem. W niczym nie przypominał faceta po dziewięćdziesiątce. Siedzieli dwie przecznice od Rialto, w przepięknej restauracji

prowadzonej przez rodzinę rybaków. Vesper, zaraz po przekazaniu Nicholasa w ręce Okamiego, odleciała via Londyn do Waszyngtonu. Kaisho upił łyk kawy.

- Masz pełne prawo do własnego zdania, lecz powiedz mi, proszę, z jakiej racji potępiasz mój plan, jeśli go nawet nie znasz?
- Należy pan do świata yakuza. Pańskim wspólnikiem był Dominie Goldoni. To mi wystarczy.
- Serio? Spróbujmy zdefiniować poszczególnych graczy. Kochasz dwie kobiety. Jedna pochodzi z rodu yakuza, druga, blisko związana ze mną, jest rodzoną siostrą Dominika. Pamiętaj też o tym, że twój ojciec był moim najlepszym przyjacielem. I partnerem.
- Cisza, jaka zapadła po ostatnim słowie, dźwięczała w uszach Nicholasa niczym odległy huk gromu. Spojrzał na skąpane w promieniach słońca mury Wenecji. Nagle zrozumiał, że słyszy bicie własnego serca.
- - Partnerem? - spytał bezbarwnym głosem.
- Okami wspomniał, że chce zdefiniować graczy, lecz to wyznanie domagało się dalszych wyjaśnień, całkowicie bowiem zmieniało reguły.
- - Wiesz, kto był prawdziwym twórcą Godaishu? Pułkownik Denis Linnear.
- Dobry Boże! Co chciał przez to osiągnąć?
- Był geniuszem. Wizjonerem. Ja zasłużyłem zaledwie na miano ucznia. Gdy zmarł, zacząłem rozwijać jego wizję. Wizję ponadnarodowej organizacji, sięgającej w głąb świata dostępnego dotąd jedynie przestępcom. Podczas współpracy z yakuza pułkownik dostrzegł coś, czego sami nie zdołaliśmy zauważyć: naszą lojalność i odwagę. Chciał, aby przedstawiciele rządu, biznesu i klanów działali ramię w ramię, złączeni wspólnym celem.
- Nic z tego nie wyszło.
- Owszem, wyszło. Japoński cud gospodarczy stał się niezbitym faktem. W ciągu zaledwie trzech dekad ze złamanego, pokonanego narodu, stojącego na skraju przepaści społecznej i ekonomicznej wyrosło imponujące mocarstwo.
- Czy to znaczy, że Mick Leonforte mówił prawdę?
- Słyszałem, że mój ojciec połączył dawne Ministerstwo Handlu i Przemysłu z Biurem Handlowym i utworzył w ten sposób MITI.
- Kto ci to powiedział?
- Mick Leonforte. Był zafascynowany postacią pułkownika i podobno przejrzał cały stos dokumentów.
- Tym lepiej, że zginął w wybuchu - burknął Okami. Sięgnął po kawę, by w spokoju zebrać myśli. - Podstawowe, zewnętrzne działania zostały podjęte przez Japończyków, Yoshidę i Shirasu. Pułkownik krył się w cieniu. Przeciągnął na naszą stronę niejakiego Nagayamę, podstawionego przez konserwatywną frakcję dawnego ministerstwa. Rok później Nagayama stał

się pierwszym szefem sekretariatu MITI, co jednocześnie było prawdziwym początkiem Godaishu.

- Jak udawało się godzić rząd, biznesmenów i yakuza? Na pozór skakali sobie do gardeł.
- Mówiłem ci, że pułkownik był wizjonerem. Znalazł wspólny mianownik: kapitalizm. Chęć zysku pozwalała zapomnieć o animozjach. Ta zasada legła u podstaw nie tylko Godaishu, lecz także Partii Liberalno-Demokratycznej. Twój ojciec pilnie studiował historię i wiedział, że nad Japonią zawisło widmo chaosu. Tylko silna dłoń mogła powstrzymać katastrofę. Realne rozwiązanie podsunęły nam wydarzenia z przeszłości.
- Upił łyk kawy i ciągnął dalej:
- - Ieyasu Tokugawa, pierwszy i najstłynniejszy shogun z długiej dynastii, objął władzę w początkach siedemnastego wieku, gdy podzielone feudalne państwo pławiło się w anarchii. Rządził twardo, czasem okrutnie, lecz zdołał przywrócić spokój i pełną stabilizację. Pułkownik postępował podobnie. Partię i Godaishu postrzegał jako współczesny odpowiednik shogunatu. Rząd mógł w spokoju budować nową Japonię, nie oglądając się na gniewne okrzyki socjalistów i komunistów.
- Przerwał i skinął na kelnera. Nicholas siedział jak skamieniały. Do tej pory nie przyszło mu na myśl, że jego ojciec był architektem współczesnej Japonii. Jak tego dokonał i co stało się później z jego dziełem? Niecierpliwie czekał na dalszy ciąg wyjaśnień.
- Okami doskonale wiedział, co dzieje się w duszy Linneara.
- - Przez lata ludzka zachłanność brała powoli górę nad ideałem. Korupcja zataczała coraz szersze kręgi. Niewielu potrafiło wzorem pułkownika z niezwykłą elegancją dzierżyć władzę. Ja z kolei musiałem przyjąć do rady nowych oyabunów. Godaishu zaczęło żyć własnym życiem. Z chwilą, gdy straciłem kontrolę nad przebiegiem niektórych wydarzeń, uświadomiłem sobie, że należy je zniszczyć. Uwolniony z łańcucha, moloch coraz częściej trafiał do miejsc doszczętnie przeżartych zgnilizną. Choćby takich jak Pływające Miasto. Leonforte i Rock stali się pełnoprawnymi partnerami w interesach, a Godaishu zaczęło szybkim krokiem zmierzać ku katastrofie. Chosa, Kozo i Akinaga widzieli się w roli władców kontrolujących światową gospodarkę. Widząc, jak Leonforte i Rock rządzą na rynku handlu bronią i narkotykami, sądzili, że z czasem przejmą poszczególne gałęzie handlu. Strach myśleć, do czego by doszło.
- Minęła pora lunchu. Restauracja opustoszała, kelnerzy w białych kitlach sprząтали ze stołów. Pomocnik kucharza wymienił lód w gablocie, gdzie wystawiano świeże ryby. Nikt jednak nie zamierzał przeszkadzać Nicholasowi i Okamiemu.
- - Możesz sobie wyobrazić, co czułem, gdy musiałem cię prosić o pomoc - mówił kaisho. - Wiedziałem, iż nienawidzisz wszystkich yakuza, i głęboko chowałem w sercu ten sekret, że twój ojciec był moim przyjacielem i mentorem. Znałem też twoje poczucie honoru, więc byłem pewien, że spełnisz jego obietnicę. Wiedziałem jeszcze coś. Koei powiedziała mi o uczuciu, jakie was kiedyś łączyło.
- „Muszę pana uzdrowić” - rzekł Dich. Nagle jego słowa nabrały nowego znaczenia.
- - Gdy spotkaliśmy się w zeszłym roku, czułem bijącą od ciebie nienawiść. Nie mogłem wyznać ci prawdy. Prawdę mówiąc, byłem przekonany, że przyniosłoby to więcej szkody niż pożytku. Zarzuciłbyś mi kłamstwo i zapomniał o słowie

danym przez ojca. A ja w gruncie rzeczy nie potrzebowalem ochrony. Szukałem pretekstu, żeby ci pokazać, co się kryje za starannie skonstruowaną fasadą. Żebyś przejął dzieło rozpoczęte przez ojca.

- Okami uniósł głowę.
- - Trafiłeś do mnie z zatrutą duszą, skażony wspomnieniami młodszej miłości zniweczonej przez siły, których ani ty, ani Koei nie byliście w stanie pojąć. Pierwszego wieczoru, gdy Celeste przywiodła cię do mojego *palazzo*, zobaczyłem, że twoje rany sięgają zbyt głęboko. Byłeś bezużyteczny... i dla mnie, i dla samego siebie. Ponośliem za to część winy: zajęty własnymi sprawami, nie zdołałem cię uchronić przed bolesnym konfliktem ze światem yakuza. Postanowiłem wówczas, że znajdę sposób, żebyś odzyskał Koei. Z tego względu nie mogłem powiedzieć ci prawdy o mnie, o Celeste, Margaritę i Vesper. A szczególnie o twoim ojcu. - Westchnął. - Pułkownik mocno zabiegał o to, by nas ze sobą poznać. Ja jednak nie byłem gotów. Dużo piłem; sądzę, że jeśli o to chodzi, twój ojciec ocalił mi życie. Nie umiałem się kontrolować. Pułkownik wybrał więc Tsunetomo Akinagę. Tak poznałeś Koei. Karma, Nick~san.
- Zapłacili rachunek i wyszli z lokalu. Był wczesny wieczór. Żółte, złote i brunatne fasady domów błyszcząły jak świeżo malowane. Wody Canal Grandę przecinały dziesiątki łodzi, a liczne położone nad *rii* kawiarnie, szeroko otwierały podwoje na powitanie wiosny. Jakiś gondolier nucił fragment arii. Nicholas jeszcze nie zdążył poznać odpowiedzi na wszystkie dręczące go pytania. Jedna myśl kołatała mu w głowie. „Zapoczątkowane przez niego dzieło trwa do dzisiaj” - powiedział Mick. Pułkownik Linnear musiał być doprawdy geniuszem. Na razie Nicholas wdychał słodką woń Wenecji i cieszył się z życia. Nawet bez przesadnego lęku myślał o kolacji z Celeste. Czuł ulgę. Skoro Okami nalegał, aby kontynuował dzieło ojca, otwierała się przed nim niespodziewana możliwość nawiązania ścisłej współpracy ze starym kaisho, który - podobnie jak Tachi - posiadał *koryoku* i obiecał mu zdradzić tajemnicę Mocy. Stał u wrót wiodących do całkiem nowego świata. Nie do świata dominacji siły, który porzucił już dawno temu, lecz do tajemnic życia Denisa Linneara. Miałby się cofnąć? Fakt, nie mógł zapomnieć o obowiązkach wobec Tanzana i Tomkin-Sato Industries, lecz to wcale nie oznaczało rezygnacji z poszukiwań. Miał niejasne przeczucie, że tym właśnie kierował się pułkownik, gdy wymógł na nim przyrzeczenie, że w każdej chwili stanie u boku Okami. Już mógł się cieszyć niecodziennym darem. Przeszłość, jaką mu ukazano, wciąż żyła, napiętnowana szczególną mocą, wpływającą na bieg wydarzeń. Przyszłość pozostawała wielką niewiadomą, lecz postanowił nie puszczać jej z ręki. Po powrocie do Waszyngtonu Vesper spędziła dwa pracowite tygodnie. Uczestniczyła w śledztwie, podjętym przez Pentagon dla zbadania działalności senatora Dedalusa, a prócz tego, na własną rękę, zajęła się Zwierciadłem. Noce spędzała nad rejestrem skopiowanym z dokumentów Morgany. Przedtem nie miała czasu go odszyfrować, lecz przed wyjazdem z Tokio dostała plik kartek od Croakera. Po czterdziestu godzinach ślęczenia nad odczytanym przez niego tekstem, doszła do wniosku, że nie wszystkie zapisy dotyczą transportów broni. W niektórych miejscach powtarzało się słowo „Larva” bez dodatkowych danych, takich jak cena lub termin dostawy. Potem trafiła na stronę zatytułowaną „LARYA.” i pociemniało jej w oczach. Pod spodem widniał ciąg cyfr oznaczających wpływy. Ogólna suma sięgała kilku miliardów. Larva za pośrednictwem Dedalusa nieźle drażyła konto Morgany. Celeste jako pierwsza trafiła na ślad wiodący do rozwiązania zagadki.
- - Dziwne - powiedziała. - To przecież nazwa tradycyjnej weneckiej maski. Najczęściej białej, choć z rzadka zdarzają się czarne. *Larva* to po łacinie

„duch” lub „widmo”, lecz maskę nazywają też *volto*.

- Dalszy ciąg wyjaśnień czekał w Waszyngtonie, gdzie Vesper spotkała się z agentem Pentagonu, przeglądającym rozliczenia senatora ze Zwierciadłem.
- Za co zapłacono trzysta tysięcy dolarów? - spytała, ciekawie zaglądając w rachunki.
- Wygląda na to, że Dedalus zapłacił pewnej firmie, by przez półtora roku rekrutowała niektórych pracowników Zwierciadła.
-
- To normalne?
- Owszem. Przy cięciach budżetowych trzeba na pewien czas zwolnić najmniej przydatną część personelu. Potem szuka się nowych sekretarek i urzędników.
- Jak brzmi nazwa firmy?
- Zobaczymy... - Agent przekartkował kilka dokumentów. - Jest. National Security Services.

Vesper podeszła do komputera i wydobyla z kartoteki dane na temat NSS. Na pierwszy rzut oka wszystko było w porządku. Firma należała do większej korporacji określanej skrótem VEU. VEU? Co to znaczy?

Wcisnęła kilka klawiszy. Serce załomotało jej z podniecenia. Przez długą chwilę w milczeniu wpatrywała się w ekran. *Volto Enterprises Unlimited. Volto. Larva. Duch w bieli... lub w czerni.*

Myśli, jedna za drugą, przelatowały jej przez głowę, niektóre tak przerażające, że bała się sformułować je wyraźniej. Przed oczami stanęła jej hydra o stu nieśmiertelnych głowach. Czy to możliwe, że Dedalus nie był amerykańskim łącznikiem Godaishu? Że przyjmował rozkazy od kogoś innego?

Oficjalny adres VEU brzmiał: West Palm Beach, Floryda, lecz Vesper nie mogła odnaleźć żadnych nazwisk. Zdrętwiałymi palcami nerwowo stukając w klawisze, zmieniała pliki, coraz szybciej i szybciej... Aż nagle znalazła potwierdzenie najgorszych obaw. Siedziba firmy mieściła się w wielkim białym domu, spoglądającym w stronę oceanu. W tym samym, gdzie rzekomo urzędowała korporacja, rejestrowana na Bahamach i nie wykazująca pod koniec roku żadnych zysków, choć FBI miało powody przypuszczać, że przez jej zagraniczne konto przepływały miliony dolarów.

Zimową porą przyjeżdżał tam domniemany właściciel korporacji. Caesare Leonforte.

Vesper wstrzymała oddech. Leon Waxman na pewno został zatrudniony za pośrednictwem firmy Leonforte'a. Nic dziwnego, że nikt nie odkrył, iż jest w rzeczywistości ojcem Caesare'a. Nic dziwnego, że został przyjęty jako szef Zwierciadła. Synek już tego dopilnował. To Caesare kierował poczynaniami Dedalusa, Morgany, Malory Enterprises i Avalonu. Larva, duch, czarny *volto*, nigdy nie ukazujący swej twarzy. Przez cały czas walczyli z hydrą.

To jeszcze nie koniec - pomyślała Vesper. - To dopiero początek.

„KB”